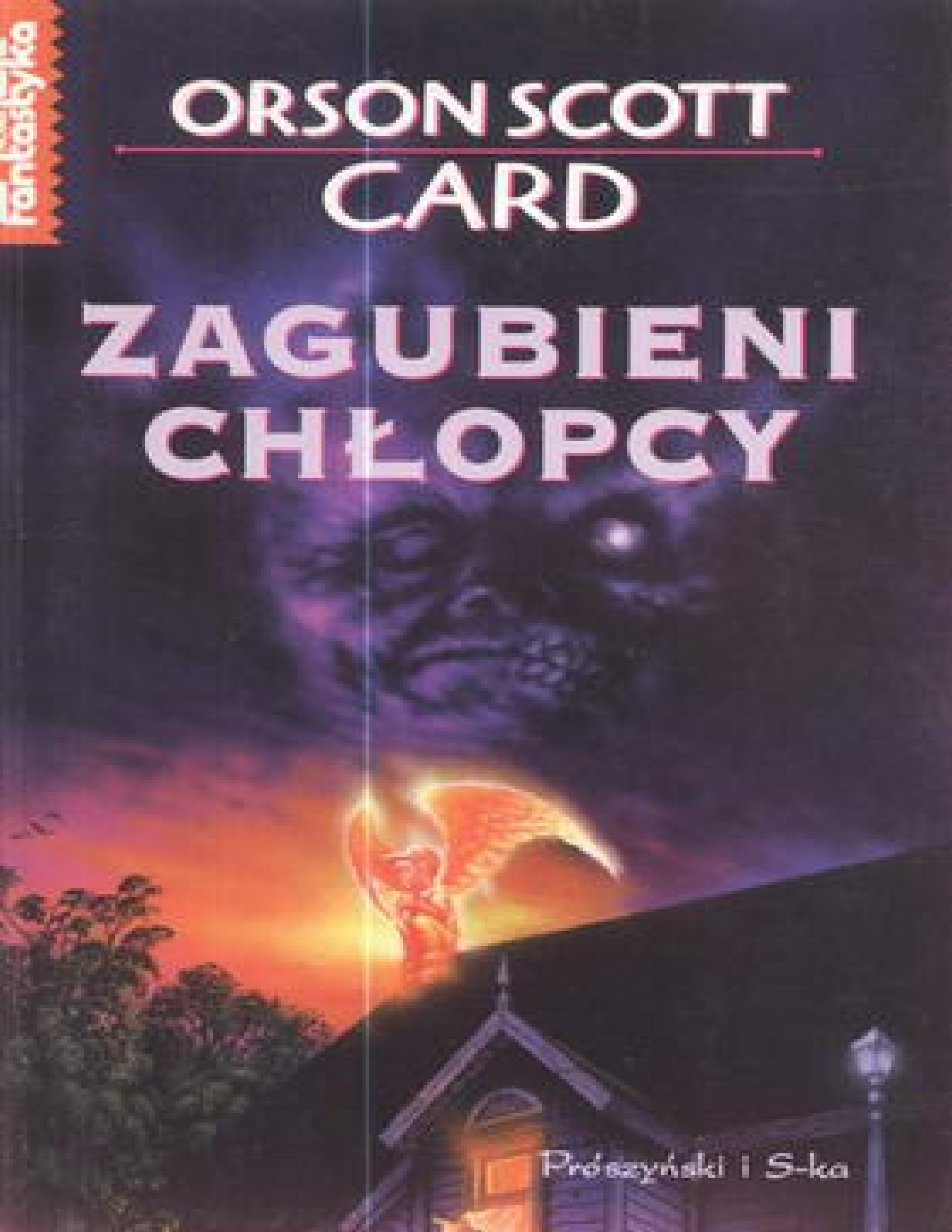


ORSON SCOTT  
CARD

ZAGUBIENI  
CHŁOPCY



Prószyński i S-ka

**Orson Scott Card**

**Zagubieni Chłopcy**

Step Fletcher liczył na to, że nowe życie, które wraz z rodziną zacznie po przeprowadzce do miasteczka Steuben, będzie szczęśliwsze od dotychczasowego. Niestety, stało się inaczej: w pracy nie układa mu się najlepiej, a jego 8-letni syn Stevie nie potrafi znaleźć sobie miejsca w nowym środowisku. Odrzucony przez szkolną społeczność chłopiec zanurza się w świecie fantazji, zaludnionym przez wymagowanych przyjaciół. Może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że są to ci sami chłopcy, którzy w tajemniczych okolicznościach zaginęli bez wieści w realnym, materialnym świecie.

\* \* \*

Erin i Phillipowi Absherom

za to, że dzielicie z nami swoje życie

oraz za miłość i troskę, jakimi otaczacie

Chanie Bena

Dziękuję:

Studentom Watauga College w Appalachian State University, którzy w Halloween usłyszeli pierwszą, niekompletną wersję tej opowieści;

Edowi Fermanowi za to, że uwierzył w opowiadanie, które było pierwsze;

Ludziom, którzy pisali do mnie listy po lekturze opowiadania, ponieważ dzięki nim ta historia nabrała życia;

Eamon Dolan, mojemu wydawcy, za bezcenne uwagi i niewyobrażalną cierpliwość;

Wayne'owi Williamsowi za dodatkowy tydzień na plaży, gdzie powstała pierwsza połowa tej książki;

Clarkowi i Kathy Kidd za drugą połowę (między innymi);

Scottowi Jonesowi Allenowi za wpisywanie tekstu i mnóstwo innych rzeczy;

Clarkowi L. Kiddowi za trzecie słowo w Rozdziale 8;

Dave'owi Dollahite za paralaksę;

Jay'owi Wentworthowi za wszystko;

Erin, Phillipowi, Jonesowi, Kathy, Geoffowi i Emily za czytanie kolejnych rozdziałów w miarę jak powstawały;

Kristine za to, że utrzymywała dzieci przy życiu, samochody na chodzie, a pisarza w formie;  
Charliemu Benowi, za jądro tej opowieści.

Chłopiec

Oto jak ojciec pokrzykiwał na niego, kiedy ten zrobił coś złego:

- Gdzie się podziewałeś, kiedy to się stało, Chłopcze? Co ty sobie wyobrażasz, Chłopcze?

To słowo zapadło mu w pamięć głęboko, było imieniem wszelkich jego niepoprawnych pragnień. To Chłopicz kazał mu płatać figle, z których nikt się nie śmiał, to Chłopicz kazał oszukiwać na testach w szkole, nawet gdy znał poprawne odpowiedzi i nie musiał uciekać się do szachrajstwa. To Chłopicz sprawił, że czaił się za szafą - kiedy rodzice myśleli, że śpi - i podglądał, jak to robią na pieska; brzuch ojca trzęsący się luźno, matka taka blada, słaba i martwa, piersi zwisały jej niczym dwie śnięte ryby. Najgorszą rzeczą, jaką Chłopicz kazał mu zrobić, było to podglądanie. Ku jego zdumieniu Chłopiczowi też to się nie podobało, gorzej, Chłopicz bardziej niż on nienawidził tego, że ojciec jest taki kiepski.

Nigdy tego nie zrobię, rzekł Chłopicz tkwiący w jego wnętrzu. Obrzydliwe jest zabijanie kobiety w ten sposób, tak aby przeżyła, by móc jej to robić powtórnie.

Od tego czasu, gdy spoglądał na wielkie kobiety z ich piersiami, tajemnicami i twarzami, które paraliżowały wzrokiem, Chłopicz go opuszczał - nie chciał brać udziału w tej grze.

Lecz nie znaczyło to wcale, że Chłopicz nie było albo że milczał, nie. Chłopicz nadal tam był, miewał też swoje zachcianki, o tak; znalazł sobie nowe przedmioty pożądania. Tyle tylko że Chłopicz był niedbały. Chciał czegoś, dopóki jego żądze nie zostały zaspokojone, po czym wycofywał się w cień, zostawiając go na pastwę wyrzutów i reprimend, choć przecież on nie chciał tego robić.

Obecnie żaden człowiek nie dopuszczał go do swych dzieci, a to z powodu rzeczy, jakie musiał wykonywać z polecenia Chłopicza. Bądź przeklęty, Chłopcze! Giń, przepadnij!

Obiecali, że nie powiedzą, zapewniał Chłopicz. Dzieci obiecywały, że nie powiedzą, jednak powiedziały.

Czego się spodziewasz, głupi, wstrętny Chłopcze? Czego się spodziewasz, zły Chłopcze? Nie pomyślałeś, że może w nich są inni Chłopiczy, którzy każą im okłamywać ciebie? Obiecują, że nic nie powiedzą, a potem ci Chłopiczy każą im złamać przyrzeczenie i mówić. I tu masz nauczkę, Chłopcze, gdyż nikt cię nie dopuści w pobliże swoich dzieci, będziesz musiał żuć własne ciało w czasie głodu i pić własną krew w czasie pragnienia.

Do tego nie dojdzie, odpowiada Chłopicz. Znajdę miejsce, gdzie je zabiorę, nigdy nie uwierzę, gdy zaczną obiecywać, że nie powiedzą rodzicom. Zabiorę je tam i nikt się nigdy nie dowie, gdzie przebywają, nigdy też nie wrócą - jak zatem poskarżą się rodzicom?

Nic podobnego nie zrobisz, Chłopcze, bo ja ci nie pozwolę.

A Chłopicz nic, tylko się śmiał i śmiał, wiedząc, że on zrobi to wszystko, że przygotuje kryjówkę,

potem zbierze ich dla niego i sprowadzi, Chłopiec natomiast będzie już wiedział, co ma z nimi zrobić. Chłopiec nie przestraszy się niczego. Chłopiec robi wszystko, co zechce, gdyż wie, że nie opuszczą kryjóWKi, by powiedzieć rodzicom.

Oto dlaczego malcy ze Steuben zaczęli znikać i dlaczego żadnego nie odnaleziono, aż do wigilii Bożego Narodzenia 1983 roku.

Rozdział pierwszy

## **Galganiarz**

Oto jakim samochodem przyjechali z Vigor w Indianie do Steuben w Karolinie Północnej: srebrnoszarym renaultem deluxe 18i, modelem z roku 1981, mającym na liczniku około czterdziestu tysięcy mil, z czego dwadzieścia pięć tysięcy sami nabili. Na lakierze zaczęły pojawiać się mikroskopijne rdzawe cętki, instalacja przepaliła już z piętnaście bezpieczników, trzy razy musieli wymieniać wał napędowy, gdyż tak go skonstruowano, że w razie zużycia łożyska kulkowego trzeba wymienić cały zespół. Nie mógł wspiąć się pod górkę przy pięćdziesięciu pięciu milach na godzinę, lecz przynajmniej dwoje dorosłych zagłębiało się w wygodne skórzane przednie fotele, a z tyłu troje dzieci. Step Fletcher prowadził, odkąd późnym popołudniem opuścili dom. Pusty dom. Podczas całej drogi do Indianapolis słyszał echa. W którymś momencie musiał wyprzedzić ciężarówkę z meblami, jednak nie zauważył jej albo nie rozpoznał, albo kierowca zjechał akurat do McDonalda bądź na stację benzynową.

Pasażerowie posnęli wkrótce po przekroczeniu rzeki Ohio. Rzeka rozczarowała dzieciaki po tym, jak ojciec snuł opowieści o płaskodennych łodziach i walkach z Indianami. Tylko most wywarł na nich duże wrażenie. Potem zapadły w drzemkę. DeAnne czuwała nieco dłużej, szybko jednak ścisnęła jego rękę i wtuliła głowę w poduszkę, którą wetknęła między oparcie fotela a szybę.

Jak zwykle, pomyślał Step. Nie wykazuje śladu senności, dopóki ja jestem rześki, potem kiedy powieki zaczynają ciążyć i mogłaby mnie zmienić za kółkiem, zapada w sen.

Na resztę drogi włożył taśmę do odtwarzacza. Rozległa się słodka, upajająca melodia „The E Street Shuffle”. Przez chwilę nie słuchał. DeAnne musiała ją puszczać, załatwiając ostatnie sprawunki w Vigor. Step włączył ten utwór na ich drugiej randce. Jako rodzaj sprawdzianu. DeAnne była taka poważna w sprawach religijnych, że musiał mieć pewność, iż da sobie radę z jego trochę dzikim gustem muzycznym. Wiele mormońskich dziewcząt oczywiście pominęłoby milczeniem podteksty seksualne piosenek, lecz DeAnne była prawdopodobnie bystrzejsza od Step'a, więc nie tylko zauważyła fragmenty o dziewczynach obiecujących zrzucić niewygodne dzinsy i o prawdziwej orgii wróżek, lecz także wychwyciła kawałki o wskakiwaniu do nocnego ekspresu; zamiast się zmieszać, wybuchła śmiechem, dzięki czemu poznał, że wszystko będzie okej: była religijna, ale nie dewotka, a co za tym idzie, nie musi udawać krystalicznie prawego, żeby z nią być. To się działo dziesięć lat wcześniej, w 1973 roku. Obecnie mieli trójkę dzieci, które siedziały na tylnym siedzeniu renaulta 18i - możliwe, że najgorszego samochodu kiedykolwiek sprzedawanego w Ameryce - i zmierzali do Steuben w Karolinie Północnej, gdzie Step dostał pracę.

Dobłą pracą. Trzydzieści tysięcy rocznie, co jest nie lada gratką dla świeżo upieczonego doktora filozofii w okresie recesji gospodarczej. Szkoda tylko, że nie mógł uczyć historii, nie mógł pisać historii, jego zadanie miało polegać na opracowywaniu instrukcji obsługi dla firmy produkującej oprogramowanie komputerowe. Nawet nie na programowaniu - nawet do tego nie chciano go zatrudnić, chociaż w 1981 roku Hacker Snack był najlepiej sprzedawaną grą na Atari. Przez chwilę wyglądało na to, że zrobi karierę przy tworzeniu gier. Mieli tyle pieniędzy, że rozpatrywali możliwość jego powrotu na uczelnię, gdzie mógłby skończyć doktorat. Wtedy nastąpiła recesja i podły Commodore 64 wypierał Atari ze sklepów, i nagle jego gra przestała się sprzedawać, nikt go już nie chciał, chyba że do pisania instrukcji obsługi.

Tak więc Springsteen przygrywał w takt jego przygnębienia, a on prowadził samochód krętymi górskimi drożynami, na zachodzie już słońce się kryło, a szlak skręcał głównie na wschód, w stronę ciemności. Powinienem być szczęśliwy, wmawiał sobie. Mam stopień naukowy, dobrą pracę, nic też nie stoi na przeszkodzie, żebym w wolnym czasie stworzył następną grę, nawet gdybym to musiał zrobić na głupim Commodore. Mogło być gorzej. Mógłbym dostać pracę przy oprogramowaniu dla Apple'a.

Mimo że dodawał sobie otuchy, wciąż czuł w ustach gorycz niepowodzenia. Trzydzieści dwa lata na karku, trójka dzieci, staczam się. Przywykłem do pracy dla siebie, teraz będę musiał przestawić się na pracę dla kogoś innego. Dokładnie jak mój tata w kompanii reklamowej, która upadła. Miał szramę pooperacyjną na plecach, wyjęto mu kręgi. Ja przynajmniej nie mam widocznych ran. Jednego dnia błyszczałem, drugiego odkryłem, że moje honorarium nie wynosi już 40 000 dolarów jak ostatnio, tylko 7000, zaczęliśmy zabiegać o pracę, wpadając po uszy w długi, jestem rozbity do końca życia, jak zresztą wielu moich kolegów, i to z własnej winy. Niewolnik hazardu, jak ojciec.

Tak więc nie spała mnie wstyd, że żona musi godzić się na wszawą pracę w godzinach wieczornych, podobnie jak moja mama. Jeśli chce poszukać sobie roboty, to okej, gorzej, gdy musi.

Lecz myśląc o tym, wiedział, że tak właśnie się stanie - nie zdołają sprzedać domu w Vigor i będzie musiała rozejrzeć się za pracą, by płacić za jego utrzymanie. Głupotą było kupować dom, sądziliśmy jednak, że to dobra inwestycja. Kiedy się wprowadzaliśmy, nie było recesji, a ja dobrze zarabiałem. Głupcy, wierzyliśmy, że sielanka trwać będzie wiecznie. Nic nie trwa wiecznie.

Wyrzuty sumienia odpędzały senność, tak że przez godzinę mógł jeszcze prowadzić. Taśma przewinęła się po raz drugi, kiedy zaczął zjeżdżać stromym zboczem w kierunku Frankfort. Nieźle. Z pewnością w stolicy stanu znajdzie się jakiś motel. Zdołam tam dojechać, DeAnne nie będzie musiała się budzić, nim dotrzemy na miejsce.

- Tato - powiedział Stevie z tylnego siedzenia.

- Tak? - odpowiedział Step cicho, by nie obudzić pozostałych.

- Betsy wymiotowała - poinformował.

- Troszkę czy to coś poważnego?

- Troszkę - odparł Stevie.

Nagle przeciągły, głęboki gulgot dobiegł z tyłu.

- Teraz to coś poważnego - rzekł Stevie.

Do licha, do licha, do licha, pomyślał Step.

- Dzięki, że mi powiedziałaś, Stevie.

Dźwięk rozległ się znowu, dokładnie w chwili, gdy zjeżdżał z drogi; poczuł gorzki zapach wymiocin. Jedno z dzieci niemal zawsze wymiotowało podczas każdej z dłuższych wycieczek, zwykle jednak dochodziło do tego już w pierwszej godzinie.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - W głosie DeAnne, kiedy się ocknęła, czuło się odciśnięcie paniki. Nie cierpiała nieprzewidzianych zdarzeń, oczekując wtedy najgorszego.

Springsteen właśnie śpiewał o rybiej pani i gałganiarzu, Step po raz pierwszy od długiego czasu przypomniawszy sobie, skąd się wzięło pieszczotliwe przezwisko DeAnne - Rybia Dama.

- Hej, Rybia Damo, pociągnij tylko nosem, a sama się przekonasz.

- O, nie! Które tym razem?

- Betsy Wetsy [przyp. tłum.: Ang. Wet - mokry]. - rzucił Stevie z tyłu. Kolejny stary żart. DeAnne na ogół irytowała się, kiedy nadawał dzieciakom lekceważące przydomki. Nie cierpiała zdrobnienia Betsy, jednak z powodu żartu imię się utrwaliło i teraz Betsy sama siebie tak nazywała.

- Bardziej jak Betsy Pukesy [przyp. tłum.: Ang. Puke - zwymiotować]. - stwierdził Step. Stevie wybuchnął śmiechem.

Stevie miał przyjemny śmiech. Step wpadł w dobry humor, zapominając o tym, że będzie musiał ubrudzić się po łokcie w wymiocinach szkraba.

Zaparkował głęboko na poboczu, mógł więc otworzyć drzwi Betsy bez wystawiania tyłka na jezdnię. Mimo to nie podobał mu się świst powietrza przemykających za plecami samochodów. Co za śmierć - rozsmarowany jak naleśnik na tylnych drzwiach samochodu, rodzaj drogowej kanapki. Przez chwilę myślał, co by to znaczyło dla dzieciaków, gdyby zginął na ich oczach. Najmniejsze prawdopodobnie nie pamiętałyby go ani tego, jak zginął. Lecz Stevie by nie zapomniał. Pierwszy raz Step myślał o tym w ten sposób - Stevie był już wystarczająco duży, by wszystko zapamiętać. Zaledwie osiem lat, a życie straciłoby barwy, gdyż pamiętałby to wydarzenie.

Zapamięta, jak zareagował tatuś na wymioty Betsy i jak nie wpadł w szal, nie przeklinał. Jak tatuś pomógł uprzątnąć bałagan, zamiast stać i gapić się bezradnie, podczas gdy wszystkim zajmowała się mama. Taką przysięgę złożył przed małżeństwem, że nie będzie pracy w rodzinie, której on by się brzydził, jeśli DeAnne może bez wstępu ją wykonać. Szedł z nią łeb w łeb, pieluska w pieluszkę, kiedy dzieciaki dorastały; małe wymiotowanko nie sprawi mu kłopotu.

Tym razem nie było takie małe. Betsy, blada i wyczerpana, zmusiła się do uśmiechu.

W tym czasie DeAnne wyszła z samochodu, okrążyła go i wyciągnęła dziecinnie chusteczki z plastikowego słoika.

- Macie - powiedziała - dajcie mi ją, to zmienię jej ubranie, a wy wyczyścicie fotele.

Po sekundzie DeAnne trzymała przed sobą ociekającą Betsy, obeszła z nią samochód, na swoim miejscu już wcześniej rozłożyła pieluchę, by chronić tapicerkę.

Robbie, czterolatek, też się już obudził, wyciągał rączkę. Siedział pośrodku, tuż obok Betsy, na rękawie widniała paskudna plama.

- Czy to nie miłe ze strony twojej siostrzyczki, że się z tobą podzieliła? - spytał Step. Wytarł rękaw Robbiego.

- Gotowe, Chrabąszczu.

- Śmierdzi.

- To mnie nie dziwi - odpowiedział Step. - Bądź dumny, jak z rany zdobytej w bitwie.

- Czy to był kawał, tato? - spytał Robbie.

- Tylko żart - odparł Step. Robbie chciał się nauczyć opowiadać kawały. Step wyjaśnił mu niedawno, jak się mówi dowcipy, dzięki czemu Robbie nie powtarzał na okrągło tego samego kawału, jednak różne odmiany humoru wciąż go intrygowały i próbował je posegregować. Jeśli doświadczenie ze Steviem było dobrym przykładem, zabierze mu to lata.

- Zmienimy ci koszulkę, kiedy tylko tatuś wytrze dziecięcy fotelik Betsy - mówiła DeAnne do Robbiego z przedniego siedzenia.

Stepowi jakoś nie szło czyszczenie sprzączki w pasie bezpieczeństwa córeczki.

- Pasy bezpieczeństwa będą takie same dopiero wtedy - powiedział - kiedy Betsy zdoła ochlapać pozostałe.

- Posadźmy ją kolejno na każdym miejscu w aucie, a zanim dotrzemy do Karoliny Północnej, obrzyga każdy zakamarek - rzekł Stevie.

- Nie wymiotuje przecież tak często - wtrąciła DeAnne.

- To taki kawał, mamó - powiedział.

- Nie, to był żart - wyskoczył Robbie.



A więc zaczął pojmować.

Dziecinne chusteczki nie poradziły sobie z tym, co Betsy wyrzuciła z organizmu. Skończyły się na długo przed tym, nim jej siedzenie doprowadzono do stanu dalszej używalności.

- Gdy pójdzie fama, że po raz czwarty jesteś w ciąży, akcje Johnson and Johnson skoczą na giełdzie o dziesięć punktów.

- Jest jeszcze trochę chusteczek w tej dużej, szarej torbie w bagażniku - powiedziała DeAnne. - Upewnij się, że kupiłeś kilka akcji, nim to ogłosisz.

Step podszedł do bagażnika tego, co ludzie z Renaulta zwali „modelem deluxe”, otworzył klapę i zajrzał do wnętrza. Odsunął zamek torby, lecz nie mógł znaleźć chustek.

- Hej, Rybia Damo, gdzie zapakowałaś te chustki?

- Są gdzieś w torbie, chyba głęboko - zawołała. - Skoro już tam jesteś, to potrzebuję pieluszki dla Betsy. Zmoczyła się, a jak już ją trzymam rozebraną, mogę się tym zająć.

Wręczył Steviemu pieluchę, żeby ten podał ją dalej, po czym nagle odnalazł chusteczki. Cofał się właśnie o krok, żeby zamknąć bagażnik, kiedy zdał sobie sprawę, że z tyłu, nieco na lewo, ktoś stoi. Mężczyzna w wysokich butach. Gliniarz. W jakiś sposób radiowóz zdołał zahamować za nimi, a on nawet tego nie słyszał.

- Jakieś kłopoty? - zapytał policjant.

- Moja dwuletnia córka zwymiotowała na tylne siedzenie - wyjaśnił Step.

- Wiecie, że pobocze autostrady jest tylko dla nagłych wypadków? - spytał gliniarz.

Przez chwilę do Step'a nie docierało, co oznacza ta uwaga.

- Twierdzi pan, że dziecko wymiotujące na tylnym siedzeniu to nie nagły wypadek?

Przez moment gliniarz przewiercał go oczyma na wylot. Step znał tę minę. Mówiła: „Domyśl się”, widywał ją często, gdy otrzymywał mandaty za nadmierną szybkość, nim odebrano mu prawo jazdy w 1974 roku i DeAnne musiała wszędzie ich wozić. Step wiedział, że powinien teraz milczeć, gdyż każdym następnym słowem mógł jedynie pogorszyć sprawę.

Na ratunek pośpieszyła DeAnne. Okrążyła samochód, niosąc przesiąknięte i cuchnące ubranie Betsy.

- Oficerze, sądzę, że gdyby pan przez trzydzieści sekund miał to w samochodzie, też by pan zjechał z drogi.

Gliniarz spojrział na nią zaskoczony. Wyszczерzył zęby.

- Myślę, że trafiła pani w sedno. Tylko się pośpieszcie. W tym miejscu niebezpiecznie jest się

zatrzymywać. Ludzie czasem zjeżdżają z dużą prędkością i biorą zakręt szerokim łukiem.

- Dzięki za troskę, oficerze - rzekł Step. Policjant zmrużył oczy.

- Taka moja robota - odparł nieco obruszony, po czym odmaszerował do auta.

Step zwrócił się do DeAnne:

- O czym to ja mówiłem?

- Wyciągnij, proszę, tę czerwoną torbę - powiedziała. - Jeśli będę to dłużej wahała, zemdleję.

Dał jej reklamówkę, do której upchała wszystkie brudy.

- Wszystko, co mu powiedziałem, to „Dzięki za troskę”, a on zachowywał się, jakbym mu obwieścił, że jego matka nigdy nie wyszła za mąż.

Pochyliła się do niego i rzekła ciepło:

- Step, kiedy mówisz: „Dziękuję ci za troskę”, brzmi to, jakbyś tylko przez przypadek opuścił słowo „palancie”.

- Nie chciałem być uszczypliwy - bronił się Step. - Każdy zawsze myśli, że jestem uszczypliwy, a wcale tak nie jest.

- Nie mogę tego potwierdzić - powiedziała DeAnne. - Nie byłam przy tym, gdy nie byłeś uszczypliwy.

- Zdaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy, Rybia Damo?

- O wiele więcej niż ty, Gałganiarzu.

Pocałował ją.

- Daj mi minutę, a uporam się z posadzeniem lalki Betsy Wetsy z powrotem na miejsce.

Słyszał, jak mruczy, podchodząc do drzwi:

- Ma na imię Elisabeth.

Step wyszczerzył zęby i powrócił do wycierania siedzenia Betsy.

- Nie słyszałem, kiedy gliniarz podjeżdżał - rzekł Stevie.

- Gliniarz? - zapytał Robbie.

- Wracaj do spania, Chrabąszczu - upomniał go Step.

- Dostaliśmy mandat, tato? - zapytał Robbie.
  - Chciał się jedynie upewnić, czy wszystko w porządku.
  - Chciał, żebyśmy usunęli stąd nasze tyłki - rzekł Stevie.
  - Step! - nie wytrzymała DeAnne.
  - To Stevie to powiedział, nie ja - bronił się Step.
  - Nie mówiłby w ten sposób, gdybyś go nie nauczył.
  - Czy ciągle tu jest? - zapytał Step.
- Stevie wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad stertą rupieci.
- No - potwierdził.
  - I ja go nie słyszałem - powiedział Step. - Po prostu się odwróciłem i był.
  - A jeśli to nie był policjant? Gdybyś się odwrócił, a tam stałby bandyta? - zadał pytanie Stevie.
  - Tę chorobliwą wyobraźnię ma po tobie - stwierdziła autorytatywnie DeAnne.
  - Nikt nam nic nie zrobi na otwartym terenie przy autostradzie, gdzie każdy przejeżdżający mógłby zauważyć.
  - Jest ciemno - upierał się Stevie. - Samochody jadą tak szybko.
  - No dobra, nic się nie stało - rzekła DeAnne ostrożnie. - Nie lubię rozmawiać o takich rzeczach.
  - Gdyby to był bandyta, tata by walnął go w nos! - stwierdził Robbie.
  - Tak, dokładnie - odparł Step.
  - Tata nie dopuści, by spotkało nas coś złego - dorzucił Robbie.
  - To prawda - powiedziała DeAnne. - Tak samo jak mama.
  - Siedzenie jest już czyste - obwieścił Step - ale pas w tym życiu nie będzie już czystszy.
  - Pomogę jej.
  - Spinaczka! - krzyknęła wesoło Betsy i zanim DeAnne zdążyła ją złapać, mała precyzyjnie przycisnęła się luką pomiędzy siedzeniami. Zapięła pas bezpieczeństwa, spojrzała do góry na Stepę i uśmiechnęła się.
  - Dobra robota, moja mała laleczko. - Nachylił się, by pocałować ją w czoło; zasiadł za kierownicą i zamknął za sobą drzwi. Gliniarz wciąż nie odjeżdżał, co przyprawiało go o obłęd, tak że sprawdzał

kilka razy, czy wszystko jest w porządku. Dał sygnał. Jadąc nie przekraczał dozwolonej prędkości. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęli, to sprawa w sądzie w jakiejś dziurze w Kentucky.

- Ile zostało do Frankfortu? - spytała DeAnne.

- Może pół mili, a może mniej - odpowiedział Step.

- Rany, musiałam długo spać.

- Z godzinę.

- Jesteś bohaterem, że prowadzisz przez całą drogę - powiedziała.

- Później wręczysz mi medal - rzekł.

- Z pewnością.

Z powrotem nastawił głośniej stereo. Każdy zdawał się pogrążony we śnie, było tak spokojnie. Wtedy przemówił Stevie:

- Tato, gdyby to był bandyta, dowaliłbyś mu?

Co miał odpowiedzieć, rozkaz, mój chłopcze, walnąłbym go tak, że do końca życia nosiłby nos po drugiej stronie głowy? Czy było to konieczne, by Stevie poczuł się bezpiecznie? Dumny z ojca? Czy też powinien powiedzieć prawdę, że nigdy nie uderzył nikogo w gniewie, że nigdy na nikogo nie podniósł ręki?

Nie, mój synu, moje podejście do bójek zawsze było jednakowe: obrócić sprawę w żart i odejść, a kiedy nie chcieli mnie puścić, brać nogi za pas.

- To zależy - rzekł Step.

- Od czego?

- Od tego, czy to walnięcie pogorszyłoby, czy poprawiło sytuację.

- Aha.

- To znaczy, że jeśli jest ode mnie wyższy o stopę, waży trzysta funtów i dzierży kawał żelastwa, bicie się z nim to nie najlepszy pomysł. Sądzę, że w podobnej sytuacji byłbym skłonny oddać mu portfel, żeby sobie poszedł.

- A gdyby chciał nas wszystkich zamordować?

DeAnne odpowiedziała bez podnoszenia głowy znad poduszki.

- Wówczas wasz tata zabiłby go, a jeśli nie on, to ja bym to zrobiła - rzekła beznamiętnie.

- A co będzie, jeśli zabije was pierwszy? - zapytał Stevie. - A później przyjdzie, żeby zabić Robbiego i Betsy?

- Stevie - powiedziała DeAnne - Ojciec Niebieski nie pozwoli, żeby coś takiego wam się przydarzyło.

To było więcej, niż Step mógł znieść.

- Bóg tak nie działa - powiedział. - Nie powstrzymuje przestępców od popełniania zbrodni.

- Pyta nas, czy jest bezpieczny - zauważyła DeAnne.

- Tak, Stevie, jesteś bezpieczny, jak każdy mieszkający na ziemi. Lecz zapytałeś o to, co się stanie, kiedy ktoś okrutny zechce wyrządzić naszej rodzinie jakąś paskudną krzywdę, a prawda jest taka, że kiedy ktoś jest prawdziwie, głęboko przesiąknięty złem, wtedy czasem dobro może go nie powstrzymać przed dokonaniem mnóstwa złych czynów. Bywa, że tak też się dzieje.

- Okej - rzekł Stevie. - Lecz Bóg go dorwie za to, no nie?

- Ostatecznie na pewno - odparł Step. - Coś ci powiem, ktoś mógłby wyrządzić przykrość tobie albo innym dzieciom tylko wtedy, gdybym umarł. To ci obiecuję.

- Okej - rzekł Stevie.

- Tylko czemu pytasz o takie rzeczy?

- Bo on miał pistolet.

- Oczywiście, że miał pistolet, kochanie - powiedziała DeAnne. - To przecież policjant. Nosi broń, by chronić nas przed złymi ludźmi.

- Szkoda, że ten policjant nie może być cały czas przy nas - zmartwił się Stevie.

- No tak, byłoby fajnie, nie? - odezwał się Step. Tak fajnie, jak mieć hemoroidy. Musiałbym całą trasę jechać poniżej pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Stevie najwidoczniej wyczerpał zasób pytań.

Chwilę potem Step poczuł na udzie dłoń DeAnne. Zerknął na nią.

- Przepraszam - szepnął. - Nie miałem zamiaru przeczyć twoim słowom.

- Miałaś rację - rzekła łagodnie.

Uśmiechnął się do niej i przez chwilę trzymał jej dłoń, dopóki nie potrzebował dwóch rąk, by skręcić kierownicę.

Pomimo to przez resztę drogi do Frankfortu nie potrafił zapomnieć o pytaniach Steviego. Ani o udzielonych odpowiedziach. Powstrzymał DeAnne od przekonywania małego, że Bóg zawsze go obroni przed złymi facetami, potem zaczął mówić, że prędzej zginie, niż jakakolwiek krzywda spotka dzieciaki. Czy była to jednak prawda? Czy dysponował tym rodzajem odwagi? Pomyślał o rodzicach w obozach koncentracyjnych, oglądających śmierć własnych dzieci, nie mogących nic na to poradzić. A gdyby nawet spróbował, czego mógłby dokonać w konfrontacji z kimś, dla kogo przemoc to chleb powszedni? Step nie był wprawiony w bójkach, nie był też przekonany, by ta wprawa przychodziła sama. Pierwszy lepszy rzeźmieszek skończyłby z nim bez trudu, a miał tu dzieciaki szukające u niego ochrony. Powinienem zapisać się na karate lub coś takiego. Kung fu. Albo kupić pistolet, tak by Stevie w wieku czternastu lat zauważył, gdzie jest schowany, potem wyszedł się nim pobawić, zabijając przy okazji siebie bądź Robbiego, bądź któregokolwiek z kolegów.

Nie, postanowił Step. Nic z tych rzeczy. Nie zrobię nic podobnego, gdyż jestem cywilizowanym człowiekiem, żyjącym w cywilizowanym społeczeństwie, ale jeśli barbarzyńcy zastukają w me drzwi, będę zgubiony.

Zjechali do Frankfortu, gdzie natrafili na Holiday Inn z wywieszką „Wolne miejsca”. Step uważał to za dobry omen. Oficjalnie nie wierzył w omeny. Lecz do licha z tym, w ten sposób czuł się lepiej.

## Rozdział drugi

### Larwy

Oto dom, do którego się przeprowadzili: tani, drewniany, otoczony budynkami z czerwonej cegły. Żadnego podpiwniczenia, garażu, ba, nawet daszku na samochód. Brązowe płytki okalające podstawę domu przypominały karawaning. Błękitny dywan w salonie, który nie zgra się za bardzo z ich meblami, staroświecką, krytą zielonym pluszem sofą i nazbyt wypchanym krzesłem, które Step nabył w Deseret Industries, kiedy uczęszczał do college’u przy BYU. Znaleźli tu jednak cztery sypialnie, co oznaczało jedną dla Step’a i DeAnne, jedną dla chłopców, jedną dla Betsy i dziecka, które w lipcu przyjdzie na świat, a jedną na gabinet Step’a, ponieważ wciąż mieli nadzieję, że uda mu się w wolnym czasie popracować nad jakimś oprogramowaniem, wówczas wróciliby do standardu życia, jaki im odpowiadał, wynajęliby też lepsze mieszkanie.

Tymczasem ustawiono w salonie stos skrzyń na wysokość sześciu stóp, zawierały o wiele więcej sprzętów, niż pozwalała na to kubatura pomieszczenia. Pozostał im jeden jedyny weekend, nim Step zacznie pracować, a Stevie pójdzie do szkoły. Poniedziałek - koniec laby, początek harówki. Nikt nie wyglądał tego dnia z niecierpliwością, najbardziej zaszępiony był Stevie.

DeAnne była świadoma obaw Steviego związanych z przeprowadzką i rozpakowywaniem rzeczy.

Chłopiec opiekował się przeważnie Robbiem i Elizabeth, z wyjątkiem chwil, kiedy Step lub DeAnne kazali mu biec z jednego końca domu na drugi z jakimś posłannictwem: Jak zwykle Stevie był spokojny i chętny do pomocy - bardzo poważnie traktował odpowiedzialność spoczywającą na najstarszym dziecku.

A może tylko sprawiał wrażenie poważnego, ponieważ zachowywał uczucia dla siebie, nim je posortuje albo osiągną taki rozmiar, że trudno będzie je opanować. Tak więc DeAnne wiedziała, że coś go dręczy, kiedy wszedł do kuchni i nie mówiąc ani słowa, stał spokojnie dłuższą chwilę, póki nie spytała:

- Chcesz mi coś powiedzieć, czy też jestem za ładna na słowa? - Zawsze tak właśnie pytała, tylko że on nie uśmiechnął się, stał jeszcze przez kilka chwil, po czym się odezwał:

- Mamo, nie mógłbym zostać w domu jeszcze przez dwa dni?

- Stevie, wiem, że się boisz, musisz jednak śmiało wskoczyć do wody. Migiem zdobędziesz przyjaciół i wszystko będzie dobrze.

- Nie zdobyłem przyjaciół migiem w mojej starej szkole.

Było to aż nazbyt prawdziwe - DeAnne pamiętała konsultacje z wychowawcą w przedszkolu. Tak naprawdę Stevie nie bawił się z nikim do listopada tego roku, nie miał też prawdziwych przyjaciół aż do pierwszej klasy. Gdyby nie jego koledzy z kościoła, DeAnne obawiałaby się, że nie dorósł jeszcze do kontaktów towarzyskich w szkole. Jednak z dziećmi z parafii czasami nawet szalał, biegając po domu, w którym odbywało się spotkanie, niczym Indianin z westernu, póki Step nie interweniował i nie zabierał go do samochodu. Nie, Stevie wiedział, co znaczy zabawa, wiedział, jak zdobywać przyjaciół. Po prostu nie przychodziło mu to łatwo. Nie przypominał w tym Robbiego, który chętnie pogadałby z każdą napotkaną osobą, dziećmi albo dorosłym. Z pewnością Stevie martwił się o szkołę. DeAnne z kolei martwiła się o niego.

- Ale to była twoja pierwsza szkoła w ogóle - powiedziała. - Masz już wprawę.

- Kiedy Barry Wimmer wprowadził się po Święcie Dziękczynienia - rzekł - wszyscy mu dokuczali.

- Razem z tobą?

- Nie.

- Zatem nie wszyscy.

- Wyśmiewali się z każdego jego kroku - rzekł Stevie.

- Dzieci czasem takie są.

- Teraz będą takie dla mnie - powiedział Stevie z minorową miną.

To było okrutne. Zamierzała powiedzieć: „Tak, masz rację, będzie z nich banda małych drani, gdyż

takie są dzieci w tym wieku, z wyjątkiem ciebie, gdyż urodziłeś się, nie wiedząc, jak można kogoś skrzywdzić, urodziłeś się ze współczuciem, co oznacza, że gdy ludzie zwrócą się przeciwko tobie, odczujesz to głęboko. Nie zrozumiesz, że należy podejść do tych łobuzów i zaśmiać im się w twarz, żeby zyskać szacunek. Zamiast tego będziesz próbował wykombinować, co takiego zrobiłeś, że ustawicznie cię gnębią”.

Przez moment wahała się, czy przekazać mu swe myśli dokładnie w takich słowach. Niewiele by mu jednak pomogło, gdyby potwierdziła jego najgorsze obawy. Nie mógłby zasnąć.

- A jeśli będą dla ciebie niemili, Stevie? Co wtedy zrobisz?

Jakiś czas rozmyślał.

- Barry płakał - wydusił z siebie w końcu.

- Czy to mu pomogło?

- Nie - odparł Stevie. - Jeszcze więcej się z niego naśmiewali. Ricky chodził za nim od tego czasu, powtarzając „Buu huu huu”. Wciąż tak robił, nawet kiedy odchodziłem.

- Ach, tak - powiedziała DeAnne, częściowo, by ośmielić go do dalszych zwierzeń, częściowo zaś dlatego, że niezbyt wiedziała, jak ma zareagować.

- Chyba nie będę płakał - doszedł do wniosku Stevie.

- Cieszę się - rzekła DeAnne.

- Po prostu każę im odejść.

- To może nic nie dać, Stevie. Im bardziej będziesz się starał odegnać ich od siebie, tym gorliwiej będą się do ciebie kleić.

- Ja nie mam zamiaru odegnać „ich” od siebie. Ja chcę odegnać ich od „siebie”.

- Zechcesz mi podać ten rulon papierowych ręczników?

Podał.

- Nie jestem pewna, czy dostrzegam wyraźną różnicę pomiędzy odegnaniem „ich” od siebie a odegnaniem ich od „siebie”.

- No wiesz. Tak jak tata, kiedy programuje. Odgania wszystko od siebie.

Tak więc rozumiał ten sposób ojca i sądził, że sam go wykorzysta.

- Po prostu skoncentrujesz się na nauce?



- Na byle czym - rzekł Stevie. - Ciężko jest skoncentrować się na nauce, bo jest taka nudna.

- Może w tej szkole nie będzie nudna.

- Może.

- Żałuję, że nie mogę ci obiecać, że wszystko pójdzie jak po maśle, sądzę jednak, że nie potraktują cię tak jak Barry'ego. - DeAnne cofnęła się myślami do kilku razy, kiedy widziała tego chłopca, gdy przynosiła do szkoły upominki bądź zapomniane śniadanie. - Barry należy do takich dzieci, które... Jak to wyrazić? To chodząca ofiara.

- Czy i ja jestem ofiarą? - zapytał Stevie.

- Ależ skąd - odpowiedziała DeAnne. - Jesteś za silny.

- No nie wiem - rzekł powątpiewająco, patrząc na dłonie.

- Nie mam na myśli twojego ciała, Stevie. Chodzi o to, że twój duch jest zbyt silny. Wiesz, co robisz. Wiesz, o co ci chodzi. Nie szukasz u tych dzieci odpowiedzi na pytanie, kim jesteś. Ty to wiesz.

- No chyba.

- No dalej, kim jesteś? - To była stara gra, wciąż mu się jednak podobała, nawet kiedy jej oryginalny cel - przygotowanie go na wypadek zgubienia się - już dawno został osiągnięty.

- Stephen Bolivar Fletcher.

- A cóż to za chłopak?

- Pierworodny i pierwszy chłopiec Gałganiarza i Rybiej Damy.

Ze wszystkich możliwych odpowiedzi, tę uwielbiała najbardziej. Częściowo dlatego, że pierwszy raz, kiedy tak powiedział, uśmiechał się chytrze, jakby wiedział, że wkracza na terytorium dorosłych, że pieszczotliwe przezwiska rodziców są starsze od niego i w pewnym sensie spowodowały, że się narodził. Jakby miał podświadome przeczucie, że te imiona, wypowiedziane choćby w żartach, mają seksualny podtekst, którego nie mógł zrozumieć, niemniej jednak wiedział, że istnieje.

- I nie zapominaj o tym - powiedziała pogodnie.

- Nie zapomnę - obiecał. - Mamo? - dodał.

- Tak?

- Proszę, mogę zostać w domu jeszcze kilka dni?

Westchnęła.

- Naprawdę nie wiem, Stevie. Pogadam jednak z tatą.

- On powie to samo.

- Możliwe. My, rodzice, już tacy jesteśmy.

Najgorsza chwila przyszła przy śniadaniu w poniedziałek. Dzieciaki pałaszowały gorącą owsiankę, podczas gdy tata pochłaniał płatki ryżowe, czytając równocześnie gazetę.

- Ta gazeta jest niemal tak marna jak tamta w Vigor - stwierdził.

- Nie licz na „Washington Post”, chyba że zamieszkas w Waszyngtonie - powiedziała DeAnne.

- Nie chcę „Washington Post”. Wystarczy mi „Salt Lake Tribune”. Salt Lake to przecież miasto z dwoma gazetami, a tu Steuben nie potrafi zadbać o gazetę z wiadomościami ze świata na pierwszej stronie.

- Czy jest tu Cathy? Czy jest panna Manners? Czy jest tu Ann Landers?

- Okej, jest tu wszystko, czego nam potrzeba do szczęścia.

Na zewnątrz rozległ się klakson.

- Są wcześniej - zdziwił się Step. - Myślisz, że zdążę umyć zęby?

- A ty myślisz, że wytrzymasz dzień, jeśli nie umyjesz?

Zerwał się od stołu.

- Kto jest wcześniej? - zapytał Stevie.

- Kierowca twojego taty. Przez jakiś tydzień jeden kolega taty z pracy będzie go zabierał rano i przywoził wieczorem, byśmy mieli samochód do załatwiania pilnych sprawunków.

Stevie wyglądał na przerażonego.

- Mamo - zapytał - a co ze szkołą?

- W tym sęk. Od następnego dnia będziesz jeździł autobusem, skoro jednak dzisiaj mam wolny samochód, podrzucę cię do szkoły.

- Czy tata nie podrzuci mnie pierwszego dnia?

Zbyt późno przypomniała sobie, że gdy Stevie zaczynał przedszkole, wciąż odpoczywała po narodzinach Betsy i to właśnie Step zabrał syna pierwszego dnia do szkoły.

- Czy to jakaś różnica, które z nas weźmie cię do szkoły?

Oznaki strachu w jego oczach były dobitniejszą odpowiedzią niż wyszeptane „nie”.

Step wszedł z powrotem do kuchni, taszcząc neseser - swój areszcik, jak go nazywał.

- Step - powiedziała DeAnne. - Sądzę, że Stevie oczekuje, że weźmiesz go dzisiaj do szkoły.

- A niech to. Na śmierć zapomniałem. - Na twarzy odbił mu się skrywany gniew, który DeAnne знаła nazbyt dobrze. - Czy to nie wspaniałe, że dostałem tę pracę i nie mogę nawet zabrać dziecka do szkoły w pierwszy dzień?

- To też twój pierwszy dzień.

Przyklęknął przed krzesłem Stewiego. Stevie patrzył smutno w talerz.

- Stevie, powinienem był zaplanować to lepiej. Tak się jednak nie stało i mam teraz na karku tego faceta, czekającego na zewnątrz, i...

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Urwanie głowy - powiedział Step.

- Musisz już iść - ponagliła DeAnne. - Ze Steviem będzie wszystko w porządku, zobaczysz. Prawda, Stevie?

- Prawda - cicho odrzekł Stevie.

Step pocałował synka w policzek, wtedy Betsy krzyknęła: „I mnie, i mnie”, pocałował zatem pozostałe dzieciaki, chwycił neseser i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

DeAnne starała się pocieszyć Stewiego.

- Przykro mi, lecz w ten sposób tatuś zarabia pieniądze na nasze utrzymanie, naprawdę nie może...

- Wiem, mamó - odparł Stevie.

- Pojedziemy do szkoły, gdzie spotkasz się z panią dyrektor i...

Nagle w kuchni zjawił się Step.

- Wy tłumaczyłem mu, że mamy kryzys i że jutro znajdzie mnie czekającego przy krawężniku, dzisiaj się jednak spóźnię. Muszę odwieźć syna w pierwszy dzień drugiej klasy.

DeAnne była na poły zachwycona, na poły przerażona. Zdawała sobie doskonale sprawę, że Step na swój sposób boi się wracać do dziewięciogodzinnego dnia pracy, tak jak Stevie obawia się pierwszego dnia w nowej szkole.

- To nimi naprawdę wstrząśnie, Gałganiarzu - zauważyła, uśmiechając się ponuro. - Zlekceważenie oferty podwiezienia i późne przybycie do pracy, zaraz pierwszego dnia.

- Niech przywykną do tej kolejności: na pierwszym miejscu jestem ojcem, a dopiero na ósmym twórcą instrukcji komputerowych.

- A co jest między pierwszym i ósmym? - zapytał Stevie, wyraźnie uradowany.

- Cała reszta - odpowiedział Step.

- Może lepiej zadzwoń - zaproponowała DeAnne.

Step podszedł do telefonu i od razu poznała, że nie wszystko układa się tak gładko, jak to zakładał.

- Niedobrze - obwieścił na koniec. - Mają zebranie personelu o ósmej trzydzieści, na którym zaplanowali wprowadzić mnie we wszystkie szczegóły, każdy rozplanował dzisiejsze zajęcia z uwzględnieniem mojego przybycia o czasie.

- Lecz teraz nici z podwiezienia - DeAnne słusznie zauważyła, starając się, by nie zabrzmiało to złośliwie.

Step po raz drugi uklęknął przy krześle Stewiego.

- Nic na to nie poradzę, Kluczniku.

- Wiem - odparł Stevie.

- Próbowałem - tłumaczył Step. - Lecz naszej rodzinie potrzebna jest ta praca, tym bardziej że przejechaliśmy taki szmat drogi do Karoliny Północnej.

Stevie skinął głową, próbując wyglądać na dzielnego chłopaka.

- Wykonuję dla rodziny swoją robotę, ty wykonuj swoją.

- Jaka jest moja? - zapytał Stevie. W oczach błysnęły iskierki nadziei.

- Zebranie się do kupy i pójście do szkoły - wyjaśnił Step.

Najwidoczniej Stevie miał nadzieję na jakiś inny przydział.

Przełknął tylko ślinę i kiwnął powtórnie głową. Nagle o czymś pomyślał.

- Jak się tam dostaniesz, kiedy nie masz samochodu?

- Pofrunie - podrzucił pomysł Robbie.

- Nie - powiedziała DeAnne. - To wasza mama jest czarownicą, która lata na miotle.

- Sądzę, że władujemy się wszyscy razem do auta, a wy podrzucicie mnie do pracy w drodze do szkoły.

- A nie mógłbyś podrzucić mnie do szkoły w drodze do pracy? - poprosił Stevie.

- Przykro mi, Kluczniku - odparł Step. - Musiałbym się wracać. Geografia jest temu przeciwna. Tak samo jak zegar. Cała przestrzeń i czas są temu przeciwne. Einstein jest temu przeciwny.

Kiedy dojechali do Eight Bits Inc., Step odchylił się do tyłu i ucałował Stewiego na pożegnanie, a choć chłopiec był w wieku, w którym pocałunki rodziców nie są specjalnie mile widziane, tym razem nie wybrzydzał. W czasie gdy Step obdarzał Robbiego i Elizabeth tradycyjnym hałaśliwym cmoknięciem, DeAnne zerknęła na jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, w którym Step miał teraz spędzać mnóstwo czasu.

Była to jedna z tych obrzydliwych, płaskodachych konstrukcji, które wznoszone są przez firmy niezbyt zasobne w fundusze, a potrzebujące dachu i ścian. Prawdę mówiąc, był to dobry znak, sugerujący, że właściciel nie należy do szefów opanowanych przez iluzję własnej wielkości, wydających pieniądze przedsiębiorstwa za pierwszy hit programowy na niepotrzebne błyskotki, znaczące niewiele w czasie bessy na rynku. Gdybyśmy tylko byli tacy rozważni, pomyślała DeAnne, kiedy zaczęły napływać pieniądze za Hacker Snacka. A tak roztrwonili je praktycznie na nic. Doktor filozofii to było coś. Również pomaganie rodzinie. Także prototyp odtwarzacza VCR, do którego w Steuben w Karolinie Północnej nie mogli wypożyczyć pasujących kaset.

- Pa, Rybia Damo - pożegnał się Step.

- Powodzenia, Gałganiarzu - odpowiedziała DeAnne.

Obserwowała, jak odchodzi w stronę budynku. Kroczył śmiało, niemal beztrąsko. Zawsze lubiła patrzeć na niego. Emanował naturalną pewnością siebie, niczym akwizytor wyćwiczony w wyczynowym chodzie. Tym razem jednak wiedziała, że jego rezon jest kłamstwem. Już samo wejście do tego budynku oznaczało upadek Stepa, na przekór faktowi, że szefowie Eight Bits Inc. byli uradowani, iż sam Step Fletcher ubiega się o pracę u nich. Sam ten fakt, że byli pod wrażeniem, przekonywał Fletchera, jak nisko się stoczył: pracował teraz w tego rodzaju firmie, w której nikt by nie pomyślał, że zdobędzie pracownika o kwalifikacjach zbliżonych do jego.

- Czy się spóźnię, mamó? - zapytał Stevie.

Step zniknął już w czeluści budynku, nie było powodu, by dłużej zwlekać. DeAnne wrzuciła bieg i zjechała z pobocza na Palladium Road.

- I tak byś się spóźnił, choćby nie wiem co - powiedziała. - Musimy odwiedzić gabinet dyrektorki i wpisać cię na listę.

- A więc wejść do klasy na oczach wszystkich.

- Może się zdarzyć, że drzwi będą z tyłu klasy - powiedziała DeAnne. - Wtedy będziesz za wszystkimi.
- Ja nie żartuję, mamo.
- Masz pietra, to zrozumiałe - pocieszyła go. - Lecz dyrektorka jest naprawdę miła i z pewnością wybrała ci cudownego nauczyciela.
- A nie mógłbym zobaczyć dziś tylko pani dyrektor, a jutro przyjść do szkoły na normalną godzinę?
- Stevie, inne dzieci i tak zauważą, że jesteś nowy. A jeśli pokażesz się dopiero jutro, skąd będziesz wiedział, gdzie siedzieć? Staniesz i poczujesz się idiotycznie. Jak przyjdiesz dzisiaj, od razu przydzielą ci miejsce, a wszyscy wytłumaczą ci rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.
- Mimo to...
- Stevie, prawo wymaga, żebyś znalazł się w szkole.
- Rany - wtrącił Robbie. - Pójdiesz do więzienia, jeśli pozwolisz Steviemu zostać w domu?
- Niezupełnie. Lecz w naszej rodzinie przestrzegamy prawa.
- Tata nie przestrzega - upierał się Robbie. - Zawsze prowadzi za szybko.
- Wasz ojciec uważa, że wszystkie znaki oznaczają „plus minus dziesięć mil na godzinę”.
- Zamkną tatę w więzieniu? - Robbie był ciekawy.
- Nie, ale mogą mu zabrać prawo jazdy.
- Już to prawie kiedyś zrobili, no nie? - odezwał się Stevie.
- Ojciec miał raz rok zawieszenia - powiedziała DeAnne - lecz to się zdarzyło, nim najstarsze z was się urodziło. W rzeczywistości jest doskonałym kierowcą, zawsze prowadzi bezpiecznie. - Nie po raz pierwszy DeAnne zastanawiała się, czy Step nie zmieniłby swych przyzwyczajień dotyczących prowadzenia samochodu, gdyby usłyszał, że dzieci dostrzegają jego brawurę. Ciężko jest uczyć dzieci, co dobre, a co złe, jeśli ojciec nie przestrzega przepisów i często przekracza dozwoloną prędkość... Wyobrażała sobie, jak będzie tłumaczyć dzieciom zawikłane sprawy, kiedy podrosną i zaczną umawiać się na randki. Zrozum, masz żyć cnotliwie, a to znaczy, że możesz robić, co tylko zechcesz, jeśli tylko dziewczyna nie zajdzie w ciążę. Lecz Step nie potrafił - lub nie chciał - zrozumieć podobieństwa między przepisami prawa drogowego a przykazaniami. „Prawa ludzkie i prawa boże to dwie osobne sprawy - zawsze mawiał Step. - A nasze dzieciaki są wystarczająco bystre, by same dostrzegły różnicę”.

No to pięknie. Zatem małżeństwo oznacza pogodzenie się z faktem, że słabości współmałżonka przejdą na dzieci. Wiedziała, jak bardzo denerwuje Stepą, że dzieci tak jak i ona rzucają buty gdzie popadnie. Step wchodził do pokoju i albo następował na czyjeś obuwie i potykał się o nie, albo - gdy

je zauważył na czas - kopał do przedpokoju lub wkładał pod poduszkę przestępcy. „Różnica między człowiekiem cywilizowanym a barbarzyńcą - zwykły mawiać - polega na tym, że cywilizowani ludzie noszą buty”. Step musiał mieszkać z bosonogimi barbarzyńcami, a DeAnne odpowiadać na pytania, dlaczego tata wciąż łamie prawo. Nie za dobra wymiana - nie dostrzegała żadnych moralnych implikacji wynikających z chodzenia boso. Jednak żyła z tym, marudząc co chwila, zresztą tak jak on.

Aby dostać się do szkoły podstawowej Western Allemania, trzeba minąć szkołę ogólnokształcącą, także zwaną Western Allemania. Na obszernym parkingu zebrały się żółte autobusy, czekające na zakończenie dnia nauki. W posyłaniu dziecka do szkoły najbardziej nie cierpiała tego, że tym samym autobusem podróżowali do szkoły uczniowie podstawówki i średniacy, prócz tego kierowcami byli uczniowie szkoły średniej. Pomyśleć tylko o siedemnastolatku, ponosząc odpowiedzialność zarówno za utrzymanie dzieciaków w autobusie przy życiu, jak i za dyscyplinę, no cóż - co mogła na to poradzić? Dyrektorka spojrzała na nią zdziwiona i powiedziała: „Pani Fletcher, taki już mamy zwyczaj w Karolinie Północnej”.

Zjechała ze wzgórza na podjazd przed szkołą. Przed zajęciami i po nich szkolny podjazd był zarezerwowany dla autobusów: rodzice odbierający swe pociechy musieli podjeżdżać zupełnie inną drogą na niewielki parking na wzgórzu, oddalony od szkoły mniej więcej o dwieście jardów, i tam poczekać na dzieci. Wskazała pagórek Steviemu, kiedy wyciągała Elizabeth z siedzenia.

- Kiedy będę cię odbierać, idź zawsze tamtymi schodami na wzgórze. Tam będę czekała.

- Okej - rzekł Stevie.

- A gdyby coś się stało, na przykład nawalił samochód i gdyby mnie tam nie było, zejdiesz z powrotem do szkoły i przy gabinecie dyrektora poczekasz, aż przyjdę.

- Dlaczego nie mogę po prostu poczekać na górze?

- Ponieważ świat nie jest bezpieczny - wyjaśniła DeAnne. - Co by się stało, gdyby ktoś podszedł do ciebie i powiedział: „Twoja mama prosiła mnie, bym cię podwiózł do domu”?

- Nie pojechałbym z nim.

- To tylko jeden z przykładów, Stevie.

- Natychmiast ucieknę od tej osoby w stronę najbliższego przedstawiciela władzy.

- W szkole jest nim dr Mariner. A poza szkołą?

- Jeśli ta osoba będzie mnie ściagała, nie będę się chował, pobiegnę na otwarty teren, gdzie jest najwięcej ludzi, a gdy się zbliży, krzyknę na cały głos: „On nie jest moim tatusiem!” albo „Ona nie jest moją mamusią! Na pomoc!”

- Świetnie.

- I ja tak umiem - wrzasnął Robbie.

- Umiem, umiem - krzyczała Betsy.

- Przykro mi, że muszę uczyć was takich rzeczy - powiedziała DeAnne - lecz na świecie są źli ludzie. Nie jest ich wielu, lecz należy uważać. A co by było, gdybym naprawdę wysłała kogoś po was, ponieważ zdarzyłby się wypadek i musiałabym wziąć któreś do szpitala lub coś podobnego?

- Hasło - odpowiedział Stevie.

- Jak ono brzmi?

- Larwy.

- Małe, wilgotne dzidziusie muszek - krzyknął Robbie. Oczywiście Step wymyślił to hasło.

- Cisza, Chrabąszczu, to poważne sprawy - napomniała DeAnne. - A czy pytasz ich o to hasło?

- Nie. Nie mówię nawet, że jest jakieś hasło. Z nikim nigdzie nie idę, dopóki nie powie „Twoi rodzice kazali mi przekazać: Larwy”.

- Prawidłowo - pochwaliła DeAnne.

- Jeśli tego nie mówią, to są kłamcami i odmawiam pójścia, i krzyczę, krzyczę, jeśli się naprzykrzają.

- Prawidłowo - powtórzyła DeAnne.

- Mamo? - zapytał Stevie.

- No?

- Co będzie, kiedy nikt nie usłyszy mojego krzyku?

- Nigdy nie powinieneś przebywać w miejscu, gdzie nikt nie usłyszy twego wołania o pomoc, Stevie. Ale proszę, nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Jeśli zrobisz wszystko, co do ciebie należy, ja też zrobię wszystko, co należy do mnie, tak więc nie będzie żadnych kłopotów. W porządku?

- Mamo, boję się tam wejść.

Wspaniale, pomyślała DeAnne. Właśnie przebrnęłam przez katechizm prawideł o porywaczach, a dzień zapowiada się przepełniony terrorem.

- Daj spokój, Stevie. Dr Mariner jest cudowną, uprzejmą panią, polubisz ją z pewnością.

Dr Mariner miała zdolność uspokajania dzieciaków, już w ciągu kilku chwil Stevie uśmiechał się do niej, później śmiał się na całego, gdy opowiedziała kawał. Strach jednak powrócił. Po krótkim pobycie w dyrektorskim gabinecie dr Mariner chwyciła dłoń Stewiego i powiedziała:

- A teraz chodźmy do klasy.



Stevie wyszarpnął rękę i stanął przy DeAnne.

- Czy mama może mnie odprowadzić do klasy?

- Oczywiście, że może, jeżeli tylko zechce - powiedziała dr Mariner. - Twoja nauczycielka nazywa się pani Jones. To łatwe nazwisko, nieprawdaż?

- Pani Jones - powtórzył Stevie. Powtarzał nazwisko jeszcze kilka razy, półgłosem. - Pani Jones, pani Jones.

Dr Mariner poprowadziła korowód korytarzami, niczym doskonała przewodniczka wycieczki. Wskazywała, gdzie mieści się przedszkole i najniższe klasy, następnie przyprowadziła Stewiego do przedsionka, w którym obok klasy pani Jones znajdowała się jeszcze jedna. Dla Stewiego nadeszła pora wejścia do klasy. Przyłgął mocniej do ręki DeAnne.

- Naprawdę chcesz, żeby twoja mama, brat i siostra weszli z tobą do klasy w pierwszy dzień? - zapytała DeAnne.

Stevie potrząsnął gwałtownie głową.

DeAnne przesunęła Elizabeth na biodrze, po czym kucnęła przy starszym synu.

- Czasami trzeba wypić kielich - oświadczyła.

Skinął głową. Kiedy miał trzy lata i cierpiał na zatrucie pokarmowe, nie chciał pić zalecanego syropu, który musiał brać, żeby spadła gorączka. Step uklęknął przy jego łóżku, by opowiedzieć mu historię Chrystusa modlącego się w gaju oliwnym. Czasami po prostu trzeba wypić kielich, powiedział wtedy Step, a Stevie wypił syrop bez dalszego biadolenia.

Tym razem też podziałało. Zmarszczył brwi i skinął głową na znak, że rozumie. Potem odwrócił się i przeszedł przez drzwi, które dr Mariner trzymała uchylone. Jego krok tak bardzo przypominał krok Stepa, kiedy tego ranka udawał, że się nie boi. Obydwaj martwili DeAnne. W klasie natychmiast rozległy się okrzyki: „Nowy! Nowy!” Kątem oka dojrzała nauczycielkę, panią Jones, która bez entuzjazmu odwracała się w kierunku Stewiego. Wówczas dr Mariner zatrzasnęła drzwi.

## **Rozdział trzeci**

### **Gallowglass**

Oto firma, w której Step pracował: Ray Keene był specem od systemów komputerowych przy UNC-Steuben, kiedy Commodore 64 zaczął pojawiać się na rynku. Ray połapał się od razu, że to sześćdziesiątkaczwórka sprawi, iż komputer znajdzie się w każdym domu w Ameryce, jeśli ktoś ruszy głową i wypuści tani software, by ludzie mogli coś zrobić z tym urządzeniem. Commodore'a nie wspierało właściwe zaplecze - w opinii Raya oprogramowanie, jakie oferowano, było kiepskie i o wiele za drogie. Dlatego wypłynął ze Scribe'em 64, sprzedając ów wyrób za dwadzieścia dziewięć dolców bądź dziewiętnaście wraz z kosztem przesyłki, jeśli zamawiało się program bezpośrednio w Eight Bits Inc.

Początkowo firmie nie wiodło się najlepiej. Już na samym starcie brak doświadczenia Raya w interesach omal nie zabił przedsiębiorstwa - tyle płacił za pakowanie, że z każdą sprzedaną sztuką tracił 22 centy. Na skutek tego, po wyczerpaniu się pierwszej tury tysiąca pudełek, przeszedł na mniejsze opakowania, bez nadruku na zewnątrz, jedynie z nalepką głoszącą: „Jedyny edytor tekstu, jakiego kiedykolwiek będziesz potrzebował - \$29”. W efekcie na każdej sprzedanej sztuce zarabiał cztery dolary. Dodatkowo zaczął sprzedawać ich więcej, rósł też zysk na każdym pudełku, aż pewnego dnia żona powiedziała: „Ray, straciłam dom, wszystko zostało przejęte przez Eight Bits Inc. Albo ja wyprowadzę się, a ze mną dzieci, albo wyprowadzi się firma”.

To właśnie wtedy Ray Keene kupił obrzydliwy budynek przy Palladium. Początkowo, w latach siedemdziesiątych, mieściła się tu klimatyzowana montownia kalkulatorów, jednak już od kilku lat świeciła pustkami. Właściciel odsprzedał Rayowi architektoniczne straszdyłło za cenę wskazującą, że jest zadowolony z pozbycia się dokuczliwego balastu. Ray założył nową instalację elektryczną, połowę przestrzeni zajmowanej przez halę produkcyjną podzielił na biura. Budynek nie miał okien, a miejsce było brzydkie, jednak wszyscy pracownicy firmy, których liczba wówczas nie przekraczała dziesięciu osób, szczęśliwi byli, iż mają tyle wolnego miejsca, i pokochali swój zakład, jak mama kocha brzydkie dziecko.

Kiedy Step przybył na przesłuchanie sześć tygodni wcześniej, w każdej twarzy dostrzegał wigor i podniecenie. Lecz tego pierwszego dnia pracy doszło coś nowego. Ray Keene przemeblował biuro od ostatniego razu, kiedy gościł w nim Step, w sposób sugerujący, że Ray zaznajomił się z książką o potędze, która w zeszłym roku dominowała na listach bestsellerów. Ray zasiadał za masywnym biurkiem w wygodnym fotelu bujanym, podczas gdy pozostałe krzesła w gabinecie, na których musieli siadać goście, były twarde, za niskie, niewygodne. Można było odnieść wrażenie, że siedzi się na skraju, ponieważ siedziało się na nim faktycznie.

- Nie będzie pan składał żadnych raportów przede mną - poinformował go Ray. - Mianowałem Dicky'ego Northangera wiceprezesem do spraw efektywnego wykończenia produktów, przed nim pan będzie odpowiadał, dla mnie jedynie sporządzał sporadyczne sprawozdania. Wkrótce zatrudnimy panu asystenta, na razie jednak wszystkie instrukcje całego naszego oprogramowania będą przechodzić przez pana ręce, Dicky będzie musiał je zaaprobować.

Dicky Northanger zajmował się wszystkimi podręcznikami oprogramowania. Jego pierwszego zatrudnił Ray Keene. Byli teraz dobrymi kumplami, każdego niedzielnego popołudnia chodzili wspólnie po „New York Timesa” do księgarni. Był towarzyski, przysadzisty, w średnim wieku, prawdopodobnie najstarszy pracownik firmy, Step nie miał nic przeciwko składaniu przed nim raportów. Oczywiście Ray nie mógł wysłuchiwać raportów wszystkich pracowników, lecz firma obecnie zatrudniała tylko dwadzieścia pięć osób i wyglądało dziwnie w przedsiębiorstwie tych rozmiarów, że Step miał się nie kontaktować z szefem inaczej niż za pośrednictwem pisemnych sprawozdań.

Po półgodzinnym spotkaniu z Rayem na osobności, chwili fizycznej niewygody, przeszli bezpośrednio na zebranie personelu, gdzie objaśniono zasady nowego planu naprawczego, a na końcu, przy okazji, Step i jeden facet z działu artystycznego zostali przedstawieni jako nowi pracownicy. Przedstawiał ich Dicky; Step był nieco zmieszany, gdy ten rozvodził się w wielkich słowach nad geniuszem Stepa objawionym przy programowaniu Hacker Snacka - a później, co zażenowało Stepa w większym stopniu, wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że Step tylko przed nim ma składać raporty i chociaż musi mieć dostęp do wszystkich programistów na każdym poziomie prac nad oprogramowaniem, nie jest niczym zwierzchnikiem i nikomu nie wolno pytać go o poradę dotyczącą programu. Step miał jedynie pisać podręczniki instrukcji.

Następnie przeszedł na spotkanie z Bobem, wiceprezesem do spraw finansów - był księgowym, dopóki w Eight Bits Inc. nie nastąpił gwałtowny napływ pracowników, najwidoczniej w ostatnich sześciu tygodniach. Twarz miał pociągłą, ogorzałą od wiatru, na nogach kowbojskie buty. Kiedy mówił, bardziej się zwracało uwagę na jego nosowy teksański akcent niż południowe przeciąganie wyrazów. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było podsuniecie Stepowi pod nos dwustronicowej umowy do podpisania.

- Cóż to takiego? - zapytał Step, jako że podpisywał już umowę o pracę.

- Zgoda na dochowanie tajemnicy służbowej - poinformował go księgowy kowboj. - Standardowa procedura.

Step przejrzał wnikliwie dokument, mimo że Bob szeleścił papierami, by wykazać zniecierpliwienie tym, że zabiera mu się zbyt dużo czasu. Oczywiście okazało się, że dokument zawiera wiele dziwnych ustępów.

- Ten kontrakt wykupuje moje prawa do wszystkiego, czego dokonam w programowaniu do końca życia - powiedział.

- Hm, nie tak do końca - rzekł kowboj Bob.

- Właśnie wracam z zebrania, na którym omówiono moje całkowite wyłączenie ze wszystkich prac nad oprogramowaniem tutaj w Eight Bits.

- Eight Bits Inc.

- Dlaczego więc miałbym podpisywać kontrakt, przelewający na Eight Bits Inc. wszelkie prawa do

oprogramowania, jakie stworzę, pracując tutaj? Przecież nie mam tu w ogóle programować, no nie?

- Ach, znowu ten Dicky - westchnął Bob. - Spala go zazdrość, bo chociaż przybyłeś do nas, by pisać instrukcje, każdy wie, że jesteś najlepszym programistą, jaki kiedykolwiek przekroczył nasze progi, upewnia się zatem, że wszyscy wiedzą, kto jest czym szefem. Po prawdzie Ray i ja spodziewamy się, że będziesz w pewien sposób kontrolował jakość całego software'u, gdyż Dicky nie jest aż tak dobrym programistą, dokonuje takich poprawek, po których programy ukazują się na rynku z błędami. Czasami. To tak między nami, oczywiście.

- Dicky zakazał stanowczo, by ktokolwiek prosił mnie o radę dotyczącą programowania - powiedział Step.

- No tak, cóż, po prostu nie przypominaj mi o tym, to wszystko, czego ja i Ray po tobie oczekujemy.

- Innymi słowy dajesz mi do zrozumienia, że poza pisaniem instrukcji mam być kontrolerem jakości, tyle tylko że nie mogę przyznać się przed bezpośrednim przełożonym, że to właśnie robię? Wszystkie moje działania mają odbywać się za jego plecami?

- Dlatego płacimy ci trzydzieści tysięcy rocznie, przyjacielu.

- A tymczasem mam przekazać zgodnie z umową każdy pomysł Eight Bits... Inc.? Dlaczego po prostu nie wszystko, czego dokonałem w związku z oprogramowaniem w firmie?

- Ten kontrakt stanowi warunek zatrudnienia, Step - rzekł Bob. Wciąż wydawał się towarzyski i łagodny, lecz gdyby znajdowali się w westernowym saloonie, ton jego głosu przepędziłby na ulicę połowę klientów, obawiających się przetrącenia nosa połamanym krzesłem.

- Na mocy tej ugody, jeśli kiedykolwiek zechciałbym opuścić przedsiębiorstwo, nie mógłbym nigdy konkurować z Eight Bits Inc.

- Nasz prawnik powiedział, że to naprawdę niezły pomysł.

- Jak sobie chcecie. Jestem tu po to, żeby pisać podręczniki, nie by pracować nad software'em. Pomogę przy kontroli jakości, jeśli Ray tego ode mnie wymaga, chcę jednak pływać po otwartym morzu, a nie kryć się jak jakiś szpicel. Nie podpiszę też tego kontraktu, jeśli nie zostanie sporządzony od nowa z uwzględnieniem zmian w klauzuli dotyczącej niekonkurencyjności. Chcę, by ograniczała się do jednego roku. Chcę też, by uwzględniono wszelkie moje prawa do software'u napisanego uprzednio, przed przybyciem do waszej firmy, jak też do programów napisanych po ewentualnym opuszczeniu Eight Bits Inc.

- Nie ma mowy - zaproponował Bob.

Step powstał. Kolana mu drżały i czuł się nieco słabo, wiedział jednak, że w żadnym razie nie może podpisać takiego kontraktu.

- Dopiero co przeprowadziłem się z rodziną do Steuben na mocy umowy, która nic o czymś takim nie wspominała. Co się tyczy mnie, ten dokument oznacza, że wyłamaliście się z postanowień

pełnoprawnej umowy. Zatem jeśli wasz prawnik nie poprawi tego dokumentu, porozmawia sobie z moim prawnikiem na temat zwrotu kosztów przeprowadzki, kosztów powrotu, a także, jeśli sąd wyrazi zgodę, a myślę, że wyrazi, wyciągnę od was roczną odprawę. Macie mój numer telefonu.

Step nie mógł uwierzyć, że oznacza to pożegnanie z pracą, a była dopiero jedenasta rano, w pewien szczególnie sposób ulżyło mu jednak. Scena w biurze Raya i wystąpienie Dicky'ego na zebraniu personelu obudziły w Stepie taką obawę dotyczącą przyszłości w tym miejscu, że posiadanie wymówki do zerwania z firmą sprawiło mu przyjemność. Jednak jego śmiała przemowa o tym, co mógł dlań wyciągnąć prawnik, była tylko cczą gadaniną. Nawet gdyby wszystko układało się zgodnie z planem, sprawa sądowa mogła się przeciągać aż do chwili, w której od dawna mieliby problemy finansowe. Nie chodziło jedynie o oddanie w zastaw hipoteczny domu w Vigor i koszty przeprowadzki. Chodziło o fakt, że mieli zamiar z honorarium pokryć tej jesieni wszystkie zaległe zeszłoroczne podatki, obecnie byli poważnie zadłużeni w IRS i nawet plajta nie wydobyłaby ich z tego. Porzucenie tej pracy byłoby tak druzgoczącym ciosem, że musieliby prawdopodobnie zmykać z powrotem do Orem w Utah, by mieszkać w suterenie u rodziców DeAnne, gdy tymczasem IRS licytowałby cały ich majątek.

Mimo to fajnie było zdążać w kierunku drzwi gabinetu Boba.

- Zaczekaj no, Step - zabrzmiał głos księgowego.

Step odwrócił się na pięcie. Wiceprezes do spraw finansów sięgał do szufladki biurka, skąd wydobył kolejny dokument.

- Skoro nie podoba ci się tamten papier, popróbuj się z tym, zanim nas opuścisz i będziemy musieli zaskarżyć cię o niewywiązanie się z umowy.

Step wrócił i wyciągnął dokument z dłoni Boba. Przeczytał go bez siadania na krześle. Ku swemu niedowierzaniu miał przed sobą wersję, która mogła być napisana wyłącznie dla niego - uwzględniała poprzednie prace Stepa, uwzględniała programowanie na komputerach, dla których Eight Bits Inc. nie wydawało software'u, natomiast klauzula o niekonkurencyjności precyzowała dokładnie jeden rok.

- Mieliście to już napisane - rzekł Step.

- No - odpowiedział kowboj Bob.

- Dlaczegoż to odgrywałeś komedię z tamtym dokumentem?

- Ponieważ mogłeś go podpisać. - Bob wyszczerzył zęby. - Taki jest biznes, Step.

Step stał nieruchomo, patrząc mu w oczy, tocząc wewnętrzny spór na temat, czy chciałby mieszkać na wspólnej planecie z tym człowiekiem, a co dopiero pracować wspólnie.

- Wyszliśmy naprzeciw każdej twojej obiekcji, Step. - Bob szturchnął go.

- Zastanawiam się po prostu, czy w tej szufladce nie znajduje się jakiś inny dokument.

- Znajduje. Jest na nim numer telefonu naszego prawnika. Czyż nie wyrażam się delikatnie, Step? Podpis albo pozew.

- A niech to, Bob, czy tak rozmawiasz ze wszystkimi chłopakami?

- Spójrz na to inaczej, Step. Nie będziesz pracować ze mną. Jedyna rzecz, jaką o mnie będziesz wiedział, to to, że podpisuję dla ciebie czeki z wynagrodzeniem. A kiedy dostaniesz już kilka, na pewno mnie polubisz. Jesteś teraz wkurzony, ale to minie, za sześć miesięcy pójdziemy może na piwo, by się pośmiać z tego, jaki zdenerwowany byłeś pierwszego dnia.

- Nie piję - powiedział Step.

- No tak, zapomniałem, jesteś mormonem - rzucił Bob. - No to ten pomysł odpada. Jednakże kiedy patrzę na ciebie, powiedziałbym, że nigdy nie wybaczysz mi bez pomocy kilku szklanek piwa.

Powiedział to z takim błyskiem w oku, że Step nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak więc Bob wiedział, że jest z niego kawał sukinsyna i nie przejmował się tym zbytnio. Cóż, Bob, wiem, że jesteś sukinsynem, ja też o to zbytnio nie dbam.

Step położył papier na blacie, podpisał go uprzednio, i wyszedł.

Dochodziło południe i chociaż miał przypuszczać teraz odnaleźć Dicky'ego i dowiedzieć się, gdzie znajduje się jego gabinet, potrzebował postać przez chwilę na zewnątrz budynku i zdecydować, czy powinien wrzeszczeć, płakać, czy się śmiać.

W drodze na zebranie personelu zauważył korytarzyk prowadzący do drzwi północnego skrzydła budynku - Dicky wspomniał mimochodem, że każdy pracownik używał tamtych drzwi, gdyż wiodą one na parking. Tam teraz podążył Step.

Sceneria na zewnątrz nie była taka miła - po prostu wąski parking, wysoka siatka zwieńczona drutem kolczastym, dalej zarośnięte pastwisko, gdzie jedynymi stworzeniami skubiącymi trawę były stare opony i lodówka z wyrwanymi drzwiami. Mercedes Raya stał na jedynym zarezerwowanym miejscu na parkingu, bezpośrednio naprzeciwko drzwi do budynku. Step poczuł nagłą potrzebę odlania się na opony niczym pies, zadowolili się jednak zwyczajnym wyobrażaniem sobie tego.

W ciągu ostatnich pięciu lat byłem wolnym człowiekiem, powiedział do siebie, nie pracowałem dla nikogo. Żyjąc ze studenckich kredytów, uczyłem się programowania na Atari, by zwyczajnie zapomnieć o historii, a skończyło się na tym, że zmajstrowałem program, który dał przyjemność wielu ludziom, przez co w ciągu półtora roku wzbogaciłem się o jakieś sto tysięcy dolarów. Wszystkie te pieniądze przepadły, zalegam z podatkami, których nie mogę spłacić, przed chwilą podpisałem kontrakt na pracę w przedsiębiorstwie z bizantyjską polityką wewnętrzną, właścicielem śniącym o potędze, wiceprezesem do spraw finansów sądzącym, że bycie biznesmenem oznacza rolowanie każdego, kto na to pozwoli, nadzorcą niekompetentnym do tego stopnia, że chcą, bym patrzył mu na rękę, ale bez jego wiedzy. Wszystko za trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Dwa

tysiące pięćset na miesiąc. Oto cena za moją duszę.

Sprawa nie przedstawiała się jednak gorzej niż w przypadku jego ojca na przestrzeni lat. Kompania reklamowa padła, kiedy ojciec nie mógł już dłużej jej ciągnąć. Mimo to nie chciał ogłosić bankructwa, spłacał powoli wszystkie długi, co zabrało mu dziesięć lat, w którym to czasie powrócił do szkoły, zdobył tytuł magistra, przez pewien okres nauczał w San Jose, skończył zaś pracując dla Lockheed, obmyślając programy treningowe dla operatorów wyrzutni. Gdyby ojciec miał kiedykolwiek choć połowę tych pieniędzy, które ja zarobiłem w zeszłym roku, zapewniłby sobie wolność do końca dni. Trzymałby pieniądze w banku na czarną godzinę. Ja je wydałem, jakbym myślał, że zawsze będą płynąć szerokim strumieniem. I oto jestem w punkcie, w którym znajdował się też mój ojciec, przez te wszystkie lata w Lockheedzie, przyjmując rozkazy od dupków i zarywając weekendy w sklepie z aparatami fotograficznymi w Hillsdale Mall. Nie słyszałem od niego słowa skargi, jedynie przeprosiny skierowane pod adresem matki, kiedy musiała wrócić do pracy sekretarki w szkole publicznej.

Dlatego podpisałem kontrakt, Step zdał sobie sprawę. Żeby nie musiał tymi samymi słowami przeproszać DeAnne.

A jeśli nie znajdę sposobu na zdobycie jakichś dodatkowych funduszy w ciągu roku, IRS z pewnością postawi nas w podobnej sytuacji - tak czy inaczej.

Niepokój, desperacja, pamięć o porażkach ojca - wszystko to przepływało przez niego i paliło w gardle, pomyślał: Jeśli wezmę to zbyt do siebie, moje emocje będą wypisane na twarzy, kiedy wrócę do środka. Przełknął ślinę i odetchnął głęboko, wolno, siląc się na spokój.

Ktoś otworzył za nim drzwi i wyszedł. Step z początku nie odwracał się, na wpół przestraszony i na wpół ogarnięty nadzieją, że to kowboj Bob albo nawet Ray Keene we własnej osobie, martwiący się o niego, chcący poprawić mu nastrój.

Tymczasem był to jakiś dzieciak, sprawiający wrażenie, jakby nie opuścił jeszcze szkoły średniej, który odszedł kilka jardów dalej i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, wolno wypuszczał kłęby dymu w postaci zgrabnych kółek.

- Ile czasu ci zabrało, żeby się tego nauczyć? - zapytał Step.

Dzieciak odwrócił się w jego stronę. Na nosie miał osadzone okulary o potężnych szklach w czarnej oprawce, przez co oczy zdawały się pływać w słoiku z formaliną.

- Wydmuchuję kółka, odkąd mama mnie nauczyła, kiedy miałem dziesięć lat.

- Twoja mama nauczyła cię puszczać kółka z dymu? Kiedy miałeś dziesięć lat?

Dzieciak się zaśmiał.

- To kraj tytoniu, panie Fletcher, a wszyscy, którzy mnie otaczają, są ludźmi tytoniu. Kiedy byłem bachorem, mama zwykła puszczać dym prosto w moją twarz, gdy dorosłem miałem zatem pojęcie,

jaka jest różnica między tanim zielkiem z papierosów Reynoldsa a dobrym towarem w E&Esach.

Step miał nadzieję, że jego dreszcz nie został zauważony. Kiedy wraz z DeAnne polowali na mieszkanie, musieli wyeliminować z planów całe wschodnie obrzeże miasta, gdzie Eldredge & Emerson Tobacco Company wypełniała powietrze odorem smoły i nikotyny. Człowiek czuje się w takim miejscu, jakby utkwiał na zawsze w windzie z pasażerem, który tuż przed wejściem do niej zgasił papierosa.

Jaki interes widzieli mormoni w przybyciu do kraju tytoniu? Szczególnie gdy DeAnne tak była uczulona na dym, że przyprawiał ją o wymioty, nawet kiedy nie była w ciąży. Idea wydmuchiwania dymu w twarz dziecka zdenerwowała Stepa. Są rzeczy, których się po prostu nie robi z dziećmi, jeśli ma się odrobinę przyzwoitości. Nauczanie dziesięciolatka wydmuchiwania kółek...

- Nie chcę wyglądać jak jakiś drętwy fanatyk czy ktoś taki, panie Fletcher, jednak myślę, że Hacker Snack jest najlepszą grą na Atari, jaką kiedykolwiek zrobiono.

- Dzięki - odparł Step.

- Oczywiście, pana podprogramy AI są pierwsza klasa.

- AI? - zapytał.

- No, wie pan, sztuczna inteligencja.

- Wiem, co oznacza AI - odpowiedział Step. - Po prostu nie mogę przypomnieć sobie, żebym próbował kiedykolwiek zaadaptować ją do gry.

- Mam na myśli, no wie pan, sposób, w jaki bandyci kierują się na gracza - rzekł. - Inteligentne programy komputera. To zbyt łatwe do przewidzenia. Z łatwością można uniknąć ich strzałów, póki gracz nie ginie zniszczony czystą szybkością. Uwielbiam rozkwaszać bandytów na śmierć.

- Wielkie dzięki.

- Nie, naprawdę, uwielbiałem tę grę, szkoda tylko, że nie sprawił pan, żeby bandyci poruszali się w sposób przypadkowy, żeby gracz nie połapał się, że do niego mierzą. Tak by się nigdy nie miało całkowitej pewności, dokąd idą. Wtedy można by spokojnie grywać na wyższych poziomach, nie musiałby pan nigdy umieszczać tego zabójczego poziomu trudności, gdzie nie można po prostu prześcignąć pogoni.

- Nie istnieje żaden zabójczy poziom trudności - zaprzeczył Step.

- Naprawdę?

- Wystarczy znaleźć tylne wyjścia ze wszystkich pomieszczeń.

Teraz z kolei dzieciak wyglądał na zbitego z tropu.



- Tylne wyjścia?

- Hacker Snack to nie gra arkadowa, to puzzle - wyjaśnił Step. - Tylko nie wmawiaj mi, że próbowałeś prześcignąć tych małych skurczybyków na każdym poziomie?

- W ten sposób doszedłem do pół miliona punktów - powiedział chłopiec.

- To najmniej prawdopodobna rzecz, o jakiej słyszałem. Powinieneś zmienić się w mokrą plamę przed zdobyciem dwudziestu tysięcy punktów. Musisz mieć refleks nietoperza.

Dzieciak wyszczerzył zęby.

- Jestem najlepszym cholernym specem od wideo, jakiego pan kiedykolwiek spotka - powiedział. - Musi mi pan pokazać to tylne wyjście.

- Ty z kolei pokażesz mi, co ma znaczyć ta przypadkowość.

- Wejźmy do środka. Na jednej z maszyn właśnie odpaliłem tę gierkę, tak na wszelki wypadek, gdyby się pan pojawił.

- Masz tu Atari?

- Hej, żadna dusza nie wątpi, że Atari jest dziesięć razy lepsze niż „komodorek”. Jedynym powodem, dla którego piszemy oprogramowanie dla sześćdziesiątkiczwórki, są miliony sprzedawanych sztuk, podczas gdy Atari wciąż kosztuje straszne pieniądze, co oznacza, że nikt go nie kupuje.

Step podreptał za nim do budynku.

- Jak to się stało, że wyszedłeś na zewnątrz zapalić? - zapytał. - Zauważyłem ludzi palących w biurach.

- Nie w moim - rzekł dzieciak. - Nikomu nie pozwolę palić przy komputerach. To je paskudzi. Jak wylana cola.

Dzieciak nie pozwalał nikomu palić w pobliżu komputerów?

- Jak się nazywasz? - zapytał Step.

- Rodzice wołają na mnie Bubba, przy chrzcie dostałem Roland McIntyre, natomiast sam myślę o sobie jako o Saladynie Gallowglassie. - Spojrzał przez ramię na Stepa i uśmiechnął się szeroko. - Grał pan kiedyś w D&D?

- Brat próbował mnie kiedyś nauczyć Dungeons and Dragons, lecz po pięciu godzinach gra wciąż się nie rozkręciła.

- W takim razie cienki z niego władca smoków, jeśli chce pan znać moje zdanie, bez obrazy oczywiście, skoro to brat. Dobry władca smoków w ciągu pół godziny wciągnie pana w grę, tak że

poczuj się pan jak w filmie. Prawie. A to jest pana biuro, tak przy okazji.

Pomieszczenie było puste. Wiedzieli, że przyjeżdża, a nie wnieśli nawet zwykłego biurka.

- Przynieśli tu biurko, ale kazałem im je zabrać - powiedział Bubba Roland Saladyn Gallowglass. - Powiedziałem im, że nie jest pan tu po to, by pisywać banalne liściki do siostrzenic i siostrzeńców, bo to pasuje raczej starym pannom. Ma pan tworzyć podręczniki oprogramowania, potrzebne jest więc pełne komputerowe wyposażenie, w komplecie z edytorem tekstu i przynajmniej po jednym z komputerów, dla którego produkujemy software. Tak więc po południu zbudują tu małą komputerową centralkę, jak ta u mnie. Oto moje biuro. Należy też do pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko, dopóki nie urzędzą panu własnego.

Step wkroczył do rajy komputerowego maniaka. Dwa kontuary o wysokości biurka biegły wzdłuż obu ścian pomieszczenia, a nad nimi kilka półek. Dolna półka dźwigała monitory do pół tuzina komputerów, górna natomiast książki, gazety i rzędy dyskietek. Sam kontuar zapchany był „komodorkami”, przewijało się też kilka VIC-ów, jeden TI, RSCC, a nawet mizerny Timex. Prócz tego wysłużony monochromatyczny Pet, używany najwidoczniej jako edytor tekstu. Był także Atari, z Hacker Snackiem puszczone w trybie demonstracyjnym. Tyle tylko że demo powinno pokazywać pierwszy poziom, nie zaś dwudziesty.

- Złamałeś kod - zauważył Step.

- Lubię wykorzystywać tę grę jako oszczędzacz ekranu, ponieważ wszystko się w niej porusza. Lecz dwudziesty poziom ma najfajniejsze kolory.

- Ale to było zabezpieczone przed kopiowaniem siedmioma pieczęciami!

- No cóż, dziesięć minut zajęło mi rozgryzienie schematu, później godzinę, by rozmontować kod. - Bubba Roland Saladyn Gallowglass wyglądał na dumnego z siebie, Step nie mógł się z nim nie zgodzić. Step był całkiem niezłym programistą, lecz ten dzieciak należał do prawdziwych hakerów, był dziecięcym geniuszem od kodów. W jakiś też sposób zdołał zdobyć wystarczający autorytet w Eight Bits Inc., żeby kazać przemodelować biuro Step.

- A propos, czym się tu zajmujesz? - zapytał Step.

- Ech, po prostu wałęsam się po kątach, programując trochę. Tak naprawdę powinienem być na studiach, lecz lawiruję między semestrami.

- Wiosenna przerwa?

- Tak, trwa już prawie rok. Próbowałem uczyć się o komputerach, ale oni wbijali mi do głowy COBOL-a, nie do wiary! Bez FORTRAN-u nie mogłem dostać zaliczenia. To tak, jakby kazali komuś w szkole medycznej wkuwać anatomię dinozaura. W weekend jedziemy paczką na koncert Davida Bowiego do Richmond. Zabierze się pan z nami?

Mile połączony tym zaproszeniem Step musiał odmówić.

- Wciąż się rozpakowujemy, bardziej mi też odpowiada staroświecki amerykański rock and roli. Bowie trąci mi dyskoteką.

- Gdzie tam, ma to już za sobą. Tak jak i błyskotki. Teraz jest punkiem.

- Hm, no tak...

- Myślę o moim bohaterze z D&D, no wie pan, Saladynie Gallowglassie. Wyobrażam go sobie wyglądającego jak David Bowie. Albo jak Sting.

- Sting? - zdziwił się Step.

- Ten z Police - wyjaśnił dzieciak. Kiedy Step wciąż nie okazywał, że sobie przypomina, dzieciak potrząsnął głową i kontynuował. - Z tego, co zrozumiałem, zajmie się pan czymś przypominającym kontrolę jakości?

- Z tego, czym Dicky uraczył mnie z rana - odpowiedział Step - wynika, że muszę go prosić o rozpięcie rozporka, kiedy zechcę się odlać.

Dzieciak zachichotał.

- Dicky to stary pierdoła. Nie, Ray powiedział mi, że jest pan cennym nabytkiem. Jedynym sposobem, w jaki mógł namówić Pierdołę, żeby pana zatrudnił, była obietnica zmuszenia pana do niewtrącania się do programowania, w rzeczywistości jednak pragnie, by maczał pan palce we wszystkim. Uważa pana za największego komputerowego arcymaga we wszechświecie.

- No cóż, nie jestem nim - powiedział Step. - Jestem historykiem, który w wolnym czasie nauczył się programować.

- Wszyscy dobrzy programiści są samoukami, przynajmniej na rynku komputerów domowych - stwierdził dzieciak.

- Hej, jak mam właściwie zwracać się do ciebie?

- Nazywają mnie tutaj Roland, pan chyba też powinien - odparł chłopak.

- Co ty byś jednak wolał?

Wyszczrzył zęby.

- Jak już powiedziałem, myślę o sobie jako o Saladynie Gallowglassie.

- Więc Gallowglass jest w porządku, czy też brzmi to zbyt formalnie?

- Gallowglass jest okej, panie Fletcher.

- Mów mi Step.

- Miło mi, Step.

- Czy mogę zapytać, ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa.

- A jeśli jesteś zwykłym, przeciętnym programistą, jak to się dzieje, że Ray Keene zwierza ci się z rzeczy, o których nic nie mówi Dicky'emu?

- Chyba dlatego, że zna mnie dłużej. Zwykłem wałęsać się koło domu Raya i uczyć programowania na jego Commodore Pet. Miałem wtedy, tak mi się zdaje, szesnaście lat.

Zaświtało Stepowi: w żadnym z wywiadów i zebrań nikt nigdy nie wspomniał o istnieniu tego cudownego dziecka, nikt też nie wyjaśnił, kto zakodował oryginalny software, który zapracował na mercedesa Raya Keene'a i jego luksusowe biuro.

- To ty napisałeś Scribe'a 64, nie zaprzeczaj?

Gallowglass uśmiechnął się szelmowsko.

- Każdą jego linię - odparł.

- Założę się, że ciągle pracujesz nad upgrade'ami.

- Pracuję obecnie na sześćdziesięcioczekoznakowym ekranie - powiedział. - Muszę używać wirtualnej pamięci ekranu i mapowania znaków w tle, idzie mi wcale nieźle. Mam pomysł na użycie pamięci znaków jako wirtualnej pamięci ekranu, gdyż oznacza to, że nie wykorzystuję RAM-u na mapowanie.

- Za mało wiem o sześćdziesięcioczekozbitowej architekturze, by zrozumieć, o czym mówisz - przyznał się Step. - Mam nadzieję, że nie jestem zbyt wścibski pytając - skoro jesteś osobą, która stworzyła Scribe'a 64 - dlaczego jeszcze nie jesteś wiceprezesem czegoś?

- Ray troszczy się o mnie - odpowiedział Gallowglass. - Robię więcej kasy niż Bóg, ale nie mam w sobie żyłki kierowniczej.

- Pewnego dnia z chęcią się dowiem, ile zarabia Bóg - rzekł Step.

- Pewnego dnia może ci powiem. - Gallowglass wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A co z tobą? Masz dzieci?

- Trójkę. Czwarte jest w drodze.

- Ile mają lat?

- Stephen niemal osiem, Robert blisko pięć, Elizabeth dwa, a najmniejsze pięć miesięcy poniżej zera.

- Mówię ci, świetnie się z dziećmi dogaduję - pochwalił się Gallowglass. - Jeśli zechcesz kiedyś, żebym zaopiekował się dziećmi, daj znać.

- W porządku. Programista, który zarabia więcej pieniędzy niż Bóg, a ja mam go prosić, by siedział przy moich dzieciakach?

- Nie żartuję, naprawdę uwielbiam malców, bywa, że czasami czuję się samotny.

- Nie mieszkasz z rodziną?

- Tato mnie nienawidzi - odparł Gallowglass. - Mieszkam sam.

- Nienawidzi cię? Daj spokój.

- Serio, zawsze mi to powtarza, kiedy wracam do domu. Otwieram drzwi, a on mówi: „Cholera, jak ja cię nienawidzę! Musisz ciągle wracać?” Mama jest w porządku. Hej, jesteśmy przecież tylko dobrą starą rodziną południowców.

- Wybacz, nie chciałem być nachalny i w ogóle - powiedział Step.

Gallowglass śmiał się.

- Dawno już nie widziałem, jak dorosły mężczyzna się czerwieni.

Co za biedny dzieciak, pomyślał Step. Słodki, wspaniały, miły dzieciak, nie wystarczy, że nienawidzi go ojciec, nie wystarczy, że matka wydmuchiwała mu dym w twarz, na domiar wszystkiego wykorzystują go ludzie, którym ufa bez granic. Nie mój interes, wiem, lecz ten dzieciak powinien przynajmniej mieć pojęcie, że istnieją inne możliwości.

- Pozwól, że ci coś powiem - rzekł Step. - Różnica między honorarium a premią jest taka, że honorarium należy ci się zgodnie z prawem nawet po tym, jak opuścisz firmę, natomiast premia to zwykły podarunek; jeśli Ray poczuje niechęć obdarzenia cię nim, to twój pech.

Gallowglass przyglądał mu się beznamiętnie poprzez swoje butelkowe soczewki.

- Po prostu sądziłem, że powinieneś zwrócić na to uwagę - ciągnął Step. - Na wypadek gdybyś chciał kiedyś napisać kolejny software. Może się zdarzyć, że następnym razem wymienią gdzieś w podręczniku twoje nazwisko. To coś, czego my, programiści, nie mamy w nadmiarze - pochwała za to, co robimy.

- Twoje nazwisko umieszczono w Hacker Snacku - zauważył Gallowglass.

- Odrzuciłem oferty dwóch wydawców oprogramowania, ponieważ nie było o tym wzmianki w kontrakcie - rzekł Step. - To dzięki temu znacie tu w Eight Bits moje nazwisko. Jednak aż do tego momentu nikt nigdy nie wymienił twojego nazwiska. Po prawdzie odniosłem wrażenie, że Ray Keene sam napisał Scribe'a 64.

- Naprawdę? - zapytał Gallowglass.
  - Nigdy nie wspominał o tym - powiedział Step.
  - Ray nie jest w stanie zaprogramować komputera, żeby ten wyświetlił jego imię na ekranie - rzucił Gallowglass.
  - Hm, nie wiedziałem - przyznał się Step. - Nigdy mi nie mówił. Hej, to nie jego wina, że odniosłem mylne wrażenie. Sądzę, że najważniejsze jest to, by programista był doceniany za swoje osiągnięcia. Jak autor książki, którego imię widnieje na stronie tytułowej.
  - Nie pierwszy zobaczyłeś swoje nazwisko tuż nad tytułem - wtrącił Gallowglass. - Imię Douga Duncana można było zobaczyć w Russian Front jeszcze przed tobą.
  - No tak - zgodził się Step. - Nim ukazał się Russian Front, miałem już podpisany kontrakt, jednak to on pierwszy wydał swą grę w ten sposób.
  - Spotkałem go zeszłego roku w CES - rzekł Gallowglass.
  - Tak?
  - Postąpiłem z nim jak z tobą: powiedziałem mu, że zrobił świetną grę, a potem wymieniłem jej niedociągnięcia.
  - Ach tak? To twoja zwykła procedura? - spytał Step.
  - Jasne.
  - Gdzie nauczyłeś się tej techniki, z „Jak zdobywać przyjaciół i wpływać na ludzi”?
- Gallowglass zachichotał.
- Po prostu lubię patrzeć, jak ludzie reagują. Ty to jakoś przeżyłeś. Tak na serio - to najlepiej. Naprawdę słuchałeś dzieciaka w okularach i z ochraniaczem na kieszeń, nie porównując go przy tym do gówna na chodniku.
  - A jak zachował się Duncan?
  - Cóż, powiedzmy, że Doug Duncan należy do tych facetów, którzy nigdy nie wybaczą ci, że ośmieliłeś sugerować, jakoby coś, co zrobili, nie było do końca perfekcyjne. Wykopał mnie z konferencji sześć miesięcy później. Postraszył, że odejdzie, nie odpowiadając na pytania, jeśli dopuszczą mnie do mikrofonu. Nigdy nie zapomina i nigdy nie wybacza.
  - Może to powinno cię było oduczyć krytykowania nieznajomych.
  - Daj spokój, to mój test na wykrywanie dupków żółędnych. A gdzie on przejdzie, tam dziki mają co jeść.

Step nie umiał pohamować śmiechu. Polubił dzieciaka. Może za bardzo. Choć gdyby Dicky podслуchał ich rozmowę o honorariach i uznaniu dla programistów, obaj mogliby wpaść w tarapaty.

- Powiedz mi, jak dźwiękoszczelne jest to pomieszczenie? - zapytał Step.

- Skąd do diabła miałbym wiedzieć? - zdziwił się Gallowglass. - Lecz kiedy te wszystkie gry chodzą włączone, kto może nas usłyszeć?

Step pomyślał, lecz nie powiedział tego, że szum włączonych komputerów sprawiał, iż mówili głośniej, podczas gdy hałas, jaki czyniły, był o połowę mniej dokuczliwy dla kogoś na zewnątrz, kto chciałby podслуchać.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - wrzasnął Gallowglass.

Był to Dicky, przez chwilę Step czuł przyływ zażenowania jak ktoś złapany na gorącym uczynku. Dicky z pewnością słuchał.

- Więc tutaj jesteś - powiedział Dicky. - Wszędzie cię szukałem.

- Mnie? - udał zdziwienie Step.

- Zastanawiałem się, czy nie miałbyś ochoty zjeść ze mną lunchu.

- Nie może - wtrącił natychmiast Gallowglass. - Idzie na lunch ze mną, będę więc mógł wprowadzić go w niuanse Scribe'a 64.

- Ja z kolei muszę wprowadzić go w całą resztę - powiedział Dicky jakby nieco zaciętrzewiony.

- Nie mam z tym nic wspólnego - zastrzegł się Step. - To mój pierwszy dzień i pójdę wszędzie tam, gdzie mi każą.

Dicky i Gallowglass gapili się na siebie jeszcze przez kilka chwil, po czym ostatecznie Dicky powiedział:

- Znajdź mnie po lunchu.

- Dobra - odpowiedział Step. - Jest pan jednak moim przełożonym, Northanger, tak więc proszę mną dysponować.

- Mów mi Dicky - rzekł Dicky.

- Nie Richard? - zapytał Step.

- Czy nie podoba ci się Dicky? - spytał Dicky.

- Nie - odparł Step. - Myślałem tylko...

- Dicky to nie skrót od Richarda - wytłumaczył Dicky. - Takim imieniem mnie ochrzczono.

- Przepraszam - rzekł Step.

- A spotkanie z tobą po lunchu jest czymś, co wolę. - Dicky zamknął za sobą drzwi.

- Facet, ty jesteś mistrzem podlizuchów - stwierdził Gallowglass.

Step odwrócił się do niego.

- Chcesz, żeby mój przełożony wkurzył się na mnie już pierwszego dnia?

- Nie bierz Dicky'ego poważnie - powiedział Gallowglass. - Nie dotknie się programu, nie wprowadzając do niego błędu. Gość jest beznadziejny.

Najwidoczniej Gallowglass nie miał pojęcia o rodzaju kłopotów, jakie Dicky potrafił sprawić człowiekowi z pozycją Step'a. Ten dzieciak miał układy z właścicielem, był programistą programu-żywiciela, dzięki któremu wszyscy otrzymywali wynagrodzenie, zatem mógł traktować Dicky'ego wedle uznania. Nie znaczyło to wcale, że Dicky'emu to w smak. Co prawda, jeśli to trwa już od dawna, Dicky musi patrzeć spode łba na wszystko, co Gallowglass robi i mówi. Mógłby się wyżyć na kimkolwiek pozostającym z chłopakiem w przyjacielskich stosunkach i równocześnie poszukującym pracy.

Na Stepie.

- Wyświadczyć mi przysługę - poprosił Step. - Nie rób niczego, co nastawiłoby do mnie Dicky'ego jeszcze mniej przychylnie.

- Jasne - zgodził się Gallowglass. - Tylko spokojnie. Wszystko jest okej, obiecuję. Jesteś tu jak Flynn, każdy podnieca się twą obecnością. Zobaczysz, będzie wspaniale.

- W takim razie bez urazy - rzekł Step, choć Gallowglass najprawdopodobniej był w błędzie.

- I naprawdę z ochotą zaopiekowałbym się twoimi dziećmi.

- Dzięki - odpowiedział Step.

- Jestem w tym zupełnie dobry. I nie boję się zmieniać pieluszek.

- Dobrze - powiedział Step - porozmawiam o tym z DeAnne.

- Super. Dziś.

- Co takiego?



- Dziś. To słowo, jakiego tu używamy. Znaczy „chodź jeść”, kiedy mówisz to naprawdę szybko. Dziś.

- Nie ma problemu - rzekł Step. - Dziś.

## **Rozdział czwarty**

### **Wstrętne dziury**

Oto dlaczego DeAnne, przez całe życie mieszkanka zachodu, rozpakowywała toboły w pokoju mieszkania w Steuben, w Karolinie Północnej: jej najwcześniejsze wspomnienia sięgają dorastania w Los Angeles, w biedniejszej części miasta. Były to lata pięćdziesiąte, kiedy gangi nie sprawowały jeszcze władzy, Murzyni byli po prostu kolorowymi, zaczynającymi dopiero maszerować, nie wszczynającymi zamieszek. Jej sąsiedztwo i szkolni przyjaciele stanowili mieszkankę ras i narodowości. Nim wyjechała, nie zauważała tego.

Ojciec otrzymał doktorat i wyjechał uczyć w Brigham Young University - „Y”. Miała osiem lat, kiedy po raz pierwszy poszła do szkoły w Orem, w stanie Utah. Wszystkie dzieci w klasie były białe, wszystkie były mormonami, wiele z nich widywała na niedzielnym nabożeństwie. Nadeszła jesień 1962 roku i rozmowy między dziećmi zeszły na temat praw obywatelskich i Martina Luthera Kinga. Deeny była zaszokowana słysząc, jak inne dzieci mówią o „czarnuchach”; słowo, o którym sądziła, że przypomina wszystkie inne pisane na murach - każdy wiedział, że istnieje, lecz nie wypowiadał go w miejscu, gdzie sięga słuch Boga.

Kiedy zauważono, jaka Deeny jest skonfundowana, śmiano się, niektórzy mówili też rzeczy jeszcze obrzydliwsze - że wszyscy kolorowi śmierdzą i są głupi, że wszyscy kradną i noszą przy sobie brzytwy. Z furją przekonywała, że to nieprawda, że jej najlepsza przyjaciółka z Los Angeles, Debbie, była kolorowa, a jednocześnie inteligentna jak każdy, nie śmierdziała, a jedyny chłopiec, który im cokolwiek ukradł, był biały. To ich zdenerwowało. Mówili okropne rzeczy, popychali ją, szczypali i szturchali, przychodziła ze szkoły zapłakana. Rodzice pocieszali, że to ona ma rację, na zawsze jednak zapamiętała obrzydliwe oblicze fanatyzmu i złość, w jaką pozostałe dzieci wpadły, kiedy przeciwstawiono się ich poglądom.

Nie było zatem dziełem przypadku, że kiedy Step zdecydował się powalczyć o doktorat z historii, nie chcieli składać papierów do żadnej uczelni na zachód od Missisipi. DeAnne sprzeciwiała się stanowczo, żeby jej dzieci dorastały w Utah, gdzie każdy, kogo znają, był mormonem lub białym, gdzie opowiadano im wierutne kłamstwa o ludziach, którzy nie byli do nich idealnie podobni. Step przyznał jej rację - jak się wyraził, nie chcieli wychowywać dzieci tam, gdzie mormoni porastali ziemię zbyt gęsto.

Wszystko fajnie wyglądało w teorii, rzeczywistość tymczasem przybrała formę przygnębiająco ciemnego pokoju w obskurnym domku w Steuben. A Stevie musiał dzisiaj wejść do klasy jako obcy przybysz, bez żadnego poczucia więzi.

W Utah Stevie znalazłby już wszystkie dzieci z sąsiedztwa i parafii. Dzieliłby z nimi ten sam styl życia, wiedziałby, czego się po nich spodziewać. Sprowadziliśmy dzieci w obce środowisko, zgodnie z planem, pomyślała DeAnne, wyrwaliśmy je z miejsca, w którym mieszkały. Są tu przybyszami. My jesteśmy przybyszami.

Jestem tu obca, a to obcy kraj.

Robbie i Elizabeth drzemali na dole. Dla Elizabeth oznaczało to prawdziwy, twarde sen; dla Robbiego leżenie na łóżku i czytanie kawałów i łamigłówek z ulubionego „Childcrafta”. Przynajmniej są zajęci i panuje spokój. Dzięki temu mogła opróżnić skrzynie, jedną po drugiej... podumać nad życiem, czy była dobrą matką, dobrą żoną, dobrym mormonem, a nawet dobrą osobą. Skrycie wiedziała, że nie jest i nigdy nie będzie, nieważne, jak ją będą widzieć inni, ponieważ nikt, włączając w to Stepa, nie znał jej wnętrza. Jak była słaba, zastraszona, niepewna wszystkiego w życiu prócz Kościoła - jedynej nie zmieniającej się struktury, fundamentu jej istnienia. Wszystko poza nim ulegało zmianom. Nawet Step - zdawała sobie sprawę, że nie zna go do końca, iż zawsze jest szansa, że ją czymś zaskoczy; wówczas w owym mężu dojrzy obcego. Obcego, który gardzi nią i wyrzeka się jej dalszej obecności w swym życiu. DeAnne wiedziała, że aby utrzymać się przy jakiegokolwiek dobrej rzeczy w tym świecie - mężu, dzieciach - nie może się pomylić, nigdy. Tak wyglądał skraj sukna, który stanowił jej życie. Gdyby tylko można mieć pewność, każdego dnia i każdej godziny, co zrobić, żeby się nie pomylić.

Zabrzęczał dzwonek u drzwi.

Zjawiała się kobieta po trzydziestce, wiotka niczym Jane Fonda, troszkę niższa od DeAnne. Holowała trojkę dzieciaków, z których najstarszy był chłopczyk w wieku Robbiego i w jakiś sposób - może dzięki dzieciakom, może dzięki praktycznej, nie rzucającej się w oczy odzieży, a może po prostu z powodu ufniej, radosnej twarzy bez śladu makijażu - DeAnne wiedziała, że kobieta jest mormonką. A jeśli nie, powinna nią być.

- Siostra Fletcher? - zapytała kobieta.

Była mormonką.

- Tak - odpowiedziała DeAnne.

- Jestem Jenny Cowper. Tyle tylko, że moje nazwisko wymawia się jak Cooper.

- Jak ten poeta?

Jenny uśmiechnęła się radośnie.

- Wiedziała! Mieszkam tu od sześciu lat, a teraz kiedy zostało mi trzy i pół miesiąca do wyjazdu do Arizony, nagle ktoś się w końcu wprowadza, kto słyszał o Williamie Cowperze.

A to ci pech, pomyślała DeAnne. Zaczynam już ją lubić, a ona się wyprowadza.

- Wejdz, proszę. Dzieciaki drzemią, lecz dopóki pozostajemy w dziennym pokoju...

- Twoje dzieci drzemią? Do dzieła - powiedziała Jenny, zamaszystym krokiem wchodząc do środka. Nie dawała poznać po sobie, że dba o to, czy dzieci podążają za nią, czy nie. - Wiem, że jesteś zajęta przeprowadzką, mam z sobą ostry jak brzytwa nóż, napiłam i nakarmiłam już swoje stadko, zanim tu przysłałam, proszę mi więc pokazać, gdzie znajdują się skrzynie.

- Dzisiaj zajmuję się książkami - rzekła DeAnne, prowadząc ją do głównego pokoju. - Naprawdę nie musisz pomagać.

- Ułożyć w porządku alfabetycznym?

- To później - odparła DeAnne. - Wystarczy na razie, że je pogrupujesz. Jenny, skąd do licha znasz moje nazwisko? Nawet razem nie szliśmy do kościoła w niedzielę.

- Zauważyłam - rzekła z przekąsem Jenny. - Kilka tygodni temu biskup powiedział, że otrzymał telefon od jakiegoś tam brata z Vigor w Indianie, jakoby mającego się wprowadzić do naszej gminy w pierwszy weekend marca. Wywnioskowałam, że będzie potrzebna pomoc przy przeprowadzce, więc czekałam, aż się pokażecie w kościele, tylko że nie przyszliście. I oto co pomyślałam: jeśli są niepraktykujący, jakiś tam brat nie dzwoniłby przecież. Więc albo nie wprowadzają się w zaplanowanym czasie, albo należą do tych dumnych, upartych, krnąbrnych, nieugiętych ludzi, którym przez myśl nie przejdzie prosić o pomoc, dlatego opuścili pierwszą niedzielę, planując pokazać się następnego tygodnia, kiedy wszystko będzie rozpakowane i ułożone na właściwym miejscu, a ludziom, jacy przyjdą pomagać, odpowiedzą: „Już po wszystkim, niemniej dziękujemy”.

DeAnne zaśmiała się.

- Podeszłaś nas, Jenny.

- Tak więc, podczas niedzielnej szkolnej godzinki - nie chodzę na zajęcia z doktryny ewangelicznej, ja i nauczyciel różnimy się poglądami - zakradłam się do sekretariatu, przejrzałam w kościelnym katalogu informacje o gminie Vigor, po czym odbyłam zamiejscową rozmowę z waszą rodzimą gminą. Mówiłam z waszym sekretariatem, pytając, czy nie wiedzą nic o jakichś członkach ich gminy wyjeżdżających do Steuben w Karolinie Północnej, na co odpowiedziano mi: „Tak, oczywiście, Fletcherowie, najcudowniejsi ludzie, siostra Fletcher była doradcą do spraw oświatowych w naszym Kole Pomocy, a brat Fletcher był prezydentem kworum starszych, dyrygował też chórem, mają trójkę

dzieci, czwarte ma przyjść na świat w lipcu, są doskonałymi mówcami, trzeba wykorzystywać tę zdolność na zebraniach sakramentalnych tak często, jak to tylko możliwe...”

- Ach, to zapewne brat Hyde, bardzo nam pochlebił. - DeAnne nie mogła uwierzyć, że brat Hyde pamiętał, kiedy miało urodzić się ich kolejne dziecko, albo że przekazał informacje nieznanemu osobie. Z drugiej strony należeli do jednego Kościoła, czyż nie? A to oznaczało, że „nie byli już obcymi i przechodniami, tylko współobywatelami świętych”, czy jak to tam szło w liście świętego Pawła do... - do jakiejś grupki Greków lub Rzymian, lub Hebrajczyków.

- Tak, no cóż, jestem pewna - powiedziała Jenny. - Przekazał także wasz adres, wtedy przypomniało mi się, że minęłam w zeszły piątek, czy kiedy tam przyjechaliście, przejeżdżającą furgonetkę z meblami, nie przyszło mi do głowy, że to rodzina mormonów wprowadzająca się zaledwie jeden budynek dalej od mojego domu. To znaczy, że będę miała mormonów za sąsiadów. Takie rzeczy nie zdarzają się w Steuben zbyt często.

Nawet gdyby Jenny nie była drobiazgowa w układaniu książek na półkach zgodnie z porządkiem alfabetycznym, grupując je przy tym właściwie, DeAnne radowała się z jej obecności, gdyż dawała wytchnienie od własnych przemyśleń. W pewien sposób Jenny zdołała wykształcić w sobie podobne nastawienie wobec Kościoła, choć odebrała całkowicie odmienne wychowanie. Jedyna różnica polegała na tym, że Jenny mówiła o rzeczach, o których DeAnne nie ośmieliłaby się nigdy wspomnieć, chyba że w rozmowie ze Stepem.

- Musiałam przybyć tu pierwsza - oznajmiła Jenny - w przeciwnym razie z życiem w pierwszej gminie Steuben zapoznałaby was Dolores LeSueur, nasza gminna wieszczka.

- Wasza co?

- Zajmuje się wizjami. Dla każdego ma w zanadru jakieś objawienie. Od piętnastu lat umiera na raka, na nogach trzyma ją nieustająca opieka lekarska, lecz czując oddech śmierci na karku, zbliżyła się do Boga bardziej niż kiedykolwiek przedtem - uważam, że już przedtem była tak blisko Boga, że dzielili się jedną szczoteczką do zębów. Wołając do ciebie „hello”, nie omieszka wspomnieć, że to Duch Święty kazał cię pozdrowić. Zobaczysz, że ją pokochasz.

- Pokocham? Wątpię, biorąc pod uwagę to, co powiedziałaś.

- Pokochasz, pokochasz, bo w przeciwnym razie okaże się, że jesteś narzędziem szatana, mającym zgubny wpływ na gminę. Bez obaw, dopóki wszystko układa się po jej myśli, jest nieszkodliwa.

- Mówisz poważnie?

- Absolutnie. Kiedy przedsięwzięcia w gminie znajdują się pod kuratelą Dolores, wszystko idzie po jej myśli. Jeśli decyduje, w jaki sposób zreorganizować gminę, jej słowo zamienia się w czyn.

- To znaczy, że budzi w ludziach natchnienie?

- Och, ona budzi w ludziach natchnienie za każdym razem, gdy musi skorzystać z toalety. Jeżeli nie

zgadzasz się z nią, wszystkimi swoimi apostołami szczerze biskupa, aż ten każe ci dostosować się do jej woli, żeby wyzwolić się od dręczycieli. A kiedy biskup nie poddaje się jej żądaniom, zwraca się do prezydenta okręgu, a kiedy ten z kolei nie chce nic dla niej zrobić, dzwoni do Salt Lake, aż ktoś powie jej coś, czego może użyć, żeby cię zdruzgotać. Nie chcę cię jednak uprzedzać do niej.

DeAnne powiedziała to, co zwykła mawiać, wiedząc, że należy odrzucać złośliwość:

- Wolalabym sama sformułować swoje poglądy.

Jenny spojrzała z ukosa, badając DeAnne przez chwilę, by oszacować, do jakich wniosków może się posunąć.

- Och, wiem, że brzmi to jak plotka. To jest plotka. Obiecuję ci jednak, że nie pisnę ani słówka więcej na temat Dolores, chyba że sama o niej napomkniesz. Przypadkowo wiem z doświadczenia, że za jakieś sześć tygodni będziesz się cieszyć, wiedząc, że ktoś poza tobą patrzy jej na ręce. Tak powiedział Nuff. Może i jestem zbyt otwarta, wiem, wyrosłam jednak na rancho w Santaquin, gdzie nawóz był jedynym słowem, jakiego używaliśmy w kościele w niedzielę, tak więc mówię, co myślę. Przy okazji zauważyłam, że pilnujesz moich dzieci, odganiając je od rzeczy, a to oznacza, że twoje dzieci mają dobre maniery i są nauczone, żeby nie tłuc i nie niszczyć. Nasza strategia polegała na upewnianiu się, że nie mamy niczego, za czym byśmy tęsknili, gdyby się zniszczyło. Lecz coś ci powiem, skończyłyśmy z książkami, pozwól więc, że uporam się z tą skrzynką i zaraz wyprowadzę stąd moje potworki, by mogły powrócić do rujnowania naszego mieszkania.

- Naprawdę nie myślałam...

- Kiedy chodzi o ważne sprawy, dbamy o swoje dzieci - powiedziała Jenny. - Przyjaciel jednej z sekretarek, gdzie pracuje mój mąż, miał kuzynkę tu w mieście, która straciła swojego małego chłopczyka. Nie zorientowała się przez dziesięć godzin, że go brakuje. Czy możesz w to uwierzyć? Może i nie wiem, co me dzieciaki wyprawiają każdej sekundy, wiem jednak, gdzie przebywają.

- Jenny, lubię twoje dzieci, nie sprawiają mi kłopotu.

- To dobrze. Ja też cię lubię. Przyjdź do nas z rodziną wieczorem na kolację. Mieszkamy dwa bloki dalej w górę Chinqua Penn, o tam, skręćcie w prawo w Wally - to ulica, a nie zakamarek przy drodze - piąte drzwi po prawej stronie.

- Nie mogłabym obarczać cię przygotowaniem dla nas kolacji. Nasza kuchnia jest już zmontowana, więc...

- Jestem pewna, że obmyślasz sama jakąś kolację, żeby oderwać się od rozpakowywania - zauważyła Jenny.

DeAnne musiała przyznać jej po cichu rację, poza tym wciąż nie przestawała myśleć o tym, co powiedziała Jenny.

- Ta kobieta, której zaginęło dziecko. Czy je znaleźli?

- Nie wiem - odparła Jenny. - Nigdy tego nie słyszałam. A tak przy okazji, gdybyś się zastanowiła, nie jestem zwolenniczką południowej kuchni, wolę zachodnią. Oznacza to, że nie będzie niczego spieczonego ani nawet podpieczonego. Gotuję też na modłę zachodnich ranczerów, nie zachodnich mormonów. To znaczy, że nie będzie się podawać żadnej potrawy z tuńczyka albo galaretek, zamiast tego będzie rostbef z piekarnika i pieczone ziemniaczki w sosie gravy. Mam już prowiant dla całej waszej załogi, nie pozwólcie, żeby się zmarnował. Powiedz po prostu „tak” i przyprowadź rodzinę o szóstej.

Na tym się skończyło. Jenny uporała się ze skrzynką, zawołała dzieci i wypadła za drzwi, dzieci próbowały dotrzymać jej kroku. DeAnne poczuła się ożywiona tą wizytą. Co więcej, poczuła się jak w domu, gdyż obecnie kogoś znała, miała przyjaciółkę.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po drugiej. Powinna za dwie minuty być w szkole, żeby odebrać Steviego.

Pośpieszyła do sypialni i wywlokła dzieciaki z łóżek. Robbie właśnie spał - musiał akurat teraz - kazała im zabrać skarpetki i buty do samochodu. Udało jej się dotrzeć na parking na wzniesieniu przy szkole dwadzieścia po. Plac rozbrzmiewał wrzawą miliarda samochodów i rodziców, a przynajmniej taką ich liczbą, na którą parking nie był obliczony. Tony dzieci obciążały go dodatkowo, nigdzie jednak nie widziała Steviego. Musiał wyjść na pagórek, rozejrzeć się wokoło, po czym zgodnie z wydanymi instrukcjami udać się pod sekretariat dyrektorki.

Zdołała w tym samym czasie włożyć dwa buty na stopy Elizabeth, Robbie sam poradził sobie z rzepami - Bogu niech będą dzięki za rzepy. Dochodziło już prawie pół do trzeciej, kiedy przywiodła dzieciaki przed fronton budynku. Ostatni z autobusów właśnie odjeżdżał. Stevie siedział w sekretariacie pani Mariner. Gdy tylko ją ujrzał, nie czekając sekundy dłużej wstał i ruszył ku drzwiom.

- Proszę chwilkę zaczekać, pani Fletcher - powiedziała sekretarka.

DeAnne odwróciła się w jej kierunku.

- Jeśli nie może pani odebrać dziecka na czas, czy mogę zasugerować, żeby pozwoliła mu pani wracać autobusem? Lub zapoznać się z programem po zajęciach?

- Następnym razem będę o czasie - odparła DeAnne. - W wyjątkowych wypadkach pozwolimy mu wrócić autobusem.

- Ponieważ to pomieszczenie to nie przechowalnia dla dzieci, tylko gabinet, w którym się pracuje - dodała sekretarka.

- Tak, przykro mi. To się już nie powtórzy.

- Bardzo tu lubimy dzieci - kontynuowała sekretarka - lecz musimy zarezerwować to miejsce do załatwiania spraw osób dorosłych, doceniamy więc, kiedy nasi rodzice są rozważni na tyle, aby nie...

- Tak - przerwała DeAnne. - Mogę obiecać, że jedynym powodem, dla którego nie odbiorę dziecka następnym razem, będzie moja śmierć. Dziękuję bardzo. - Gotując się w środku, wyszła na korytarz, z Elizabeth na biodrze i Robbiem z tyłu. Stevie oczekiwał przy frontowych drzwiach szkoły.

- Nie spóźniłam się bardzo - powiedziała DeAnne. - Myślałam, że klasa nie wyjdzie tak prędko, dlatego czekałam na górze.

Stevie kiwnął głową, nic nie mówiąc. Gdy tylko go dogoniła, ruszył rażno przodem, prowadząc w kierunku schodów wiodących na szczyt.

Robbie wyrwał się z uścisku matki i dopędził Stewiego, lecz jego niezmordowana przemowa nie zdołała przełamać milczenia brata. Musi być na mnie naprawdę zły, pomyślała DeAnne, Zwykle już po trzydziestu sekundach Robbiemu udawało się, rozproszyć dąsy brata.

Kiedy doszli do auta, DeAnne powtórnie przeprosiła za spóźnienie, lecz Stevie ciągle się nie odzywał, usiadł tylko na przednim siedzeniu, gdy ona zapinała dzieciom pasy bezpieczeństwa.

- Czy Stevie jest na mnie wkurzony? - zapytał Robbie piskliwym głosem.

- Sądzę, że jest wkurzony na mnie - odpowiedziała DeAnne. - Nie przejmuj się.

Wsiadła do samochodu i wycofała się z parkingu, lawirowała wąską uliczką okoloną pasem drzew, w końcu wydostała się, na główną drogę. Dopiero wtedy mogła zerknąć na Stewiego.

- Proszę, nie gniewaj się na mnie, Stevie. To się już więcej nie powtórzy.

Potrząsnął głową i srebrna łza spłynęła mu po policzki, skrząc się w słońcu, aż w końcu spadła na ziemię. On się nie dąsał, on płakał.

Ujęła go za dłoń.

- Och, Stevie, o co chodzi, kochanie? Czy było aż tak źle?

Znowu potrząsnął głową; nie chciał jeszcze o tym mówić. Nie cofnął jednak ręki. Tak więc nie nienawidził jej za to, że się spóźniła; kiedy nadejdzie odpowiednia pora, opowie, co się wydarzyło, zaakceptuje wszelkie słowa pocieszenia, jakich DeAnne mu udzieli. Trzymała go za rękę całą powrotną drogę do domu.

Nie chciał nic przekąsić, poszedł prosto do swojego pokoju. Nie dopuszczał do siebie Robbiego, któremu trzeba było niemal przygwoździć stopy do posadzki w kuchni, żeby ten cel osiągnąć. Ostatecznie przyrzadziła Elizabeth i Robbiemu jedzenie, po czym postanowiła, że się przejdą. Przez cały dzień dzieci gnieździły się w domu, a chociaż był to pierwszy tydzień marca, to zima była ciepła, płatek śniegu nie spadł nawet w Indianie. Niemal zawsze, odkąd przyjechali do Steuben, pogoda była przyjemna. Mogli podczas spaceru upewnić się przy świetle dziennym, który z domów należy do państwa Cowper.

Zerknęła do pokoju Stewiego. Leżał na łóżku, patrząc w drugą stronę.

- Stevie, kochanie, chcemy się trochę przejść?

Bąknął, że nie.

- Mam zamiar pozamykać drzwi. Nie będzie mnie tylko przez kilka minut, okej? Lecz jeśli coś się stanie, będziemy w pobliżu, nie znikniemy z pola widzenia, okej?

Skinął głową.

Na ulicy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że nie ma żadnych chodników. Nie mogli nawet spacerować po trawie - ludzie sadzili żywopłoty tuż przy jezdni. Co za głupota, co za brak wyobraźni! Gdzie dzieci jeżdżą na rolkach? Gdzie można uczyć dzieci chodzić, tak by były bezpieczne? Być może mieszkańcy Steuben nie spostrzegli jak dotąd, że dzieci od czasu do czasu giną na drogach.

Znowu poczuła się jak w pułapce. Jakby zauważyła nieoczekiwanie, że będą musieli mieszkać w domu bez ciepłej wody i ubikacji. Co za interes sprowadził mnie w to zacofane miejsce? W Utah chodziłyby po chodniku, nie martwiłabym się o ich bezpieczeństwo.

W Utah.

Czy jestem jednym z tych mormonów, którzy sądzą, że wszystko, co jest inne niż w Utah, jest złe? Odpędziła od siebie tę myśl i zaczęła przekazywać dzieciom zmodyfikowaną wersję lekcji chodzenia po chodniku.

- Trzymajcie się blisko krawężnika, a kiedy tylko się da, schodźcie na trawnik.

Robbie odbijał czerwoną piłeczkę o asfalt, kiedy spacerowali. Była to jedna z tych pustych kauczukowych piłeczek o średnicy około czterech cali, dość mała, by dziecko mogło się nią bawić, i wystarczająco duża, żeby łatwo się nie gubiła.

- Wolałabym, żebyś jej nie zabierał z sobą, Robbie - powiedziała DeAnne.

- Sama mówiłaś, że to zabawka na dwór, a przecież jesteśmy na dworze.

- Posłuchaj, jeśli polecisz na jezdnię, nie wolno ci od razu za nią biec, zamiast tego poczekaj, aż stoczysz się do jednej z krawędzi, rozumiesz?

Robbie kiwnął głową zamaszyście; nie przestawał kiwać, nie dlatego, żeby zdenerwować matkę, ale ponieważ kiwanie tak przesadzonym ruchem sprawiało mu frajdę.

- Popatrz, mamó, cały świat podskakuje w górę i w dół!

Oczywiście nie przestał odbijać piłeczki i zdarzyło się to, co nieuniknione w takiej sytuacji: piłeczka odbiła się od buta i odskoczyła, potoczyła się na jezdnię, a potem z powrotem do krawężnika, gdzie znikła.



- Moja piłka! - wrzasnął Robbie. - Wpadła do dziury!

Bez wątpienia piłeczka, nie błędząc ani nie zbaczając, znalazła drogę do klatki ściekowej i wtoczyła się prosto do środka. Po raz pierwszy DeAnne zrozumiała, jak naprawdę wyglądają takie klatki ściekowe, znowu się przeraziła. Były olbrzymimi szczelinami przy krawężniku, a kanał ściekowy wyprofilowano ostro w ten sposób, by poprowadzić do nich wodę. W efekcie każdy przedmiot, jaki znalazłby się w pobliżu, zostałby zassany do środka. Szczelina miała tak duże rozmiary, że małe dziecko swobodnie by się w niej zmieściło. Naturalnie ludzie konstruujący drogi bez chodników nie mieli nic przeciwko studzienkom ściekowym, w które mieściły się dzieci.

- Mamo, wyciągnij ją!

DeAnne westchnęła i posadziła Elizabeth na trawniku sąsiada.

- Siedź przy siostrze i nigdzie nie pozwól jej się ruszać, Robbie.

Naturalną kolejną rzeczą Robbie chwycił ramię Elizabeth, która zaczęła płakać.

- Co nie znaczy, że masz ją przygnieść do trawy, Robbie.

- Chciała wyjść na jezdnię - tłumaczył Robbie. - Ona jest naprawdę głupia, mamo.

- Ona nie jest już głupia, Robbie. Ma dwa lata.

- Czy ja wychodziłem na jezdnię, kiedy miałem dwa lata?

Elizabeth przestała krzyczeć i wrywać trawę z trawnika sąsiada.

- Nie, Robbie. Ty zbyt się bałeś, że wyjedzie motocykl. Motocykle cię prześladowały. Śniłeś o tym, że złapią cię i zjedzą. Nie wychodziłeś więc nigdy na jezdnię, bo tam właśnie czaił się Człowiek Motor.

DeAnne zbliżyła się na czworakach do krawędzi studzienki ściekowej, próbując zajrzeć do wnętrza. Było jednak za ciemno.

- Nic tu nie widzę - powiedziała DeAnne. - Przykro mi, Robbie. Naprawdę szkoda, że zabrałeś na spacer piłkę.

- To znaczy, że nie chcesz sięgnąć i zapolować na nią.

- Nie, Robbie, nie chcę - odrzekła DeAnne. - Nic tam nie widzę. W dole może być wszystko.

Nagle się przestraszył.

- Na przykład co?

- Mam na myśli, że nie wiadomo co się tam zebrało i nie mam zamiaru w tym grzebać. O ile wiem,

dół ma z osiem stóp głębokości, poza tym piłka mogła odpłynąć tak daleko, że jest już gdzieś w połowie drogi do Hickey's Chapel Road. - Podniosła Elizabeth i chwyciła Robbiego za rękę, po czym pomaszerowali w kierunku, gdzie mieszkali państwo Cowperowie.

- Stevie powiedział, że to złe miejsce.

- Co Stevie powiedział?

- Złe miejsce - upierał się Robbie, cedząc wolno słowa, jakby matka była przygłucha.

Co Stevie mógł mieć na myśli, mówiąc Robbiemu takie rzeczy? Czy miał na myśli mieszkanie? Sąsiedztwo? Szkołę? Steuben?

Po raz kolejny Robbie spojrział przez ramię w kierunku studzienki.

- Myślisz, że kiedyś znajdą moją piłeczkę?

- Jeśli nie ulegnie biodegradacji, doczeka z pewnością Powtórnego Nadejścia.

Robbie wciąż starał się zrozumieć znaczenie ostatniego zdania, kiedy dotarli do drugiego rogu. DeAnne zatrzymała się i policzyła pięć domów po prawej stronie. Domostwo Cowperów było parterowym, ceglany budynkiem, na podjeździe stała zaparkowana furgonetka, na którą próbowali się wdrapać dwaj malcy. DeAnne nigdy nie zezwoliłaby dzieciom wspinać się na samochód. Mogły przecież spaść. Mogły coś zniszczyć. Maskę samochodu była uniesiona i po chwili przyglądania się zobaczyła wynurzającą się zza niej Jenny, która najwyraźniej majstrowała przy czymś wewnątrz. Jenny rozprostowała kości, rozejrzała się wokół i spostrzegła DeAnne. Pomachała szarą rzeczą przypominającą pączka, którą zaciskała w dłoni. DeAnne też machnęła w odpowiedzi.

DeAnne nie dosłyszała, co krzyczała Jenny, poza tym poczuła się zażenowana tym, że ktoś do niej woła na ulicy. Tak więc pomachała powtórnie, jakby potwierdzając słowa Jenny. Informacja z pewnością brzmiała: „Do zobaczenia o szóstej” albo: „Mamy ładną pogodę”. Jenny przywołała swoje stadko i pognęła je do mieszkania.

- Kiciuś! - wrzasnęła Elizabeth prosto w ucho DeAnne. - Kiciuś! Kiciuś!

Czarny jak smoła kociak przemknął po jezdni tuż przed przejeżdżającym pojazdem, W ostatnim momencie umknął spod kół. Samochód nie zamierzał zwalniać ani się zatrzymywać. Obawy DeAnne dotyczące niebezpieczeństw czyhających przed samym domem tylko się potwierdziły.

- Rany - rzekł Robbie. - Mogliśmy mieć pizzę z kota.

Jeszcze jeden Stepizm.

Kot podążył wprost do studzienki ściekowej i zniknął.

- Mamo! - krzyknął Robbie. - Wstrętna dziura, już go ma!

Robbie przebiegł kilka kroków w stronę kanału. Nagle zdał sobie sprawę, że nie znajduje się już pod opieką mamy i zaczął biec z powrotem. Nie mógł sobie jednak darować, że porzucił kiciusia, stanął więc, uderzając się piąstkami w uda i ponagłając matkę, żeby się pośpieszyła, pośpieszyła!

- Słoneczko, kiciuś prawdopodobnie cały czas schodzi do tej dziury i się bawi.

Lecz Robbie nie słuchał tych wyjaśnień.

- Wąż go porwał, mamo! Musisz go uratować, musisz!

Oczywiście, Robbie nie wyobraziłby sobie węża tam w dole. Step pewnego razu zabrał ich do muzeum nauki, gdzie widzieli węża pożerającego mysz. Robbie nie potrafił zapomnieć tamtego widoku. Wężę wyparły Człowieka Motora.

Uklękała przy nim, objęła go uspokajająco.

- Robbie, obiecuję ci, tam nie ma żadnych węży. Kiedy tylko pada deszcz, cała woda spływa do studzienki, gdyby tam zamieszkały jakieś węże, już wiele lat temu woda wypłukałaby je do oceanu.

- Wstrętna dziura łączy się z oceanem? - zapytał Robbie.

- Wszystko się z nim łączy - odpowiedziała DeAnne.

- Rany, super.

Robbie okrążył studzienkę szerokim łukiem, a w czasie gdy DeAnne stała przy drzwiach wejściowych, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków, zatrzymał się przy brzegu i zajrzał z powrotem do wstrętnej dziury.

- Co się stanie, jeśli zacznie padać deszcz, zanim kicia wyjdzie z dziury, mamo? - zainteresował się.

- Nie będzie padać jeszcze przez wiele dni, w tym czasie kot zgłodnieje i wróci do domu - odparła

DeAnne. Zdołała wreszcie otworzyć drzwi. - No dalej, wracaj do środka, Robbie.

- Myślisz, że kiciuś bawi się tam na dole moją piłeczką? - zapytał, przechodząc przez próg.

- Kiciuś - powiedziała Elizabeth. - Strętna dziura. Szystko zginęło.

- Co ja z tobą mam - westchnęła DeAnne. - Wygląda na to, że nic nie da się przed tobą uchować, Elizabeth.

- Pić - zażądała Elizabeth.

Robbie tymczasem pomknął do pokoju, który dzielił ze Steviem, już od progu wykrzykując historię o piłeczce i kiciusiu, i wstrętnej dziurze. DeAnne uśmiechała się, zabierając Elizabeth do kuchni, żeby przygotować jej coś do picia. Jeśli ktoś był w stanie wydobyć Stewiego z marazmu, tym kimś był Robbie.

Chwilę później Robbie wrócił do kuchni z nosem spuszczonej na kwintę.

- Mamo, Stevie powiedział mi: „Zamknij się i umrzyj”.

- Co? - zdziwiła się DeAnne.

- On już nie chce młodszego braciszka, mamusiu - stwierdził smętnie Robbie.

DeAnne postawiła Elizabeth na posadzce.

- Zostań przez chwilę z siostrą, zgoda?

- Mogę włączyć telewizor?

- Kabel nie jest jeszcze podłączony, nie ma więc na co patrzeć - powiedziała. - Lecz rób, jak chcesz.

Znalazła Stewiego leżącego na łóżku dokładnie w tej samej pozycji, co w momencie poprzedzającym wyjście na spacer.

- Synu? - zwróciła się do niego.

- Tak? - wymamrotał.

- Synu, usiądź, proszę, i spójrz mi w oczy.

Usiadł i spojrzał jej w oczy.

- Proszę, nie mów już nigdy bratu takich strasznych rzeczy.

- Przepraszam - odpowiedział.

- Naprawdę powiedziałaś mi: „Zamknij się i umrzyj”?

Stevie potrząsnął głową.

- Nie tak do końca.

- Co w takim razie powiedziałeś?

- Kazałem mu się zamknąć, a kiedy nie chciał przestać wrzeszczeć o wężu pożerającym kotka, powiedziałem mu po prostu: „Idź się utop”.

- Gdzie wcześniej słyszałeś takie wyrażenie?

- Każdy tak mówił w mojej dawnej szkole, mamó. To nie znaczy tak naprawdę, że chcę jego śmierci.

- Słuchaj, Robbie jeszcze tego nie rozumie. Nie możesz mówić takich rzeczy, nawet w żartach. Nie do własnego brata.

- Przepraszam.

Wyglądał jak siedem nieszczęść. DeAnne potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że po latach spędzonych we wspólnym pokoju z Robbiem, typowym ekstrawertykiem, Stevie mógł przeżywać chwile irytacji, gdyż kiedy już Robbie pomyślał o czymś, co można powiedzieć, mówił to, nawet błagany o milczenie. Po prostu nie umiał zdusić w sobie jakiegokolwiek problemu. Na cud zakrawało, że Stevie był taki cierpliwy w stosunku do brata.

- Mnie też jest przykro - wyznała DeAnne. - Nie powinnam była cię tak bardzo obwiniać. - Usiadła przy nim na skraju łóżka i objęła go. - Miałeś dzisiaj ciężki dzień, a ja ci wcale nie pomagam.

- Wszystko w porządku, mamó.

- Nie możesz mi powiedzieć, co zdarzyło się w szkole?

- Nic się nie zdarzyło - odparł Stevie.

- Poznałeś jakichś kolegów?

- Nie! - odpowiedział na tyle porywczo, że wiedziała, iż wiele mógłby dodać.

- Byli dla ciebie nieznośni?

- Nie - odpowiedział.

- Czy pani Jones jest miłą nauczycielką?

Najpierw skinął głową, potem wzruszył ramionami.

- Dostałeś zadanie domowe?

Potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym zostawiła cię samego na trochę dłużej?

Przytaknął.

Poczuła się taka niepotrzebna.

- Kocham cię, Stevie - powiedziała.

Wymruczał coś, co mogłoby oznaczać: „Ja cię też”, a kiedy wstała, położył się z powrotem i zwinął w kłębek.

Opuściła pokój, czując się mocno przygnębiona. Schodząc, słyszała telewizor włączony w sąsiednim pokoju. Robbie przełączał po kolei wszystkie programy, tak że dźwięk oscylował pomiędzy głośnym syczeniem i bardzo zniekształconym odbiorem lokalnych stacji. Przez krótką chwilę nie mogła zdobyć się, by wejść do pokoju, w którym przebywały dzieci. Miała rozpoznawać ich potrzeby i je zaspokajać, tymczasem zawiodła, gdyż za słabo znała psychikę własnych dzieci.

Podeszła do drzwi wyjściowych, otworzyła je i wyszła na ganek. Później, na przekór zdrowemu rozsądkowi, podeszła do krawężnika, aby spojrzeć w stronę studzienki ściekowej. Wstrętnej dziury. Po prostu, żeby przekonać się, czy kotek już wyszedł.

Z pewnością wyszedł, kiedy była w mieszkaniu, zatem na absurd zakrawało stanie w tym miejscu i obserwowanie. Powinna wrócić. Natychmiast. To była głupota.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się w stronę domu, a tam, na podwórku, między budynkiem a ogrodzeniem sąsiadów, stał szary królik. Robbie mówił, że widział jednego, nie wierzyła jednak, że dziki królik mógłby mieszkać w sąsiedztwie. Przez moment patrzył na nią bez lęku, a potem pokicał za dom.

Podążyła za nim w nadziei, że dostrzeże, gdzie ucieka. Króliki może są fajne i puszyste, ale przecież tak jak szczury i myszy mogą przenosić choroby. Musiała dowiedzieć się, gdzie żyje albo przynajmniej - skąd przyszedł. Lecz kiedy wyszła za dom, nie było po nim śladu.

Skradała się wzdłuż ogrodzenia z drewnianych sztachetek, by wypatrzeć, pod którą mógł się przedostać, nie zauważyła jednak żadnych dziur wielkości królika. Zbadała także płytki, którymi wyłożono podstawę domu, choć sama myślała, że pod jej domem mógł zagnieździć się królik, wywoływała u niej dreszcze. Nienawidziła sposobu, w jaki południowcy wznoszą domy, zaczynając bezpośrednio na poziomie ziemi, nie dbając o przyzwoity, betonowy fundament, jaki powinien mieć każdy budynek. Pod dom mogło dostać się cokolwiek - musiało tam się roić od pajęczyn i żuków, i nie wiadomo jakich innych paskudnych stworzeń, dokładnie tam, gdzie krzyżowały się z sobą wszystkie przewody, kable i rury centralnego ogrzewania. Czowała się naga, miała wrażenie, że dom jest całkowicie obnażony pod swym miękkim brzuszkiem.

Nie wyglądało jednak na to, by istniało jakieś miejsce, gdzie królik mógł przeniknąć pod budynek. Po prostu rozpuścił się jak kamfora. Może przedostał się na podjazd i z powrotem przed dom, podczas

gdy ja myszkowałam po drugiej stronie, pomyślała.

Powróciła przed dom i z przerażeniem stwierdziła, że drzwi wejściowe stoją otworem. Nigdy tak nie postępowala - miała bzika na punkcie zamków. Tym razem musiała się zapomnieć. Najzwyczajniej w świecie wychodziłam na werandę, przypominała sobie. Nie nosiłam się z zamiarem spacerowania po podwórku za domem w poszukiwaniu królika.

To nie było usprawiedliwienie.

Kiedy śpieszyła w kierunku drzwi, jakiś mężczyzna przestąpił próg. Był w jej domu! Nieznajomy! Sam z dziećmi! Krzyknęła.

Spojrzał na nią, przestraszony i zakłopotany. Starszy człowiek, białe włosy sterczały niczym piórka pod czapką baseballową.

- Proszę pani, przepraszam...

- Co pan robił w moim domu?! - Pokonała jakoś dzielącą ich przestrzeń i przemknęła obok, by stanąć w przejściu między nim a dziećmi.

- Proszę pani, drzwi zastałem otwarte. Wołałem i wołałem...

Krzyknęła przez ramię:

- Robbie! Robbie, czy wszystko w porządku?

- Proszę pani, musi pani zrozumieć...

- Precz stąd, zanim wezwę policję - powiedziała. - Jeżeli w jakiś sposób skrzywdził pan moje dzieci...

- Proszę pani - powtórzył - kiedyś tu mieszkałem. Nie pozbyłem się jeszcze przyzwyczajenia swobodnego wchodzenia do środka. Nie powinienem był tego czynić, wiem, jest mi tak wstyd, że panią wystraszyłem, zrobiłem błąd i proszę o wybaczenie, czasami wydaje mi się, że wciąż mieszkam w kraju, kiedy otwarte drzwi oznaczają: „Wejdz do środka, ktoś jest w domu”.

Robbie zjawił się za jej plecami.

- Wołałaś mnie, mammo?

- Co z twoją siostrzyczką?

- Złapaliśmy kiepski program w telewizji i ogląda faceta, który strzela ludziom w głowę.

- Dzięki, Robbie.

- Mogę już wracać, mammo?

- Tak, proszę bardzo, dziękuję.

- To dom mojego syna, Jamiego... - starzec wznowił swe przeprosiny.

- To nie daje panu jeszcze prawa...

- Zdaję sobie sprawę, jak już powiedziałem, myliłem się bardzo i przykro mi, nigdy już tego nie zrobię. Ale proszę pani, nie powinno się zostawiać drzwi otwartych. Ludzie w mieście wystrzegają się tego. Więc gdy ujrzałem je otwarte, postąpiłem jak zwyczajny prowincjusz i nawet dwa razy nie pomyślałem. Gdyby były zamknięte, zastukałbym i poczekał.

- Nie powinnam zostawiać ich otwartych - przyznała DeAnne. - To było nierozważne. Głupie.

- Bez przesady, nie głupie. Powiedziałbym raczej, że postąpiła pani ufnie i wręcz miło. Chociaż mam nadzieję nigdy nie napatoczyć się na panią w taki sposób, bo okrzykiem budzi pani umarłych.

DeAnne rozglądała się dokoła zażenowana. Najwidoczniej nikt jednak nic nie słyszał, a przynajmniej nikt nie szarżował ze swego mieszkania, słysząc głos kobiety krzyczącej o tej porze.

- Proszę pani, tylko po to wpadłem tutaj, żeby powiedzieć wam, że przez ostatnich piętnaście lat troszczyłem się o ten dom, odkąd mój chłopak wybudował go dla mnie i mojej pani, tyle tylko że umarła biedaczka, a mojego chłopca opuściła żona. Czuł się samotny w tym miejscu i chciał, żebym mu towarzyszył, potrzebował też pieniędzy za wynajem domu, by opłacić utrzymanie dziecka, wie pani, jak to jest. Przeprowadziłem się. Spędziłem tu tej zimy najsamotniejsze święta Bożego Narodzenia w życiu i chyba jestem zadowolony, że wyniosłem się stąd, i na pewno jestem zadowolony, myśląc o rodzinie, jaka się tu pojawiła. Cóż, w następne Boże Narodzenie Święty Mikołaj odwiedzi ten dom, niech pani tylko o tym pomyśli!

Teraz, kiedy opuszczał ją strach, dostrzegła w tym staruszkę niegroźnego człowieka.

- Nazywam się Bappy Waters - powiedział.

- Pappy? - zapytała DeAnne.

- Bappy, przez B. Skrót od prawdziwego imienia, które brzmi Baptize.

- E, chyba nie - powiedziała DeAnne.

- O, tak. Mój papa był kaznodzieją baptystów, wierzył w chrzest, tak jak inni wierzą w powietrze. Chrzest to remedium na wszystkie dolegliwości. Niektórzy ufają doktorom albo nawet nakładaniu rąk, lecz papa... on po prostu pchał cię do wody i trzymał w niej tak długo, póki diabeł nie dał drapak. Był głęboko wierzącym baptystą ten mój papa, a ja byłem jego pierworodnym. A na dodatek to nasze nazwisko Waters, moje imię musiało już tak brzmieć, nie inaczej, jeśli o tym pomyśleć. Co prawda uwziął się, żeby ochrzcić mnie Baptize All God's Children in the Holy, lecz mama wtrąciła swoje trzy grosze mówiąc, że jeśli nazwie tak dziecko, zasłuży na to, że kiedy chłopiec dorośnie, zastrzeli go, a każdy sąd wyda werdykt, że sprawiedliwości stało się zadość. Nie żebym tam był, słuchając tej rozmowy, proszę zauważyć, lecz tak mi opowiadano, może być pani pewna.



DeAnne nie potrafiła opanować śmiechu. Ze staruszka był nie lada bajerant. Mogła zrozumieć, jak człowiek ze wsi, syn kaznodziei, mógł zachować się przy otwartych drzwiach odmiennie od przeciętnego mieszcza. Jak jego wkroczenie do środka nie znaczyło nic strasznego. W rzeczywistości przyjemnie jest wyobrazić sobie życie w łatwiejszych czasach, kiedy mogłaś zostawić otwarte drzwi, a przypadkowy gość, wtykając głowę do środka, zastałby cię w kuchni piekącą chleb lub wycierającą podłogę, a ty, porzuciwszy swe obowiązki, poczęstowałaś go lemoniadą i zabawiła pogawędką. W czasach przed telewizją i telefonami, i pilnymi sprawami. Bappy Waters był gościem z łatwiejszych czasów.

- Co w takim razie pana tu sprowadziło?

- No wie pani, znam ten dom na wskroś. Gospodarzyłem tu przez piętnaście lat. Jeśli coś się zepsuje, zatka rura z wodą, kabel się rozłączy, no cóż, mam narzędzia i doświadczenie, wiem, gdzie co jest. Dlaczego więc kazać jakiemuś nieznanemu czołgać się na stryszku lub szperać pod podłogą, kiedy ja wiem dokładnie, co się gdzie znajduje, a poza tym ja wam to załatwię za darmo.

- Och, nie ośmieliłabym się prosić...

- Zwyczajnie chronię własność syna, proszę pani.

- Proszę mówić mi DeAnne.

- No dobrze, z przyjemnością. Znałem kiedyś jedną DeAnne, była najśliczniejszym stworzeniem w hrabstwie. Umarła, będąc jeszcze dziewczuszką, utopiła się, kiedy jej chłopak, prowadząc po pijanemu, wjechał do Dan River w czasie wiosennego wylewu. W tamtych dniach w hrabstwie jeździło ledwie pół tuzina samochodów, gnębiło nas bezrobocie i w ogóle. Chociaż mówiąc prawdę, w hrabstwie Gary kryzys nastąpił gdzieś w połowie wojny między stanami, nie popuścił aż do dzisiaj. - Zaśmiał się, a ona z nim razem.

- Tak na marginesie, twoje dzieci właśnie oglądają telewizję, mógłbym z miejsca podłączyć kabel.

- Jeszcze nie zapłaciliśmy za kablówkę.

- Nic prostszego, krótki spacer do biura, płacisz i wszystko gra. Dają ci wtedy skrzynkę, jeżeli chcesz jakieś programy ekstra. Lecz dom jest podłączony jak należy, mówię ci, wkładasz po prostu wtyczkę do ściany; kiedy zwracałem swoją skrzynkę pod koniec grudnia, to oni postanowili zostawić tu wszystko podłączone, nie ma więc mowy o kradzieży czegokolwiek.

- No cóż, w takim razie każę mężowi podłączyć kabel - powiedziała. - Kiedy wróci do domu, czyli już zaraz.

Bappy, pokiwawszy głową, dotknął brzegu swojej baseballówki.

- To zrozumiałe. Po tym, w jaki sposób zastałaś mnie w obejściu, nie masz zbyt wielkiej ochoty wpuszczać mnie do środka, nie mam o to ani odrobinę pretensji. Coś ci powiem, tutaj jest mój numer. Już go zdążyłem zapisać na kartce. Jeśli coś niedobrego wydarzy się w domu, byle co, proszę dać mi

znać. To do domu, który obecnie dzielę z Jamiem, zawsze można mnie tam zastać, a kiedy nie można, maszyna odbiera, uwierzysz? Jeśli czegoś sam nie będę potrafił naprawić, zawołam kogo trzeba.

- Dziękuję - powiedziała, przyjmując karteczkę.

- Czasy są ciężkie, a komorne dostatecznie wysokie, żebyście nie musieli martwić się o koszty napraw i takich rzeczy. Traktujcie to jako rabat. - Znowu wyszczerzył zęby, dotknął brzegu czapeczki, wycofał się na podjazd i potem skręcił w lewo, za dom. To powtórnie napełniło ją trwogą: dokąd on idzie?

Podeszła do miejsca, gdzie za rogiem budynku podjazd łączył się z pasem żywoplotów, przybysz właśnie odjeżdżał niewielkim pikapem ze sprzętem ogrodniczym i kilkoma sporymi metalowymi skrzynkami na narzędzia ułożonymi zgrabnie na przyczepce. Wychylał się z okna, by zobaczyć, jak mu idzie wycofywanie i oczywiście zauważył ją mijając. Zatrzymał pikapa.

- Miło było cię spotkać - powiedział.

- Pana również - odrzekła, choć nie było to dla niej aż tak miłe spotkanie. No tak, prawdę mówiąc, było miłe, kiedy opuścił ją pierwszy strach, tylko wciąż czuła pewien niepokój; chociaż wszystko już rozumiała, ciągle jej serce biło tak silnie, że czuła pulsowanie w głowie.

- Hm, nie wiem, jak to wyrazić, wygląda na to, że wpadłaś w nałóg, który trzeba zniszczyć najściami w moim stylu. - Wskazał na drzwi.

Odwróciła się. Powtórnie zostawiła je otwarte. Odwróciła się ponownie, wściekła na siebie, z zamiarem wytłumaczenia się - po prostu podeszła na podjazd, by sprawdzić, co on robi. Samochód wyjeżdżał jednak już na drogę, kierowca podśmiewał się pod nosem, na to przynajmniej wyglądało. Na końcu pomachał bez troski i odjechał.

Kiedy tylko wróciła do środka, musiała zaryglować drzwi, przejść się po całym domu, zaglądając za wszystkie meble, sprawdzając zakamarki, łazienki, kredens - żeby przekonać się, że nic nie wziął, nie przestawił, nie zostawił, niczego nie tknął. Zapragnęła powyciągać wszystko i umyć. A gdzieś w zakamarkach umysłu tłukło się pytanie - a jeśli coś oprócz starego Bappy'ego wkradło się do mieszkania, być może przed nim, a teraz ukrywało się w ciszy, czekając, aż wszyscy położą się spać?

Kiedy spacerowała po mieszkaniu, miała świadomość, że to irracjonalne sprawdzać wszystko w ten sposób, tak jednak postępowała jej matka, kiedy wracali do domu z wycieczki. Poza tym, jeżeli DeAnne pomyślała już o możliwości przeniknięcia do domu jakiejś obcej istoty, musiała się przekonać. Nie umiała po prostu zapomnieć. Jej umysł działał inaczej.

Wrzasnęłam, na podwórku przed domem, krzyk był donośny, ale ani jeden sąsiad nie wyjrzał, żeby sprawdzić, z jakiego powodu.

Step zadzwonił o 17:30, uprzedzając, że się spóźni, lecz jeden z kolegów z pracy podrzucił go do

domu. Nie chciał, by czekać nań z obiadem. Kiedy wspomniała o kolacji u Cowperów, rzekł: „Weź moje zdjęcie i powiedz, że jestem podłym mężem, który jeszcze nigdy nie wrócił na czas do domu, odkąd pracuje w Eight Bits Inc.”.

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała DeAnne.

- I prawdziwe.

- Proszę, bądź w domu przed ósmą, dobrze? Stevie miał dziś w szkole okropny dzień i nie chce ze mną o tym porozmawiać.

- No tak, pora na rozmowę ojca z synem.

- Jeszcze go takiego nie widziałam, Step.

- Wrócę.

Zabrała dzieci do Cowperów, zrobił się z tego niezły cyrk. Dzieciaki Cowperów były tak niezdyscyplinowane - biegały wokoło i pokrzykiwały dziko - że Robbie wkrótce dołączył do nich, a Elizabeth tylko dlatego pozostała na miejscu, że DeAnne mocno ją trzymała. Stevie dla odmiany siedział przy stole i grzecznie zjadał wszystko, co mu podawano. Niskim głosem odpowiadał na pytania, samemu nie wychylając się z żadnym. DeAnne dręczyło podejrzenie, że cokolwiek wyprowadziło Stewiego z równowagi w szkole, nie było dłużej powodem jego zachowania. To, co teraz w nim dostrzegała, to posępność i uraza. Biernie okazywana złość. Stewiego w jakiś sposób skrzywdzono w szkole, obecnie był po prostu wściekły.

Cowperowie tymczasem nie mieli pojęcia, że coś nie gra. Może dlatego, że nie zwracali nigdy uwagi, co robią ich dzieci, zostali przy stole i rozmawiali przez chwilę po kolacji. DeAnne nie potrafiła sobie przyswoić ich nastawienia do opieki nad dziećmi. Poczula neodpartą potrzebę sprawdzenia, co dzieje się z Robbiem i czy jest bezpieczny. Kto wie, jakie szalone zabawy mogą wymyślić dzieci Cowperów? Czy nie widziała, jak tego popołudnia wspinają się na dach samochodu? Podczas rozmowy po kolacji ogarniał ją coraz wyraźniejszy niepokój; używając jako wymówki zbliżającej się pory położenia Elizabeth do łóżka i prawdopodobieństwa przyjazdu męża, o siódmej trzydzieści zdecydowała wrócić do domu.

Na zewnątrz było mroczno, przez całą drogę powrotną Robbie opowiadał Stewiemu przygody z wcześniejszego spaceru. Robbie obszedł wstrętą dziurę z daleka, przykazując reszcie, żeby była równie ostrożna. Mimo to Stevie obrał kurs prosto przed siebie, mijając dziurę tak blisko, jak to tylko możliwe, co napędziło Robbiemu strachu.

- Stevie - powiedziała DeAnne. - Możesz być na mnie obrażony, ale Robbie nie zrobił ci nic złego.

Po chwili Stevie odezwał się:

- Przepraszam, Robbie. Następnym razem będę uważał.

To zmniejszyło wzburzenie Robbiego - taka była prawda: jeśli Robbie był w pobliżu, Stevie nie

mógł zrobić nic złego. Robbie chyba urodził się z darem - albo też z klątwą - empatii. Jeśli Steviemu, Elizabeth, Stepowi lub DeAnne było przykro, Robbie niemal wpadał w szal, gdyż zdawał sobie sprawę z własnej niemocy. Musiał coś zrobić, żeby im pomóc, lecz w wieku czterech lat nie miał pojęcia, co by to mogło być. Niemal całe życie przede wszystkim zwracał uwagę na innych. DeAnne zadawała sobie pytanie, czy miłosierny, chrystusowy charakter jest czymś nabytym, czy też należy się z tym urodzić. Może całe chrześcijaństwo polega na tym, żeby zaszczepiać normalnym śmiertelnikom przekonanie, że powinni żyć, czuć i myśleć w sposób właściwy nielicznym, specjalnym ludziom, których natura obdarzyła szczególnymi darami. W takim wypadku większość wierzących mogła skończyć sfrustrowana niemożnością sprostania wymaganiom albo sprostaniem im i nieodczuwaniem radości ze stłamszenia naturalnych instynktów.

Nonsens, stwierdziła. Nasz wybór kształtuje nasze osobowości. Robbie jest tak przejmująco litościwy, gdyż taki jest jego duch, zawsze był, na długo przed narodzinami chłopca. A jeśli ja nie jestem taką dobrą osobą jak on, nie znaczy to wcale, że nie mogę taką nauczyć się być. Wierzyć w coś innego oznaczałoby poddać się rozpacz.

Wierzyć w coś innego oznaczałoby odrzucenie wszelkich decyzji, jakich dokonała w życiu.

O ósmej Stepa nie było jeszcze w domu. DeAnne ułożyła Elizabeth i Robbiego do łóżek, pozwalając jednak Steviemu nie kłaść się jeszcze przez jakąś chwilę, dopóki nie wróci Step.

- Usiądź i poczytaj mi książkę.

Usiadł przy niej, mówiąc:

- Nie mam ochoty na czytanie.

- Zobaczmy w takim razie, co jest w telewizji.

Niestety, z powodu nie podłączonego kabla nic nie dało się oglądać - zły odbiór, tylko trzy kanały VHF, może cztery. I dwa kanały UHF, jeden z rozmazanym starym westernem i jeden z wykrzykującym sprzedawcą używanych samochodów. Powinna była pozwolić staruszkowi podłączyć ten kabel. Baptize. Bappy. Co za imię. Oczywiście będzie musiała zdać relację Stepowi, co porabiała w czasie dnia. Jak zostawiała otwarte drzwi. A może nie powinna, żeby się nie martwił. Lecz nie, musiała mu powiedzieć, nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, zwłaszcza omawiali rzeczy, które czyniły z nich osoby niepoważne. Tylko że tym razem nie chodziło o to, czy DeAnne będzie wyglądać na niepoważną, ale o bezpieczeństwo dzieci. Step nie mógł notorycznie martwić się o ich bezpieczeństwo, musiał się skoncentrować na pracy. Oprócz tego, jeśli mu powie, nie zgani jej, obwini siebie za zbyt późny powrót, za to, że musi teraz zniknąć na całe dni z domu, zostawiając ją samą z dziećmi i ze wszystkim. Nie, nie będzie to najprzyjemniejsza historia do opowiedzenia. Nie może tego jednak ukrywać. Wołałaby zapisać wszystko w rodzinnym pamiętniku i powiedzieć mu później, dużo później, kiedy upłynie kilka tygodni, nie, miesięcy, a ona nigdy nie zapomni zamknąć drzwi.

- Chciałbym zagrać w Kaboom - rzekł Stevie.

Westchnęła w duchu. Wolał zagrać w grę wideo, niż posiedzieć przy niej. W grę, w której nie mógł wygrać, grę, która zawsze doprowadzała go do furii, tak że walił pięścią w komputer lub rzucał joystickiem, dopóki Step kilka razy nie zakazał mu zabawy komputerem, by pomóc mu nauczyć się kontrolować gniew.

Tego wieczoru najwidoczniej postawił na gniew.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Nie wiem jednak, gdzie są cartridge.

- Tutaj - odparł, podchodząc bez wahania do kartonowego pudełka i wydobywając z niego plastikowe pudełko z grami do Atari. Step zmontował komputery tuż po rozłożeniu łóżek, a Stevie oczywiście wiedział, gdzie co jest.

Zbliżała się dziewiąta i DeAnne miała już zamiar wysłać Steviego spać, kiedy pojawił się ostatecznie Step. Wiedział, że ich zawiódł, i czuł się przez to okropnie.

- Tak mi przykro. Czy poszedł już spać?

- Gra w Kaboom - odpowiedziała.

Przeszedł do dziennego pokoju i kucnął przy chłopcu.

- Synku, wybacz, że się spóźniłem. Nie miałem samochodu, poza tym wyszukiwaliśmy błędy w oprogramowaniu, ja wciąż powtarzałem, że muszę wracać do domu, on zaś na to: „Jeszcze tylko poprawimy to i sprawdzamy”, i tak w kółko. A to był jego samochód, co mogłem powiedzieć? Nawet teraz jest na mnie wściekły, że odjechałem, nie ukończywszy zadania.

Stevie nic na to nie powiedział, zajęty przekrzywianiem drążka w lewo i w prawo i łapaniem niewielkich bombek spadających z góry ekranu. Nagle nie trafił w jedną i wszystkie bomby na ekranie eksplodowały.

- Stevie, mama mówiła, że wróciłeś dziś ze szkoły nie w humorze. Nie chcesz mi powiedzieć, jak ci poszedł pierwszy dzień?

Stevie wpatrywał się nieruchomo w ekran, aż w końcu oznajmił:

- Nie chcę mówić z tobą o tym.

To dotknęło Stepą do żywego, DeAnne zauważyła to natychmiast.

- W takim razie, z kim chcesz o tym pomówić?

- Z mamą - odpowiedział Stevie.

DeAnne nie wierzyła własnym uszom.

Step powstał.

- Chce mnie ukarać za późne przybycie do domu - powiedział - i być może za nieodwiezienie go rano do szkoły. - Taki był zwyczaj Stepa, głośna interpretacja zachowania dzieci, tak by mogły zobaczyć, że nie dał się zwieść, albo poprawić go, jeśli był w błędzie.

Stevie nie poprawił go, więc Step kontynuował swój wywód:

- Jeśli tylko zechcesz porozmawiać z którymkolwiek z nas, wszystko w porządku. A jeśli starałeś się zranić moje uczucia, udało ci się. Naprawdę przykro mi, że nie było mnie tu w chwili, gdy tego potrzebowałeś, tłumaczyliśmy ci jednak, że tak niestety musi przez jakiś czas być. Większość ojców musi chodzić do pracy, a kiedy chodzisz do pracy, nie zawsze możesz wrócić, kiedy twoje dzieci tego chcą. Tak to już jest, jeśli chcemy mieć na stole jedzenie i dach nad głową.

Stevie w dalszym ciągu milczał. DeAnne jeszcze nigdy nie widziała go takiego zawziętego. W rzeczywistości nigdy nie widziała, żeby w ogóle był zawzięty. Być może to, co zdarzyło się dziś w szkole, naprawdę było straszne, tak straszne, że Stevie nie umiał wybaczyć ojcu, że nie był tam, aby go obronić.

Tak czy inaczej wkrótce się dowie.

- No dobrze, Stevie - powiedziała. - Chodźmy do twojego pokoju, tam mi opowiesz, co się wydarzyło.

- Ale nie przy Robbiem - zastrzegł się.

- W porządku, pójdziemy do mojego pokoju - zdecydowała. - Step, jeśli nie możesz doczekać się kolacji, naszykuj sobie coś tymczasem, ale jeśli poczekaasz, przyrządzę jakiś omlet.

Step skinął głową, pochylając się w stronę półki z książkami. Kiedy wychodziła w ślad za Steviem z pokoju, pomyślała, że nigdy dotąd nie oglądała Stepa tak przybitego, tak załamane. Miała ochotę pójść do niego, objąć i pocieszyć... Była jednak pewna, że Step zrozumie, zgodzi się, że ważniejsza teraz jest rozmowa ze Steviem. Potrzeby dziecka zawsze były ważniejsze od potrzeb dorosłych. Tak to już musi być, kiedy ma się dzieci. Taki kontrakt podpisuje się z dziećmi, kiedy wzywa się ich duszyczki z zaświatów, że dopóki będą małe i potrzebujące wsparcia, zrobisz wszystko, żeby spełnić ich pragnienia, nim zrobisz cokolwiek, by spełnić pragnienia innych.

Usiedli obok siebie po jej stronie rozłożystego łóża, które otrzymali od rodziców Stepa jako prezent ślubny.

- Co się dzisiaj wydarzyło, Stevie? - rozpoczęła DeAnne.

Prawie natychmiast jego oblicze skurczyło się i powstrzymywane do tej pory łzy popłynęły ciurkiem, jak wtedy w samochodzie.

- Nie mogłem ich zrozumieć, mamo!

- Co masz na myśli?

- Nie mogłem zrozumieć, co mówią! Do mnie, oczywiście. W klasie rozumiałem większość, szczególnie kiedy rozmawiali z panią nauczycielką, ale kiedy mówili coś do mnie, prawie nic nie rozumiałem, stałem więc tylko i w końcu powiedziałem: „Nie wiem, co mówicie”, na co oni nazwali mnie głupkiem i niedorozwojem.

- Kochanie, wiesz przecież, że nie jesteś głupi. Wiesz, że w szkole masz same piątki.

- Nie mogłem jednak nic zrozumieć. - W jego głosie pojawiła się porywczość; większa część gniewu, uświadomiła sobie, musiała mieć źródło we frustracji, jaką odczuwał, gdy nie mógł porozumieć się z innymi dziećmi. - Zapytałem, w jakim języku mówią, odpowiedzieli, że po amerykańsku, potem zaczęli nabijać się z moich słów. Jakbym powiedział coś nie tak. Lecz ja nic złego nie powiedziałem!

- Kochanie, powinieneś zrozumieć, to szkoła w wiejskiej gminie Steuben. Szkoła prowincjonalna. Mają tu ciężki południowy akcent.

- Ale oni rozumieli, co ja mówię.

- Ponieważ ty mówisz normalnym językiem amerykańskim. Jak w telewizji. Wszyscy oglądają telewizję, przyzwyczaili się więc do twojego akcentu.

- Dlaczego w takim razie oni nie mówią w ten sposób?

- Może za kilka pokoleń będą. Na razie jednak mówią z południowym akcentem. Poza tym coś rozumiałeś z tego, co mówili, w przeciwnym razie, skąd byś wiedział, że nazywają cię głupkiem i niedorozwiniętym?

Zaczął płakać intensywniej.

- Kazałem jednej dziewczynce napisać to dla mnie. Dlatego wiem. Potem wszyscy to napisali. Głupki i niedorozwój. Napisali to na kartkach i dawali mi je. Przez cały dzień. Ale i tak ich nie czytałem. To znaczy po dwóch pierwszych.

- To było bardzo mądre z twojej strony - pocieszyła DeAnne. - A z ich bardzo okrutne.

- Ale kiedy pod koniec zajęć chciałem wyjść, zostawiając te wszystkie papiery na ławce, pani Jones kazała mi wrócić, pozbierać wszystkie i zabrać z sobą. - Myśl o tym poniżeniu wywołała w nim dreszcz. - Wtedy pozbierałem je i wrzuciłem do śmieci, a ona skrzyczała mnie za to.

- Skrzyczała cię?

- Powiedziała, że mam antykoleżeńskie podejście i źle mi z oczu patrzy, i że powinienem nabrać manier albo się nigdy nie zgram z innymi.

Objęła go ramieniem.

- Och, synku, tak mi przykro. Nigdy nie powinna mówić takich rzeczy.

- Wszyscy są tam przeciwko mnie, mammo - powiedział. - Nawet pani nauczycielka.
- Stevie, wiem, że tak to wygląda...
- Nie wygląda, ale jest!
- Pani Jones po prostu nie wiedziała, co to za papiery i co inne dzieci mówiły.
- Ona mówi dokładnie tak jak one, mammo - zaprzeczył. - Nienawidzą mnie, bo jestem z Utah!
- Dzieci są okrutne - wyjaśniła DeAnne. - Wiesz o tym przecież, widziałeś, jak traktowały Barry'ego Wimmera. - Przypomniała sobie słowa swoich rodziców. - Nie wszystkie dzieci żartowały z ciebie, no nie? Czy większość nie stała na uboczu, tylko patrząc?
- Nie broniły mnie.
- No pewnie, tylko patrzyły. Patrzyły, a ty myślałeś, że zgadzają się z tymi łobuzami. Lecz to nieprawda, Stevie. One jeszcze po prostu... one jeszcze nie zdecydowały. Więc jeśli zobaczą cię jutro z uniesioną głową i...
- Nie każ mi tam wracać, mammo! - zawołał Stevie. Drżał cały. - Nie każ mi wracać do klasy! Nie do klasy pani Jones! Nie każ mi!
- Synu! Uspokój się, proszę, uspokój się. - Nie miała pojęcia, co teraz począć. Wszystkie naturalne instynkty podpowiadały jej: „Tak, Stevie, masz rację, ta klasa jest ostatnim miejscem na ziemi, do którego cię kiedykolwiek pošlę, możesz zostać ze mną w domu, gdzie będziesz bezpieczny do końca życia”. Wiedziała jednak, że jakkolwiek bardzo chciałaby tak powiedzieć, nie może. To byłoby złe posunięcie. - Tych spraw nie mogę kontrolować, nie mogę trzymać cię z dala od szkoły, nie wolno mi też wysłać cię do innej klasy bez wiedzy i zgody pani Mariner.
- Nie każ mi wracać - wyszeptał.
- Synku, zobaczysz, jutro być może wciąż ci będą dokuczać, lecz to nie będzie już nic nowego, znudzą się więc i wymyślą coś innego. A po kilku dniach miłsze dzieci zaczną się z tobą kolegować. Prócz tego przywykniesz do sposobu, w jaki mówią, będziesz ich rozumiał i wszystko będzie dobrze.
- Nigdy nie będzie dobrze - powiedział, wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Żałośnie, a zarazem śmiesznie wyglądał ten jego wypaczony furią chód, ta chęć okazania siły przy otwieraniu drzwi, zakończona grzebaniem się z klamką, gdyż był jeszcze za mały, żeby klamki u drzwi nie sprawiały mu trudności. Niemniej jedno było pewne. Nie obędzie się bez rozmowy z panią Mariner.

Książka telefoniczna Steuben leżała przy telefonie w kuchni. Step siedział przy stole, pałaszując kanapkę z tuńczykiem. Z musztardą, co zawsze wywoływało w niej uczucie mrowienia, nie zjadłby jej jednak inaczej.

- O co chodziło? - zapytał.



- Dzieciaki naśmiewały się z jego sposobu mówienia i faktu, że nie rozumie ich akcentu, a potem pani Jones zbeształa go za to, że nie był dostatecznie grzeczny względem niej i nich!

- Dorośli czasem zachowują się idiotycznie wobec dzieci.

- Błagał, żebym nie posyłała go jutro do szkoły.

- Więc niech posiedzi w domu.

- Mówisz poważnie? - Nie mogła uwierzyć, że to właśnie powiedział.

- Nauczycielka jest niesympatyczna, a dzieciaki to gnojki - wyjaśnił prosto. - Niech posiedzi w domu.

Nie znosiła, kiedy używał podobnych wyrazów, choć najwidoczniej uważał, że są zabawne. Ujmowały mu lat, jakby była jego matką, a nie żoną. Dawno już zrozumiała, że lepiej udawać, że się niczego nie zauważa, niż robić z tego chryję.

- Nie możemy tak postąpić - powiedziała DeAnne. - Za wagarowanie są kary, wiesz przecież.

- Tylko jeden dzień. Jutro zadzwonisz do pani Mariner i poprosisz, żeby go przenieśli do innej klasy.

- Zamierzałam zadzwonić do niej jeszcze dziś.

- Godziny pracy są jutro. Teraz są godziny odpoczynku.

- To poważny problem, Step, ona zrozumie, dlaczego dzwonię tak późno. Nie mogę pozwolić, żeby opuścił jutrzejszy dzień, w przeciwnym razie pomyśli, że może uciec od szkoły, kiedy tylko zechce uniknąć nieprzyjemności.

- Moja mama pozwalała nam zostawać w domu - odrzekł. - Jeden dzień. Jeden dzień w roku, mawiała, jedno z dzieci zawsze mogło zostać w domu bez wyraźnego powodu. Każde miało tylko jeden dzień, ale miało. Przez większość lat nie wykorzystywałem tego przydziału. Lecz lżej było wiedzieć, że ma się taki jeden dzień. A kiedy przychodził taki czas, że nie chciałem iść, że niemal zdecydowałem się już nie iść, udawałem się do szkoły z własnego wyboru, nie zaś z czyjegoś rozkazu. Myślę, że to dobry plan.

- Ale to dopiero jego drugi dzień w szkole - oponowała DeAnne. - A jeśli dr Mariner nie pozwoli mu przenieść się do innej klasy? Sądzisz, że w środę będzie mu łatwiej?

- Być może - odparł.

- Być może nie. Nie rozumiem, w czym pomoże mu trzymanie się matczynego fartuszka, kiedy będzie mu ciężko.

Step tylko siedział, spoglądając na kanapkę.

- Rób, jak uważasz - rzucił.

- Och, Step, nie bądź taki. Myślałam, że dyskutujemy.

- Nie, masz rację. Powinien pójść. Chyba zacząłem się zastanawiać, czy jeślibym nie poszedł jutro do pracy, nie byłaby to najlepsza rzecz pod słońcem. Tyle tylko, że gdybym został jutro w domu, nie wróciłbym już nigdy. Tak więc masz rację. - Spojrzał do góry, uśmiechając się. - Musisz odesłać swoich małych chłopców z powrotem na chłodny, okrutny ocean.

- Aż tak źle dzisiaj było?

- Nie źle, po prostu dziwnie. Nie ma się o co martwić. Było kilka takich chwil, że miałem ochotę czmychnąć, lecz czego oczekujesz? Od dawna nie pracowałem dla nikogo, jedynie dla siebie, dlatego opanowało mnie przygnębienie i chęć buntu. - Ugryzł kromkę, ona jednak milczała. - Następnie wracam do domu i oto Stevie jest na mnie wściekły - pomyślałem, że słusznie. Powinienem być wtedy w domu. Niepotrzebnie chwytalem się tej pracy, trzeba było upakować, ile się da, do samochodu i zwać stąd z powrotem do Indiany albo do twoich rodziców, powinienem siedzieć w suterenie, ucząc się programowania idiotycznego Commodore'a 64, z nadzieją, że gdzieś pomiędzy stanem obecnym a bankructwem wystrzelę ze świeżą grą, co pozwoli nam cieszyć się niezasłużonymi pieniędzmi, jak rok temu.

- To nie były niezasłużone pieniądze - wtrąciła.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Jeśli chcesz rzucić pracę, proszę bardzo - powiedziała. - Jeśli będziemy musieli przenieść się, zrobimy to.

- Nie - rzekł Step. - Myślisz, że nie przemyślałem wszystkiego? Nie stać nas na następną przeprowadzkę, na ciężarówkę, nie mamy nawet dość gotówki, by przeżyć ten miesiąc, a co dopiero mówić o przenoszeniu się do innego stanu. Z naszych kart kredytowych już nici. Nie mamy wyboru, chyba że chcemy koczować na ulicy. Jutro wracam do pracy, Stevie wraca do szkoły, a jeśli nienawidzi mnie za to, że nie jestem tam przy nim, to taka już dola ojca. - Zaśmiał się gorzko. - Synowie zawsze nienawidzą ojców. Tylko nie aż tak wcześnie.

- On cię nie nienawidzi - zaprzeczyła DeAnne. - Jest po prostu... przygnębiony.

- Zadzwoń do pani dr Mariner, zanim zrobi się naprawdę późno.

Wyszukała numer telefonu i zadzwoniła. Było już dobrze po dziewiątej i mogła wyrwać dyrektorkę z łóżka, lecz dr Mariner była kobietą południa, zaprzeczyła zatem, jakoby telefon sprawił jej jakąkolwiek przykrość, a kiedy DeAnne opowiedziała o problemach Stewiego w szkole, dr Mariner zagdakała z sympatią.

- Proszę mnie posłuchać - odparła. - Jutro potrzynam Stewiego w gabinecie, żeby przeszedł kilka testów, koniecznych tak czy inaczej. Testy kwalifikacyjne, by przekonać się, czy powinien zostać objęty naszym programem dla utalentowanych dzieci. Jego wyniki z tamtej szkoły w Indianie robią duże wrażenie, wie pani. A w czasie testów porozmawiam z panią Jones. I albo zmienimy mu klasę,

albo pani Jones zadba o to, żeby w starej nie było mu źle. Co pani na to?

- Jest pani cudowna, dr Mariner - powiedziała DeAnne, próbując powstrzymać falę podziękowań cisnących się na usta. - Dziękuję.

- Ja pracuję przez cały dzień, pani Fletcher. Dziękuję za telefon. Dobranoc.

- Dobranoc.

DeAnne odłożyła słuchawkę i opadła na krzesło.

- Dobre wieści, jak sędzę - zauważył Step.

- Nie wyśle go do klasy, zamiast tego zrobi mu testy kwalifikacyjne - poinformowała DeAnne. - Następnie albo go przeniesie, albo zapewni w klasie pani Jones odpowiednie traktowanie.

- No widzisz? Miałaś słuszość. Trzeba było zadzwonić do niej jeszcze dziś. Dlatego wybrałem ciebie na matkę moich dzieci, ponieważ jesteś tysiąc razy sprytniejsza ode mnie.

- Wcale nie chciałam posyłać go jutro do szkoły, Step.

- Wiem.

- Chciałam zatrzymać go w domu.

- Wiem, Rybia Damo. Serce masz tak miękkie, że umarłabyś z nadmiaru współczucia, gdybyś nad nim nie zapanowała.

- Teraz się ze mnie nabijasz.

- Jesteś cudowną żoną i matką, i lepiej idź teraz oznajmić Steviemu dobrą nowinę, zanim dostanie wrzodu żołądka.

- Chodź ze mną - zaproponowała.

- On nie chce mnie widzieć.

- Step, nie bądź taki drażliwy jak on.

- Co z moją kanapką?

- Niech wyschnie. Usmażę ci jajka.

- Zjadłem w pracy dwa batoniki, nie potrzebuję zatem obiadu - powiedział, podążając za nią korytarzem do pokoju chłopców. - Obrosnę w tej pracy tłuszczem. Tuż za rogiem mojego biura stoi automat z batonami. Dwadzieścia kroków i mam w ustach Snickersa.

- Odradzałabym. Zbyt wiele kosztowało cię zejście do tej wagi.

Rzecz jasna, Stevie jeszcze nie spał. DeAnne wyjaśniła, co zasugerowała pani Mariner.

- Czy to nie cudowne?

Stevie skinął głową.

- To naprawdę dobra dyrektorka, Stevie. Pamiętaj zatem, masz w szkole przynajmniej jednego przyjaciela.

Powtórnie skinął głową. Potem, spoglądając na ojca, sięgnął ręką do szyi DeAnne, przybliżył się ku niej i szepnął w ucho:

- Ale nie powiedziałaś tacie, że płakałem?

Omam nie obwieściła mu, że tata chciał go zatrzymać jutro w domu, lecz dawno temu zdecydowali, że nigdy, decydując o losach dzieci, nie okażą, że się w czymś nie zgadzają, by te nie obrały strony jednego z rodziców przeciwko drugiemu. Zamiast tego potrząsnęła więc głową.

- Nawet gdyby się domyślił - szepnęła - nie ma się czego wstydzic.

- Wiem. Ale nie mów. - Położył się, a ona powtórnie ułożyła go do snu, po czym zgasila światło.

- Zostaw światło w korytarzu! - rzekł Robbie głośno.

- Jesteś wciąż przytomny, Chrabąszczu? - zapytał Step.

- Niech nikt nie idzie jutro do szkoły - powiedział Robbie. - Stevie ani ty, tato!

- Nie mam ochoty - odparł Step. Światło zostawił włączone.

## **Rozdział piąty**

### **Hacker Snack**

Oto jak Step spędzał dni: przeważnie jeździł do pracy, zostawiając samochód DeAnne, kiedy potrzebowała go na zakupy. Wolałby zostawiać go zawsze, nigdy jednak nie wiedział, kiedy wróci, a przy takim niepewnym harmonogramie zajęć ciężko jest ciągle prosić o podwiezienie.

Dzień pracy zwykł zaczynać od odwiedzenia dziupli programistów, wielkiego pomieszczenia zawierającego nawet więcej komputerów niż gabinet Gallowglassa. Większość maszyn została już włączona i pracowała, zwykle wyświetlając na ekranach setki linii asemblera, choć czasami zdarzały się wyblakłe kolory sześćdziesiątekczwórek. Kiedy przechodził od maszyny do maszyny, programiści opowiadali, nad czym pracują, czasami miewali problemy, wówczas przysuwał krzesło i pomagał namierzyć usterkę w kodzie lub znaleźć jakieś proste, eleganckie rozwiązanie. Step czuł się nieswojo, gdyż wszyscy programiści znali zasady działania sześćdziesiątekczwórek lepiej niż on i często sam musiał zadawać pytania. „Co masz w tym rejestrze?” lub „Co to znaczy, że przechowujesz wartość w tej komórce?” Oni trochę podśmiewali się, odpowiadając: „Tam obecnie lokujemy dane o znaku”, „To jest obwiednia dźwięku”. Ton, jakim udzielali tych odpowiedzi, zawsze sugerował, że dla wszystkich to jasne.

Prawda jednak wyglądała tak, że podczas gdy znali się na sześćdziesiątkachczwórkach, Step miał talent do kodowania, on to wiedział i oni wiedzieli. Potrafił przez kilka minut spoglądać na podprogram, po czym przeredagowywał go, tak by zabierał o połowę mniej pamięci lub szedł dwa razy szybciej, albo żeby wyglądał czytelniej na ekranie. Dawniej, kiedy w samotności pracował nad oprogramowaniem, uważał się za nieporadnego amatora, zawsze trochę się wstydził swego kodowania. Teraz zdał sobie sprawę, że jest całkiem niezły lub przynajmniej wystarczająco dobry, żeby być lepszym od przeciętnego programisty, na jakiego Eight Bits Inc. mogło sobie pozwolić.

Niemniej jednak nie powinien myśleć o sobie jako o programiście. Ponieważ kiedy tylko Dicky wtykał głowę do dziupli, Step musiał przedstawiać się na pisanie podręczników, pytając sąsiadującego z nim programistę, jak działa gra. Dość często pytał dokładnie o te same rzeczy, jakie przed chwilą sam wyjaśniał programiście, a kiedy tylko Dicky wychodził, rozlegały się w pomieszczeniu salwy chichotów. Step nie uważał tego za śmieszne. Czuł się podle, strugając nieustannie z Dicky'ego wariata. Tak wiele osób już o tym mówiło, iż nie mógł uwierzyć, by Dicky o niczym nie wiedział. W rzeczywistości podejrzewał, że Dicky wie. Nie śmiał jednak sprawdzać swej hipotezy, bo a nuż by się pomylił? Tak więc Step podtrzymywał tę farsę.

Zazwyczaj na tym upływał mu czas do południa, wtedy wraz z grupą programistów udawał się na lunch. Uwielbiał tę porę dnia, nie musiał wtedy nikogo okłamywać, niczego ukrywać, mógł być sobą, rozmawiając z tymi facetami o pracy. Podczas jednej z takich przerw, kiedy przekomarzając się lub wymieniając historiami, siedzieli przy stoliku u Swensena albo w Pizza Inn, albo w Libby Hill, zaświtało mu, że po raz pierwszy w życiu jest częścią podobnej grupy. Nigdy nie był lekkoatletą, częścią drużyny, nawet częścią zwykłego dobieranego składu na boisku szkolnym lub podwórkowym. W czasach szkolnych jego przyjaciółmi były głównie dziewczyny. Podobał mu się sposób, w jaki mówiły, miał z nimi wspólne tematy. Nie gardziły nim za to, że jest inteligentny i dostaje dobre oceny, gdyż same nie wstydziły się swojej inteligencji, potrafiły rozmawiać o rzeczach, jakie nie interesowały nigdy chłopaków. Kiedy chodził do podstawówki, a następnie do szkoły średniej, przyjaźnił się tylko z tymi nielicznymi chłopakami, którzy byli do niego podobni, którzy trzymali z

inteligentnymi dziewczętami.

Choć wszyscy ci programiści byli mężczyznami i rozmowa toczyła się na zdecydowanie męskie tematy, nie dało się dostrzec śladu tej hierarchii, która krępowwała Stepa wśród „facetów” w szkole. A jeśli występowała jakaś, dotyczyła raczej programowania niż samochodów i lekkiej atletyki. Na tym polu z kolei Step błyszczał niczym gwiazda - wraz z Gallowglassem miał wysokie stanowisko w hierarchii, a ponieważ zżyli się z sobą, nie dochodziło w grupie do rywalizacji. Step należał do grupy, co było przyjemnym doznaniem.

Lunch kończył się - po godzinie zgodnie z przepisami, w praktyce dodawali sobie godzinę więcej - po czym wracali do Eight Bits Inc., Step teraz już do swojego gabinetu, aby popracować nad podręcznikami, często do gier, którym daleko było jeszcze do końca. W rzeczywistości pisząc podręcznik, konstruował grę, opisywał zasady i cechy, o których programista jeszcze nie pomyślał. A kiedy pisał o grze, która miała lada chwila ujrzeć światło dzienne, grał w nią przy okazji wielokrotnie, żeby wpaść na błędy w kodzie lub niedogodności w graniu. Sporządzał wówczas notatki i przekazywał je programistom. Jako że każda gra musiała przejść przez jego ręce, żeby mogła powstać dla niej dokumentacja, Step trzymał palec na pulsie wszystkich przedsięwzięć realizowanych w firmie. Wiedział, co w trawie piszczy. A ponieważ Dicky nie wiedział, znaczyło to po prostu, że to on, Step, stoi na czele oddziału twórczego Eight Bits Inc. Dicky cieszył się tytułem, wynagrodzeniem i niedzielnymi popołudniowymi wizytami u boku Raya Keene'a w księgarni z czasopismami, natomiast Step poważaniem i wpływem, i - co najważniejsze - efektami.

Jedynym programem, jakim się nigdy nie zajmował, był Scribe 64. Stanowił działkę Gallowglassa i Step się nie wtrącał. Pisał dokumentację dotyczącą nowszej wersji, która zawierała dodatkowo wyrównanie tekstu do lewej i prawej strony, tudzież nowy, sześćdziesięciocznorozmiarowy ekran Glassa. Choć znajdował błędy i przekazywał je Glassowi, nigdy, przenigdy nie czepiał się samego kodu. Bo nie musiał - Gallowglass wiedział, co robi. Poza tym u podstaw ich przymierza leżała niepisana umowa, że żaden z nich nic nie zrobi, by podkopać pozycję drugiego w Eight Bits Inc., tak więc nawet gdy Step napotykał jakiś błąd, przekazywał informację o nim Glassowi na osobności, nie dając nikomu poznać, że w oryginalny kod dzieciaka wkradły się przekłamania.

Przychodziła godzina siedemnasta i odchodziła, każdego dnia rozmijając się z harmonogramem Stepa. Zawsze tkwił wtedy po uszy w nie dokończonym zadaniu. Zawsze znalazł się fragment kodu, z którym musiał sobie poradzić przed powrotem do domu, żeby następnego ranka mógł przejrzeć go programista. Albo gra, w której musiał przetestować najwyższe poziomy, podczas gdy programista kibicował mu zza ramienia. Pora kolacji oznaczała spacer za róg do automatu z balonikami i wrzucenie w jego gardziel kilku ćwierćdolarówek. Po paru batonach nadchodził czas na paczkę frytek, gdyż ktoś się kiedyś wyraził, że ziemniaki są nieodzownym składnikiem zdrowego pożywienia. Potem wyskakiwała puszka napoju gazowanego albo soku pomidorowego, kiedy czuł się naprawdę podle, myśląc o sposobie, w jaki traktuje własne ciało.

Przybierał na wadze, czuł to. Kiedy siadał, niektóre z koszul zaczynały rozsuwać się, tak że było widać ciało. Pasek stawał się coraz mniej wygodny; popuścił o dziurkę. Sześć tygodni i tracił wigor. Lecz kiedy w czasie dnia miał okazję poćwiczyć? W Indianie zwykł każdego ciepłego miesiąca pedałować pięćdziesiąt mil tygodniowo, a gdy nadciągała zima, przestawiał się na rowerek treningowy. Mógł sobie wtedy na to pozwolić, gdyż obowiązywał go akademicki rozkład zajęć,

dający wiele wolnych godzin dziennie.

Siódma, ósma, dziewiąta wieczór upływała - w zależności od tego, jak poważny był błąd lub jak wciągająca gra - nim wreszcie Step wychodził w ciemności już zalegające świat, by odszukać renaulta, otworzyć zamek i wcisnąć się na siedzenie. Później ruszał w stronę domu, wymawiając sobie, że powinien był wyjść wcześniej i zjawić się na obiad. Zazwyczaj, zanim przyjechał, dzieciaki leżały już w łóżkach lub przygotowywały się do spania; mógł pocałować je na dobranoc i wysłuchać krótkiej historyjki o przebiegu dnia, na tym się jednak kończyło.

Dopiero po paru godzinach dochodził do siebie po intensywnie spędzonym dniu. Rozmawiał wtedy z DeAnne, od czasu do czasu pomagając w praniu lub zmywaniu naczyń po obiedzie, którego nie jadł, czasem coś mu zostawiała, wtedy zjadał to w czasie rozmowy, mimo że nie był głodny. Wyglądała ciągle na taką wyczerpaną, że czuł się ohydnie. Jakkolwiek na to spojrzeć, była brzemienna, a chociaż obecna ciąża nie objawiała się okropnymi porannymi mdłościami, jak trzy poprzednie, wiedział, że czuje się jak wyżęta. Kiedy tamte dzieciaki były w drodze, Step pozostawał w domu, żeby ulżyć jej w zajęciach. Obecnie nie pomagał w niczym. Podejrzewał, że tak jak dzieci stanowi jedynie ujście, którym wypływa część jej energii. Zaledwie ułożyła je do snu i mogła odsapnąć chwilkę po dniu pełnym zajęć, zjawiał się mężulek z pracy, którego trzeba było ugościć.

Z tej to przyczyny opuszczał ją dość wcześnie, żeby mogła pójść do łóżka i przespać się tyle, ile trzeba, podczas gdy on pozbywał się napięcia narosłego w czasie dnia. Oglądał telewizję lub kładł się i czytał książkę. DeAnne czasami wraz z nim siedziała przed telewizorem, większość programów jednak jej nie wciągała - podobał jej się „MASH”, lecz pokazali właśnie ostatni odcinek i nie było Stepa, żeby mógł go z nią obejrzyć. A kiedy leżeli już razem w łóżku, czytając, była taka zmęczona, że nie miał wręcz serca namawiać ją na seks. Chyba że sama była inicjatorką, a to nie zdarzało się często. Nawet wówczas, kiedy próbowała, nie zasypiając, coś poczytać - kupił jej nową powieść Anne Tyler „Obiad w nostalgicznej restauracji”, kiedy tylko pojawiła się w księgarni - co chwilę przymykała oczy i książka opadała jej na piersi; zwykł wtedy wstawać, zdejmować żonie okulary i kłaść je wraz z książką na nocnym stoliku obok, gasić światło i wracać do łóżka. Skazując się ze względu na nią na głód seksu, czuł zarówno słuszność swej decyzji, jak i frustrację: była to nieznośna mieszanka, jako że satysfakcja, którą czerpał, wiedząc, iż DeAnne zażywa tak bardzo potrzebnego snu, nie pomagała zdusić żądz. Mogę spać sam, myślał, jeśli tylko wie, jak bardzo jej potrzebuję. Zaraz jednak czuł się winny, myśląc w ten sposób, bo to nie on musiał wstawać rankiem, żeby nakarmić dzieci i przyszykować Steviego do szkoły, to nie jego przytłaczało dzień w dzień gospodarstwo domowe i opieka nad dziećmi, a równocześnie noszenie płodu, wysysającego resztki energii. Jak więc mógł obrażać się za to, że jest wyczerpana, że nie wyciąga do niego ręki? Dlaczego nie mógł się cieszyć po prostu tym, że pozwala jej spać? Dlaczego nie mógł się cieszyć?

Zżerany przez winę i pożądanie leżał, długo czytając, wstawał też czasem i przechodził do dziennego pokoju, aby pooglądać jeszcze telewizję. Carsona i jego paradę gości, namawiających do oglądania poszczególnych filmów i widowisk telewizyjnych; Lettermana zrzucającego przedmioty z dachów i obmyślającego reklamy nie istniejących biur podróży. Przerzucał kanały - oglądając dwa lub trzy kiepskie filmy naraz - tam i z powrotem, nie mogąc znieść nudy i głupoty bijącej z ekranu. I nagle zbliżała się trzecia nad ranem, przypominał sobie, że musi wstać wcześniej, i w końcu stawał się śpiący, może tylko troszkę śpiący, po czym nagle uświadamiał sobie, że przez dłuższy czas był nawet

bardzo śpiący, gdyż zasnął przed odbiornikiem. Wiedział, iż ogląda telewizję nie dlatego, że nie może zasnąć, tylko dlatego, że nie chce zasnąć, gdyż boi się spać. Odwiedzał pokoje śpiących dzieci, oświetlone jasno, gdyż strasznie lękały się ciemności. Obserwował, jak leżą: Betsy sama w pokoju - naprzeciwko ustawione łóżeczko oczekujące na nowego dzidziusia - jej blond włosy falowały na poduszce; Robbie w swym pokoju na dole piętrowego łóżka, wśród pozwijanej pościeli, gdyż we śnie zawsze kręcił się niespokojnie; Stevie, spokojny na górze, z twarzą tak piękną w czasie spoczynku. Step stał tak o trzeciej nad ranem, na wpół przytomny, czując, jakby przechadzał się we śnie. Spoglądał na dzieciaki i serce go bolało.

Następnie wracał do łóżka i kładł się ostrożnie, żeby nie zbudzić DeAnne; zazwyczaj poruszała się wtedy, rzadko jednak budząc się naprawdę - czy chociaż wiedziała, jak późno kładł się spać? O trzeciej godzinie, czasem trzeciej trzydzieści, czasem czwartej. Budzik podrywał go o siódmej, siódmej trzydzieści albo ósmej, chwiejnie podążał pod prysznic, przygotowując się na kolejny dzień i myśląc: Nie szkodzi, jeśli się spóźnię, nie szkodzi, jeśli przedłużę lunch. Przecież nadrabiam to wieczorem.

DeAnne zapytała go pewnego razu: „Gdybyś wstał i poszedł do pracy na czas, nie wyrobiłbyś się z robotą do piątej? Gdybym ci zapakowała lunch, nie mógłbyś skrócić sobie przerwy i wrócić do domu jeszcze za dnia, by pospacerować z dziećmi, podczas gdy ja przygotowałabym obiad?” On odpowiedział na to, że spróbuje, i może udałoby mu się nawet wstać wcześniej i przybyć do pracy na czas, lecz był tak wyczerpany, że robota mu się nie kleiła, a normy były nieubłagane. Poza tym większość programistów pracowała po piątej i potrzebowali go, by tu i tam spojrzeć, przez co pomimo wczesnego wstawania i tak wracał po siódmej, kiedy było po obiedzie, a DeAnne mówiła: „Jutro potrzebuję samochodu”, na co on odpowiadał: „Nie ma sprawy, podrzuć mnie do pracy, z powrotem zabiorę się z którymś z kolegów”. Tak kończyły się wszelkie eksperymenty z przerobieniem go na ośmiogodzinnego faceta.

W ten sposób upływały dni Stepa Fletchera, który nienawidził życia i pracy, choć kochał rodzinę i programowanie.

W kwietniu wypuszczali trzy nowe gry i update do Scribe'a 64 na targach komputerowych w San Francisco w Cow Palace, a Ray i Dicky wraz ze specami od marketingu podjęli decyzję, by zabrać z sobą również Stepa i Gallowglassa, żeby w razie czego był pod ręką ktoś, kto wie, jak naprawdę działają te programy.

Wylot zaplanowano na drugą trzydzieści w piątek po południu, dlatego Step wrócił do domu w porze lunchu, żeby się spakować i pożegnać z Robbiem, Betsy i DeAnne. Chociaż Step był autorem szeroko znanej gry, nikt nigdy nie zabrał go na żadne z podobnych widowisk, był więc podenerwowany i podniecony. DeAnne ekscytowała się o wiele mniej - dla niej oznaczało to niedzielę bez męża, samotne przygotowywanie dzieci do kościoła i czuwanie nad nimi w czasie sakramentalnego spotkania. A kiedy powiedziała:

- Jeśli ciebie nie ma, jestem taka samotna.



Step odrzekł:

- Nie ma mnie nawet wtedy, kiedy jestem.
- Ale jesteś tu. To znaczy, wiem, że wrócisz do domu. Śpię lepiej, gdy czuje w domu twoją obecność.
- Wrócę w niedzielę w nocy.
- Wiem - powiedziała - i dzięki temu przetrwam weekend.

Przeraził się.

- Co masz na myśli?
- O co ci chodzi? - Wyglądała na zmieszaną.
- Nie myślisz chyba o samobójstwie czy czymś podobnym?
- Nie - odparła, zgorziona tą sugestią. - O nie, Step, nie myślałam wcale o zabijaniu się, na miłość boską. Chciałam być tylko romantyczna. Próbowałam ci przekazać, że żyję dla ciebie.

Poczuł się głupio.

- Oczywiście. Nie wiem, co mnie napadło.
- Być może myśl o nowej żonie bez takiego wielkiego brzucha.
- Nie masz nic w brzuchu, czego bym sam tam nie umieścił. Poza tym to ja przybieram na wadze. A po dziewięciu miesiącach tyca nie czeka mnie za to nagroda.
- Dwudziesty ósmy lipca - powiedziała. - Największy upał lata. Nie mogę się doczekać dźwignia latem dziewięciofuntowego dziecka.
- Będę tęsknił za tobą - rzekł.
- Ja też, Gałganiarzu. - Owinęła się wokół Stepa, wtulając się w niego, jak zwykła to czynić, kiedy pragnęła miłości, tyle tylko że musiał się śpieszyć, żeby zdążyć na przeklęty samolot. Dlaczego nagle stała się taka romantyczna, teraz kiedy nie było czasu, żadnego sposobu, żeby coś na to poradzić.
- O co ci chodzi, chcesz, abym się spóźnił?
- Yhm - odpowiedziała.
- Chodźmy już do samochodu, Rybia Damo, czas jechać na lotnisko. Zaraz po moim powrocie powrócimy do nie zakończonej sprawy.
- To nie jest zabawne - powiedziała.

- No cóż.

- Najlepiej bawiliśmy się zawsze za dnia - zauważyła.

Przypomniawszy sobie teraz, że to prawda. Kiedy pracował w domu, sypiał o dziwnych porach, różniących się od jej pory snu, noce przesiadywał przed komputerem, programując lub pisząc pracę dyplomową. Rano wstawał, wychodził na wykłady lub pojechać na rowerze, a kiedy wracał do domu i brał prysznic, już na niego czekała, kiedy wchodził nagi do sypialni.

Tak właśnie poczęli ostatnie dziecko, choć tego dnia wcale na niego nie czekała; siedząc na skraju łóżka, rozmawiała przez telefon. Gdy tylko usłyszał „Mhm”, potem „Oczywiście” i „Biedactwo”, zdał sobie sprawę, że rozmawia z siostrą Boompjes, która zawsze na coś się żaliła. Nie wyzalała się w ścisłym tego słowa znaczeniu na temat tego, co ktoś komuś zrobił. Po prostu siostra Boompjes chciała się upewnić, że ktoś wie, że jeszcze żyje, a skoro artretyzm, brak poczty i nieznośne dzieciaki z sąsiedztwa stanowiły jedyne wydarzenia w jej życiu, o tym właśnie mówiła. Jak DeAnne często powtarzała, że aby siostra Boompjes pozbyła się swego brzemienia niedoli, po drugiej stronie linii musiał znajdować się ktoś, kim nie zaprzętała sobie uwagi.

Tak więc, kiedy DeAnne mruczała do słuchawki słowa otuchy, Step metodycznie ją rozbierał. Jedyńm protestem DeAnne było przewracanie oczami. Jest wdzięczna za odwrócenie uwagi, myślał Step i kontynuował swoje poczynania. DeAnne ani na moment nie zaprzestała pocieszać słodko samotnej siostry, nawet gdy mąż położył ją delikatnie na plecach i kochał się z nią powoli. DeAnne zwykle zachowywała się głośno, gdy Step doprowadzał ją do orgazmu, tym razem zdołała powstrzymać jęki i jedynie ciężko oddychała; nie zapomniała przy tym zakryć słuchawki, by droga siostra Boompjes mogła się cieszyć, że ma słuchacza, podczas gdy DeAnne czerpała radość z seksu.

Jedyną poważną konsekwencją tego czynu był fakt, że telefonując, DeAnne nie zdążyła zabezpieczyć się pianką antykoncepcyjną, a co za tym idzie, w ciągu tygodnia zaczęła odczuwać mdłości, a dwa tygodnie potem nie miała okresu. Zawsze żartowali między sobą, że za każdym razem, kiedy uprawiali miłość bez stosownego zabezpieczenia, wynikała z tego ciąża. Sprawdziło się to po raz kolejny. Efektem mogło być albo dziecko numer cztery, albo poronienie numer trzy. A wszystko to spowodowane tym, że się podniecił, kiedy rozmawiała przez telefon. Myśleli początkowo o nadaniu dziecku imienia po siostrze Boompjes, jeśli zdarzy się córka, w końcu jednak doszli do wniosku, że żadna amerykańska dziewczynka o imieniu Wilhelmina nie może wieść normalnego życia.

Dzień stanowił dla nich najlepszą porę na seks, to prawda. Kiedy decydowali, że Step musi poszukać pracy, nie przyszło im nigdy do głowy, że zrujnuje to ich intymne życie.

W aucie Robbie starał się ze wszystkich sił uprzykrzyć życie Betsy, co nie było trudne, gdyż zwykle drwiące spojrzenie przyprawiało ją o fontannę łez. Dopiero kiedy pruli już drogą numer 421 na zachód w stronę lotniska, Step coś sobie przypomniał.

- W pracy zostawiłem „Imię róży” - powiedział.

- Co to takiego?

- Książkę. Zamierzałem ją czytać nocami w czasie delegacji. Kiedy inni będą pić na imprezach.

- Nie masz niczego więcej do czytania?

- Kupię sobie jakąś gazetę.

- Nie, jest jeszcze czas - rzekła DeAnne. - Przecież cały bagaż zabierasz na pokład.

Tak było. Zjechał na parking przy 7-Eleven i wyskoczył z powrotem na 421, tyle że w kierunku wschodnim. Po kilku minutach skręcił w prawo w Palladium i oto był już w Eight Bits Inc. o godzinie drugiej, kiedy o drugiej trzydzieści miał siedzieć na pokładzie startującego samolotu. Nieważne, pomyślał, to się nazywa życie na krawędzi, nieźle, jak na mormona.

„Imienia róży” nie znalazł w gabinecie. Gdzie je ostatnio czytał?

Wpadł do dziupli, praktycznie frunął, wołając:

- Cześć, uwierzcie, że jestem na tyle głupi, iż ryzykuję spóźnienie się na samolot dla książki? -  
Leżała na półce. Podniósł ją, odwrócił się, by wyjść, ale wtedy zauważył, że wszyscy przypatrują mu się dziwnie. - Co jest, nie zapiałem rozporka? - zapytał.

Nagle zorientował się, że ekrany trzech monitorów jarzą się obrazami bezsprzecznie kojarzącymi się z Hacker Snackiem.

- Czy to jest to, o czym ja myślę? - spytał.

- To miał być tajny projekt - rzekł jeden z facetów. - Niespodzianka.

- Tak - przyznał Step. - Jestem zaskoczony.

Nikt się nie odezwał, Step rzucił: „To na razie”, wypadł za drzwi, pobiegł korytarzem, opuścił pędem budynek i przypadł do samochodu, w którym czekała DeAnne.

- Co cię zatrzymało? - spytała. - Nie wiem, czy zdążymy w piętnaście minut.

- Gazu! - krzyknął.

- Do tego ty masz talent.

- Zgadnij, co zamierzam zrobić w San Francisco?

- Co?

- Rzucić tę parszywą robotę.

- Co?

- A kiedy wrócę do domu, poszukam prawnika i pozwę tych dupków do sądu.

- Step, wiem, że dzieci nauczą się podobnego języka. - DeAnne wyglądała na przestraszoną. - Ale wolałabym raczej, żeby nie od ciebie.

- Nie jesteś ani ociupinkę ciekawa, dlaczego mam zamiar pozwać tych drani?

- Dziękuję. I owszem, nawet bardziej niż ociupinkę.

- Ponieważ za moimi plecami te sukinsyny adaptowały mojego Hacker Snacka na sześćdziesiątkęczwórkę.

Skrzywiła się.

- Przepraszam. Nie sukinsyny, dzieci, tylko gnojki.

- Wyluzuj się, Step. - Wyglądała na zdenerwowaną.

- Nigdy nie pytali o pozwolenie, nie zaproponowali, że go kupią, nie ma kontraktu, umowy o honorarium, ani razu nie napomknęli o tym, a miałem ich za przyjaciół.

- To nie powód, żeby wyzywać się na mnie i na dzieciach, Step.

- Nie wyzywam się na was!

- Krzyczysz i używasz języka, którego nie chcę tłumaczyć dzieciom.

Step przechylił się i spojrzał na dzieciaki siedzące na tylnych siedzeniach.

- Nie wściekam się na was, dzieci. Niektórzy faceci w pracy zrobili mi coś bardzo podłego i złego, więc na nich się złościę. A co do słów, których użyłem, nigdy ich nie używajcie, chyba że ktoś, komu ufaliście, wbije wam nóż w plecy. W takiej sytuacji macie moją zgodę, żeby ich używać, lecz nigdy przy matce.

- Wielkie dzięki - powiedziała DeAnne.

- Myślisz, że za dziesięć lat będą pamiętać o tej rozmowie?

- Ktoś wbił ci nóż w plecy?

- To taka figura retoryczna, Robbie - wyjaśniła DeAnne. - Nikt nie wbił noża twojemu tacie, choć za chwilę może oberwać ode mnie.

- Przykro mi - odrzekł Step. - Byłem w błędzie. Jestem taki... - Szukał właściwego słowa.

- Wściekły.

Wściekły. Nie o to słowo mu chodziło, lecz być może to odpowiednie w ogóle nie istniało.

- Rzucasz w takim razie pracę?
  - Stanowczo. Najpierw wypłacą mi takie odszkodowanie, by pokryć moje długi, a potem do diabła z nimi.
  - Jeszcze tylko sugestia, Step - powiedziała.
  - Tak?
  - Nie rzucaj pracy w San Francisco. Mogą unieważnić twój bilet, a nie mamy na Visie dość pieniędzy, żeby cię było stać na podróż.
  - Chyba masz rację. Poczekam, aż wrócę.
  - Poza tym może to wszystko nieporozumienie, pomyślałeś o tym? Może ktoś nie zauważył, że podpisałeś umowę wyłączającą Hacker Snacka. Może pan Keene nie wie, że pracuje się nad nim.
  - Może świnię mają skrzydła?
  - Latające świnię! - wrzasnął Robbie. Latające świnię były nieprzemijającym żartem w rodzinie: DeAnne miała nawet dwie porcelanowe latające świnki i jedną wypchaną, trzymała je na półce przy lustrze w łazience. - Uwaga na dole! - Pomyśl latających świń obsrywających z góry przechodniów był wkładem Stepa do świńskiego folkloru w rodzinie, a zarazem oczywiście częścią, którą Robbie uwielbiał najbardziej.
  - Step, nic nie rób pochopnie.
- Innymi słowy, pomyślał Step, jeśli nawet mnie okradają, powinienem zostać w tej wszawej pracy z tymi gnidami.
- Nie powinno cię to zaskakiwać - doszła do wniosku DeAnne. - To znaczy, jeżeli robisz coś za plecami Dicky'ego, dlaczego on nie miałby czegoś robić za twoimi?
  - Może po prostu nie chcę przebywać w miejscu, gdzie każdy robi coś komuś za plecami.
  - Dokładnie - argumentowała DeAnne. - Myślisz, że nie chcę, abyś odszedł? Pomyśl jednak - fakt, że próbują zaadaptować Hacker Snacka na sześćdziesiątkę, oznacza, że to może być wyśmienity pomysł pod względem komercyjnym. Będziesz na targach komputerowych, razem z szefami każdej firmy software'owej. Może nadszedł dla ciebie czas, żebyś sam sprzedał prawa do Hacker Snacka?
  - Jesteś w tym naprawdę dobra.
  - Jestem - przyznała nieskromnie.
  - Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie nauczyłaś się tyle o polityce przedsiębiorstw? Będąc sekretarką w oddziale CDFR na uniwersytecie BYU?

- Nie - zaprzeczyła. - Wszystkiego, co wiem o spiskowaniu, nauczyłam się jako doradca prezydium Stowarzyszenia Pomocy, kiedy obmyślaliśmy, jak sprawić, żeby biskup pozwolił nam zrobić to, co musimy, chociaż on był innego zdania.

- Plan więc jest następujący: uśmiecham się jakby nigdy nic w San Francisco, wracam do domu z umową na samodzielną sprzedaż programu.

- Potem idziesz do pracy w poniedziałek rano i pierwsze, co robisz, nim ktoś przekaże komuś, że wiesz, co wisi w powietrzu, to uzyskujesz kopię kontraktu, który podpisałeś, gdzie Hacker Snack jest wyłączony z umowy z Eight Bits Inc.

- Dokładnie. Będzie mi potrzebna. Mogą ją po prostu zgubić, no nie? Twierdząc, jakobym podpisał taką samą umowę jak wszyscy pozostali, lecz gdzieś się zapodziała, ale proszę, tutaj jest standardowa umowa, nigdy nie było też innej...

- No to jesteśmy - powiedziała DeAnne. - Życzę ci cudownego lotu. Masz cztery minuty do wejścia na pokład, a musisz pokonać bramki bezpieczeństwa!

- Kocham cię! Kocham was, dzieciaki! Przypomnijcie Steviemu, że ciągle ma ojca.

- Pocałuj! - krzyczała Betsy.

- Nie ma czasu, serduszko - odparła DeAnne.

Mimo to Step szarpnął tylne drzwi, obdarzył oboje szkrabów wielkim, głośnym całusem, po czym zamknął drzwi i pomknął do samolotu. Właśnie zamierzali zamknąć drzwi, kiedy dotarł, toteż wpuścili go do środka. Wciśnięty w siedzenie z kolanami przy brodzie pozwolił sobie pomarzyć trochę, co może go czekać w San Francisco. Całe zadanie polegało na tym, by sprzedać prawa do Hacker Snacka komuś, kto był w stanie tyle zapłacić z góry, że będzie mógł pozwolić sobie na rzucenie dotychczasowej pracy. Nie był do końca przekonany, czy może się modlić o takie rzeczy, szczególnie gdy jest zły i plany zemsty chodzą mu po głowie, lecz musiał to powiedzieć po cichu: Boże, niech to się uda. Niech wszystko pójdzie jak należy. Wyzwól mnie. Zwolnij mnie do domu.

Chociaż większość dzieciństwa Step spędził nad zatoką, nigdy nie był wewnątrz Cow Pałace\*. Wchodząc do środka po raz pierwszy, musiał przyznać, że zasługuje na swoje miano: budynek wielki niczym obora, wypełniony szeregami budek wystawienniczych, przypominających stanowiska do dojenia. W każdej budce panował maksymalny hałas. Nadszedł czas przetrwania i czas rozkwitu. Rynek komputerowy rozwijał się błyskawicznie, lecz zaczęły rozchodzić się przerażające pogłoski, że nowe komputery osobiste IBM mają zamiar zagarnąć całość mikrokomputerowego rynku, każąc producentom software'u i systemów budowanych pod CP/M i stary procesor Z80 przystosować się lub zginąć. Każdy wiedział, że utajniany projekt IBM o kryptonimie Peanut ma za zadanie wysadzić z siodła komputery domowe pokroju Commodore'a 64, zupełnie w ten sam sposób, w jaki Commodore 64 poradził sobie z Atari. Zatem cała ta wrzawa miała jedno na celu, przyciągnąć dziennikarzy i klientów do stoisk z nowymi komputerami bądź joystickami, grami, edytorami tekstu czy wreszcie

chroniącymi przed kurzem plastikowymi pokrywami, mającymi zrewolucjonizować świat i uczynić z ich producentów bogaczy tego formatu co Jobs and Wozniak. Albo przynajmniej Ray Keene.

I rzeczywiście, hordy ludzi aż się prosiły, żeby je zwabić. Ciężko było się precyzyjnie, a hałas komputerów musiał być donośny, by przebić się ponad głośny szum tłumów. Kiedy już wydawało się, że mowy ludzkiej nie sposób dosłyszeć w tym miejscu, dobiegł go męski, wysoki głos, o szorstkim środkowo-zachodnim brzmieniu, które zagrażało bębniakom uszu Stepa:

- Co u diabła ma mnie tu niby zachwycić?

Step mimo woli rozejrzał się za źródłem tego piekielnego głosu. Należał, jak się okazało, do wysokiego, szczupłego mężczyzny, którego rumiane oblicze świadczyło o potędze darmowych koktajli w zestawie SuperCalca. Step poznał go od razu - \* Krowi Pałac. Neddy Cranes, niegdysiejszy felietonista „Washington”, zajmujący się szeroko pojętą polityką od Benito Mussoliniego po Dżyngis Chana, który obecnie znany był z tasiemcowych, fascynujących i destrukcyjnych comiesięcznych felietonów w magazynie „Code”.

- Jest mój - rzekł Dicky bez zastanowienia.

- Nie - zaproponował spokojnie Ray Keene.

Step obserwował, jak Dicky natychmiast ustępuje pierwszeństwa szefowi, by ten zmierzył się z tygrysem. Jednakże okazywana przez Dicky'ego ustepliwość była symulowana. Step zauważył jego zaciśnięte szczęki. Utrzymuje pozę nonszalancji odrobinę za długo, z odrobinę nadmiernym wysiłkiem, doszedł do wniosku. Nienawidzi Raya Keene'a. Dlaczego by nie? Ray podcina mu skrzydła przy każdej okazji. Ray każdemu podcina skrzydła przy każdej okazji. Lecz Dicky postanowił za wszelką cenę wytrzymać, nie okazując Rayowi ani cienia urazy. Tylko musi się na kimś wyładować.

Na mnie.

Trudno, nie będzie mnie już, kiedy opadnie topór, pomyślał Step, chyba że głupia, nielegalna próba kradzieży Hacker Snacka jest tym toporem, a w tym wypadku to tępe ostrze, jako że nigdy nie przekazałem praw do tej gry na piśmie. Nie, projekt dotyczący Hacker Snacka niemal na pewno był przeprowadzany za przyzwoleniem Raya, zatem nakierowana na mnie złość Dicky'ego musi przybrać inną formę. Jakąś chytrzejszą, mniej znaczącą, która nie przyniesie nikomu korzyści, usatysfakcjonuje jedynie Dicky'ego Northangera.

- Nic tu nie ma prawa pana zachwycić - Ray właśnie mówił Neddy'emu. - Jest tu tylko coś dla zwykłych szaraków, nie dla znawców komputerowych z wielkimi kosztownymi systemami.

Ach, ten Ray był rzeczywiście przebiegły, gdyż Cranesa wiele dzieliło od komputerowej elity. Ponadto wyznawał populistyczne teorie, szanując przekonania maluczkich. Głos piły taśmowej pracującej na najwyższych obrotach powrócił bezzwłocznie:

- Tylko bez szaraków! Widzę, że macie z sobą te śmieszne pudełka o nazwie Commodore. Przyciski

do papieru, oto czym są, gdyż za ich pomocą można gównem zrobić! Wyłudzenie pieniędzy od przeciętnego człowieka, tym zajmuje się Commodore, wyłudza pieniądze, a w tym czasie Kmart ucieka podstawionym samochodem!

- Upewniamy się, że kiedy ludzie nabędą ten przycisk do papieru, panie Cranes, poradzą sobie z nową wersją edytora tekstu, edytora, za który nie zapłacą więcej niż trzydzieści dolców, a gdy go kupią bezpośrednio u nas, dwadzieścia.

- Co takiego, czyżby podręcznik do niego kosztował dodatkowo pięćdziesiąt dolarów? - naśmiewał się z niego Cranes. - A może trzeba będzie dokupić upgrade, żeby cokolwiek wydrukować?

- Wszystko w jednym opakowaniu - powiedział Ray. - Może nie w pięknym opakowaniu, oczywiście, ale po części dlatego możemy go sprzedawać tak tanio. Proszę wypróbować.

Step z niepokojem obserwował, jak Ray każe Neddy'emu położyć palce na klawiaturze Commodore'a i wstukać coś, używając Scribe'a 64.

- To bez sensu, wyjdźmy stąd lepiej - zaproponował Gallowglass.

- Nie chcesz się przekonać, jakie noty u Cranesa zbierze Scribe? - zapytał Step.

- Chodźmy stąd!

Gallowglass był naprawdę wzburzony. Najwidoczniej nie miał ochoty czekać na werdykt Cranesa.

- Jestem głodny.

- A ja nie - odparł Step, lecz opuścił w ślad za Gallowglassem stoisko, a kiedy natknęli się na kolejkę ludzi czekających na hot dogi - wyglądające, jakby powstały w latach pięćdziesiątych z racie i nosów padłych afrykańskich guźców - Step stanął w niej wraz z towarzyszem i wkrótce dostał hot dog z musztardą i cebulą.

- Jeśli posmarujesz tą musztardą samochód, trzy razy będziesz musiał lakierować w tym miejscu - rzekł Glass.

- W porządku. Cebula stanowi tajny składnik Ex-Laksu.

Połączyli hot dogi w całości.

- Potwierdziłeś naszą rezerwację w hotelu? - zapytał Gallowglass.

- Co? - zdziwił się Step.

- Chodzi o nasz pokój - wyjaśnił Glass. - Zaraz po przyjeździe musiałem zjawić się na stoisku, trzymam więc torbę pod stolikiem.

- Mamy jeden pokój? - zapytał Step, zaszokowany.



- Dicky podobno powiedział ci o tym. Ray mówi, że Eight Bits Inc. nie jest tak dużą firmą, żeby stać ją było na przeloty pierwszą klasą i osobne pokoje hotelowe.

- Możesz tyłek w zastaw postawić, że on ma osobny.

- O nie, jest z nim żona - powiedział Glass. - Słuchaj, wiedziałem, że nie spodoba ci się wspólny pokój, dlatego dopilnowałem, żeby przydzielili cię do mnie. Bez obaw, nie jestem nałogowym palaczem, nie nakurzę w naszym pokoju.

- Dzięki - rzekł Step. Nie chodziło tu jednak tylko o palenie - Step oburzył się na brak prywatności. Rozbieranie się i ubieranie na oczach drugiej osoby było nie do pomyślenia. Nie cierpiał tego w szkole wyższej, nawet zanim dorósł, by przekroczyć próg mormońskiej synagogi, a teraz gdy miał na sobie bieliznę symbolizującą przyrzeczenia tam złożone, Step unikał jak ognia sytuacji, w których coś, co traktował tak poważnie, stałoby się obiektem szyderstw i dziwnych pytań. Gdyby ostrzeżono go, że będzie dzielił pokój z drugą osobą, zabrałby z sobą przynajmniej piżamę, którą nałożyłby w łazience, każąc Gallowglassowi sądzić, że jest po prostu nieśmiały. Tak naprawdę, Step nie miał pojęcia, co ma robić. Zapłacić za osobny prywatny pokój? No tak, z pustą kartą kredytową mógł tylko pomarzyć!

- Człowieku, to cię naprawdę dręczy? - zapytał Glass.

- Nie ukrywam - powiedział Step. - Nie chodzi tu o pokój z tobą, chodzi o wspólny pokój w ogóle. To znaczy, nic mi nie powiedzieli. Ja nie dzielę pokoi hotelowych. Nie do wiary, że firma jest taka biedna.

- Wolałbym tysiąc dolarową premię od osobnego pokoju, nie przeczę - zagadnął Gallowglass.

Step popatrzył nań z ukosa.

- Tysiąc dolarów?

- Miałem nie mówić - powiedział Glass. - A niech to.

- Jak często dostaje się takie premie? - spytał Step.

- Na początku roku - oświadczył Glass. - Proszę, nie wygadaj się przed nikim. Dicky powiedział, że ludzie zaczną odchodzić, kiedy dowiedzą się, jak wielką premię dostają.

- Glass, tysiąc dolarów nic nie znaczy - wyjaśnił Step. - Tysiąc dolarów to jak szczanie na dłoń.

Gallowglass spojrział na niego, teraz on był zdziwiony.

- Czy masz pojęcie, jakie honoraria otrzymywałem za Hacker Snacka u szczytu powodzenia, przez pół roku?

Glass potrząsnął przecząco głową.

- Czterdzieści tysięcy - rzekł Step. - A Scribe 64 sprzedaje się bez porównania lepiej niż Hacker Snack.

Glass wymamrotał coś, co mogłoby uchodzić za modlitwę, gdyż adresowane było do Boga, lecz w opinii Stepa ton nie był wystarczająco przepełniony czcią.

- Tak przy okazji - ciągnął Step. - To, ile wynosiło moje honorarium, powiedziałem ci także w tajemnicy.

- W porządku, nie pisnę słówka, spokojna główka.

Step nie słyszał tego, odkąd „Reader's Digest” zaprzestał publikacji rodzimego humoru.

- Gdzie to podchwyciłeś?

- U taty - rzekł Glass. - Gdy tylko się zapomnę, mówię jak mój tata.

Hot dog okazał się ich kolacją. Na przekór wszelkim zdroworozsądkowym oczekiwaniom, Ray nie pozwolił swym ludziom na przerwę kolacyjną. On, jakżeby inaczej, z Dickim na holu, udał się na wykwinny obiad do restauracji wraz z kilkoma dealerami produktów Eight Bits Inc., lecz to się nazywało interesy, a jak wyjaśnił Ray cierpliwie Stepowi, posiłek jedli przy okazji. Poza tym będzie mnóstwo czasu, by zjeść kolację w kawiarni hotelowej, gdy zamkną targi na noc.

Kiedy już uporali się z zaniknięciem stoiska, czuli się zbyt wyczerpani, żeby jeszcze przebywać w kawiarni tak długo, by się posilić, oprócz tego kosztów posiłków nie wliczano w koszty pokoi - Step musiałby zapłacić gotówką i okazać rachunki w Steuben, by uzyskać zwrot pieniędzy. Zakrawało to na błazeńskie ograniczenie, lecz obecnie Step zaczynał całkiem nieźle pojmować, jak to się działo, że Ray Keene żył na tak wysokim poziomie, utrzymując się z zysków czerpanych praktycznie z jednego bestsellera. Glass również machnął ręką na kolację. Możliwe, że opróżnił stojący w pracy automat z solonych orzeszków, tak że miał co jeść w pokoju. Step doszedł do wniosku, że nie znosi smaku solonych orzeszków, stwierdził to bez ogródek, przez co nie mógł teraz ich jeść, nie przynosząc sobie wstydu. Mały post w czasie podróży nie przyczyni się przynajmniej do dalszego przyrostu wagi.

Kiedy Glass poszedł do łazienki, Step dopadł do telefonu i zadzwonił - na koszt rozmówcy, gdyż Eight Bits Inc. postarało się, żeby wszelkie rozmowy zamiejscowe były blokowane, gdyż w przeciwnym razie doliczono by je do kosztów pokoju. DeAnne chyba była zmęczona - w Karolinie Północnej dawno minęła północ, lecz Step wiedział, że nie będzie spać lub przynajmniej nie będzie spać dobrze, dopóki nie zadzwoni.

- Wybacz, że nie zadzwoniłem wcześniej - powiedział. - Nie dali mi na to czasu.

- Wszystko okej, - odrzekła. - Chciałam po prostu usłyszeć twój głos wieczorem. Tęsknię.

- Nie ma mnie dopiero od dwunastu godzin. Mój dzień pracy jest teraz o połowę dłuższy.

- Wiem - przyznała. - A myślisz, że dlaczego tęsknię za tobą? - Wyglądało na to, że postarała się rozbudzić trochę bardziej. - Rozmawiałaś dziś z jakimiś firmami?

- Weisnęli mnie do jednego pokoju z Gallowglassem.
- Z Glassem? Ach, tym małym magikiem?
- Tak naprawdę stanowi połączenie rycerza i rzezimieszka.
- Co takiego?
- Nic, taką rolę gra w Dungeons and Dragons, rycerza, który musi też kraść.
- Prawdziwy materiał na rycerza Okrągłego Stołu - powiedziała.
- I jest też... o czym to myślałem? O czymś chaotycznym, lecz trafnym.
- Ach, być znowu młodym - rzuciła do słuchawki. - Jeśli jednak nie możesz mówić głośno, możesz odpowiadać na moje pytania. Czy rozmawiałeś z przedstawicielami jakiejś firmy o Hacker Snacku?
- Nie - odparł zdawkowo.
- Zbyt zajęty?
- Tak - dorzucił tym samym tonem.
- Co z jutrem?
- Chyba to samo.
- O, nie!
  
- Nadarzy się jakaś okazja - pocieszył ją. Choć nie do końca wierzył w prawdziwość swych słów. - A co z dziećmi?
- Żadnych kłopotów - odpowiedziała. - Zadzwoń też jutro, okej? Przykro mi, że masz wspólny pokój. Wiem, jak nie cierpisz mieszkać z kimś w jednym pokoju hotelowym.
- Jest jeden wyjątek - rzekł.
- Tak, lecz z początku nie w smak był ci i ten wyjątek.
- Przywykłem, kiedy przestałaś zostawiać buty na środku każdego pomieszczenia.
- Teraz, skoro cię nie ma, wyciągnęłam wszystkie pary i rozrzuciłam, gdzie tylko mogłam, żeby uczcić brak stróża porządku.
- No tak, gdzie kotów nie ma, tam myszy harcują.

- Ta myszka daje z siebie wszystko przy harcach, kiedy tu jesteś - powiedziała przymilnym głosem, który podniecił go i zarazem napełnił rezygnacją. Jeśli starała się być sexy po północy, kiedy był w delegacji, dlaczego nigdy nie okazywała tego, gdy przebywał w domu? Od razu zdusił tę myśl.

- Jak się ma najmniejsze? - zapytał.

- Od tamtego kopnięcia uspokoiło się, lecz od czasu do czasu trochę się rusza.

- Przestań, chyba nie możesz tego czuć?

- Mogę.

- Czy to jakiś pływak?

- Prawda jest taka, że nie śpieszy mi się do tych kopnięć. Elizabeth niemal połamała mi żebra od środka.

- No nic, musisz się wyspać.

- Wiem, to kosztowne połączenie, ale tęsknię za tobą.

- Kocham cię, Rybia Damo.

- Kocham cię, Gałganiarzu - odparła.

- Ty pierwsza odłóż słuchawkę - powiedział Step.

- Nie, ty - nalegała.

Kiedy byli młodszy, gdy się do siebie zalecali, gra ta mogła się przeciągnąć - i kosztować sto pięćdziesiąt dolarów, jak tego lata, kiedy pojechał pracować do San Francisco i wciąż otrzymywał stypendium z uczelni. Lecz nawet będąc bez pieniędzy, Step wyprosił od swoich starszuchów dwadzieścia dolarów, pojechał po nią do domu przyjaciółki w Orinda, gdzie mieszkała, zabrał ją, by poznała jego wujka i ciotkę w San Mateo, a potem odwiózł z powrotem. To właśnie w drodze powrotnej do Utah oświadczył się DeAnne. Odpowiedziała, że dziękuje i że się jeszcze namyśli. Cztery i pół miesiąca myślenia - dopiero dwa dni przed Nowym Rokiem powiedziała „tak”. To cud, że w ogóle się pobrali. Lecz jego mama była przekonana, że to małżeństwo zaplanował Bóg. „Bóg nie powiedział nigdy, że ułatwi ludziom życie” - powtarzała zawsze mama.

Nie byli już podlotkami, z gry trzeba było zrezygnować. Położy słuchawkę pierwszy, nawet mając pewność, że to nieznacznie zrani jej uczucia, zawsze je ranił, odkładając pierwszy. Nie zrobiłbym tego, powiedział jej kiedyś, gdybyś choć raz odłożyła ją pierwsza. Najwidoczniej nie potrafiła się na to zdobyć.

Odłożył.

- Rybia Dama? - zdziwił się Glass.

Step nie mógł uwierzyć, że jego towarzysz jest na tyle nieokrzesany, by tak śmiało przyznać, że podsłuchiwał.

- Czyżbym mówił tak głośno? - spytał Step. - Sądziłem, iż jestem dostatecznie cicho, byś nie musiał słuchać, o czym rozmawiam.

- Nie - odparł Glass, nie wzruszony gorzkim wyrzutem. Gdzie on się uczył dobrych manier?

- Daj no tych słonych orzeszków - poprosił Step.

- Myślałem, że ich nie cierpisz - zaproponował Glass.

No tak, pomyślał Step. Przecież ich nie jem.

- Wcale nie chciałem ich jeść, tylko pokruszyć je i wepchać do każdego otworu, jakim dysponuje twoje ciało.

- Prowokacyjnie - rzekł Gallowglass.

- Jeśli nie będziesz podsłuchiwać moich rozmów, ja nie będę podsłuchiwał twoich.

- Ale to nie jest fair - sprzeciwił się Glass. - Ja nie mam do kogo dzwonić.

- Nawet do mamy?

- Tata nigdy nie godzi się na opłacenie rozmowy.

- Myślałem, że zarabiasz więcej pieniędzy niż Bóg.

- Lecz Bóg nie wystawia kart kredytowych - rzekł Glass. - Spokojnie, mama wie, że nic mi nie jest. Co z dziećmi?

- W porządku - odpowiedział Step.

- Musi być wam ciężko we dwójkę wychowywać troje dzieci?

- Czasami.

- Potrzebujecie więcej czasu, żeby być razem.

- Co to, poradnia małżeńska?

- Każdy potrzebuje.

- A twoja mama i tata?

- No jasne. Potrzebuje okazji, żeby popłakać sobie każdej niedzieli z godzinkę nad jego grobem. - Glass zaśmiał się z głupiej miny Step. - To żart, synu, żart.

- Synu?

- Okej, niech będzie tatku. Ponawiam po prostu propozycję, żebyście pozwolili mi zaopiekować się czasem dziećmi, podczas gdy wy rozerwiecie się gdzieś razem.

- Pamiętam o niej.

- Tak, ale ją olałeś - powiedział Gallowglass. - Wiem, że o niej pamiętasz, i chcę, żebyś potraktował ją poważnie. Uwielbiam dzieciaki, wspaniale się z nimi dogaduję. Nigdy nie miałem młodszego rodzeństwa, dlatego tak bardzo chciałbym się nimi zaopiekować. Nigdy nie miałem dzieciaka w domu, ale nie zrozum mnie źle. Naprawdę dobrze sobie radzę z malcami. Mam w tym doświadczenie. Mieszkała obok nas taka rodzina, miałem baczenie na ich dzieci przez cały czas, kiedy byłem młody, nie mówię przez to, że bym był już dorosły czy coś takiego. Ale wiesz, o co mi chodzi.

- Tak - odparł Step. Tymczasem w rzeczywistości dumał: Czy mam spać w ubraniu na pościeli? Lub spróbować rozebrać się w ekspresowym tempie w nadziei, że Gallowglass nie zauważy mojej bielizny? Było to niezbyt prawdopodobne - wszystko wskazywało na to, że nic nie mogło ujść uwagi Glassa. Będzie zadawał pytania, dojdzie do długiej rozmowy, na samą myśl o tym opadały mu ręce. Poza tym Gallowglass powinien być wtajemniczony w całą tę podejrzaną sprawę z Hacker Snackiem. Musiał dostarczyć programistom rozłożony kod gry na Atari, o którym wspominał, by mieli na czym się opierać. Nie wyglądało więc, żeby Step mógł mu zaufać.

- Przywykłem robić przy dzieciach wszystko. Mieli dziewczynkę w powijakach, nazywałem ją Lulu, nie pamiętam jednak dlaczego, jej imię brzmiało coś jak Gladys, kiepskie imię dla dziewczynki, tak czy inaczej, nazywałem ją Lulu - ciągała za sobą owinięte wokół kostek spodenki, wiesz, jak nasiąknięte pieluszki zaczynają ciążyć, biegała w samej tylko koszulce, a pieluchy zbierały każdą drobinę kurzu z podłogi.

- Muszę tu coś wtrącić - rzekł Step. - Wszędzie szczyzny, moja ulubiona bajka na dobranoc.

- Daj spokój, dziewczynki nie moczą spodenek szczyznami, moczą je anielskim deszczem.

- Chcesz, żebym się zrzygał? - Step się skrzywił.

Glass roześmiał się uszczęśliwiony.

- Też myślałem, że to śmieszne, tak jednak mawiała pani Greenwood, anielski deszcz, przysięgam.

- Muszę ci wyznać, Glass, że chcę się wyspać. Jest już prawie pierwsza czasu wschodniego.

- Ale ty się jeszcze nawet nie rozebrałeś - powiedział Glass. - Dopiero od dziewiątej musimy być na targach, mamy więc jeszcze mnóstwo czasu.

- Mam niegroźne zaburzenia snu - Step zmyślił na poczekaniu bajeczkę, starając się jednak daleko nie odbiegać od prawdy. - Ciężko jest mi zasnąć, a to oznacza, że muszę kłaść się dość wcześnie, a żeby zasnąć dość późno.

- A wówczas w czasie spania wstajesz i zmieniasz ubranie?

Wszystko to było za bardzo skomplikowane i denerwujące. Step wytrzymywał kontakty z ludźmi, zwracanie uwagi na to, co mówią, robienie ugrzecznionych min przez długie godziny, po tym jednak potrzebował wytchnienia, czasu na osobności, gdzie nikt od niego nic nie wymagał. W tej chwili pragnął, żeby Gallowglass podszedł do okna, wyskoczył i zginął. Nie ze złości, Step po prostu chciał być sam.

- Glass, czy wszystko, co robię lub czego nie robię, tak cię fascynuje?

- Po prostu tłumaczyłem ci, dlaczego byłbym dobrym opiekunem dla twoich dzieci.

- Jestem pewien, że byłbyś.

- Mogę zmieniać pieluszki, już ci to mówiłem. Wycierać ich małe pupcie. Wiem, że to nie robota dla facetów, lecz ja sobie z tym radzę.

- To także męska robota - rzekł Step, zapominając się w rozmowie z Gallowglassem. - Współczuję wszystkim mężczyznom, którzy nie umieją zmieniać pieluszek. Wówczas rodzi się więź z dzieckiem, wówczas zaczynasz je kochać, do diaska, służąc ich intymnym, osobistym wymaganiom, robiąc coś ohydneho, a jednocześnie niezbędnego, i dziecko wie o tym. Mężczyzna nie może karmić dziecka, nie? Potrzebny jest więc jakiś inny punkt zaczepienia.

- Całkiem niezłe kazanie.

- Tak, tą samą przemową uraczyłem starszego brata, a on zapytał: „Co jest, robisz się wtedy homo czy jak?”

Glass gwizdnął i zaśmiał się, klepiąc się po udach. Zbyt żywiołowa reakcja, za dużo śmiechu, coś tu nie gra. Co tu się dzieje? - zastanawiał się Step. Czemu się tak ekscytuje?

- O to właśnie chodzi - rzekł Gallowglass. - Dziecko kocha cię za to. Ty mu usługujesz, pucujesz pupkę, ono to uwielbia.

Teraz naprawdę brzmiało to obrzydliwie. Nie sam pomysł, ale sposób, w jaki go wyraził, słowa, nieśmiałość, z jaką powiedział „pupka”. Step poczuł się niedobrze. Chłopiec nie wiedział po prostu, jak o tym mówić, to wszystko. W swym zapale, by pomóc, nie bardzo zdawał sobie sprawę, że nie jest to ton najmiłszy dla uszu ojca, wysłuchującego kandydata na opiekuna swej małej córeczki.

- Raz ją nawet kąpałem - powiedział Gallowglass.

- Mm?

- Lulu. Gladys. No wiesz. Cała upaćkała się miodem. Nie przez moje niedopatrzenie, po prostu musiałem coś zrobić przy chłopcach, nie pamiętam już co, a ona dorwała się do miodu, stał na stole,

poląła sobie włosy, cóż mogłem poradzić? Ściągnąłem jej ubranko i wrzuciłem do wanny. Kiedy była w wannie, umyłem jej włosy i wszystko, a ona daje mi ręcznik i mówi: „Lepiej umyj też na dole, Rolly”. Sądzę, że mama nauczyła ją, że zawsze trzeba umyć pupkę.

W tym momencie Step uświadomił sobie, że nigdy, przenigdy nie zostawi któregokolwiek z dzieciaków na łasce Gallowglassa, nawet na minutę, a już w szczególności Betsy. O, nie. Jeśli tylko będzie to w jego mocy, nigdy nie zobaczy nawet małej, z jej blond kędziorkami, słodkim uśmiechem i doskonałą niewinnością.

- Rolly - rzekł Step spokojnie. - Zejdźmy z tego tematu, okej?

- Nie ma sprawy - zgodził się Glass. - Nie ma w tym żadnego podtekstu, no wiesz. Po prostu chcę się opiekować, umiem obchodzić się z małymi dziećmi, rozumiesz przecież.

- W porządku, Glass. Masz tu pięć dolców, skocz do kawiarni i kup sobie coś, a ja może wtedy zasnę.

Step sięgał do portfela.

- Dlaczego po prostu nie walniesz mnie w twarz?

- Co masz na myśli?

- Mam pięć dolarów - powiedział Glass. - Myślisz, że jestem jakimś żebrakiem, nagabującym cię na ulicy czy coś takiego? Mam swoje pieniądze, wiesz?

- Przepraszam, naprawdę - rzekł Step. - Powiedziałem ci jednak, potrzebuję snu. Bardzo potrzebuję. To jest powód, dla którego nie chciałem dzielić pokoju. Muszę mieć czas dla siebie, muszę być sam, kompletnie sam, inaczej nie zasnę.

- Żona musi to uwielbiać - zauważył Glass złośliwie.

- Nie kruszmy o to kopii - poprosił Step. - Do bani ze mnie współlokator, jestem skończonym sukinsynem, wiem. Błagam cię jednak, zejdź do kawiarni lub wyjdź do holu na papierosa, gdziekolwiek, lecz proszę, zostaw mnie samego na trzydzieści minut, to wszystko.

- W porządku - zgodził się Glass.

- Nie wściekaj się na mnie, nie chciałem cię urazić, jestem po prostu zmęczony.

- W porządku - powtórzył Glass. Podszedł do drzwi. Zatrzymał się nagle i odwrócił w stronę Stepa, wahał się przez moment, jakby chciał coś powiedzieć:

- O co chodzi? - spytał Step.

- Nigdy więcej nie mów do mnie Rolly - odparł chłopak.



- Co? Nie nazywam cię Rolly, nazywam cię Glass.

- Minutę temu nazwałeś mnie Rolly. Nikt nie nazywa mnie Rolly.

- Ja? Czemu miałbym nazwać cię Rolly? Nawet nie wiedziałem, że to twoja ksywka.

- To nie jest moja ksywka. To ksywka mojego przekłętego ojca.

Wtedy Step przypomniał sobie.

- Sam użyłeś tego imienia. Mówiłeś, że tak właśnie nazwała cię tamta dziewczynka. Musiałem użyć tego słowa, ponieważ ona go użyła, to wszystko.

- Mówiłem?

Step pamiętał dosłownie zdanie, w którym Glass użył słowa Rolly. „Lepiej umyj też na dole, Rolly”. Nie miał zamiaru tego powtarzać.

- A z jakiego innego powodu miałbym tak powiedzieć?

- Nikt nigdy nie nazwał mnie Rolly - powiedział Gallowglass z irytacją w głosie. - Moja dziecięca ksywka była Bubba. Rolly to mój tata i nikt tak mnie nie nazywa.

- Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem - odparł Step - i nigdy już nie zrobię. Wybacz, że jestem taki cierpki, mówiłem ci, że kiepski ze mnie współlokator. Dobrze, że to jednak ty, a nie ktoś inny, no nie?

Glass wyszczerzył zęby.

- Hej, lepiej zjeść karalucha niż skorpiona, nie?

- Jasne.

Glassa już nie było.

Karalucha. Jakże prawdziwe. Przebywanie z Glassem było jak jedzenie karalucha. „Lepiej umyj też na dole, Rolly”.

Step wstał i zdjął ubranie, całe ubranie, dokładnie złożył bieliznę i umieścił ją w walizce, pod czystymi ciuchami. Teraz, stojąc nago, nie mógł znieść myśli o wejściu pod pościel. Dlaczego? Nie mógł. Była taka czysta. Musiał się najpierw umyć.

Wskoczył pod prysznic, dwa razy się namydlał i opłukiwał, aż w końcu poczuł się dostatecznie czysty, żeby pójść do łóżka. Glassa ciągle nie było, a godzinę później, kiedy Step spojrzął na tarczę zegarka, wciąż się nie pokazał. W końcu Step musiał zasnąć, gdyż w ogóle nie słyszał powracającego chłopaka. Rankiem Glass brał prysznic, kiedy Step się przebudził, jego pościel była w nieładzie,

pomarszczona i pozwijana, musiał więc wrócić jeszcze w nocy. Kiedy Glass wyłonił się z łazienki, znów był jak zwykle w dobrym humorze i Step niemal zapomniał o rzeczach, które jego współlokator mówił w nocy.

Rankiem, podobnie jak zeszłego dnia, wszyscy siedzieli uwięzieni przy stoisku. Nigdy nie przyszło na myśl Stepowi, że Ray wyciągnie swych ludzi do San Francisco i nie pozwoli im nawet obejrzyć reszty targów, z drugiej strony wiele cech Raya Keene'a ujawniło się po czasie. Wyglądało na to, że jedyną porą, kiedy mógłby trochę pomyszkować, był lunch, trwający jedynie pół godziny. A miałby te pół godziny tylko wtedy, gdyby zrezygnował z jedzenia, gdyż kolejki do okienek z przekąskami dorównywały długością kolejkom do damskich toalet. Właściwie nie było sensu starać się kogoś spotkać, ponieważ tyle czasu zabrałoby samo namierzenie firm software'owych. Poza tym musiałby pogadać z kimś, kto o nim słyszał i ma pochlebne zdanie o Hacker Snacku, a to wymaga długiego szukania, jako że gra była zeszłorocznym przebojem. Nie, sprzed dwóch lat, wszyscy już w nią grali. Nie widział znikąd ratunku. Step ugrzązł w Eight Bits Inc., zgrai kurczaków, gdzie otaczali go cwaniacy, złodzieje, skąpcy i faceci śniący o kąpieniu małych dziewczynek.

Poczuł mdłości. Bawił się pomysłem udania prawdziwej choroby, żeby tylko wydostać się ze stoiska, lecz gdyby przyłapano go na kręceniu się po targach, gdy powinien odpoczywać w pokoju hotelowym, drogo musiałby zapłacić. Prócz tego fakt, że otaczali go kłamcy, nie oznaczał wcale, że sam miał krakać jak pozostałe wrony. A przynajmniej mógł krakać ciszej: czał się przecież przed Dickym, prowadząc twórczy oddział Eight Bits Inc.

Prawdę mówiąc, wiązała się z tym najgorsza strona pracy przy stoisku. Ludzie podchodzili, chcąc porozmawiać o grach, szczególnie o wersjach demonstracyjnych, Step informował ich wtedy, czym dysponują i co mają zamiar wkrótce wypuścić, gdy tymczasem Dicky nadstawiał ucha - Dicky zawsze podsłuchiwał, kursując w milczeniu z miejsca na miejsce w obrębie stoiska, niczym duch unoszący się nad ziemią. Step rozwodził się nad właściwościami gier, z jakimi zaznajomiony był jedynie on i programiści, oraz nad właściwościami, których Dicky nie widział w żadnej z wersji. Raz pomyślał o wizerunku, jakiego gra powinna nabrać i rozmawiał o tym z klientem - chociaż nikt w Eight Bits Inc. nie myślał nigdy o tej grze w podobnych kategoriach, co nie miało jednak istotnego znaczenia, gdyż Step miał duży wpływ na jej rozwój - wtedy Dicky stał obok, patrzył beznamiętnie w powietrze, słuchał Stepa albo może kogoś innego, albo w ogóle nikogo. Szpicel, pomyślał Step. Przypomniawszy sobie stare karty dla dzieci z podobiznami autorów powieści. James Fenimore Cooper miał chytre oblicze najemnika, stanowiące w opinii Stepa esencję wszelkiego szpiegostwa. Od teraz twarz Dicky'ego zastąpi oblicze Coopera. Dicky wciąż stał, pogrążony w myślach, z oczami na wpół przymkniętymi, mięsiste, zmysłowe wargi wykonywały trudne do wychwycenia ruchy, wydymały się nieustannie, jakby popijał przez niewidzialną słomkę lub całował niewidzialną ciotkę.

Muszę się stąd wydostać, postanowił Step. Nie tylko z tego stoiska, muszę opuścić Eight Bits Inc.

Skończył rozmowę z klientem, który nie chciał wcale kupować gier, chciał się po prostu czegoś o nich dowiedzieć, by wybrać komputer, na który wyjdzie najlepsze oprogramowanie. Step zbliżył się prosto do Dicky'ego i stanął przed nim twarzą w twarz, niezbyt pewny, co ma mówić, dopóki nie otworzył ust.

- Muszę na jakiś czas opuścić stoisko, Dicky.

- Ach, tak? Jesteśmy tu wszyscy, by pracować na stoisku, Step. - Dicky sprawiał wrażenie błędzącego w obłokach, nie zainteresowanego. Ten temat nie mógł nawet podlegać dyskusji, Dicky nigdy nie przychyliłby się do tak sformułowanej prośby.

Step nieco podniósł głos, upewniając się, że pozostali przy stoisku usłyszą go wyraźnie.

- Muszę obejrzeć, jak promuje się pozostałe firmy, Dicky. Chcę się przekonać, co porabia konkurencja.

- Naszą promocją jest brak promocji - odrzekł Dicky. - Poza tym to dział rozrywki, nie podręczników.

- Chcę zobaczyć, na jakim poziomie stoją dokumentacje - nie rezygnował Step. - Poznać styl. W jakim stopniu są oryginalne.

- Jeżeli masz ochotę poprobować czegoś nowego z naszymi podręcznikami, napisz coś na brudno i przynieś mnie albo Rayowi, wtedy się zdecyduje, czy można to wykorzystać.

Step jeszcze bardziej uniósł głos.

- Chcesz mi w takim razie wmówić, że Eight Bits Inc. poniosło koszty sprowadzenia mnie do San Francisco, a teraz ty nie pozwolisz mi rozejrzeć się w poszukiwaniu pomysłów, które pomogłyby naszym podręcznikom dorównać konkurencji?

- Nikt nie otwiera opakowania z podręcznikiem w trakcie decydowania się na grę, by zobaczyć, jak wygląda. - Dicky był nieugięty. - Dokumentacja nie uczestniczy w walce o klienta. A tylko za nią u nas odpowiadasz.

- Słowo mówione sprzedaje nasze produkty - wyjaśniał Step. - Pogłoska o jakości całego produktu. Jeśli nasze podręczniki będą w porządku, to częściowo i o tym klienci wspomną swym przyjaciołom.

- Odpowiedź brzmi: nie - powiedział Dicky autorytatywnie. - Jesteś tu, żeby pracować, nie zabawiać się. Temat uważaj za wyczerpany.

Step powinien poddać się dużo wcześniej, jeśli nie chciał zrazić do siebie Dicky'ego. Lecz nie dbał o to, zamierzał brnąć dalej i dalej, aż - aż co? Aż zarobi na zwolnienie?

- Nie pragnę się zabawiać, Dicky, pragnę pracować - efektywnie. Każda software'owa spółka wysyła swych ludzi, by dowiedzieli się, jaki dystans dzieli ją od konkurencji, my zaś tkwimy tu przykuci do stoiska, niczego się nie ucząc. Czy to recepta na przekształcenie Eight Bits Inc. w rezerwat dinozaurów?

Wreszcie Ray Keene podszedł i stanął przy nich w milczeniu, ogniskując spojrzenie na punkcie gdzieś pomiędzy dwoma adwersarzami, na wysokości klatki piersiowej. Następnie spojrzął Stepowi w oczy i powiedział:

- Możesz iść.

Dicky nie okazał zdenerwowania faktem, że kazano mu opuścić pozycję, na której dopiero co zdążył się okopać.

- Ile mam czasu?

- Dwie godziny - rzekł Ray. - Potem będziemy wypuszczać każdego po kolei. - Patrzył teraz na Dicky'ego. - Nowa polityka.

Dicky przytaknął głową.

- Wspaniały pomysł.

Step zwrócił się do Dicky'ego bez cienia triumfu w głosie:

- Przy okazji zjem lunch, tak że wrócę o pierwszej trzydzieści.

Dicky skinął łaskawie. Step dostrzegł zaciskające się szczęki. Lepiej, żebym coś sobie znalazł, pomyślał Step. Lepiej, żebym spotkał się z kimś i doszedł do wstępnego porozumienia, gdyż moje dni w Eight Bits Inc. są policzone, a w ciągu tych dni, które jeszcze pozostały, nie będzie mi do śmiechu, wyzwałem przecież Dicky'ego i wygrałem, a on nie cierpi upokorzeń, nie jest w tym dobry. Ma dość rozumu, żeby nie podskakiwać Rayowi, lecz ja za to jeszcze beknę.

Mimo to wstąpienie w szranki z Dickym i zwalenie go z konia napełniało go słodką błogością. A kiedy opuszczał stoisko, Glass i kilku facetów od marketingu zaklaskało mu ukradkowo.

Gdy przepychał się wśród tłumów, mijając stoisko za stoiskiem, zaczynał uświadamiać sobie ogrom zadania, jakie go czekało. Nikogo tu nie znał. Pracował solo, nie bywał nigdy na tego rodzaju zjazdach, choć oczywiście mnóstwo o nich słyszał, czytał felietony Neddy'ego Cranesa na przykład. Nie potrafił po prostu podejść do stoiska i zapytać, kto jest szefem firmy i czy jest akurat na miejscu, a jeśli tak, porozmawiać z nim. Być może jednak będzie musiał, niezależnie od tego, jak zapatrywał się na tę kwestię. Poza tym nie pytał przecież o pracę, musiał pogadać o udostępnieniu licencji na adaptację Hacker Snacka na inną maszynę. Do kogo trzeba się z tym zwrócić? Tak by nie rozmawiać o tym z każdym pacholkiem obsługującym stoisko, żeby wieść nie gruchnęła po targach, że oto Step Fletcher poluje, by zrobić interes?

Ogarnięty takimi myślami stał przed stoiskiem Agamemnona, oglądając ich gry - takie wymuskane, świetnie wydane, najlepsze - kiedy nagle głos, przypominający pisk przekłutego balonu, rozległ się nie wiadomo gdzie:

- PC ma szansę zostać najgorszym komputerem kiedykolwiek wepchniętym amerykańskiemu nabywcy, nie stworzonym przez Commodore'a - Neddy Cranes nadawał w eter - lecz nie znaczy to wcale, że nie ustanowi nowego standardu. Szesnaście bitów to szesnaście bitów, programiści mogą teraz tworzyć software na ponad 64 kilobajty RAM, co oznacza więcej dodatków w oprogramowaniu, to wszystko zabije CP/M i wszystkie te lilipucie tak zwane komputery domowe.

Złap się za Commodore i Atari, a utoniesz razem z nimi, popamiętasz moje słowa!

Step musiał tego słuchać. W Eight Bits Inc. mieli PC IBM, Ray Keene wciąż nie mógł się zdecydować, czy ruszyć z software'em do tych maszyn. Step był przekonany, że stanie się to nieprędko, gdyż Gallowglass nienawidził pecetów. Step też nie cierpiał tych komputerów, z tą ich dziwną pamięcią ekranu i żalostną czterokolorową grafiką, jeśli nie chciało się babrać w monochromatyczności. Przypominało to kopiowanie każdej denerwującej cechy Apple'a II, wszystko jednak czyniono bardziej skomplikowanym i żalostnym, by sprzedać cały ten kram pięć razy drożej. Lecz Neddy Cranes nie należał do głupców, nawet jeśli sprawiał wrażenie nadętego fanfarona. Poza tym Cranes nie siedział u nikogo w kieszeni. Nie dbał o to, czy ma wrogów. Nie był li tylko piewcą IBM. Kiedy głosił, że nadchodzi era IBM, tak z pewnością było, smutne, ale prawdziwe.

Do kogokolwiek by Cranes mówił, ten ktoś nie kłócił się z nim. Prawdopodobnie próbowali go przekonać, że są takimi jak on wizjonerami i zgadzają się z nim całkowicie, lecz niech no rzuci okiem na ich wspaniałą software, podeślą mu najświeższą ofertę, niech ją wypróbuje, przekona się wtedy o jej doskonałości. A skoro to był Agamemnon, musiała to być prawda.

- Wielkie nieba, toż to Step Fletcher we własnej osobie!

Podmuch głosu Neddy'ego Cranesa, rozlegający się niebezpiecznie blisko, niemal kazał mu się cofnąć. Zdołał jednak jakoś zapanować nad sobą, co było niezbędne, gdy Neddy Cranes rozpoznał go przy stoisku Agamemnona.

- Cześć - pozdrowił go Step.

Cranes odwrócił się do jakiegoś faceta na stoisku.

- Czego wam potrzeba, to zdobyć takiego Stepa Fletchera, by poradził sobie z PC. Poproście go, by zaadaptował swojego Hacker Snacka - wspaniałą grę, graną dłużej, niż ośmieliłbym się przyznać - na wasze pecety, będzie wyglądała do dupy, gdyż wszystko wygląda do dupy na PC, lecz te nieszczęsne bękarty, które są zmuszone używać tej maszyny każdego dnia, będą tak wdzięczne za coś, co nie wygląda prymitywnie, że ustawią się w pięciomilowej kolejce, by polizać was w tyłki.

Step zastanowił się, czy jego własne wypady w wulgarność raziły DeAnne w tym samym stopniu, co jego jeszcze większa wulgarność Cranesa. Nie po raz pierwszy przyrzekał sobie, że zaprzestanie męczyć DeAnne używaniem języka, którego mormoni powinni się wyrzec.

Facet z Agamemnona przemówił ostatecznie:

- Miło pana poznać, panie Fletcher.

- Step - rzekł Step.

- Ach, czy wy się już nie znacie? - spytał Cranes.

- Tak naprawdę nikogo jeszcze nie znam - przyznał Step. - Nawet ciebie, Cranes.

Cranes odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się - dźwięk przykuwający uwagę niczym nagle krakanie wrony. Step wyczuwał ogólne poruszenie otaczającego ich zewsząd tłumu, wszyscy oglądali się w poszukiwaniu źródła tego niezwykłego odgłosu. W tej właśnie chwili, wewnątrz kręgu wolnej przestrzeni otaczającej Cranesa, Step poczuł, jak cała ta uwaga pulsowała energią. Skulił się, przytłoczony nią jakby jarzmem, lecz Cranes zdawał się czerpać z niej żywotne soki.

- W takim razie miło cię spotkać, Step! Spędziłem tyle czasu przy twojej piekielnej grze, iż poczułem się w pewnym momencie, jakbyś był moim obrzydliwym szwagrem! - Ku zdumieniu Stepa Cranes objął go ramieniem i uściśnął. Straszna chwila - co miał teraz poczuć, uściśkać i jego?

Nie musiał nic robić. Cranes ciągle trzymał mu rękę na ramionach, kiedy odwracał się do mężczyzny z Agamemnona. Step odczytał nazwisko wypisane na plakietce. Brzmiało Dan Arkasian. Sam Arkasian, założyciel Agamemnona i jego prezes. Prócz tego wyglądał na przyjemnego gościa, radził sobie z tą inwazją Neddy'ego Cranesa z gracją i cierpliwością. Takiego właśnie człowieka Step chciał spotkać, kogoś, kto mógł wydać jego gry poprzez najsprawniejszą sieć w Ameryce, w najlepszych opakowaniach, tymczasem Neddy Cranes nie przestawał go obejmować.

Kiedy Cranes terkotał dalej, Arkasian patrzył Stepowi w oczy, nie, taksował go spojrzeniem, a wszystko, na co było stać wtedy Stepa, to niepewny uśmiešek.

- Uczepiłeś się tych wszystkich zabawkowych komputerków z nie więcej niż 48 kilo użytecznego RAM-u, to cię zabije - mówił Cranes. - Lecz najmij kogoś takiego jak Step Fletcher, aby stworzył ci naprawdę dobry software - to znaczy, ten facet jest nie tylko komputerowym czubkiem, on ma także doktorat z historii. On coś wie!

Step nie mógł uwierzyć, że Cranes tyle o nim wie. Wtedy przypomniał sobie: Eight Bits Inc. zamieściło w prasie informację o zatrudnieniu go, razem ze wzmianką, iż otrzymał właśnie doktorat. Step nie przypuszczał, że ktoś to czytał.

- Mogę się z miejsca założyć, że Step ma więcej pomysłów na to, co można zrobić na peceta, niż ktokolwiek z tu obecnych. No dalej, Fletcher, odpowiedz mu coś, potrzeba mu świeżych pomysłów, wszystko, na czym opiera się Arkasian, to udany produkt, potrzebuje więc nowych pomysłów!

To było straszne, niemożliwe. Musiał z czymś wyskoczyć albo wyjdzie na idiotę. Coś, co by poszło na żalostnej grafice IBM. Coś potrzebujące więcej RAM-u. Do głowy przyszła mu jedynie myśl o wspaniałym sędziwym atlasie, nad którym ślęczał dwa dni w bibliotece Salt Lake City. Zawierał mapy podsumowujące wszystkie wyniki głosowań w wyborach prezydenckich od 1788 roku.

- Atlas - rzekł Step.

- Myśleliśmy o tym - odparł Arkasian. - Można kupić książkę za mniejsze pieniądze, poza tym tu trzeba lepszej grafiki.

- Nie, należy się skupić tylko na tym, co potrafi komputer. Jak na przykład... wybory. Za rok Reagan ubiega się o następną kadencję, a przy recesji może być mu ciężko.

- Recesja minęła. - Cranes machnął ręką. - Nie grozi mu porażka.

Dla mnie się nie skończyła, pomyślał Step gorzko. Powiedział jednak:

- Dlaczego nie atlas obrazujący każdą elekcję od 1788 roku, stany zakolorowane zgodnie z poparciem wyborców. Można by przesuwać ekran, przeglądać poparcie partii demokratycznej w ciągu tych lat, do przodu i do tyłu, porównywać kandydatury przedstawicieli trzeciorzędnych partii, którzy otrzymywali głosy. Ludzie uwielbiają mapy, które się zmieniają. Komputer to potrafi, a książki nie.

Arkasian wzruszył ramionami i przytaknął.

- W porządku, coś w tym jest.

- A kongres? - dodał Step, zapalając się do pomysłu. - Mapa pokazująca każdy okręg wyborczy w każdym stanie. Można by zrobić zbliżenie na stan i pokazać, jak okręgi zmieniały się z każdym spisem ludności, jaka partia przeważała. Animować całą historię stanu i obserwować zmiany w czasie. To samo z populacją, hrabstwo po hrabstwie.

- Trzeba by twardego dysku, żeby pomieścić te wszystkie informacje - powiedział Arkasian.

- Nie, jeśli wykorzystać wektory i wypełnienia. Jak sam pan powiedział, jeśli chcą mieć atlas drogowy, kupią sobie rozkładówkę i wezmą z sobą do samochodu. Nie musimy więc dbać o dokładność granic, wszystkie dane można zwyczajnie przechowywać jako zbiór koordynat i liczb, program może przerysowywać mapki w czasie rzeczywistym.

- Kto to jednak kupi? - powątpiewał Arkasian.

- Każdy rodzic dbający o wyniki dziecka w szkole. Każdy zainteresowany polityką w czasie przedwyborczej gorączki. Moglibyście to sprzedawać jako narzędzie dla planistów rynkowych - zawierające przypuszczalny przyrost ludności, być może mapę dla określonego rynku konsumentów z zaznaczonym, przykładowo, rozmieszczeniem stacji telewizyjnych.

Arkasian roześmiał się.

- Ten program będzie potrzebował 512 kilo, żeby wystartować.

- No i co z tego? - zapytał Cranes. - Obiecuję ci, że za pięć lat nikt nie odważy się umieścić w sprzedaży peceta przynajmniej bez jednego megabajta RAM-u!

- Neddy, coś ci się poplątało i wiesz o tym - powiedział Arkasian.

- Może i coś mi się poplątało, ale to nie znaczy, że nie mam racji! Zobaczysz! A kiedy twoja firma spotka się oko w oko z syndykiem masy upadłościowej, ponieważ uparłeś się wypuszczać gry na Commodore'a 64, ignorując PC, przypomnisz sobie moje słowa z roku 1983!

Ostatecznie Cranes puścił Stepa i pokłusował dalej, nie żegnając się nawet. Rozsyłał zarozumiałość wielkimi, druzgoczącymi falami, Step dał się opłukać jedną z nich. Przez chwilę obserwował znikającego Cranesa, po czym odwrócił się do Arkasiana i uśmiechnął się smutno, wyciągając dłoń.

- Miło było pana poznać, panie Arkasian.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł szef Agamemnona. - Dlaczego poczułem nagle taki przypływ świeżego powietrza?

Step zaśmiał się.

- Niesie z sobą mnóstwo... osobowości.

- Rzeczywiście, spodobał mi się pański pomysł z tym atlasem - rzekł Arkasian.

- Naprawdę?

- Trochę pan improwizował, prawda?

- Jak by to powiedzieć, wziął mnie z zaskoczenia. - Step wzruszył ramionami.

- To stała metoda Neddy'ego. Lecz nieźle pan grał, panie Fletcher.

- Proszę mówić mi Step, panie Arkasian.

- Step. Każdy mówi mi Arkasian. Tylko bez pana. Oczywiście, nawet jeżeli Neddy ma rację, potrwa to jeszcze ze dwa lata, nim będzie można w praktyce urzeczywistnić tę myśl.

- No tak, cóż, tyle by właśnie potrzeba na same przygotowania, jeśli wziąć się do tego od zaraz.

- To naprawdę coś, wiesz? - powiedział Arkasian. - Wyskakujesz z takim pomysłem zupełnie na poczekaniu, i to już ze strategią marketingową. Nie dziwota, że wynajął cię Eight Bits Inc.!

No i masz babo placek! Arkasian sądził, że Eight Bits Inc. ma go na własność, gdyby teraz powiedział prosto z mostu: „Chcę odejść i szukam czegoś lepszego”, w oczach Arkasiana przedstawi się jako nielojalny pracownik. Każda wartościowa oferta powinna wyjść bezpośrednio od samego Arkasiana.

- Każą mi po prostu pisać podręczniki - powiedział.

- Żartujesz sobie? - Arkasian był bardzo zdziwiony.

- Nie jestem tam jako programista.

- O czym więc myśleli, zatrudniając cię?

- Polityka wewnętrzna, sądzę - odparł Step. - Nieważne, podoba mi się ta praca.



- Zatem skończyłeś z programowaniem?

Oto nadeszła upragniona chwila.

- Wciąż mam prawa do Hacker Snacka. Mogę pisać na każdą maszynę, na którą nie pisze Eight Bits Inc.

- Nie wypuszczają nic na PC?

- Ray jeszcze nie zdecydował.

- Chodźmy może tam dalej. - Arkasian skinął na Stepą, by poszedł za nim w głąb stoiska Agamemnona.

Odmienne niż stoisko Eight Bits Inc., miejsce zajmowane przez Agamemnona - które tak na marginesie było dwa razy większe, stanowiąc bliźniak na końcu alejki - miało wydzielone prywatne pomieszczenie, trójścienną salkę wyposażoną w zamykane drzwi. Arkasian wpuścił go do środka, do małego pokoiku, nie przykrytego od góry, wypełnionego pustymi pudełkami i innymi kłopotami. Arkasian przekręcił za nimi klucz w zamku i powiedział stanowczo:

- Ray Keene to najgorszy wredny sukinsyn w tym biznesie.

Nie był to czas, by obmawiać swego szefa, nie przed kimś, kto później może zechcieć polegać na jego lojalności.

- Pracuję w Eight Bits Inc. dopiero od pierwszego marca, niewiele wiem o Rayu.

- Dlaczego nie pogadałeś najpierw ze mną, nim poszedłeś pisać podręczniki dla Raya Keene'a?

- Przesłałem do Agamemnona swój życiorys, ale odesłano mi odpowiedź, że nikogo obecnie nie zatrudniacie.

- Do diaska - rzekł Arkasian pogodnie. - Tak się rozrośliśmy, że mamy dyrektora do spraw zatrudnienia. Jasne, że nie zatrudnialiśmy, ale ty na pewno dostałbyś robotę.

Oto sposobność, o której marzył, nigdy już nie będzie bliższy sukcesu. Mógłby teraz poprosić nawet o kawałek księżycy.

- Nie chcę pracować dla nikogo, Arkasian. Nawet dla Agamemnona. Jeśli opuszczę Eight Bits Inc., to tylko dlatego, że zawarłem z kimś odpowiednią umowę, mogę pracować sam, w domu, z wystarczającym zadatkiem, by przeżyć w czasie pisania programu. Prócz tego podpisałem z Eight Bits Inc. kontrakt na niekonkurowanie z nimi przez rok. Hacker Snack nie podlega jednak umowie, jak też programy na maszyny, dla których Eight Bits Inc. nie pisze software'u.

- Ile byś chciał?

- To zależy od czasu, jaki zajmie pisanie programu - odpowiedział Step. - Ten atlas wymaga go

wiele.

- A Hacker Snack na sześćdziesiątkęczwórkę?

- Dwa miesiące - odparł.

- A co z Hacker Snackiem na peceta?

- Nie znam kodu na maszyny z procesorem 8088.

- A z marginesem na naukę?

- Maksymalnie sześć miesięcy - powiedział Step po krótkim namyśle. - Nie będzie jednak wyglądał tak dobrze na kiepskim trójkolorowym ekranie IBM.

- I tak na początek chciałbym go w mono.

- Dlaczego nie zrobić dwóch wersji i nie umieścić ich w tym samym opakowaniu? W ten sposób w razie unowocześnienia maszyny będą mieli już gotową grę.

- A dlaczego by nie sprzedać jej dwa razy?

- Bo stwierdzą, że się ich okrada - odpowiedział Step. - A jeśli zastanawiają się dopiero nad unowocześnieniem sprzętu, nie chcesz chyba, żeby rezygnowali z kupna Hacker Snacka do czasu, aż wejdzie na rynek lepsza wersja. A niech to, mogą zdecydować się na lepszy sprzęt po prostu dlatego, że mają kolorową wersję gry.

- Niech no się zastanowię - pomyślał głośno Arkasian. - Mogę ci powiedzieć na dzień dobry, że potrzebuję Hacker Snacka na sześćdziesiątkęczwórkę. Lecz inną. Poprawioną. Byśmy mogli rzucić sloganem „Lepsza niż na Atari, udoskonalona wersja”. I tym podobne bajery.

- Pomyślę, o czym trzeba - rzekł Step.

- Sami jeszcze nie jesteśmy przekonani co do peceta. Nie mam też pojęcia, co do zadatku dla ciebie na projekty związane z PC, gdyż wciąż nie wiadomo, jak rozwinie się rynek oprogramowania na to, co w gruncie rzeczy jest maszyną biurową.

- Ułomną maszyna biurowa.

- O wyśrubowanej, monopolistycznej cenie - dodał Arkasian. - Też nie lubię IBM. Myślę jednak, że Neddy utrafił w sedno. IBM przepchnie peceta. Rynek na niego powiększy się dziesięciokrotnie w porównaniu z rynkiem CP/M, sądzę też, że ludzie zaczną domagać się kolorów. Dlaczego twoim zdaniem uważam, że będą potrzebować koloru?

- Żeby móc pograć.

- O to właśnie chodzi.

Step roześmiał się.

- To jedyny powód, dla którego istnieją komputery, no nie? Żeby można było sobie pograć.

- To nie żart - spoważniał Arkasian. - Im gry mają lepszy software, tym lepiej się sprzedają. Stepie Fletcher, zawrę z tobą umowę dotyczącą Hacker Snacka dla sześćdziesiątekczwórek, na początek. Nie będą to jednak takie pieniądze, byś mógł rzucić dotychczasową pracę.

- Rozumiem.

- Jeżeli natomiast Ray Keene jest skończonym osłem i sukinsynem, za jakiego go uważam, nie zdecyduje się na pisanie pod peceta. Jeśli tak się rzeczywiście stanie, daj mi znak, a sporządzimy umowę na PC. Umowę z prawdziwego zdarzenia, może nawet obejmującą ten pomysł z atlasem. Chciałbyś się tym zająć, no nie? To znaczy wiem, że zmyślałeś wszystko na bieżąco, lecz może...

- Wypruję sobie flaki dla tego programu.

- Zgoda. Skontaktuj się ze mną, gdy Ray Keene zdecyduje.

Step zaczerpnął głęboko powietrza.

- Tego nie mogę zrobić - powiedział.

- Co takiego?

- Panie Arkasian, ja, pracując dla Eight Bits Inc., nie mogę donosić konkurencji o szczegółach planów Raya Keene'a.

Arkasian patrzył na niego zbity z pantałyku.

- Niech mnie diabli!

- W sekundę po moim odejściu - Step ciągnął - będę mógł poinformować cię, czy klauzula o braku rywalizacji z Eight Bits Inc. dotyczy również PC, wnioski wyciągniesz sam. Lecz zanim rzucę pracę, nie mogę zdradzić żadnych zamiarów Raya Keene'a. Nie powinienem nawet być mówić, że jeszcze się nie zdecydował, czuję się przez to niezręcznie, nie chcę pogarszać sprawy.

- No cóż, w takim razie rzuć pracę i zadzwoń do mnie, jeśli zdecyduje się nie wchodzić w pecety.

- Nie mogę tak po prostu rzucać pracy, nie mając w ręku nic pewnego. - Nie mógł powiedzieć: „Możliwe, że oferujesz mi pracę tylko po to, by pozyskać szpiega w Eight Bits Inc., a na to się nie zgodzę”. - Mam trójkę dzieci, czwarte pojawi się w lipcu.

Step niemal wstrzymał oddech w oczekiwaniu na ripostę Arkasiana.

- Okej - rzekł ten tymczasem. - Prześlę ci kontrakt na Hacker Snacka pod sześćdziesiątkęczwórkę. Zamieszczę też klauzulę alternatywną. Hacker Snack na PC i kontrakt na pracę dla Agamemnona.

Jeśli zdecyduję, a szanse na to są niemałe, że firma znacznie się rozwijać pod kątem PC, wariant z Hacker Snackiem pod peceta znacznie obowiązywać. Na tym etapie, jeżeli dojdiesz do wniosku, że klauzula o nierywalizowaniu z Eight Bits Inc. pozwala ci pisać pod PC, godzisz się na opcję o szerszej umowie z Agamemnonem. Upewnię się, że kasa będzie odpowiednio duża. Ile masz teraz?

- Trzydzieści tysięcy rocznie, lecz trudno z tego wyżyć.

- Wiem, jak to jest - rzekł Arkasian. - Kontrakt dwuletni, sto tysięcy dolarów. Nie możesz skorzystać ze swojej opcji, dopóki ja nie skorzystam ze swojej, dotyczącej wersji Hacker Snacka na PC. Potem jednak wszystko zależy od ciebie.

- Od Raya Keene'a, chciałeś powiedzieć.

- Założę się, że Ray Keene wykona niewłaściwy ruch. Może za pół roku zorientuje się, że zblądził, lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, twoja praca ukaże się na rynku z logo Agamemnona.

Step popatrzył z ukosa.

- Nie chcesz posłużyć się mną wyłącznie, by dogryźć Rayowi Keene'owi?

- Nie inwestuję pieniędzy, by dogryźć komukolwiek - zaprzeczył Arkasian. - Inwestuję je tam, gdzie mogą przynieść mi porządny zysk. - Wyszczrzył zęby. - Lecz jeśli przy okazji napluję Rayowi Keene'owi do kaszy, tym lepiej.

- Potrzebny ci mój adres - zauważył Step.

- Daj mi wizytówkę.

- Nie mam wizytówki. Dopiero co się przeprowadziłem i, no, nie mam wizytówki.

- Zapisz więc na odwrotnej stronie mojej. Zatrzymaj też moją - Step schował do kieszeni jedną, na drugiej dopisał adres przy Chinqua Penn i numer telefonu, wręczył ją Arkasianowi. Arkasian schował ją do kieszeni i wyciągnął rękę. Step potrząsnął nią. Uścisk Arkasiana był długi i pewny, i dawał poczucie... bezpieczeństwa. Jakby był teraz w dobrych rękach.

Arkasian nie miał zamiaru uwolnić Step'a z tego uścisku.

- Co zaś się tyczy moich planów... - powiedział.

- Nie szpieguję dla nikogo - obruszył się Step. - Ray Keene nawet nie próbuje mnie o to prosić. - Choć bez wątpienia Ray zdołał poprosić go o działania za plecami Dicky'ego, na co się zgodził. Udaję niewiniątka, prawda jest jednak inna.

O tym właśnie Step rozmyślał, opuszczając stoisko Agamemnona. Jestem tylko trochę niewinny. Mam jedynie kilka zasad, których nie poświęcę. Ale gdyby Arkasian rzucił na stół odpowiednio wypchany worek, kto wie, może żadna z nich nie oparłaby się tej próbie? Prawdopodobnie jest zdania, że można mi zaufać, lecz ja wiem, że lojalność skończy się z chwilą, kiedy stanie na przeszkodzie moim

celom. Na razie jestem podłym kanciarzem, przychodzę na rozmowy z jednym z najzaciętszych wrogów Eight Bits Inc., choć to właśnie ta firma zapłaciła za mój przylot tutaj. Naciągnąłem ich na sprowadzenie mnie tutaj, aby odbyć rozmowę kwalifikacyjną z ich głównym rywalem. Nawet płacą za czas tu spędzony.

Zgodnie z prawem powinienem podzielić się pomysłem na atlas z Eight Bits Inc. Tak głosi umowa, każdy pomysł, z jakim wyskoczę w czasie pracy w Eight Bits Inc., należy do nich.

Wtem naszła go refleksja. To proste. Wystarczy, że zaproponuję Dicky'emu pomysł z atlasem i przekonam go, że mam zamiar wziąć się do niego na serio. Storpeduje go z miejsca. Zdusi w zarodku, by zrobić mi na złość. Jeśli odmowę dostanę na piśmie, jestem w domu. Będę dysponował dowodem, że zaoferowałem im ten pomysł, i to mnie oczyści.

Sprytnie. Ależ ze mnie spryciarz.

Tej nocy Glass usiłował namówić go, by przyłączył się do niego i facetów od marketingu, a także do kilku młodszych programistów od Apple'a, pracujących obecnie nad software'em dla Lisy. Mieli zamiar popić i pohulać trochę po San Francisco, ale Step nie chciał.

- Potrzeba nam doświadczonego kierowcy - prosił Glass.

- Wynajmijcie taksówkę - poradził na to Step.

- O, tak! - ucieszył się Gallowglass. - Zapomniałem, że to prawdziwe miasto. Taksówki.

Dzięki temu Step dysponował pustym pokojem hotelowym, kiedy dzwonił do DeAnne, opowiadając ze szczegółami przebieg rozmowy z Neddym Cranesem i Danem Arkasianem. Ucieszył się, słysząc w jej głosie cień ulgi i podekscytowania.

- Nic jeszcze nie jest pewne - zaznaczył. - Oprócz pieniędzy za adaptację gry na sześćdziesiątkęczwórkę. Po prostu każę im przestać.

- No pewnie, wejdiesz, mówiąc: sprzedane Agamemnonowi.

- Bez przesady, po prostu powiem, że sprzedane komuś innemu.

- Zapytają czemu, skoro pracujesz dla nich, szczególnie że tyle już w to zainwestowali.

- Trudno, nie moja wina.

- Nie twoja wina, jednak wyleją cię tak czy inaczej, ponieważ wyparłeś się drużyny.

Step westchnął.

- To wszystko takie skomplikowane.

- To jedynie kwestia zgrania w czasie, nie uważasz? - powiedziała DeAnne. - Bo co będzie wtedy, jeśli za sprawą tej adaptacji rozpęta się piekło, zanim podpiszesz umowę z Agamemnonem? Powiesz w firmie, żeby nie tykali gry, wtedy cię zwolnią, a jak nie dostaniesz tego kontraktu?

- A co będzie, jeśli kontrakt przyjdzie wcześniej, zanim w sprawie adaptacji Hacker Snacka dojdzie do awantury, gdy Ray jeszcze nie podejmie decyzji i dopóki Arkasian nie zdecyduje wejść w pecety?

- Wszystko zależy od innych ludzi - podsumowała DeAnne.

- Zawsze wszystko zależy od innych ludzi - uzupełnił Step. - A może Pan ma względem nas jakieś zamiary? Może Bóg ma plan?

- Hm, jeśli zaplanował ci pracę dla Agamemnona, dlaczego nie sprawił, byśmy przenieśli się do Kalifornii zamiast w to ustronie o nazwie Steuben? Lub nie zostawił nas tam, gdzie mieszkaliśmy? Było nam dobrze w Indianie. Stevie nie bawił się tam z wymyślanymi przyjaciółmi.

To było coś nowego.

- Z wymyślanymi przyjaciółmi?

- Dopiero dzisiaj spostrzegłam, ale trwa to już od tygodni. Niemal od czasu naszej przeprowadzki. Wraca ze szkoły taki przygnębiony, wątpię, żeby miał tam jakichś przyjaciół. Pytam się go, z kim bawi się w szkole, a on odpowiada, że z nikim, nie martwiłam się tym jednak, bo ciągle powtarzał, że Jack i ja zrobiliśmy to, Scotty i ja zrobiliśmy tamto. Pomyślałam więc, że ma jakichś przyjaciół, chce tylko, żebym się nad nim litowała.

- Do licha, nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle mówi.

- Nie jest katatonikiem ani kimś takim, no wiesz. To zwykła depresja.

- No tak, w takim razie okej.

- W soboty spędzałam czas z tobą, robiliśmy konieczne zakupy, porządki, rozpakowywaliśmy się jeszcze, no wiesz. W tę sobotę nie było cię jednak, czułam się taka samotna, siedziałam przez chwilę na patio, czytając tę książkę Anne Tyler, którą mi kupiłeś, a dzieci się bawiły. Robbie i Elizabeth chyba bawili się w berka, w każdym razie gonili się wszędzie, Stevie natomiast siedział na trawniku, potem przechadzał się dokoła, dotykał żywopłotu, ściany domu i tym podobnych rzeczy. To mnie zaniepokoiło. Zawsze bawił się z młodszym rodzeństwem, a oto teraz dąsa się czy coś takiego, nie chce z nimi pobiegać, choć Robbie ciągle podlatuje, wołając: „Baw się z nami”. Tak czy inaczej poszłam wtedy do domu, by zrobić pranie, upewniałam się jednak co chwila, co z dziećmi, bo tak właśnie robię...

- Pani Skrupulatna.

- To właśnie ja, Gałganiarzu. Pozwól jednak, że dokończę. Wiem, że Stevie nie opuścił podwórka za domem ani że nikt go nie odwiedzał. Spytałam go przy kolacji: „W co się bawiłeś dziś z tyłu na podwórku?”, a on na to: „Jack i ja szukaliśmy zakopanego skarbu”. Zapytałam wtedy: „Masz na myśli w szkole?”, gdyż myślałam, że stamtąd właśnie zna Jacka; wtedy on odpowiedział: „Jack nie chodzi do szkoły”.

- Jesteś pewna, że rozumiał twoje pytanie?
- Jasne, to znaczy spytałam go, kiedy szukał z nim tego zakopanego skarbu. Powiedział, że dzisiaj. Gdzie? Głównie na podwórku za domem.
- Chyba już powinien wyrosnąć z wyimaginowanych przyjaciół?
- Oczywiście, Step, że już wyrósł. Dawno. To mnie niepokoi.
- Może po prostu udaje, że koledzy ze szkoły są częścią jego wyimaginowanej zabawy w domu. No wiesz, uwzględnia ich, chociaż jest sam.
- Ja tego nie zmyślam, Step. Wyraźnie powiedział, że Jack nie chodzi do szkoły. Czy to nie wygląda na wyimaginowanego przyjaciela?
- Zapomniałem, że o tym wspominałaś. Nie miałem sposobności przemyśleć tego jeszcze.
- Step, najwidoczniej on nie ma w szkole żadnych przyjaciół, w domu nie bawi się z bratem ani siostrą, zamiast tego z wyimaginowanymi przyjaciółmi. Nawet wtedy, gdy dzieciaki są przy nim, gdy ja jestem przy nim. Wieczorem próbowałam nakłonić dzieci do zabawy w życie, no wiesz, Stevie zawsze uwielbiał się w to bawić, tym razem jednak nie chciał. Kazałam mu się bawić, za nic jednak nie chciał ruszać samochodem lub obracać pieniędzmi, doszło do tego, że łowiłam za niego ryby. Jakby był manekinem, siedział i gapił się tępo przed siebie.
- Czy to ciągle kara za zmuszenie go do przeprowadzki i do pójścia do nowej szkoły?
- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - odparła DeAnne.
- Wszystko się ułoży - rzekł z przekonaniem Step. - Musi się ułożyć, tak bym mógł wrócić do domu i pracować. Żebyśmy mogli powrócić do normalnego życia. Czuję się taki bezradny, podcięty, mój chłopak boryka się z tymi problemami, jest taki zły na nas, a ja nie mogę kiwnąć palcem, tkwię w pułapce. Jak inni mężczyźni to robią? Chodzą do pracy przez cały czas? Do tego ich żony chcą chodzić do pracy zupełnie jak mężczyźni, co również odcina je od rodzin, podczas gdy jedynym rozwiązaniem jest powrót wszystkich mężczyzn do domu, by scalali rodziny.
- Wiem, Step. Przynajmniej nas to dotyczy.
- Więc pomódl się za nas dziś wieczór - rzekł Step. - Pomódl się, żeby udała się sprawa z kontraktem. Żeby wszystko zgrało się w czasie.
- Nie jestem pewna, czy powinnam się modlić o podobne rzeczy - powiedziała DeAnne. - To takie samolubne.
- Posłuchaj - odparł Step. - Nawet Chrystus przedłożył najpierw osobistą prośbę, nim rzekł: „Niechaj będzie wola Twoja”.
- No tak, ale spójrz, co Go później spotkało.



Zaniósł się śmiechem.

- Nie do wiary, że to powiedziałaś.

- Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak... świętokradzko.

- Nie zabrzmiało, Rybia Damo, nie zabrzmiało.

- Wszystko się ułoży.

- Kocham cię - odpowiedział.

- Odbiorę cię jutro na lotnisku.

- Wszyscy przylatujemy tym samym samolotem. Mogę się zabrać po prostu z kimś, kto tam parkuje.

- Ja chcę cię przywitać na lotnisku, Gałganiarzu. Dzieciaki też chcą cię przywitać.

Nie wiedział, jak jej to przekazać - nie życzył sobie dzieci na lotnisku, kiedy Gallowglass będzie wysiadał z samolotu. Nie chciał, żeby ktokolwiek z Eight Bits Inc. oglądał jego rodzinę. Dzieci były wciąż czyste, nieskażone tym parszywym towarzystwem, nie miał ochoty przyglądać się, jak Ray Keene kala Robbiego, głaszcząc go po włosach, Dicky Northanger Steviego, łaskocząc go pod brodą, Gallowglass Betsy, patrząc na nią.

- Proszę - powiedział - zostaw dzieci w domu. Pozwól mi wrócić do nich. Do ciebie. Proszę.

- Jak sobie życzysz, Gałganiarzu. - Wyczuł w jej głosie ból.

- Proszę, zrozum - dodał.

- W porządku, wszystko w porządku - odparła, choć wyczuł w tych słowach fałsz. - Kocham cię.

- Ja cię kocham bardziej. - Jeszcze jeden rytuał.

- To niemożliwe - rytualna odpowiedź.

- Odłóż pierwsza.

Odłożyła.

**Rozdział szósty**

**Inspiracja**

Oto do czego doszła DeAnne w życiu: w szkole wyższej uświadomiła sobie, że dla przyzwoitej dziewczyny bez żadnych kwalifikacji jedyną szansą na zrobienie pieniędzy jest praca w restauracji lub sprzedaż hamburgerów. Wyruszyła więc na poszukiwanie kwalifikacji. Kiedy przyszła do college'u, potrafiła już napisać sto słów na minutę. Zarabiała dosyć pieniędzy jako niepełnoetatowa sekretarka w Departamencie Rozwoju Dziecka i Związków Rodzinnych, by stać ją było na zakup materiałów, z których szyla sobie ubrania, i na opłacenie benzyny zużywanej przez starego żółtego volkswagena na dojazd do uczelni. Opanowała pisanie na maszynie elektronicznej, dostała podwyżkę, uskładała dość pieniędzy, by opłacić semestr w Paryżu.

Jednak wybrała niezbyt praktyczną specjalizację. Kochała sztukę, muzykę i literaturę, zdecydowała się więc na kierunek humanistyczny, mimo że wiedziała, iż nie ma na świecie fachu, w którym mogłaby zrobić karierę ze stopniem z nauk humanistycznych. Nie dbała jednak o to szczególnie. Gdzieś w zakamarkach umysłu kołatała się myśl, że macierzyństwo będzie jej karierą, tak jak było karierą matki. Studiowała nauki humanistyczne, by móc stworzyć dom wypełniony sztuką, z której dzieci czerpałyby mądrość. Gdyby kiedyś potrzebowała pracy, wystarczyło zapukać do pierwszego lepszego biura, wystukać bezbłędnie stronę z trzystu słowami w czasie trzech minut i dostać angaż na miejscu.

Jak się później okazało, macierzyństwo nie było dokładnie taką karierą, o jakiej marzyła. Po pierwsze zawsze poprzedzane było miesiącami udreki. Gdyby nie benedectin przez pierwsze cztery miesiące każdej ciąży jakoś pomagający na nieustające napady mdłości, przeleżałaby ten czas, wymiotując w szpitalu. I tak nudności nie ustępowały całkowicie, dopóki nie narodziło się dziecko.

Po drugie i co ważniejsze, każdy noworodek okazywał się barbarzyńcą. Wraz ze Stepem wyłożyła ściany wspianymi plakatami, puszczała piękną muzykę wielkich mistrzów, lecz było to zaledwie tło - głównie zajmowała się bowiem ściąganiem, karmieniem, wycieraniem, myciem, strofowaniem, pocieszaniem i poskramianiem własnej niecierpliwości. Zdarzały się też cudowne momenty, oczywiście, lecz rzadko, a chociaż DeAnne kochała dzieci i dumna była z opieki nad nimi, doszła do wniosku, że jednak nic szczególnego w życiu nie osiągnęła. Kiedy Step kończył pracę, potrzebował spokoju i osobności; umierała z tęsknoty za rozmową z dorosłym. A kiedy Step pomagał w porządkach lub w doglądaniu dzieciaków, fakt, że jest doskonale obeznany ze wszystkim, uświadomił jej, iż z tym, co robi, poradziłby sobie też ktoś drugi. Z wyjątkiem karmienia najmniejszego dziecka, ale nawet pawiany to robią.

Macierzyństwo nie było karierą. Było życiem. Dobrym życiem, którego nie miała zamiaru się wyrzekać, w pewnym sensie jednak niekompletnym. Potrzebowała czegoś, co przypomniałoby jej, że

jest człowiekiem.

Zwierzyła się z tego dobrej przyjaciółce Lorry Tisch, zarządzającej telewizją edukacyjną w Salt Lake City, a ta zniosła się śmiechem.

- Zrobiłaś karierę, tłumoczku! W każdym calu dorównującą mojej!

- Jeśli powiesz mi, że macierzyństwo ma być dostatecznym...

- Posłuchaj, Deen, zanim pobraliście się ze Stepem, kiedy Step krążył między Meksykiem a Waszyngtonem, zbierając materiały na tę pracę dla katedry historii, dom odwiedzał tylko późną nocą w środę, z jakiego to powodu nie miałaś czasu spotkać się z nim wtedy? Przypomnij sobie, kochaliście się już wówczas, a ty nie mogłaś poświęcić mu tej jednej nocy po dwóch miesiącach rozłąki...

- Miałam swoje powinności - odparła DeAnne.

- Przewodnicząca Stowarzyszenia Pomocy Młodym Małżonkom, uczestniczyłaś w spotkaniu. Mogłaś zmienić dzień! Mogłaś odwołać spotkanie w tym tygodniu!

- Dlaczego wywlekasz stare brudy, Lorry?

- Ponieważ dla kariery chcesz poświęcić wszystko, nawet Stepa. Niemal go wtedy straciłaś. Przez trzy godziny musiałam go przekonywać, by nie zrywał z tobą.

- Proszę, nie przypominaj mi tego - poprosiła DeAnne.

- Twoja kariera to Kościół, Deen. Niezależnie od powołania, jakie odczuwasz w danym momencie, właśnie dla Kościoła żyjesz, całą resztę lepiej przepędź. Więc nie wciskaj mi kitu, że nie zrobiłaś kariery. Odniosłaś sukces, kiedy razem uczyłyśmy się w wyższej szkole, kiedy praktycznie w pojedynkę nadzorowałaś program dla Młodych Kobiet, a starsi ustępowali ci z drogi.

DeAnne zdała sobie sprawę, że Lorry ma rację. Odnosiła sukcesy, które mogła podtrzymywać bez porzucenia rodziny. Podążyła wtedy za głosem powołania z nowym entuzjazmem, nie opuszczała jej przez wszystkie te lata w Salt Lake City, w Orem i Vigor. Gdziekolwiek się przenieśli, kiedy tylko najbardziej wpływowe matrony zauważały, jaką jest sumienną, kompetentną i obdarzoną inwencją twórczą kobietą, biegły do biskupa prosząc, by przyjął ją do organizacji. Prawie natychmiast znajdowała się w wąskim kręgu najważniejszych kobiet gminy, świadoma wszystkich wydarzeń, problemów małżeńskich i finansowych kobiet nie potrafiących odnaleźć miejsca w społeczności, kobiet nie potrafiących zdobyć zaufania, kobiet po prostu nie potrafiących. Uzbrojona w tę wiedzę mogła działać efektywnie. Jej przedsięwzięcia uwieńczone zostały pełnym powodzeniem, przyrzeczenia zostały dotrzymane, lecz ona wciąż nie czuła się zaspokojona. O wiele ważniejsza była praca, jaką sama sobie narzuciła - pomoc siostron, by starały się być ciut bardziej wyrozumiałe dla innych, bardziej tolerancyjne wobec tego, co odmienne, bardziej kochające i mniej nienawidzące, by przykładaly większą wagę do praw boskich i mniejszą do bezpodstawnych wymagań tradycji.

Była to praca rozpisana na całe życie, ponieważ nigdy się nie kończyła - mimo to dostrzegała postęp, dokonywała przełomów. A gdy porównywała swą karierę kościelną z karierami innych osób - nawet tych opromienionych sukcesami jak Lorry, będąca teraz dyrektorem do spraw programów w stacji sieciowej o dużej oglądalności - nie czuła niedosytu, bo choć nigdy nie osiągnie sławy i pieniędzy, jakie stały się udziałem Lorry, z czego ta ostatnia mogła być dumna po każdym dniu pracy? Z powtórki „MASH” wciśniętej między Carsona a nowy show Lettermana?

Jeżeli Kościół stanowił istotę jej kariery, to przeprowadzka do innego miasta przypominała zmianę siedziby tej samej firmy. Kościół był z grubsza wszędzie taki sam. Istniały podobne powołania, podobne podstawowe zadania do spełnienia. Tylko ludzie się różnili; kompozycja, jaką tworzyli w gminie, zawsze była inna. Każda nowa gmina miała własne zwyczaje, tradycje, własne sprzeczki i kliki.

Najważniejszy był fakt, że każda nowa gmina zaskakiwała DeAnne jakimś nowym zadaniem. Trzeba było odczekać, nim ludzie się na niej poznają, nim spostrzegą, w czym może im pomóc. W tym czasie biskup szukał w rejestrach gminnych kogoś, kto mógłby poprowadzić zajęcia z pierwszaki lub wydawać książki w bibliotece. DeAnne oczywiście przyjmie zadanie, jakim ją obarczą, starając się włożyć maksimum wysiłku w jego wykonanie. W każdej gminie trafiała do innej „szufladki”, którą opuszczała dopiero w chwili przeprowadzki. Przed wyjazdem do Steuben zapytała Stepa:

- Ciekawe, kim będę w nowej gminie?

- Kim będziesz? Oczywiście, że DeAnne Brown Fletcher.

Ona miała na to inny pogląd. W Vigor piastowała urząd doradcy Stowarzyszenia Pomocy, była jedną z najważniejszych kobiet w gminie. Uczestniczyła we wszystkich wydarzeniach. W Salt Lake City była przewodniczącą stowarzyszenia Młodych Kobiet. W Orem pracowała w organizacji Młodych Kobiet na szczeblu okręgowym. Każda rola była odmienna. W każdym miejscu, jako że zawsze pełniła inną funkcję, pozostali święci widzieli ją w zmienionym świetle.

I czemuż by nie? Tak właśnie funkcjonują kariery, nieprawdaż? Na tym polega różnica pomiędzy karierą a pracą. Pracę się wykonywało. Karierę - tworzyło. Step jest doktorem historii, lecz nikt nie widzi go jako historyka, ponieważ to nie jego kariera. Jest twórcą gier, gdyż na tym polu święci sukcesy. No cóż, DeAnne sprawdziła się jako doradca Stowarzyszenia Pomocy w Vigor, teraz w pierwszej gminie Steuben stanie się jeszcze kimś innym, nurtowało ją pytanie - kim.

Wystarczająco często się przeprowadzali, żeby stać się ekspertami w natychmiastowym wtapianiu się w nową gminę. Niektórzy wkradali się w gminę skromnie, po cichu, po prostu uczęszczając na spotkania i tam stopniowo poznając ludzi. Lecz taki tryb mógł pozbawić pracy przez długie miesiące, a to doprowadziłoby DeAnne do obłędu. Tak więc wraz ze Stepem osiągnęli mistrzostwo w technice szybkiego i dogłębnego scalania się z nową gminą, pozwalającej z marszu zaangażować się w jej życie. Wstąpili do chóru.

Step obdarzony był silnym barytonem, radził sobie z większością partii tenorowych, a skoro każdy chór gminy cierpiał na niedostatek mężczyzn, szczególnie zaś tenorów, niemal natychmiast stał się gwiazdą zespołu. Sopran DeAnne nie był już taką osobliwością, lecz uczyła się szybko nowych partii

i śpiewała donośnie i w odpowiedniej tonacji. Poza tym grywała na fortepianie i w razie potrzeby mogła zastąpić brakującego akompaniatora. Każda gmina miała swoich ludzi muzyki, rozdzielających zlecenia i pomagających sobie wzajemnie w pozostałych organizacjach. Dając się poznać ludziom muzyki, DeAnne i Step dawali się poznać wszystkim szacownym i znanym osobistościom. Ponieważ przykładali się do pracy w chórze, ludzie zaczęli nazywać ich „aktywnymi”. Zaczęto na nich polegać. Jeśli otrzymywali zlecenia, nie zawodzili i wypełniali je co do joty. Dzięki powiązaniom z chórami w ciągu tygodni od czasu przeprowadzki do nowej gminy zyskiwali powszechny szacunek.

Tę samą metodę wykorzystali w pierwszej gminie Steuben, podobna technika znów ich nie zawiodła. Kiedy pokazali się niedzielnego popołudnia na próbie chóru - z dziećmi u boku, uzbrojeni w papier do rysowania, książki do czytania i, w przypadku Elizabeth, kilka lalek do zabawy pod czujnym okiem Steviego - dyrektor chóru obejrzał ich od stóp do głów i powiedział bez wahania:

- Oho, przybył nam nowy członek chóru!

DeAnne zawsze traktowała to stwierdzenie z rozbawieniem. Już po chwili prowadząca chór musiała przeproszać, przy czym DeAnne zapewniała ją, iż zrozumiała jest, że poszukiwani są mężczyźni, natomiast sopranów jest na pęczki.

Biorąc udział w znajomych rytuałach prób chóru, DeAnne czuła się mile widziana, spokojna. Choć nie знаła nikogo z zebranych tam ludzi, wiedziała o nich tyle, że są mormonami, doceniają muzykę, tak więc poznała ich wszystkich, wiedziała też, że oni poznali ją i męża, i wtedy już mieli swoje miejsce.

W następnym tygodniu zastępowała nauczycielkę w podstawówce. Mąż dyrektorki był jednym z basów i najwidoczniej, kiedy dyrektorka zamartwiała się przez nauczyciela, który musiał wyjechać z miasta, powiedział:

- A może by tak poprosić tę nową siostrę, by go zastąpiła? Siostrę... Fletcher.

Następnego tygodnia Step poprowadził zajęcia z doktryny ewangelicznej. W ciągu dwóch pierwszych tygodni dwa razy przemawiał w szkółce, rozeszła się wieść, że ma doktorat z historii, co zdobyło mu znaczny prestiż głównie w robotniczej gminie, naturalne więc było, że pozwolili mu wykazać się na niedzielnej lekcji dla dorosłych.

Następnego tygodnia biskup zadzwonił do DeAnne i ustalił datę spotkania z nią i ze Stepem. Sobota była jedynym rozsądnym dniem przed niedzielą, kiedy mogła liczyć na wcześniejszy powrót Stepa z pracy, dlatego na sobotę zaplanowano spotkanie. Bez wątplenia miała uczyć w podstawówce - zwykły przydział dla kobiety nowej w gminie - Step natomiast poproszony został do nauczania w szkółce doktryny ewangelicznej. Step był wniebowzięty. Uwielbiał uczyć, nie cierpiał za to pracy w administracji, nie zachwycało go stanowisko przewodniczącego zgromadzenia starszych w Vigor. Poza tym szkółka doktryny ewangelicznej była zadaniem tylko na niedziele; spotkania w tygodniu kolidowałyby z pracą w Eight Bits Inc. DeAnne tymczasem czekała na sposobną okazję. Była dobrą nauczycielką i uwielbiała pracę z małymi dziećmi, wiedziała jednak, że wkrótce będzie się musiała z nimi rozstać, gdy zwolni się tylko jakieś miejsce w Kole Pomocy. Wiedziała o tym, gdyż przewodnicząca Stowarzyszenia Pomocy, Ruby Bigelow, uważała za stosowne usiąść przy niej w

drugą niedzielę na próbie chóru, a kiedy skończono śpiewać, przez kwadrans gawędziły jak stare przyjaciółki, nim dzieci dały znać, że są dostatecznie głodne, by przystąpić do gryzienia ław. Siostra Bigelow wiedziała już, że DeAnne była doradcą do spraw edukacji w Kole Pomocy w Vigor - Jenny Cowper nie omieszkła jej o tym poinformować - wspominały historyjki związane z katastrofalnymi spotkaniami, w których brały udział.

- Mam nadzieję poznać cię lepiej - powiedziała siostra Bigelow na zakończenie tej pierwszej konwersacji.

To stało się w ostatnią kwietniową noc. Był wtorek. Zadzwoił biskup. Chciał najpierw porozmawiać ze Stepem. Step rozmawiał krótko. „Jasne, oczywiście, nie ma sprawy”. Potem wezwał DeAnne z powrotem do telefonu. Od razu domyśliła się, że biskup ma dla niej nowe dyspozycje, wprawdzie chciał jednak zapytać Stepa - nie miała nic przeciwko temu zwyczajowi. Szkoda tylko, że ten mechanizm nie działał na dwie strony: nikt nie pytał żony o zdanie przed desygnowaniem męża na nowe stanowisko.

- Jak się masz, siostrzyczko Fletcher? - zapytał biskup.

- Dziękuję, w porządku - odparła DeAnne.

- Nie znoszę robić tego przez telefon, ale za godzinę mam samolot i nie wrócę przed niedzielą, a siostra Bigelow wypchałaby mnie sianem, gdybym wcześniej nie zadzwonił i pozbawił cię możliwości zabłyśnięcia w niedzielę.

Tak więc miało to być zebranie Stowarzyszenia Pomocy. Niemal poczuła ulgę; ze względu na doświadczenie wyniesione z Vigor ciągle uważała się za członkinię Stowarzyszenia Pomocy. Polubiła też siostrę Bigelow. Przyjemnie będzie z nią popracować, przyjemnie poznać kobiety z gminy.

- Siostrę Mansard dopiero co powołano do stanowej rady Stowarzyszenia Pomocy, a to pozbawia gminę przewodnika po życiu duchowym. Jestem tego samego zdania co siostra Bigelow, że to właśnie ciebie Pan wyznaczył na to stanowisko. Czy przyjmiesz je?

Oczywiście, że przyjmie, choć zaskoczyła ją propozycja zajęcia się życiem duchowym. Spośród czterech części nauczycielskiej branży była to bezdyskusyjnie najbardziej prestiżowa pozycja w Kole Pomocy. W najśmielszych nadziejach mogła marzyć najwyżej o nauczaniu poprawy kulturowej. Siostra Bigelow musiała obdarzyć nowo przybyłą wielkim zaufaniem.

W ten właśnie sposób, w dwa miesiące po przyjeździe do Steuben, DeAnne nareszcie przekonała się, jak wyglądać będzie jej kariera w tym miejscu. Lekko jej się zrobiło na duchu, była szczęśliwa. Podobnie jak Step miała zostać nauczycielem: w ukochanej organizacji i w dziedzinie, którą ceniła najbardziej.

- Kiedy się nad tym zastanowić - rzekł kiedyś Step - ty i ja możemy się cieszyć najbardziej wpływowymi pozycjami wśród nauczycieli. Jeśli Pan sprowadził nas do tej gminy, żeby tu zrobić porządek, nie mógł dać nam lepszego oręża. - DeAnne musiała się z nim zgodzić. Czuli się świetnie

w nowej roli, jakby Bóg pragnął ich zapewnić, że dobrze zrobili, przenosząc się tutaj, że byli na wybranym przez Niego miejscu.

Gdyby tylko Stevie zaufała nowemu miejscu, nowym obowiązkom. Lecz dla dziecka było to trudniejsze, nawet dla tak bystrego i dojrzałego na swój wiek jak Stevie. Nie nauczył się jeszcze cierpliwości, nie rozumiał, że swój cel mają wszelkie pozorne przeciwności losu, nawet strach, nawet ból, tworzące z niego porządnego człowieka, rozumiejącego niedolę i samotność drugich. Zostało na to jeszcze wiele czasu. Miło było pomyśleć czasem, że za kilka lat powie Steviemu: „Pamiętasz, jak ciężko ci było na początku, kiedy wprowadziliśmy się do Steuben? Nawet miałeś wymyślonych przyjaciół, z którymi się bawiłeś. Tak bardzo się uwziąłeś, żeby zostać samotny! Rozejrzyj się teraz wokół, ilu masz przyjaciół, jak dobrze idzie ci w szkole!” Gdyby można było przeskoczyć parę lat, przenieść go w te czasy, by mógł przekonać się, że kryzys jest tylko przejściowy.

Tymczasem cieszyła się swoją karierą na równi ze Stepem. Tak naprawdę Step rozwijał dwie kariery. Jeśli nienawidził pracować z niektórymi dziwakami z Eight Bits Inc., odpoczywał od nich w niedzielę, kiedy miał okazję porozmawiać z ludźmi patrzącymi na świat jego oczami, będącymi sługami Pana, a nie sługami Raya Keene’a. Stepowi, rzecz jasna, nauczanie doktryny ewangelicznej nie przysparzało żadnych trudności. Nie myślał o tym w tygodniu, zazwyczaj nie przygotowywał się przed sakramentalnym spotkaniem. Czytywał kilka rozdziałów Starego Testamentu, podczas gdy mówcy buczeli monotonię, zakreślał kilka wersów, a parę minut po zakończeniu spotkania stawał przed grupą i olśniewał. W pewnym sensie przez całe życie przygotowywał się do uczenia w ten sposób. Krótka chwilka na pobieranie myśli i oto roztaczał przed słuchaczami wizję swych dogłębnych przemyśleń dotyczących Pisma Świętego, tak że uczestnicy lekcji mieli o czym rozmyślać i co zgłębiać przez cały nadchodzący tydzień.

DeAnne musiała poświęcić nauczaniu dużo więcej wysiłku. Przede wszystkim dlatego, że kobiety ze Stowarzyszenia Pomocy wymagały od swych nauczycielek dużo większego przygotowania. Konieczne były pomoce naukowe, czasem ulotki, czasem poczęstunek, a to oznaczało, że każdą lekcję DeAnne musiała planować wiele dni naprzód, czasem wiele miesięcy. Z drugiej strony DeAnne wkrótce przekonała się, że siostra Bigelow najwidoczniej wymaga od swych nauczycielek, żeby należały do aktywu w Kole Pomocy. Często rozmawiała z DeAnne przez telefon, prosząc o pomoc w tym i owym - o zadzwonienie do całej rzeszy sióstr, na przykład, z prośbą o zanieśenie jedzenia do takiego a takiego mieszkania, gdyż matka przebywa w szpitalu, a córka nie powinna się martwić gotowaniem. „Tak mi przykro, że obarczam cię tym wszystkim - mawiała często siostra Bigelow - lecz nasza litościwa przodowniczka nie jest... no cóż, nie zawsze jest zdolna wypełnić swe obowiązki”.

DeAnne rozumiała doskonale. Litościwa przodowniczka należała z pewnością do tych kobiet, którym przydzielono zadanie przerastające ich możliwości, by przyspieszyć rozwój osobowości. W tym czasie inni musieli nadrobić zaległości i wywiązać się z zadania, podczas gdy siostra, na którą początkowo nałożono to zadanie, przyglądała się i uczyła.

DeAnne przyjmowała takie zlecenia bez szemrania i wywiązywała się z nich celująco. Właśnie na tym polegała jej kariera. Dzwoniła więc, gdy Robbie i Elizabeth drzemali, wycinała z papieru materiały pomocnicze na lekcję, kiedy Betsy obok wypełniała kolorowankę, a Robbie ćwiczył literki.

Właśnie tak miało przebiegać jej życie - nieustanne lawirowanie pomiędzy dziećmi a siostrami z gminy.

Najbardziej odpowiedzialna część pracy skupiała się jednak wokół nauczania życia duchowego - jeżeli z tym sobie nie poradzi jak należy, trudniej jej będzie przy pozostałych pracach. Tutejsze siostry musiały nauczyć się już na wstępie, że mogą polegać na doświadczeniu DeAnne, niełatwe zadanie, zważywszy na fakt, że niektóre siostry nieco kwaśno patrzyły na laur, jaki przypadł nowicjusze. Na dodatek pierwsza lekcja miała się odbyć bezzwłocznie, pierwszego maja. Nie miała wyboru, musiała zaniedbać chwilowo parę spraw domowych - część skrzyń mogła poczekać z rozpakowaniem, dopóki nie będzie miała lekcji za sobą.

W niedzielę nerwy nie dawały jej spokoju, obudziła się wcześniej i nie mogła już zasnąć. Gdy Step wstał o ósmej, zastał dzieci ubrane w niedzielne garniturki, kończyły jeść śniadanie.

- Co się dzieje, czy dziś idziemy do kościoła na ósmą trzydzieści zamiast na dziewiątą?

- Nie chciałam po prostu, żebyśmy biegali przed wyjściem - odpowiedziała DeAnne.

Step uśmiechnął się i objął ją. Wiedziała, że z natury nie należał do tych tulących się, ale rozumiał, że potrzebny jest jej kontakt fizyczny. Dzisiaj nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo łaknie wsparcia jego ramienia, poczuła spokój spływający na nią gorącą falą, przylgnęła do męża na moment.

- Będiesz dzisiaj cudowna - zapewnił. - Zawsze tak się przejmujesz, lecz jesteś wspaniałą nauczycielką, a oni cię będą uwielbiać.

Przez całe zebranie z trudem wychwytywała strzępy głosów ludzi wyznających wiarę, zżerały ją nerwy. W czasie lekcji Stepa w szkółce niedzielnej przeglądała notatki, upewniając się, że pamięta dokładnie swoją przemowę. Mimo to jego głos wyrwał ją na chwilę z zadumy. Opowiadał historię o czasach, kiedy Jozue zamartwiał się, ponieważ dwóch ludzi głosiło prorocтва w obozie Izraela, i chciał, żeby Mojżesz zstąpił i położył temu kres. Step sparafrazował odpowiedź Mojżesza: „Nie bądźcie zazdrośni o mnie. Oby wszyscy ludzie zmienili się w proroków”. Następnie Step przystąpił do wykładu, jak to Bóg oczekuje od każdego świętego, że o drogę zapyta Pana swego, nie polegając na nikim innym, choćby był prorokiem, i każdy ruch zaplanuje zgodnie z wolą Pana. Przez jedną nieznośną chwilę wydawało jej się, że ma zamiar wygłosić jej lekcję. Powinna mu powiedzieć, na jaki temat poprowadzę lekcję, bo jeszcze zacznę się wypowiadać na opracowany przeze mnie temat, a w Kole Pomocy pomyślą, że powtarzam słowa męża, co całkowicie oderwie uwagę słuchaczy od istoty zagadnienia.

Lecz Step przeszedł do dyskusji o rytuałach, DeAnne odetchnęła z ulgą, a w pewnym miejscu w notatniku namalowała gwiazdkę i napisała obok „Step”, dokładnie przy tym fragmencie lekcji, gdzie będzie chciała nawiązać do słów Stepa ze szkółki niedzielnej. Powinno zadziałać.

Nie brała w rachubę siostry LeSueur.

Ostrzeżona przez Jenny Cowper, DeAnne z miejsca spostrzegła, kim w rzeczywistości jest siostra



LeSueur. Sympatyczną damą z wyglądu tuż po sześćdziesiątce, z włosami ufarbowanymi na blond, zawsze wystrojoną, promieniującą dostojnością i dostatkiem. Dla każdego miała w zanadrzu uśmiech i miłe słówko, DeAnne nawet ją polubiła. Nie potrafiła zrozumieć powodów, dla których Jenny wyraża się o niej tak nieprzychylnie. Może słodycz bijąca od jej osoby była odrobinę zbyt wyzywająca, lecz przecież ludzie mogą mieć o wiele gorsze cechy. Jenny musiała źle zrozumieć coś, co powiedziała siostra LeSueur. A może nie tolerowała ludzi chełpiących się swą nieprzejętnością w naśladowaniu Chrystusa. Również DeAnne nie potrzebowała przy sobie takich ludzi, lecz siostra LeSueur nie wydawała się aż tak natarczywa.

Zaczęła pojmować, o co chodziło Jenny, kiedy lekcja dobiegła końca i nadszedł czas, by siostry wyznały wiarę. Lekcja udała się wyśmienicie. DeAnne mówiła o świadectwach wiary, a po przytoczeniu kilku historii przeszła do sedna sprawy, przekonując, by każda z sióstr starała się wypracować własną więź z Duchem Świętym.

- Jedynym mediatorem między nami i Ojcem w niebie jest Jezus Chrystus, poza nim nikt, żaden biskup, żaden z naszych mężów nie może stanąć między nami a Bogiem. To ze swojego świadectwa o Bogu będziecie rozsądzeni, gdy dopełnią się dni, nie zaś z czyjegoś poza waszym. Jak Zbawca powiedział, słowo mówione, a nie usłyszane, może nas zgubić albo wybawić. Świadectwa waszych mężów nie mogą doprowadzić was do nieba.

Kiwały głowami, wiele z nich przytakiwało, kiedy to mówiła.

Potem powiedziała o tym, jak to ona i Step nie uzgodnili między sobą tematu dzisiejszych lekcji, a jednak oboje zakończyli tym samym wnioskiem: że Pan pragnie, by wszystkie Jego dzieci były prorokami, by przyjmowały w swym życiu Ducha Świętego.

- Być może Bóg naprawdę chciał, byście dziś wysłuchały tej lekcji. Nie musiałam jednak udawać się do męża, by się o tym przekonać - jeśli któreś z nas było natchnione, to oboje byliśmy natchnieni i tak też powinno być z naszymi świadectwami.

Znów przytakiwały zgodnie. A kiedy kończyła lekcję, wiele oczu błyszczało wilgocią.

Wyznawanie wiary, jakie po tym nastąpiło, było piękne, a to także po części DeAnne miała na celu. Zadaniem przewodnika po życiu duchowym jest odpowiednie dostrojenie atmosfery, aby podczas tego comiesięcznego spotkania siostry poczuły żądzę powstania i złożenia publicznego świadectwa ze swych uczynków. Przy słowach pierwszych przemawiających kobiet zapanowało wielkie podniecenie i ferwor. Wtedy ze swego miejsca podniosła się siostra LeSueur.

Oczywiście, zaczęła od płaczu - tego właśnie oczekiwano po ludziach ostentacyjnie oddanych życiu duchowemu, jak też po tych, którzy naprawdę byli oddani. To właśnie słowa siostry LeSueur, a nie jej łzy kazały DeAnne przypuszczać, że Jenny Cowper nie pomyliła się co do tej kobiety.

- Serce moje tak jest przepełnione po tej cudownej lekcji - powiedziała siostra LeSueur. - Chciałabym po prostu opowiedzieć siostronom, jak jest cudownie i jaka jestem błogosławiona, mając mojego drogiego męża Jacoba. Taką jest mi podpora, a muszę powiedzieć, że w naszym życiu to on o wszystkim decyduje, gdyż jest prawdziwą głową rodziny, a Pan wskazuje mu ścieżki, po których

oboje powinniśmy stapać. Jeśli kiedykolwiek dostąpię królestwa niebieskiego, to za sprawą jego świadectwa. Taka jestem wdzięczna, że Bóg przekazał swe córki w ręce tak dobrych mężów, jako że bez nich byłybyśmy krańcowo samotne i zagubione. Chciałabym być tak uduchowiona jak siostra Fletcher przed chwilą, ja nigdy nie ośmieliłabym się wyłożyć lekcji bez uprzedniej konsultacji z mężem, ponieważ to jest powód, dla którego Bóg dał mi męża, by był moim przewodnikiem i nauczycielem we wszystkich rzeczach.

Ciągnęła swój wywód, lecz DeAnne nie rozróżniała słów. Poczła się, jakby ją spoliczkowano. Już złe samo w sobie było to, że doktryna głoszona przez siostrę LeSueur fałszowała prawdę; nieznośny okazał się jednak fakt, że poważnie podważała pozycję DeAnne jako nauczyciela życia duchowego, zaprzeczając bez ogródek głównemu wnioskowi lekcji. Z tego, co DeAnne zdążyła się zorientować, Dolores LeSueur cieszyła się wielką estymą w gminie, a jeśli zadawała kłam nauczycielce, komu należało wierzyć? Jedną z najznamienitszych kobiet gminy piętnowała ją niniejszym jako niepewnego nauczyciela. Z trudem hamowała łzy. Szczególnie kiedy następna siostra wstała, dając świadectwo duchowemu majestatowi siostry LeSueur, mówiąc, że nic dziwnego, iż Pan uleczył ją z raka, żeby mogła wciąż mieszkać w pierwszej gminie Steuben i stanowić dla nich wszystkich niedościgniony przykład wiary i życia duchowego.

Wówczas spotkanie wreszcie dobiegło końca. DeAnne natychmiast pozbierała swe rzeczy i ruszyła w stronę drzwi, niczego bardziej nie pragnąc niż opuszczenia tego miejsca i dotarcia do samochodu, gdzie będzie okazja popłakać chwilkę, zanim Step zbierze dzieci i sprowadzi je do auta, a ona znów będzie pogodna. Niemniej jednak utknęła w przejściu, wychodząc z salki, a nim wydostała się na drugą stronę, poczuła na rękawie czyjeś dłonie. Dyrektorka chóru, Mary Ann Lowe. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Co za cudowna lekcja - powiedziała. - To właśnie chciałam dzisiaj usłyszeć. - Po tym znikła w tłumie.

Jenny Cowper była następna w kolejce, by pociągnąć ją za rękaw, odciągając DeAnne od drzwi.

- Słyszałam, co powiedziała Mary Ann. Chcę, żebyś wiedziała - jej mąż przestał praktykować, odkąd dopuszczono czarnych do duchowieństwa, straszny z niego bigot; boli ją serce za każdym razem, kiedy skończona kretynka daje świadectwo, jak cudowny jest jej mąż i jak to kobieta jest niczym, jeśli nie ma dobrego męża. Tak więc, kiedy mówiła, że potrzebowała lekcji o tym, jak mąż nie może stać między tobą a Bogiem, no cóż, powiedziała prawdę.

- Och - westchnęła DeAnne. Zatem jej lekcja komuś się przydała.

- Wiesz, ta wiedźma tylko papie o tym swoim mężusiu.

- Masz na myśli siostrę LeSueur? - spytała DeAnne.

- Tę wiedźmę przez duże „W” - potwierdziła Jenny. - Więc dając tę lekcję, oczyściłaś powietrze, którym oddychamy w tej gminie, od smogu zalegającego nad nią od lat. Co za pierwszorzędnny początek!

- Pierwszorzędny początek? - zdziwiła się DeAnne. - Już po mnie.

- Po tobie? Nonsens. Każda tutaj, jeśli ma choć częściowo rozwinięty mózg, wycalowałaby chętnie siostrę Bigelow za powierzenie ci funkcji nauczycielki. Zdjęłaś straszny ciężar z niejednych ramion. W tym Kole Pomocy nie znajdziesz więcej niż sześć udanych małżeństw, a kiedy królowa wiedźm obnosi się ze swoim Jacobem, dotyka do żywego wszystkie inne kobiety.

- W takim razie może nie ma pojęcia, jak jej słowa działają? - podsunęła DeAnne.

- Tu mi kaktus wyrośnie - rzekła Jenny. - Lecz o wilku mowa.

DeAnne odwróciła się, by stanąć oko w oko z siostrą LeSueur, wyciągającą do niej rękę z uśmiechem na twarzy.

- Ach, moja droga siostrzko Fletcher, co za cudowna lekcja! Mówiłam właśnie siostrze Bigelow, że to miło z jej strony, iż dała tak młodej osobie sposobność dorośnięcia do tak wielkiego powołania - a ty nadajesz się do tego, za parę miesięcy sami zobaczą. Pokładam w tobie taką wiarę. - Mrugnęła i uściśnęła rękę DeAnne, nim odpłynęła w dal.

- Chyba masz ochotę umyć rękę, no nie? - powiedziała filuternie Jenny.

- Albo ją odciąć - odparła DeAnne. - Ona naprawdę jest wredna.

- Lecz fajnie jest wiedzieć, że nie tylko ty to dostrzegasz, co? W przeciwnym razie obwiniłabyś się za nienawiść do niej, gdyż jest taka słodka i uduchowiona, zatem nienawidzenie jej prowadzić musi do zagłady.

- Wybacz, że posądziłam cię o plotkarstwo - rzekła DeAnne. - Tymczasem to była zwykła dobroczynność. Jak ostrzeżenie kogoś przed nadciągającym tornadem.

- Och, jeszcze niczego nie widziałaś - poinformowała ją Jenny pogodnie. - Zadzwoń do mnie jutro albo dziś, jeśli będziesz mieć sposobność. Teraz muszę spędzić moje potworki, zanim wyrwą antenę satelitarną.

DeAnne roześmiała się.

- Nie żartowałam - zapewniła Jenny. - Kiedy kilka lat temu po raz pierwszy zainstalowaliśmy antenę, dwójka moich najstarszych urwisów wspięła się po ogrodzeniu i ściągnęła talerz. Lecz teraz podstawę zakotwiczyliśmy do betonowej płyty, wszystko jest już pod kontrolą, no chyba że pozwolimy dzieciakom przynieść narzędzia do kościoła. To na razie!

Kiedy Jenny znikła, DeAnne po raz wtóry wzięła kurs na drzwi - bez poprzedniej chęci ucieczki i płaczu. Jednak i tym razem ktoś ją zatrzymał.

- Siostrzko Fletcher, chciałabym z tobą pomówić - rzekła siostra Bigelow.

No tak, pomyślała DeAnne. Nadeszły czarne chmury.

DeAnne podeszła do stolika, przy którym siostra Bigelow układała modlitewniki.

- Najlepiej odłóż cały ten sprzęt, który taszczysz - powiedziała.

Teraz poprosi o zwrot podręcznika, DeAnne nie miała wątpliwości. Zwolni mnie z funkcji nauczycielki życia duchowego. Nie dostanę nawet drugiej szansy.

Lecz co ma być, to będzie, zdecydowała DeAnne, odłożywszy materiały do lekcji.

- No, teraz mogę cię uściskać bez ryzyka ułknięcia się rogiem twojej książki w oko! - oświadczyła siostra Bigelow. Była o pół głowy niższa od DeAnne, lecz miała silny i entuzjastyczny uścisk. Kiedy siostra Bigelow odstąpiła od niej wreszcie, DeAnne ukradkiem rozejrzała się, czy aby nie ma świadków w pomieszczeniu. - DeAnne, jestem przekonana, że Pan naprawdę sprowadził cię do Steuben w Karolinie Północnej, byś została naszym nauczycielem życia duchowego.

- Więc lekcja rzeczywiście wypadła dobrze? - spytała niedowierzająco DeAnne.

- Sądzę, że to jasne, jak potrzebna była ta lekcja - rzekła siostra Bigelow. - Nie powiem nic więcej, gdyż nie wyrażam się źle o moich siostrach, lecz dostrzegłam w tobie zniechęcenie spowodowane jednym ze świadectw, przy czym chciałam zapewnić cię, że nie ma po prostu powodu czuć się w ten sposób. Dla mnie jesteś manną spadającą z nieba. Wracaj teraz do domu i nakarm rodzinę.

Chyba mi się upiecze.

Ale czy aby na pewno? Jenny ostrzegła, że siostra LeSueur zawsze dopnie swego. Nie da się tak łatwo zbić z pantafelów. Ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę, to spędzenie kilku następnych lat na nieustannej walce lub - co gorsza - otwartej wojnie. Nie, po prostu do tego nie dopuści. Pokona siostrę LeSueur miłością i dobrocią. Nigdy nie da siostrze LeSueur najłżejszego powodu do uważania jej za wroga.

Opuściła salę Stowarzyszenia Pomocy i zaczęła przetrząsać korytarze w poszukiwaniu dzieci. Gdzieś się zapodziały. Step musiał już je zwołać, uświadomiła sobie, po czym skierowała się w stronę samochodu z nadzieją, że otworzył bagażnik pojazdu i DeAnne będzie mogła wrzucić weń materiały lekcyjne oraz torbę z pieluchami i zabawkami Elizabeth bez zmagania się z kluczykami lub czekania na niego, żeby ją wyręczył. Teraz, kiedy przestała się już przejmować czekającą ją lekcją, wszystko zdawało się cięższe, wolniejsze, poczuła dojmującą potrzebę solidnego snu. A nie będzie po temu chyba szybko okazji. Może Step przygotowuje naprędce trochę kanapek dla dzieci, podczas gdy ona utnie krótką drzemkę przed próbą chóru.

Bagażnik samochodu był otwarty. Może i nie potrzebuję Step'a do ulżenia swej duszy, lecz jest on całkiem użyteczny, kiedy potrzebuję ulżyć strudzonym ramionom.

- No i jak poszło, Rybia Damo?

- Poszło ciekawie.

- Wyczuwam w tym niebanalną historię.

- Opowiem ci, kiedy będzie mniej uszu.
- Nie będę słuchał - zaoferował Robbie z tylnego siedzenia.
- A tak przy okazji liczenia uszu - rzekł Step. - Nie widziałaś tam gdzie Stewiego?
- Nie ma go z wami? - zdziwiła się DeAnne. Spojrzała do tyłu. Tam go nie było. Jak mogła nie zauważyć, że brakuje jednego z dzieciaków? Naprawdę była zmęczona.
- Nie spotkałam go tam - powiedziała.
- Żaden problem - rzekł Step. - Zaraz go przyprowadzę.
- Nie kłopot się - wstrzymała go DeAnne. - Już idzie.

Stevie nadchodził wolnym krokiem, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jaki on osowiały, pomyślała. Osowiały w drodze ze szkoły do samochodu, z samochodu do szkoły, osowiały przez cały dzień na podwórku, a na dodatek w kościele.

- Czasem wydaje mi się, że on nawet nie próbuje, Step - zauważyła.
- No dalej, Stevie! - zawołał Step. - Masz w samochodzie głodujące rodzeństwo!
- Ja nie jestem głodny - zaproponował Robbie. - Zjadłem trzy ciasteczka.
- Ciasteczka? - spytała DeAnne.
- Częstowali nas w klasie.
- No tak, cukier. Cudownie. Myślałam, że nie lubisz ciastek.
- Tym razem były czekoladki - powiedział Robbie.
- Były tak dobre, jak moje nadziewane czekoladą ciasteczka? - zapytał Step.
- Nie - odparł Robbie. - Były okropne.
- Dlaczego więc je jadłeś? - DeAnne była ciekawa.
- Bo je wygrałem.
- Jak je wygrałeś? - spytał Step.
- Odpowiedziałem na wszystkie pytania.
- Hmm - mruknął Step. - Ciekaw jestem, co by ci dał nauczyciel, gdybyś odpowiedział na nie poprawnie?

- Odpowiedziałem na nie poprawnie! - krzyknął Robbie, wyglądając na zagniewanego.

- Dobrze już, sądzę, że wszyscy jesteśmy zmęczeni - poddał się Step. - Okej, nie będę cię już dręczył.

Stevie otworzył drzwi za DeAnne i wszedł do samochodu.

- Cieszę się, że ci się udało - powiedział Step. - Mam nadzieję, że nie zmęczyłeś się zbyt, idąc z kościoła do auta?

- Wszystko w porządku - odrzekł Stevie.

- Twój tata robi ci wymówkę - podsunęła DeAnne. - Sugeruje, że zaraz po kościele powinieneś być przyjsć do samochodu. Martwiłam się o ciebie.

- Dzięki za tłumaczenie - odparł Stevie. Sam teraz wyglądał na lekko rozdrażnionego.

- Nic ci nie tłumaczyłam - oświadczyła DeAnne. Czowała się znużona na śmierć. - Wracajmy do domu.

Step włączył silnik i wyjechali z parkingu na drogę.

- Ja naprawdę chcę wiedzieć, co porabiałeś.

Stevie nie odpowiedział.

- Stevie - powtórzył Step.

- Co?

- Naprawdę chcę wiedzieć, co takiego robiłeś, że spóźniłeś się do samochodu.

- Rozmawiałem.

- Z kim? - zapytała DeAnne. Może Stevie znalazł przyjaciela, a w takim wypadku cieszyłaby się, że spóźnił się do samochodu.

- Z panią.

Zatem nie z przyjacielem.

- Z jaką panią? - zapytała.

- Nie wiem.

DeAnne poczuła, jak Step nagle tężeje. Nie była pewna, co to takiego, ale zawsze potrafiła wychwycić moment, w którym zaczynał interesować się czymś na serio. Wciąż prowadził samochód, lecz dostrzegła jakby większe napięcie mięśni, spowolnienie ruchów. Rozmyślny. Stał się wyjątkowo uważny. Niebezpieczny. Ktoś zbliżył się nadmiernie blisko do jego dzieci i męski odruch stadny postawił go w stan alarmu. Nawet to lubiła. Czowała się wtedy komfortowo. Oczywiście, to jej

uczucie było prawdopodobnie żeńskim odruchem stadnym, zebranie dzieci przy osobniku męskim na pierwszą oznakę zagrożenia. Pod skórą wszyscy jesteśmy szympancami.

- Co ci powiedziała, Stevedore? - spytał Step.

- Nie podobała mi się - rzekł Stevie.

- Ale co powiedziała?

- Powiedziała, że ma wizję związaną ze mną.

Te słowa dotarły do DeAnne niczym rozbłysk światła, oślepiając na chwilę: ona miała wizję.

- Dolores LeSueur - mruknęła.

- Tak - przyznał Stevie. - Siostra LeSueur.

- Co jeszcze mówiła o tej swojej wizji?

- Nie chcę na ten temat rozmawiać.

- Musisz - powiedziała DeAnne, ledwo kontrolując emocje.

Step sięgnął ręką i dotknął jej uda. Dawał do zrozumienia, żeby się uspokoiła, że jest zbyt napięta, że nie powinna tak zareagować. Przez moment obruszyła się na niego, że ośmielił się podać w wątpliwość sposób zwracania się do własnego syna, nagle zdała sobie sprawę, że przynosi po prostu gniew z Dolores LeSueur na najbliższy cel, męża. Który miał rację. Więcej dowiedzą się od Stewiego, jeśli nie dadzą mu poznać, jak bardzo się niepokoją.

- Powodem, dla którego chcemy wiedzieć, Stevie - wyjaśnił Step - nie jest to, co myśli, że widziała, cokolwiek to było - wizja, sen, zwykłe bajdurzenie - ale dlaczego by miała tobie coś takiego mówić?

- Bo to było o mnie - odparł Stevie.

- Ha, tu mi kaktus wyrośnie.

- Siostra LeSueur nie ma prawa mieć wizji na twój temat, Stevie. Nie jest twoją mamą ani tatą, jest dla ciebie nikim - powiedział Step. - Przybytek Boga jest przybytkiem porządku. Nie zsyła On wizji dotyczących ciebie komuś, kto nie ma z tobą nic wspólnego. Zatem jeśli miała wizję, założę się, że nie pochodziła od Stwórcy.

- Och - zdziwił się Stevie.

Step wznosił już solidny fundament, lecz DeAnne niecierpliwiła się, żeby poznać prawdę.

- Więc jaka była ta wizja?

- Powie nam - wtrącił Step - skoro tylko zrozumie, że tak trzeba. Miałaś złe przeczucie, kiedy do ciebie mówiła, nie było tak, Stevie? Dlatego powiedziałaś, że ci się nie podobała.

- Tak - przyznał Stevie.

- Nie pomyślałaś jednak, że to złe przeczucie ostrzega cię, że słyszysz kłamstwa? Przez to czułaś się źle, no nie?

- Tak, ale nie zawsze - odparł chłopiec.

- Powiedziała ci, żebyś nic nam nie mówił? - spytał Step.

- Tak - przyznał Stevie cicho.

- Co? - wtrąciła DeAnne, zbulwersowana.

- Powiedział, że tak - to był Robbie.

- Sama słyszałam.

- To dlaczego powiedziałaś „Co?” - nie dawał za wygraną Robbie.

- Wasza matka była po prostu zdziwiona - rzekł Step. - Stevie, Stevedore, Stephenie Bolivarze Fletcherze, mój synu, wiesz, czego cię uczyliśmy. Jeżeli ktoś kiedykolwiek zakaze wam mówić czegoś rodzicom, co wtedy robicie?

- Ja wiem - wtrącił się Robbie. - Obiecujemy, że nigdy nie powiemy, lecz przy pierwszej okazji mówimy wam.

- A dlaczegoż to?

- Bo żaden dobry człowiek nigdy nie każe chować czegoś w tajemnicy przed mamą i tatą.

- Przypominasz sobie, Stevie?

- Tak.

DeAnne wyłapała coś w jego głosie. Odwróciła się do tyłu, maksymalnie jak mogła i spostrzegła, że chłopiec płacze.

- Zatrzymaj samochód, Step - poprosiła.

Step natychmiast skierował samochód na parking kościoła metodystów. Na placu było już pustawo, najwidoczniej metodyści wyszli z kościoła o tej samej porze co mormoni.

- Dlaczego płaczesz, kochanie? - zapytała DeAnne.

- Nie wiem - odrzekł Stevie.



- Stevie, cokolwiek ci ta kobieta nagadała, najwyższy czas, żebyś nam powiedział.
- Powiedziała... - Teraz zaczął płakać na serio, nie potrafił wykrztusić słowa.
- Wszystko w porządku, Stevie - pocieszał go Step. - Po prostu mów wolno. Namyśl się.
- Powiedziała, że jestem naprawdę niezwykłym chłopcem.
- To akurat jest prawda.
- Powiedziała, że Pan wybrał mnie, bym czynił cudowne rzeczy.
- Takie jak? - spytał Step.
- Jak Ammon - powiedział. - Misjonarz.
- Tak?
- Lecz najpierw muszę udowodnić, że się nadaję.

DeAnne zapragnęła wyrzucić z siebie jakieś przekleństwo.

- Czy wyjaśniła ci, co byś miał zrobić, żeby to udowodnić? - pytał dalej Step.
- N...nauczyć rodziców, tak powiedziała.
- Nauczyć czego? - indagował Step.
- P...prawości - odparł Stevie.

DeAnne poczuła kopnięcie dziecka w łonie. Tyle tylko że to nie był kopniak, a raczej parcie, silny, metodyczny nacisk na żebra. Dziecko musiało wyczuć jej gniew; adrenalina przepłynęła przez łożysko, złościąc obecnie i dziecko, a przynajmniej podrażniając, niepokojąc, dodając wigoru. Muszę się uspokoić, pomyślała DeAnne. Dla dziecka.

- No dobrze - rzekł Step. - Jak myślisz, co miała na myśli?
- Nie wiem - odparł Stevie.
- Za to ja wiem - wtrąciła DeAnne. - Stevie, dziś w Kole Pomocy udzieliłam lekcji, która nie przypadła do gustu siostrze LeSueur.
- Dlaczego nie? - spytał Stevie.

- Ponieważ lekcja, której udzieliłam, mówiła o tym, że możesz zwracać się do Pana osobiście i nie potrzebujesz nikogo, kto by ci mówił, czego Pan od ciebie oczekuje, ponieważ Duch Święty jest w stanie przemówić prosto do twego serca.

- Po chrzcie - dodał Stevie.

- Co cię czeka już za miesiąc - przypomniała mu. - A nawet teraz Duch Boży potrafi szepnąć ci słówko do serca, jeśli ma powód. Lecz jej się nie spodobały moje słowa.

- Dlaczego?

- Ponieważ siostra LeSueur uwielbia okazywanie wszem wobec, jaką jest uduchowioną osobą. - DeAnne przypomniała sobie wszystko, o czym opowiadała jej Jenny Cowper, wierzyła teraz każdemu słowu i mówiła dalej, jakby się opierała na własnych doświadczeniach: - Nałogowo chwali się wizjami, jakimi ponoć obdarza ją Bóg. Kocha uzależniać od siebie innych i naginać ich wolę do własnych celów. Gdy więc zaczną rozumieć, że prawdziwą bożą inspirację mogą otrzymać bezpośrednio od Boga, a nie za pośrednictwem siostry LeSueur, no cóż, nie będzie już znaczyć tyle co wcześniej. Czy teraz rozumiesz?

- Tak - odparł Stevie.

- Chce więc, abym przestała opowiadać podobne rzeczy.

- I ja także - dorzucił Step. - Wygłosiłem dziś podobną lekcję.

- Więc spróbowała ci wmówić, że miała wizję dotyczącą ciebie - kontynuowała DeAnne - żebyś zamiast uczyć się od rodziców, zawsze przychodził do niej z prośbą o radę, co powinieneś zrobić ze swoim życiem.

- Dlaczego miałyby kłamać? - spytał Stevie.

- Ona próbuje wykraść cię nam - wyjaśnił Step.

- Jak bandyta! - rzekł Robbie.

- Dokładnie jak bandyta - zgodził się Step. - Tyle że kawałek po kawałku, powoli, zaczynając od serca. Każąc ci zwątpić w nas i zastanowić się, czy może nie jesteśmy prawi, czy może nie powinieneś poszukać prawości u kogoś innego, by potem nas jej nauczyć. A jak myślisz, od kogo?

- Od niej - odparł Stevie. - Tak właśnie powiedziała. Podobno Bóg miał jej opowiedzieć o mojej ch...chwalebnej przyszłości.

- Co za trucizna - oburzyła się DeAnne.

- To się nazywa pochlebstwo, Stevie - wyjaśniał Step. - Prawda jest taka, że ktokolwiek wie cokolwiek o tobie, powie ci to samo. Jesteś taki bystry i dobry, nie może być inaczej. Nie potrzeba więc wizji od Boga, żeby to stwierdzić. Ona żywi jednak nadzieję, że przez opowiadanie o cudownych rzeczach, czekających na ciebie w przyszłości, sprawi, że całą nadzieję pokładać będziesz w tym, co ona ci mówi, a nie w tym, co my mówimy.

- Tę samą metodę stosują wszyscy telefoniczni wróżbiarze - wtrąciła DeAnne. - Powiedzą ci o

cudownych rzeczach, a ty będziesz miał nadzieję, że okażą się prawdziwe. Uwierzysz w te wróżby, bo chcesz, żeby się spełniły. To cię utwierdza w przekonaniu, że wróżbiarz ma rację, że on jakoś naprawdę wie, ale to wszystko lipa.

Stevie myślał nad tym przez minutę. Step wycofał się z parkingu i wyjechał z powrotem na drogę, kierując samochód w stronę domu.

- A jeśli ona naprawdę miała wizję? - zapytał Stevie.

DeAnne pragnęła wrzasnąć na całe gardło. Nie miała żadnej wizji! Wlała ci do ucha truciznę, tak jak zrobiono to ojcu Hamleta! Powstrzymała jednak świerzbący język, ufając, że Step będzie od niej spokojniejszy, nie miał przecież dzisiaj przeprawy z siostrą LeSueur.

- Stevie - powiedział Step - jeżeli naprawdę miała wizję pochodzącą od Boga, czemu mi o tym nie powiedziała ani twojej mamie, przecież okazji nie brakowało?

- Ponieważ wizja mówiła, że nie jesteście prawi - wytłumaczył Stevie, a DeAnne dostrzegła w jego wypowiedzi nieco sarkazmu. Większy nacisk na słowo „mówiła”. Ona „mówiła”, że nie jesteście prawi. Chłopiec zaczyna zmieniać pozycję, staje przy nas przeciwko tamtej, która nie wygra w tej rundzie.

- Jeśli to była prawdziwa wizja - podjął Step - dlaczego bała się rzucić nam prosto w twarz naszą nieprawość? Prorocy Boga są w tych sprawach bardzo odważni. Wytykają nikczemnym ludziom ich występki bez ogródek. Ale, ale, nie opowiadaliśmy ci już podobnych historii? O Samuelu Lamanicie?

- Prawie go zabili! - krzyknął z tyłu Robbie. - Stał na murze!

- A więc jednak słuchaliście w Wigilię - zauważył Step.

- Zgadza się - odparł Stevie, teraz już stanowczo. Wreszcie sobie wszystko poukładał. - Gdyby miała rację, przyszłaby z tym do was, zamiast skradać się jak złodziej.

- Jak Abinadi - dodała DeAnne.

- On się spalił! - wrzasnął Robbie.

- Palik! Palik! - zaskrzeczała Elizabeth, rozglądając się na wszystkie strony, szukając tego, o którym mówił Robbie.

- Żaden palik, Betsy Wetsy - rzekł Robbie. Wyjaśnił jej pojęcie ognia, czego nie rozumiała, Robbie jednak wcale o to nie dbał; nie przejmował się nigdy, czy ludzie go rozumieją, jeśli siedzieli cicho i nieruchomo. Elizabeth przypięta pasem do siedzenia samochodu stanowiła idealną słuchaczkę.

DeAnne zauważyła, że Step chce coś jeszcze przekazać Steviemu, co było dla niej w pełni zrozumiałe, gdyż sama nosiła się z podobnym zamiarem. Tymczasem oboje zachowali milczenie. Stevie rozumie. Wie, że kobieta chce nim manipulować. Nie ma więc potrzeby niczego dodawać.

Mimo to, kiedy dotarli do domu i Step transportował Elizabeth z samochodu do mieszkania, DeAnne nie mogła się oprzeć pokusie dodania jeszcze jednej porcji nauki.

- Stevie - oświadczyła - chcę, żebyś coś wiedział.

- Co takiego?

Otworzyła drzwi, a Robbie zaoferował się je przytrzymać dla Step'a i Betsy. Wniosła do kuchni materiały lekcyjne i torbę na pieluszki, rzuciła wszystko na stół. Stevie dreptał tuż za nią.

- Chcę, żebyś wiedział - powiedziała DeAnne, klękając na jedno kolano, by mogła spojrzeć synowi prosto w oczy - że jesteś naprawdę wspaniałym chłopcem z cudowną przyszłością. Wiem to od początku. Przypuszczam, że wiedziałam o tym, kiedy jeszcze byłeś w moim brzuszku.

- W łonie - poprawił Stevie. Zeszłej jesieni Step wpoił mu pierwsze ABC na temat, jak to robią pszczołki i teraz chłopak unikał jak ognia dziecięcego języka.

- Tak, w moim łonie - zgodziła się DeAnne. - A już z pewnością, od kiedy byłeś niemowlakiem. Masz wrażliwą duszę. Wiesz, o co chodzi. Wiesz, co jest słuszne. Dlatego tak się czułeś, kiedy do ciebie mówiła. Nawet pochlebiając ci, nie zdobyła twojego zaufania, prawda?

- Tak.

- A to dlatego, że jest coś w tobie, co wie. Odróżnia człowieka dobrego od złego. Każe ci myśleć, że powinieneś coś zrobić, bo to jest właśnie słuszne. A wiara w bajki siostry LeSueur nie była słuszną postawą i ty to wiedziałeś. Czy pojmujesz, co mówię?

- Tak.

- Stevie, zaufaj tej istocie w środku twojego serca, która wie, co jest słuszne. Zaufaj i zachowuj się zgodnie z jej zaleceniami.

- Nawet gdy powie mi, bym nie słuchał ciebie i taty?

- Nigdy cię nie namówi do niczego złego, to ci mogę obiecać, Stevie.

Przytaknął poważnie.

- Okej - zgodził się i wyszedł z pokoju.

Poczuła się słaba i roztrzęsiona. Czego właśnie nauczyła syna? By dawał wiarę jakiemuś wewnętrznemu uczuciu, a dopiero potem słowom rodziców?! Jak mogła powiedzieć coś równie nieodpowiedzialnego, szalonego! Lecz w tamtym momencie czuła podświadomie, że dokładnie tego należy go nauczyć. Jak teraz będą parować ciosy tej LeSueur, tej królowej wiedźm, jeśli DeAnne pozwala Steviemu ignorować rodziców? Nie, nie pozwala. Ona nalega.

Pomaszerowała do kuchni, by wypowiadać się przed Stepem z tego, co przed chwilą zrobiła, i

poprosić go, by pomógł jej sprecyzować przed Steviem swoje poprzednie wskazówki, lecz znalazła tylko samą Elizabeth, szperającą pośród ciasteczek w pudełku, które DeAnne zawsze zabierała do kościoła w torbie na pieluszki.

DeAnne poszła korytarzem, zaglądając po drodze do gabinetu Stepa. Nic. To samo w pokoju Elizabeth. Nie znalazła go też w pokoju chłopców, gdzie Stevie leżał na łóżku, gapiąc się beznamyślnie w sufit. Biedne dziecko, tyle zamieszania, tyle dziwnych zjawisk w życiu! Jak to wszystko ogarnąć?

Spodziewała się zastać Stepa w łazience, lecz i tam go nie było. Siedział na łóżku, rozmawiając przez telefon.

- Tak mi przykro, że nie czuje się dobrze - mówił Step. - Tak, to zrozumiałe, bracie LeSueur, może po prostu przekazesz jej wiadomość. Czy mogę o to prosić?

DeAnne czekała, wstrzymując oddech, by usłyszeć sprawozdanie Stepa, szczególnie gdy biedny brat LeSueur nie miał prawdopodobnie zielonego pojęcia, co jego żona porabiała za dnia. DeAnne skłaniała się ku przypuszczeniu, że nie miał pojęcia o niczym, co robi żona, nigdy.

- Okej, wiadomość jest taka. Poruszyła dziś przy mnie doktrynalną kwestię - o tym, co powinien zrobić ojciec, jeśli ktoś spróbuje wykraść mu dziecko. - Brat LeSueur musiał powiedzieć coś, gdyż Step przerwał na chwilę i kontynuował: - Nie, nie w klasie, po spotkaniu. Tak czy inaczej oto najlepsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Jestem głęboko przeświadczony, że jeżeli ktoś spróbuje ukraść dziecko mężczyźnie, sprawiedliwości stanie się zadość, cokolwiek by zrobił w celu ochrony rodziny... Tak, dokładnie, cokolwiek... Nawet zabić, tak. Nie sądzę, żeby to było morderstwo, raczej ochrona bezbronnych. Chyba się ze mną zgodzisz, bracie LeSueur?... Tak, wiedziałem, że przyznasz mi rację. Może byś jej w takim razie powiedział, że zgadzasz się ze mną, że mężczyzna jest w zupełności usprawiedliwiony, zabijając kogoś próbującego wykraść mu dziecko. Sądzę, że usatysfakcjonuje ją ta odpowiedź... Tak, myślę, że ta szczególna kwestia nie będzie już poruszana... Wielkie dzięki i proszę przekazać, że mam nadzieję na jej rychły powrót do zdrowia i długie, szczęśliwe życie... Och, dziękuję! Do widzenia.

Spojrzał na DeAnne i wyszczerzył zęby.

- Powiedział, że spodobała mu się moja lekcja.

- Nie do wiary, że powiedziałaś to jej mężowi! - zdziwiła się DeAnne.

- Tak, no wiesz, powiedziałem to, aby dać jej do zrozumienia, że po raz ostatni wykręca podobny numer.

- To naprawdę kobieta z piekła rodem - rzekła DeAnne. - Jenny starała się mnie ostrzec, lecz nie chciałam dać wiary, że ktoś może upaść tak nisko, by usiłować dobrać się do rodziców, zatruwając serca dzieci.

- Niebo świadkiem - westchnął Step - że tak się dzieje od wieków. Tak samo postępowali naziści,

tak samo komuniści, także wielu z rozwiedzionych rodziców ucieka się do podobnych sztuczek.

- Niech będzie - zgodziła się DeAnne. - Może i mnóstwo ludzi postępuje w ten gadzi sposób. Ona z pewnością do nich należy.

- O, tak - dodał Step. - Zdecydowanie wypełzła spod kamienia.

- Jak możesz być tak spokojny? Nie złościsz się wcale?

Step tylko się uśmiechnął - lekki grymas na twarzy.

- Hej, Rybia Damo! Kazałem właśnie doręczyć facetowi wiadomość żonie, że jeśli po raz kolejny zadrze z moją rodziną, nie będę czuł moralnych oporów przed zgładzeniem jej. I ty myślisz, że nie jestem wściekły?

- Lecz w rzeczywistości nie posunąłbyś się tak daleko.

- Trochę byłoby smutno, gdyby siostra LeSueur pomyślała podobnie - odrzekł Step.

- Nigdy nie byłeś gwałtowny.

- Wszystko sobie przemyślałem. Udaję tylko przed sobą, jak przypuszczam, że nie jestem gwałtowny. Ponieważ po prostu nie zaszła dotąd potrzeba użycia przemocy.

- Nie sądzę, żeby przemoc była stosowną odpowiedzią na jej zachowanie.

- No tak, wiem - zgodził się Step. - Prawdziwą odpowiedzią jest utrzymywanie naszych dzieci z dala od tej czarownicy i przy każdej okazji przedstawianie ludziom właściwej wersji wydarzeń. Tego musimy się trzymać - ona naprawdę jest w błędzie, a my naprawdę mamy rację, tak więc dobrzy i mądrzy ludzie przejrzą w końcu perfidne sztuczki i ujrzą jej czarną duszę.

Podeszła do niego, usiadła obok na łóżku i złożyła głowę na jego piersi.

- Podobało mi się, kiedy rozmawiałeś przez telefon o zabijaniu ludzi - wyznała. - Muszę być najbardziej zepsutą kobietą na świecie, ale poczułam taką... rozkosz.

- I ja - przyznał.

- Nie jesteśmy okropni?

- Osobiście sądzę - odparł Step - że jesteśmy potworni.

Późno w nocy przebudziła się ze snu, który uniknął, choć ze wszystkich sił starała się go zatrzymać.

Przekręciła się na drugi bok i dopiero teraz spostrzegła, że świeci się lampka nocna Stepa, który ciągle czytał.

- Nie możesz zasnąć? - wymruczała.

- Miałaś jakiś dziwny sen - rzekł Step. - Nie rozumiałem ani słowa, ale chyba wypowiedziałaś się bardzo stanowczo.

- Nic nie pamiętam.

I nieoczekiwanie przypomniała sobie. Nie sen, ale coś innego, o czym chciała porozmawiać ze Stepem i o czym zapomniała. Wyznała Stepowi, jak doszło do tego, że przykazała najstarszemu synowi wsłuchiwać się najpierw we własny osąd, a dopiero później pytać o zdanie rodziców.

- No cóż - odparł Step. - No cóż.

- Tylko tyle? Zwyczajnie „No cóż”?

- Nie, nie tylko „No cóż”. Wyraźnie pamiętam, że powiedziałem: „No cóż, no cóż”. Dwa „No cóże”.

- Ja jestem poważna, Step.

- DeAnne, jest tak, jak sama mi powiedziałaś. Po prostu musiałaś to powiedzieć, nie wcześniej, tylko dokładnie wtedy, po czym nie potrafiłaś zrozumieć, dlaczego musiałaś to zrobić.

Chyba wciąż była na wpół pogrążona we śnie, bo nie zdołała wychwycić sensu w tym, co mówił.

- Rybia Damo - rzekł cierpliwie - podążyłaś za wewnętrznym głosem. Postąpiłaś zgodnie z tym, co w danym momencie uważałaś za właściwe. Powiedziałaś Steviemu coś, czego gdybyś była w normalnym nastroju, nigdy nie ośmieliłabyś się powiedzieć.

- Tak więc odbija mi?

Westchnął.

- Naprawdę twoim zdaniem mogłam otrzymać natchnienie, by coś podobnego z siebie wydobyć?

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł Step. - Sądzymy, że wchodzi to w rachubę, no nie? A tymczasem nie mam zamiaru budzić w Steviem wątpliwości co do słuszności twoich słów. Gdyż faktycznie miałaś rację. Na dłuższą metę każda ludzka istota zostaje rozliczona ze swych wszystkich uczynków. Stevie nie zdoła się ukryć za naszymi plecami, na nic zdadzą się jego krzyki: „Ale zrobiłem, co mi kazali!” Będzie musiał stawić się na sądzie niebieskim i powiedzieć: „Oto lista moich uczynków, a oto dlaczego zdecydowałem się na nie”.

- Ale on ma tylko siedem lat.

- On nie jest tylko siedmiolatkiem - powiedział Step - i ty o tym wiesz. Matka powiedziała mi kiedyś,

iż chwilami wydaje jej się, że przed naszymi narodzinami mieszkaliśmy z Bogiem w przedzyciu, być może jej dzieci są starsze od niej. Może były bardzo stare i bardzo mądre, i Bóg oszczędził je aż do teraz, gdyż potrzebował na ziemi garstki swoich najlepszych dzieci podczas dni końca. Być może mama miała rację. Nie co do swoich dzieci, ale co do naszych.

- Ma siedem lat, nawet jeśli jego duch jest sędziwy.

- Co powiedziałaś, to powiedziałaś, a co powiedziała siostra LeSueur, to też powiedziała. I wiesz co, Rybia Damo? Twoje słowa podobały mi się znacznie bardziej. Ona mu nakazała: „Kieruj się moją wolą, miej we mnie oparcie, rób, co ci powiem, a zrobię z ciebie wielkiego człowieka”. Ty mu rzekłaś: „Polegaj na sobie, słuchaj głosu rozsądku, już jesteś człowiekiem, a wielki może staniesz się później”. Co w tym złego?

- Sprawiasz, że odżywam, Gałganiarzu.

- Taki już mój obowiązek - odparł. - Jest to zapisane w kontrakcie małżeńskim. Kiedy żona budzi się w środku nocy, potrzebując wsparcia, mąż musi jej go udzielić albo pożegnać się z ciepłymi posiłkami przez najbliższy tydzień.

- Ach, więc to tak - udała oburzenie. - Ty po prostu wypełniasz warunki kontraktu.

- Staram się, jak mogę - przyznał - mimo to ciepły posiłek to dla mnie rarytas.

- Nie ma w tym mojej winy.

- Być może nadejdzie kontrakt od Agamemnona. Może jutro.

- Nawet jeśli nie przyjdzie, Step, nawet jeśli pan Agamemnon czy pan Akabakka, czy jak mu tam...

- Arkasian.

- Jeśli zmieni zdanie albo nie będzie mógł, albo cokolwiek. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, wszystko jakoś się ułoży.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Rybia Damo.

- Nie myślę się. Możesz na to liczyć. Przecież miewam natchnienie, no nie?

- Czasami po prostu obdarzasz nim drugich - rzekł. - Mnie.

Mocniej przytuliła się do niego, przymykając oczy, czuła się pocieszona, mogła już spać.

- Dzięki tobie czuję się tak wspaniale, Gałganiarzu.

Nachyliła się i pocałowała go w czoło. Potem musiała zasnąć, gdyż nic więcej nie pamiętała, kiedy nadszedł ranek.



## Rozdział siódmy

### Świerszcze

Oto jak wyglądała praca Steviego na zakończenie drugiej klasy: przyniósł do domu jednostronicowy wykaz obowiązków, które nie były sztywno nakreślone. Projekt na koniec roku miał ukazywać jakieś „środowisko” i stworzenia je zamieszkujące. Termin oddania prac upływał 22 kwietnia, musiały zawierać pisemne sprawozdanie i „odwzorowanie wizualne”.

- Większość dzieci robi plakaty - powiedział Stevie - ale ja nie chcę. - Czytał o ośmiornicach, zamierzał opisać środowisko podmorskie. Zamiast powycinać obrazki z czasopism i powklejać je na tablicę, poprosił mamę, żeby kupiła mu trochę kolorowej plasteliny, z której uformował ryby, małże, korale i ośmiornicę. Rozmieszczył je na kartonowej podstawie, którą DeAnne wycięła z boku jednego z pudełek używanych przy przeprowadzce. Potem napisał sprawozdanie, samodzielnie wklepując je na komputerze Stepa i umieszczając w rogu tablicy.

Była to pierwsza rzecz, jaka naprawdę zainteresowała Steviego, odkąd przybył do nowej szkoły. DeAnne z nie ukrywaną dumą pokazała dzieło syna Stepowi w noc poprzedzającą zabranie pracy do szkoły.

- To niesamowite - przyznał Step. - Nie pomagałaś mu?

- Ani trochę. W rzeczywistości odradzałam mu podjęcie się tak ciężkiego zadania. Kto mógł przypuścić, że zrobi rybę przypominającą rybę?

- Nie wspominając o ośmiornicy wyglądającej jak ośmiornica - dodał Step. - A spójrz tylko na te małże. Jest nawet rozgwiazda, otwierająca muszlę jednego z nich!

- Wciąż milczy na temat szkoły - powiedziała DeAnne. - Nawet gdy go wypyuję. Lecz udało mu się to zrobić, więc nie jest jeszcze tak źle.

Wkrótce DeAnne otrzymała nowe zlecenie i tak była zajęta przygotowywaniem swych lekcji życia

duchowego, że przestała myśleć o pracy Steviego, kiedy została już oddana.

Jednakże w pierwszy poniedziałek maja, gdy miała już lekcję za sobą, odwożąc Steviego do szkoły, przypomniała sobie o pracy syna i zapytała go, co nauczycielka o niej myślała.

- Postawiła mi troję - odpowiedział Stevie.

- Co takiego? - DeAnne nie dowierzała własnym uszom.

- Poza tym wszystko się upaćkało.

- Upaćkało! Jak? Czy ktoś to upuścił?

- Nie - odparł Stevie. - Powiesili wszystkie prace w centrum medialnym, a kiedy inne dzieci przechodziły, niszczyły ją.

- Celowo?

- Tak - przyznał Stevie.

- Skąd ta pewność? Widziałeś, jak to robią?

- Raymond powiedział: „Patrzcie, jaki przypływ!”, a po nim jeszcze więcej dzieci wałkowało plastelinę, tak że w końcu została tylko bezkształtna masa.

- Gdzie podziewała się twoja nauczycielka, kiedy to robili? Gdzie była bibliotekarka?

- Pani Jones była tam.

- Nie zareagowała?

- Nie - odpowiedział Stevie.

- Widocznie nie widziała, co robią.

- Widziała.

- Zauważyła? I nie powstrzymała ich?

- Nie.

DeAnne zrobiło się niedobrze. Nie, pomyślała. Stevie po prostu źle zrozumiał sytuację. Nauczycielka tak naprawdę nie zwracała uwagi. Nie mogła przecież dopuścić do takiej makabry.

- Wejść i porozmawiam z twoją nauczycielką - zdecydowała DeAnne.

- Proszę, nie! - Stevie szarpnął się gwałtownie.

- To trzeba wyjaśnić. W żadnym wypadku twoja praca nie zasłużyła na trójkę.

- Proszę, nie wchodzi! - zaklinał.

- W porządku - uległa. - Ale dlaczego nie?

- To jeszcze pogorszy sprawę, jeśli wejdiesz - rzekł Stevie.

- Pogorszy?

Tymczasem dojechali na plac przed szkołą, Stevie wyskoczył z samochodu i pocałował do szkoły - pierwszy raz widziała go biegnącego w kierunku klasy. Jakoś to jej nie pocieszało. Coś tu naprawdę nie grało, nie chodziło o samo otępienie związane z przeprowadzką. Pani Jones nie mogła postawić za tę pracę trójki. Także żaden nauczyciel nie przypatrywałby się beczynnemu, jak jedno dziecko niszczy pracę drugiego. To się po prostu nie mogło przytrafić.

No cóż, jeśli nie mogła pomówić z panią Jones, mogła przynajmniej porozmawiać z bibliotekarką i od niej dowiedzieć się czegoś w tej sprawie.

- No dalej, dzieciaki, wychodzimy - powiedziała.

DeAnne podjechała samochodem na parking dla nauczycieli, gdzie miejsce dla odwiedzających rodziców było wolne, i przez kilka minut różnym krokiem wiodła dzieci korytarzem w stronę centrum medialnego. Powinna była zgłosić się w gabinecie, lecz recepcjonistka była tak zjadliwa, a DeAnne tak roztrzęsiona, iż doszła do wniosku, że zatrzymanie się w głównej recepcji doprowadziłoby ją do prawdziwej furii.

Bibliotekarka była starsza już dama o słodko dźwięczącym głosie. Kiedy uśmiechnęła się, DeAnne z jakiegoś powodu powróciła myślą do zdarzenia, gdy z powodu zapalenia spojówek zakryto jej oczy bandażem, przez który nic nie widziała, i ktoś położył chłodną, wilgotną szmatkę na jej czoło.

- Tak się cieszę, kiedy rodzice zaglądają do biblioteki - powitała ją starsza pani.

- Och, myślałam, że to teraz centrum medialne - powiedziała DeAnne.

- No tak, to prawda. Mamy tu dwa magnetowidy i komputer Apple II, dlatego jesteśmy centrum medialnym, lecz proszę tylko spojrzeć na te wszystkie książki. Czy nie nazwie pani tego biblioteką?

- Chyba tak - przyznała DeAnne. - Lecz bardziej mi się podoba, że pani też to nazywa biblioteką.

Bibliotekarka uśmiechnęła się i dotknęła ręki DeAnne.

- Bardzo jest pani miła. - Po tych słowach przechyliła się za kontuar, niezbyt daleko, gdyż nie była za wysoka, i uściskiem dłoni przywitała się z Robbiem i Elizabeth. - A ty kiedy zaczniesz tu studiować, młody człowieku?

- Następnej jesieni idę do przedszkola - odrzekł Robbie.

- O, widzę, że dobrze cię nauczono - pochwaliła. - Wymówiłeś przedszkola, a nie przeczkoła.

Robbie promieniał.

Bibliotekarka na powrót zwróciła się do DeAnne.

- Czy wpadła tu pani po prostu z ciekawości? Czy też mogę w czymś pomóc?

- Podobno wystawiano tu prace drugoklasistów.

Bibliotekarka wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Nie dalej jak w sobotę zdjęliśmy wystawę. Tak mi przykro, że pani ją przegapiła. Tacy jesteśmy dumni z naszych drugoklasistów.

- To raczej niespotykane, by pod koniec drugiej klasy składało się projekty - powiedział DeAnne. - Ja jeszcze o czymś takim nie słyszałam. Gdy chodziłam do szkoły wyższej, nie mieliśmy takich projektów.

- Chyba to dlatego, że nasza szkoła uczy dzieci jedynie od przedszkola do drugiej klasy - stwierdziła bibliotekarka. - Dr Mariner chce, żeby odejście z naszej szkoły dzieci uczyły czymś, co utkwi im w pamięci.

- Dokładnie w ten sposób mój najstarszy syn traktował swe zadanie - poinformowała ją DeAnne. - Być może zauważyła pani jego projekt na wystawie.

- Ach, nie wiem, czy przypomnę sobie dokładnie każdy, pani... hm...

- Jestem DeAnne Fletcher.

Oczy bibliotekarki natychmiast rozszerzyły się, błysnęła po raz kolejny swym ujmującym uśmiechem.

- Ach tak, musi być pani matką Steviego Fletchera!

- To prawda.

- Naprawdę, nieprzeciętny chłopak - oświadczyła bibliotekarka. - Faktycznie, jego projekt pamiętam. Rzeźbiony ogród, środowisko podmorskie, o ile wiem. Z ośmiornicą i tą rozgwiazdą próbującą otworzyć małża - zauważyłam też, że rekin połyka małą rybkę. Trochę straszne, być może, lecz bardzo twórcze. Musi być pani dumna z syna, że otrzymał wstęgę za pierwsze miejsce.

- Pierwsze miejsce? Stevie powiedział mi, że otrzymał trójkę.

- Co za nedorzeczność! Dr Mariner sama tu się zjawiała, aby je ocenić, i zanim przejrzała pozostałe plakaty, powiesiła błękitną wstążkę przy projekcie Steviego, mówiąc: „To tu zostanie, dopóki nie znajdę czegoś, co będzie jeszcze lepsze”. I oczywiście nie znalazła, gdyż na tym skończyła odbieranie prac. Czy to nie okropne, co uczyniły inne dzieci? Przypuszczam, że były zazdrosne, mimo to

postąpiły ohydnie, paćkając tę pracę w ten sposób.

Więc ta część opowieści Steviego pokrywała się z prawdą. A słowo paćkać musiało być popularne w Steuben do tego stopnia, że wykształcona, czcigodna pani jak ta mogła go swobodnie używać.

- Tak, przypuszczam, że Stevie był raczej rozczarowany - powiedziała DeAnne.

- Taki z niego spokojny chłopiec. - Bibliotekarka się zamyśliła. - Spędza tu każdą przerwę, wie pani? Sądzę, że musiał przeczytać połowę... hm, mediów... w moim małym... hm, centrum medialnym. - Mrugnęła.

- Każdą przerwę? - spytała DeAnne. - Wiem, że uwielbia czytać, miałam jednak nadzieję, że będzie się bawił z pozostałymi dziećmi.

- Też sądzą, że jest lepiej, kiedy dzieci bawią się z sobą - przyznała bibliotekarka. - Skoro jednak nie lgnie do innych, lepiej niech ma książkę za kompana niż powietrze, nie uważa pani?

- No tak, naturalnie - zgodziła się DeAnne. - Cóż, nie chciałabym sprawiać pani kłopotu. Poza tym nie mogę się doczekać, kiedy opowiem tacie Stewiego o błękitnej wstążce. Ciekawe, gdzie ona jest!

- Oczywiście, przekazano ją pani Jones, by pokazała ją w klasie. Zwykle trzymają je tam do końca roku, po czym wysyłają wraz z uczniem do domu.

DeAnne pożegnała się grzecznie i wyszła, czując się o wiele lepiej. Tyle tylko że Stevie nie powiedział jej całej prawdy dotyczącej projektu. Czy to możliwe, że wciąż próbował pozostawić rodziców w przeświadczeniu, że źle zrobili, przeprowadzając się tutaj? Czy to możliwe, żeby nie przyznawał się do niczego dobrego związanego z tą szkołą, by żyli w poczuciu winy? To nie było podobne do Stewiego, lecz gdzie znajdowało się prawdziwe wyjaśnienie? Musi być strasznie zły.

Po raz pierwszy DeAnne się zastanowiła. Czy nie powinni rozejrzeć się za lekarzem, który porozmawiałby ze Steviem, który pomógłby przeprowadzić chłopca przez ten gąszcz problemów. Wyimaginowani przyjaciele. Teraz te kłamstwa. Zadzwoiła do Stepa i przyrzekł, że nie spóźni się dziś do domu.

Żaden z kolegów, podrzucających go zwykle do domu, nie mógł mu dzisiaj pomóc, jeśli chciał wyjść o piątej. Żaden z programistów nie opuszczał firmy przed siódmą. Zabrał się więc z dwiema sekretarkami, tymi odbierającymi zamówienia dla Eight Bits Inc. pod bezpłatnym numerem. Przez całą drogę do domu męczyło go uczucie, że coś nie pasuje mu podczas powrotnej jazdy. Nie chodziło przy tym wcale o dwie dziewczyny szczebioczące na przednich siedzeniach i fakt, że z tyłu w samochodzie kolana zatykają mu uszy. Dopiero kiedy zaparkowali przed domem i zauważył zarośnięty trawnik, krzyczący wprost o kosiarkę, uświadomił sobie, co go wewnętrznie niepokoiło. Było widno! W ciągu tych dwóch miesięcy, kiedy pracował w Eight Bits Inc., ani razu za dnia nie wrócił do domu.

Podziękował dziewczynom za podwiezienie i wszedł do mieszkania. DeAnne siedziała w salonie, grając na fortepianie, podczas gdy Robbie śpiewał, a Elizabeth gwizdała i wybijała rytm pałeczkami. Piosenka miała tytuł „Jezus chce, abym była promieniem słońca”.

- Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, by ta piosenka wymagała wsparcia sekcji perkusji - przywitał się Step.

- Tatusi! - krzyknął Robbie.

- Robot! - odpowiedział Step. Robbie podbiegł do niego, a on podrzucił go i złapał.

- Tatusi! - wrzasnęła Betsy.

- Betsy Wetsy! - odparł Step.

- Pewnego dnia łupniesz ich głowami o sufit - ostrzegła DeAnne.

Step wyrzucił Betsy w powietrze. Kiedy już ją złapał, podniósł wysoko i dotknął głową sufitu.

- Aua ua uaaa...! - zawyła Betsy.

- Nie bądź mięczakiem, Betsy - rzekł z uśmiechem Step. - To cię w ogóle nie bolało, tylko się z tobą bawiłem.

- Auaa...! - Betsy pobiegła do mamy.

- A nie mówiłam? - rzekła z wyrzutem DeAnne.

- Betsy to mięczak! - wykrzyknął Robbie. - Betsy, mięczak! Możesz mną walnąć o sufit, tato!

- Lepiej nie - odmówił Step. - Twoja głowa może spowodować pęknięcie muru.

- Nie dbam o to! - nalegał Robbie.

- Nie wierzę własnym oczom, że wróciłeś wcześniej do domu. - DeAnne pokręciła głową.

- Powiedziałem, że przyjdę, skoro mnie prosiłaś.

- Ale nie miałam nadziei, że będzie to kwadrans po piątej - przyznała. - A może cię wylali?

- Jeszcze nie. Choć po dzisiejszym dniu nie jest to wykluczone.

- Ponieważ wyszedłeś o piątej? - zapytała zdziwiona.

- Trawnik zarósł już niemiłosiernie - zmienił temat. - Nie zauważyłem tego do tej pory.

- Bo wczoraj nie był tak zarośnięty, jak jest dzisiaj. Dlaczego miałoby cię zwalniać po dzisiejszym dniu?

- Gdyż ostatecznie zebrałem się do kupy i wziąłem od kowboja Boba kopię tej umowy, którą z nim podpisałem.
- To znaczy, że zdobyłeś ją dopiero dzisiaj? Zakładałam, że masz ją już od dwóch tygodni.
- Prosiłem o nią tuż po powrocie z San Francisco. No, niezupełnie tuż po powrocie, gdyż mógłbym obudzić w kimś podejrzenie, że coś zamierzam. Poszedłem w piątek.
- I aż do dzisiaj nie chcieli ci tego przesłać?
- Nawet dzisiaj mi tego nie podesłali. Musiałem pofatygować się osobiście. I w ogóle nie do kowboja Boba, gdyż akurat go nie było, a jego sekretarka jadła lunch, tak więc sekretarka kogoś innego przysłała mi z odsieczą i wydobywszy dokument z mojej kartoteki, zrobiła z niego kserokopię.
- Zatem masz tylko kopię?
- No przecież nie dadzą mi oryginału! - powiedział Step. - Tak czy inaczej mam ją, a kowboj Bob być może dotąd o tym nie wie.
- W takim razie nie wyrzucą cię na bruk.
- Chyba że wkurzy się na mnie, gdyż wziąłem coś bez jego wiedzy. Wtedy naprawdę będzie podejrzliwy.
- No cóż, muszę przyznać, nie wpadałabym w czarną rozpacz, gdybym cię miała w domu każdego dnia - stwierdziła DeAnne. - Dzień dzisiejszy jest dla mnie niczym majówka.
- Majówka! - prychnął Step. - No nie wiem. To tutaj właśnie powinienem być, robi mi się niedobrze na myśl, iż zmuszona byłaś dzwonić do mnie i praktycznie umówić się na spotkanie, żebym mógł porozmawiać z własnym synem. Żyję jak jeden z tych napędzanych sprężyną maklerów giełdowych, pracoholików z Madison Avenue z przerostem ambicji, tyle tylko że nie dostaję takich pieniędzy. Gdzie jest Stevie?

- Albo z tyłu na podwórku bawi się z... Jackiem i Scottym, albo też jest w swoim pokoju.

Step skinął głową ponuro, gdy wspomniała o wymagowanych przyjaciółach Stewiego. A teraz jeszcze te kłamstwa... Zbyt oddaliłem się od rodziny. Jestem tu praktycznie gościem.

Stewiego zastał w pokoju, leżał na górnym łóżku i czytał książkę.

Rozmowa szła topornie. Step oparł się na poręczy bezpieczeństwa.

- Mama powiedziała mi, że twój projekt podmorski odniósł prawdziwy sukces.

- Wcale nie - odparł Stevie.

- Powiedziała, że został nagrodzony błękitną wstążką.

- J. J. dostała błękitną wstążkę.
- No cóż, tak czy inaczej wstążkę za pierwsze miejsce, nie powiedziała właściwie, jakiego była koloru.
- Pierwsze miejsce to błękitna.
- Stevedore, twoja mama była w szkole i sprawdziła. Dr Mariner przyznała twojemu podwodnemu ogrodowi wstążkę za pierwsze miejsce.
- Mój projekt spaćkał się - oświadczył Stevie - jak więc mógł dostać pierwsze miejsce?
- Synu, dr Mariner oceniła projekty pod koniec tego pierwszego tygodnia, zanim inne dzieci zniszczyły twój projekt.
- To nieprawda! - sprzeciwił się Stevie, teraz jego głos wskazywał na burzę emocji. - Powiedziała, że mój projekt to tylko kupa plasteliny, nie zasługująca na pokazanie komukolwiek! No i postawiła mi troję.
- Dr Mariner naprawdę tak powiedziała? - Step nie mógł uwierzyć i nie uwierzył.
- Tak - odparł Stevie.
- Powiedziała ci to prosto w oczy?
- Nie - przyznał Stevie. - Powiedziała pani Jones, a pani Jones przekazała nam.
- Nam? Co znaczy nam?
- Nam. Mnie i innym dzieciom.
- Całej klasie?
- Yhm.

Step wysiłał wyobraźnię - nauczyciel wygłaszający taką opinię przed wszystkimi uczniami. Opinię zbyt okrutną, żeby ją wygłosić na osobności, a przed całą klasą to wręcz niewiarygodne.

- Stevie, jesteś pewny, że nie wymyśliłeś sobie całej tej historii?

Stevie spojrział ojcu w oczy.

- Nie, tatusiu. Nie kłamię.

- Wiem, że to ci się jeszcze nigdy nie zdarzyło, przed przeprowadzką do Steuben, Stevie. Lecz musisz zrozumieć, że w twoją opowieść trochę trudno uwierzyć. Czy nie przesadzasz odrobinę? Albo udajesz?



- Nie udaję.

- No, ale udajesz, że masz dwóch przyjaciół, Jacka i Scottiego.

Stevie popatrzył na niego w milczeniu.

- Nigdy tego nie powiedziałem - rzekł w końcu.

- Mnie nie. Ale mamie opowiadałeś o tym, co razem z Jackiem i Scottiem robisz.

Stevie nic na to nie odrzekł.

- Nie mam nic przeciwko, żebyś udawał. Może tak właśnie trzeba, żeby przetrwać ciężki okres w szkole. Jednak nie możesz kazać mnie i mamie udawać, że coś jest prawdziwe.

- Nie każę.

- Masz na myśli, że od teraz nie będziesz - powiedział Step.

- Mam na myśli, że nigdy tego nie robię! - wykrzyknął z pasją Stevie.

Jego stanowczość powstrzymała Step. Czy to możliwe, żeby Stevie nie kłamał? Że faktycznie jest to rzeczywiste? Lecz jak to pogodzić z opowiadaniem bibliotekarki? Niemożliwe, w wersji Stewiego musiało być jakieś przekłamanie. A mimo to chłopak nalegał, by mu uwierzono, co zmusiło Stepę do refleksji i powrotu do własnego dzieciństwa, kiedy dorośli mu nie wierzyli, gdyż byli święcie przekonani o słuszności swojej oceny wydarzeń. Doskonale pamiętał odpowiedź daną matce: „Ale ciebie tam nie było, więc skąd możesz wiedzieć?” I teraz Step znalazł się w podobnej sytuacji, zaprzeczając słowom syna, a przecież go tam nie było, więc skąd mógł wiedzieć.

- Stevedore - zapytał. - Czy jestem w błędzie?

- Tak - odparł po prostu Stevie.

- Muszę ci powiedzieć, że jeżeli pani Jones przed całą zgromadzoną klasą powiedziała taką straszną rzecz, nawet jeśli była prawdziwa, natychmiast powinna zostać wylana ze szkoły.

- Tak - przytaknął Stevie. - Chciałbym, żeby umarła.

Step był wstrząśnięty.

- Naprawdę pragniesz tego?

- Tak, cały czas o tym myślę. Patrzę na nią, gdy mówi, i widzę krew spływającą z jej czoła roztrzaskanego kulą. Wyobrażam sobie, jak pada martwa w klasie, a ja śmieję się i śpiewam piosenkę. Zaśpiewałbym „Wśród liściastych koron drzew”, bo jest to najweselsza piosenka, jaką znam.

Step nie był przygotowany na taką potworność. Nieważne, jak wyglądała sprawa z projektem, wszystko bowiem wskazywało na to, że chłopiec nienawidzi pani Jones ponad wszelkie wyobrażenie. Trapiła go nieznośna myśl, że jego słodkie dziecko - zawsze ustępliwe i wielkoduszne - mogłoby żywić w sercu tak przejmującą nienawiść. Uczucie to musiało drażnić Steviego już od dłuższego czasu, a przecież z niczym się nie zdradził.

- Stevie, dlaczego nienawidzisz jej tak bardzo? Czy to z powodu błękitnej wstążki?

- Nigdy mnie nie wywołuje.

- Czasem to może tak wyglądać - powiedział Step. - To dlatego, że jesteś taki bystry, a ona chce i pozostałym dzieciom dać szansę.

- Zawsze wywołuje tylko innych.

- Tylko tak to odbierasz.

Stevie obrzucił ojca płomiennym spojrzeniem, w którym czał się niepohamowany gniew.

- Powiedziałem, że zawsze wywołuje innych! Ja tego tak nie odbieram, tak jest!

Step powtórnie zdał sobie sprawę, że przemawia jak typowy dorosły, naginając przejrzysty, bezpośredni język dziecka do z góry narzuconego sobie wyobrażenia rzeczywistości. Lecz jeśli Stevie miał rację? Jeśli każde wypowiedziane przezeń słowo odzwierciedlało prawdę?

- Chcesz powiedzieć, że cię nigdy nie wywołuje do odpowiedzi? Nigdy?

- Ani razu - odrzekł Stevie.

- Jesteś pewny, że widzi, jak podnosisz rękę?

- Tak - potwierdził bez wahania Stevie. - Zawsze mnie widzi.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ tak mówi.

- Ona mówi, że dostrzega twoją podniesioną rękę, a mimo to cię nie pyta?

- Dokładnie tak. - Łzy w oczach syna kazały Stepowi założyć, że to jednak prawda, a przynajmniej wygląda na prawdę dla Steviego, gdyż bez wątplenia Stevie w to wierzył.

- Synu, postaraj się zrozumieć, nie ma mnie tam, więc nie mogę się przekonać osobiście. Musisz mi w tym pomóc. Co ci mówi wówczas, gdy widzi twoją podniesioną rękę, ale cię nie pyta?

Stevie wziął głęboki oddech i wtedy drżącym głosem powiedział:

- Ona mówi: „Oczywiście, Stephen Ball-lover Fletcher zna odpowiedź. On wie wszystko”.

Step, słuchając tych słów, poczuł ukłucie w żołądku. To nie mogła być prawda. Nikt nigdy nie mógł przemawiać do jego syna w podobnym tonie. Lecz jeśli jednak... jeśli jednak, on... on coś zrobi. Coś.

- Synu, czy ona na pewno nazwała cię w ten sposób? Ball-lover?

- Tak.

- Czy nie wyjaśniłeś jej, że chodzi o Bolívara? Jednego z największych wyzwolicieli w historii?

- Jak mógłbym, tato, kiedy ona mnie nigdy nie pyta o zdanie?

- No tak, nie sądzę, żebyś mógł - przyznał Step. - Naprawdę wyśmiewa cię w ten sposób zawsze, kiedy podnosisz rękę?

- Już nie podnoszę ręki - odparł chłopiec.

- No tak, to rozumiałe. - Step starał się zebrać myśli i rozeznąć w tym wszystkim. - Kiedy zaczęła się tak zachowywać?

- Już pierwszego dnia.

- Twojego pierwszego dnia w szkole?

Stevie namyślał się przez krótką chwilę.

- Pierwszego dnia powiedziała, że jestem prawdziwym idiotą, gdyż nie rozumiem, co ona mówi, więc podniosłem dłoń i zapytałem, co powiedziała. Wtedy powtórzyła, a ja nie rozumiałem jej nadal.

Step wrócił myślą do problemu, jaki wynikł pierwszego dnia.

- Z powodu jej akcentu?

Stevie przytaknął.

- Rozumiałem większość z tego, o czym mówiła, ale zawsze kilka wyrazów na początku lub w środku było mi nie znanych. A ona powiedziała, że jestem idiotą. A potem wszystkie dzieci wyśmiewały się ze mnie.

- A niech to, nic dziwnego, skoro nauczycielka nazwała cię idiotą. Ale następnego dnia przebywałeś w gabinecie dr Mariner i zdawałeś te testy, dopiero dzień później wróciłeś do klasy. Co się stało wtedy?

Stevie zaniósł się płaczem.

- Kazała mi wstać i powiedziała, powiedziała... - nie był w stanie skończyć zdania. Leżał na łóżku,

szlochając.

Step wyciągnął się, chwycił chłopca w ramiona i ściągnął go z piętrowego łóżka. Usiadł na skraju posłania Robbiego i przycisnął płaczącego syna mocno do piersi.

- No już dobrze, dobrze - powtarzał. - Wiem, że jest ci ciężko. Tak ci musi być ciężko. Dlaczego wcześniej nic nam o tym nie mówiłeś?

- Bo mam wykonać swoją robotę - rzekł Stevie.

- Co przez to rozumiesz?

- Mam robić swoje w szkole, tak jak ty robisz swoje w pracy.

- Tak, Kluczniku, to prawda - zgodził się Step. - Lecz kiedy nie układa mi się w pracy, nie ukrywam tego. Mówię o tym twojej mamie. A kiedy ona ma kiepski dzień, też mówi mi o tym.

Płacz Stewiego stał się spokojniejszy, wreszcie łzy przestały płynąć.

- Nie wiedziałem - powiedział.

- Oczywiście, skąd mógłbyś wiedzieć? - kontynuował Step. - Rozmawiamy ze sobą o tych sprawach późno w nocy, kiedy już wy, dzieciaki, śpicie jak susły.

- Nie wiedziałem.

- Czy teraz możesz mi powiedzieć, co zdarzyło się dzień po tym, jak zdawałeś testy? Wspomniałeś, że kazała ci wstać przed całą klasą, a później coś nastąpiło. Coś powiedziała?

- Powiedziała, że pomyliła się, nazywając mnie wcześniej idiotą. Że nie jestem wcale głupi, jestem bardzo, bardzo, bardzo mądry, najmądrzejszy chłopiec na całym świecie i dlatego nie rozumiem, co inni do mnie mówią, gdyż jestem zbyt mądry, żeby ich zrozumieć, bo wszyscy w porównaniu ze mną są głupi, nie ma więc potrzeby, żeby kiedykolwiek ktoś do mnie mówił, bo jestem o wiele za mądry, by zrozumieć albo zainteresować się tym, co mają do powiedzenia.

Nie do wiary, a jednak Step uwierzył. Za wiele w tym było szczegółów - Stevie nie mógł tego wszystkiego wymyślić. Poza tym czuł instynktownie, że to nie bajka. Może kiedy dr Mariner wezwała panią Jones, by porozmawiać z nią o pierwszym dniu Stewiego, pani Jones założyła, że chłopiec powtórzył w domu rodzicom wszystko, co powiedziała w klasie - choć nie zrobił tego aż do chwili obecnej. Pomyślała więc, że dr Mariner wie o wszystkim i tylko z grzeczności nie nazywa rzeczy po imieniu. Zgodnie z tym przekonaniem wydało jej się oczywiste, że Stevie naskarżył na nią, naraził na kłopoty u zwierzchniczki, zdecydowała zatem wyrównać rachunki.

- Synu, sądzę, że mówisz prawdę. Przykro mi, że nie uwierzyłem ci od razu, lecz musisz być wyrozumiały, jest to tak straszna rzecz, że trudno uwierzyć, aby jakikolwiek nauczyciel dopuścił się podobnej ohydy. Miałem przecież kilku ostrych nauczycieli w życiu, lecz nikogo tak jawnie perfidnego. Powinieneś być powiedzieć nam o tym wcześniej. Przypuszczaliśmy, że jakoś ci się

układa.

- Układa - odparł Stevie. - Oprócz tego.
- Więc masz przyjaciół w szkole?
- Nie - zaprzeczył spokojnie Stevie.
- Więc jednak nie układa się, nie mam racji?
- Jak mogę mieć przyjaciół, kiedy pani Jones zakazała rozmawiać ze mną?

Jak głęboko sięgały korzenie problemu?

- To znaczy, że wyraźnie kazała innym dzieciom omijać cię z daleka?
- Niektórzy próbowali na przerwie, lecz ona wrzeszczała na nich, mówiąc: „Proszę nie zawracać głowy panu Fletcherowi, ponieważ jest zajęty ważniejszymi sprawami, nie chcielibyśmy mu przeszkadzać”.

Step przytulił go.

- Och, Stevie, nie wiedziałem, nie przypuszczałem. Bo i skąd mógłbym wiedzieć?
- Jaleena czasem rozmawia ze mną - powiedział Stevie.
- Jedna z dziewczynek?
- Jest Murzynką, więc pani Jones nie troszczy się o to, co robi. Nie rozmawia jednak ze mną dużo, bo naprawdę ciężko jest ją zrozumieć. Musi mówić wolno. W ten sposób nie może mi dużo powiedzieć.

Zatem tak wyglądały pierwsze dwa miesiące Stewiego w drugiej klasie szkoły w Steuben. Izolacja. Pośmiewisko. Krańcowa samotność. I nawet nie zająknął się na ten temat w domu. Żadnej oznaki, prócz niechęci, przy wyjściu do szkoły.

- Lecz wciąż radzisz sobie z nauką - stwierdził Step. - Kształcisz się.
- Większość przerabialiśmy w mojej starej szkole.
- Przynajmniej miałeś frajdę, wykonując swój projekt, no nie?

Stevie skinął głową.

- Synu, postanowiłem porozmawiać z panią Jones.
- Nie możesz! - zaprotestował Stevie gwałtownie. - Tylko pogorszysz sprawę, ona będzie jeszcze gorsza!

- Stevie - powiedział Step. - Obiecuję ci. Absolutnie ci obiecuję. Po tej rozmowie wszystko będzie lepsze. A jeśli nie - zostaniesz w domu.

- Tak! - krzyknął z entuzjazmem. - Zatrzymaj mnie w domu!

- Tylko jeśli po rozmowie z panią Jones będzie jeszcze gorzej - rzekł Step stanowczo.

- Nie, zostanę już teraz!

- Stevie, nie mogę cię już teraz tak po prostu zatrzymać. Jest prawo, które mówi, że musisz chodzić do szkoły, a w Karolinie Północnej bardzo go przestrzegają. Jeśli nie wyślę cię do szkoły, mogą mi kazać stawić się w sądzie albo powtórnie przeprowadzić.

- Wróćmy do Indiany!

- Synu, nie stać mnie na to. Jeśli przeprowadzilibyśmy się powtórnie, to na pewno do Utah, by zamieszkać w domu dziadka i babci Brown. Straciłbym pracę. Innymi słowy wszystko to zrobię, jeśli będę musiał, jeśli rozmowa z panią Jones nie poskutkuje, rozumiesz? Ostatni miesiąc szkoły nie będzie taki smutny, przyrzekam ci.

- Cały miesiąc - rzekł Stevie głucho.

- Pomyśl o tym w inny sposób - zaproponował mu Step. - Wyobraź sobie, że skazano cię za zbrodnię, której nie popełniłeś. Jesteś niewinny, nie zrobiłeś nic złego, lecz system źle zadziałał i skazano cię, a teraz nie możesz już nic na to poradzić, pozostaje ci tylko odsiedzieć ostatni miesiąc wyroku. Potem wyjdiesz na wolność i nie będziesz już nigdy oglądał pani Jones. A w przyszłym roku będziesz już w szkole średniej i zbierze się cała gromada dzieciaków z innych szkół - każdy będzie nowy, nie tylko ty. Przyszły rok będzie lepszy. Przeżyj jeszcze ten miesiąc.

- Nie rozmawiaj z panią Jones - poprosił Stevie. - Proszę.

- Zaufaj mi, Stevie. Jeżeli porozmawiam z panią Jones, wszystko się poprawi.

Najwyraźniej Stevie nie był przekonany. Drażniło Stepą, a nawet napełniało złością to, że jego syn nie wierzył, iż mu się uda. Lecz Stepowi też zabrakło trochę czasu, nim dał wiarę Steviemu. Nieufność syna zatem była usprawiedliwiona.

Kiedy kilka minut później opuścił pokój Stewiego, znalazł DeAnne opierającą się o drzwi ich pokoju po drugiej stronie korytarza. Wyglądała na zrozpaczoną, otworzyła drzwi i weszli do środka, a następnie zamknęła drzwi.

- Wszystko słyszałaś? - spytał Step.

- Nie mogłam się opanować - wyznała. - Tak się niepokoiłam.

- W takim razie wiesz wszystko - zaśmiał się gorzko. - Teraz przynajmniej rozumiemy, dlaczego tak desperacko podchwycił pochlebstwo siostry LeSueur. Jeśli dzieciak dostaje w kość w szkole, cierpi

na niedostatek pochwał.

- Naprawdę wierzysz w jego wersję wydarzeń? - zapytała DeAnne.

- Chyba tak. Przynajmniej po części. Muszę.

- Lecz co z bibliotekarką? Step, wiem, że bibliotekarka nie kłamała. To najśłodsza z istot, po jej głosie poznałam, że uwielbia Steviego. Mówiła o tym, jak przychodzi do niej w czasie przerw i czyta, a o jego projekcie wspominała z dumą... - nagle DeAnne zamilkła. - Posłuchaj mnie. Twierdzę z pełnym przekonaniem, że prędzej uwierzę kobiecie, którą spotkałam rano, niż własnemu synowi.

- Nie wierzymy w coś z obowiązku - rzekł Step. - Wierzymy w coś, co brzmi w naszym odczuciu przekonująco. A opowieść Steviego nie brzmiała wcale przekonująco, dopóki nie zwierzył się ze szczegółów, które zaczęły układać się w spójną całość. A tak w ogóle, dlaczego bibliotekarka miałaby kłamać? Może mówiła prawdę? Może projekt Steviego naprawdę zdobył pierwsze miejsce, a pani Jones nakłamała przed klasą?

- Och, Step, chyba nie sądziłaby, że coś takiego ujdzie jej na sucho?

- Kto wie? Wiele świrów kręci się po świecie.

- Ale nie uczą w szkołach.

- Czemu nie? Mam na myśli wszystkich tych czubków w zakładach dla umysłowo chorych. Przecież oni się tam nie urodzili. Na dzień przed tym, jak odwieziono ich do zakładu, przebywali poza jego murami. Wielu przypuszczalnie miało pracę, niektórzy byli nauczycielami. Myślisz, że nauczyciele nie wariują? Do diaska, oni jeszcze podbijają średnią, zważywszy na to, przez co przechodzą. Tak więc może pozostały jej jakieś trzy miesiące przed wysłaniem do szpitala, a wszystko z powodu pogłębionej nienawiści do dzieci. Rozwinęła się w niej choroba. W tym roku znalazła sobie kozła ofiarnego, na którego może wylewać całą złośliwość i jad. Tym kozłem okazał się Stevie.

DeAnne potrząsnęła głową.

- Istnieje taka możliwość - nalegał Step. - Przynajmniej muszę się upewnić.

- Złożyłeś Steviemu obietnicę, której nie będziesz mógł dotrzymać - powiedziała DeAnne.

- Spokojnie, dotrzymam jej - odparł Step. - W taki czy inny sposób.

- Jak powstrzymasz ją od ukarania Steviego w dotkliwszy sposób, po tej całej rozmowie?

- Jeśli zajdzie potrzeba, codziennie będę odwiedzał klasę.

- Nigdy do tego nie dopuści. Szkoła nigdy na to nie pozwoli.

- By rodzic obserwował lekcję swojego dziecka?

- Straciłbyś pracę.

- Odejdę z tej pracy! - odparł Step i ku swemu zdziwieniu zrobił to głośno i gniewnie. Uspokoił się, mówił teraz cicho, ale dobitnie. - Odejdę z pracy. Nienawidzę tej pracy. Ta praca nie zezwala mi na bycie przyzwoitym ojcem dla moich dzieci. Ta praca zabija mnie i rodzinę. Pieprzyć taką pracę.

DeAnne odsunęła się od niego ze strachem.

- Step, proszę - powiedziała.

Jej uraza, spowodowana słowami opisującymi naprawdę ważną sprawę, obudziła w nim irracjonalną złość.

- Ach, nie podoba ci się sposób, w jaki to powiedziałem? Słowo „pieprzyć” brzmi dla ciebie zbyt wulgarnie. To tylko eufemizm, DeAnne. Nie możesz się na mnie wściekać za używanie eufemizmów. Mógłbym przecież powiedzieć...

- Nie wściekam się na ciebie za słowo „pieprzyć”, ośle! W ogóle nie wściekam się na ciebie, ale ty też nie wściekaj się na mnie, bo nie zniosę tego! - Zaniósła się płaczem. - Chciałeś już użyć słowa na „k”? Powiedzieć to przy własnej żonie.

- O co ci chodzi? - spytał Step. - Byłaś na mnie wściekła, znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czym to się objawia. Wściekłaś się na mnie za słowo „pieprzyć” i...

- No więc tak było! Przez jedną głupią sekundę! Po czym doszłam do wniosku, że to idiotyczne, i jest mi przykro. Nic na to nie poradzę, że przez ułamek sekundy moja twarz przybiera taki wyraz. Nie zasługuję, żebyś przy mnie klął!

- Co my robimy? - zmitygował się Step. - Walczymy z sobą?

- Ponieważ naszego syna skrzywdzono w szkole, a my nic nie zrobiliśmy, aby mu pomóc...

- A w jaki sposób mieliśmy tego dokonać? Nic nam nie powiedział...

- I oboje jesteśmy tacy zdenerwowani, iż pragniemy komuś dać łupnia, a jedynymi osobami pod ręką jesteśmy my sami. - DeAnne przestała na chwilę mówić. I nagle, ku zdumieniu Stepa, roześmiała się. Śmiała się i pochylała aż do krawędzi łóżka.

- Okej, podziel się z resztą tym kawałem - rzekł Step.

- Po prostu myślałam - to takie głupie, to nie jest nawet śmieszne... - Wytarła oczy.

- Wiem, widzę, jakie to nie jest śmieszne.

- Kiedy mówiłam, że oprócz nas nie ma tu nikogo pod ręką, pomyślałam: Dajmy wycisk siostrze LeSueur.



Miała rację. Nie było to wcale śmieszne, jednak Step musiał usiąść przy niej i śmiać się do rozpuku.

Step nie prosił o pozwolenie na wyjście z pracy w środku dnia. Zwyczajnie stanął w progu biura Dicky'ego i oznajmił:

- Idę na lunch o drugiej trzydzieści dzisiaj po południu, ponieważ muszę spotkać się z nauczycielką syna po szkole.

- Żona nie może tego zrobić za ciebie? - zapytał Dicky.

- Dicky - odparł Step. - To moja godzina na lunch, który zaplanowałem dziś na drugą trzydzieści. Tylko dlatego ci to mówię, byś wiedział, gdzie jestem w tym czasie. Nie proszę o zezwolenie.

Dicky nie zamierzał się sprzeczać, wzruszył zamiast tego ramionami i obdarzył Stepą półuśmiechem mówiącym: „Jesteś zbyt wrażliwy, za bardzo się ciskasz, Step. Nie miałem nic złego na myśli, pytając, a ty naskoczyłeś na mnie jak furia”.

Potem, dwadzieścia po drugiej, kiedy Step chował do kieszeni spodni dyktafon, na sekundę przed wyjściem zabrzączał telefon, Step usłyszał głos Dicky'ego:

- Wpadnij do mnie do biura, proszę - powiedział.

- Jestem już w drodze - zaproponował Step. - Na lunch.

- A więc po drodze, proszę, zatrzymaj się w moim biurze.

Step poczuł nagły dreszcz strachu. Czyżby chciał mnie wylać? Bo zwróciłem się do niego nieuprzejmie? Niemożliwe. A może Ray Keene kapnął się, że podwędziłem mu kopię swojej umowy o pracę, myśli więc, że rozglądam się za inną robotą i stąd to wypowiedzenie.

Na przekór tym czarnym myślom z ust Dicky'ego nie schodził uśmiech, gdy Step wszedł do biura. Był z nim jeszcze jeden człowiek, wysoki, szczupły facet o ciemnej karnacji i ponurej twarzy, która napawałaby strachem, gdyby nie błędzący po wargach uśmieszek. Co prawda głowę miał tak wąską, a uśmiech tak szeroki, że przez moment wyglądało na to, iż dosłownie uśmiecha się od ucha do ucha. Usta jak u muppeta, pomyślał Step.

- Poznaj Damiena Weinreitera - powiedział Dicky. - Prowadzimy z nim rozmowę kwalifikacyjną, dotyczącą tego wakatu wśród programistów.

- Ach tak? Nie wiedziałem, że szukamy programisty. - Step nigdy nie wiedział, kiedy zwalniają bądź zatrudniają pracowników - w sumie sprawy personalne to nie jego działka.

- O, tak. Uważam za nieodzowne, żebyśmy przed przyjęciem go zasięgnęli twojej opinii.

Mojej opinii! A kiedy dotrę do szkoły?

Oczywiście, doszedł do jedyne go słusznego wniosku, tak właśnie Dicky obmyślił odgryźć się na nim za niegrzeczne zachowanie przed południem. Wypracował sytuację, w której musiał zostać i nie mógł stawić się na umówione spotkanie. Co gorsza, ten plan miał szansę się powieść. Nie istniał żaden kulturalny, sposób, by powiedzieć Dicky'emu, żeby się wypchał, bo teraz Step ma lunch.

- Dicky, dlaczego prosisz mnie? Ja tu jestem od podręczników.

- Och, Step, nie bądź taki skromny. Nie zajmujesz się tu przecież tylko pisaniem podręczników.

Wiedziałem, pomyślał Step. Od początku zauważył mój tajny przydział.

- Jesteś także twórcą Hacker Snacka. Normalne zatem, że Damien cieszy się z możliwości spotkania z tobą - ciągnął Dicky.

- Wspaniała gra - odezwał się wspomniany Damien. - Jest pan najlepszy.

No tak, to prawda, pomyślał Step. Chcesz dostać tu robotę i sądzisz, biedaku, że podlizywanie się pomoże ci dopiąć celu. Dicky prawdopodobnie podjął już decyzję, że nie otrzymasz tej posady, używa cię tylko po to, żeby zrujnować moje życie rodzinne.

No cóż, Dicky, ze mną nie tak łatwo.

Step postąpił, jak od niego wymagał Dicky - wszedł i usiadł, zaczęło się przesłuchanie. Wiedział jednak, że Dicky nie ma zamiaru pozwolić Stepowi na udział w rozmowie. Ta gra nazywała się poniżenie, Dicky kazał mu siedzieć w grobowym milczeniu, podczas gdy sam przeprowadzał rozmowę, Step najwyraźniej był całkowicie zbędny.

Wtedy Step otworzył swoją walizeczkę, wydobyl żółty notatnik i naskrobał naprędce krótką wiadomość dla Dicky'ego:

„Drogi Dicky,”

„Przelewam słowa na papier, żeby oszczędzić ci wstydu przed twoim rozmówcą. Mam zamiar spotkać się z nauczycielką mojego syna, jak już wcześniej mówiłem. Nie mogę się doczekać zebrania, na którym oznajmisz Rayowi Keene'owi, że włączasz mnie teraz w proces zatrudniania nowych programistów. Biorąc pod uwagę zwiększenie moich obowiązków, spodziewam się odpowiedniej podwyżki!”

„Z poważaniem,”

„Step”

Wstał, położył notatkę na pulpicie Dicky'ego, po czym wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

W drodze do szkoły starał się uspokoić. Gniew na Dicky'ego wpędzi go w tarapaty, jeśli przez to podejście do pani Jones bez należytego opanowania. Musi postępować z nią z wyrachowaniem, inaczej spowoduje więcej złego niż dobrego. Gniew tu nie pomoże.

DeAnne pozwoliła mu wziąć dzisiaj samochód. Ostatnio częściej próbował namawiać współpracowników na podwiezienie go do domu, gdyż wiedział, że DeAnne czuje się jak w pułapce, uwięziona cały dzień bez auta. Nie miał wątpliwości, że muszą wystarać się o drugi samochód, szczególnie po narodzinach dziecka w lecie. Jakże mógłby zostawić niemowlaka w domu bez środków transportu? Poza tym źle się czuł, nieustannie prosząc innych o podrzucenie. Kończyło się często na tym, że zostawali u niego do późna. Albo przyjeżdżał z Gallowglassem, a nie cierpiał przyprowadzać go do mieszkania. Nie chciał nawet, by ten wiedział, gdzie mieszka, choć oczywiście było już na to o wiele za późno. Glass wciąż go nagabywał, kiedy Step poprosi go do opieki nad dziećmi. Nie, Step potrzebował samochodu i DeAnne potrzebowała samochodu, a nie byli w stanie uciulać grosza na zwykłego gruchota, nie wspominając o czymkolwiek godniejszym zaufania.

Podjechał przed szkołę, kiedy ostatnie z autobusów opuszczały już parking. Za późno przypomniał sobie słowa DeAnne, że powinien pojechać Fargo Road, jeśli chce zatrzymać się na tym ukrytym parkingu na wzgórk. Wielkie mi meczyje, pomyślał Step. No i co, zastrzelą mnie za to? Uczył się zatem ostatniego autobusu i podążył za nim za róg budynku, gdzie zaparkował na miejscu dla odwiedzających.

Dr Mariner stała przy drzwiach, kiedy zbliżył się do szkoły.

- Założę się, że nie wiedział pan, iż rodzice nie powinni parkować na podjeździe przed szkołą - zagadnęła.

- Tak naprawdę, to wiedziałem - odparł Step. - Lecz na śmierć zapomniałem, a kiedy się tu znalazłem, pomyślałem, że i tak odjeżdża już ostatni autobus, więc nikomu nie stanie się krzywda.

- No tak, chyba ma pan rację. O żadnej krzywdzie nie może być mowy. Czy mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję, że tak, proszę pani. Jestem Step Fletcher, przyjechałem, żeby...

- Ojciec Steviego Fletchera?

- Tak - potwierdził Step. - To ja.

- Och, jakże niezrównanego chłopca pan ma! A pańska żona jest taka miła. O ile sobie przypominam, ma pan też młodszego chłopczyka, który w przyszłym roku będzie u nas w przedszkolu.

- Zgadza się, to Robbie.

- Cóż, nie mogę się już doczekać, choć oczywiście smutno mi będzie z powodu odejścia Steviego. To najśladzsze z dzieci, a jakie bystre! Pani Jones bez przerwy opowiada mi, jak wie dzie mu się w klasie, oczywiście wie pan już, jaki sukces odniósł jego projekt?

- Rzeczywiście, słyszałem to i owo - powiedział Step. Chciałby, żeby ona mu to powiedziała, po

części dlatego, że nie wiedział, w którą historię uwierzyć.

- To i owo, nie ma co. - Dr Mariner pokiwała głową. - Zdobywca pierwszego miejsca, a pan „słyszał to i owo”. Nie gościmy tu wielu uczniów tego formatu. Musi pan to wiedzieć.

- O, tak - zgodził się Step. - Lecz cieszę się, wiedząc, że i pani wie.

- Jakżeby inaczej! - wykrzyknęła dr Mariner. - Ale nie będę pana zatrzymywać - z pewnością przyszedł pan na konsultację z panią Jones, nie może czekać zbyt długo.

- Tak naprawdę ona nie wie, że miałem dziś przyjechać.

- Tak? Tym większy powód do pośpiechu - chce pan ją zastać, nim wyjdzie do domu. A niech to, mam nadzieję, że jeszcze nie wyszła! Wie pan, jak trafić do jej klasy?

- Nie bardzo - odpowiedział.

- Więc proszę mi pozwolić, abym pana zaprowadziła.

- Nie ma potrzeby, proszę mi po prostu wytłumaczyć. Nie chcę sprawiać kłopotu...

Lecz ona wyprzedzała go już o pięć kroków, śpiesząc w dół korytarzem.

Pani Jones ciągle tam była, chociaż w tym momencie poprawiała już płaszcz, gdyby więc Step zdał się na wskazówki dyrektorki, prawdopodobnie rozminąłby się z nauczycielką. Podziękował dr Mariner wylewnie, zastanawiając się przy tym, czy to spotkanie jest w rzeczywistości konieczne. Najwyraźniej wersja wydarzeń bibliotekarki była prawdziwa.

- Ach, pan Fletcher - powiedziała pani Jones po odejściu dr Mariner. - Niewielu ojców przychodzi do szkoły. Szkoda, że nie umówił się pan na wizytę, zostałabym dłużej.

- Być może nie zabierze to dużo czasu - rzekł Step. - Przyszedłem głównie po to, by porozmawiać o projekcie Stewego.

- O jego projekcie? - zapytała.

- O pracy na zakończenie drugiej klasy. O środowisku. Zrobił podmorską scenkę. Całą z plasteliny.

- Ach tak, oczywiście, pamiętam. To było takie twórcze.

Poczuł dłoń na gardle. Powinien poczuć ulgę, oczywiście, że pani Jones nie dała Stewiemu trójki. Lecz to oznaczało, że chłopiec kłamał.

Nie, powiedział sobie w duchu. Nie zrezygnuję tak łatwo.

Sięgnął do kieszeni i włączył dyktafon. Zdążył przetestować go w dziupli w pracy. Bardzo dobrze zbierał wszelkie odgłosy poprzez materiał dzinsowych spodni.

- Zastanawiałem się, czy mi pani powie, pani Jones, jaką ocenę dała pani Steviemu za ten projekt.

- Och, nie mogę sobie przypomnieć, to było tak dawno temu.

- Tydzień temu - sprecyzował Step.

- O, tutaj jest. - Wiodła kciukiem po linii nazwisk w dzienniku ocen, lecz Step zauważył, że wzrok skierowała w stronę drzwi. Dlaczego? By sprawdzić, czy dr Mariner odeszła już na bezpieczną odległość? - Do licha - powiedziała. - Widzę, że dostał trzy.

- Aha - rzekł Step. Czuł, że zaczyna mu być gorąco. Stevie powiedział prawdę. To samo z bibliotekarką. Projekt był pierwszorzędny, lecz jakoś dostał trójkę.

- Tak, wszystko się zgadza - oznajmiła pani Jones. - Zdecydowanie wpisano tu trójkę.

- No nie wiem - Step nie dawał za wygraną. - Trudno się w tym połapać.

- Niezupełnie - zaprzeczyła pani Jones. - Co pan chce od trójki? Oznacza przecież ocenę dostateczną. Przeciętną.

Step tymczasem zdążył przejrzeć całą kolumnę ocen w dzienniku, w słupku zawierającym trójkę Steviego.

- Nie taką całkiem przeciętną - powiedział - biorąc pod uwagę fakt, że wszyscy prócz niego otrzymali szóstki, piątki lub czwórki.

- Pan wybaczy, panie Fletcher, ale nie pozwalamy rodzicom na czytanie ocen innych dzieci, a pan najwyraźniej patrzył na niewłaściwą kolumnę w moim dzienniku.

Lecz Step patrzył po ścianach, nie na nią.

- Miałem nadzieję - rzekł spokojnie - przekonać się, jak musi wyglądać projekt na piątkę, skoro ten Steviego wart był jedynie trójki. Pomogłoby to nam jako jego rodzicom, wie pani, poznać standardy, jakim nasz syn musi tu sprostać. W ten sposób bylibyśmy w stanie czuwać nad jego postępami przy przyszłych projektach.

Była taka rzecz, na której skoncentrował spojrzenie. Błękitna wstążka, przypięta do gazetki ściennej, wisiała bez żadnego napisu na niej bądź obok niej. Po prostu błękitna wstążka.

- Niestety, wszystkie prace dzieci wzięły do domów - oświadczyła z żalem pani Jones. - Stevie zdecydował się wyrzucić swoją na śmietnik, bo wtedy była już tylko kupą plasteliny. To skandal, co te źle wychowane dzieciaki zrobiły z jego pracą, z drugiej jednak strony nie mamy żadnego doświadczenia w obchodzeniu się z rzeźbą w plastelinie. Gdyby Stevie przyniósł plakat jak wszyscy, nie doszłoby do tego.

Step sięgnął do kieszeni koszuli, by ukazać światłu dziennemu złożony w czworo opis wymagań stawianych wykonawcy projektu, w który uzbroiła go DeAnne.

- Oglądałem i oglądałem ten papierek, który pani wysłała do domu i nic tu o plakacie nie wyczytałem. Po prostu „Przedstawienie środowiska”.

- Wie pan - powiedziała pani Jones - to oznacza plakat.

Step spojrział ponownie na błękitną wstążeczkę.

- Ach tak? - odparł Step. - A skąd to niby miałem wiedzieć? Weźmy na przykład „Monę Lisę”, to też przedstawienie, nieprawdaż? A mimo to nie jest plakatem. A czy „Dawida” Michała Anioła nie nazwałaby pani przedstawieniem?

- Wszyscy pozostali rodzice zdołali jakoś wydedukować, że chodzi tu o plakat - stwierdziła pani Jones. Ton jej głosu stał się teraz lodowaty.

- Rozumiem - rzekł Step. - Być może znają miejscowe zwyczaje. Lecz my jesteśmy tu nowi i nic o nich nie wiemy.

- Najwidoczniej - zgodziła się cierpko pani Jones.

- Ale nie chce chyba pani przez to powiedzieć, że projekt Steviego otrzymał trójkę, gdyż nie był plakatem?

- Nic podobnego. Jak już powiedziałam - był twórczy.

- Zatem wciąż oczekuję pani pomocy w znalezieniu w pracy chłopca błędów.

- Cały czas to powtarzam panu, panie Fletcher. Nie trzeba popełnić specjalnego błędu, żeby dostać trójkę. Stopień ten oznacza przeciętną. To był przeciętny projekt.

Z wyjątkiem wyzwania jej od kłamaców Step niewiele mógł dodać, nie bezpośrednio. Nadszedł czas, aby porozmawiać o wstążce.

- Ciekawi mnie, pani Jones, czemuż to dr Mariner przyznała pierwsze miejsce przeciętnemu projektowi?

- Dr Mariner ma swoje zdanie, a ja mam swoje.

Tak, pomyślał Step. Zdecydowanie stała się chłodna.

- No tak, to oczywiste - powiedział. - Ale wie pani, prace nie zostały ocenione przed decyzją dr Mariner.

- Moja ocena była całkowicie niezależna.

- Zgodzi się pani jednak ze mną, że aby przyznać najniższą ocenę w klasie akurat temu projektowi, który zdobył pierwszą nagrodę, trzeba bezsprzecznie znaleźć w nim jakąś skazę?

Spojrzał jej prosto w oczy. Wejrzenie miała nieprzejednane, lecz dłonie kurczowo przycisnęła do ciała. O, tak. Boi się. Bardzo się boi. Ponieważ wszystko, o czym powiedział mi Stevie, jest prawdą.

- Bardzo dobrze, panie Fletcher - powiedziała, przerywając w końcu ciszę. - Oświecę pana, co było nie tak z tym projektem Stewiego. Chodziło o pisemną część pracy, o sprawozdanie. Pozostałe dzieci zamieściły sprawozdania pięcio- i sześciostronicowe. Stevie załączył jedynie dwie.

Z wielką trudnością Step zapanował nad wzbierającą w nim wściekłością.

- Stevie napisał pracę na komputerze. Czy jeszcze któreś z dzieci tak postąpiło?

- To nie ma nic do rzeczy - zripostowała krótko.

- Wszystkie napisano dużymi literami, ot, takimi jak te na gazetce. Mam rację?

- Jakżeby mogło być inaczej? To druga klasa, panie Fletcher.

- Szacując z grubsza... niech pomyślę... będzie to jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt słów na stronę, przy piśmie ręcznym. Chyba się nie mylę?

- Załóżmy, że nie.

- Lecz strona Stewiego zapisana była niewielką czcionką, dającą w przybliżeniu od czterystu do pięciuset słów na stronę. Więc każda ze stron mieściła mniej więcej tyle samo co...

- Strona to strona! - rzekła gniewnie pani Jones.

- Poza tym ten tu papierek nic nie wspomina o minimalnej liczbie stron.
- Wszystkie pozostałe dzieci doszły do wniosku, że wymagana liczba stron to pięć, sześć! Nie kazały mamom przepisywać swoich sprawozdań na komputerze - one pisały wszystko własnoręcznie.
- W instrukcji do pracy nie ma mowy o piśmie ręcznym - zauważył Step. - Naturalną kolejną rzeczą Stevie sądził, że wolno mu postąpić ze swoim sprawozdaniem, jak ja postępuję z moimi traktatami. Podszedł do swojego komputera, włączył go, uruchomił WordStara i sam wklepał każdą literkę. Potem wydrukował pracę i przypiął ją do tablicy - wszystko sam.
- I tu się wyłania następny problem - pani Jones pchnęła do boju kolejny argument. - Wszystkie sprawozdania pozostałych dzieci włożono w gustowne plastikowe oprawki, podczas gdy wypracowanie pańskiego syna, przypięte pinezką bezpośrednio do tablicy, nie sprawiało dobrego wrażenia. Wskazywało na brak respektu.
- I znów, w poleceniu nie ma mowy o żadnych okładkach - rzekł Step. - W przeciwnym razie Stevie z pewnością włożyłby pracę do okładki. Lecz wie pani, na studiach wręczałem arkusze papieru spięte w rogu spinaczem. Z tego powodu Stevie sądził, że tak wygląda dojrzały sposób zachowania się w takich okolicznościach. I faktycznie, pani Jones, miał rację, no nie? Proszę mi tylko nie mówić, że prace ocenione piątką i trójką różni jedynie oprawka za 29 centów.
- Oczywiście, że nie - odpowiedziała pani Jones. - To tylko element wszystkich różnic.
- Nie sądzi pani, że obycie z komputerem i prezentacja pracy na poziomie szkoły wyższej przemawia raczej za nim, a nie przeciwko niemu?
- Pozostałe dzieci nie mieszkają w bogatych domach i nie mają komputerów, panie Fletcher. Nie mają rodziców, którzy kończyli studia. Nie zamierzam wywyższać żadnego z dzieci z powodu pieniędzy.
- Ja nie jestem bogaty, pani Jones. Pracą przy komputerach zarabiam na życie. Mam komputer w domu na tej samej zasadzie, co sprzedawca samochodów wraca czasem z pracy nowym autem. - Uważaj, Step. Pozwalasz zwieść się na manowce. - Jedyne, co się liczy, to to, że wypracowanie Stewiego było mniej więcej dziesięć razy dłuższe od innych. Wykonał wszystko samodzielnie, nie pogwałcił w żaden sposób wytycznych zawartych w instrukcji. W takim razie czemu projekt uznany za najlepszy otrzymał u pani trójkę?
- Nie muszę się tłumaczyć ze swoich ocen przed panem ani w ogóle przed nikim! - rozsierdziła się pani Jones.
- Musi pani - rzekł Step łagodnie. - W rzeczywistości pani musi. Albo wytłumaczy się pani przede mną dzisiaj albo odpowie pani przed radą pedagogiczną.
- Czy pan mi grozi? - spytała pani Jones.

Step miał już wyciągnąć dyktafon, żeby postraszyć ją tym urządzeniem. Podejrzewał jednak, że gdy tylko go ujrzy, nie piśnie już ani słowa, a tyle jeszcze chciał od niej usłyszeć.



- No nie. Pani Jones, ani przez głowę nie przeszła mi myśl grozić pani! Jeśli mój syn dostał trzy, to dostał i sprawa załatwiona. Nie każę pani zmieniać oceny. Zwyczajnie proszę panią o pomoc w zrozumieniu jej.

- Ta dyskusja trwa już za długo. Nie powinien pan przebywać sam na sam ze mną w tym pomieszczeniu, panie Fletcher.

- Być może ma pani rację - powiedział Step. - Zaprośmy do rozmowy dr Mariner. Nie wspominałem jej jeszcze o trójce Steviego, lecz jestem święcie przekonany, że na równi ze mną zainteresują ją przyczyny tak niskiej oceny.

Pani Jones przeszła go przenikliwym spojrzeniem, po czym usiadła za biurkiem i zaczęła przetrząsać szufladkę z dokumentami. Wydobyła sprawozdanie Steviego. Nie dało się nie zauważyć dużej, czerwonej trójki na wierzchu.

Poza tym żadnej uwagi.

- Domyślam się, że wszystkie błędy znajdują się na następnej stronie - powiedział Step.

- Co? - zapytała.

- Nie ma żadnych uwag na pierwszej stronie, więc pomyłki muszą znajdować się na drugiej. Chciałbym je zobaczyć.

Wręczyła mu papier.

Przewrócił kartkę. Na drugiej stronie widniał tylko jeden czerwony znaczek.

- Och, to musi być jakiś drobny żart chyba? - powiedział Step.

- Żart?

- Proszę spojrzeć - rzekł stanowczo, pokazując jej papier. - Pani raczy żartować, prawda?

- Nie żartuję, kiedy poprawiam błędy w sprawozdaniach moich uczniów.

- Ale pani Jones. Z pewnością pani wiadomo, że liczba mnoga słowa ośmiornica - „octopus” - brzmi też „octopus”, bez żadnej końcówki, albo „octopuses”.

- Myślę, że nie - odrzekła pani Jones.

- Proszę pomyśleć jeszcze raz, pani Jones.

Musiała poczuć, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Być może „octopuses” to zamienna liczba mnoga, lecz jestem pewna, że preferuje się „octopi”.

- Nie, pani Jones. Po zerknięciu do słownika przekonalaby się pani, że wcale nie preferuje się wariantu „octopi”. W ogóle czegoś takiego nie ma. Słowo to nie istnieje, chyba że w ustach tych, którzy udają wykształconych, a tacy nie są. Dzieje się tak, bo „us” w wyrazie „octopus” nie tworzy po łacinie mianownika liczby pojedynczej, zmieniając się w liczbie mnogiej na „i”. Zamiast tego sylaba „pus” jest słowem greckim, odpowiednikiem „stopy”. Liczbę mnogą tworzy się zatem po grecku. A więc „octopoda”, nie „octopi”. Nigdy „octopi”.

- No dobrze, „octopoda”. Pański syn napisał jednak „octopuses”.

- Wiem - odparł Step. - Gdy zapytał mnie o poprawną nazwę, powiedziałem mu „octopoda”. Ale on wciąż był niepewny, gdyż mój syn sądzi, że wie, kiedy naprawdę wie, dlatego sam zajrzał do słownika. I ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że słowo „octopoda” odnosi się jedynie do większej liczby gatunków ośmiornicy, a nie do większej liczby osobników. Stevie wpisał słowo, które w jego konkretnym przykładzie preferował słownik. O czym i pani by wiedziała, gdyby chciała tylko sprawdzić.

- Jestem tylko człowiekiem, panie Fletcher. Popełniłam błąd.

- Zupełnie jak ja, pani Jones, zupełnie jak ja. Fakt pozostaje jednak faktem, że w miejsce prawidłowej formy wstawiła pani formę nieprawidłową, poza tym nie ma innych błędów w tej pracy, zgadza się?

- Skoro pan tak mówi - powiedziała pani Jones.

- Ciągle więc stoję w miejscu - rzekł Step. - W jaki możliwy sposób zdołam pomóc Steviemu poprawić się następnym razem? Tak naprawdę nie wyszczególniła pani ani jednego błędu w tym sprawozdaniu - no tak, z wyjątkiem nieoprawienia go w plastikową okładkę.

- Nie będzie następnego razu - powiedziała pani Jones. - Pański syn nie wykona już nigdy w życiu kolejnego projektu na zakończenie drugiej klasy. Pańskie obawy są zatem płonne, marnuje pan tylko czas mój i własny. Do widzenia, panie Fletcher!

- Jeszcze tylko jedna kwestia, pani Jones.

- Nie - odparła. - Muszę już wracać do domu.

- Tylko jedno pytanie - Step nalegał łagodnie. Jeśli nauczycielka nie ulegnie, dyktafon bezapelacyjnie wyjrzy z kieszeni spodni. Pani Jones nie wróci wcześniej do domu.

- Niech będzie, o co jeszcze chodzi?

- Kto weźmie tę wstążkę?

Pani Jones spojrzała na wstążkę w ślad za palcem wskazującym Step'a.

- To jest wstążka za pierwsze miejsce, którą otrzymał projekt Stewiego, mam rację?

- Niewykluczone - zgodziła się.

- Więc kto ją zabierze do domu?

- Jeśli to rzeczywiście ta wstążka, którą ma pan na myśli, pod koniec roku szkolnego Stevie zabierze ją do domu.

- Ach tak. - Step pokiwał głową. - Więc jak u licha wytłumaczy się pani przed J. J.?

Twarz nauczycielki wyblakła nagle.

Opowieść Stewiego została potwierdzona co do joty.

- Co pan przez to rozumie? - spytała.

- Jak to, cała klasa sądzi, że J. J. zdobyła nagrodę.

- To niemożliwe - zaproponowała.

- Niemożliwe? Zadzwońmy do rodziców J. J. i sprawdźmy - zaproponował Step.

- Już z pewnością nie zamierzam nękać rodziców moich wychowanków z tak błahych przyczyn.

- W takim razie przejdę bezzwłocznie do gabinetu dr Mariner, skąd razem zadzwonimy to rodziców J. J. - Step był nieugięty. - O ile nie ma pani nic przeciwko?

Pani Jones tylko ostatnim wysiłkiem woli panowała nad sobą, Step dostrzegł to wyraźnie. Wykręcała dłonie i drżała.

- Możliwe, że ktoś odniósł błędne wrażenie. Może ktoś się pomylił i...

Nie, pomyślał Step. Nie wykręcisz się z tego, kotku. Wyznasz mi tu zaraz wszystkie twoje grzeszki.

- Stojąc przed klasą, ogłosiła pani dobitnie, że J. J. zdobyła główną nagrodę, nie było tak? - zapytał.

- Och, proszę przestać i nie stroić sobie żartów - wyjąkała.

- Co będzie, kiedy prawnicy reprezentujący radę pedagogiczną zaczną wypytywać uczniów, skąd wzięli pomysł, że J. J. zdobyła wstążkę? Co odpowiedzą? - Step oczywiście wiedział, że taka rzecz nie wchodzi w rachubę, wierzył jednak w brak pewności siebie pani Jones, która w tym stanie mogła uwierzyć w niejedno.

- Może i powiedziałam coś, co sprawiłoby takie wrażenie - przyznała niepewnie.

- Może czy na pewno?

Spoglądała w stronę okna, splatając i rozplatając palce.

- Sądziłam, że dr Mariner osądziła nazbyt pochopnie, nie zwracając uwagi na większe zalety projektu J. J.

- Ach tak?

- Jeśli pan sobie tego życzy - oznajmiła pani Jones - zmienię ocenę Steviego. I oczywiście sprostuję pomyłkę dotyczącą wstążki.

Wiem, że zrobi to pani, pomyślał Step. By później tym bardziej bez litości wyśmiewać i dręczyć Steviego, każdego dnia aż do końca roku szkolnego.

- Nie - powiedział Step. - Nie chcę, żeby zmieniała pani ocenę Steviego. Wprost przeciwnie, nalegam, by jej pani nie zmieniała. Chcę, żeby została w dzienniku trójka.

Pani Jones spojrzała nań z ukosa.

- Więc o co panu chodzi? Tylko o tę wstążkę? Bardzo dobrze.

- Wstążka? Tak, to by było miłe. Może pani powiedzieć jutro dzieciom, że nastąpiła pomyłka i wstążka przysługuje faktycznie Steviemu.

- Bardzo dobrze, postaram się o to jutro.

- Lecz to nie wszystko - dodał Step.

- Nie sądzę - powiedziała. - Chyba że zmienił pan decyzję co do tego stopnia.

Step wydobył dyktafon z kieszeni, przewinął nieco do tyłu, po czym włączył „play”. Doszły szumy, poza tym jednak dźwięk był wyraźny: „...większe zalety projektu J. J.”, wówczas Step nacisnął „stop”.

Zbladła jak prześcieradło, przez chwilę Step obawiał się, że przedobrzył: niczyjej sprawie nie pomogłoby, gdyby zemdląca.

Ale doszła do siebie. A kiedy przemówiła, jej głos był silniejszy, niżby przypuszczał.

- To jest nielegalne - oświadczyła. - Nie wolno w ten sposób nagrywać rozmów.

- Nie zgadzam się - zaprzeczył. - Tylko wtedy jest to niedopuszczalne, gdy urzędnik państwowy nie ma zezwolenia. Ja nie jestem gliniarzem. Jestem tylko facetem, który chodzi z dyktafonem. Poza tym nie mam zamiaru używać go w sądzie. Zamierzam jedynie odegrać naszą rozmowę przed dr Mariner i każdym członkiem rady pedagogicznej, kończąc pani szkolną karierę.

- Dlaczego pan mi to robi?

- Właściwe pytanie brzmi: dlaczego przez cały ten czas dokuczają pani Steviemu?

- Nic mu nie robię - odparła wyzywająco. - Proszę bardzo, może pan wykorzystać swoją taśmę.

- W porządku - powiedział Step. Włożył urządzenie z powrotem do kieszeni, okrążył ją, minął drzwi i ruszył korytarzem w kierunku gabinetu dr Mariner. Z każdym krokiem tracił pewność siebie. Może naprawdę mogła się z tego wykręcić? Lepiej znała tutejsze układy, może nawet nagranie okaże się bezużyteczne. Możliwe, że złamał przyrzeczenie dane Steviemu, iż nie pogorszy sytuacji.

- Panie Fletcher! - zawołała za nim. Jej głos odbił się echem po pustym korytarzu.

- Tak? - odpowiedział, nie oglądając się za siebie.

- Jest jeszcze jeden szczegół, który zapomniałam panu powiedzieć, dotyczący pracy Steviego.

Odwrócił się i wrócił do klasy.

Kiedy powtórnie znaleźli się sami w pomieszczeniu, wyglądała na zmęczoną, pokonaną.

- Nie miałam nic złego na myśli. Czy ta rzecz jest wyłączona?

Wyciągnął dyktafon, usunął kasetę i włożył ją do osobnej kieszeni.

- Nie miałam nic złego na myśli. Po prostu... tak ciężko być nauczycielem, przyjmując bez przerwy wizyty rodziców. Tak więc, kiedy dr Mariner zadzwoniła do mnie tamtej nocy - do domu - ponieważ Stevie był zdenerwowany i wy byliście zdenerwowani, gdy tymczasem cała moja wina polegała na głupim żarciku - to znaczy, wszystko, co powiedziałam, kazał mi w kółko powtarzać, a to przeszkadzało w lekcji. Tak więc zażartowałam...

- Nazywając go idiotą.

- Zażartowałam - zaakcentowała to słowo - a on natychmiast poskarżył się rodzicom, a wy dr Mariner, i ja miałam już dość tego. Kiedy wrócił drugiego dnia do szkoły, wpadłam w taki gniew, gdy tylko go ujrzałam, że powiedziałam takie rzeczy, których nigdy nie powinnam mówić i jest mi z tego powodu przykro.

- Lecz nie zamierzała pani poprzestać na tym - zauważył Step.

Zaczęła płakać.

- Zgadza się - przyznała. - Czułam się przez to niedobrze, lecz nie mogłam jakoś przestać, po prostu... jakoś nie mogłam. A potem przestał podnosić rękę i... myślałam, że to już koniec.

- Jeśli sądziła pani, że to koniec, czemu nie dostał błękitnej wstążki? - spytał Step. - Czemu nie dostał szóstki za swój projekt?

- Nie wiem - odrzekła. Jej głos brzmiał tak cienko, jakby wydobywał się z krtani małej dziewczynki.

Sprawiał, że Step czuł się jak bestia, tyran przybyły po to, by dręczyć tę kobietę, póki nie zapłacze.

I wtedy przypomniał sobie, jak Stevie płakał. Jak ta kobieta jego dręczyła, a chociaż mówiła teraz, jak podle się czuła, kiedy nie mogła przestać, nie ulegało wątpliwości, że przestać mogła w każdej chwili. Kłamała nawet na temat czegoś tak krańcowo głupiego, jak wstążka przyznana przez dyrektorkę. Z pewnością musiała zakładać, że taka rzecz nie może ujść płazem, gdyż na pewno czasem racjonalnie myślała. Że jest zbyt oczywista, zbyt jawna, by nie wyciągnęło się z niej konsekwencji.

Nagle olśniło Stepą, że może chciała być złapana. Może nienawidziła uczenia. Może dzieci. Nie chce już dłużej uczyć, z drugiej strony nie potrafi rzucić tej pracy, bo to jej źródło utrzymania. Zatem zebrała całą swą nienawiść i skierowała ją na mojego syna. Czyniła tak wielokrotnie, a on przyjmował ciosy. Żadnego oddźwięku, więc posuwała się dalej i dalej, a Stevie wciąż pozostawał niewzruszony, przyjmował wszystkie ciosy. Ostatecznie jednak posunęła się tak daleko, że osiągnęła upragniony cel. Stevie załamał się, wypłakał swe żale przed ojcem. W końcu przyszedłem, by dać jej to, na co tak długo czekała.

- Został jeszcze miesiąc szkoły - rzekł Step. - Od tej pory, kiedy Stevie podniesie rękę, chcę, żeby go pani wywoływała. Nie zawsze, tak często jak i inne dzieci. Czy pani mnie rozumie? Chcę, by traktowano go normalnie. Jeżeli udzieli poprawnej odpowiedzi, proszę nie dorzucać przy tej okazji jakiegokolwiek uszczypliwej uwagi, jeśli odpowie niewłaściwie, proszę skorygować go łagodnie. Czy pani rozumie?

Skinęła głową, przykładając chusteczkę do oczu.

- Jeśli jakiś dzieciak zacznie z nim rozmawiać, pozwoli pani, żeby przyjaźń się rozwijała. Nie zrobi pani niczego, żeby ten proces zakłócić. Nie znaczy to wcale, żeby żądała pani od dzieciaków przyjaźnienia się z nim, gdyż w takim wypadku znienawidziłyby chłopaka tym bardziej. Chcę, by traktowała pani mojego syna sprawiedliwie i normalnie. Czy może pani?

Powtórnie przytaknęła.

- Tak, myślę, że pani może - podjął Step. - Chodzi o to, czy pani zechce. Proszę tylko nie zapominać. Jeśli poczuje pani żądzę powiedzenia czegoś złośliwego bądź okrutnego pod adresem Stewiego, albo z tego powodu pod czymkolwiek adresem, proszę nie zapominać, że ta taśma istnieje. Łącznie z pewną liczbą kopii, jakie zechce mi się sporządzić. Do końca życia proszę wystrzegać się podobnego zachowania; jeśli jeszcze jakieś dziecko przejdzie podobną gehennę, taśma ta ujrzy światło dzienne. Będę czuwał.

- W takim razie nie jest pan chrześcijaninem! Chrześcijanie wierzą w miłosierdzie!

- Jestem chrześcijaninem wierzącym najpierw w skrucę, a potem w miłosierdzie. Jeśli zaprzestanie pani pastwić się nad dziećmi, nie będzie się czego obawiać. Taśma pozostanie w ukryciu. Wszystko, czego od pani wymagam, to powściągnięcia wodzy nienawiści. Jeśli to dla pani za trudne, nie powinna pani uczyć.

- To całe moje życie!

- O nie, droga pani - powiedział Step. - Kobieta z tej taśmy nie jest nauczycielką, pani Jones. To nazistka.

Ukryła twarz w dłoniach. Step przypomniał sobie łkającego Steviego zeszłej nocy. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu zapragnął kogoś skrzywdzić, rozszarpać tę kobietę. Ten głód przemocy przeraził go. Odczuwał go najsilniej teraz, kiedy bezbronna szlochała. Z dreszczem grozy odkrywał w sobie zdolność do odczuwania tak głębokiego pragnienia, by pognębić uległego wroga.

Odwrócił się i uciekł od mężczyzny, którego spotkał w tym pomieszczeniu.

Po minucie wściekłość minęła, wyparła ją satysfakcja. Spełnił obietnicę daną Steviemu. Gdy maszerował korytarzem w kierunku głównego wyjścia, przyszło mu na myśl, że stoczył bój ze złem i odniósł zwycięstwo. Mityczny wątek połowy programów telewizyjnych i powieści, jak też i sporej części historii. Oczywiście, zbytnia prostota i przejrzystość wykluczała zaadaptowanie tej scenki do filmu. Powinna była mieć pistolet w torebce, który pan Jones kupił jej do obrony przed napaścią. Powinna teraz wyciągnąć pistolet z torebki, ruszyć za nim korytarzem i zastrzelić, by odebrać taśmę przed sporządzeniem kopii.

A jeśli naprawdę miała pistolet? Jeśli szykowała się, by go dopaść?

Myśl była absurdalna, dziecinna, a mimo to przyśpieszył kroku. Nie zastrzelił mnie tu na korytarzu, pomyślał, gdyż w budynku przebywają jeszcze niektórzy nauczyciele, jest też personel pomocniczy - wszystko świadkowie. Nie, zrobi to na parkingu, za rogiem, gdzie nikt niczego nie zobaczy, a ona odjedzie w spokoju. Zwiększył tempo, niemal biegiem wypadając za drzwi i okrążając narożnik, by dostać się do samochodu. Palce zbuntowały się i upuścił kluczyki. Podniósł je, rozejrzał się dookoła i... no pewnie, oto była, wychodziła właśnie z budynku. W końcu udało mu się otworzyć drzwi auta, spojrzał powtórnie w jej stronę i zrozumiał, że kieruje się gdzie indziej, że go nawet nie widzi, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Wsiadła do samochodu, smutnie wyglądającego malutkiego pinto, po czym opuściła parking.

Pinto. Jeździ pinto. Jest nauczycielką, na miłość boską, dostającą żałosne wynagrodzenie, nie cieszącą się żadnym szacunkiem, znoszącą przez te wszystkie lata fanaberie rozwydrzonej dzieciarni, kulącą się pod kanonadą okrzyków głupich, rozzłoszczonych rodziców, wysuwających bezpodstawne pretensje, podczas gdy ona stara się jak może. I oto proszę, nadciągnął, skrajnie wściekły rodzic, z piekła rodem, przynosząc jej zgubę, gdy tymczasem ona chciała jedynie uczyć. Kim jestem, pomyślał, że wynoszę się niczym gniewny Bóg, wybierając osoby do przykładowego ukarania, decydując, kto zasługuje na karierę, a kto nie?

Wtedy pomyślał o płaczącym Steviem i uświadomił sobie, że niektóre rzeczy, niektórzy ludzie, muszą po prostu zostać powstrzymani. Nie oznacza to wcale, że powstrzymać ich musi bohater, człowiek wielki i szlachetny. Żaden ze mnie bohater. Ale być może mnie się udało. Może dzięki temu nie wyrządzi jakiemuś dzieciakowi o wiele większej krzywdy, nie popchnie go do samobójstwa. A kto mówi, że nie było tak wcześniej? Może w każdej klasie znajdowała sobie kozła ofiarnego, którego gnębiła obelżywą złośliwością, tylko że teraz przez przypadek jej wybór padł na niewłaściwe

dziecko. Tym razem wybrała dzieciaka, który położy kres jej niecnym uczynkom.

Nie powinienem odczuwać z tego powodu dumy, pomyślał Step. Lecz i o wstydzie nie może być mowy. Powinienem jedynie być zadowolony, że już po wszystkim. Jeśli rzeczywiście jest już po wszystkim.

Odjechała.

Wsiadł do samochodu, włączył stacyjkę, potem ruszył do domu.

Z radia sączyła się piosenka z repertuaru Hali and Oats, która była w styczniu wielkim przebojem, kiedy to Step przyjechał do Steuben na rozmowę kwalifikacyjną. „Ludożerca”. Właśnie przed nim uratowałem Steviego, przed ludożercą. Panią Szczęki. Robiącą wszystko, by połknąć dziecko i wypluć kości. Dlaczego więc nie czuję się lepiej?

Ponieważ nie jest mi lepiej. Przed chwilą to ja połknąłem ją i wyplułem kości i nie podoba mi się wcale to uczucie. Nie lubię być okrutny. Nie mam do tego smykałki.

Choć z drugiej strony może i mam, ponieważ właśnie to zrobiłem. Może to dobrze, a może i nie.

Kiedy zjechał przed dom, zauważył, że trawnik jest jakiś inny. Wyłączył silnik i radio, co pozwoliło mu usłyszeć wycie kosiarki. DeAnne strzygła trawnik.

Lecz to nie była DeAnne. Kiedy wyszedł z auta i przeszedł za dom, spotkał tam starszego człowieka koszącego trawę. Jeden z sąsiadów?

Nieoczekiwanie DeAnne pojawiła się koło niego i objęła go w pasie.

- Jak poszło? - była ciekawa.

- Kto to? - odbił pytanie.

- Ach, to Bappy. No wiesz, opowiadałam ci o nim, ojciec właściciela domu. Zadzwońłam do niego, pytając, czy nie zna jakichś okolicznych chłopaków, którzy strzygą trawniki. Powiedział, że sam się tym chętnie zajmie.

- Sam potrafię przystrzyc własny trawnik - oznajmił Step. - Nie stać nas na opłacanie dorosłego człowieka.

- Kiedy masz zamiar go przystrzyc, Step? - spytała. - Nigdy nie masz czasu. A jeśli nawet miałbyś, ja i dzieciaki wolelibyśmy, byś raczej spędzał go z nami, a nie na koszeniu głupiego trawnika. Poza tym robi to za darmo. Mówi, że mieszkając w kamienicy, nie znajduje wymówek, by wyjść na zewnątrz i rozprostować kości.

Popatrzył na Bappy'ego. Ten pomachał. DeAnne również mu pomachała, za jej przykładem podążył Step, ale bez przekonania.



- Może wejdźmy do środka, opowiesz mi, jak poszło.

Kiedy spacerowali w stronę domu, powiedział:

- Zgodziła się na wszystko, co jej nakazałem. Dręczenie syna to przeszłość. Ostatni miesiąc w szkole powinien być lepszy.

- Ale czy na pewno spełni obietnicę? - spytała DeAnne.

- O, tak - powiedział Step. - Sądzę, że spełni.

- Powiedz zatem, o czym rozmawialiście? Czy było aż tak, jak opowiadał Stevie?

- Każde słowo Stewiego było prawdziwe - przytaknął Step.

- Jak mogła? Jak ktokolwiek mógł?

- Coś ci powiem - rzekł Step z uśmiechem. - Zapewniam cię, że dziś wieczór usłyszysz dokładnie każde słowo. Jota w jotę.

- Jak to, zapamiętałeś wszystko?

Wyciągnął z kieszeni dyktafon i kasetę. Spoglądała to na niego, to na dyktafon, po czym zaśmiała się głośno, ale zaraz zmarszczyła czoło i zapytała:

- Ale mam nadzieję, że miałaś kasetę w dyktafonie!

- Usłyszysz wszystko, Rybia Damo - obiecał Step. - Tym razem Gałganiarz nie pokpił sprawy.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, chociaż trochę jej w tym przeszkadzał duży, wystający brzuch, i pocałowała go.

- Chodźmy szybko do środka - ponagliła. - Stevie tak się martwi, musisz mu powiedzieć, że wszystko poszło pomyślnie. Świetnie, że masz popołudnie wolne od pracy.

- Co ja wyprawiam? - połapał się nagle Step. - Nie do wiary, że przyjechałem prosto do domu. Przecież to wszystko dzieje się w czasie mojej godziny na lunch. Muszę wracać.

- O, nie! - zaprotestowała. - Jest już czwarta, została ci i tak godzina.

- No tak, ale miałem dziś spotkanie z Dickym, dotyczące mojego wyjścia. Muszę przynajmniej się pokazać, ale wiesz co, wrócę do domu najwcześniej, jak będę mógł, zgoda? Powiedz Stewiemu, że poszło mi świetnie, dodaj, że nauczycielka przestanie się nad nim znęcać - a jeśli jutro najmniejszym gestem zdradzi, że wciąż chce mu dokuczać, spowoduję, że wyleci ze szkoły.

DeAnne zaśmiała się.

- Założę się, że to prawda.

- I dzięki za skoszenie trawnika - powiedział.

- Przekażę podziękowania Bappy'emu.

Nie mógł jednak tak odejść.

- Hej, Rybia Damo. Sam mu to powiem.

- Oczywiście, pajacu - zgodziła się DeAnne. - Znajdziesz go w pokoju grającego na komputerze.

Step przeszedł z kuchni do głównego pokoju. Stevie siedział przy Atari, grając w jakąś grę ze statkiem korsarskim i rozmawiając z niewidzialną postacią.

- Dalej, Scotty! - powtarzał.

- Stevie - powitał go Step. - Muszę wracać do pracy, chcę jednak, żebyś wiedział.

Stevie zresetował komputer, ekran zakrył się czernią, a potem błękitem.

- Nie musiałeś go wyłączać - rzekł Step. - Miałem ci tylko powiedzieć, że sprawa pani Jones została załatwiona pomyślnie. Ciężkie dni minęły, zapewniam cię.

Stevie kiwnął głową - ponuro. No tak, to jasne, pomyślał Step. Nawet jeśli mam rację, to poskromienie nauczycielki nie pociąga za sobą automatycznie lawinowego przyrostu liczby przyjaciół w szkole. Lecz może przynajmniej niektórzy zechcą z nim porozmawiać.

Step ponownie ucałował DeAnne, wrócił do samochodu i pojechał do pracy. Kiedy przybył na miejsce, na swoim biurku ujrzał trzy wiadomości. Wszystkie trzy pochodziły od Raya Keene'a. Wszystkie mówiły to samo: Ray dzwonił. Chce wiedzieć, gdzie jesteś.

Dicky był na tyle podły, nikczemny i złośliwy, że po miesiącach usilnych starań, by Step nie miał okazji porozmawiać z Rayem Keene'em osobiście, doprowadził - wiedząc o nieobecności Stepa w środku dnia - by Ray Keene spróbował się z nim bezpośrednio skontaktować.

Step niezwłocznie podniósł słuchawkę i wystukał numer do gabinetu Raya Keene'a. Zgodnie z przypuszczeniami odpowiedziała sekretarka.

- Cześć - rzucił. - Odpowiadam na telefon Raya.

- Och, tak mi przykro. Ray jest teraz na zebraniu - oznajmiła sekretarka.

- Co za życie! - odparł Step. - Założę się, że spotkanie jest z Dickim, prawda?

- Dicky jest jednym z facetów, którzy tam są - odpowiedziała.

- Czy to nie idiotyzm? - zapytał. - Ray próbował się ze mną skontaktować, choć Dicky cały czas był przy nim i wiedział, że wziąłem dziś późniejszy lunch, by spotkać się z nauczycielką mojego syna. To chyba normalne, że powinien powiedzieć o tym Rayowi, żeby ten nie marnował czasu, wydzwanając do mnie.

- Och, Dicky prawdopodobnie najzwyczajniej zapomniał - stwierdziła sekretarka.

- Jestem przekonany, że masz rację. Czy możesz przekazać Rayowi moje przeprosiny, że musiał wydzwaniać w czasie mojej nieobecności? A Dicky'emu daj kuksańca w zębra za to, że zapomniał poinformować Raya o moim wyjściu!

- Nie ma sprawy - odparła sekretarka. - Czyż nie tak toczy się życie?

- Nie powinno - odpowiedział Step, odkładając słuchawkę. Może scena rozegra się zgodnie z zamiarem reżysera, a może nie, pomyślał Step, lecz przynajmniej Dicky ma szansę przeżyć chwilę wstydu, jeśli sekretarka choć w połowie wiernie przekaże mu wiadomość, a Ray Keene przypadkowo znajdzie się w pobliżu.

Jako że nie było Stepa w pracy przez większą część popołudnia, nie zaangażował się bardziej w żaden z projektów, dzięki czemu mógł wyjść o piątej trzydzieści. Kiedy zmierzając do drzwi, przechodził obok dziupli, Glass spostrzegł go i zawołał:

- Hej, Step!

- Co u ciebie, Glass? - odpowiedział. Zajrzał do pomieszczenia. Było tam kilku programistów, lecz wszyscy się obijali, co poznał po ekranach świecących grami, których Eight Bits Inc. nie wyprodukowało. Bywało tak od czasu do czasu, że zostawali po pracy, żeby pobawić się grami innych firm. Nazywało się to potocznie „wywiadem przemysłowym”, lecz prawda była taka, że kochali gry komputerowe, a tu pod ręką cała maszyna leżała gotowa do pracy, sterty oprogramowania. Większość z pracowników tak czy inaczej nie miała rodzin, żyjąc co najwyżej z rodzicami, dlatego mogli zostać dłużej i pograć.

- Bierzesz kurs na dom? - spytał Glass.

- Szkoda, że nie mam czasu, by pograć - odparł Step. - Tak, wracam do domu.

- Ray cię szukał.

- Zdążyłem się dowiedzieć. Byłem wtedy na lunchu.

- Wyglądało to na coś ważnego.

- No nie wiem, zaraz po powrocie oddzwoniłem do niego i Ray już wie, że wróciłem, nie odzywa się jednak, dlatego w moim przekonaniu nie powinno to być aż tak ważne.

Glass przewrócił oczami.

- Czy wiesz, co oznacza zwrot „Siedzieć w gównie po uszy?”

- Glass - powiedział Step. - Dicky wiedział, co się ze mną dzieje. Dicky’emu nie podobało się, że opuściłem firmę, lecz miałem godzinny lunch, nie urwałem nic z godzin pracy. Jeśli więc w tym wszechświecie nie zginął jeszcze zdrowy rozsądek, nie siedzę w gównie po uszy.

- Wcale nie powiedziałem, że siedzisz - odparł Glass, śmiejąc się od ucha do ucha. - Po prostu pytałem, czy wiesz, co to znaczy.

Step udał, że wymierza mu policzek.

- Powinienem był...

- Powinieneś był co...?

- Nieważne, jesteś jeszcze za młody. Prawdę mówiąc, ja też jestem za młody. Sam tego nie kapuję. No to do jutra. Do zobaczenia jutro, ludziska. Do zobaczenia jutro, Glass.

Step pośpieszył do samochodu. Po drodze uderzyła go myśl, że znana mu była praktycznie każda gra dostępna na rynku Atari, nie pamiętał jednak, by w którejś pojawiał się statek piratów podobny do tego, którym ekscytował się Stevie przy komputerze w domu. Musi sprawdzić, co to za gra. Prawdopodobnie jedna z tych, które przyniósł z pracy do późniejszego przejrzenia. Dzięki pracy w firmie software’owej mógł przynosić dowolne gry do domu, pod warunkiem że je odniesie. Stevie musiał dobrać się do jednej z tych, których Step nie miał jeszcze okazji uruchomić.

Nim przyjechał do domu, jego myśli zaprzątnęło coś innego; kiedy nareszcie usiadł przed monitorem, pamiętał jedynie, że ma coś pilnego zrobić, nie bardzo jednak wiedział co. To nic, jeszcze sobie przypomni.

Zjadł obiad z rodziną, po którym zdołał namówić Steviego, by pograł z nim na komputerze. Chłopak nie miał wesołej miny, ale przynajmniej grał. Kiedy się przekona, że w szkole nie jest już tak źle, może poprawi mu się humor i w domu.

Step zamierzał pomóc DeAnne w kąpaniu i układaniu dzieci do łóżek, kiedy zabrzączał telefon. Dzwoniącym okazał się Sam Freebody, przewodniczący zgromadzenia starszych. Freebody był wysokim mężczyzną, napęczniałym od tłuszczu, zawsze sprawiał wrażenie, jakby prawieniem na okrągło banałów chciał dowieść jowialności grubasów. I tym razem musiał pomruczeć nieco o błahych sprawach, nim przeszedł do sedna. Stało się to, czego spodziewał się Step już od dawna i czego się bał.

- Chciałbym ci powierzyć misję domowego nauczyciela - obwieścił brat Freebody.

- Słuchaj - bronił się Step - jeśli odłożysz to na później, wiesz, że będę wdzięczny.

- Naprawdę, potrzeba nam rąk do pracy w zgromadzeniu - powiedział Freebody. - Każdy musi odsłużyć swoje, inaczej tryby napędzające Kościół staną ze zgrzytem.

Step przypomniał sobie, jak sam wielokrotnie wygłaszał te słowa, będąc przewodniczącym zgromadzenia starszych w Vigor.

- Bracie Freebody - powiedział. - Wiem, co masz na myśli, wierzę w nauczanie domowe i w ogóle jestem doskonałym nauczycielem, lecz obecnie na ogół spędzam dwanaście godzin dziennie w pracy, przez co nie mam ani chwili dla rodziny. Uważam, że wyrządziłbym krzywdę im i sobie, gdybym miał jeszcze spędzać nieliczne wolne dni poza domem...

- Teraz jesteś w domu - zauważył Freebody.

Step miał ochotę krzyknąć do słuchawki: „To nie twój interes!” Wiedział jednak, że Freebody wypełnia tylko swoje zadanie, i to solidnie.

- No dobra - zgodził się Step z ociąganiem. - Zrobię, co w mojej mocy. Po prostu ostrzegam cię, że nie zdołam dotrzeć do każdego co miesiąc.

- W tej chwili poprawisz średnią w zgromadzeniu, jeśli odwiedzisz kogokolwiek w którymkolwiek miesiącu.

Step uśmiechnął się i zanotował adresy rodzin, które należało odwiedzić, przy każdym adresie zamieszczając krótką notkę z opisem. Freebody był świetnym przewodniczącym zgromadzenia starszych, uświadomił sobie Step - dokładnie wiedział, kim byli ci wszyscy ludzie, nie znał ich tylko z wykazów w kartotekach. Zdobywanie ludzi do nauczania w domu nie należało całkiem do obowiązków Sama Freebody'ego, było po prostu zajęciem, do którego podchodził z miłością i pełnym zrozumieniem. Step zdecydował się wygospodarować jakoś czas na nauczanie, by pomóc Freebody'emu. Prócz tego rozumiał cele tego programu, naprawdę w niego wierzył, no chyba że myślał akurat o czymś innym, co zdarzało się niemal zawsze.

- Twoim towarzyszem będzie młody, ambitny członek zgromadzenia starszych, Lee Weeks. Jest świeżo nawrócony, ma dopiero dziewiętnaście lat, mam nadzieję zlecić mu misję już za jakiś rok. Proszę więc świecić dobrym przykładem!

- To znaczy, na przykład, żebym go nie zabierał potem na piwo? - zapytał, na co Freebody parsknął rubasznym śmiechem.

- Zwyczajnie pokaż mu, jak wygląda normalny członek Kościoła. Ma w sobie mnóstwo werwy, lecz pewna jej część skierowana jest ku dziwacznym ideom.

- Dziwacznym ideom?

- Jak by to określić, bracie Fletcher? Powiedzmy, że zetknął się na początku z bratem i siostrą LeSueur, wszystkie lekcje otrzymał u nich w domu.

- Nie jestem pewny, czy wiem, co to znaczy - zastrzegł się Step. Oczywiście, doskonale wiedział, co Freebody ma na myśli - dzieciak spotkał się z najdziwniejszą, najbardziej osobliwą wersją ewangelii, o jakiej można pomyśleć. Lecz Step oswajał się już z atmosferą panującą w pierwszej

gminie Steuben: wiadomo, że pewni ludzie stwarzają problemy, lecz obchodzi się ich z daleka, próbując powstrzymać złośliwe uwagi cisnące się na usta. Kiedy mieszkał w zachodnich stanach, nauczył się postępować z ludźmi bez ogródek. Ale jeśli ten wyczerpujący wysiłek, by nie zranić czyichkolwiek uczuć lub nie wywołać konfliktu, był stylem południowców, Step nauczył się zachowywać jak południowiec.

A zatem Step nie był zaskoczony, kiedy jedyne wyjaśnienie Freebody'ego brzmiało:

- Zobacysz, poza tym to dobry dzieciak.

Step zapisał nazwisko i numer telefonu Lee Weeksa.

- Mieszka w domu czy może słuchawkę odbierze współlokator, kiedy zadzwonię? - spytał.

- Mieszka w domu. Jego matka jest psychiatrą. Po rozwodzie, dlatego nie poznałem jej męża. Pogodziła się z faktem, że Lee przyłączył się do Kościoła, tak że nie powinno być problemów z jej wrogim nastawieniem.

- To znaczy, że przekaże w razie czego wiadomość?

- Masz ci go! Jeszcze go wypchnie za drzwi, by siedł z tobą nauczać. Nawet odwozi go do kościoła w niedzielę.

- Weeks nie ma prawa jazdy?

- Chyba nie, a może roztrzaskał o jeden samochód za dużo? Tak czy inaczej podwozi go.

Na tym się skończyło. Step, pożegnawszy się, odłożył słuchawkę i z westchnieniem zasiadł przy kuchennym stole.

- Nauczanie w domu, nie? - spytała DeAnne. Pakowała talerze do zmywarki.

Wstał i zaczął pomagać.

- Nie trzeba, Step, już prawie skończyłam, a ty jesteś bohaterem dnia. Chciałabym przesłuchać taśmę.

- Dzieci wykąpane?

- Jestem teraz w tym naprawdę szybka - pochwaliła się DeAnne. - Chlust, plusk i wrzucam je pod pościel. A Stevie sam się kąpie. Pobiłam dziś rekord. Jestem cudowna.

- Jesteś i wiesz o tym - potwierdził.

- Pozwól mi posłuchać tej taśmy. - Uśmiechnęła się.

Zasiedli wkrótce w pokoju gościnnym i słuchali nagrania, które Step jednocześnie przegrywał z dyktafonu na tani, niewielki magnetofon Panasonic. Urządzenie to miało swego czasu podbić rynek,

ale nigdy nic z tego nie wyszło. Jakość nagrania nie była całkiem dobra, lecz wystarczyła, by wszystko wyraźnie zrozumieć, i nawet kopia okazała się niezła.

- Och, Step - odezwała się DeAnne, kiedy taśma dobiegła końca. - Jesteś szczwany.

Zamierzała powiedzieć mu komplement, lecz w mniemaniu Stepa miało to wydźwięk pejoratywny. Nie podobała mu się myśl, że jest osobą szczwaną.

- Szkoda, że nie słyszałaś, co było dalej. Przestałem być szczwany, zamieniłem się w brutala. - Po tych słowach streścił jej pokrótce swoje wyczyny, gdy skończył już nagrywać. Jak pani Jones wyzwała go od szantażystów, co nie rozmijało się tak całkiem z prawdą. W pewnym sensie.

DeAnne uderzyła go żartobliwie w ramię.

- Niniejszym wymierzam ci karę. Sprawa zamknięta.

- Myślałem, że poczuję się po tym wszystkim znacznie lepiej.

- Przestań, czy nie czuleś się choć odrobinę lepiej, kiedy wyciągnąłeś dyktafon, by zapoznać ją z nagraniem?

- Nie przeczę. Ale później...

- Później wyobraziłeś sobie, że jesteś łotrem tego samego pokroju - wtrąciła DeAnne - ale to nieprawda. Ratowałeś przecież swego synka.

- No tak - przyznał. - Kiedy o tym pomyślę, zaraz mi lepiej. Ale nie zawsze o tym myślę.

- W takim razie będę ci przypominać - zaofiarowała się DeAnne. - Codziennie i do znudzenia. - Ku jego zdziwieniu obdarzyła go długim, czułym i namiętym pocałunkiem. Poznał, że ma dzisiejszej nocy ochotę na miłość.

- Może powinienem częściej znęcać się nad bezbronnymi nauczycielkami - powiedział, kiedy wreszcie mógł otworzyć usta.

- Zamknij się, Gałganiarzu - ucięła krótko, by pocałować go znowu.

Step! Step! Śnił, że DeAnne jest bardzo zaniepokojona i że woła go, nie za głośno, aby nie zbudzić dzieciaków, lecz w jej głosie dźwięczała trwoga. Wówczas otworzył oczy, spojrzął na tarczę budzika i w tym samym momencie usłyszał, że znowu go woła. Połapał się, że wcale nie śpi, jest trzecia nad ranem i coś jest nie tak, DeAnne prosi o pomoc. Potrzebuje go.

Odrzuciwszy kołdrę na bok, zdał sobie sprawę z własnej nagości; musiał usnąć, kiedy tylko skończyli się kochać. Mam nadzieję, że przed zaśnięciem spisałem się jak należy, pomyślał. Szybko przypomniał sobie, że tak. DeAnne nie zasnęła tym razem nie zaspokojona, jak zdarzało się to wiele nocy wcześniej.

Zganił się za nieprzyzwoitą myśl i poszedł do szafy, by narzucić na siebie płaszcz kąpielowy. Jedyne światło w pomieszczeniu sączyło się z łazienki dzieciaków, znajdującej się kawałek dalej za rogiem, skutkiem czego niewiele widział; znalazł jednak szlafrok i zarzucił go na ramiona. Wezwała go powtórnie.

- Już idę. - Starał się, by słowa zabrzmiały dostatecznie głośno i cicho zarazem.

- Włóż najpierw pantofle - poprosiła.

- Nie potrzebuję ich - odparł.

- Właśnie, że potrzebujesz! - wycedziła, jej głos przerodził się pod koniec w krzyk. Nałożył dla świętego spokoju pantofle i podszedł do drzwi, by wyrzucić na korytarz. Kiedy już miał odwrócić się w kierunku światła poczuł, że następuje na coś, a to coś odbija mu się od nogi. Włączył światło i z przerażeniem spostrzegł, że na podłodze roi się od świerszczy. Dziesiątki, setki świerszczy.

- Niech to szlag trafi! - wyjęczał. - To znaczy wielkie nieba!

- Skąd one wyłazą, Step?

- Co za trafne pytanie - odpowiedział. Zgiął się i strzepał kilka z nóg. Nie można było zrobić kroku, by nie rozgnieść któregoś, podczas gdy inne nań skakały i czepiały się ciała.

DeAnne stała, trzymając kurczowo w garści preparat owadobójczy w puszcze.

- Chyba nie powinnam wdychać tych oparów, skoro jestem w ciąży - powiedziała.

- Nie starczy preparatu, żeby je wszystkie zabić - zauważył. - Prędzej podusimy własne dzieci, nim świerszcze dostaną za swoje.

- Co mamy w takim razie zrobić, zmieść je i zapakować do worków na śmiecie?

- To lepsze niż wydeptanie tego paskudztwa - odparł. - Gdzie podziewają się mewy, kiedy są naprawdę potrzebne?

- Skoczę po plastikowe worki - powiedziała, ruszając w stronę kuchni.

Kiedy znikła, próbował odnaleźć miejsce, którym się dostawały do środka. Najgorzej było na korytarzu, w pokoju Betsy znalazł tylko kilka owadów, tak samo w łazience. Lecz zapaliwszy światło w pokoju chłopców, przekonał się, że tam było jeszcze gorzej. Świerszcze pokryły tak gęsto podłogę, że miejscami nie widział dywanu. Skaczące po nim owady doprowadzały go do obłędu, poruszał się niezmiernie wolno, zmuszony do ciągłego strzepywania oddziałów świerszczy z ubrania, ale w końcu zdał sobie sprawę z bezcelowości swoich działań, choć łaskoczące odnoża napawały go obrzydzeniem. Nie mógł ich strząsać, ponieważ stał w pokoju dzieci, musiał się ich wszystkich pozbyć, co oznaczało, że przez jakiś czas będzie cierpiał.

Wychodziły z małej szparki przy szafce chłopców. Obserwował, jak wypełzają, najpierw antenki,



potem czarne, mechaniczne ciała i nogi przypominające tłoki. Świerszcze roboty, to właściwe określenie, pomyślał. Ktoś je wyprodukował.

Wtem pomyślał: sam je wyprodukowałem. Świerszcze z piekielnych otchłani. Plaga świerszczy. Znak od Boga, który widział, jak brutalnie obszedłem się dzisiaj z tą kobietą, który wie, że skrycie czerpałem z tego rozkosz, upojony potęgą. Zupełnie jak faraon. Zesłał więc na mnie plagę.

DeAnne wpadła do pokoju, niosąc parę plastikowych worków, prócz tego miotłę i śmietniczkę.

- Musisz przytrzymać śmietniczkę, kiedy będę je zmiatać - powiedziała. - Nie mogę się bardzo schylać.

- Zapomnij o śmietniczce. - Step machnął ręką. - Będą z niej wyskakiwać. Potrzymam lepiej otwarty worek. Lecz najpierw musimy powstrzymać ich napływ.

- Znalazłeś miejsce?

- Szczelina między podłogą a ścianą tam przy szafce. Czy mamy jakieś szmaty?

- Wszystkie stare skarpetki - odpowiedziała.

- Zmocz je i wepchniemy je do dziury.

- Zmoczyć? Dlaczego?

- Och, przestań, DeAnne. Nie wiem, po prostu zrób tak. - Sam nie był przekonany dlaczego. Miał niejasne przeczucie, że kiedy skarpetki będą mokre, wepchnie się je dalej, nie wypadną tak prędko i świerszcze tak łatwo się nie przedostaną.

Trzeba było zużyć wszystkie skarpetki, które DeAnne przechowywała na szmatki do kurzu, lecz kiedy już powpychał je w szparę, żaden świerszcz nie wychylił czułków.

Wówczas nadeszła pora na tę ciężką część pracy. Świerszcze nie przejawiały chęci przebywania w jednym miejscu, więc praca zdawała się syzyfowa. Step trzymał dno worka płasko na podłodze, przydeptując rogi, a otwór rozszerzył maksymalnie. DeAnne w tym czasie starała się wmieść je do wewnątrz. Ani przez chwilę mali rozbójnicy nie przestawali skakać mu po głowie, rękach i nogach. Mimo to nie mógł ich strzepnąć, pozostało mu jedynie potrząsanie głową. Najodważniejsze ze świerszczy zdawały się cieszyć nową zabawą, nie przerywały harców, dopóki Step nie kazał DeAnne przegonić ich miotłą.

Stopniowo dał się zauważyć postęp, szczególnie kiedy Step połapał się, że psikając raidem od czasu do czasu na sam worek, można przekonać złapane już osobniki, by nie wyskakiwały na zewnątrz. Nim upłynęła godzina, z pola widzenia znikła horda świerszczy. Umieszczone w starannie zawiązanych workach, przeniesione zostały do garażu. Wówczas rozpoczęło się polowanie na zbłąkane owieczki.

Wynieśli dzieci z łóżek, pojedynczo, po czym ostrożnie, by żadnego nie zbudzić, ułożyli je w swoim pokoju, gdzie nie pozostał ani jeden świerszcz. Na końcu zamknęli za sobą drzwi. Ponieważ dzieci

przespały najazd owadów, była spora szansa na to, że nie zobaczą ani jednego świerszcza, dzięki czemu nie będą śniły koszmarów z owadami w roli głównej.

Mam nadzieję, że tak to się właśnie skończy, pomyślał Step.

Złapali trzy świerszcze, które wdrapały się na posłanie Robbiego, DeAnne zabrała się do ściągania i zmiany pościeli - nawet z łóżka na piętrze, gdzie spał Stevie, a żaden świerszcz nie miał szansy się tam dostać. Wreszcie było po wszystkim. Wszystkie świerszcze znikły, a jeśli się jakieś ostały, miały na tyle rozumu, by nie rzucać się w oczy i nie cykać. DeAnne zaproponowała, żeby powtórnie wykapać dzieciaki, lecz Step zaprotestował.

- To nie były żuki gnojowe, kochanie, tylko zwykłe świerszcze, pozwólmy dzieciom ponownie zasnąć.

One jednak cały czas spały, leżąc bezwładnie na łóżku rodziców. Jedno po drugim Step poprzemienił pociechy do pokoi, gdzie DeAnne ułożyła je i przykryła. Po chwili wszystkie miarowo oddychały.

- Nie mogłoby tak być - powiedział Step do DeAnne otulającej Betsy świeżą pościelą - żeby wszystkie złe rzeczy spotkały je w czasie snu? Wtedy nie budząc dzieciaków, uporalibyśmy się z problemami.

- Muszę się umyć - odpowiedziała DeAnne. - Wciąż czuję na sobie pełzające świerszcze. - Wzdrygnęła się. - Aż dziw, że nie zaczęłam rodzić.

Teraz, kiedy o tym wspomniała, poczuł łaskotanie krótkich nóżek, a im bardziej o tym myślał, tym uczucie stawało się wyraźniejsze.

- Weź prysznic pierwsza - powiedział - ale się nie guzdraj! Trochę jej to zabrało czasu, ale zrozumiał. Kiedy nadeszła jego kolej, trzy razy namydlał się i spłukiwał, nim poczuł się dostatecznie czysty, by wytrzeć się i pójść spać. Zbadał pościel, choć żaden świerszcz nie wskoczył na łóżko, i on o tym wiedział, a mimo to musiał spojrzeć. Musiał zdobyć pewność.

- A jutro dezynsekcja - powiedział, kiedy już przykrył się kołdrą.

- Tak - zgodziła się. - Też już o tym myślałam. Zadzwoń do Bappy'ego i dowiem się, czy mają jakiś kontrakt, na przykład z Termineksem czy czymś takim.

Następnego ranka - oczywiście - spóźnił się do pracy. Bardziej niż zwykle, gdyż tej nocy nie spał wiele. Kiedy wszedł znalazł na biurku powiadomienie. Pochodziło od Raya Keene'a i chociaż zaadresowane było do każdego, Step wiedział, że chodzi o niego.

„Doszły mnie pogłoski, jakoby niektórzy pracownicy nadużywali naszego łagodnego podejścia do czasu pracy. Dlatego od jutra wchodzi w życie nowa zasada. Wszyscy pracownicy muszą zjawić się na stanowiskach punktualnie o ósmej trzydzieści. Lunch trwa od dwunastej w południe do dwunastej trzydzieści. Z przepisu tego zwolnione są jedynie osoby dyżurujące przy telefonach, które swój lunch

spożyją kolejno, w godzinach od 11:30 do 1:00. Każdy, kto choćby o pięć minut spóźni się do pracy lub o pięć minut przedłuży lunch, bezzwłocznie zostanie zwolniony. Jedyne usprawiedliwieniem mogą być wyłącznie powody zdrowotne lub prawdziwe, udokumentowane wypadki w rodzinie.”

Step rwał się, by wpaść do gabinetu Dicky’ego i obrzucić go stekiem najgorszych inwektyw. Lecz nie mógł. Ach, żeby ten Arkasian wypalił. Gdyby tylko Step miał kontrakt z inną firmą, sposób na wydostanie się z tego miejsca. Z jaką przyjemnością oznajmiłby Dicky’emu Northangerowi, co o nim myśli. Zamiast tego schował zarządzenie do aktówki, zamknął ją pieczołowicie i podążył do dziupli.

Kiedy wszedł, zauważył, że panowało grobowe milczenie, pomyślał przez chwilę, że to z jego powodu. Lecz ta cisza wzięła się z tego, że Dicky był w pracowni, nachylał się nad ramieniem jednego z programistów. Dicky nieczęsto zaglądał do dziupli, więc już sama jego obecność była znacząca. Z drugiej strony, być może Dicky próbował ułagodzić gniew, który bez wątpienia wszyscy czują. Stepowi to odpowiadało. Im dłużej Dicky kręcił się po dziupli, tym dłużej ich gniew na nim właśnie będzie się skupiał.

- Glass - zwrócił się do niego Step. - Mógłbyś mi pomóc, jeśli masz czas. Coś nie gra z przenoszeniem wyrazów, sądzę, że jest na to jakaś rada. - W zeszłym tygodniu rozpracowali już to zagadnienie, niemniej jednak Dicky z całą pewnością nie miał o tym zielonego pojęcia.

Wybieg się jednak nie powiódł.

- Glass nie pójdzie teraz do twojego gabinetu - rzekł Dicky stanowczo. - Nie widzę też przyczyny, dla której tu siedzisz. Glass pomaga mi w pracy przy programowaniu, a to jest ważniejsze niż pisanie instrukcji obsługi. Tak na marginesie, powinieneś sporządzić listę pytań i zostawić ją u mnie na biurku, ja już zadbam, żebyś dostał odpowiedzi. Zespół programujący ostatnio się lenił, nie pozwolę na dalsze rozprężenie.

- Dokumentacja nie ma nic wspólnego z rozprężeniem, Dicky - zaproponował Step.

- Zgadza się, lecz ludzie wchodzący do ośrodka programowania i rozmawiający głośno powodują rozprężenie, a ja tego nie zniosę. Zostawiaj pytania na moim biurku.

Step stał przez moment nieruchomo, spoglądając na Dicky’ego i myśląc: nie dopadliśmy w nocy wszystkich świerszczy. Jeden został i szykuje się, by na mnie naskoczyć, kiedy tylko nie patrzę. Wiedz, Dicky, że w tępieniu świerszczy jestem czempionem. Ekspertem. Jeśli potrafię stłamsić tę hordę na krzywych nóżkach, poradzę sobie z jednym, samotnym rzepolą.

Step przeszedł do swojego gabinetu i napisał wiadomość:

„Drogi Rayu,”

„Dicky zagroził mi drogę do dziupli, chce przesiewać wszelkie pytania, jakie mam do

programistów. Jeśli tego właśnie pragniesz, wszystko w porządku. Lecz jeśli pragniesz, bym w nieco inny sposób wykonywał swoją pracę, zmiana decyzji musi wyjść od ciebie.”

Step podpisał się i zaniósł wiadomość sekretarce Raya, Ludy.

- Zastąłem Raya? - zapytał.

- Tak, lecz nie chce się z nikim widzieć - odpowiedziała.

- Jest ktoś u niego?

Wyglądała na trochę przestraszona.

- Step, myślę, że to nie twój interes.

- Chciałem tylko wiedzieć, czy kiedy wejdę tam i położę na biurku moją wiadomość, zawstydzę go przed kimś, czy też nie.

Ludy nie mrugnęła powieką, uśmiech nie zniknął jej z ust.

- W porównaniu z pakowaniem się na chłama do jego biura, Step, zawstydzenie go przed kimś to małe piwo. Naprawdę, nie radziłabym ci.

- W takim razie powiedz mi, co mogę zrobić, by na pewno otrzymał moją wiadomość? Spisałem już dla niego kilka tuzinów wiadomości na temat przeróżnych spraw i - jeśli dobrze pamiętam - nigdy do niego nie dotarły. Nie odpowiada na nie, a pierwszy raz do mnie zadzwonił wczoraj, przy czym doskonale wiedział, że mnie nie zastanie.

Ludy wyciągnęła w jego kierunku rękę; gdyby siedział koło niej, pewnie by go dotknęła.

- Step, on otrzymuje wszystkie twoje wiadomości.

- Z ręką na sercu?

- Jak bum cyk cyk. - Uśmiechnęła się.

Wręczył jej wiadomość.

- Możesz mu przekazać moje słowa, że jeśli nie odpowie i tym razem, powinien się rozejrzeć za nowym facetem od pisania podręczników.

- Powiem mu - obiecała - że będziesz wdzięczny, jeśli odpowie ci w najbliższym dogodnym czasie. Jeśli naprawdę zechce wysłać odpowiedź, będziesz się kręcił w pobliżu. - Mrugnęła do niego.

- Masz chyba tik - odparł, po czym sam mrugnął. Ludy zatrzepotała rzesami, a on wyszedł.

Kiedy DeAnne zadzwoniła do Bappy'ego, żeby się spytać, do kogo się zwrócić w sprawie dezynsekcji, ten wyglądał na podekscytowanego.

- Sam się tym zajmę! - zapiał. - Robiłem w tym jakiś czas temu i ciągle coś niecoś pamiętam! Już pędzę, upewnij się tylko, czy wszystkie pojemniki w kuchni są pochowane.

- W kuchni? - zapytała. - Chcesz pryskać też w kuchni?

- Robale uwielbiają przebywać tam, gdzie jest jedzenie - odparł. - Najlepiej też wyprowadź dzieciaki z domu, kiedy przystąpię do dzieła.

Miała na dzisiaj plany, a Step zabrał samochód, gdyż w przeciwnym razie jeszcze bardziej by się spóźnił do pracy. Może powinna zaprowadzić dzieci do mieszkania Jenny? To, co miała do zrobienia, mogło poczekać. Głównie sprawdzenie salda konta z książeczki czekowej, przy czym nie było wiele do sprawdzania. Poradzi sobie z tym po odejściu Bappy'ego. A co z jej cichą nadzieją, że może zdrzemnie się razem z dziećmi, by nadrobić stracone nocne godziny? No cóż, już nieraz planowała drzemkę, lecz rzadko jej się udawało zamierzenie zrealizować, tak też było okej. Na drzemkę przyjdzie czas, kiedy się wreszcie zorganizuje.

- Ile to czasu zabierze? - zapytała.

- Ze dwie godzinki - odparł Bappy. - Muszę dostać się pod dom i na strych, sama wiesz. Fachowa robota. Mówisz, że już zatkaliście miejsce, z którego wychodziły?

- Starymi skarpetkami.

- Też używam podobnych rzeczy. Więc już zatkanie? Tak czy inaczej w dwie godziny po robocie substancja osiadzie, wtedy możesz wrócić do domu, otworzyć okna i przewietrzyć mieszkanie. Nie myśl jednak o zbyt szybkim powrocie. Musisz dbać o swój cenny balast.

Po chwili zastanowienia zdała sobie sprawę, że przez „cenny balast” Bappy rozumie jej nie narodzone dziecko, które nawet teraz napierało na rozdęte ściany brzucha. Poza tym nie potrzebowała ostrzeżenia Bappy'ego, że nie powinna wdychać środka owadobójczego, gdyż nigdy nie wiadomo, co może przedostać się przez łożysko. Nie pozwoli też, by starsze dzieci wdychały zatrute powietrze.

Zadzwoniła do Jenny, która mało nie skoczyła z radości, gdy usłyszała, że będzie mieć przez cały dzień towarzystwo, a kiedy Bappy podjechał pod dom swoim pikapem i zaczął wydobywać sprzęt wyglądający na wyposażenie pletwonurka, DeAnne przekazała mu zapasowe klucze, zarzuciła na ramię ciężką torbę na pieluszki i wyprowadziła dzieci na spacer do domu Cowperów.

Rankiem DeAnne odwiozła Stewiego do szkoły, ale ponieważ wiedziała, że kiedy Step wstaje późno, potrzebuje samochodu, pozwoliła mu wracać autobusem. Nawet się nie zorientuje, że dom został opryskany. Dochodziła dopiero jedenasta, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że zdążą wrócić do mieszkania, nim autobus przywiezie Stewiego. Musi uważać, żeby nie przegapić przyjazdu

autobusu. Wzdrygnęła się na myśl, że któregoś z latorośli wróci kiedyś do domu i nikogo nie zastanie.

Z początku przebywanie w mieszkaniu Cowperów było dla DeAnne udręką. Dokuczał jej panujący tam chaos, dzieci buszujące po wszystkich zakamarkach, wrzeszczące wniebogłosy lub meldujące się u Jenny w różnych odstępach czasu, by złożyć raport o jakimś nowym zniszczeniu. Jenny najczęściej odpowiadała: „Dziękuję, żeście mnie o tym powiadomiły”, nie ruszając się jednak z miejsca. Początkowo DeAnne była wstrząśnięta tą obojętnością Jenny i brakiem troski o bezpieczeństwo dzieci, ale kiedy ujrzała jej pięcioletniego syna, wdrapującego się na poprzeczkę od huśtawki i dosiadającego jej niczym kucyka, nie mogła się powstrzymać:

- Jenny, musisz coś z tym zrobić!

Jenny popatrzyła na nią z uśmiechem i zapytała:

- Co na przykład, przybić mu nogi do ziemi? Pierwszy raz, kiedy się tam wspiął, niemal dostałam ataku serca, lecz w rzeczywistości to dobry wspinacz i nigdy nie spada. Obserwowałam go, jest ostrożny. Tak też myślę, że skoro już chce na coś wejść, niech to robi na moich oczach, popisując się przede mną, a nie kiedy nie patrzę. Wtedy by było niebezpiecznie. Zawarliśmy więc umowę - może się tu powspinać, lecz tylko wtedy, kiedy patrzę.

- Wybacz, Jenny - powiedziała DeAnne - ale ty nie patrzysz. Rozmawiasz ze mną.

Jenny zaśmiała się.

- W takim razie słucham. Jeśli rozlegnie się krzyk, wiem, że trzeba interweniować.

- Rozległo się już z pięćdziesiąt krzyków.

- Wiem, ale to nie ten rodzaj krzyku, którym należy się martwić. Poza tym to ty byłaś źródłem połowy z nich, DeAnne.

- Czy i ja krzyczałam?

- Ten ostry krzyk należał do ciebie, nie ukrywam. Wiem, że w twoim mniemaniu jestem najgorszą z matek, ale coś ci powiem: kiedyś byłam podobna do ciebie. Bezustannie śledziłam ich kroki. Krążyłam nad nimi.

- Czy ja krążę?

- A nie? - zapytała Jenny.

- Pragnę, by były bezpieczne - odparła DeAnne. - Jeśli coś by się im stało...

- Lecz niejedno im się jeszcze przytrafi. Sądzisz, że skoro masz je na oku, wzbranasz im zabawy, nie połamią rąk lub nie potłuką nosa? A co zamierzasz zrobić, by twojej Elizabeth nie złamano serca, kiedy zaczną chodzić na randki? Bóg obdarzył nasze dzieci życiem, więc nie musimy chronić ich przed nim, ponieważ się boimy. Tak właśnie myślę.

Brzmiało to tak rozsądnie i mądrze. A mimo to...

- Co z tym zaginionym chłopcem? - spytała DeAnne, wskazując na gazetę.

- Czy to nie straszne? - Pokiwała smętnie głową. - Poza tym był jeszcze tamten dzieciak, o którym wspominałam ci niecałe sześć miesięcy temu. Mówię ci, widzisz te twarze na kartonach z mlekiem i myślisz; jest gdzieś matka, która pewnego dnia szukała swego małego chłopca, wołała go po imieniu, a on nie odpowiedział, i nagle poczuła w głębi serca, że nigdy, ale to nigdy już jej nie odpowie. Och, DeAnne, czy nie czujesz tej rozpacz?

- Tak - potwierdziła DeAnne. - Szedł po prostu do kolegi, trzy domy dalej, lecz nigdy tam nie dotarł.

- A matka będzie obwiniać siebie, wiem, że będzie - powiedziała Jenny. - Powie: Gdybym go tylko miała na oku. Gdybym wyszła na podwórko i odprowadziła go wzrokiem aż do domu kolegi.

- Tak. Tak, będzie miała rację!

- Wcale nie - zaprzeczyła Jenny. - W tamtym domu mogła czekać naładowana strzelba, co w takim razie powinna zrobić? Stać przy synu, kiedy bawiłby się z kolegą? Zabronić, by kiedykolwiek odwiedzał dom przyjaciela? Zamknąć go w pokoju? Myślisz, że dzieciak nie wiedziałby, że matka go obserwuje? Że nie ma do niego tyle zaufania, by puścić go do domu o trzy numery dalej?

- Ale jemu nie było wolno!

- Tym razem nie - powiedziała Jenny. - Ale może już wcześniej ze sto razy czynił podobnie. Kiedy twoje dzieci umieją chodzić, nie trzymasz ich dłużej za rączkę. Nadchodzi chwila, że puszczasz ich dłoń i pozwalasz chodzić o własnych siłach. Czy sądzisz, że to oznacza, iż nigdy nie upadną?

- Zaginięcie to nie to samo co upadek.

- Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że nie wiem, jak jeden moment nieuwagi może wystarczyć, by mój Aaron leżał pod huśtawką ze skręconym karkiem? Martwy lub sparaliżowany do końca życia? Myślisz, że nie czuję ukłucia w sercu, kiedy widzę go tam, na górze?

- Dlaczego więc mu pozwalasz?

- Dlaczego Bóg pozwala nam żyć na ziemi? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Jenny. - Dlaczego nie zstąpi, by obserwować każdy nasz ruch i chronić przed czynieniem zła? Ponieważ nie rozwijałibyśmy się, gdyby ktoś zachowywał się w ten sposób. Bylibyśmy jak te marionetki.

DeAnne nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Ból niby ogień palił jej wnętrzności. Częściowo z powodu artykułu w gazecie o zaginionym chłopczyku. Częściowo zaś z powodu stresu, że nie jest we własnym domu i zmusza dzieci do zabawy z tymi piekielnikami, którym Jenny nadmiernie folgowała. Doszła też udręka wywołana pasmem niedoli Steviego w szkole, o którym tak długo nie miała pojęcia. Prócz tego Dolores LeSueur potajemnie posiała w jego umyśle nasienie jakiegoś spijającego żywotne siły zielska, a kiedy DeAnne dowiedziała się o tym, nasienie zdążyło się już zakorzenić; nie mogła nic poradzić, żywiła jedynie nadzieję, że wrodzona dobroć Steviego i zdrowy rozsądek

pomogą mu pozbyć się tych zatrutych myśli.

- Po prostu nie potrafię przestać opiekować się nimi - powiedziała DeAnne - choć wiem, że nie przed wszystkim mogę je ochronić. To wiem. Wiem, że przez większość czasu nie mogę się nimi opiekować. Wtedy gdy Stevie jest w szkole, a nawet wtedy gdy wychodzę z pokoju - wszystko może się zdarzyć. Lecz wciąż mogę coś zrobić, mogę spróbować.

- Wierz albo nie, DeAnne, ja też wtrącam się i powstrzymuję dzieciaki od naprawdę niebezpiecznych wyczynów - powiedziała Jenny. - Po prostu, hmm, jestem w stanie znieść więcej niż ty.

- Jenny, nie mówię teraz o tobie, mówię o sobie - odparła DeAnne. - Ponieważ wiem, że masz rację, ja tylko... Nie chcę być nadopiekuńcza w stosunku do moich dzieci i zamienić je w przestraszone króliczki, drżące w rogu klatki. Lecz mogę coś zrobić, no nie? Podobnie jak moja sąsiadka po drugiej stronie ulicy w Orem. Był taki jeden facet z furgonetką, co miał zwyczaj przejeżdżać przez naszą ulicę z prędkością tornada. Jeździł za szybko, a ona tego nie cierpiała, jej mąż nawet rozmawiał z nim na ten temat, lecz on go tylko wyśmiał i kazał się wynosić. Tak więc pewnego wieczoru, kiedy zapadł zmrok, no wiesz, kiedy jest ciemno jak oko wykol, spostrzegła, że pozwoliła dzieciom bawić się do późna. Postanowiła sprowadzić je do domu, wyszła na zewnątrz, zawołała kilka razy, i wtem usłyszała, jak ciężarówka wypada zza zakrętu, silnik ryczy, światła mkną w dół ulicą. Nagle wśród tych dźwięków usłyszała odgłos kół deskorolki syna sunącej po asfalcie jezdni. Nie po chodniku, tylko po asfalcie. Pomyślała, że skoro jest na jezdni, niechybnie zginie. Jej synek wraca ulicą od kolegi i oto nadjeżdża furgonetka; wie, że kierowca nie zauważy chłopca na czas, by się zatrzymać; syn znajduje się dwadzieścia jardów na prawo, zbyt daleko, by zdążyła dobiec i ściągnąć go z ulicy; auto zbliżało się z lewej strony, a on nie ma szans usłyszeć jej wołania, nie przy tym hałasie; zatem bez namysłu wyskoczyła na jezdnię przed ciężarówkę. Po prostu wyskoczyła.

- Wielkie nieba - powiedziała Jenny.

- Facet z ciężarówki dostrzegł jej sylwetkę, nacisnął na hamulec i okazało się, że tak naprawdę potrafi wyhamować na czas. Lecz ona była dorosłą osobą; kto wie, czy zauważyłby małego chłopca? Kierowca wypadł z szoferki, wrzeszcząc i przeklinając, no wiesz, „Co z ciebie za idiotka!” itd., a ona tylko stała i płakała, dopóki mały chłopczyk nie zbliżył się do mamy z deskorolką pod pachą, maszerując środkiem ulicy. Facet uświadomił sobie, że aż do tej chwili nie widział przed sobą dziecka. Powiedział „Mój Boże” i od tego czasu nie mieli już nigdy kłopotów z jego pędzącym samochodem.

- Nie wiem, czy ja odważyłabym się na coś podobnego - powiedziała Jenny. - Stałabym przy krawężniku, krzycząc albo nie wiem co. Nie wiem, czy bym tak po prostu... wyskoczyła na jezdnię.

- I ona tego nie wiedziała, do czasu próby - rzekła DeAnne.

- To zrozumiałe, że trzeba ratować dziecko przed pędzącym pojazdem - powiedziała Jenny. - Nawet taka niedbała matka jak ja musiałaby spróbować! Lecz to, co ona zrobiła, no nie, to wykracza poza miłość, graniczy z szaleństwem. A gdyby tak samochód nie wyhamował? Jak czułby się chłopiec, gdyby matka zginęła na jego oczach? Dorastałby jako sierota.



- Dorastałby wiedząc, że jego mama oddała życie, by go uratować. To powinno pomóc.

- Albo do końca życia czułby się winny, bo to z jego winy by zginęła. DeAnne, nie twierdzę, że była w błędzie. Inaczej: miała rację, bo plan się powiódł. Lecz nawet ratując jego życie, mogła wyrządzić mu krzywdę. Wszystko może przynieść szkodę, wszystko może się udać. No, może nie wszystko, lecz wiesz, co mam na myśli. Może masz rację, że jesteś taka opiekuńcza, a może ja mam rację, dowodząc statkiem bez steru. Może, może, może.

- Z tego wniosek, że cokolwiek byśmy robili, prawdopodobnie się mylimy.

- Nie, DeAnne, nie myśl o tym w ten sposób. Raczej pomyśl, że działanie z myślą o dobru dzieci musi się udać. Może je tym urazisz. Może, gdy dorosną, tak się na nas rozzłoszczą, że przez dwadzieścia lat nie usłyszymy od nich słowa. Mogą też zginąć - to część życia. Utracić dziecko to najgorsza rzecz na świecie. Przynajmniej mnie nic gorszego nie przychodzi do głowy. Lecz to się zdarza. A kiedy umiera dziecko, Bóg zabiera je do swego domu, zupełnie jak osobę dorosłą. Chcę przez to powiedzieć, że choć takie życie było krótkie, zawsze to było życie. Pytanie: czy dobre? Czy było szczęśliwe? Czy dziecko miało sposobność zakosztować go, na coś się zdecydować...?

- Wiem - odpowiedziała DeAnne. Choć poczuła wstręt do siebie za okazanie słabości, płacząc przed drugą osobą, łzy zaczęły spływać po policzkach. Na samą myśl o umierających dzieciach, o matce zaginionego chłopca z dzisiejszej gazety, o przyjaciółce w Orem, która wiedziała, że poświęci za dziecko życie. W jej myśli też wkradł się Stevie. - Wybacz mi, to tylko... to przez to, co przeszliśmy ostatnio ze Steviem... odkąd tu się wprowadziliśmy. Czułam się taka bezradna. Teraz wszystko się chyba ułoży, gdyż Step poszedł do szkoły i zajął się tym jak należy. To znaczy, wszystko teraz będzie w porządku, jeśli tylko pozbędzie się tych wymaginowanych przyjaciół. Dlaczegoż więc teraz płaczę? Skąd te dreszcze i chłód, i...

Jenny przysunęła krzesło bliżej DeAnne, objęła ją, by ta mogła się wypłakać.

- Nie powstrzymasz złośliwości losu - powiedziała łagodnie Jenny. - Dlatego właśnie płaczesz. Myślisz, że ja nigdy nie miałam podobnego dnia? Podobnych dni? Zawsze potrafiłam się jednak zebrać w sobie i powiedzieć, że mogę podołać tylko temu, co jest możliwe, przestałam marzyć o tym, że uczynię życie moich dzieci idealnym, idealnie szczęśliwym, idealnie bezpiecznym. Czasem płaczę, czasem je boli, wciąż mnie to kłuje w serce, jednak mogę zrobić tylko to, co mogę, i ty też musisz zdać sobie z tego sprawę, DeAnne. Już w dniu, kiedy się spotkałyśmy, zauważyłam, że zbyt wiele od siebie wymagasz, tak więc zawsze czeka cię porażka, gdyż do sukcesów zaliczasz jedynie osiągnięcie tego, co się nikomu poza tobą nie udaje.

Jej słowa tchnęły taką słuszością, taką pociechą, a mimo to DeAnne nie dawała im wiary. Och, to prawda, że za bardzo zamartwiała się tym, że nic się jej nie udaje, pod tym względem Jenny miała całkowitą rację. Lecz myliła się, sugerując, by w przyszłości nieco popuścić. W jaki sposób można kiedykolwiek osiągnąć perfekcję, nie sięgając granic swoich możliwości? Wówczas Pan prowadzi cię do końca i wszystko się układa, jak w przypadku Stewiego. Potrzeba tylko odrobiny wysiłku.

Nie będzie jednak przesadzać z tą opiekuńczością. Do tego też potrzeba wysiłku. Jenny miała co do tego słuszość. Dzieci muszą mieć szansę bycia dziećmi. Zupełnie jak ona, gdy bawiła się w

dzieciństwie w sadku za domem. Nie były to bezpieczne igraszki, z tym całym żelastwem, drutami i innymi groźnymi przedmiotami leżącymi dokoła, szczególnie wzdłuż rowów nawadniających. Wraz z przyjaciółmi wyprawiała szalone rzeczy. Wspinała się wyżej na czereśnie niż Aaron Cowper na swoją huśtawkę. Cudowne czasy i cudowne lata. Nie pozwoli dzieciom, żeby je ominęły, tylko dlatego że ich matka nadmiernie się boi. Z drugiej strony nie potrafiła tkwić w takim... oddaleniu od tego, co porabiają i czują. To nie leżało w jej naturze.

- Jesteś dla mnie bardzo miła - powiedziała DeAnne, wycofując się z uścisku Jenny. Oczy wytarła papierową serwetką, którą wzięła z kuchennego stołu. Papier zdawał się szorstki w zetknięciu z delikatną skórą powiek. - Naprawdę, nie przyszedłam tu po to, aby się wypłakać - kontynuowała. - Po prostu jeden staruszek spryskuje moją kuchnię aerozolem na owady.

- Jak sądzę - wtrąciła Jenny - wyrzucisz każde pudełko płatków owsianych, które było otwarte. Może nawet pozbędziesz się tych zamkniętych, gdyż będzie ci się zdawało, że jakaś część sprayu mogła się przedostać do środka.

DeAnne nie powstrzymała się od uśmiechu.

- Jenny, ja już je wyrzuciłam. Zanim przyszedł. Czy to nie głupie?

- Taka jesteś i nic na to nie poradzisz. Poza tym w jednej sprawie dałaś przykład mądrości. Przecież jesteś tą nauczycielką, która zezwoliła kobietom z pierwszej gminy Steuben na zerwanie z tym chorym udawaniem, że należy mężom oddawać cześć, na wzór Dolores LeSueur. Zmierzyłaś się z pajęczycą w jej własnej sieci.

- Sądzę, że to potwierdza raczej moją głupotę - rzekła DeAnne.

Tumult z zewnątrz przeniósł się do mieszkania, prócz tego była już najwyższa pora na przygotowanie lunchu. Około godziny drugiej DeAnne ostatecznie zdołała ułożyć dzieciaki do drzemki - Robbie z miejsca zamknął oczy. Nabiegał się z dziećmi Jenny do tego stopnia, że leżał zupełnie wyczerpany. Ruszyła z powrotem do własnego domu, by przekonać się, czy Bappy uporał się z pracą i czy smród został już przegnany. Zrozumiała nagle, że powinna była wpaść w południe, by sprawdzić, kiedy dokładnie skończył, żeby odliczyć dwie godziny. Na szczęście zostawił na drzwiach wiadomość:

„Skończone w południe. Klucz na stole.”

Co za domyślny człowiek.

Domyślny, mimo to grubo pomylił się co do czasu, jaki zajmie pozbycie się natrętnego zapachu trucizny. Kiedy weszła do środka, zapiekło ją w oczy. Odór był nieznośny. Pośpieszyła na zewnątrz, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Nawet teraz wyczuwała smród, który z pewnością nie przejdzie, jeśli pozostawi dom szczelnie zamknięty.

Wbiegła z powrotem, wstrzymała oddech, splukując i wycierając ścierką do naczyń. Następnie, owinawszy nią usta i nos, przemierzyła dom wzdłuż i wszerz, otwierając wszystkie okna i drzwi. Okna w bawialni nie miały przesłon, tak więc ich nie mogła za bardzo zostawić otwartych. Podobnie

nie potrafiła zmusić się, by pozostawić drzwi otwarte na oścież. Oczywiście sprawny włamywacz bez trudu mógłby wejść przez każde z okien, dlatego więc nie zostawić drzwi otwartych? Jednak nie mogła.

Zostawiła ścierkę wiszącą na gałce przy bocznych drzwiach, prowadzących do garażu, po czym wyszła na ulicę, by poczekać na szkolny autobus wiozący Steviego.

Tuż po lunchu Dicky pojawił się w progu gabinetu Stepa. Początkowo Step przypuszczał, że sprawdza tylko, czy nie przedłużył sobie półgodzinnego lunchu, może zresztą o to też chodziło, jednak głównym powodem było doręczenie wiadomości.

- Ray chyba sądzi, że nie jesteś w stanie wykonywać swej pracy należycie bez nieograniczonego dostępu do zespołu programistów, zgadzam się z tym.

Oczywiście, że się zgadzasz, pomyślał Step.

- Zatem znowu możesz odwiedzać ich w dziupli - ciągnął Dicky. - Byłbym jednakże wdzięczny, gdybyś ograniczył swoje rozrywki do minimum.

- Nie ma sprawy, Dicky - zapewnił.

- Poza tym ciągle wymagam sprawozdań na temat wszystkiego, o co ich pytasz.

- To wspaniały pomysł, Dicky. Jeśli oprócz własnej pracy będę zmuszony pisać ci o wszystkim szczegółowe raporty, to moja produktywność spadnie - rzekłbym - o połowę.

- Nie kłopotuj się o to.

- Że piekło zamarza - dokończył Step żartobliwie. - Moim sprawozdaniem dla ciebie z każdego projektu będzie napisany podręcznik.

Dicky stał nieruchomo, patrząc nań swym spokojnym, bezmyślnym wzrokiem, jego twarz wyrażała tyle, co pysk owczy. W końcu wyszedł.

Nie powinienem drażnić się z nim, pomyślał Step. Nie powinienem przeginać.

Lecz to było przyjemne. Miła była też myśl, że Ray Keene oceniał Stepa lub przynajmniej jego rolę w firmie na tyle wysoko, by usadzić Dicky'ego. Tym razem to właśnie Dicky przeginał, nie Step. Poza tym Dicky wciąż cieszył się zwycięstwem z przeforsowania zasady punktualności.

Kilka minut później Step był już w dziupli, by wszyscy mogli się przekonać, jak krótko obowiązywała absurdalna restrykcja Dicky'ego. Kiedy tylko wszedł, jeden z programistów wymruczał: „Co z Dickym?”, po czym kilku rozeszło się leniwie po korytarzach, by po chwili złożyć raport: „Dicki'ego nie stwierdzono”. Natychmiast wszystkie krzesła obróciły się w stronę środka pomieszczenia. Wyglądało na to, że oczekiwano pojawienia się Stepa, by rozpocząć zebranie.

- Chłopcy - Step powiedział prosto z mostu - przepraszam. Sądzę, że ta cała draka z punktualnością to moja wina, ponieważ wczoraj poszedłem na ten późny lunch, nie licząc się ze zdaniem Dicky'ego.

- Pieprzyć to - odezwał się Gallowglass. - Dicky nie jest jakimś cholernym żywiołem. Robi to, bo takie są jego zachcianki, a nie z powodu twojego postępowania.

- Robi to, ponieważ jest dupkiem - uzupełnił jeden z programistów.

- Rzecz przedstawia się następująco - obwieścił Glass. - Jeśli każą nam stawiać się do pracy o ósmej trzydzieści i zjadać lunch dokładnie w ciągu przeklętej pół godziny, wówczas nasza odpowiedź jest oczywista.

- Odchodzimy - wtrącił jeden.

- Puszczamy tę budę z dymem - dodał drugi.

- Obejdzie się bez takich dramatów - uspokoił temperamenty Glass. - W gruncie rzeczy sprawa jest prosta i elegancka. Wychodzimy o piątej.

Siedzieli, patrząc na niego, i nagle wszyscy zaczęli się uśmiechać i chichotać, niektórzy bili się po kolanach.

- Punkt piąta - zapowiedział Glass. - Każdego wieczoru. Nie kończąc linii programu, jeśli tak wypadnie. Zapisując pracę, wyłączając zasilanie, o piątej niech tu będzie już ciemno. Czy wszyscy są za?

- Z całego serca - rzekł Step. Inni mu zawtórowali.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powiedział Glass.

- No dobra - odezwał się Step. - Teraz znów wszystko od was zależy.

Step wrócił do domu o piątej piętnaście. Na bocznych drzwiach znalazł taką oto wiadomość:

„Sprawdź proszę, czy czuć ciągle spray. Jestem u Cowperów.”

Kiedy wszedł do środka, zaduch był nie do zniesienia: tak intensywny, że nie dało się oddychać. W mieszkaniu było trochę zimno - zapowiadała się chłodna noc, już teraz wiało porządnie. Jeśli zacnie padać, pomyślał Step, wszystkie te otwarte okna oznaczają będą przemoczone dywany i meble. Lecz nie można ich zamknąć. Trzeba mieć jedynie baczenie na pogodę.

Nie ma mowy, byśmy mogli tu dziś przenocować.

Zaryglował przysłone drzwi frontowych, które zostawił otwarte. Może i ktoś mógł się włamać i wszystko pokraść, lecz i tak było to możliwe przy otwartych oknach. Poza tym pokój gościnny nie wietrzył się w ogóle; kiedy do niego wszedł, zapiekły go oczy. Na końcu zamknął i zaryglował boczne drzwi, wsiadł do auta i podjechał pod dom Cowperów.

- Znowu wracasz tak wcześnie - przywitała go DeAnne, szczęśliwa, że go widzi.

- Być może od dzisiaj tak już zostanie - odparł. - Chyba że zmiękną. Lecz nie mogę się nigdy spóźnić do pracy. - Pocałował ją. Jenny Cowper stała nieopodal i obserwowała, lecz Step tylko pomachał ręką i pocałował żonę raz jeszcze.

- Nie zważajcie na mnie - powiedziała Jenny. - Już się połapałam, że wiecie coś niecoś o całowaniu.

- Ciągłe jesteśmy na etapie początkowym - rzekł Step - zatem ochoczo wykorzystujemy każdą wolną chwilę. - Jenny roześmiała się i weszła do domu.

- Co słyhać u Steviego? - zapytał Step.

- Nie tego się spodziewaliśmy - odpowiedziała. - Zastępczyni.

- Ach tak. - Pokiwał głową. - Więc nie mogła stawić temu czoła.

- Poza tym Stevie wrócił do domu ze swą wstążką. Pani Jones musiała coś szepnąć dr Mariner, ponieważ weszła dziś do klasy i powiedziała coś o...

W tym momencie kilkoro dzieci galopem wpadło do pokoju. Robbie i dwoje nie zidentyfikowanych dzieci Cowperów - Step nawet nie zawracał sobie tym głowy, by je spróbować rozróżnić. Chłopcy wyglądali jak bliźniaki w różnym wieku. Stevie wszedł w ślad za nimi, niósł książkę. Nie brał udziału w zabawie, to pewne. Ale przynajmniej rozmawiał.

- Cześć, tato!

- Słyszałem, że dziś mieliście zastępstwo.

Przytaknął milcząco. Step kucnął przed nim, lecz szybko zdał sobie sprawę, że jego kolana buntują się przeciw tej pozycji, przyklęknął więc na jedno kolano.

- Podobno masz swą wstążkę.

- Nie dbałem o tę wstążkę - odpowiedział Stevie.

- Sądzę jednak, że dr Mariner o nią zadbała.

Wówczas Step spojrzał ojcu prosto w oczy i spytał:

- Czy ty zabiłeś panią Jones, tato?

- O, nie! - wykrzyknął Step, przerażony. - Oczywiście, że nie! Nawet jej nie tknąłem, nie skrzywdziłem jej w żaden sposób. Synku, została dzisiaj w domu, ponieważ czuje się zawstydzona.

Stevie nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Dr Mariner powiedziała, że jest chora. Ze pani Jones nie wróci do szkoły do końca roku, od teraz będziemy mieć zastępstwo.

A zatem pani Jones stchórzyła. Potrafiła być odważna niczym lwica, kiedy trzeba było wyśmiać siedmiolatka przed całą klasą, lecz kiedy przyszło do zapłacenia za to, schowała się w norze. Jak przykro!

- Tato - Stevie chciał wiedzieć. - Co ty jej właściwie zrobiłeś?

DeAnne, widząc, że potrzebują trochę prywatności, wypędziła z pokoju Robbiego i stworzy Cowperów. Dzięki, DeAnne, rzekł Step w duchu.

- Kluczniku, wszystko sprowadziło się do powiedzenia jej prawdy o tym, co robi. Dałem jej do zrozumienia, że jeśli nie przestanie, wszyscy się o tym dowiedzą. Tak więc przestała. Tak naprawdę przestała do tego stopnia, że nie zdziwiłbym się wcale, gdyby w ogóle przestała uczyć.

- O rany - wyszeptał Stevie.

- Tak się postępuje ze złymi ludźmi, jeśli istnieje możliwość. Dokładnie w ten sposób zawsze postępowali prorocy - tłumaczył dalej Step. - Po prostu wymieniali ich grzechy, a jeżeli winowajcy mieli w sobie choć iskrę dobroci, żalowali.

- A jeśli są całkiem źli? Jeśli nie mają iskry?

- No cóż, to tak jak w przypadku Almy i Amuleka. Pan nie dopuścił, by źli ludzie ich skrzywdzili, choć wokół zginęło wielu. Wypełniwszy posłannictwo, odeszli.

- Źli ludzie spalili Abinadię - nie ustępował Stevie.

- Zgoda - odparł Step. - Lecz wpierw zdążył wymienić ich grzechy. I to właśnie powstrzymało w końcu ludzi od czynienia nieprawości. Usłyszeli prawdę o sobie. Mogą tylko wtedy czynić zło, kiedy sądzą, że nikt o tym nie wie.

- Ale Abinadi nie żył.

- Synu, myślę, że Abinadi wiedział i Bóg wiedział, że śmierć nie jest najgorszą rzeczą na świecie. Najgorzej wiedzieć, że ktoś czyni zło i nic nie zrobić ze strachu. Więc kiedy Abinadi umierał, śmierć wydawała mu się słodka.

- Gdy płonął żywcem?

- No nie, wątpię, czy to było słodkie. Lecz to szybko minęło i zamieszkał z Ojcem w niebie. Tak czy inaczej, Stevie, nie o to chodzi. Bo nikt nie zamierzał spalić mnie żywcem za wyjawienie prawdy o pani Jones. Żaden ze mnie Abinadi, byłem po prostu bardzo zdenerwowanym ojcem, martwiącym się o złe traktowanie cudownego syna w szkole, ale teraz jest już po wszystkim. Pani Jones nie zdoła cię więcej skrzywdzić, przypuszczam też, że nie będzie mogła skrzywdzić nikogo.

Stevie zarzucił ojcu ręce na szyję i przywarł do niego na dłuższą chwilę. Potem odsunął się i wyszedł z pokoju, chyba nieco zawstydzony.

Step powstawszy, powędrował do kuchni, przyłączając się do rozmowy.

- Będiesz spała na naszym łóżku, ponieważ jesteś w ciąży, DeAnne - mówiła Jenny.

- Ja nie jestem - wtrącił Step.

- Ho, ho - rzekł Spike. - Uwaga, nadgrzeczność!

- Proszę, tylko nie to - powiedziała Jenny. - Wszyscy znamy tę śpiewkę. Protestujesz przeciw temu, by Step spał na podłodze, a DeAnne na kanapie, tyle że obaj doskonale wiecie, że DeAnne obudziłaby się wykończona, jeśli by na to przystała, my zaś czulibyśmy się tak winni, że nie zmrzuliśmy oka. Poza tym wszyscy musicie wiedzieć, że ja i Spike miodowy miesiąc spędziliśmy na kempingu.

- Istnieje sposób, by spać ze sobą dwa śpiwory - powiedział Spike poufnym tonem. - Kiedyś wam pokażę.

- Nie stracimy godności, jeżeli prześpimy się na podłodze - zapewniła Jenny. - Tak naprawdę uważamy to za romantyczne, choć nikomu, kto widział nasze dzieci, nie przyjdzie na myśl, byśmy potrzebowali więcej romantycznych chwil. Więc proszę, pomińmy tę sprzeczkę, zgadzając się na następujące rozwiązanie: wy dzielcie łożę, my zaś śpimy w worze.

Step i DeAnne zaśmiali się, ta ostatnia powiedziała:

- No to sprawa załatwiona.

Zbliżała się już dziewiąta wieczór, dzieci spały grzecznie w łóżkach, kiedy to DeAnne przypomniała sobie, że nie sprawdziła dzisiejszej poczty.

- Zawsze jest na to czas jutro - oświadczył Step.

- A może przejdziemy się trochę wieczorem - zaproponowała DeAnne. - Przy okazji sprawdzimy, czy w domu wszystko w porządku.

Czemu nie? Dom Cowperów był siedliskiem ekstrawertyków, Step ucieszył się z pomysłu odetchnięcia świeżym powietrzem.

W drodze do skrzynki pocztowej Step opowiedział jej, co zaszło między nim a Steviem.

- Myślę więc, że tę sprawę mamy za sobą - podsumował. - Stevie będzie się już zachowywał inaczej.

- Mam nadzieję - odparła DeAnne.

- Tylko nadzieję?

- Dziś, kiedy wysiadał z autobusu, zaczęłam wyjaśniać mu całą sprawę z opryskiem i dlaczego nie mogliśmy się dostać do domu. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy mi odpowiedział: „Wiem, mam, Jack mi o tym powiedział”.

Wyimaginowani przyjaciele.

- No tak, nie mogliśmy się chyba spodziewać, że znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Martwię się, Step. Jest już o wiele za duży, by mieć wyimaginowanego przyjaciela. Poza tym, kto kiedyś słyszał, by mieć więcej niż jednego? To znaczy, czy ci wyimaginowani przyjaciele nie powinni raczej przypominać Snuffy’ego z „Ulicy Sezamkowej”? Po prostu jedno wielkie, dziwne stworzenie?

- Daj mu trochę czasu - powiedział Step. - Kiedy w szkole będzie mu lepiej, znikną te fantastyczne wyobrażenia. Spójrzmy prawdzie w oczy - ci wyimaginowani przyjaciele pomogli mu przetrwać doświadczenie dorównujące pobytowi w obozie koncentracyjnym. Nie śpieszmy się tak z przeganianiem ich!

- To nie jest śmieszne, Step. - DeAnne miała poważną minę. - Stevie stanowczo zaprzecza, jakoby ich wymyślił. Sądzę, że naprawdę wierzy w ich istnienie.

- No i co z tego? Fantazja niewiele by mu pomogła, gdyby nie wyglądała bardzo naturalnie.

- Ale ci wyimaginowani przyjaciele nie żyją naprawdę, Step, a jeśli nie odejdą? A jeśli uprze się, by jeden z nich był jego drużbą na weselu? W końcu to zacnie nakładać się na jego życie towarzyskie, sam wiesz.

- Ale nie dzisiaj - odrzekł. - Popuść mu jeszcze trochę. Dopiero co wyszedł z piekła na światło dzienne, potrzeba chwili, by otrząsnąć się z koszmarów.

Doszli do skrzynki na listy. Step, otworzywszy ją, sprawdził, czy nie ma pajaków; nigdy nie pomijał tej czynności, odkąd pewnego razu w Orem, przy wyciąganiu poczty, czarna wdowa przebiegła mu po rękawie. Nigdy wcześniej by nie przypuszczał, że można jednym, zgrabnym ruchem oderwać wszystkie guziki koszuli, po czym w ułamku sekundy zedrzeć całą z ciała. Nie ugryzła go, mimo to nie zapomniał tej przygody.

DeAnne zaczęła tasować listy, w świetle ulicznej lampy odczytując adresy zwrotne.

- Możemy wziąć je do środka - powiedział Step. - Przecież tu mieszkamy.

- Nie mam zamiaru tam wchodzić, póki ten smród się nie rozejdzie - zastrzegła się DeAnne.

- Cowperowie nie będą zachwyceni, dając nam wieczne schronienie, wiesz przecież - powiedział Step.

- Kto wie? Wiele im dziś pomogłam w gospodarstwie. O, jest jeden od twojego brata, - Rozdarła kopertę i zaczęła przeglądać zawartość.



- Wiesz, co mi powiedział Spike Cowper? - spytał Step. - „Wiem, że potrzeba wam samochodu, a my mamy tego obrzydliwego, zajeżdżonego, przerdzewiałego datsuna B-210. Prowadzi się całkiem nieźle, chociaż wygląda tak odpychająco, że nigdy nie dostanę za niego tyle, ile jest wart. Może więc wy się skusicie? Pięćset dolców”. Ja mu na to, że jak na razie, nie możemy sobie na nic pozwolić, a on, że zapłacimy, kiedy będziemy mogli.

- Mam nadzieję, że odpowiedziałeś twierdząco? - spytała.

- Myślisz, że jestem idiotą? Niemal go ucałowałem. Mogę brać datsuna do pracy, ty zatrzymasz renaulta.

- To będzie wielkie święto - powiedziała. - Sądzę, że brat cię prosi, byś oddał mu pieniądze pożyczone na przeprowadzkę.

- I tryśnie krew z kamienia - rzekł Step. - Zadzwoń do niego. Ogarnął go najzwyczajniejszy lęk, że zapomnieliśmy o pieniądzach.

- W tym miesiącu nie uiściłam jeszcze spłaty za dom w Indianie - dodała DeAnne.

- W każdym razie i tak nie sądziłem, że się nam to uda.

- To już drugi miesiąc z rzędu - przypomniała mu DeAnne. - Nie wierzę, że będziemy w stanie spłacić te zaległe sumy, chyba że otrzymamy niespodziewanie jakieś honorarium czy coś takiego.

- Wiem - poproszę Raya Keene'a o podwyżkę. Nie, Dicky'ego poproszę o podwyżkę.

- Agamemnon - powiedziała, wręczając mu ostatnią, dużą, żółtą kopertę.

- Chyba żartujesz - nie dowierzał Step. Rozerwał ją.

- Nie mogę uwierzyć, że czytamy naszą pocztę na ulicy - powiedziała DeAnne, rozglądając się po okolicy. Wokół było pusto.

- Chyba każdy tak się zachowuje, kiedy jego mieszkanie zamienia się w komorę gazową - stwierdził Step. - To faktycznie kontrakt. Arkasian dał znać, że żyje.

- Trochę długo to trwało - odparła z przekąsem DeAnne.

- Tak tylko wygląda, że długo. Upłynęło dopiero kilka tygodni. Prawda może być taka, że zabrał się do tego od razu, ale tak długo trwa ten proces. - Oderwał wzrok od listu. - Wiesz, Rybia Damo, gdybyś sprawdziła pocztę o normalnej godzinie i zadzwoniła do mnie, informując, że to właśnie przyszło, mógłbym od razu rzucić pracę, przed lunchem, a to by było naprawdę głupie i całkowicie zbyteczne, gdyż po lunchu wszystko się znowu unormowało. Do licha, to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że nie sprawdziłaś na czas poczty. Ponieważ nie mogę jeszcze odejść, nie wiedząc, czy Eight Bits Inc. zamierza zająć się grami na IBM, czy nie.

- Mieliśmy farta - podsumowała.

- Tak, to prawda - zgodził się. Tuż pod latarnią objął ją, w każdej dłoni trzymając naręcz listów. - Może Pan rzeczywiście spogląda na nas od czasu do czasu.

- A może z reguły prawdopodobieństwa wynika, że już najwyższa pora.

- No cóż, a kto twoim zdaniem sformułował regułę prawdopodobieństwa? - Pocałował ją i ruszyli z powrotem w stronę domu Cowperów. Step zdążył jeszcze rzucić okiem po raz ostatni na dom, zastanawiając się, czy środek owadobójczy zdołał też wygonić wymaglinowanych przyjaciół Steviego.

## **Rozdział ósmy**

### **Łapiduch**

Oto w jaki sposób Step znalazł Steviemu psychiatrę, choć nieraz przyrzekał sobie, że nigdy nie zabierze syna do jednego z tych szarlatanów.

Osobiście Step nie miał nic przeciwko psychiatrom. Jego najlepszymi przyjaciółmi w szkole w Vigor byli Larry i Sheila Redmond; Larry był kumplem z wydziału historii, Sheila natomiast rozpoczęła praktykę jako psychoterapeutka. Step był wprost nieznośny, pokpiwał na każdym kroku, że dostała posadę w ministerstwie.

- Jediną różnicą między psychoterapeutami a ministrami jest fakt, że psychoterapeuci liczą sobie więcej i więcej ludzi wierzy w ich uzdrawiające kuracje.

Sheila przyjmowała te docinki zawsze z humorem - jakkolwiek na to spojrzeć, cierpliwość jest konieczną cechą dobrego terapeuty - i Step musiał przyznać, że choć uważał wszelkie psychologiczne teorie za niewiele różniące się od świeckiej religii samoobsesji rywalizujących ze sobą sekt, wciąż istnieje szansa, że pojedynczy terapeuta może rzeczywiście pomóc pacjentowi; w podobny sposób dobry przyjaciel pomaga komuś otrząsnąć się po przykrym zdarzeniu. I nawet wysokość opłat przestała go zadziwiać, kiedy zdał sobie sprawę, że w Ameryce ludzie skłaniają się ku przeświadczeniu, że jeśli coś kosztuje krocie, to jest warte krocie. Tak więc zapłacenie olbrzymiej

kwoty pieniędzy, by ktoś cię wysłuchał i zaaplikował bezsensowną teorię, wyjaśniającą przyczyny twych kłopotów, sprawia wrażenie opłacalnej inwestycji i zapewnia większą ulgę niż nedorzeczne, darmowe rady przyjaciela.

Lecz Step był przekonany, mimo iż od niedawna wierzył w możliwości skutecznej terapii - że nigdy nie zabierze któregoś z dzieciaków do jednego z tych szamanów.

- Bo niby po co? - wyjaśniał swój pogląd DeAnne. - Jeżeli zabierzemy go do freudysty, dowiemy się tylko, że mnie chce zabić, a z tobą się przespać. Ktoś ze szkoły Junga połączy wyimaginowanych przyjaciół ze zbiorową podświadomością i jakimś mitem mówiącym o bohaterze z podwójną osobowością. Behawiorysta w rodzaju Skinnera spróbuje ożywić go i rozśmieszyć brzęczeniem dzwonka. A ci nowi goście od narkotyków nafaszerują go haszem i będzie musiał przespać resztę życia.

- Sami nic tu nie poradzimy - odparła DeAnne. - Potrzebujemy pomocy.

- Czy musi to od razu oznaczać zdanie się na ułomne teorie ludzi - zareplikował Step - zamiast zaufania temu, w co podobno wierzymy? Czy Stevie jest biologiczną maszyną, której geny działają zgodnie z przepisem, jaki mu przekazaliśmy? Czy też wiekuiłą inteligencją, odpowiedzialną za swoje zachowanie? Czy nie próbujemy pomóc synowi, by znalazł swój sposób na rozwiązanie własnych problemów? A może płacimy terapeutom, by nauczył go nowych, obcych kłamstw, w które ma uwierzyć?

DeAnne spojrzała na niego zimno, po czym powiedziała:

- No wiesz, my nie jesteśmy chrześcijańskimi scjentykami.

- A psychiatrzy nie są lekarzami - odbił piłeczkę Step.

- A właśnie, że są.

- Legitymowanie się dyplomem z medycyny nie oznacza jeszcze, że się jest lekarzem - oświadczył Step. - Ludzie oczekujący na przyjęcie do kliniki zdrowieją dokładnie w tym samym tempie co ludzie poddawani terapii.

- Sama czytałam ten artykuł - odrzekła DeAnne. - Ale zauważyłam dodatkowo, że kliniki nie czynią żadnej krzywdy. A może zabierając Stewiego do lekarza, uświadomimy chłopcu, jak bardzo o niego dbamy.

- Albo pomyśli, że uważamy, iż zwariował - powiedział Step.

- Bawi się z wyimaginowanymi przyjaciółmi.

- Psychiatrzy kosztują tysiące dolarów - rzucił Step, wiedząc, że tajna broń w każdej dyskusji z DeAnne zawsze okazywała się skuteczna: mówił, że nie stać ich i koniec.

- Dziewięćdziesiąt dolarów to nie majątek - odparła DeAnne.

Zauważył teraz, jak poważnie podchodzi do sprawy.

- A więc już zdążyłaś sprawdzić?

- Co się tyczy kosztów, tak. Poszłam do pediatry Jenny, który dał mi nazwiska trzech psychiatrów dziecięcych w Steuben. Dzwoniłam do wszystkich, pytając, ile biorą za usługę. Wszyscy tyle samo - dziewięćdziesiąt dolarów za godzinę. Pytanie tylko, czy ubezpieczenie w Eight Bits Inc. pokryje wydatek na psychiatrę.

- Nie pokryje.

- Nawet o to nie zapytasz?

Obecnie Step musiał coś wyznać.

- Już to zrobiłem.

Roześmiała się, ale w tym śmiechu słychać było nutkę złości.

- Ty hipokryto.

- Ciągle o tym wspominasz, odkąd zauważyłaś tych wyimaginowanych przyjaciół. Wiedziałem, że tak właśnie zechcesz postąpić, musiałem więc się upewnić, czy zwrócą nam poniesione koszty. Niestety nie.

Spojrzała nań, chcąc powiedzieć coś naprawdę niebezpiecznego - znał tę minę, wiedział, że decydowała, czy warto jest wywoływać awanturę, która niechybnie nastąpiłaby po jej słowach.

Oszczędził jej trudu podejmowania decyzji.

- Masz zamiar oskarżyć mnie o kłamstwo?

- Wcale nie! - zaprzeczyła.

- Wahalaś się, czyby mi nie powiedzieć, że sama zadzwonisz do Eight Bits Inc. z pytaniem, czy pokryją koszty.

- To nie to samo co nazwanie cię kłamcą. Po prostu upewnienie się. Bo może pomyśleli, że chodzi ci o kurację u psychiatry dla dorosłych, której ubezpieczenie nie pokrywa, w przeciwieństwie do terapii dziecięcej.

- Ach, rozumiem. Nie jestem kłamcą, tyle że nie potrafię przeprowadzić efektywnej rozmowy z drugim dorosłym. Musisz sprawdzić, czy nie zapomniałem o takiej drobnostce.

- Ludzie nie są nieomylni! - broniła się.

- Tak, proszę pani, to prawda - odparł Step i ruszył, by wyjść z pokoju.

- Nie rób tego! - krzyknęła za nim.

- Nie rób czego? - zapytał.

- Nie opuszczaj mnie.

Słowa zawisły w powietrzu.

- Jest ogromna różnica - odpowiedział Step - między opuszczeniem ciebie i opuszczeniem pokoju. Akurat teraz opuszczam pokój. - Otwierała już usta, by coś powiedzieć, ale nie dał jej szansy. - Akurat teraz - powtórzył.

Otworzył drzwi do sypialni i wyszedł na korytarz. Spostrzegł, że Robbie i Betsy bawią się spokojnie w pokoju Robbiego, nie w dziennym, jak uprzednio przypuszczał. Step i DeAnne podnieśli nieco głośno w czasie sprzeczki - czy dzieci słyszały?

- Cześć, dzieciaki - przywitał je. - Co was tu sprowadza?

- Stevie kazał nam się wynosić - odparł Robbie.

- Czy wam tu dobrze?

- Tak.

Lecz Robbie miał żalowaną minę, która potwierdziła fałszywy ton w jego głosie, świadczący o zmartwieniu.

- Co z tobą, Chrabąszczu?

- Stevie już mnie nie lubi - rzekł Robbie. Usilnie starał się nie rozpłakać.

- Na pewno cię lubi, Robocie - zapewnił go Step. Usiadł przy Robbiem i objął go. Betsy, oczywiście, też zaniósł się płaczem, widząc, że Robbie płaczem zdobywa tyle względów u tatusia. Step także ją objął, lecz jego uwaga skierowana była całkowicie na Robbiego. - Stevie po prostu przeżywa trudny okres.

- Co w tym takiego trudnego? - zapytał Robbie. - Siada sam i gra w gry komputerowe albo gra z Jackiem i Scottym zamiast ze mną.

- Z Jackiem i Scottym?

- Zawsze gra z nimi w piratów lub w pociąg, lub w coś innego, nie chce zagrać ze mną, a Betsy nie jest zabawna.

- Zabawna - powtórzyła Betsy.

- Bo ona jest jeszcze malutka.

- Dziecko w brzusi u mamusi - powiedziała Betsy.

- Chrabąszczu, nie jest łatwo, myślisz, że tego nie wiem? - rzekł Step. - Steviemu jest ciężko w szkole, prócz tego chyba trochę się gniewa na mnie, że kazałem mu się przeprowadzić. Przez to większość czasu spędza samotnie.

- No to czemu ciągle bawi się z Jackiem i Scottym? - spytał.

Step musiał się zastanowić. Co u licha miał na to odpowiedzieć? Musisz zrozumieć, Robbie, że twój brat ucieka od rzeczywistości do cudownego, magicznego świata, pełnego dobrych przyjaciół, który ma tylko jedną wadę - żadna druga istota ludzka nie ma doń wstępu.

- Robbie, nie mógłbyś jeszcze przez jakiś czas wytrzymać? - poprosił. - On cię nie nienawidzi. On cię kocha, naprawdę. Po prostu teraz nie jest w stanie ci tego okazać. Za rok od tej chwili wspomnisz ten czas i powiesz...

- Tylko nie mów „za rok” - rzekł Robbie z odrazą.

- Czemu nie?

- Bo tak właśnie mama zawsze mówi: „Za rok od teraz wspomnisz ten czas i będziesz się śmiać”.

Ta imitacja DeAnne była perfekcyjna. Step musiał się roześmiać.

- Umiesz też podrobić mój głos?

Robbie natychmiast zniżył barwę głosu i huknął:

- Życie to suka, co nie?

- Suka - powtórzyła jak echo Betsy.

Step był przerażony.

- Nigdy tego wam nie mówiłem.

- No nie, mówisz tak do mamy, gdy sądzisz, że nie słuchamy - powiedział Robbie. Wydawał się niezmiernie dumny z siebie.

- No cóż, teraz wiem, że jednak słuchacie.

- Co to jest suka, tatusiu? - spytał Robbie.

- To tylko takie słowo na określenie mamy psa - wyjaśnił Step.

- Hau, hau - śmiała się Betsy.

- Dlaczego mówiłeś, że życie to mama psa? - spytał Robbie.

- Tak mówi mama psa! - wykrzyknęła Betsy. - Hau, hau, hau!

- Uwierz mi, Robbie, kiedy dorośniesz, nie będziesz musiał nawet pytać. Odpowiedź sama przyjdzie.

Step wyswobodził się i wstał. DeAnne stała w progu u wejścia do pokoju chłopców, trzęsąc się od tłumionego śmiechu.

- Jeśli będziesz powstrzymywać śmiech, dziecko może wyskoczyć.

Zaniosła się jeszcze większym śmiechem, wciąż jednak cichym.

- Czy naprawdę mogłoby wyskoczyć? - zapytał Robbie.

- Nie, Chrabąszczu, to taki kawał - odpowiedział Step.

- Dlaczego to jest kawał, choć ja nie sędzę, żeby był śmieszny? - indagował Robbie. - Kiedy ja mówię kawał, a ty myślisz, że nie jest śmieszny, mówisz: „To żaden kawał”.

- Ponieważ jestem oficjalnym sędzią śmiechu Ameryki - odparł Step. - Kiedy w 1980 roku wybrano Ronalda Reagana na prezydenta, mnie się dostał urząd państwowego sędziego śmiechu. Jeśli więc mówię, że to kawał, to jest to kawał, a jeśli mówię, że nie, to nie. W przyszłym roku wybiorą kogoś innego, ponieważ nie będę kandydował.

- Czy to prawda, mamó? - zapytał Robbie.

- A co myślałeś? - spytała DeAnne, jej oczy błyskały wesołością.

- Założę się, że to też kawał - powiedział Robbie.

- Masz zupełną rację, mój ty bystrzaku - rzekł Step.

- Skoro mama się śmieje, to znaczy, że już nie będziecie na siebie wrzeszczeć? - zapytał Robbie.

Przy słowie „wrzeszczeć” Betsy otworzyła buzię i wydała przeciągły, małpi okrzyk.

- Betsy, nie rób tego więcej! - przykazała jej DeAnne. - Słyszać cię na ulicy. Ludzie pomyślą, że znęcamy się nad dziećmi.

- Nie wrzeszczeliśmy na siebie - rzekł Step.

- A właśnie, że wrzeszczeliście - upierał się Robbie.

- Sprzeczałyśmy się tylko, gdyż na pewien temat mieliśmy różne zdania - wyjaśnił Step. - To się zdarza. Może i podnieśliśmy głosy za wysoko, ale to tylko dlatego, że sprawa ma dla nas duże znaczenie.

- Jaka sprawa?

Dzięki Bogu, że nie rozumiał treści słów, których używaliśmy, pomyślał Step.

- Rozmawialiśmy o sprawach, o których mówią tylko dorośli.

Robbie intonował szyderczo:

- Do. Rośli. Do. Rośli.

- Ha, sam kiedyś będziesz dorosły, nie będziesz wtedy uważał tego za taką przyjemność.

Oto na czym stała kwestia zabrania Steviego do psychiatry - na niczym. Tak stanowił pierwszy ustęp pierwszego artykułu w niepisanej konstytucji ich małżeństwa: jeśli się w czymś nie zgodzą, nastąpi rozejm, którego nikt nie ma prawa złamać. Zamiast tego oboje składają sobie przyrzeczenie, że rozważą zdanie drugiej strony. Tak więc Step rozmyślał nad punktem widzenia DeAnne, DeAnne natomiast nad argumentami Stepa. Tym razem jednak Step wiedział, że nigdy, przenigdy nie popuści żonie, która nigdy, przenigdy nie zgodzi się z jego zdaniem.

Tyle tylko że gdzieś na rubieżach umysłu kołatało mu się przeświadczenie, że jednak spojrzy na sprawę z jej punktu widzenia. Że kiedyś w przyszłości dojdzie do wniosku, iż ta sprawa naprawdę ich przerasta i Stevie nie zamierza tak łatwo zerwać znajomości ze swymi wyimaginowanymi przyjaciółmi. Wówczas Step przekroczy próg gabinetu psychiatry, wlokąc własnego syna do szamana, by urokiem wypędził z chłopaka złe duchy. Złościł się na samą myśl o tym, wierząc desperacko w to, że wypadki potoczą się inaczej, że wyimaginowani przyjaciele sami zechcą opuścić chłopca.

W końcu Ray Keene rozesłał wici, że nadszedł najwyższy czas, aby personel odpowiedzialny za tworzenie oprogramowania ustosunkował się do standardu IBM PC. Najwyższa pora, pomyślał Step. Teraz rozstrzygnie się, czy będę mógł podpisać kontrakt z Agamemnonem, ten duży, który pozwoli mi rzucić pracę i nie oglądać więcej fizjonomii Raya Keene'a i Dicky'ego Northangera. Jeśli Eight Bits Inc. zdecyduje się machnąć ręką na IBM.

Mnóstwo przesłanek wskazywało, że tak właśnie się stanie. Najważniejszym powodem był fakt, że PC od początku był maszyną ułomną. System operacyjny był niezgrabną imitacją CP/M; kolorowa grafika stanowiła jedynie opcję, a jeśli zdecydowałeś się już na nieprzyzwoicie wysoką dopłatę, by cieszyć się barwą, otrzymywałeś tylko cztery kolory naraz na ekranie. Żadnej rekompensaty nie stanowiła możliwość przełączania się pomiędzy kolorami chłodnymi i ciepłymi. Jedyny wydobywający się dźwięk pochodził z odpychającego głośniczka wmontowanego w płytę, przy każdym brzęknięciu człowiek się podrywał i biegł otworzyć drzwi. Wyglądało na to, że ktoś przebadał Atari 800 i Commodore'a 64 i powiedział: „Jak by tu rozmontować te maszyny, by nie zostało nic, co mogłoby przyciągnąć jakiegokolwiek klienta?”

To samo powtarzali inni programiści. Z jaką przyjemnością Step utwierdziłby ich w tym przekonaniu! Dicky przekazałby jego negatywny raport Rayowi Keene'owi, pomysł by upadł, Step odszedłby



czysty.

Tylko że nie byłby czysty. Ponieważ wiedział, że rezygnacja z wspierania IBM będzie na dłuższą metę podzwonnym Eight Bits Inc. Jeżeli nie powie prawdy, do jakich wniosków doszedł w czasie opłacanym przez Eight Bits Inc., okaże się oszustem i łgarzem; nawet jeżeli nikt się o tym nie dowie, to Step będzie musiał z tym żyć.

Twierdził więc, co następuje:

- W porządku, jest ułomny. Lecz ma jedną cechę, której pozbawione są mikrokomputery do tej pory wyprodukowane.

- Cóż to takiego? - spytał Glass. W jego głosie zabrzmiało wyzwanie, gdyż był najbardziej zagorzałym wrogiem PC.

Step wskazał na napis IBM na obudowie.

- A co to jest? - zdziwił się Glass. - To nic nie znaczy!

- To znaczy wszystko - odparł Step. - To wielka narodowa potęga marketingowa, to zaufanie, reputacja, ogromne korporacje chętne wydawać sto tysięcy lub pół miliona dolarów, by te maszyny znalazły się na ich biurkach.

- Nie zajmujemy się oprogramowaniem dla biznesu - wtrącił Dicky spokojnie.

- Takie oprogramowanie ktoś będzie robił - rzekł Step. - Ktoś wypuści potężny edytor tekstu, naszpikowany bajerami, gdyż w takiej skrzynce można umieścić 256 kilobajtów RAM-u albo 512 kilobajtów; realne staje się stworzenie edytora, który wstanie i zatańczy, jeśli mu się każe.

- Nikt nigdy nie włoży w to 512 kilobajtów pamięci operacyjnej - sprzeciwił się Glass. - Nie można wypełnić 512 kilobajtów sensownym kodem!

- Nie wściekaj się na mnie, Glass - powiedział Step. - Po prostu mówię, co myślę. Ta maszyna to kupa gówna, lecz zawsze to IBM-owska kupa gówna, a kiedy dzisiaj mamy do czynienia z połową miliona sześćdziesiąteczwórek w domach, jutro będziemy musieli sprostać jednemu, dwóm, trzem milionom tych maszyn na pulpitach biurka.

- A jaka to różnica, co znajduje się na pulpitach biurka? - rzekł Dicky wzgardliwie. - Nie zajmujemy się oprogramowaniem dla biznesu, piszemy programy dla użytkowników domowych.

- Sądzisz, że biznesmen nie potrzebuje od czasu do czasu wytchnienia przy gierce? Sądzisz, że biznesmen nie zechciałby mieć w domu prawdziwego komputera?

- Nie za taką cenę - odparł Dicky. - Tu przynajmniej dostaje Commodore'a 64 wraz z drukarką i monitorem, płacąc o połowę mniej niż za pudełko IBM.

Step uświadomił sobie, że postępując uczciwie, osiągnął zakładany cel. Im bardziej Step głosował za

rozwojem software'u dla peceta, tym bardziej Dicky optował za odrzuceniem myśli o przestawieniu się na nowe tory. Gdybym planował rozwój wypadków, nie zgrałbym ich aż tak doskonale, pomyślał. Tak więc z lekkim sercem powiedział:

- Mylisz się, Dicky. Przed nami nowa era, w której na rynku królować będzie jedynie IBM.

- Z wyjątkiem Apple'a - uzupełnił Gallowglass. - Ta firma - krzak nie zginie, choćby ich komputery były nie wiem jak bezużyteczne.

- Zapominasz o Lisie - zauważył Dicky. To był kawał, więc wszyscy się roześmiali. Biedna, żałosna Lisa: toporna, kosztowna maszyna, której jedynym chwytem reklamowym jest możliwość zobrazowania pliku rysunkiem zamiast przyporządkowaną mu nazwą - tak jakby ktoś potrzebował obrazka, by połapać się, że plik to plik! - Step prawdopodobnie sądzi, że na rynku nie pozostanie nic prócz IBM i Lisy.

- Proszę wyrazić dowolną opinię - odparł Step. - Nie mogę się kłócić na temat każdej usterki, jaką zawiera IBM PC. Powiedz Rayowi po prostu, że ja jestem odmiennego zdania, okej?

- Och, nie omieszkać mu tego powiedzieć - zapewnił go Dicky. - Powiem mu, że zgadzasz się z osądem naszym, programistów, lecz twoja głęboka wiedza i rozległe doświadczenia w biznesie każą ci głosować za poparciem IBM, bazującego całkowicie na biznesowych zastosowaniach. Sądzę, że natychmiast poszukam Raya.

Dicky z buńczuczną miną opuścił pomieszczenie.

Step miał ochotę podskoczyć z radości.

- Człowieku, aleś został osrany - powiedział jeden z programistów.

- Lecz przez zasmańca Dicky'ego - dodał Glass - więc pachniesz teraz jak obsypany płatkami róży.

- Lub bratków.

- Chanel No. 2 - podsumował Step. Wszyscy rozeszli się rozweseleni.

Robbie i Betsy zostali bezpiecznie przypięci pasami na przednich siedzeniach, podczas gdy nieprzeliczona horda Jenny podskakiwała z tyłu renaulta, niczym piłeczki pingpongowe w pomieszczeniu pełnym pułapek na myszy.

- Nie ufasz pasom bezpieczeństwa? - zapytała DeAnne pierwszego razu, kiedy wspólnie jechali samochodem.

- Wierzę w pasy bezpieczeństwa - odpowiedziała Jenny - lecz producenci samochodów nie wierzą w duże rodziny. Nigdy nie ma ich dość.

- Możesz przypiąć te, dla których starczy - zasugerowała DeAnne.

- A co z tymi nie przypiętymi, jak to odbiorą? - odparła Jenny. - Mama kocha pozostałe dzieci, nie chce, by zginęły w kraksie, lecz wy nie potrzebujecie pasów.

DeAnne roześmiała się, mimo to wciąż odczuwała mdłości.

- Więc rozwiązanie brzmi: nie chronić żadnego? Dlaczego nie przypniesz ich po dwoje?

Jenny popatrzyła na nią poważnie.

- DeAnne, założę się, że wprowadzę w wiek dorosły tyle samo żywych dzieci co ty. Za miesiąc wyjeżdżam ze Steuben, zatem założmy po prostu, że w życiu każdego człowieka są sprawy, których nie można naprawić.

- Przykro mi - powiedziała DeAnne. - Nie krytykowałam cię, po prostu czegoś nie rozumiem.

- Ja też czegoś nie rozumiem - przytaknęła Jenny. - Ale mamy przecież dostarczyć jeszcze ten obiad do domu siostry Ho.

DeAnne niechętnie wycofała samochód z podjazdu Cowperów, wraz ze Stepem nigdy nie łamała zasady, zgodnie z którą w poruszającym się samochodzie wszyscy pasażerowie muszą być przypięci.

Maj miał się już ku końcowi. Raz bądź dwa razy w tygodniu zdarzało się coś, co wymagało od DeAnne i Jenny pewnego rodzaju posługi, narzucanej przez Stowarzyszenie Pomocy. „Miłosierna posługa” niezmiennie oznaczała przyrządzenie dla kogoś posiłku. Dziecko w szpitalu? Stowarzyszenia Pomocy przybywa z obiadem. Mąż stracił pracę? Znowu obiad. W łóżku na zapalenie płuc? Obiad.

Nie, pomyślała DeAnne. To niesprawiedliwe. Stowarzyszenie Pomocy zajmuje się wieloma innymi sprawami - wizytami w szpitalach, zabieraniem starych wdów na zakupy, ostatnio siostra Bigelow spędziła trzy dni, pomagając w przeprowadzce kobiecie mającej dwóch synów - jej samochód uległ wypadkowi na 1-40 - do wynajętej przyczepy na kołach z pożyczonymi meblami. A te posiłki są chyba jedyną rzeczą, której załatwienie powierza się DeAnne i Jenny.

DeAnne stawiała się tym coraz bardziej znużona.

- Czy nie ma w tej gminie jakiejś przodowniczkii miłosiernej pomocy? - DeAnne zapytała rano Jenny przez telefon. Dzieciaki bawiły się na podwórku za domem, a ona siedziała, ponieważ dziecko tak potwornie rozciągało jej brzuch, że stanie wymagało tyle wysiłku, co dźwiganie ciężkich skrzyń.

- Jest taka jedna - odpowiedziała Jenny. - Siostra Opyer. Ktoś natchniony musiał ją powołać. Wiem to, gdyż żadna rozsądna osoba nie wpadłaby na ten pomysł. Co najdziwniejsze, kiedy tylko Ruby zadzwoni do niej, by coś zrobiła, ta okazuje się obłożnie chora. Teraz Ruby dzwoni do nas.

- Dlaczego nikt jej nie zwolni, by na jej miejsce powołać kogoś innego?

- Tego się u nas nie robi - odparła Jenny. - Siostra Opyer pragnie tego stanowiska - tyle że nie chce nic robić. Więc kiedy Rubi ją zwolni, wpadnie w rozpacz i przestanie praktykować, a wszystkie kobiety z gminy zakrzykną, że to Ruby wydalila ją z Kościoła.

- Ależ to nonsens!

- Jeszcze nie rozumiesz południa, DeAnne - powiedziała Jenny. - Daję ci jeszcze rok. Wówczas zaświta ci, że ci wszyscy, słodcy, mili, grzeczni ludzie dźgają cię nożem w plecy, wtedy się domyślisz, że to banda hipokrytów na tyle grzeczna, by porozumiewać się z tobą szyfrem. Kiedy mówią: „Z wielką przyjemnością, kiedy tylko znajdę czas”, znaczy to: „Lepiej sama się tym zajmij, bo ja mam to gdzieś”. Kiedy mówią: „Masz świetne pomysły”, znaczy to: „Palma ci odbija, kobieto!” Musisz po prostu zrozumieć ten szyfr.

- Po jakim czasie go pojęłaś?

- Ciągle się go uczę - rzekła Jenny. - Wciąż mnie zaskakują. Główna reguła jednak mówi, że „tak” znaczy „może”, a „może” znaczy „nie”.

- Dlaczego nie grają w otwarte karty?

- Konfrontacja! - wykrzyknęła Jenny. - To oznaczałoby konfrontację! Powiedzieć „nie” Bogu prosto w oczy? Niemożliwe. Żaden prawdziwy południowiec nie jest do tego zdolny. Tak nie przystoi. To jest grubiańskie.

- Ja przynajmniej zawsze mówię to, co myślę, wolę też, gdy inni podobnie postępują.

- Oczywiście - zgodziła się Jenny. - Ty pochodzisz z zachodu. A wszyscy południowcy w naszej gminie uważają, że my z zachodu jesteśmy najbardziej nieokrzesanymi, zarozumiałymi, nadętymi, nieznośnymi, swarliwymi, gburowatymi, szukającymi zaczepki wścibskimi szubrawcami, jacy kiedykolwiek przekroczyli Missisipi. Nadążasz?

- Czy tak się wyrażają kowboje? - zapytała.

- Zaufaj mi - powiedziała Jenny. - Nigdy nie namówisz południowca - przewodniczącą Stowarzyszenia Pomocy - by zwolniła kogokolwiek ze stanowiska bez jego zgody. Ach, zaczęłaby biadolić: „Jakiż to ciężar dla ciebie, siostrze Opyer, nie wiem, jak ty dajesz sobie radę, perełko, sama jesteś biedna, a dźwigasz jeszcze to brzemień powołania?” A gdyby w tym momencie siostra Opyer odpowiedziała: „Czasem jest mi ciężko, ale jakoś daję sobie radę”, wówczas Ruby zwolniłaby ją z miejsca. Ale zamiast tego siostra Opyer powie - byłam i pamiętam - „Och, siostrze Bigelow, tylko to powołanie podtrzymuje moją wiarę, mojemu życiu przydaje treści świadomość, że sama cierpiąc, jestem w stanie pomóc drugiej osobie”. Domyślasz się chyba, że po tej wypowiedzi Ruby nie może mieć nadziei na zwolnienie siostry Opyer, nawet gdy ta będzie umierająca.

- Więc my odwalamy za nią całą pracę - powiedziała DeAnne.

- Posłuchaj, to praca dla Pana, musi zostać wykonana, a wykonać ją potrafimy tylko my.

- Jesteś lepszą chrześcijanką ode mnie.  
- Więc co wolisz przygotować: sałatkę czy potrawkę?

- Wolałabym ciastka.

- Zapomnij o tym - powiedziała Jenny. - Nie wiesz, jak przyrządza się południowe ciastka, a nie mam czasu wyjaśniać ci tego.

- Wszystkie one wyglądają dla mnie jak sławetne Bisquicki.

- Nigdy nie wymawiaj słowa „Bisquick” między kobietami w tej gminie. Równie dobrze mogłabyś naszyć szkarłatne „B” na sukni.

- W takim razie sałatka - wybrała DeAnne.

Zamiast więc odpoczywać, DeAnne sporządziła sałatkę z galaretką i wsunęła ją do lodówki, żeby się ustąpiła. Później, około pierwszej trzydzieści, kiedy dzieciaki powinny drzemać, DeAnne zaciągnęła Robbiego i Betsy do samochodu, po czym pojechała po Jenny i jej potomstwo. Zastanawiały się wcześniej, czyby jedna z nich nie mogła zająć się wszystkimi dziećmi, podczas gdy druga zawiezie posiłek. Doszły jednak do wniosku, że DeAnne jest w zbyt zaawansowanej ciąży, prócz tego wyczerpana walką z dziką załogą Jenny, poza tym DeAnne wpadała w popłoch, kiedy tylko jej dzieci miały przebywać w mieszkaniu Cowperów. Jednym słowem Jenny znała drogę, a DeAnne nie mogła znieść myśli o pozostaniu w domu. Pojechały więc razem, zabierając dzieci.

Rodzina, dla której wiozły posiłek, mieszkała daleko w głębi hrabstwa, podczas długiej drogi powrotnej wszystkie dzieci posnęły. Po cichu Jenny zapytała, co słyhać u Steviego.

- Zdecydowaliście w końcu spróbować pod jednym z adresów, które macie od doktora Greenwalda?

- Step sprzeciwia się zabieraniu chłopca do kogoś takiego - odparła DeAnne. - Sprzeciwia się na serio. Nie kieruje się rozsądkiem. Chybaby się szybciej zgodził na to, bym z kimś miała romans.

- Ach, ci mężczyźni. - Jenny pokiwała głową. - A mówią, że to my zachowujemy się irracjonalnie.

- No cóż, jest w tym jakaś część prawdy, lecz on tego nigdy nie mówi.

- Czy ma jakichś krewnych, którzy są psychiatrami?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Po prostu mój wujek handluje mieszkaniem, przez co nienawidzę wszystkich takich handlarzy. Gdy tylko widzę któregoś, sięgam po pistolet.

- Z powodu własnego wujka?

- To parszywiec nad parszywcami - powiedziała Jenny. - Nie wchodzę w szczegóły z powodu tych

szkrabów z tyłu, lecz wierz mi, gdybyś tylko znała tego typu, głosowałabyś za karą śmierci za nachalne zachowanie.

- No cóż, tak czy inaczej nie ma w rodzinie żadnych psychiatrów - rzekła DeAnne.

- Więc kiedy masz zamiar zabrać Steviego?

- Mówiłam już, Step na to nie pozwoli.

- Jesteś w domu - tłumaczyła Jenny. - Teraz, kiedy pracuje jak człowiek, a koledzy przywożą go z pracy, masz samochód. Prócz tego masz książeczkę czekową. Zabierz Steviego, a potem postaw Stepa przed faktem dokonanym.

DeAnne była przerażona.

- Naprawdę postąpiłabyś podobnie ze Spike'em?

- Jeśli Spike kiedykolwiek postawił mnie w sytuacji bez wyjścia i zabronił zrobić coś, czego potrzebowałyby moje dzieci, nie wahałabym się!

- Właściwie to Step nie postawił mnie w sytuacji bez wyjścia - powątpiewała DeAnne. - Po prostu się nie dogadaliśmy, to wszystko.

- W takim razie jakież to problem? - zdziwiła się DeAnne. - Jeśli ci tego nie zabronił, do dzieła!

DeAnne czuła się zakłopotana. Zdawało jej się, że Jenny pochodzi z obcego plemienia, w którym obowiązują odmienne zwyczaje małżeńskie.

- Jenny - powiedziała. - Step i ja nie podejmujemy żadnych kroków dotyczących dzieci bez wzajemnego porozumienia.

- Właśnie to widzę - odparła. - Dziecko wykrwawia się na śmierć na trawniku, ty zaś rozmawiasz o tym ze Stepem przez telefon.

- No bez przesady. - Postanowiła, że lepiej już nic nie mówić.

Po minucie Jenny przerwała ciszę.

- Hej, jeżeli chcesz mnie zabić, poczekaj przynajmniej, aż wyprowadzę dzieci z samochodu.

- Co? - zdziwiła się DeAnne.

- Jedziesz niemal sześćdziesiątką, a tu jest ograniczenie do trzydziestu pięciu mil na godzinę.

Miała rację. DeAnne natychmiast nacisnęła hamulec i dzieci przechyliły się do przodu, wydając przez sen mrukliwe odgłosy.

- Przepraszam - powiedziała DeAnne.

- Jak chcesz, to się na mnie wściekaj, ale to na Stepa jesteś wściekła i sama o tym wiesz. Nazwij to, jak chcesz, lecz on powstrzymuje cię od zrobienia czegoś, co w twoim przekonaniu jest dla dziecka dobre. Niedźwiedzica, która w tobie siedzi, nie jest zadowolona, DeAnne. Poza tym jedna z tych lekarek mieszka w naszej gminie. Może i nie jest sama członkiem, ale syn do nas przysłał.

DeAnne szybko powiązała w myśli fakty.

- Stepowi ostatnio przydzielono towarzysza do nauczania w domach, który pasuje do tej układanki. Młody człowiek, którego matka nie należy do nas, ale odwozi syna do kościoła.

- To właśnie ta - zgodziła się Jenny. - Jest psychiatrą. Dr Greenwald powiedział mi, że u niej najpewniej nie ma zapisów.

- A co, jest do niczego?

- Ponieważ jest kobietą - wyjaśniła Jenny. - Większość mężczyzn źle znosi wizytę u terapeutki, a wiele kobiet dobrze znosi wizyty u terapeutów. Albo przypuszcza, że tak jest - jak twierdzi dr Greenwald. To tak jak z ginekologami. Ja na przykład nie mogę zrozumieć, dlaczego kobiety wciąż chodzą na badanie do mężczyzny, kiedy już w tym fachu spotyka się wiele kobiet. Tak czy inaczej ma ona związki z Kościołem i jest sympatyczna. Ona prędzej zrozumie.

- Zrozumie co?

Jenny roześmiała się.

- Widzę, że nigdy nie byłaś u psychiatry. Oni sądzą, że ludzie religijni to wariaci.

- To nieprawda - zaprzeczyła DeAnne, wspominając od razu Sheilę Redmond z Vigor. - Znałam taką jedną terapeutkę, która wraz z mężem była oddana Kościołowi. Nie mormońskiemu, lecz z pewnością nie uważała, żeby religijność była wariactwem.

- Czy kiedykolwiek zdawałaś test na osobowość? Minnesota Multiphasic?

DeAnne przypomniała sobie, że istotnie, raz. Lecz wspomnienie zatarło się już w pamięci.

- Pytają cię w kółko, czy wierzysz, że Bóg czasem mówi do ciebie? A przecież to cała nasza religia, no nie? Że Bóg wciąż przemawia do istot ludzkich. I zgodnie z ich szablonami kwalifikują nas do wariatów!

Po raz pierwszy DeAnne zaczęła myśleć, że może Step ma rację. Jeśli psychiatrzy naprawdę tak się zachowują, zabranie Steviemu na rozmowę z takim człowiekiem mogło oznaczać katastrofę. Jak powiedział Step, rzadko im wychodzi leczenie. A jeśli psychiatra wyperswaduje Steviemu wiarę w ewangelię...

- Ja po prostu mówię - ciągnęła Jenny - że może uda ci się przekonać Stepa, gdy pozna lekarza i zaufa mu. Upewnij się zatem, że zaczniesz nauczać i spotka się z matką Lee Weeksa.

Step wrócił do domu obarczony trofeami: kopią umowy o zatrudnienie, wykluczającą Hacker Snacka i każdą pracę, jaką by wykonywał dla komputerów nie wspieranych przez Eight Bits Inc., poza tym miał zaświadczenie od Raya Keene'a, zgodnie z którym Eight Bits Inc. nie zamierzało wesprzeć IBM. Pomyślał, że DeAnne będzie zachwycona.

- Teraz mogę rzucić tę pracę - powiedział.

- Nie bardzo - odparła.

- Klauzula zawarta w kontrakcie z Agamemnonem mówi, że w dowolnej chwili w ciągu pierwszych sześciu miesięcy mogę wysłać im list stwierdzający, że będę programował na PC i to wystarczy. Dostajemy czek. A kiedy dostarczę Hacker Snacka na sześćdziesiątkę, dostajemy kolejny czek. A kiedy wręcę Hacker Snacka na peceta, dostajemy jeszcze jeden czek. Co oznacza, że przed Bożym Narodzeniem, jeśli będę ciężko pracował i dostatecznie szybko nauczę się nowego języka maszyny, całkowity nasz dochód w tym roku przekroczy pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Fajnie, jeśli ta cała kasa przyjdzie - powiedziała DeAnne. - Lecz co z chwilą obecną? Może zauważyłeś, że w lipcu dojdzie dziecko. Wątpię, czy dostaniemy nową polisę ubezpieczeniową, która pokryje istniejącą już ciążę.

Step przez moment spoglądał na jej brzuch, jakby oczekując na jakiś pomysł ze strony dziecka.

- Nie wolno ci rzucać pracy przed narodzeniem się dziecka - oświadczyła. - Wygląda na to, że pierwszy czek od Agamemnona ledwo pokryje opłatę za dom w Vigor. - Wyciągnęła kartkę. - Ostrzegają nas, że mamy trzydzieści dni na uregulowanie płatności, zanim pozbawią nas możliwości dalszego spłacania.

- Nie rozumiesz tego? - zapytał Step. - Jeśli teraz odejdę, będziemy mieć dość pieniędzy, by spłacić dom i utrzymać dodatkowe dziecko.

- Sądziś, że nie przyjrzałam się liczbom? Myślisz, że nie przeczytałam kontraktu z Agamemnonem? Że nie przeliczyłam co do jednego centa wszystkich naszych wydatków? Jeśli teraz odejdziesz, a ciąża przebiegnie niepomyślnie, wpadniemy w kłopoty, z których nie wygrzebiemy się nigdy. Potrzebne nam ubezpieczenie. Musimy mieć zapewnione pokrycie ewentualnych kosztów.

Z jednej strony miała rację, z drugiej nie.

- DeAnne, decyzja Raya, by nie wspierać IBM, to poważny błąd. Kiedyś się otrząśnie - a sądzę, że niedługo - i ukaże się drugie oświadczenie. Jeśli chcę odejść i przejść bezpośrednio do projektów dla peceta muszę to zrobić prędko. Ale jeśli Eight Bits Inc. będzie w czasie mojego odejścia wspierało IBM, będę musiał poczekać rok, nim zrobię cokolwiek prócz Hacker Snacka dla



Agamemnona. A prawda jest taka, że nie możemy cały rok żyć z jednego Hacker Snacka, choćby się nie wiem jak świetnie sprzedawał.

DeAnne spoglądała w drugą stronę. Dostrzegł, że z wysiłkiem panuje nad emocjami.

- W takim razie nie wiem już, co mamy robić - powiedziała.

- Nawet nie stać mnie, by kupić sobie peceta, dopóki nie skorzystam z przysługującej mi w kontrakcie opcji i nie zainkasuję czeku od Agamemnona - dodał Step.

- Jeżeli stracimy dom w Indianie, konsekwencje tego zaciążą na naszej przyszłości. Przy każdym podaniu o pożyczkę będą nas pytać: Czy kiedykolwiek mieliście problem ze zwrotem pożyczki? Czy zablokowano wam kredyt?

- Nie stracimy tego domu - powiedział Step stanowczo. - Obniżymy cenę sprzedaży, co ty na to? Nawet nie weźmiemy równowartości. To jakby piętnaście tysięcy splukać w klozecie, ale...

- Więcej - sprostowała DeAnne. - Co z pieniędzmi, jakie wydaliśmy na nowe meble i klimatyzację, instalację elektryczną, okna Andersena? Szkoda, że musieliśmy się przeprowadzić! Gdybyśmy tam zostali, a ty pojechałbyś do San Francisco, kontrakt z Agamemnonem dawno już byłby podpisany, my mieszkalibyśmy w starym domu, a...

- DeAnne - przerwał jej Step. - Co nam teraz po gdybaniu? Skąd mogliśmy wiedzieć, że Agamemnon będzie zainteresowany moją osobą, przecież napisaliśmy do niego? Poza tym, za co miałem jechać do San Francisco? Byliśmy goli.

- Wiem. Lecz czuję, jakbyśmy kręcili się w wirze, zasysani, trzymając się jedynie tej pracy, by nie zatonać.

- Powinniśmy się trzymać jedynie mej umiejętności opracowywania gier - odparł Step. - W tym jestem dobry. Przekonałem się w Eight Bits Inc. Naprawdę dostrzegam rzeczy, których nie widzą inni programiści. Mam do tego smykałkę. Musisz mi zaufać, DeAnne, a nie czekowi od Raya Keene'a.

- Nie mów w ten sposób! - W jej oczach pokazał się ogień. - Nie śmieć nigdy mówić w ten sposób! Zaufać tobie - powierzyłam ci całe moje życie, życie moich dzieci, moją przyszłość! Nie wytykaj mi zatem, że mówiąc, byś nie rzucał pracy, nim urodzi się dziecko, okazuję ci brak zaufania.

- Kłócimy się o pieniądze - powiedział Step.

- O nic się nie kłócimy - zaprzeczyła DeAnne. - Po prostu się martwimy.

- Przez jakiś czas jeszcze zatrzymam tę pracę. Lecz gdy tylko zaczniesz wyglądać na to, że Ray Keene ma ochotę zmienić politykę firmy, zwalnięm się bez wahania. Nawet bez wcześniejszego powiadomienia. Nie stać mnie na zrezygnowanie z Agamemnona.

- W takim razie załatwione.

Step jednak wiedział, że tak nie było. Ray Keene nie okaże najdrobniejszym gestem, że zamierza zmienić zdanie. Po prostu roześle nowe oświadczenie, ogłaszając, że Eight Bits Inc. zaczyna wspierać PC. Nie będzie nawet wzmianki o tym, że kiedykolwiek było inaczej. Step stanie nieruchomo, wpatrując się w papier, czując, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Będę wówczas pod kontrolą Dicky'ego, pomyślał Step. Na całe lata.

Niemniej czuł, że obawy DeAnne przeważały nad jego własnymi. Nie odejdzie z pracy, będą się po prostu modlić, by Ray Keene okazał się prawdziwym głupcem.

Aby rozładować powstałe napięcie, zdecydował się przygotować obiad. Danie było proste - pieczony tuńczyk i kanapki z serem. W czasie tej lekkiej pracy DeAnne mogła położyć się i odpocząć. Zamiast tego jednak pozostała w kuchni i zabierała się do krojenia kapusty na sałatkę. Step wiedział, że jej sposób na odpoczynek polega na pozostaniu z nim i rozmawianiu. Jego sposób był dokładnie przeciwny. Potrzebował побыć sam w kuchni, skoncentrować się na bieżącej pracy - przygotowaniu obiadu. Wówczas się rozluźniał. Lecz DeAnne chyba wiecznie o tym zapominała. Kiedy tylko dostrzegła, że jest spięty, zdenerwowany lub przygnębiony, starała się usługiwać mu, fruwać koło niego, gawędzić, aż miał ochotę krzyknąć: „Dasz ty mi wreszcie święty spokój!?” Zawsze się jednak hamował. Teraz też stał spokojnie przy kuchni, pozwalając, by opowiedziała mu o wydarzeniach dnia, by się wywnętrzyla, wiedząc, że później oderwie się od niej, zasiądzie w swym gabinecie przed klawiaturą sześćdziesiątkiczwórki i będzie kontynuował pracę nad adaptacją Hacker Snacka. Mógł się wtedy odciąć od całego świata, podczas pracy w samotności odczuwał ulgę.

Kiedy Step wciąż był zajęty mieszaniem tuńczyka z przyprawą, rozdzwonił się telefon. Głos należał do kobiety.

- Czy mówię z panem Fletcherem?

- Tak - odpowiedział Step. - A z kim mam przyjemność?

- Jestem matką Lee Weeksa. Rozumiem, że zamierza go pan gdzieś wziąć wieczorem?

Step był zbity z tropu. Jeszcze nie dzwonił do Lee Weeksa. Zbyt był zajęty. Zbliżał się koniec miesiąca i musiał zadzwonić do niego, jeśli chciał zaliczyć w maju jakąś domową lekcję. Nawet wspomniał o tym DeAnne. Zupełnie wypadło mu to później z głowy. A już z pewnością nie planował wybierać się na lekcję dziś wieczorem.

- Proszę dać mi sekundkę - rzucił do słuchawki. - Czy może pani chwilę poczekać?

- Oczywiście - zgodziła się pani Weeks.

Step zasłonił mikrofon i spojrzał na DeAnne.

- To matka mojego towarzysza w domowym nauczaniu. Sądzi, że dziś wieczór zamierzam wybrać się gdzieś z jej synem.

- To jasne - odparła DeAnne. - Zadzwoniłam do niej za ciebie. Sądziłam, że chcesz, abym to za ciebie załatwiła.

- Dziś wieczór? - skrzywił się. - Czemu nic mi o tym nie wspomniałaś?

- Właściwie to nie rozmawiałam z nikim - sprostowała DeAnne. - Zostawiłam wiadomość na sekretarce, to wszystko. Że chcesz pójść z nim uczyć. Chyba nie wspomniałam, że ma to być dzisiaj, lecz może coś, co powiedziałam, kazało jej tak przypuszczać.

Step odsłonił słuchawkę.

- Przepraszam za opóźnienie - powiedział. - Tak. Chciałem wziąć Lee z sobą. Przydzielono mnie jako jego towarzysza. Zajmujemy się odwiedzaniem mieszkań rodzin niektórych członków naszej gminy. Trochę ich uczymy, pytając też, czy czegoś nie potrzebują. Jesteśmy takimi Świętymi Mikołajami, choć bez bród.

Zaśmiała się.

- W porządku, brzmi nieźle. Lecz chciałabym się z panem zobaczyć, nim wyjdziecie. Wie pan, że on nie prowadzi. Czasem próbuje, ale musi pan zrozumieć, że jemu nie wolno. Nie ma prawa jazdy. Muszę się z panem spotkać.

- Nie widzę przeszkód - zgodził się Step. - Z przyjemnością się z panią spotkam, poza tym nie pozwolę mu prowadzić. - Co ona sobie wyobraża, pomyślał, że ile lat ma jej syn? Mając dziewiętnaście lat, biedaczysko ciągle zasłonięty był fartuchem matki, chroniącym go przed wszystkimi, którzy przyjeżdżali, by zabrać go gdziekolwiek. I takie larum zrobiła wokół niedopuszczania go do kierownicy.

Może jest epileptykiem lub kimś takim? A może nie potrafi prowadzić, a jej nadopiekuńczość nie ma tu nic do rzeczy? Trzeba dać kobiecie szansę na wyjaśnienie.

- O siódmej trzydzięci Lee będzie gotowy - powiedziała pani Weeks. - Sądzi pan, że wróci do domu o dziewiątej?

- Między dziewiątą a dziewiątą trzydzięci - oszacował Step. - W żadnym wypadku nie będziemy mogli odwiedzać nikogo w późnych godzinach.

- W takim razie oczekuję spotkania.

Wy tłumaczyła mu, jak dojechać, po czym się pożegnali.

Step wrócił do swego tuńczyka, minę miał posępną.

- Nastawiłem się, że dziś na serio ruszę z tym Hacker Snackiem - powiedział. - Tego wieczoru nie miałem wcale ochoty łączyć po domach.

- Przykro mi - odrzekła DeAnne. - Przemyślałam wszystko, co powiedziałam. Jestem pewna, że brzmiało to tak: „Mój mąż, Stephen Fletcher, chce umówić się na nauczanie w domach z Lee Weeksem”. To ona zinterpretowała wiadomość, że chodzi o dzisiejszy wieczór.

- Nic nie szkodzi - odparł. - Wcale cię nie winiłem. - DeAnne wyglądała naprawdę na zmartwioną. Albo przygnębioną. Wciąż się nie uspokoiła po tej rozmowie dotyczącej zwalniania się z pracy. - Ma przyjemny głos.

- Zatem wybierasz się odwiedzić jakiś dom?

- Tak.

Zdawało się, że odetchnęła. Co znowu, czyżby martwiła się, że odchodzę od Kościoła? Dlaczego poczuła ulgę, gdy zgodził się dziś nauczać?

Nieważne.

Zapalił palnik.

- Gdy tylko sałatka będzie gotowa, zrobię tosty - powiedział.

- Oczywiście - przytaknęła. - Zawołam dzieci. - Wstała ciężko od stolika i wyszła z kuchni.

Zostały jeszcze całe dwa miesiące, pomyślał Step, a jest już tak wielka, że zaczyna chodzić jak kaczką. Jak zatem będzie wyglądać pod koniec lipca?

Lee Weeks mieszkał w prostym, wiejskim domku na prowincji, otoczonym rozległym podwórkiem, zaprojektowanym i utrzymanym z pedantyczną drobiazgowością. Ktoś tu lubi zadzierać nosa, pomyślał, wjeżdżając na kolisty podjazd. Zaparkował przed frontowymi drzwiami.

Pani Weeks otworzyła drzwi. Była szczupła i Step wyobraził sobie, że na pewno uważa się za wysoką, choć oczywiście była od niego o wiele niższa. Zaprowadziła go do pokoju dziennego, gdzie przystąpiła do rozmowy; miał świadomość, że bierze go na spytki, lecz nie spodziewał się, że akurat takie informacje będzie z niego wyciągać. Zapytała, z czego utrzymuje rodzinę - standardowy amerykański szacunek statusu - potem jednak przeszła do podejrzanej wiązki zagadnień, włączając w to politykę lokalną.

Stopniowo zaczęło mu świtać, że zdaje egzamin. Jaki był tego powód? Wydobyła z niego opinię, że wielorasowe miejskie szkoły powinny się zjednoczyć ze szkołami okręgowymi, do których głównie uczęszczali biali. Potem odzegnał się od Jesse Helmsa i jego rasistowskich ataków na gubernatora Hunta, przypuszczalnego rywala w następnych wyborach. W jaki sposób mogło się to wszystko wiązać z Lee Weeksem? Lecz dopiero gdy matka Lee przekonała się, że Step gorąco opowiada się za prawami człowieka, przywołała ostatecznie do pokoju swego chłopczyka.

Chłopczyka! Kiedy wmaszerował do pokoju, Step zdał sobie sprawę, że chłopczyk musi mieć przynajmniej sześć stóp pięć cali, ponieważ Step, mający sześć stóp dwa cale, patrzył prosto na podbródek Lee. Dziewiętnaście lat, wzrost odpowiedni dla centra w NBA, a matka ciągle zakazywała mu prowadzić czy wychodzić z nieznajomymi, dopóki ich wpierw nie przepytala. Faktycznie dziwne. Zwłaszcza że był naprawdę przystojnym dzieciakiem. Z pewnością wkrótce zauważy, że podoba się dziewczynom, i wyrwie się spod kurateli mamy.

Mimo to Lee był dość wesoły. Kiedy w końcu wsiedli do samochodu, Lee zaniósł się śmiechem i powiedział:

- Niezłe z mamy ziółko, nie?

- Bardzo interesująca kobieta.

- Wszystkich traktuje jak pacjentów. - Lee zdawał się przepelniony z trudem powściąganą wesołością.

- Pacjentów?

- Och, ona jest łapiduchem, nie wiedziałeś? Nie czułeś się przypadkiem, jakby poddano cię analizie?

- Chyba coś takiego czułem - przyznał Step.

- Ale w ogóle jest fajna - stwierdził Lee.

Dziwne określenie własnej matki, pomyślał Step. I powiedział to z takim dystansem, jakby była dlań kimkolwiek. Nauczycielką. Szoferem.

Co prawda tym ostatnim była.

Godzina ósma minęła już dawno, więc Step nie mylił się, podejrzewając, że zdążą złożyć zaledwie jedną wizytę tego wieczoru. Step wybrał siostrę Highsmith, starszą wdowę, gdyż prawdopodobnie ugości ich z przyjemnością i nie namiesza aż tak, by pomysł podobnych odwiedzin wydał się Lee bezsensowny. Po drodze do jej domu Step w skrócie objaśnił, na czym polega całe nauczanie.

- Ach, więc nie dajemy, że tak powiem, lekcji? - spytał Lee.

- Zaledwie przesłanie. Bardzo zwięzłe. Potem nam się zwierza, a my pozwalamy jej się wygadać. Od dwudziestu lat jest wdową i lubi sobie pogadać. Niewiele ma towarzystwa, więc każdy gość ma czego słuchać. Ale o to chodzi - między innymi dlatego przychodzimy. By umocnić ją w przekonaniu, że ciągle coś łączy ją z Kościołem. I z życiem.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, że to twoja pierwsza wizyta u niej.

- To prawda. Jeszcze nigdy nie spotkałem tej siostry. A przynajmniej nie przypominam tego sobie.

- Więc skąd masz tyle informacji o niej? - spytał Lee.

- Jeszcze o niej niczego nie wiem.

- Od dwudziestu lat jest wdową, samotna, gaduła...

- Ach, to? To wszystko wiedział o niej przewodniczący zgromadzenia starszych. To znaczy, że już wcześniej odwiedzali ją domowi nauczyciele.

- Więc składamy raporty na temat tych ludzi?

- Człowieku, sugerujesz, że szpiegujemy, czy co? - zaśmiał się Step.

Lee się nie śmiał.

- Lee, to nie tak. Nie podpatrujemy nikogo. Ludzie mówią nam to, co chcą powiedzieć. Większość z tego to bzdury, które się opowiada koledze. Poza tym rozmawiamy tylko wtedy, gdy Kościół musi się włączyć. Jak na przykład ta jedna rodzina w Vigor, w Indianie. Ojciec był kierowcą ciężarówki, ale złamał nogę, grając w futbol. Nie byli nawet praktykujący, lecz byłem ich domowym nauczycielem, poszedłem do ich mieszkania i matka zalała mnie potokiem słów, jak to nie mają żadnych pieniędzy, ubezpieczenia, żadnej pomocy. Owszem, miała pracę, ale jak wyznała, płacono jej jak kobiecie, nie potrafili więc związać końca z końcem. Nie mieli nawet co jeść, dopóki nie dostała pieniędzy w poniedziałek. Zaprosiłem ich na obiad do domu. A potem załatwiłem im stałych nauczycieli i wszyscy razem poszliśmy do sklepu, gdzie zrobiliśmy zakupy na tydzień, które podrzuciliśmy im do domu.

- Och - powiedział Lee.

- Nikomu w gminie nie wspominaliśmy o tym, z wyjątkiem biskupa, który skontaktował się z nimi w sprawie doraźnej pomocy, ale wszystko odbyło się dyskretnie. Dowiadujesz się, czego im potrzeba, żeby tego dostarczyć. Jeśli to nazywa się szpiegowaniem, chciałbym, aby w moim życiu było więcej szpiegów. - Ostatnie zdanie Stepa nie trąciło gorzką ironią, przypuszczalnie wyznaczono kogoś, by odwiedził i jego rodzinę, nikt się jednak nie pokazał. Domowe nauczanie to wspaniały pomysł, lecz niezbyt powszechny, czasami sprowadzający się do okazyjnej wizyty, półgodzinnej cichej pogawędki, zakończonej słowami: „No cóż, dajcie znać, jeśli będzie wam czegoś potrzeba”. Później goście znikali na miesiąc. Lee nie powinien o tym jeszcze wiedzieć. Dlaczego nie miałby myśleć, że mormoni traktują domowe nauczanie z powagą, dbając jeden o drugiego? Jeszcze przyjdzie czas, że urok pryśnie, a w tym czasie Lee może nauczyć się postępować prawidłowo.

Kiedy przybyli pod budynek, w którym mieściło się mieszkanie siostry Highsmith, pozostali jeszcze przez chwilę w aucie, odmawiając krótką modlitwę pod przewodnictwem Stepa. Pomóż nam zorientować się, czego potrzebuje, i dać jej to; pozwól jej poznać, że może na nas polegać - ten rodzaj modlitwy. Na koniec podeszli do drzwi i zapukali.

Cała wieczność minęła, nim wreszcie podeszła, by otworzyć, lecz kiedy to się stało, zdało się im, że oczekuje wizyty pary królewskiej. Ubrana wykwintnie, śnieżnobiałe włosy wyglądały tak, jakby dopiero co opuściła salon piękności. Była grzeczna i elegancka, taki też był cały jej dom, choć na gust Stepa trochę zbyt wymuskany. Dom babci, pomyślał, dom babci, której wnuki nigdy nie odwiedzają, tak że nie trzeba niczego chować przed dziećmi.

Mimo to Step zauważył obrazki dzieci, więc skorzystał z okazji, aby o nie zapytać, i kwadrans upłynął na opowiadaniu, jakie są cudowne, tyle że rodzice nie traktują poważnie ewangelii, przez co dzieci są czasem nazbyt rozbrykane, wszystkie z wyjątkiem najstarszej dziewczynki syna, która jest dość poważną osobką i raz na miesiąc pisuje do babci list, bez żadnego nacisku ze strony rodziców, co jest miłą rzeczą w tym wieku, kiedy dzieci nie czują respektu.

Kiedy temat się rozwinął - to znaczy w chwili, gdy siostra Highsmith zaczęła wypytywać Stepa o jego rodzinę - odpowiedział jej zdawkowo i natychmiast skomentował brak w jej głosie południowego akcentu. I znowu piętnaście minut upłynęło na szerokich i barwnych opisach jej podróży, jak to wraz z Nickiem błąkała się tu i ówdzie, nim ostatecznie zrezygnował ze służby w wojsku i osiedlił się w Steuben. Zmarł dokładnie w rok po tym, jak przeszedł na emeryturę, a przed śmiercią zainwestował większość z tego, co uskładali, i cały jej spadek w licencję na prowadzenie restauracji szybkiej obsługi. Później okazało się, że „Der Wienerschnitzel” nie cieszy się aż taką popularnością w Steuben. Południowa kuchnia wyglądała trochę inaczej - połapali się poniewczasie. Południowcy gardzili musztardą, cebulą i hot dogami. Preferowali chilli, sałatkę z kapusty i miejsce do swobodnego gawędzenia. Nie mieli zamiaru płacić w tym celu cen „Der Wienerschnitzel”. Interes podupadł i choć straciła wszystkie pieniądze, nie rozpacziała, gdyż oprócz zabezpieczenia socjalnego otrzymywała pokaźną pensję. Jej życie z Nickiem było dobre; jeśliby żył, jeszcze ten interes mógłby się rozkręcić, była tego pewna. Teraz już tylko czekała, by Pan uznał za stosowne zabrać ją do niebieskiego domu, gdzie znów byłaby z Nickiem.

- Naprawdę myślisz, że jest w niebie? - zapytał Lee.

Były to pierwsze słowa w przybytku siostry Highsmith, jakie wymówił od chwili powitania na wstępie. Pytanie przez moment zawisło w powietrzu, gdyż siostra Highsmith decydowała, czy przypadkiem nie podważa jej twierdzenia o prawości męża.

- Brat Weeks jest u nas nowy w Kościele - pośpieszył z wyjaśnieniem Step. - Wątpię, żeby sugerował, że twój mąż nie przebywa w niebie, myślę, że zadał czysto doktrynalne pytanie.

- O, tak - zgodził się Lee. - Nie myślałem o tym w ten drugi sposób, nie, oczywiście jest w niebie! To znaczy, nawet ludzie sprzedający hamburgery mają wstęp do nieba, no nie? - Roześmiał się, a Step i siostra Highsmith zaśmiali się grzecznie wraz z nim, choć Step w tym czasie myślał: Okej, zabierzcie stąd tego chłopca. Najwidoczniej mamuśka nie dała synkowi zbyt wielu okazji, by dowiedział się, co się mówi, a czego nie, z czego można żartować, a co lepiej przemilczeć.

- Pytałem mianowicie - ciągnął Lee - czy sądzisz, że twój mąż jest bogiem.

Step skulił się w środku. Co państwo LeSueur wpoili w tego chłopaka? Step czuł wstręt do sposobu, w jaki niektórzy mormoni bawili się ideą boskości, jakby stanowiła ona pierwszą nagrodę na zabawie jarmarcznej, a naprawdę dobrzy mormoni mogli przynieść ją do domu pod postacią gigantycznego wypchanego misia.

- To znaczy właśnie to przyciągnęło mnie do mormonów - tłumaczył Lee. - Pomysł, że istoty ludzkie mogą przeistoczyć się w bogów. Zawsze czułem podobnie. A potem oglądałem ten film, na którym pokazano, w co wy, mormoni, wierzycie, zadzwoniłem zatem do kościoła w mieście i misjonarze natychmiast się zjawili.

- Jaki film masz na myśli? - spytał Step. - Czy aby nie przypadkiem „The Godmakers”?

- Tak, dokładnie ten - odparł Lee.

- To przecież antymormoński film - rzekł Step. - Wypacza naszą doktrynę poza dopuszczalne normy. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie, siostra Highsmith nie wierzy, by jej mąż był bogiem. Jest człowiekiem, dobrym człowiekiem - mam rację, siostrzo Highsmith?

- Człowiekiem najlepszego rodzaju - przytaknęła. - Nim przeszedł na emeryturę, został pułkownikiem.

- Tak - powiedział Step. - A teraz duch opuścił jego ciało, by żyć z tymi członkami rodziny, którzy zmarli wcześniej od niego. Lecz zrozum, Lee, że bycie dostatecznie świętym i doskonałym, by mieć pełny udział w dziele bożym, to rzadki przypadek, a kiedy już do tego dochodzi, to po długim rozwoju i długim życiu po śmierci, większość ludzi nie wspina się na tak wysoki szczybel. To się trochę różni od awansu na pułkownika. - Następnie, aby pomóc Lee zrozumieć, że dyskusja powinna się zakończyć w tym miejscu, dodał: - Ale tematem naszych dysput rzadko jest doktryna. - No chyba że nie mamy w sobie poczucia proporcji. Na miłość boską, my nawet nie rozumiemy, co Joseph Smith miał na myśli! Lepiej już skoncentrować się na miłości do sąsiadów, chronieniu swojego życia i życia wszystkich dokoła przed zmarnowaniem, zamiast zagłębiać się w tajemnicze doktryny.



Najwidoczniej tajemnicze doktryny były wszystkim, o czym w tej chwili Lee chciał rozmawiać.

- Nie przestaję myśleć o zostaniu bogiem - powiedział. - Myślę, że fajnie by było wymyślać planety i tym podobne rzeczy. Z pewnością wykonałbym lepsze dzieło niż ten świat.

Siostra Highsmith zbladła, Step wiedział, że nie będzie miała nic przeciwko temu, by wyprowadził teraz Lee z jej domu.

- No cóż - odezwał się Step - niezmiernie miło było panią poznać, siostrze Highsmith. Czy możemy pomodlić się krótko, zanim wyjdziemy?

- Och, czy musicie już iść? - zapytała.

Step skulił się powtórnie, czekając na obligatoryjne słowa w stylu „Nie idźcie, poczekajcie chwilę, jeszcze nie jest późno”.

Lecz nic takiego nie zostało powiedziane.

- Trudno, ale i tak wielce uprzejmie z waszej strony, że wstąpiliście do mnie. I będę szczęśliwa, jeśli ty wymówisz modlitwę, bracie Fletcher.

No tak, Lee naprawdę napiętnował ten wieczór aurą obcości. Siostra Highsmith zadowolona była, że już sobie idą - niezbyt udane zakończenie wieczoru.

W samochodzie Lee zdawał się nieświadomy faktu, że powiedział coś nie tak.

- Fajnie było - rzekł zamiast tego - pogadać sobie o rzeczach, które od lat trzymałem w tajemnicy. To najlepsza sprawa, jeśli chodzi o mormonów: mogę wyznać me sekretne myśli i ludzie zrozumieją. Nie jak mama, nie mogę pisać jej słówka, bo przeanalizuje mnie na śmierć.

Mogę to zrozumieć, pomyślał Step, jeżeli zbyt wiele gadasz o zostaniu bogiem. I to jeszcze z psychologiem, a niech to!

- Czuję to, no wiesz, w środku - powiedział Lee. - Cały czas. Czasami nawet słyszę głos. I wiem, że to głos Boga, to obecność Boga, zupełnie tak jak mówiła mi siostra LeSueur. Powiedziała, że ma na mój temat wizję, że noszę w sobie nasienie boskości, że czekam tylko na to, by ewangelia wydobyła je ze mnie. Czasami wyobrażam sobie, że gdybym tylko mógł zedrzeć całą słabość tego ciała, które niczym kotwica trzyma mnie przy ziemi, mógłbym pofrunąć. I nie mam tu wcale na myśli niezgrabnego machania skrzydełkami, jak wróbel czy inny ptak, ale szybowanie w stronę gwiazd, z planety na planetę. Czasem tak się czuję. To znaczy, czasem wydaje mi się, jakbym już tego dokonał, jakbym wczoraj był na innej planecie, podobnej do tej, tyle że tamta nie była tak rzeczywista; ta jest rzeczywista, tamta była jakąś imitacją, a teraz po raz pierwszy dostrzegam, co znaczy realność, co znaczy żyć; myślę sobie, że nikt tego nie dostrzega, jestem jedynym, który to widzi, gdyż Bóg wewnątrz mnie otworzył mi oczy. To znaczy, każdy widzi to co ja, lecz nie widzi tego naprawdę. Widzą i nie widzą, mogą i nie...

Zaczynał mówić, jakby w napadzie szaleństwa, jakby właściwe słowo leżało w zasięgu ręki, lecz nie

mógł go namacać. Zatem Step zaoferował się zakończyć tę niemożliwą myśl.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy postrzegają tylko oczami, lecz ty dostrzegasz?

- Całą moją duszą - potwierdził Lee. - Tak, nie inaczej! To musi być Duch Boży, łączący nasze ogniwa, tak że wiesz, co mówię, nawet zanim to wypowiem!

Brat Freebody powinien był trochę wyraźniej ostrzec Stepa, zamiast mówić tylko, że Lee Weeks kieruje się ku nieco dziwnym ideom dotyczącym doktryny. A może Lee nie zachowywał się w tak ekstremalny sposób, kiedy Freebody z nim rozmawiał. Może wreszcie Freebody nie wierzył w to, co słyszy, kiedy Lee snuł swą opowieść.

- Czasami zaś sędzę, że jestem jedyną realną osobą na świecie. Bez obrazy - Lee dodał szybko.

- To nie jest wcale takie odosobnione odczucie - powiedział Step. - Zwie się to solipsyzm. Pogląd, zgodnie z którym wszystko jest nierealne poza tobą.

- O, nie, ja nie mówię tu o zwyczajnym odczuciu, którego każdy może doznać. Mam na myśli, że Bóg widzi mnie i rozpoznaje, jako pokrewnego ducha, jako zaginionego bliźniaka. Nikt prócz mnie tak nie myśli. Tylko nie mogę podzielić się tą myślą z nikim oprócz mormonów, gdyż jedynie wy rozumiecie! Wiecie o takich rzeczach od dawna.

Cierpliwie Step próbował wyjaśnić fakt, że ewangelia Jezusa Chrystusa mówi głównie o tym, jak należy traktować bliźnich, nie zaś o przekształcaniu się w najpotężniejszą istotę we wszechświecie i zrównaniu się imieniem z samym Bogiem. To dobre dla tych świrów z telewizji, którzy opowiadają o Jezusie, jakby ten był ich dobrym kumplem ze szkoły średniej. Lee słuchał z uwagą wszystkiego, co Step miał do powiedzenia, kiwając z rozmysłem głową i zgadzając się z każdym słowem. Step był przekonany, że Lee nie dostrzega sedna wykładu, jakiego mu udziela.

Kiedy przybyli do domu Lee Weeksa, jego matka czekała już w progu. Skrupulatnie taksowała ich spojrzeniem, kiedy wychodzili z samochodu, a gdy Step podszedł do domu, promieniała. Dopiero na werandzie przyszło Stepowi na myśl, że nie ma powodu, by odprowadzać Lee do drzwi. Tak właśnie postępował w przypadku trzynastoletnich opiekunów do dzieci, by upewnić się, że wrócili bezpiecznie do domu. Towarzyszy domowego nauczania, starszych niż osiemnaście lat, wypuszcza się po prostu z auta. Z jakiegoś jednak powodu wydało się Stepowi konieczne, by podejść aż do drzwi.

- Proszę do środka - powiedziała ciepło. Całe jej zachowanie było teraz odmienne. Znowu mówiła podobnie, jak przez telefon. Cóż takiego wydarzyło się od godziny ósmej?

- Nie mogę zostać - odparł Step. - Muszę wracać do domu. Rzadko mam sposobność przebywać z rodziną.

- Ach, rozumiem - powiedziała, sprawiając wrażenie rozczarowanej. - Może innym razem.

- No cóż, najprawdopodobniej będziemy się widywali dwa razy w miesiącu. Mamy przydzielone cztery rodziny, które odwiedzamy co miesiąc.

Uniosła brwi, lecz zdawała się zadowolona.

- Jak miło - powiedziała. - Jakże przyjacielski Kościół tu macie.

- Tak przypuszczam - odparł Step, myśląc, jak ta przyjacielskość bywa czasem nużąca.

- Jak spisał się Lee? - zapytała.

Lee stał tuż obok. Było to dość obraźliwe, by pytać o niego, jakby bawił się zabawkami w sąsiednim pokoju, gdy tymczasem był już dorosłym mężczyzną, stojącym nieopodal. Mimo to Lee się uśmiechał. Zdawał się oczekiwać na pochlebną recenzję, taką więc otrzymał.

- Lee był wspaniały. Przemawiał bez ogródek i wizyta się udała.

Nie zachodziła potrzeba objaśniania mamusce, że Lee nieco sfiksował na punkcie doktryny. Aby to wyjaśnić, musiałby wyjaśnić założenia doktryny, która zawsze brzmiała trochę dziwacznie w uszach laików. A może powinna, tak czy inaczej - sposób, w jaki podszedł do niej Lee, nie był całkiem naturalny, był błędny. Trzeba dorosnąć, by ją pojąć, a rzecz jasna Lee ani nie dorósł, ani nie pojął.

Lecz będzie miał na to jeszcze mnóstwo czasu, jeśli pozostanie w Kościele. Wielu ludzi przychodzi do Kościoła, interpretując błędnie ewangelię - niezależnie, jak zdolni byli misjonarze, ludzie przejawiali tendencję do przesiewania poglądów przez sito własnych przemyśleń, z czego zawsze rodziło się coś trochę odchylnego od normy, czasem zaś dużo więcej niż trochę. Jeśli mimo to nie zniechęcali się, rozumiejąc w końcu, że prawidłowe opinie dotyczące doktryny nawet w przybliżeniu nie są tak ważne, jak nauka niesienia pomocy innym ludziom, przyjmowania i spełniania odpowiedzialnych zadań, z czasem trochę zmieniali zapatrywania, przynajmniej w takiej mierze, by nie martwić się tym, że większość mormonów widzi świat inaczej.

Ludzie spoza kręgu mormonów dostrzegali w nich automaty wypełniające wolę charyzmatycznego proroka, podobnie jak zwolennicy Jima Jonesa słuchali go w Gujanie. Rzeczywistość była jednak zgoła inna - uparte, samowolne jednostki, podążające każda w swoją stronę, biskupi i inni przewodnicy gmin z ledwością utrzymujący stado w jednym kawałku, tolerujący szeroki zakres doktrynalnych odstępstw, byle tylko ludzie akceptowali przydzielane im zadania i nie zawodzili. Nawet znalazło się miejsce dla Lee Weeksa, który zdawał się owładnięty przesadzoną świadomością swego boskiego potencjału; zważywszy na fakt, że w gminie działa taka osoba jak Dolores LeSueur, aspiracje Lee nie były czymś wyjątkowym.

- Taka jestem szczęśliwa - powiedziała mamuska. Stepowi ulżyło na widok uśmiechu pani Weeks.

Zaraz, zaraz, przecież to jest dr Weeks, czyż nie?

- Lee twierdzi, że jest pani psychologiem - rzekł Step. W pewnym stopniu myśl, że ta kobieta jest psychologiem, wydawała mu się bardzo ważna. Nagle uświadomił sobie dlaczego - Stevie. Stevie i pomysł DeAnne, co powinni dla niego zrobić. Nagle Step spojrział na dr Weeks nieco inaczej.

- Nie psychologiem - mówiła. - Psychiatrą. Tytuł wiele nie znaczy - zaledwie kilka lat nauki, potem

praktyki i specjalizacji - zachichotała.

- Przepraszam - rzekł Step. Chciał już dodać: „Lee właściwie powiedział, że jest pani łapiduchem”, lecz zmytygował się; przecież możliwe, że to właśnie ona wyrwie Steviego z towarzystwa Jacka i Scotty’ego.

- Och, przywykłam już do tego, że ludzie myślą różne gałęzie naszego fachu - powiedziała dr Weeks. - Nazywają mnie też psychoanalitikiem, co oczywiście też jest niewłaściwe. W ogóle to więcej tu z kapłaństwa niż z fachu.

Mówiła lekkim, zabawnym tonem, lecz Step wziął jej słowa za dobrą monetę. Polubił tę kobietę, tego łapiducha.

- W takim razie - pożegnał się - do następnego razu, okej?

- Jasne! - odpowiedział Lee.

Kiedy Step wrócił do domu, DeAnne krzątała się w kuchni, czekając na jego przybycie. Wszystko lśniło czystością, a ona czytała książkę. Powieść Anne Tyler, którą kupił jej ponad miesiąc temu.

- Dopiero tu jesteś? - zapytał.

- No wiesz, zaczęłam ją wtedy, kiedy mi ją dałeś - powiedziała. - Lecz później odłożyłam na jakiś czas, zniechęcona.

- Lecz znów się zapaliłaś?

Skrzywiła się.

- Jeden z bohaterów źle wyraził się na początku. Starsza kobieta leży w łóżku, przypuszczalnie umiera, cały czas żałując, że jej dzieci nie miały zastępczego ojca, zamiast tylko matki. Mąż odszedł z inną.

- I to cię tak wkurzyło?

- To nie, ale fakt, że zdecydowała się na drugie i trzecie dziecko dokładnie z tego powodu. Tak by mogła mieć zapasowe. Kiedy pierwsze niemal umarło na dławiec. Myślałam, że to najohydniejsza myśl, by mieć późniejsze dzieci tylko po to, by służyły jako zapas na wypadek straty młodszych.

- Nie jest to aż tak ohydne - zaprzeczył Step. - Ludzie myśleli podobnie od tysięcy lat. Znajdziesz to w Przypowieściach o mężczyźnie mającym wielu synów: Błogosławiony ten, który ma pełen kołczan, czy coś w tym rodzaju.

- Kołczan - zauważyła DeAnne. - Jakże falliczne.

- W rzeczywistości to strzała jest falliczna.

- Tak czy inaczej - DeAnne wróciła do tematu - po prostu nie mogłam uwierzyć, że Tyler naprawdę jest tego zdania. Zatem powtórnie przeczytałam początek i zdałam sobie sprawę, że to bohaterka tak sądzi, nie sama autorka. Dodatkowo bohaterka zrozumiała, że każde dziecko stanowi niewymienialną jednostkę, nie zaś część zamienną na wypadek zużycia się wcześniejszej.

- Więc teraz już możesz czytać.

- Kto by miał na to czas? Pomyślałam sobie jednak, że sprawdzę jeszcze raz, czy lubię ją dostatecznie, by zabrać powieść do szpitala.

- Do końca lipca zostały ci dwa miesiące.

- Wolę zaplanować wszystko z wyprzedzeniem. Co będzie, gdy przypadkowo utknę tam z magazynem „People”?

- Jeśli chcesz, przyniosę ci „Enquirer”, kiedy tylko urodzi się dziecko.

- Sądziłam, że masz już dość mojego rzygania.

Prawda jest taka, że tym razem niewiele wymiotowała. Najlepszy okres pod względem porannych dolegliwości ze wszystkich dotychczasowych ciąży. Może to i dobry znak? Może kolejne dziecko nie przysporzy żadnych kłopotów? Może Step nie będzie zmuszony leżeć koło jego łóżeczka przez pierwsze trzy lata, mruczając w kółko „Włazł kotek na płotek”. Może to nie będzie się budzić z krzykiem na wspomnienie koszmaru. Może nie będzie regularnie próbowało walnąć brata czy siostrę w głowę czymś ciężkim.

Wtedy przyszło Stepowi do głowy, że DeAnne nie dlatego siedzi przy kuchennym stole, by czytać książkę - równie dobrze mogła ją czytać w łóżku. Czekwała, by porozmawiać z nim w drugim końcu domu, z dala od dzieciaków.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nic - odpowiedziała. - Jak poszło?

- Fajnie. Lee jest trochę dziwny, lecz siostra Highsmith była w porządku. Przyjemna starsza pani, lubiąca pogadać, a z drugiej strony wcale przy tym nie nudzi, więc było okej. Niewiele też kłopotów i biadolenia. Większość z tego, co mówi, to przechwałki na temat zmarłego męża, cudownych dzieci, a nawet jeszcze cudowniejszych wnuków, na które ich głupi rodzice chuchają i głaszczą, psując je tym samym.

- Sądziłam, że jej dzieci są cudowne.

- Tylko jako dzieci - odparł z przekąsem Step. - Teraz, kiedy są rodzicami, stali się też głupi. Hej, z naszymi rodzicami też tak było, no nie? I z nami też jest podobnie.

- Naprawdę jesteśmy głupimi rodzicami, Step?

- Z definicji. Byłem świetnym rodzicem, póki nie przyszedł na świat Robbie. Wówczas wszystko, czego nauczyłem się o rodzicielstwie, uleciało oknem. Robbie różnił się od Steviego pod każdym względem, więc wszystko, co pasowało do Steviego, przestało pasować do Robbiego. Sądzę, że tak właśnie rozwija się syndrom drugiego dziecka. No wiesz, miłe, zgodne pierwsze dziecko, buntownicze i zajadłe drugie. Pierwsze dziecko wychowali ufni rodzice. Drugie wychowywali rodzice będący nerwowymi wrakami, próbujący stosować metody sprawdzone przy pierwszym dziecku. Nie dziwota, że drugie dzieci chcą spędzać większość okresu dorastania, wrzeszcząc na rodziców.

- Biedny Robbie. A jak wytłumaczysz temperament Elizabeth?

- Nie przeanalizowałem jeszcze syndromu trzeciego dziecka - odrzekł Step. - Daj mi trochę czasu. Ona wciąż jest bardzo mała.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Spotkałeś się z matką Lee? - zapytała w końcu.

- No pewnie - potwierdził Step. - Chyba to było nieuniknione. Broni Lee niczym tygryśka. Czułem się jak na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy, nim wreszcie zgodziła się przywołać Lee do pokoju.

- Mogę zrozumieć, co to opiekuńczość.

- No tak, szczególnie jeśli chodzi o Lee. Chłopak ma wypaczone pojęcie na temat mormonizmu.

- Naprawdę?

- On nie tylko nie może się doczekać, by Bóg pozwolił mu udać się na spoczynek, by dopiero wtedy przystąpić do działania, o jakim mówiła mu siostra LeSueur. On wręcz sądzi, że sam jest Bogiem, a przynajmniej jakimś bogiem, uważa więc, że mormonizm jest fajny, gdyż my wydajemy mu się jedynymi ludźmi, którzy dopuszczają myśl, że możliwe jest istnienie takiej boskiej osoby jak on.

- Przedziwne - powiedziała DeAnne.

- Jest jeszcze młody. Młodzi ludzie fantazjują na różne tematy. - Step rozmyślał o swojej młodzieńczej myśli, że zostanie kiedyś prezydentem lub sławnym generałem-zdobywcą, jak Fryderyk Wielki. Albo też lekarzem, odkrywcą lekarstwa na raka. Lecz teraz, kiedy te słowa przechodziły przez jego usta, pomyślał natychmiast o Steviem. O fantazjach Steviego. Nie mających nic wspólnego z megalomanią. Dotyczących przyjaciół, to wszystko. Dwóch przyjaciół. Czy to czyni z niego wariata? Jeśli już mowa o czymkolwiek dziecku, to Lee właśnie był wariatem. A jego matka - psychiatrą, na miłość boską!

- Jest także łapiduchem - powiedział Step, podążając za jedną z własnych myśli, a nie wątkiem konwersacji.

- Kto taki? - spytała DeAnne.

- Matka Lee - odparł. - Jest łapiduchem. Tak ją właśnie nazwał. Powiedział: „Ona jest łapiduchem. Ale w ogóle jest fajna”.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie, to znaczy, on tak powiedział. Że jest fajna, w ogóle. Jakby bycie fajnym oznaczało zaprzeczenie bycia łapiduchem.

- Tak więc teraz już znamy jakiegoś psychiatrę - podsumowała DeAnne.

- No, nie jesteśmy jeszcze bliskimi przyjaciółmi.

- Ale przynajmniej nie pošlemy Steviego do obcej osoby.

Nagle go oświeciło. DeAnne bardzo dobrze wiedziała, że dr Weeks jest psychiatrą. Jednak nie na tym kończyła się sprawa. DeAnne uknuła to spotkanie, nakłoniła go do podjęcia się tego kościelnego zadania, czego nie czyniła nigdy przedtem, a wszystko po to, by spotkał się z psychiatrą. W rzeczywistości dr Weeks była jednym z trzech lekarzy, których nazwiska zapisał jej pediatra Jenny. Nie może być aż tylu łapiduchów w mieście. DeAnne manipulowała nim. To wywołało u niego mdłości i gniew. Chciał powiedzieć coś naprawdę okrutnego i wyjść z kuchni.

Zamiast tego po prostu siedział, rozmyślając. Co ona faktycznie zrobiła? Najnormalniej w świecie pomogła mu zająć się nareszcie domowym nauczaniem. Po prostu stworzyła okoliczności, by mógł się spotkać z psychiatrą. Cóż w tym złego?

Nic mi nie powiedziała, o to właśnie chodzi. Wmanewrowała mnie, zamiast przekonać.

Lecz Step nie pozostawił jej wiele nadziei na to, że zmieni swe nastawienie. Zatem jeśli naprawdę myślała poważnie, by pomóc Stewiemu, mogła dojść do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Więc nie chodzi o to, że mną manipulowała. Nie - czuję gniew i mdłości ze wstydu, iż jestem mężem, którego żona musi uciekać się do podobnych praktyk, by uzyskać to, co w jej mniemaniu jest potrzebne dziecku.

Chyba jestem w jej opinii naprawdę okropnym ojcem, że musi robić ze mnie balona. Niczym żona olbrzyma z bajki, która robiła, co mogła, by uratować życie małej istotki, usuwając ją z drogi okrutnego, obrzydliwego męża tyrana.

Kiedy cisza trwała za długo, powiedział:

- Mogłabyś poszukać numeru telefonu do jej gabinetu i umówić Steviego na wizytę? Jeśli przyjmuje dzieci.

- Sądzisz, że mu pomoże?

Nie, pomyślał Step. Niewiele więcej wiem teraz o psychiatrach niż parę godzin temu. A nawet mniej, gdyż ona jest tak opiekuńcza w stosunku do własnego syna. Traktuje go ciągle jak dziecko. Nic dziwnego, że fantazjuje o potędze, kiedy ona tuli go do swojego fartuszka, jakby nawet nie potrafił

zapiąć po siusiani rozporoka. Cóż może poradzić mojemu synowi, kiedy jej własnym jest Lee Weeks?

To nie było fair. To, że nie dostrzegała problemów własnej rodziny, nie oznacza wcale, iż problemy innych też widziała przez mgłę. Będąc przewodniczącym zgromadzenia starszych, Step dostrzegał w życiu innych osób wszystkie rzeczy wyraźnie, lecz jego własne sprawy pozostawały ciągle w mroku.

- Niewykluczone - odparł. - Równie dobra szansa, jak każda inna. I jak już powiedziałaś, znamy ją.

- Ty ją znasz - sprostowała DeAnne.

- Tak czy inaczej, umów się na spotkanie. Potem zastanowimy się, jak wytłumaczyć Steviemu, że uważamy go za czubka.

- Najlepiej będzie, jeśli nie nazwiesz jej w jego obecności łapiduchem.

Ach, widzę, że już wszystko przemyślałaś, to pewne.

- W takim razie nie nazywaj jej też psychiatrą. Mów na nią terapeutka.

- Dlaczego nie? Psychiatra jest doktorem, terapeuta zaś nie. Sheila jest terapeutką.

- We współczesnej kulturze amerykańskiej - powiedział Step - skoro idziesz to psychiatry, oznacza to, że zbzikowałaś. Lecz kiedy idziesz do terapeuty, jesteś bogaty i wytwornie rozstrojony.

- Nie cierpię, kiedy odnosisz się do tej swojej „współczesnej kultury amerykańskiej”.

A ja nie cierpię, kiedy traktujesz mnie jak marionetkę, którą można kierować w dowolny sposób. Dotychczas nie wiedziałem jak bardzo tego nie cierpię, gdyż nie zachowywałaś się podobnie.

- Zrobić ci może coś do jedzenia? - zaproponowała DeAnne.

- Zdążyłem już przytyć jakieś piętnaście funtów, pracując w Eight Bits Inc. - odparł Step. - Automaty z balonikami zabijają mnie. Ostatnia rzecz, której potrzebuję, ma na imię przekąska.

- Tak tylko zapytałam. Coś cię trapi?

Tak.

- Nie, jestem po prostu wykończony. Nie planowałem na dzisiaj chodzenia po domach.

- Przykro mi. Powiedziałam ci, nie miałam zamiaru ustawiać tego na dzisiejszy wieczór, pomyślałam jedynie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym spróbowała skontaktować się z twoim towarzyszem. Idziesz do łóżka?

- Chyba tak - odpowiedział. - Czy jest coś dobrego w telewizji w czwartek wieczór?

- Mamy czterdzieści programów.



- No tak. Lecz trzydzieści trzy z nich to klony Jimmy'ego Staggarta, próbujące uleczyć hemofilików hemoglobina Ducha Świętego. A może to był Ernest Ainglee?

- Chodzi o tego ostrzyżonego na łyso faceta z dziwnymi oczami - powiedziała DeAnne. - Lepiej nie siedź za długo przed telewizorem. Rano idziesz do pracy, wiesz o tym.

DeAnne wyszła i nie dostrzegła, jak Step stęzał po tych słowach. Tak, rano do pracy. Muszę iść do pracy, ale wcale nie muszę pracować. Mógłbym jutro wejść i spokojnie wręczyć wypowiedzenie, przy okazji mówiąc Rayowi, gdzie może sobie włożyć swojego Dicky'ego. Mógłbym pozwolić, by mnie wylali, i zgarnąć bezrobocie. Lecz nie, bo ty nie pozwolisz mi się wyrwać spod obcasa Dicky'ego, gdyż nie ufasz mi, że zdołam zarobić na dziecko, nie ufasz mi nawet na tyle, by rozsądnie ze mną porozmawiać na temat znalezienia psychiatry dla Steviego. Musiałaś mnie wyrolować.

Step nie mógł znieść wściekłości, jaką czuł w stosunku do osoby, którą kochał najbardziej. Nie była to tęskna miłość młodzieńczego romansu, raczej taki jej rodzaj, który pozwalał mu odbierać ją jako integralną część siebie samego. Skutkiem czego nie wyobrażał sobie przyszłości bez niej. Dziki gniew na nią był straszny.

Podszedł do kranu, by napić się wody. Czy tak się właśnie zaczyna rozwód? Uczucie nienasyconej wściekłości, zdrady, nagłego odkrycia, iż małżeństwo być może nie jest tak realne, uczciwe i silne, jak uprzednio sądziłeś? Uczucie narasta, narasta, narasta i nagle znajdujesz się w innym mieszkaniu, a dzieci widzisz tylko w weekendy.

Nie, powiedział w duchu. Nie, zabraniam. Nie pozwolę, żeby tak się stało, ona też nie. Muszę po prostu popracować nad tym, aby być mężem, którym nie trzeba manipulować. Boże, pomóż mi być tym, czym ona chce, żebyśmy jakoś przetrwali chociaż to lato. Ten rok. A wtedy nie będziemy już potrzebować pomocy, wszystko się ułoży.

Odstawił szklankę i odwrócił się. Stała w wejściu, oczy miała podkrążone.

- Wiedziałam, że ona jest psychiatrą - powiedziała DeAnne.

- Co takiego?

- Obmyśliłam ten przydział dla ciebie, gdyż jej nazwisko widniało na liście doktora Greenwalda. Pomyślałam ponadto, że jeśli ją poznasz, może polubisz i będziesz chciał zabrać do niej Steviego. Nie okłamałam cię, ale i nie powiedziałam ci prawdy.

Łzy potoczyły jej się powoli po policzkach. Rękawem koszuli wytarła je ze złością.

- Wiem, że mnie teraz nienawidzisz - powiedziała. - Nie okłamujemy się przecież nigdy, a teraz ja złamałam tę zasadę.

Step podszedł do niej, objął ją.

- Wiedziałem, że ty wiedziałaś.

Odchyliła się i spojrzała do góry.

- Naprawdę?

- Wcześniej nie. Ale w kuchni wreszcie domyśliłem się, że mnie wrobiłaś.

- I nie wściekasz się za to?

- Byłem wściekły.

- Nic jednak nie powiedziałeś.

- Nie - przyznał. - Zamiast tego łyknąłem wody.

Zaśmiała się cienko, co zabrzmiało jak szloch.

- To wcale nie miało sensu - stwierdziła.

- Wiem, lecz to właśnie zrobiłem. A teraz już się nie gniewam, bo wszystko mi wyznałaś.

Rozpłakała się na serio. Przywarła do niego. Łzy ukojenia, ulgi.

- Step, możesz odejść z pracy. Naprawdę możesz. To błąd z mojej strony, że każę ci zostać. Nie znosisz tam chodzić, poradzimy sobie i tak, wiem to. Cóż z tego, że stracimy dom w Indianie? To tylko dom. To tylko pieniądze. Nie mogę ścierpieć myśli, że codziennie wychodzisz do znenawidzonej pracy, gdyż ja panicznie boję się rzeczy, które w życiu nas nie spotkały.

- Wszystko w porządku.

- Mówię poważnie - obstawała. - Możesz odejść. Nie musimy także zabierać Stewiego do psychiatry. Naprawdę nie upieram się, by postawić na swoim.

- Wiem - powiedział. Uświadomił sobie, że przynajmniej na razie rzeczywiście tak myśli. Lecz nie mógł brać tej kapitulacji na serio. Jej oczekiwanie, by pozostał w pracy, dopóki nie urodzi się dziecko, miało wytłumaczenie. A jeśli chodzi o zabranie Stewiego do psychiatry, było to jedyne rozwiązanie, które nasuwało się DeAnne, sfrustrowanej tym, że nie może pomóc synowi. Nie mógł jej tego zabronić, chyba że miałby lepszy pomysł, ale nie miał.

- Mówię poważnie - powtórzyła.

- Wiem, że mówisz poważnie - odrzekł. - Lecz nie odejdę. Przynajmniej na razie. Choć muszę się hamować, by nie przeciągać struny, sama rozumiesz.

- Rozumiem, Step, naprawdę rozumiem. To zależy od ciebie. Spodziewam się, że pewnego dnia wrócisz do domu i powiesz: „Już była najwyższa pora”, a ja się z tobą zgodzę. Chcę, byś wrócił do domu! Chcę, byś był ze mną i z dziećmi. Nasze życie było wtedy takie piękne.

- Trudno zaprzeczyć.

- I wciąż jest - dodała. - Moje życie jest wspaniałe, ponieważ ty w nim jesteś. Wszystko dobre w moim życiu pochodzi od ciebie.

Step potrzęsął głową. Wiedział, że mówi poważnie, lecz podświadomie wiedział też, że to nieprawda. Nawet to dobro, które w nim odnalazła, było tym samym dobrem, które sama w nim złożyła, dobrem, w które po to się przystroił, by wyszła za niego za męża. Wiedział, że będzie szczęśliwa tylko u boku męża dobrego w pewnych ważnych sprawach. Jak chodzenie do kościoła z absolutną wiarą, wypełnianie misji; przez całe dziewięć lat. Zatem to dla niej zaczął z powrotem uczęszczać do kościoła, tak by nigdy nie dowiedziała się, że poświęcił się w ten sposób z miłości dla niej, aby zostać jej częścią. Sądziła, że to jego własne pragnienie i za to go kochała. Jednak w rzeczywistości kochała samą siebie, w nim odbiła niczym w zwierciadle. Nawet teraz, kiedy go obejmowała, nie obejmowała wcale Stepa historyka ani Stepa programisty. Kochała Stepa przykładowego mormona, sama napisała mu tę rolę. Także Stepa ojca, co także było jej darem.

- Umów się jutro z dr Weeks - powiedział. - Zaczniemy z nim chodzić, kiedy skończy się szkoła, za tydzień, licząc od jutra. Przez to nigdy nie będzie musiał opuścić zajęć, by spotkać się z psychiatrą.

Jeszcze bardziej do niego przylgnęła.

- Naprawdę coś w tobie siedzi, Gałganiarzu - powiedziała.

Tak, pomyślał Step. Ale nie wyskoczy, póki nie pozwolisz.

Zdołał jednak w końcu zdusić w sobie złośliwość i po prostu ją tulił. Taka jest właśnie miłość, pomyślał. Robienie tego, na co się nie ma ochoty, ponieważ ona tego tak bardzo pragnie. Poza tym nie jest taka zła. I nie jest taka ciężka.

## **Rozdział dziewiąty**

### **Chrabąszcze**

Oto co Stevie otrzymał na swoje ósme urodziny, 3 czerwca 1983 roku: pierwszy zegarek; ogromny zestaw klocków Lego, z którego dało się zbudować zamek; cztery pary szortów i cztery kamizelki; pierwsze spodnie od garnituru, białą koszulę i dziecięcy krawat na niedzielę; prócz tego komputerową grę na Atari - Lode Runner. Była to przyzwoita liczba prezentów, na przekór sytuacji finansowej, lecz Step i DeAnne podejrzewali, że najlepszym prezentem, jaki otrzyma, będzie koniec szkoły w południe w dniu urodzin. Pożegna się z drugą klasą, ze szkołą, z dziećmi. Zacznie się lato i wypoczynek w domu.

Właśnie to znalazło się na napisanej przez Stepa kartce urodzinowej: „Udało ci się, szkoła już za tobą, byłeś odważny, dzielny, jesteśmy z ciebie dumni”. Stevie przeczytał kartkę w milczeniu, popatrzył w górę na ojca bez cienia emocji na twarzy, po czym rzekł:

- Dzięki.

W niedzielę Stevie po raz pierwszy przystroił się do kościoła w niedzielne ubranie, a kiedy biskup wywołał go na trybunę, by ogłosił, że przyjmie po południu chrzest, Step rozczulił się, widząc, jaki jego syn jeszcze jest mały, a z drugiej strony, jak bardzo już wyrósł; jak młody i stary zarazem jest teraz.

Po sakramentalnym spotkaniu DeAnne wyprowadziła dzieci do szkółki. Kiedy Step zabierał notatnik i Pismo Święte, zamierzając udać się na lekcję doktryny ewangelicznej, Lee Weeks doń podszedł, już na pierwszy rzut oka podniecony czymś i rozpromieniony.

- Twój syn będzie chrzczony! - powiedział.

- To prawda - odparł Step.

- No cóż, ja jestem kapłanem - pochwalił się Lee. - Wyświęcono mnie na kapłana tuż po tym, jak sam się ochrzciłem.

- To prawda - odparł Step lakonicznie. Wiedział, co za chwilę nastąpi. Nie mógł uwierzyć, że ktoś miałby czelność w tak niski sposób wpychać się do czyjejś rodziny.

- Zatem ja mogę ochrzcić twojego chłopaka! - obwieścił Lee.

Brat Freebody znalazł się przypadkowo w pobliżu, stał rozmawiając z kimś, lecz Step zauważył, że usłyszał wypowiedź Lee. Pokręcił głową współczująco.

- Jesteś upoważniony do chrzczenia - stwierdził Step. - Ale taki zwyczaj mamy w Kościele, że jeśli ojciec jest godnym kapłanem, sam chrzci własne dzieci.

- To jasne - przyznał Lee. - Ale ja jeszcze nikogo nie chrzcilem. To moja pierwsza szansa. Ty chrzcileś wielu ludzi. W czasie misji, prawda?

- Masz dziewiętnaście lat - powiedział Step. - Przygotuj się, a za rok wyświęcony zostaniesz na starszego zboru i samemu będziesz podejmować się misji i chrzcić każdego, kto otrzymuje od ciebie ewangelię.

- Dlaczego jednak miałbym czekać? - zapytał Lee.

- Bo Stevie jest moim synem - odparł Step.

- Tym bardziej - Lee nie dawał za wygraną. Zniżył nieznacznie głos. - Już ci mówiłem, Bóg jest ze mną. Udzielę mu prawdziwego chrztu. Jakiego Jan Chrzciciel udzielił Jezusowi.

- Lee, ja jestem takim samym kapłanem jak ty, jeśli chodzi o chrzczenie. Chrztost będzie tak samo ważny, jeśli ja go udzielę. Muszę teraz udać się do klasy.

Lee wyglądał... nie na dotkniętego, naprawdę, lecz... na jakiego? Złego. Tak, złego, pomyślał Step, pokonując przestrzeń między ławkami i zмирzając w stronę kaplicy. Wspaniale, Step, wspaniale, właśnie uraziłeś neofitę, którego specjalnie przydzielono ci jako towarzysza w domowym nauczaniu, byś mógł utwierdzić go w ewangelii.

Lecz za żadne skarby nikt prócz mnie nie będzie chrzczył mego najstarszego syna.

Później, na kapłańskim spotkaniu, Lee zdawał się nie pamiętać o ostatniej rozmowie - przekomarzał się i śmiał z innymi mężczyznami i chłopcami, a kilka razy nawet ze Stepem. Zatem wszystko było w porządku.

Jednak po południu, przy chrzcie, stało się jasne, że Lee niczego właściwie nie zrozumiał. Trwała zwykła msza. DeAnne grała na fortepianie, a Step śpiewał w chórze; biskup przemawiał przez minutę, po czym siostra Cowper wygłosiła mowę na temat znaczenia chrztu. W tym czasie Step wyprowadził Stewiego z pomieszczenia szkółki i zmierzał w stronę wejścia prowadzącego do chrzcielnicy, przechodząc przez szatnię, gdzie nałożyli uprzednio białe, chrzestne ubrania.

W holu stał Lee z matką, czekali. Tymczasem za nimi biskup i brat Cowper otwierali składane drzwi, odgradzające pomieszczenie szkółki i korytarz. Ludzie zaczęli wychodzić, wraz z nimi Lee, ubrany na białe od kołnierzyka aż po sportowe buty.

- Czy adidas są w porządku? - spytał Lee. - Nie mogliśmy znaleźć żadnych białych butów do garnituru.

- Lee - rzekł Step, próbując nie zawstydzić zbytnio chłopaka przed matką - tylko osoba chrzczona i osoba chrzcząca wkładają białe ubranie. Przykro mi, że się pomyliłeś. - Zwrócił się do dr Weeks: - Mam nadzieję, że nie sprawiło wam wiele kłopotu nabycie tego białego stroju?

- To znaczy, że Lee nie udziela chrztu? - spytała dr Weeks.

Lee uśmiechał się, jakby nigdy nic. Wyraźnie odsuwał Stepa na bok, by samemu udzielić chrztu. Ale tak się nie stanie, chyba że po trupie Stepa.

- Nie, pani Weeks. Wy tłumaczyłem Lee rano, kiedy zaofiarował się to zrobić, że w Kościele mormońskim, gdy tylko to możliwe, ojciec chrzci własne dziecko.

Wyraz twarzy dr Weeks spoważniał.

- Więc to jest niestosowne zachowanie? - spytała.

- Nie wiem, jak Lee mógł się tak pomylić - odparł Step.

- Lecz sam powiedziałaś, że mogę to zrobić - nalegał Lee. Jego głos był dość donośny, by zdobyć maksymalne współczucie świadków tego zdarzenia. Step wyczuł DeAnne podchodzącą z boku, stojącą przy nim.

- Nie, Lee - rzekł Step, także głośno. - Powiedziałem ci wyraźnie, że będziesz miał okazję chrzczyć, służąc w misjach, i że mojego pierwotnego syna ja dzisiaj ochrzczę. Jestem pewny, że zdajesz sobie sprawę, iż nigdy nie mogłem powiedzieć czegoś innego, w żadnych okolicznościach.

- Chodź, idziemy stąd, Lee - rzekła dr Weeks lodowato. Step nie potrafił odgadnąć, czy złościła się na niego, na Lee, czy - najgorszy wariant - na Kościół.

DeAnne dotknęła ramienia dr Weeks.

- Mam nadzieję, że rozumie pani - powiedziała miękko. - Nikt nie zamierzał poniżyć pani syna. To zwykłe nieporozumienie.

- Och, jestem przekonana, że Lee zrozumiał wszystko jak trzeba - powiedziała dr Weeks, też miękko i z trochę żalnym uśmiechem. - On po prostu przywykł naginać rzeczywistość do własnych potrzeb, oczekując, by inni się na to godzili. Mam nadzieję, że nie zrazi to państwa.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Step. Czuł ulgę, wiedziała, kogo naprawdę należy winić za to nieprzyjemne zajście.

- Zawstydziałaś mnie, matko - stwierdził Lee.

- Już czas wracać do domu - odparła.

- Czemu nie zostaniecie na chrzcie? - zapytała DeAnne.

- Widziałam chrzest Lee - odpowiedziała dr Weeks. - Wyobrażam sobie, że ten wyglądać będzie zupełnie tak samo.

- Chcę zostać - powiedział twardo Lee.

- Do domu, zaraz, Lee! - nakazała dr Weeks.

Nastała chwila ciszy, żadne się nie odzywało, na końcu Lee odwrócił się do Stepa i z beztróskim uśmiechem powiedział:

- Naprawdę, powinieneś mi pozwolić go ochrzcić. Tak byłoby najlepiej - po tych słowach odwrócił się i wraz z matką odmaszerował korytarzem w stronę południowo-wschodniego wyjścia ze zboru.

DeAnne uścisnęła mu ramię.

- Oni odchodzą, lecz wszyscy pozostali czekają - oznajmiła.

- No tak - otrząsnął się z zamyślenia - przepraszam. - Spojrzał w dół na Steviego i uśmiechnął się. - Co byś powiedział na to, byśmy już to mieli za sobą?

Stevie skinął głową.

W przebieralni, gdzie na haczykach wisiały ich niedzielne ubrania, Step zatrzymał się na chwilę, czując potrzebę wyjaśnienia.

- Lee Weeks jest po prostu podekscytowany tym, że ma święcenia kapłańskie - powiedział. - Źle zrozumiał, to wszystko.

Stevie spojrzał do góry w oczy Stepa.

- Myślę, że to czubek, tato.

A ja myślę, że ty jesteś tak samo normalny jak ja, pomyślał Step. Lecz musisz pójść do psychiatry, podczas gdy Lee chodzi jedynie nauczać po domach.

- Kocham cię, Stevie.

- Też cię kocham, tato - odparł Stevie. Lecz była to formalna, obowiązkowa odpowiedź.

Zbliżyli się do drzwi, które prowadziły z szatni do samej chrzcielnicy. Woda sięgała tuż nad drugi stopień od góry. Załamywała światło w ten sposób, że chrzcielnica sprawiała wrażenie niewiele głębszej od dziecięcego brodzika, lecz gdy tylko Stevie wszedł do niej, zdawała się połykać chłopca, obejmowała najpierw nogi, potem biodra, a na końcu Stevie tak się skurczył, że woda sięgała mu do ramion. Step wszedł za nim. Woda i była zimna, lecz Step szybko się przyzwyczyił. Podchodziła mu ledwo do bioder. Stevie jest taki maleńki, pomyślał. Jest zbyt młody, by brać odpowiedzialność za konsekwencje wszystkich przyszłych decyzji.

Wtedy przypomniał sobie, że Stevie dokonywał własnego wyboru, odkąd tylko nauczył się chodzić. Dla Steviego ten chrzest jest prawdopodobnie spóźniony o całe lata. Po prostu osiem lat, które wybrał Pan, należy traktować jako kompromis, to wszystko. Niektóre dzieci są na to gotowe już jako szkraby, inne dopiero wtedy, gdy osiągną wiek dojrzały. Steviego cechuje wrodzona mądrość i dobroć, jak kapłana Samuela, Salomona, Józefa, którego sprzedano do Egiptu, jak Jezusa.

Lewą dłonią Step odszukał prawy nadgarstek Steviego.

- Trzymaj się mojej ręki - przypomniał szeptem. - Tak jak ćwiczyliśmy.

Stevie sięgnął lewą ręką i chwycił lewy nadgarstek ojca. Jego ręka była taka mała, uścisk tak kurczowy, a jednocześnie tak słaby.

Stevie spróbował wyciągnąć prawą rękę i zatkać sobie nos.

- Jeszcze nie teraz - upomniał Step. - Po słowach.

Stevie czekał, kiedy Step wznosił prawą dłoń, zgodnie z formułą, przemawiając głośno, by oficjalni świadkowie słyszeli i upewnili się, że nie myli słów:

- Stephenie Bolivarze Fletcherze, będąc powołanym przez Jezusa Chrystusa, chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

- Amen - zamruczał tłum.

- Amen - szepnął Stevie.

Step uniósł prawą dłoń Stewiego ku twarzy, po czym chłopiec zacisnął nos.

- Schył się do kolan - wyszeptał Step. Stevie zamknął oczy i Step wepchnął go do wody. Woda jak zwykle stawiała opór, lecz Step cisnął Stewiego w dół, aż ten zanurzył się całkowicie. Dopiero wtedy pozwolił, by woda wypchnęła Stewiego z powrotem; kiedy chłopiec wyskoczył ponad lustro wody, ściskając mocno rękę Stepą, ten pomógł mu stanąć prosto. Stevie nabrał powietrza, puścił rękę Stepą, przetarł oczy.

Niektórzy z widzów chichotali z rozrzewnieniem. Wszyscy przeszli to samo. Znali uczucie, kiedy wychodzi się nad wodę. Dezorientacja. Głód powietrza, jak przy narodzeniu. Instynkt samozachowawczy przejmował kontrolę nad ciałem, a wszystko, o czym można było myśleć, to życie, oddychanie. Potem pojawiła się myśl: zimno mi. Czy białe ubranie jest przezroczyste? Czy wyglądałem głupio? Czy wszystko poszło dobrze? Czy jakaś część mnie wystawała nad wodę i zechcą mnie znowu zanurzyć?

Step patrzył to na biskupa, to na brata Cowpera, którzy pełnili funkcję oficjalnych świadków. Obaj skinęli głowami.

- Wszystko poszło jak po maśle - poinformował go Step. - Udało się za pierwszym razem.

Stevie przytaknął poważnie.

Biskup i brat Cowper zsunęli składane drzwi między chrzcielnicą a korytarzem. Wszyscy pozostali przeszli do pomieszczenia szkółki, gdzie czekali. Step i Stevie wygramolili się z wody, ich zimne ubrania ociekały, ciążyły.

W szatni wytarli się i przebrali na powrót w wyjściowe ubrania. Stevie bardzo się wstydził własnego ciała, prosząc Stepą, żeby nie patrzył, i wciąż upewniając się, że jest odwrócony plecami do ojca w czasie przebierania. Jakże odległe były czasy, kiedy Stevie wbiegał nagi do pokoju dziennego, w którym zasiadali goście, wrzeszcząc: „Stevie idzie do ubikacji teraz! Tata, szybko!”

Step wyjął mokre ubrania, po czym wrócili do reszty, gdzie niektóre z młodszych dzieciaków - sami Cowperowie, zgodnie z pobieżnym szacunkiem Stepą - biegały wokoło, gwizdząc i krzycząc. Wkrótce jednak przywrócono spokój, brat Cowper wygłosił krótką mowę na temat znaczenia konfirmacji i daru Ducha Świętego. Potem wystąpił Stevie, usiadł na krześle przed niewielkim



zgrupowaniem, a Step położył ręce na jego głowie. Pozostali kapłani - biskup, brat Cowper i mąż przewodniczącej szkoły - położyli delikatnie swoje dłonie na jego, lecz tak aby przynajmniej palcem dotykać głowy Steviego. Step rozpoczął konfirmację, jak to już robił wiele razy podczas misji w Sao Paulo - tylko po angielsku, a nie portugalsku. Zatwierdził Steviego na członka Kościoła i polecił mu przyjąć Ducha Świętego.

Z technicznego punktu widzenia mógł na tym poprzestać, lecz to spowodowałoby aluzje, mnóstwo plotek, gdyż zgodnie ze zwyczajem należało jeszcze dodać kilka minut błogosławieństwa i przestrogi, opuszczenie błogosławieństwa uznano by za coś szokującego.

Na nieszczęście, stojąc na środku, szykując się do przemowy, stwierdził, że nic nie przychodzi mu do głowy. Nie chodziło o to, że nie ułożył sobie wcześniej całego przemówienia. Na odwrót, przez wiele dni powtarzał słowa, które miały w przenośni dotyczyć problemów, jakie dotyczą syna. Nie mógł powiedzieć: „Życzę ci, by twoi wyimaginowani przyjaciele opuścili cię, dzięki czemu nie martwiłbyś się chodzeniem do psychiatry”. Istniały jednak zwroty wyrażające te same treści, jak na przykład: „Obiecuję ci wyzdrowienie, tak że twoje wizje będą prawdziwe”. Coś takiego, co będzie brzmiało normalnie w uszach ludzi nie zdających sobie sprawy z problemów Steviego, a w czym DeAnne, Step i Bóg dopatrzą się prawdziwego znaczenia.

Tymczasem Step nie potrafił przypomnieć sobie ani jednego słowa z tych, których się wyuczył. Długo stał w milczeniu. Nie było to dziwne. Wielu ludzi potrzebowało chwili czasu na pozbieranie myśli. Teraz jednak chwila owa przeciągała się i przeciągała, jeden z mężczyzn w kręgu otaczającym Steviego zmienił pozycję na krześle, jakaś kobieta odchrząknęła.

Czy nie ma nic, co mógłbym powiedzieć synowi? Czyżby życie jego było tak jałowe? A może to przeze mnie? Może nie jestem godzien błogosławić tego dobrego chłopca, który tak tego błogosławieństwa potrzebuje?

Nagle przed oczami pojawiły się słowa; wymówił je, jeszcze zanim je przemyślał.

- Pan zna twe serce, Stephenie, i ufa ci. Zesłał cię na tę ziemię, byś dokonywał miłosiernych czynów. Obiecuję ci, że jeśli usłuchasz Ducha Świętego i będziesz postępować zgodnie z wytycznymi Boga, wówczas sprowadzisz radość i pokój w życie tych, co cię kochają, zarówno w rodzinie, jak i wśród przyjaciół.

Kiedy tylko dokończył w pośpiechu, nastąpiło bezzwłoczne „Amen” i było po wszystkim.

Mężczyźni natychmiast zwrócili swą uwagę na Steviego, potrząsali jego ręką. Z powagą Stevie ścisnął dłoń każdego z mężczyzn, nie patrząc im jednak w oczy. Kiedy Stevie zmierzał na swe miejsce, Spike Cowper spojrział na Stepę nieco szyderczo, jakby pytał: „Co to się działo podczas tej konfirmacji?” Biskup położył rękę na ramieniu chłopca i ścisnął. Czemu? - dumał Step. Zachęta? Pocieszenie? Przykro mi, że nie potrafię dać synowi prawdziwego błogosławieństwa w czasie konfirmacji.

Ale to było prawdziwe błogosławieństwo. Step nie miał co do tego wątpliwości. Kilka razy już to mu się przytrafiło, w czasie misji w Brazylii, że słowa napływały do głowy nie wiadomo skąd. To

coś znaczyło.

W drodze do samochodu, po finałowej pieśni i modlitwie, DeAnne oderwała się od dzieci i spytała Stepa:

- Czy to naprawdę wszystko? To znaczy, nie wspomniałeś nawet, by ożenił się w świątyni.

- To była jego konfirmacja, a nie ojcowskie błogosławieństwo - odparł Step.

- No tak, ale...

- Powiedziałem to, co mi poddano - odpowiedział, trochę niepewnie. To właśnie kłopot ze sprawami ducha, pomyślał Step. Wiedziałaś, co się dzieje, a mimo to nie wiedziałaś. Bo gdyby się faktycznie wiedziało, po co by była wiara? Powinno się żyć w idealnej ufności, jakby wiedząc na pewno, kiedy Bóg przemawia w sercu. Dopiero później, patrząc wstecz, można dostrzec z dowolną dozą pewności, czy był sens w tym, co się stało, czy był jakiś plan lub cel.

W czasie jazdy do domu tak się zdarzyło, że długa cisza, która zapanowała, wprawiła Stepa w zakłopotanie, więc aby rozproszyć napięcie, powiedział:

- No i co, Kluczniku, czujesz się teraz inaczej?

Gdy tylko to powiedział, pożałował. Dokładnie jedno z tych głupich pytań, które dorośli ciągle zadają dzieciom. Teraz Stevie powinien się zastanowić: „Czy powinienem czuć się inaczej? O, nie. Nie czuję się inaczej, no może trochę mokry; i co mam teraz odpowiedzieć? Jeśli nie powiem, że czuję się inaczej, tata pomyśli, że nawalił. Lub że ja nawaliłem. Ale jeśli powiem, że czuję się inaczej, skłamię. Pierwsze kłamstwo zaraz po chrzcie. Po zmyciu wszystkich grzechów ten byłby pierwszy, dlatego chrzest jest dobry tylko na jakieś pół godziny”. Przynajmniej takie myśli nawiedziły głowę Stepa, kiedy jako ośmiolatek został ochrzczony przez ojca.

Z tylnego siedzenia doszła spokojna odpowiedź Stewiego:

- Tak, tato.

A więc wybrał niewinne kłamstwo.

- Synku - powiedział Step. - W rzeczywistości niewielu ludzi czuje się od razu inaczej. Jeśli się tak nie czujesz, nic nie szkodzi.

- Mimo to czuję się - odpowiedział Stevie. Nie brzmiało to, jakby się upierał. Po prostu stwierdzał fakt.

- Naprawdę? - spytał Step. - Jakie to uczucie?

Stevie zdawał się zastanawiać przez chwilę.

- Jakby był we mnie Duch Święty.

Chwilowo wyglądało to na idealną odpowiedź. Step pomyślał, no tak, Stevie czuje dar Ducha Świętego, chociaż ja w dzieciństwie nigdy nie zaznałem tego uczucia. Bo on jest zawsze wrażliwy na sprawy duchowe, a ja nigdy nie byłem.

Step pomyślał, jak niewiele różni się teraz Stevie od Lee Weeksa sprzed niedzielnej lekcji. Bóg jest we mnie. Bóg we mnie przemawia, czy jak tam wyraził się Lee. Stevie mógł być wrażliwy duchowo, mógł też ulegać złudzeniom.

Step zauważył, że przygląda się synowi okiem psychiatry. Czy łatwo powinno przyjść psychiatrze rozróżnienie pomiędzy prostym językiem wiary Stewiego a dziwną pewnością Lee Weeksa, że Bóg go wybrał? Przypuszczalnie nie stanowiło to problemu - Lee mógł być dziwakiem, lecz na pewno nie był niepoczytalny. Kto jak kto, ale dr Weeks z łatwością poradziłaby sobie z nieskalaną ufnością Stewiego w wiarę swych rodziców.

Najwidoczniej DeAnne przyjmowała odpowiedź Stewiego bez cienia sceptycyzmu. Przycisnęła swą dłoń do dłoni Step'a, spoczywającej na dźwigni skrzyni biegów. Nasz syn ma takie czyste serce, zdawała się mówić, że potrafi wyczuć, kiedy Duch Boży weń wstępuje.

- O czym myślałeś, kiedy cię tata konfirmował? - zapytała DeAnne.

- Nie wiem - odrzekł chłopiec.

- Mam na myśli, co sądziłeś o błogosławieństwie, jakiego ci udzielił?

- Fajne.

- Nie wypytujmy go - Step zwrócił się do DeAnne. Naprawdę jednak pomyślał, czy musisz przypominać mu, jak niestosowne było moje błogosławieństwo?

- Przepraszam. - DeAnne trochę się zawstydziała.

- Nie ma za co przepraszać - powiedział.

- Tato? - Stevie odezwał się z tylnego siedzenia.

- Tak, Kluczniku?

- Powiedziałeś, że sprowadzę radość i pokój przyjaciom.

- I rodzinie - dodał Step.

- Ale ja nie wiem jak.

- Po to jest właśnie dar Ducha Świętego, by nauczyć cię jak.

- A jeśli Duch Święty mi nie powie?

- Znaczyłoby to, że może nie nadszedł jeszcze dla ciebie właściwy czas. Albo musisz nauczyć się słuchać, co do ciebie mówi. A może jeszcze nie powinieneś niczego robić?

- Aha - odparł Stevie. - Naprawdę chciałbym - powiedział po chwili milczenia.

- Czego byś chciał? - zapytała DeAnne.

- Przynieść im szczęście.

- Komu przynieść szczęście? - DeAnne była poruszona.

Wiesz, za kim tęskni! Step miał ochotę krzyczeć.

- Jackowi, Scotty'emu i Davidowi - odparł Stevie spokojnie.

Wyimaginowani przyjaciele. Tylko że teraz było ich już trzech.

- Stevie - pytała DeAnne. - Kim jest David?

- Jeszcze jeden chłopiec, z którym się bawimy - rzekł Stevie. - Ja, Scotty i Jack.

Może i Stevie przeszedł confirmację; Bóg mógł, ale nie musiał poddać Stepowi słów błogosławieństwa; fakt jednak pozostawał faktem, że Stevie wciąż żył w świecie, w którym niewidzialni przyjaciele przybywali, by się z nim bawić. Dzisiaj doszedł kolejny. A może nie dzisiaj?

- Czy David... - zapytała DeAnne - wprowadził się czy coś w tym stylu? Nie przypominam sobie, żebyś wcześniej o nim wspominał.

Wprowadził się, a to dobre, pomyślał Step. Udajmy, że ci przyjaciele mieszkają w sąsiedztwie, mają rodziny, a nowi wprowadzają się od czasu do czasu.

- Jakiś czas już mieszka w pobliżu - odpowiedział Stevie. - Sądzę, że urodził się w Steuben, bo mówi z południowym akcentem i nie rozumiem wszystkiego. To znaczy rozumiem, ale muszę uważniej słuchać.

W porządku, DeAnne, pomyślał Step. Musi się spotkać z psychiatrą lub z kimkolwiek. Nigdy nie słyszałem, żeby w ten sposób mówił o wyimaginowanych przyjaciółach. Jakby naprawdę żyli. Musi uzupełniać ich biografię szybciej, niż ja adaptuję Hacker Snacka na sześćdziesiątkęczwórkę. Wiedziałaś o tym, DeAnne. Słyszałaś już przecież podobne rzeczy. Nic dziwnego, że tak cię to martwiło. Nic dziwnego, że nalegałaś. Nie poradzimy sobie z tym sami.

Kiedy wjechali na podjazd, przed fasadą budynku parkował pikap Bappy'ego.

- W niedzielę? - zdziwił się Step.

Bappy wynurzył się zza domu, jakby usłyszał to pytanie.

- Wszyscy w kościele? - zapytał. - Wpadłem koło czwartej, myśląc, że już wrócicie z kościoła, ale nie zastałem nikogo.

- Mieliśmy specjalne spotkanie - wyjaśniła DeAnne. - Stevie otrzymał dzisiaj chrzest.

- Ho, ho, to jest coś - wyraził swój podziw Bappy. - To naprawdę jest coś. Więc nie chrzciecie też małych dzieci, ha?

- Jest pan baptystą? - spytał Step.

- Hm, mój tato był pastorem zielonoświątkowców, potrafił zamoczyć. Wpychał ich całych pod wodę i trzymał, póki się wszystkie grzechy nie potopiły. Mówię wam, to samo było z tymi, co spotkali Jezusa. Cóż, bywało, niektóre wypływały z buzią pełną błota, tak mocno je pchał! - DeAnne i Step przyłączyli się do śmiechu Bappy'ego, lecz Step myślał: Nie podoba mi się to kpienie z chrztu, nie dzisiaj, nie przed dziećmi.

- No dobrze - powiedział Step - tak czy inaczej, przykro nam, że nas tu nie było. Długo pan czeka?

- W ogóle nie czekałem. Tak sobie pomyślałem, że choć powinienem wpierw się zapytać, skoro już tu jestem, a tam z tyłu na podwórku leżą te płachty namiotów, muszę coś z nimi zrobić, jeszcze ktoś powie, że nie sprzątam po sobie bałaganu.

- Tym właśnie są te pajęczyny na drzewach? - zapytała DeAnne. - Płachtami namiotów?

- Gdy wyklują się jaja, robaki zeżrą każdy liść na drzewie - tłumaczył Bappy. - Więc podkładam płachtę i obcinam gałązki. Niemal wypełniłem moją przyczepkę, nie musicie się już bać, że te robaki będą spadać z drzew waszym dzieciakom za kołnierz.

- Faj! - wrzasnął Robbie. - Co za ohyda! - Pocwałował, znikając za narożnikiem budynku. Betsy deptała mu po piętach.

- Wyłapałem je wszystkie - oświadczył Bappy. - Prawie wszystkie. Nim zapadnie zmrok, dostanę je co do jednego.

Step nie był zachwycony, że Bappy w dzień świąteczny zajmuje się pracą w ogródku. Wiedział jednak, że to nie jego interes. Bappy nie był jego pracownikiem, tylko ojcem właściciela domu, kiedy więc chciał w niedzielę popracować w ogródku, to jego sprawa.

- Step, czy mógłbyś przywołać dzieci z podwórka za domem - poprosiła DeAnne.

Step obszedł dom i zobaczył Robbiego i Betsy okrążających drzewo, jak tygrysy w „Małym czarnym Sambo”, choć nigdy nie zauważą podobieństwa, gdyż gdzieś pomiędzy dzieciństwem Stepa a dzieciństwem jego dzieci przekłęto tę historyjkę jako potwornie trującą, zmieniającą niewinne dzieci w zagorzałych bigotów. Sądzę, że nie ma dla mnie nadziei, pomyślał Step. Gdy widzę dzieci biegnące w kółku, myślę o maśle z tygrysa.

Step odważnie wsadził rękę w krąg dzieci i złapał jedno, po chwili także drugie.

- Teraz do domu - poleciał. - Jeśli chcecie kolację.

- Założył pajęczynę! - krzyknął Robbie.

To prawda. Drzewko było przycięte, brakowało wszystkich gałęzi prócz dwóch przykrytych białą tkaniną; nawet te były już owinięte wielkimi plastikowymi workami, oczekiwały na odcięcie i wyrzucenie. Nietrudno przyszło mu wyobrazić sobie Bappy'ego, jak jego wrzecionowate ciało wije się pośród gałęzi. Ma lepszą sylwetkę niż ja, pomyślał Step. Z drugiej jednak strony nie musi pracować koło automatu z batonikami.

Kiedy Step przyprowadził dzieci do kuchni, a DeAnne odesłała je, by włożyły świąteczne ubrania, zapytała:

- A gdzie Stevie?

- Nie było go za domem - odparł. - Myślałem, że poszedł z tobą.

- Myślałam, że pobiegł w ślad za innymi dziećmi.

- Gdzieś tu się na pewno kręci.

- Chyba nie, Step. Otwierałam drzwi z tyłu, musiałby mnie minąć, a zapewniam cię, że go nie widziałam. Zatem ciągle jest na zewnątrz i wcale mi się to nie podoba, że nie znalazłeś go przy dzieciach.

Miała dobry powód, żeby się martwić. Rano gazeta pisała o zaginięciu kolejnego dziecka, które, jak się okazało, zniknęło zeszłego wieczoru podczas meczu baseballowego Bobrów. Grali w podrzędnej lidze, oczywiście, lecz w Steuben mieli wielu lojalnych fanów, którzy gromadnie przychodzili na mecze. Dzieciak po prostu zniknął. Straszne czasy. Wkrótce pewnie przyjdzie na kubek mleka albo okaże się, że siedzi u sąsiada, albo zginie. Gdzież ten Stevie?

Step wyszedł jeszcze raz za dom. Bappy zdążył wleźć na drzewo, rznął piłą jedną z gałęzi owiniętych w plastik. Pomachał ręką, a Step uczynił to samo.

- Widział pan może mojego najstarszego syna? - spytał.

- Nie, proszę pana! - odkrzyknął Bappy. - Zgubił się gdzieś?

- Na pewno kręci się w pobliżu.

- Nie spuszczaaj dzieci z oka, młody człowieku! - krzyknął Bappy. - To niespokojne czasy. Diabeł grasuje po świecie!

- Ach, nie mam co do tego wątpliwości! - zawołał Step.

Stevie znalazł się z drugiej strony domu, siedział na schodku.

- Stevie, wszędzie cię szukamy - rzekł Step. - Mama i ja martwiliśmy się, nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś.

- Przepraszam - powiedział Stevie. Wstał.

- Nie można tak sobie odbiegać, nic nikomu nie mówiąc.

Stevie zmarszczył brwi.

- Cały czas tu byłem, tato.

- Nie byłeś w domu i nie byłeś w miejscu, gdzie byśmy cię widzieli, dlatego napędziłeś nam strachu. Tak to już jest z rodzicami, musisz się do tego przyzwyczaić i zawsze się upewnij, że wiemy, dokąd idziesz, w przeciwnym razie skończysz uwiązany na smyczy i zamknięty w pokoju, a to ci nie przypadnie do gustu.

- Przepraszam - powtórzył Stevie.

Nie tak powinien wyglądać dzień dzieciaka, w którym przystępuje do sakramentu chrztu. Pozostawiony samemu sobie i jeszcze za to skarcony.

- A tak w ogóle, co porabiałeś tu przed domem? O czym myślałeś? Co sobie wyobrażałeś?

- Siedziałem - odparł zdawkowo.

Step wiedział, kiedy ponosi porażkę.

- No dobra, chodź do domu, czas na kolację.

Stevie posłusznie podążył za ojcem do mieszkania.

Nadchodzący ranek powinien być pierwszym dniem lata. Stevie nie musiał iść do szkoły, DeAnne mogła pospać trochę dłużej i nieco później przystąpić do zwykłych zajęć. Lecz DeAnne obudziła się, nim zadzwonił budzik, ale wcale nie dlatego, że dziecko tak mocno naciskało na pęcherz, że musiała co chwilę chodzić do ubikacji. Przez moment leżała spokojnie i nagle zrozumiała, dlaczego czuje się, jakby jej żołądek zawiązano w węzeł. O dziesiątej zabierała Steviego do dr Weeks.

DeAnne i Step postanowili nic nie mówić Steviemu o psychiatrze aż do dnia, w którym miał umówioną wizytę. Dlaczego miałby się zamartwiać niepotrzebnie na wiele dni naprzód? Dlaczego psuć mu urodziny i chrzest?

Stevie nie był już taki mały, by dać się nabrać powiedzonkiem „To tylko taki inny rodzaj doktora”, co działało w przypadku Robbiego. Stevie wiedział, że są na świecie pomyleni ludzie i lekarze, którzy ich leczą; są też miejsca, gdzie izoluje się ich przed innymi ludźmi. Istniała dziecięca wersja choroby umysłowej - wszystkie uprzedzenia dotyczące szaleństwa przetrwały w dziecięcej subkulturze,

przekazywane przez dziewięciolatków ośmiolatkom, rok po roku. Wariatkowo. U czubków. Haniebne, straszne. Step i DeAnne musieli jakoś przetłumaczyć mu, że jego przypadek jest odmienny. Będzie to szczególnie trudne, gdyż DeAnne podświadomie bała się, że to właśnie czeka jej syna u końca drogi.

Postanowiła się ochlapać. Step zamontował poręczniejszy prysznic, co było błogosławionym usprawnieniem, zważywszy na zaawansowaną ciążę - mniej schylania się i wyciągania, gdy stoi na mokrej i śliskiej powierzchni. Przyjemnie być czystą. Zdarzało się, kiedy chodziła w ciąży, iż notorycznie czuła się brzydka i odpychająca; włosy zdawały się szybciej tłuszczyć i plątać na głowie, czuła się pokraczna i bulwiasta, bolały ją plecy, nogi, dokuczały skurcze mięśni, nieustannie była zbyt przemęczona, by mieć ochotę na mycie; jeśli chciała coś robić, zawsze wszechobecny był ten brzuch i czasami nie chciało jej się wstawać z łóżka. Ale gdy tylko zrzuciła z siebie okrycie - na tym etapie już i z tym było mnóstwo problemów - i opłukała się, pozwalając wodzie chłostać ciało i smagać, czuła się lepiej, jakby miała więcej energii. Czuła, że może jednak warto powitać nowy dzień.

Kiedy tylko wyszła z łazienki, Step chwiejnym krokiem poczłapał pod prysznic. Dwadzieścia minut przed zwykłym czasem pobudki. On także pamiętał. Obserwowała go, gdy ściągał nocne okrycie i wciskał je do kosza z praniem. Przy obecnej pracy jego ciało zdecydowanie traciło sprężystość. Dawny regulamin z Vigor uwzględniający wyprawy rowerowe i zwracanie uwagi na to, co je, utrzymywały go w dobrej kondycji przez ostatnie kilka lat, lecz brzusek znów dawał znać o sobie, jak również tłuszcz na pośladkach i miękkość rysów twarzy. Był ciastowaty i miał nadwagę, kiedy się w nim zakochała; nie dbała o to w przeciwieństwie do niego, wiedziała, iż nie jest zadowolony ze swej sylwetki. Zatem gdy narzucił sobie rygor kilka lat temu, zrzucił wagę i nabrał krzepy dzięki ćwiczeniom, jakich nigdy nie praktykował w szkole średniej ani na studiach, spodobało jej się to głównie dlatego, że stał się szczęśliwszy, pewniejszy siebie. Patrząc teraz na niego powiedziała: Eight Bits Inc. pomału go niszczy.

Chciała powiedzieć: rzuć dziś tę pracę, Step. Wracaj na rower. Zapisz się na siłownię. Odejdź od automatu z balonikami.

Gdybyśmy tylko nie przeprowadzili się do Steuben.

Kiedyś wyglądało to na jedyne słuszne rozwiązanie. Chociaż była już w ciąży, zanim nawet Step pomyślał o szukaniu pracy, zdawało się, że tak właśnie trzeba. Rzecz niemal nieunikniona. Jesteśmy po prostu stworzeni, by wędrować, przypuszczała. Nigdzie na dłużej nie zapuszczamy korzeni. Duch zdobywców prairii, pionierów, którym zaszczepiono mormońską kulturę, by jej członkowie gotowi byli na nagłe, zdarzające się co kilka lat przenosiny na inną ziemię. Możliwe też, że wmieszał się w to wszystko jakiś czynnik genetyczny. Ludzie będący urodzonymi nomadami.

Później pomyślała o karczowaniu drzew i budowaniu chat z bali, zamiataniu glinianej podłogi i gotowaniu przy palenisku; niemożności wykąpania się i chodzeniu do wychodka, rodzeniu dziecka w kucki, samotnie i w ciemności, na słomie; zdecydowanie nie chciałyby być pionierem. Przemierzanie nie zbadanych krain to fajna rzecz, jeśli wędruje się z miejsca wyposażonego w ubikację, elektryczność i pobliski szpital do drugiego podobnego.

Podreptała do kuchni, by przygotować sobie miskę otrębów z rodzynkami, lecz kiedy otworzyła



lodówkę i wyciągała mleko, zauważyła, że wkoło jest nieznośnie ciemno. Zazwyczaj rankiem promienie słońca wpadały przez okno kuchni wychodzące na wschód.

Z plastikowym dzbankiem mleka w ręce odwróciła się i spojrzała w stronę okna, by przekonać się, jaka jest pogoda. Pogoda nie miała nic wspólnego z ciemnością w pomieszczeniu. Większą część szczeliny pomiędzy oknem a zasłoną, prawie sześć cali od góry, wypełniały chrząszcze, których przezroczyste ciała mieniły się czerwono i brązowo, kiedy ostre promienie słońca próbowały dostać się do środka.

To było tak zaskakujące i odrażające, wszystkie te owady tłoczyły się i rozpychały, DeAnne krzyknęła. Wtedy poczuła, jak coś chłodnego pryska jej po nogach, co wywołało następny okrzyk przerażenia. Dopiero wówczas zauważyła, że to z opuszczonego dzbanka odskoczył kapsel i mleko rozlało się po podłodze. Teraz dzbanek leżał na boku i pozbywał się z gulgotem reszty zawartości. Szybko, jak tylko mogła, kucnęła, by podnieść naczynie, nim wszystko wypłynie na zewnątrz, lecz poruszała się tak ociężale, że kiedy dotknęła dzbanka, fala zamieniła się w stróżkę. Około jednej trzeciej pozostało w środku, ale większość rozlała się, tworząc rozległą plamę.

Nie radzę sobie, pomyślała. Z tym strasznym domem. Inwazja chrabąszczy, mleko na podłodze, kredens, który po tych wszystkich miesiącach wciąż pachnie kawą, nienawidzę tego miejsca.

Podniósłszy się ciężko, papierowymi ścierkami starła mleko z nóg i bosych stóp. Potem podeszła do szafki i wyjęła z niej stare ręczniki, które rzuciła na podłogę, by wchłonęły rozlane mleko. Następnie znowu z trudem kucnęła i zebrała ociekające szmaty.

- Cholera, cholera, cholera - powiedziała.

- Dzień dobry - rzekł Step. Stał w drzwiach kuchni.

- Upuściłam mleko - wyjaśniła DeAnne.

- Co za ulga. A już myślałem, że je zużyłaś. Do największej na świecie porcji płatków owsianych.

- Miałam dziś ochotę na otręby z rodzynkami.

- To wszystko tłumaczy.

Nie cierpiała tych jego żartów, gdy nie zważał na jej złe samopoczucie. Jednak pomógł jej wstać, mówiąc:

- Nie powinnaś tego robić, Rybia Damo.

Usiadłszy przy stole, obserwowała, jak zbiera przemoczone ręczniki, by zabrać je do prania. Kiedy wyszedł, odważyła się zerknąć w kierunku okna, w nadziei, że przesadziła, jeśli chodzi o ilość owadów. Nie przesadziła.

Wrócił Step, zmierzając po więcej papierowych ścierek, żeby dokończyć wycierania. Nagle zauważył okno.

- Ach - powiedział. - Teraz już wiem, skąd to „Cholera, cholera, cholera”.
- „Cholera, cholera, cholera” było przez mleko i przez to, że jestem w ciąży - odparła DeAnne. - Z powodu tego robactwa wrzeszczałam, tyle że musiałeś być wtedy pod prysznicem i nie słyszałeś.
- Niedobrze, ominął mnie niezły ubaw. - Step przechylił się nad zlewem, by przyjrzeć się bliżej chrząszczom. - Jak się tu dostały?
- Nie mam pojęcia. Może jakiś obrotny chrabąszcz sprzedawał bilety? - Roześmiał się, ona też, choć wcale nie było to takie zabawne.
- Wszystkie są martwe - stwierdził Step. - Żaden nawet nie mrugnie. Dziwne, nie? Jakby wszystkie chrząszcze, które wiedziały, że wybiła ich godzina, zebrały się nocą, by tu umrzeć.
- Zatem mamy największą na świecie kolekcję chrząszczy, tyle że wszystkie należą do jednego gatunku.
- No cóż - zauważył Step. - Dobrze, że wstaliśmy dziś wcześniej. Ta rolka papieru niemal się już zużyła, mamy gdzieś więcej?
- Tak, lecz musimy porozmawiać jeszcze ze Steviem - zwróciła mu uwagę DeAnne. - Chcę, żebyś też był przy tym. Podłogę mogę umyć później.
- Wycieranie jej zajmie jedynie minutkę - rzekł Step.
- Nie można zmyć tylko mleka - oświadczyła DeAnne. - Muszę wyszorować podłogę.
- W ciąży?
- Nie pierwszy raz, sam wiesz. Do tego służy benedectin, by kobiety w ciąży mogły szorować podłogę, podczas gdy ich faceci oglądają walki w błocie na ESPN.

Spojrzał na nią, oczy zmrużył w przebłysku szyderstwa.

- Feministyczna zdzira - powiedział.
- Męska, szowinistyczna świnią - udawała, że odwzajemnia spojrzenie.
- Niech no zgadnę - zagadnął, patrząc z powrotem na okno. - Nie chcesz chyba, by ci panowie zostali tu cały dzień?
- Rozmowa ze Steviem jest ważniejsza.
- Jeszcze go tu nie ma. - Step poszedł po zielony, plastikowy worek na śmieci. - Tym razem twoja kolej na trzymanie worka.

- Och, Step. - Zatrzęsła się.

- Wybieraj: albo to, albo wspinasz się na blat, by otworzyć okno.

- Nie można tego zrobić na zewnątrz? - spytała. Chwytały ją mdłości, gdy myślała o tych wszystkich chrząszczach w kuchni.

- Nie mam drabinki - oznajmił. - Nie mam też ochoty guzdrać się z odkręcaniem śrubek przy zasłonce, kiedy mogę po prostu podnieść okno. Nie bardzo mam czas na półgodzinną pracę dziś rano.

- Mogę zadzwonić do Bappy'ego - zaproponowała DeAnne.

- By znowu wszystko opryskał? - zapytał Step. - Poradzę sobie, prócz tego nie chcę, by Bappy wykonywał prace, z którymi sam potrafię dać sobie radę. Sami potrafimy, jeśli mi pomożesz.

Zabrała się do dzieła. Step przymocował dolne rogi worka do parapetu dużymi, czerwonymi pojemnikami na sól i pieprz, które stały obok kuchenki.

- Nie używaj ich - poprosiła. - Jeśli posypią się na nie chrząszcze, nigdy się nie zmuszę, by z nich skorzystać.

- Jeżeli nie masz czterech rąk, Rybia Damo, musimy worki czymś przymocować.

Schyliwszy się niezgrabnie, wyciągnęła z szafki pod zlewozmywakiem dwie wielkie, opakowane kostki mydła toaletowego.

- Wspaniale, moja ukochana asystentko. Dlatego właśnie musisz być przy mnie: twoja niezwykła zaradność jest niezastąpiona.

Teraz, gdy dolne rogi zostały zamocowane, DeAnne podstawiała otwarty worek pod oknem, które Step wolno otwierał. Ciała chrząszczy z grzechotem odrywały się od szyby i wpadały do worka niczym prażona kukurydza. Ten dźwięk, drgania worka, świadomość, co jest w środku - wszystko to pokonało DeAnne. Instynktowne obrzydzenie do robactwa, o wiele głębsze i silniejsze od zdrowego rozsądku, przeważyło. Na moment straciła kontrolę. Zajęczała, ciało przeniknęła potężny, niemożliwy do opanowania dreszcz i puściła worek.

Natychmiast górny brzeg opadł poniżej skraju otwartej części okna, chrząszcze zaczęły spadać na wierzch worka, zamiast do jego wnętrza.

- A niech to szlag! - zdenerwował się Step. - Czy nie możesz...

Nie kończąc zdania, sięgnął po worek i podniósł go na nowo, by owady mogły wpadać do środka. Oczywiście, te, które znalazły się na zewnętrznej stronie, ześlizgnęły się teraz na półki, do zlewu i na podłogę, wciąż mokrą po rozlanym mleku.

- Czy nie możesz zrobić czegoś jak należy? - DeAnne zakończyła za niego zdanie.

- Nie to zamierzałem powiedzieć - odrzekł Step.

- A właśnie, że to - upierała się DeAnne.

- Miałem już powiedzieć, czy nie mogłabyś przynajmniej otworzyć go z powrotem, potem zobaczyłem, że nie, więc sam to zrobiłem. Nie wkładaj w moje usta słów, szczególnie kiedy są to podłe i złośliwe słowa, o których wypowiedzeniu nawet nie myślałam.

- Nieźle ci idzie to tłumaczenie się.

- Po prostu wyjdź z kuchni, dopóki nie skończę czyścić, w porządku? - zażądał Step. - Czy myślisz, że praca przy martwych chrabąszczach sprawia mi przyjemność? Sądzisz, że stojąc beczynnym, pomagasz mi, na dodatek przy okazji próbując pokłócić się ze mną?

Powstrzymując łzy gniewu, walcząc z ripostami, cisnącymi się na język, DeAnne wybiegła z kuchni. Czy jakieś chrząszcze dotknęły jej rąk? Pośpiesznie udała się do łazienki dzieciaków, gdzie umyła się mydłem Lava, piaszczystym i szorstkim, próbując zetrzeć niewidzialny brud. Tylko że nie zmywała miejsc dotkniętych przez owady, zmywała ślady bezsensownej sprzeczki.

Splukowała i wytarła dłonie, po czym poszła obudzić Steviego. W czasie roku szkolnego przywykła budzić go przez potarcie pleców. Zazwyczaj w pewnym momencie jego oczy otwierały się szeroko i mówił „Cześć”. Dziś jednakże, nie unosząc powiek, mruknął:

- Nie ma szkoły.

- Wiem, że nie ma szkoły, kochanie - powiedziała miękko. - Lecz twój tata i ja chcemy porozmawiać z tobą o czymś, nim tata wyjdzie do pracy.

- Niech będzie. - Raptownie otworzył oczy.

Wiedziała, że zejdzie teraz ostrożnie z piętrowego łóżka i ubierze się, nie budząc Robbiego. Wróciła i stanęła w drzwiach kuchni.

Step używał papierowych serwetek, by zebrać martwe owady ze stołu kuchennego, po czym wrzucał je do worka na śmieci. Woda była odkręcona, utylizator włączony. Wyobraziła sobie, że zsypuje ciała chrząszczy do gardła maszyny, po czym ostrza utylizatora siekają je na mikroskopijne kawałeczki. Ta myśl sprowadziła na nią kolejną falę dreszczy, poczuła, jak jej pusty żołądek skręca się od mdłości.

- Dziękuję, że pomogłeś mi w tym - powiedziała.

- Pewnie będziesz chciała wytrzeć dzbanek z mlekiem i włożyć go z powrotem do lodówki - odpowiedział chłodno.

Trudno, zasłużyła na ten ton. Pozwoliła, by jej wstręt do robactwa obrócił się przeciwko niemu, a on na to nie zasłużył. Mimo to musiała czymś napęłnić żołądek, a nie mogła jeść w kuchni, dopóki nie znikną wszystkie chrząszcze.

- Step, przykro mi - wykrztusiła.

- W porządku.

Wiedziała, że kiedy się na nią gniewa, lepiej nie zmuszać go do rozmowy. Lepiej poczekać, dać mu ochłonąć, wtedy będzie uprzejmiejszy, wybaczą sobie nawzajem, przy czym on uprze się, że to wszystko jego wina i znów będzie jak dawniej. Lecz czasem nie potrafiła po prostu zmusić się do wyczekiwania, bo podczas gdy on potrzebował spokoju po kłótni, ona nie mogła znieść samotności, którą odbierała jak uderzenie, zatem musiała z nim porozmawiać, wyjaśnić, przekonać się, że jej nie zniechęcił, że ciągle ją kocha i jej pragnie. Wiedziała, że to kompletnie irracjonalne. Jak jego potrzeba samotności po spięciu.

- Step, przykro mi - powtórzyła.

- Powiedziałem przecież, że w porządku. - Ton głosu kłócił się jawnie z treścią.

- To znaczy, choć jest mi przykro, muszę coś powiedzieć.

- Więc powiedz - rzekł niecierpliwie, patrząc w inną stronę.

- Chcę, żebyś umył stół. Wszędzie gdzie były te chrząszcze. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale chyba nie zdołam nic zrobić dziś w kuchni, jeśli jej najpierw nie umyjesz. Proszę.

- Też to miałem w planie - odpowiedział. Wrzucił papierową serwetkę do worka w ślad za ostatnim owadem. Potem zebrał wierzch worka i trzymał go jedną ręką, a drugą obrócił, aż pod dłonią powstał twardy splot. Zwinął go w węzeł.

Taki jest przy tym zręczny, pomyślała DeAnne. Jakby wykonywał wszystko zgodnie z recepturą. Jakby jego ręce znały wszystkie sekrety wykonywania tej czynności. Zastanowiła się, jakie to uczucie: pomyśleć o czymś, a to natychmiast się spełnia.

Wyniósł worek na zewnątrz, a pod jego nieobecność odważyła się wejść do kuchni. Nie było aż tak tragicznie, pod warunkiem że nie podchodziła do zlewu ani do wciąż częściowo otwartego okna. Słyszała, jak Step otwiera wieko kubła i wrzuca doń worek. Wytarła pojemnik na mleko, znalazła łyżkę i miskę, napełniła ją otrębami i mlekiem, którego resztę odstawiła z powrotem do lodówki, po czym się zorientowała, że nie może pozostać w kuchni ani chwili dłużej. Przeniosła się do pokoju dziennego.

Spotkała tam Steviego, grał na komputerze. Musi testować tę nową grę, którą Step kupił mu na urodziny, pomyślała, choć kosztowała pięćdziesiąt dolarów i z trudem mogli sobie na nią pozwolić. Zobaczyła statek piracki z podniesionymi żaglami, niedaleko zbliżał się drugi statek. Oba manewrowały, by oddać salwy z burt. Przypomniał jej się film „Kapitan Blood”, którego nie oglądała przed ślubem, lecz Step oglądał go, będąc dzieckiem, i czytał z zamiłowaniem książkę. Kiedy więc puścili go na kablówce, Step nagrał go na kasetę i kazał całej rodzinie oglądać. Film okazał się naprawdę dobry, niesamowicie zabawny. Errol Flynn jako prawdziwy zawiadziak. Gra była podobna.

Pochłaniała płatki, które stopniowo miękły, obserwując z kanapy grającego Steviego.

- No dalej - rzekł Stevie spokojnie. - Uda ci się.

Powiedział to z przekonaniem, jakiego DeAnne nie słyszała w jego głosie, odkąd się tu wprowadzili.

- No dalej, Roddy.

Czyżby nadawał imiona ludzikom z gier komputerowych?

- O to chodziło, pomóż mu, Scotty. Na pewno ci się uda.

Udawał, że wyimaginowani przyjaciele stanowią część gry komputerowej. Tak już jest lepiej, pomyślała DeAnne. Przynajmniej w grze komputerowej widać ich na ekranie. Być może grając w Lode Runnera Stevie przeniesie swych przyjaciół z ogródka na ekran komputera, skąd po prostu znikną, gdy tylko wyłączy zasilanie. Może problem sam się rozwiąże i nie będą zmuszeni zabierać go do psychiatry, a przynajmniej nie będą musieli chodzić tam zbyt długo.

- Prędeż, Jack! Roddy ma kłopoty, a Scotty nie może - no właśnie! Poszło łatwo! Masz go!

Obecnie dwa statki ostrzeliwały się z dział, po czym pofrunęły haki. DeAnne była pod wrażeniem. To wyglądało niemal jak film, ruch na ekranie był taki realistyczny. Ta gra nie przypominała tych... ograniczonych gier, jakie dotąd oglądała. Jak Hacker Snack, na przykład. Jeśli tak radzi sobie konkurencja, Step będzie musiał się sporo napocić, by zrównać się z czołówką.

- Jeśli wejdiesz do środka, zamiast się gapić, David, dopiero będzie zabawa - powiedział Stevie.

Jej serce przestało bić na moment. Rozmawiał z bohaterami gry, jakby byli żywi. Jakby mogli go słyszeć. Nie tylko jakieś tam „No dalej, ruszcie się”, jak pokrzykują ludzie, oglądając w telewizji mecz koszykówki czy futbolu, ale pełny dialog, jakby ekran potrafił odpowiedzieć. Stan Steviego nie ulegał żadnej poprawie, komputer nie mógł tu nic pomóc.

Przypomniała sobie imiona, jakich używał. Regularnie pojawiał się Jack i Scotty, wczoraj wymienił nowego, Davida, a dziś doszedł czwarty, Roddy. Sytuacja się pogarszała.

Usłyszała, jak w kuchni Step zakręca wodę. Skończyła jeść, zbliżała się pora, by Step wyszedł do pracy.

- Stevie, przerwij na chwilę grę, byśmy mogli z tatą...

Zanim jeszcze dokończyła zdanie, Stevie sięgnął ręką za Atari i wyłączył komputer. Tak po prostu.

- Kochanie, mogłeś zapisać grę - powiedziała. - Nie musiałeś wyłączać komputera.

- Nie szkodzi - odparł.

Do pokoju dziennego wszedł Step.

- Cześć, Stevie - przywitał się. - Przepraszam, że musiałeś wstać wcześniej pierwszego dnia wakacji, lecz chcieliśmy ci z mamą powiedzieć, co się dzisiaj stanie.

Stevie czekał. Wydawało się, że nie jest zbyt zainteresowany.

Step spojrzał na DeAnne.

Och, czy to naprawdę moja kolej? Załóżmy, że zasłużyłam sobie.

- Stevie, odkąd przyjechaliśmy do Steuben, martwimy się o ciebie. Zawsze jesteś taki smutny i cichy.

- Nic mi nie dolega.

- Problemy w szkole, o których nic nie wiedzieliśmy - ten Stevie, którego znaleźliśmy zeszłej jesieni w Vigor powiedziałały nam o nauczycielce zachowującej się jak pani Jones.

- Odeszła - powiedział.

- Wiemy, że odeszła - ciągnęła DeAnne. Wyczuwała we własnym głosie rosnące zniecierpliwienie. Tak ciężko jest nawiązać ze Steviem kontakt, kiedy uchyla się od odpowiedzi. - Ale nawet po tym, jak odeszła, nie poprawił ci się humor.

- Czuję się dobrze - rzekł Stevie.

Step przyszedł z odsieczą, przynajmniej na chwilę:

- Nie chodzi tylko o to, że stałeś się smutny i cichy, Kluczniku. Nie chcesz się już bawić z Robbiem i Betsy.

Stevie oglądał sobie dłonie.

- A ci twoi przyjaciele - dodał Step. - Martwi nas, że spędzasz cały swój czas, bawiąc się z wyimaginowanymi przyjaciółmi.

Stevie się zaperzył.

- Nie wściekaj się na mnie, Stevie, a raczej mi pomóż. Od miesiący mówisz o Jacku i Scottym, lecz kiedy obserwujemy, jak się bawisz, nikogo poza tobą nie widać.

- Ja nie kłamię - oznajmił Stevie.

- Więc co mamy o tym myśleć, kochanie? - zapytała DeAnne.

- Ja nigdy nie kłamię.

- Nikt z nas nie twierdzi, że kłamiesz - wtrącił Step. - Tu nie chodzi o kłamstwo. Nie chodzi tu o to, co dobre, a co złe. Po prostu chcemy pójść z tobą do lekarza.

- Myślicie, że zwariowałem? - spytał Stevie. Był bardziej zdenerwowany, lecz nie patrzył na żadnego z rodziców. Patrzył w przestrzeń między nimi.

- Stevie, nie ma o tym mowy - odparł Step. - Wcale nie sądzimy, że zwariowałaś. Po prostu myślimy, że jest ci ciężko, i chcemy poradzić się kogoś, kto wie, jak pomóc w takich wypadkach. Eksperta. Lekarza.

Stevie milczał.

- Nazywa się dr Weeks - powiedziała DeAnne. - Jej syn jest członkiem naszej gminy, więc nie jest taka całkiem obca.

- Mimo to nie jest mormonem - dodał Step.

- To prawda - potwierdziła DeAnne. - Lecz twój ojciec spotkał się z nią i okazała się bardzo miłą panią. Chcemy tylko, byś z nią porozmawiał. Jesteś to w stanie zrobić?

Stevie kiwnął głową.

- Porozmawiasz z nią szczerze i otwarcie? - spytała DeAnne.

Teraz jego piorunujące spojrzenie spoczęło bezpośrednio na DeAnne.

- Zawsze mówię tylko prawdę.

- Wiem o tym - odparła DeAnne. - Nie miałam na myśli, że mógłbyś skłamać, chcę tylko, byś z nią porozmawiał. Opowiedział, co zdarzyło ci się w życiu. Jak patrzysz na świat. Nie rozmawiasz za wiele z ojcem lub ze mną, więc pomyśleliśmy o kimś innym, mógłbyś porozmawiać z kimś spoza rodziny.

Stevie siedział, ponownie wpatrywał się w przestrzeń między nimi.

- Czy mogę czasem odwiedzać dom? - zapytał.

- Och, Stevie, to nie tak! Chcę cię tylko zabrać na wizytę o dziesiątej. Wejdiesz do środka, poznasz ją, porozmawiasz, a potem wrócimy do domu. To tylko raz w tygodniu, nie spędzisz tam nawet całej godziny. Nie wysłalibyśmy cię w żadne obce miejsce, Stevie!

Ponieważ Step nie był w ciąży, mógł zejść z kanapy i uklęknąć przy Steviem, obejmując go. Tym razem Stevie zareagował, odwrócił twarz w stronę ojcowskiego ramienia.

- Stevie - powiedział Step. - Stephen, mój synu, jesteś najjaśniejszą gwiazdką w najciemniejszą noc, sądzisz, że kiedykolwiek pozwolilibyśmy ci odejść? Zawsze będziesz z nami, chyba że zechcesz odejść, a mam nadzieję, że nie dojdzie do tego, nim dorośniesz na tyle, by podjąć się misji i ożenić. Na to potrzeba jeszcze wielu lat. Nigdy cię nigdzie nie wyślemy, choćby nie wiem co.

Nie wolno ci tego mówić, pomyślała DeAnne. A jeśli trzeba go będzie umieścić w szpitalu? Co



wtedy? Stałbyś się wtedy kłamcą, Step. Chyba że naprawdę dotrzymasz słowa i nawet jeśli będzie potrzebował terapii, nie puścisz go z domu. Ale to by była miłość!

Wtedy pomyślała: Ja też bym go nie puściła.

- Stevie, jeśli powiesz nam teraz, że nie chcesz iść do tego lekarza - kontynuował Step - nie każemy ci iść. To zależy od ciebie. Nie uważamy, żebyś zwariował czy coś w tym rodzaju, ale sądzimy, że przeżywasz ciężki okres i dr Weeks może ci pomóc przetrwać te chwile, pomóc ci znaleźć sposób, byś sam rozwiązał swoje problemy. To wszystko. Naprawdę, zależy nam, żebyś spróbował, ale jeśli tylko powiesz „nie”, nie każemy ci iść.

Jak mogłeś to powiedzieć! - krzyknęła DeAnne w duchu. Zdając się na jego widzimisię. To tak jakby pytać dziecko, czy chce szczepionkę przeciwżółciową! A jeśli Stevie odpowie „nie”, co wtedy, Step, co z twoją obietnicą, że go zabierzesz?

- Nie chcę - odparł Stevie.

No i sprawa się ryła. Wielkie dzięki, Step!

Lecz Stevie nie zdecydował jeszcze.

- Naprawdę ona pomaga ludziom rozwiązywać problemy? - zapytał.

- Czasami - potwierdził Step.

- No to pójdę - zgodził się Stevie. Nie gniewał się już dłużej.

- Dzięki, Kluczniku - powiedział Step. - A jeżeli okaże się to złym pomysłem albo ona ci się nie spodoba, nie każemy ci więcej do niej chodzić, okej? To nie szkoła, nie ma prawa, które mówi, że musisz się z nią spotykać. Kapujesz?

Stevie przytaknął. Wstał i opuścił pokój. DeAnne pragnęła go zatrzymać, pocieszyć. Lecz gdyby oczekiwał czegoś podobnego, mógłby jeszcze zostać. Chciał zostać sam i miał do tego prawo.

Step usiadł bliżej DeAnne i objął ją.

- Powiedziałbym, że poszło całkiem nieźle - stwierdził. Nie odezwała się. - Wiem, co teraz myślisz - rzekł Step. - Nie jest to prawda.

- A co takiego myślę, bystrzaku? - zapytała.

- Myślisz, że jesteś najgorszą żoną i matką pod słońcem, ale ja ci mówię, że to tylko ta ciąża tak na ciebie wpływa.

- Wcale nie.

- Wiem, że nie cierpisz, kiedy wywlekam takie rzeczy, ale ty zawsze podczas ostatnich dwóch

miesiące ciąży wpadasz w makabryczne przygnębienie. Najgorsza matka - dziecko będzie szczęśliwsze, jeśli urodzi się martwe...

- Nigdy nie wspomniałam o tak strasznej rzeczy!

- Mówiłaś tak przy Robbiem i mówiłaś tak przy Betsy.

- A zatem jestem maszyną, którą hormony wykorzystują, by spełniły się ich nieczne plany na ziemi.

- Nie twierdzę, że to, co czujesz, nie jest realne, Rybia Damo - rzekł Step. - Chcę tylko, byś wiedziała, że nie powinnaś wierzyć we wszystko, co ci się mówi. Jesteś cudowną żoną, nie chciałbym mieć innej.

- Naprawdę? A cóż tak cudownego zrobiłam dziś rano? - zaciekała się DeAnne.

- Po pierwsze, utrzymałaś moje czwarte dziecko przy życiu przez kolejną dobę, a to praca w pełnym wymiarze godzin. Poza tym nie przerywałaś mi, kiedy zgodnie z twoją oceną pozwalałem Steviemu nie iść do psychiatry.

- A to dobre, spostrzegłeś ostatnio, że potrafisz czytać w myślach?

- Siedziałaś na skraju kanapy, jakby tylko to powstrzymywało cię od przyskoczenia do mnie i zasycia mi ust dratwą - odpowiedział Step. - Nie muszę uciekać się do czytania w myślach. Lecz nie zrobiłaś tego. Zaufałaś mi i udało się. Powiedziałbym, że należałoby ci przyznać medal dla bohatera poranka.

- To nieprawda - DeAnne była innego zdania - zważywszy na to, jak z tobą rozmawiałam w kuchni.

- Niczego, co powie ktoś, kto przed chwilą stał oko w oko z pięcioma tysiącami chrabąszczy wybałuszających gały przez kuchenne okno, nie można wykorzystać przeciwko niemu - powiedział Step. - A teraz daj mi buziaka, nim wyjdę do pracy, bo właśnie podjechał mój szofer.

Pocałowała go.

- Nawet nie zjadłeś śniadania - przypomniała.

- A po co komu śniadanie w świecie automatów z balonikami?

Po tych słowach podniósł się i wyszedł.

Zabranie Stewiego do dr Weeks przyniosło raczej rozczarowanie. Wtłoczyła dzieciaki do samochodu. W drodze do lekarza Stevie milczał, ale przecież zawsze niewiele mówił. Kiedy dotarli na miejsce, nie było kolejki; recepcjonistka powitała Stewiego uśmiechem, mówiąc, że mama, braciszek i siostrzyczka czekają na niego, gdy będzie w gabinecie, a poza tym spytała, czy mógłby wejść od razu i spotkać się z dr Weeks. Stevie nawet nie obdarzył DeAnne pożegnalnym spojrzeniem. Po prostu pozwolił recepcjonistce wprowadzić się do gabinetu, niczym żołnierz przyzwalający sierżantowi popędzić się do boju.

Musi się udać, myślała DeAnne, opowiadając Robbiemu i Betsy bajki w poczekalni. Panie, proszę, pomóż dr Weeks znaleźć sposób, dzięki któremu przywrócilibyśmy Steviemu dawny wigor.

Upłynęła godzina i Stevie wyszedł. DeAnne uniosła brew pytająco w stronę dr Weeks, lecz ta nie miała zamiaru zwierzać się DeAnne z czegokolwiek w obecności Stewiego. Uśmiechnęła się po prostu i potrząsnęła ręką DeAnne, potem łaskawie uściśnięła dłoń Robbiego, który zapytał, czy też mógłby kiedyś wejść i porozmawiać, gdyż jest naprawdę niezły w rozmawianiu z ludźmi i o wiele bardziej mu się to podoba niż Steviemu. Dr Weeks zaśmiała się, mówiąc:

- Może kiedyś, Robbie, ale nie teraz.

W drodze do domu DeAnne chciała wypytać Stewiego, jak przebiegała rozmowa, ale oparła się pokusie. Chłopak nie zdecydował się mówić otwarcie z dr Weeks, wiedząc, że zaraz po wejściu do samochodu czeka go śledztwo. Ograniczyła się więc tylko do zdawkowego pytania, jak mu poszło.

- Dobrze - odpowiedział.

Następnego ranka, siedząc samotnie w kuchni, o 8:30 zadzwoniła do mieszkania dr Weeks w nadziei, że zastanie ją przed wyjściem do pracy. Słuchawkę odebrał mężczyzna. To musi być Lee - domyśliła się DeAnne.

- Czy mogę rozmawiać z dr Weeks? - zapytała.

- Mam powiedzieć, że kto dzwoni? - spytał Lee.

- DeAnne Fletcher.

Przerwa.

- A o co chodzi? - zapytał ponownie Lee.

- Nie ma jej w domu? - DeAnne nie myślała zwierzać się temu młodzieńcowi. Nie po jego zachowaniu przy chrzcie.

- Muszę jej powiedzieć, o co chodzi - powiedział Lee.

- W takim razie zadzwonię później.

Jednakże kiedy to mówiła, usłyszała kliknięcie na linii.

- Halo? - głos należał do dr Weeks.

- Dr Weeks, przepraszam, że przeszkadzam pani w domu, lecz chciałam porozmawiać z panią, nim pacjenci zjawią się w gabinecie i zanim zbudzą się moje dzieciaki.

- Wszystko w porządku - odparła dr Weeks. - A kto mówi?

- Och, przepraszam. Myślałam, że Lee pani powiedział. Tu mówi DeAnne Fletcher, matka Steviego.

- Lee z panią rozmawiał?

- Tak, podniósł...

- Lee, odłóż natychmiast słuchawkę!

Długie milczenie.

- Widocznie już odłożył - powiedziała DeAnne.

- Lee, odłóż ją w tej chwili! Rozmowa nie dojdzie do skutku, jeśli nie odłożysz słuchawki.

Kolejne milczenie. A potem kliknięcie.

- Przykro mi, pani Fletcher. Czasami myślę, że mieszkam pod jednym dachem z przerośniętym czterolatkiem.

- Tak, rozumiem - powiedziała DeAnne. Lecz w rzeczywistości nie rozumiała.

- Chciała pani...?

- Ja po prostu... chciałabym wiedzieć, czy pani... czy mogę w czymś pomóc. Informacją lub czymkolwiek. Po wczorajszej wizycie Steviego.

- Raczej nie - odparła dr Weeks. - Już mi pani przekazała podstawowe informacje. Aha, byłabym wdzięczna, gdyby sporządziła pani listę imion wszystkich tych wyimaginowanych przyjaciół i przesłała mi ją do biura.

- Wszystkie imiona mogę wymienić już teraz.

- W biurze, proszę - obstawała dr Weeks. - W ten sposób utrzymuję wszystko w ścisłej tajemnicy.

- W porządku - nie nalegała już DeAnne. - Dziękuję. I obiecuję nie naprzykrzać się więcej w domu.

- Tak będzie najlepiej - powiedziała dr Weeks. - Życzę dobrego dnia. - Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

Na ułamek sekundy, nim DeAnne odłożyła słuchawkę, usłyszała kolejne kliknięcie.

Lee jednak nie posłuchał matki. Musiał przez cały czas podsłuchiwać.

Nie dziwota, że dr Weeks każe przesłać sobie listę do biura. Nic dziwnego, że powiedziała: „Tak będzie najlepiej”. Nie było to nieuprzejmością, a jedynie zwyczajnym przystosowaniem się do okoliczności. Lee szpiegował matkę, kiedy tylko miał sposobność. W domu nie miała nad nim kontroli.

DeAnne bezzwłocznie usiadła przy stole, zapisując imiona, które pamiętała. Jack i Scotty, rzecz jasna. A wczoraj rano, kiedy Stevie grał w Lode Runnera... Jak brzmiały ich imiona? Roddy. A o Davidzie wspominał już po chrzcie. A więc czterech. Jack, Scotty, Roddy i David.

Odłożyła tę kartkę i sięgnęła po nową, pisząc:

„Imiona przyjaciół Stewiego w porządku chronologicznym:”

„Scotty”

„Jack”

„David”

„Roddy”

Przez chwilę siedziała nieruchomo, przypatrując się liście. Wyobrażając sobie tych wyimaginowanych przyjaciół. Czterech chłopców w wieku Stewiego. Może Scotty był rudzielcem jak Johnny Whitaker, ten mały aktor? Jack zaś piegusem o okrągłej twarzy i kasztanowych włosach, jak Artful Dodger z „Olivera”? David w jej wyobraźni był spokojnym, nieśmiałym, flegmatycznym blondynem. Roddy dla odmiany zdawał się zuchwały, z tendencjami do pakowania się w kłopoty, z których inni musieli go wyciągać. Wszyscy myszkują nieustannie po domu, wpadając co chwila do kuchni, a ona musi odganiać ich od lodówki, gdyż w przeciwnym razie nie zostanie nic na obiad. Z drugiej strony wpadają i opowiadają o zabawach w ogródku, spoceni od biegania i wydzielający ten cierpki dziecięcy zapach, który DeAnne kojarzy się z bratem: prawdopodobnie najgorszy zapach na świecie, myślała wtedy, lecz obecnie z rozkoszą wdychałaby go, gdyby unosił się wokół Stewiego, wokół jego przyjaciół, woń potu, którym zlałby się po godzinach dzikiej popołudniowej zabawy, kiedy letnie wakacje rozpoczną się na dobre, a wciąż wydłużające się dni pozostawiają im tyle czasu wieczorem. Robaczki świętojańskie, niczym deszcz mikroskopijnych meteorów, przyozdobią trawniki, a dzieci będą biegać i biegać, i nie przestaną, aż zawoła: „Czas do domu, chłopcy, nie uważacie? Ale najpierw mam tu trochę mleka i upiekłam ciasteczka po kolacji, pamiętaj, Stevie, byś najpierw poczęstował kolegów, po jednym dla każdego, może jeśli umyjecie ręce, nie złapiecie żadnej brzydkiej choroby. Coś mi się zdaje, że będę musiała nauczyć was obsługi kurka od kranu, patrząc na was, chłopcy, nie przypuszczam, by którykolwiek spotkał w życiu umywalkę. Kwadratowa rzecz przy zlewie to kostka mydła”. Będą się śmiać i protestować, a Stevie powie „Maaamo”, po czym chłopcy zjedzą ciasteczka i kawałki czekolady przyklepią im się do kącików ust.

O, Boże, dlaczego Stevie nie może mieć prawdziwych przyjaciół? Dlaczego nie słyszę głosu mego syna, jak wykrzykuje przed domem: „Słonko, słonko już zachodzi!”, kiedy wieczorny mrok ogarnia ulicę?

Złożyła zapisaną kartkę, włożyła ją do zaadresowanej koperty, po czym wyszła z domu i wrzuciła list do skrzynki przy krawężniku.

Kiedy wróciła do kuchni, Robbie klęczał na krześle, analizując imiona zapisane na pierwszej kartce, którą DeAnne zapisała.

- Zapomniałaś o Peterze - powiedział Robbie.

- Co?

- O Peterze - powtórzył. - On nie przychodzi się bawić, tylko patrzy.

- Wiesz w ogóle, co to za lista? - zapytała DeAnne.

- To przyjaciele Stewiego - odparł. - On nigdy nie pozwala mi ich poznać.

- Nie sądzę, żeby był w stanie.

- Dlaczego ich zapisujesz, mamó? Czy Stevie zaprasza ich do nas?

- Nie przejmuj się tym - powiedziała DeAnne. Schowała listę do kredensu na najwyższą półkę między talerzami. - Tak tylko zapisywałam imiona. Co chcesz na śniadanie?

- Cream of Wheat! - wykrzyknął Robbie.

DeAnne pozwoliła mu pomagać przy sporządzaniu śmietanki, dzięki czemu już po chwili chłopiec zapomniał o liście.

We wtorek po południu Dicky wszedł do gabinetu Stepa.

- Dobre wieści - powiedział na wstępie.

- Naprawdę? - Stepa natychmiast przeszył dreszcz paniki: w końcu Ray zdecydował się wesprzeć PC.

- Ray zdecydował się wydać wersję Hacker Snacka na Commodore'a 64.

Co za absurd! - pomyślał Step. Nikt nigdy nawet nie wspomniał o Hacker Snacku, nawet po tym, jak nakrył programistów pracujących nad tajnym projektem, tuż przed wycieczką do San Francisco. Założył, że programiści powiedzieli Dicky'emu, Dicky powiedział Rayowi, który zrezygnował z Hacker Snacka. Błąd - projekt najwidoczniej nie został zaniechany i teraz Dicky miał czelność wejść i obwieścić, że Ray zdecydował się wydać grę, która do niego nie należy.

- Ach tak? Wielka szkoda - rzekł Step.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Dicky.

- Już ją sprzedałem innemu wydawcy.

W okropnej ciszy Dicky klapnął na krzesło, krew napływała mu do twarzy, zmieniając ją w buraka.

- Sprzedałeś Hacker Snacka konkurencji?

- Nikt tu nie złożył mi oferty. Wątpliwe, byście nie mogli mnie znaleźć. Domyśliłem się więc, że nie jesteście zainteresowani.

- Nie wciskaj mi tu kitu - powiedział Dicky. - Zdaję sobie doskonale sprawę, że od miesięcy masz świadomość naszego zainteresowania.

- Wprost przeciwnie - rzekł Step. - Wiem, że Glass grzebał w moim kodzie, że programiści też się nim trochę bawili, lecz skoro nikomu nie sprzedałem praw, a nikt w Eight Bits Inc. nawet szeptem nie wymienił przy mnie nazwy Hacker Snack, miałem słuszne prawo mniemać, że nie interesuje was oficjalna adaptacja mojej gry.

- No cóż, obwieszczam ci więc teraz, że Ray zdecydował wydać Hacker Snacka.

- A ja ci obwieszczam, że podpisałem kontrakt sprzedający prawa komuś innemu.

- Nie miałeś prawa podpisywać takiego kontraktu - rzekł Dicky. - Twoja umowa o zatrudnienie wyraźnie przekazuje wszelkie prawa...

- Moja umowa o zatrudnienie wyraźnie wyłącza wszystkie gry, jakie wydałem przed przybyciem do Eight Bits Inc., Dicky. Zanim zaczniesz cytować ludziom ich umowy o zatrudnienie, wpierw się z nimi zapoznaj. Nie wszystkie są takie same.

Dicky spoglądał, jakby za chwilę miała mu eksplodować głowa.

- Ty niewdzięczny gnojku.

- A niby za co mam być wdzięczny? - spytał Step. - Pracuję tu już od ponad czterech miesięcy, a ani razu nikt nie złożył mi oferty dotyczącej Hacker Snacka. Ty nawet zabroniłeś mi programować, pamiętasz? Jasne jak słońce, pomyślałem, że w Eight Bits Inc. cenią mnie jedynie za pisanie podręczników. A może się mylę? A może powinienem był cały czas myśleć o sobie jako o specu od gier?

- Czy zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłeś?

- Nic nie zrobiłem. To wy pracowaliście za moimi plecami, inwestowaliście czas w doskonalenie programu, a jednocześnie nie znaleźliście w sobie tyle przyzwoitości, żeby zapytać właściciela o pozwolenie. Czy to moja wina? Najzwyczajniej w świecie sprzedałem moją własność firmie, która wyraziła zainteresowanie.

- Której? Komu sprzedałeś prawa?

- W mojej umowie o pracę nie znajdziesz klauzuli, która obligowałaby mnie do wyjawiania, co robię z moją własnością, Dicky.

- Pozwiemy ich tyłki do sądu.

- Dokładnie dlatego nie mam zamiaru nic wam wyjawiać.

- Ray cię za to wyleje.

- Wyleje mnie? - zdziwił się Step. No tak, pomyślał, to całkiem możliwe. Lecz dla Stepa zwolnienie z pracy nie było tak straszną perspektywą. Jak DeAnne mogłaby go teraz winić za rzucenie pracy, gdyby go wylano? Okazało się, że nawet podoba mu się ta konfrontacja. Nie było niczego, co ceniłby Step, a Dicky mógł mu to zabrać. - Nie sądzę, żebym tylko ja martwił się teraz o stołek. Osoba, która poważnie powinna zaniepokoić się o swą posadę w firmie, podsunęła Rayowi myśl, by ruszyć z Hacker Snackiem za moimi plecami. Ktoś, kto nie zawracał sobie głowy, by dowiedzieć się, czy moja umowa o pracę nie różni się przypadkiem od reszty umów, nim poświęciła fundusze Eight Bits Inc. na rozwój gry, która nie była jej własnością.

- Ty głupcze - odezwał się Dicky. - Sam Ray zrobił to wszystko.

- Aha. Tylko czy Ray to pamięta? Czy przypomni sobie te wszystkie twoje sprzeciwy, ostrzegające przed niebezpieczeństwem płynącym z tak nierozważnej decyzji?

Dicky spoglądał na niego, siny z wściekłości.

- Dicky, nadeszła wreszcie pora, byś uniósł swe tłuste dupsko z tego krzesła i wyniósł je za te drzwi. Jeśli Ray chce mnie wywalić, niech mnie o tym pisemnie powiadomi, a już mnie tu nie będzie, polecę odebrać swoje bezrobocie. Jeżeli zaś nie chce mnie wywalić, w takim razie jestem zapracowany, a ty mi przeszkadzasz.

Step odwrócił się, by przejrzeć próbne wydruki.

Po chwili usłyszał, jak Dicky wstaje z krzesła i opuszcza pomieszczenie, cicho jak myszka.

Kiedy Dicky zniknął, Step podniósł się na trzęsących nogach i delikatnie zamknął drzwi. Oparł się o ścianę i chwilę ciężko oddychał. Czuł się taki oszołomiony. Czy tak właśnie czuje się żołnierz, który wyskoczył z okopów, pobiegł w stronę umocnień wroga, zdobył je i odkrył, że żadna kula go nie trafiła? Step uniknął Wietnamu, losując przy poborze liczbę 225 - liczbę, która teraz zdawała mu się tak magiczna, jak 7, 3, 12 lub 40 wydają się innym ludziom. Nie przeżył wojny, prawdziwej brawury, walki człowieka z człowiekiem. Lecz teraz myślał, że poznał jej posmak. Dicky przyszedł, chcąc zapewne ofiarować mi jakieś psie pieniądze, jakby to był wielki dar ze strony Eight Bits Inc., ja natomiast zaśmiałem mu się w twarz i kazałem robić, co chce. Nie wiem, jak mi się udało nie zmoczyć przy tym spodni.

Cowperowie wyprowadzili się dziesiątego czerwca.

- Szkoda, że nie możesz poczekać do soboty - powiedziała DeAnne do Jenny. - Step chciał pomóc wam ładować samochód. Byliście dla nas tacy dobrzy, a my nigdy nie mogliśmy się odwdziżyć.

- Nonsens - odparła Jenny. - Świetnie się bawiłam, odkąd przyjechaliście. Prawdę mówiąc,



gdybyście już tu mieszkali, kiedy Spike podpisywał transfer, to nie wiem, czyby do tego doszło. Ale tak toczy się świat, wiesz przecież. Darzyliśmy się wzajemnie największą przyjaźnią - mówię to bardzo szybko, byś ty mnie w tym nie ubiegła. Tak czy inaczej, byliśmy najlepszymi przyjaciółkami przez cały czas, nigdy cię nie zapomnę. Lecz nie obiecuj, że będziesz pisać, bo my nie będziemy, wiesz o tym. Z wyjątkiem kartek na Boże Narodzenie. Zawsze z entuzjazmem czytać będę twe coroczne sprawozdanie z rodzinnych wydarzeń, słyszysz mnie?

- Nie mogę napisać, nawet jeśli będę chciała? - zdziwiła się DeAnne.

- Lepiej zadzwoń. Nie jestem pisarką. Jeśli zbankrutujecie, zadzwoń na koszt rozmówcy.

- I vice versa - uzupełniła DeAnne. - To ty znasz mój numer telefonu, musisz więc zadzwonić pierwsza.

- Oczywiście - zgodziła się Jenny. - No bo jak inaczej dowiesz się, gdzie wysłać pięćset dolarów za datsuna?

- Osiemset dolarów - sprostowała DeAnne.

- Dla mnie może być nawet tysiąc - rzekła Jenny żartobliwie. - Lecz my uważamy, że cena wynosi pięćset dolarów i tak naprawdę nie dbamy, czy zapłacicie. Myślcie o nim jako o darze na wzniosłe cele, samochodzie kościelnym. Korzystajcie z niego w trakcie nauczania w domach, zabierajcie nim nastolatków, by spełniali młodzieńcze posługi. A za każdym razem pomyślcie o nas.

- Będę myśleć o tobie częściej, niż przypuszczasz - zapewniła DeAnne. - I więcej, niż przypuszczasz, będę za tobą tęsknić.

- Nim ten miesiąc upłynie, zdobędziesz nową najlepszą przyjaciółkę - powiedziała Jenny.

- Ktoś może być moim najlepszym przyjacielem - odparła DeAnne - nawet jeśli nie będzie w połowie tak dobrym człowiekiem jak ty.

- Czy ty chcesz, żebym się rozplakała, prowadziła krzywo samochód i zderzyła się z jakimś filarem lub czymś podobnym? - zapytała Jenny. - Upewnij się lepiej, że żadne z twoich dzieci nie stoi za tym U-Haulem lub samochodem, kiedy będziemy wyjeżdżać. - Jenny spojrzała na U-Haula z obrzydzeniem. - Są na tyle dużą firmą, by przenieść naszą rodzinę na drugi koniec Stanów i kupić nasz głupi dom, lecz nie są na tyle duzi, by wynająć prawdziwą firmę zajmującą się przeprowadzkami. Powiedz Stepowi, by zrezygnował z tej parszywej pracy, to sami złodzieje. - Po tych słowach Jenny pocałowała DeAnne w policzek i objęły się czule, Spike w tym czasie zamknął dom i wsiadł do szoferki U-Haula wraz z dwoma dziećmi. Jenny z resztą urwisów wsiadła do wygodniejszego samochodu. DeAnne upewniła się, że ma na oku Steviego, Robbiego i Betsy, że stoją z dala od samochodów, potem pomachała, a Cowperowie wytoczyli się na drogę.

Spoglądała za nimi, dopóki nie znikli, jednocześnie czuła, jak w środku dziecko przemieszcza się, napierając na żebra, aż zabolalo, aż pomyślała, że już dłużej tego nie zniesie. Miała chęć dać dziecku klapsa, krzyknąć na nie, zakazać mu sprawiać jej ból, choćby na minutę.

Dziecko napařło jeszcze mocniej. Prawdopodobnie odpowiadało na przepływające przez jej ciało hormony smutku: chemiczny ból.

W końcu nacisk zelżał i znów mogła pomyśleć o chodzeniu.

- Dalej, dzieci. To już nie jest dom Cowperów, lepiej wracajmy do siebie.

Kiedy wrócili do domu, ujrzeli starego, poobijanego datsuna B-210. Samochód, który uczynił ją i Stepą rodziną z dwoma autami - po raz pierwszy w ich małżeństwie. Podeszła i dotknęła go, zbadała: farba popstrzona i wyblakła, próg przerdzewiała. Głaskała samochód, jakby ten był koniem, którego nikt prócz niej nie umiał obłaskawić. Dziękuję ci za Jenny, powiedziała. Ale czy musiałeś mi ją tak wcześnie odbierać?

Spróbowała nie myśleć o tym w ten sposób, mówiąc dobitnie: dziękuję za Jenny. W końcu zmusiła się, by w ogóle przestać o tym myśleć. Poszła do domu, by przygotować spóźniony lunch.

Obecnie listy roznosił inny listonosz i poczta nie przychodziła przed czwartą. Znalazła kopertę od Agamemnona, w środku był czek. Pieniądze, które pozwolą im spłacić zaległe rachunki za dom w Indianie. Gdyby stary listonosz nie wyjechał na urlop, zapłaciłaby Cowperom za samochód jeszcze przed ich wyjazdem.

No, tak. Wypisze jutro czeki i wszystko będzie w porządku. Większość pieniędzy rozejdzie się natychmiast, tak byli zadłużeni, a IRS będzie musiał poczekać, wciąż będzie spędzał im sen z powiek. Tak czy inaczej - w tunelu zapaliło się światełko.

Lecz następnego dnia, gdy zasiadła, by wypisać czeki, nie mogła zebrać myśli. Czuła się idiotycznie, niezdolna do ich wypisania. Czy nie zdecydowali ze Stepem wieczorem, że przede wszystkim spłacą zaległe raty za dom?

Ostatecznie wypełniła czek na sumę najstarszej zaległej spłaty, doliczając narosłe po drodze odsetki. Włożyła wszystko do koperty, zapędziła dzieci do samochodu i podjechała pod pocztę, gdzie wrzuciła przesyłkę do skrzynki.

Jeden miesiąc. Spłacam za ledwie jedną miesięczną zaległość, nim zamrożą spłaty. Dlaczego? To głupie i niebezpieczne - prawdopodobnie i tak wyślą kolejne zawiadomienie; ta jedna wpłata w niczym nie pomoże. Jednak nie potrafię tak po prostu wyczyścić naszego konta z pięciu tysięcy dolarów. Nie mogę zostawić nas bez grosza przy duszy, gdyż kto wie, kiedy nadejdzie następny czek?

Oto co przydarzyło się Fletcherom czwartego lipca: w pierwszej gminie ceremonia wciągnięcia flagi nastąpiła o świcie, potem były naleśniki na śniadanie. Stepowi przychodziło do głowy około trzech tysięcy pomysłów, co wolałby zrobić, zamiast wstawać przed świtem w poniedziałkowy rano jedyne trzypięciodniowe weekendu w lecie, lecz zgromadzenie starszych piekło naleśniki, a DeAnne dyrygowała chórem, śpiewającym „The Battle Hymn of Republic”. Już samo to, że chór południowców śpiewał ten hymn, wystarczyło, by opłacało się wstać wcześniej.

Odkąd wyjechali Cowperowie, dyrygentka chóru, Mary Anne Lowe, pielęgnowała przyjaźń z DeAnne. W oczach Stepa wyglądało to tak, jakby siostra Lowe oczekiwała niecierpliwie, aż Jenny zmieni orbitę zainteresowań, jakby w życiu DeAnne istniało miejsce tylko na jedną przyjaciółkę naraz. A może tak było? DeAnne w tym okresie nie narzekała na nadmiar wolnego czasu czy energii. Ponadto Step sądził, że ta przyjaźń ma nieco inny charakter niż przyjaźń z Jenny. Tam gdzie Jenny zdawała się ożywiać DeAnne, wyciągać ją z depresji, kipiąca energią Mary Anne męczyła ją tylko. Najbardziej drażniło Stepa to, iż przyjaźń z Mary Anne Lowe oznaczała o wiele więcej obowiązków w muzycznym programie gminy. Jak na przykład prowadzenie chóru podczas wciągania flagi na maszt i wielokrotne ćwiczenie tego manewru w soboty i niedziele.

Kiedy DeAnne wykonywała z Jenny miłosierną posługę, zazwyczaj działo się to za dnia, lecz ćwiczenia chóru odbywały się najczęściej podczas tych nielicznych godzin, kiedy Step i DeAnne mogli być razem, z rodziną. Skutkiem powyższego albo sam udawał się na te próby chóru, jako jedyny tenor, albo zostawał w domu i próbował dopilnować dzieciaków, równocześnie wklepując kod Hacker Snacka na Commodore’ a 64.

Nawet kiedy zabrakło już Jenny, zlecenia miłosiernych posług nie ustały. Kilka razy w tygodniu siostra Bigelow dzwoniła do DeAnne, dzięki czemu Step, przychodząc z pracy, zastawał żonę przygotowaną do odwiedzenia domu siostry takiej czy innej, z sałatką, potrawką, ciasteczkami lub sosem gravy w manierce. Nieodmiennie padały pytania: „Mógłbyś, proszę, popilnować dzieciaków przez godzinę? A przy okazji posiekać ogórki na sałatkę?”

Nie ma sprawy, DeAnne. A Hacker Snacka skończę w grudniu, trzy miesiące po naszym bankructwie.

Zawsze jednak czuł się głupio, że daje się znów ponosić dziecięcym fanaberiom, wykonywał wszystko, o co go DeAnne prosiła, a zwykle jeszcze więcej, tak że wracając, znajdowała na stole parujący obiad, albo dzieci już były wykąpane, albo robił cokolwiek, co w jego mniemaniu sprawiało, że czuła jego opiekę i mogła wypocząć, bo czyż to nie ona nosiła w łonie dziecko? Nie miał prawa myśleć, że DeAnne nie robi wystarczająco wiele.

Po mszy porannej i naleśnikach, które smakowały, jakby wycięto je z pudełka na buty, i przechodziły przez przętyk niczym ołów, Fletcherowie wrócili do domu, a ich dzieci zaczęły rozrabiać i walczyć ze sobą. Step rozwiązał problem, wysyłając je z powrotem do łóżka, gdyż były zbyt zmęczone, by zachowywać się normalnie w towarzystwie ludzi; następnie chwycił DeAnne za ramię i ją też zaciągnął do łóżka. W ciągu kilku minut Robbie i Betsy zasnęli, DeAnne również. Stevie, jak zwykle, leżał uparcie z otwartymi oczami, dopóki Step nie wszedł cicho do pokoju i pozwolił mu poczytać, jeśli zechce. Ostatecznie Step wrócił do łóżka, senny i fizycznie wyczerpany. Czuł się tak przez pięć, dziesięć, piętnaście minut, w końcu poddał się i przeszedł do pokoju dziennego, wrzucił dyskietkę z Hacker Snackiem i włączył komputer.

Rozległ się zwyczajny, straszliwy chrobot, kiedy ruszyła stacja dyskietek - choć i tak brzmiało to lepiej niż w przypadku Commodore'a 64, którego stacja wydawała hałas jakby metalicznego żucia - po czym ekran rozjarzył się znajomo i Step zaczął kierować swym małym, animowanym bohaterem, Rodneyem, noszącym swe głupkowate okulary i kretyńską czuprynkę. Poprzez labirynt komputerowych chipów i hamburgerów.

Ale nuda, pomyślał Step. Oczywiście, nie, jeśli się gra po raz pierwszy, ale wszystkie następne poziomy są naprawdę do siebie podobne. Granie w te grę dziesiąty raz z kolei nie sprawia już takiej frajdy.

Normalnym rozwiązaniem problemu byłoby utrudnienie każdego wyższego poziomu do tego stopnia, by można było grać dalej, aby tylko pokonać maszynę i wpisać się na listę zwycięzców. Jednak Stepowi to nie wystarczało. Od samego początku gra powinna sprawiać przyjemność i być równocześnie tak rozwinięta, żeby na coraz wyższych poziomach sprawiać różnorodne nowe niespodzianki; wtedy sama gra byłaby nagrodą za zręczność i wytrwałość.

Co mógłby zmienić bez pożerania większych zasobów pamięci? No cóż, należałoby zrezygnować z tych komputerowych chipów i hamburgerów. Mógłby użyć innego materiału - może innych marek komputerów! Pochłonąć VIC-a 20, Timeksa i Apple'a II, by ostatecznie sięgnąć po Atari, a później nawet po jakąś stację roboczą czy coś takiego.

Jeśli mam zamiar rozwinąć oprogramowanie, dlaczego by nie zacząć prawdziwej ewolucji? Zamiast zaczynać od Rodneya, zacznę od salamandry albo od czegoś, co wynurza się z praoceanu, by z każdym poziomem stawać się czymś innym. Dinozaurem. Ssakiem. Może ryjówką. A potem szympansem. I „Homo habilis”. Następnie jakimś atletycznie zbudowanym facetem, a w końcu, stojącym na szczycie ewolucji, komputerowym hakerem, lalusiowatym pajacem w okularach. Okej, byłoby fajnie, ale zajęłoby to mnóstwo miejsca na dysku, szczególnie że nie bardzo mógł pozwolić, by dinozaury kolekcjonowały komputerowe chipy, zmuszając go do zmiany treści pożywienia na każdym poziomie! Liście dla dinozaurów - a może salamandry, klienci z poprzedniego poziomu! A ryjówki mogłyby wcinać jaja dinozaurów. Atleci mogliby tratować „Homo habilis”, zostawiając ich szczątki w animowanym stosiku rąk i nóg, jak Beetle Bailey, kiedy sierżant skończy go lać. A potem Rodney zostawiłby atletów w różowych kąpielówkach!

Czy ktoś zrozumiałby dowcip? Nie, nie różowe kąpielówki. Zbyt ciężko pokazać na komputerze. Nie, zostaną w stroju sprzedawców z Burger Kinga!

To jest to, to jest to! - pomyślał. To ciągle Hacker Snack, lecz ta gra jest lepsza. W Agamemnonie będą zachwyceni.

Step wszedł do swego gabinetu i na skrawku papieru zaczął kalkulować, ile pamięci pochłonie nowa grafika. Zaczął niemal marzyć o 128 kilobajtach zamontowanych w pececie IBM. Chociaż sprzęt jest do bani, to jednak PC dysponuje wystarczającą pojemnością, by mógł rzetelnie wypełnić zadanie, z lepszą animacją i większą liczbą poziomów. Gra może być większa, z obszernymi labiryntami wykraczającymi poza ekran. A gdybym tak miał 256 kilobajtów? Mógłbym odrzucić grafikę opartą na znakach i tworzyć płynne, pełnoekranowe animacje, jak w przypadku tej gry o piratach, w którą grał Stevie.

Jak się ta gra nazywała? Szukał jej wcześniej, ale nie znalazł. Kiedyś będzie musiał pożyczyć od Gallowglassa jego disassembler i przyjrzeć się, jak programista osiągnął tak dobry efekt.

DeAnne wkroczyła sennie do jego gabinetu.

- Musiałam się zdrzemnąć - powiedziała.

- O to właśnie chodziło - odparł Step.

- Idziemy dzisiaj na to przyjęcie wydane przez Eight Bits Inc., no nie?

- To całodniowy piknik. Możemy się pokazać o każdej porze.

- Dzieci mogą chcieć zostać troszkę dłużej i pobawić się, spodziewam się, że koło południa dadzą nam coś do jedzenia?

- Która godzina? - spytał Step, przeciągając się.

- Jedenasta.

- Więc skąd ten pośpiech?

- Żaden pośpiech - odparła. - Czy wiesz, co będą podawać na pikniku?

- Hot dogi i tym podobne rzeczy. I piezonego kurczaka, jak sądzę. Stary, dobry, wielkoduszny Ray uwielbia kuchnię pułkownika Sandersa i Oscara Mayera.

- Nie bądź zgryźliwy - poprosiła. - Uważam, że piknik pracowniczy to dobry pomysł.

- Jestem tego pewien - rzekł Step. - Po prostu czuję się zmęczony.

- Dlaczego nie spałeś?

- Próbowałem. Lecz zamiast tego zacząłem rozmyślać.

- Ach, to błąd. Skończyłam z tym wiele lat temu.

- No dobra, dokończę później - zdecydował. - Przygotujmy dzieci i ruszajmy, nim temperatura podskoczy do setki. Jestem przekonany, że wilgotność powietrza jest bliska stu procentom.

- Jesteś po prostu chłopcem pustyni, Step.

- Nie jestem przyzwyczajony do pocenia się i niemożności wyparowania potu aż do następnego dnia.

- Wyłączył komputer, wstał z krzesła i rozprostował kości. - Czuję, że teraz mógłbym zasnąć.

- Nie ma sprawy. Połóż się, jak chcesz. Pójdziemy trochę później.

- Nie, chodźmy już teraz, miejmy to za sobą. W pewnym momencie zobaczymy Dicky'ego w kostiumie kąpielowym i wyrzycamy naleśniki, co nam wszystkim dobrze zrobi.

Robbie i Betsy zeszli z łóżek ślamazarnie, po części z niewyspania, a po części z powodu naleśników, dlatego przybyli na piknik prawie o pierwszej. Eight Bits Inc. wdzierzało prywatne jezioro Uniwersytetu Karoliny Północnej. Około setki ludzi pluskało się w wodzie lub wałęsało wzdłuż brzegu. Pod zadaszeniem podawano jedzenie, tam też udali się po wyjściu z samochodu. Samego Raya Keene'a nigdzie nie było widać - coraz bardziej stronił od ludzi ostatnimi czasy, przez co niektórzy z programistów zaczęli nazywać go Howardem Keene'em, nawiązując do Howarda Hughesa. Lecz zauważyli żonę Raya i ich pięcioletnią córeczkę; poza tym każdy z pozostałych pracowników Eight Bits Inc. pokazał się na pikniku. Dowiedzieli się o tym przy stole z przekąskami, gdzie Dicky powitał ich, wesoło stwierdzając:

- No, są w końcu i Fletcherowie! Mamy wreszcie sto procent.

- Nie wiedziałem, że sprawdzana była obecność - odparł Step z humorem. - W przeciwnym razie przyniosłbym pisemne zwolnienie od mamy. - Po tej wypowiedzi skoncentrował się wraz z DeAnne na wręczaniu dzieciom hot dogów.

Później, ponieważ chłopcy nie umieli pływać, Step zabrał ich w miejsce, gdzie ludzie rzucali podkowami i rzutkami. Oglądając przez chwilę te zabawy, Step stwierdził, że nie jest tu dla dzieci bezpieczniej niż na środku jeziora: dzieci ciskały rzutkami we wszystkie strony, nikt ich nie nadzorował, końskimi podkowami bawili się mężczyźni, głównie biznesmeni z Eight Bits Inc., włączając w to Boba kowboja, a żelazo furczało w powietrzu z wystarczającą prędkością, by rozłupać głowę dziecka na dwoje. Stevie, oczywiście, miał się na baczności, lecz Robbie łatwo się podniecał i biegł wprost do obranego celu, nie zważając na takie błahostki jak rzutki i szybujące podkowy. Step zatem trzymał chłopca za ramię, a po chwili szybko odciągnął obu synów z dala od tego miejsca.

Zrobiło się nudno. No dobra, pomyślał Step. Poszukam DeAnne i Betsy i wyniesiemy się stąd. Obecność została sprawdzona i nikt za nami nie zatęskni.

Step dojrzał DeAnne stojącą w cieniu pod baldachimem osłaniającym stół, rozmawiała z panią Keene, która zapaliła papierosa i wypuszczała co chwila kłębuszek dymu. Choć DeAnne znajdowała się na wolnym powietrzu, a nawet wiał lekki wiatr, Step wiedział, że dym z papierosa szybko wywoła u niej uczucie mdłości i oszołomienia, niezbyt szczęśliwą kombinację w połączeniu z ciężką i popołudniowym skwarem. Tak więc, ciągnąc za sobą Stewiego i Robbiego, ruszył rażno w stronę kobiet i przyłączył się do rozmowy.

- Przykro mi, pani Keene, lecz DeAnne jest prawdopodobnie zbyt nieśmiała, by skarżyć się, że dym papierosowy źle na nią działa. Gdyby nie była w ciąży, wytrzymałaby to jakoś poza domem, ale...

- Och, nic nie szkodzi - przerwała mu pani Keene uprzejmie. - I tak się nie zaciągałam. - Rzuciła papierosa na ziemię i rozgniotła go obcasem. - Powinnaś coś powiedzieć, słodziutka, nie domyśliłam się; ja paliłam podczas ciąży z Allison, zapomniałam, że niektórzy ludzie potrzebują świeżego powietrza.

- Aż tak mi to nie przeszkadzało, tu, na tym wietrzyku - rzekła DeAnne.

- O, niebiosa, dziewczyno, jestem żoną szefa, myślisz, że o tym nie wiem? Ale tak między nami, ani w połowie nie jestem tak zachwycona Rayem, jak on sam sobą, a z drugiej strony on też nie dba o mnie aż tak, więc podlizywanie się mi nikomu nie zaskarbi względów szefa! - Zachichotała: niski, gardłowy śmiech palacza.

Pani Keene była czarująca, zabawna i miła, lecz także niebezpiecznie nielojalna. Czyżby zbliżał się kryzys małżeński? Żadna niespodzianka, zważywszy na pozę despotyzmu i tajemniczości, jaką Ray Keene przybierał. Ktoś opowiedział w dziupli kawał: podobno Ray Keene kryje się tak dobrze, że żona wynajęła prywatnego detektywa, by dowiedzieć się, gdzie mąż schował fiuta. Lecz gdyby jej małżeństwo było zagrożone, pani Keene przedstawiałaby sobą chodzący pocałunek śmierci, obdarzałaby poszczególnych pracowników swymi względami i zostawiała ich nieświadoma konsekwencji. Ktoś musiał śledzić, z kim rozmawia.

- Tato - zagadnął Robbie.

Step odwrócił się od swej rozmówczyni. Robbie był czymś wyraźnie podekscytowany. Za nim stała mała dziewczynka na czele gromadki dzieciaków.

- Allison chce, bym popłynął z nimi na tratwie! Czy mogę, tato?

- Nie - sprzeciwił się Step. - Wiesz, że nie możesz wchodzić do wody, Robbie. Nie potrafisz pływać.

Dziewczynka zrobiła krok do przodu i - głosem przywykłym do komenderowania - oświadczyła:

- On może iść. Mój tatuś powiedział, że to całkowicie bezpieczne.

- To tylko znaczy, że ty możesz iść - odparł Step. - Lecz Robbie nie może iść, ponieważ jego tatuś mówi, że nie jest to bezpieczne.

- Ale mój tatuś jest szefem tej firmy i on tu rozkazuje!

Step przypomniał sobie trzy drogocenne kawałki papieru w gablotce DeAnne - umowę o pracę, kontrakt z Agamemnonem i oświadczenie Raya, że nie zamierza wspierać PC IBM - i uśmiech mu się rozszerzył.

- No cóż, dziewczynko, może i twój tatuś jest szefem firmy, lecz nie jest szefem mojej rodziny, a kiedy chodzi o bezpieczeństwo moich dzieci, jego gadanie tyle znaczy, co pierdnięcie myszy.

Pozostałe dzieci zawyły ze śmiechu - takie słowa zawsze gwarantowały ich rozbawienie. Ale Allison nie było do śmiechu.

- Powiem tatusiowi, co pan powiedział!

- A jakże! - odparł Step. - Z dumą dowie się, że jego córeczka myśli, iż może rozkazywać dorosłym ludziom. Nieźle cię wychowuje.

Allison była za mała, żeby zrozumieć, iż to nie komplement.



- W takim razie dziękuję - powiedziała. - Wybaczam panu i nie powiem. A teraz idziemy, Robbie!

- Nie słuchałaś mnie chyba, dziewczynko. Robbie nie będzie pływał na tratwie. Dlatego, że kocham Robbiego i nie chcę, by wpadł do wody i się utopił. Ale nie mogę się doczekać, kiedy ty wsiądziesz na tratwę. Więc proszę, jazda, jezioro stoi otworem.

Allison przez ułamek sekundy wyglądała na zmieszaną, potem pokazała Robbiemu język i powiodła swój mały oddziałek w kierunku brzegu jeziora.

- Pokazała mi język, tato - poskarżył się Robbie.

- Przez co wyglądała raczej szpetnie i głupio, no nie? - spytał Step.

Jednakże kiedy odwrócił się do DeAnne i pani Keene, z zakłopotaniem zauważył, że najwidoczniej musiały przysłuchiwać się całej rozmowie. Pani Keene od razu rozproszyła jego wątpliwości, mówiąc z przymrużeniem oka:

- Tyle ma w sobie z ojca, nie sądzi pan?

- A skąd niby miałbym wiedzieć? - udał zdziwienie. - Od miesiący nie widziałem Raya.

- Niewiele pan stracił. - Pokiwała głową. - Musi pan być niezależny finansowo lub coś w tym stylu, gdyż o utrzymanie się w pracy dba pan tyle, co o zeszłoroczny śnieg. To mi się podoba w mężczyźnie.

- Uśmiechnęła się szeroko w stronę DeAnne. - Trochę flirtuję z twoim mężem, pani Fletcher, lecz nie zwracaj na to zbytnej uwagi, bo jestem już nieco podpita. Z reguły nie pijam więcej niż jedno martini - na godzinę - roześmiała się z własnego dowcipu. - No, może troszkę przesadzam. Podnieca mnie to, że mogę patrzeć na tę całą gromadę ludzi - a jest ich teraz więcej niż setka - i w głębi duszy jestem przekonana, że każdy z nich bez wyjątku nienawidzi Raya Keene'a. Nie macie nic przeciwko, że to mówię?

- Prawda jest taka - rzekła wymijająco DeAnne - że musimy się już zbierać.

- Och, wcale mnie to nie dziwi - odparła pani Keene. - Sama muszę już iść.

- Gdzie Stevie? - spytała DeAnne.

- Dokładnie tam. - Step wskazał drzewo, o które opierał się Stevie, obserwując wydarzenia na wodzie. - A gdzie Betsy?

- Ach, ten młody człowiek, który zwykł cię przywozić do domu tyle razy, zabrał ją na spacer.

- Glass? - zapytał. - Gallowglass?

- Nie, powiedział, że nazywa się Roland McIntyre.

- To właśnie Glass - wytłumaczył Step. Przeklinał się, że zapomniał ostrzec DeAnne, że nie kazał jej mieć Betsy przez cały czas na oku, szczególnie żeby niejaki Roland McIntyre, alias Saladyn

Gallowglass, nie ważył się tknąć choćby kosmyka włosów dziewczynki. - Gdzie ją zabrał? Ile czasu temu?

- Kiedy rozmawiałam tu z panią Keene. Zabrał ją w tamtym kierunku, na ten pagórek.

Mniej więcej w stronę parkingu. Albo zagajnika nieznacznie na lewo. W każdym razie na tamtym terenie kręciło się niewiele osób.

- Czy coś jest nie tak? - spytała pani Keene.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekł Step. - Masz tu Robbiego - włożył dłoń chłopca w jej dłoń - i nikomu już więcej nie pozwalaj brać na spacer ani jego, ani Steviego, proszę.

DeAnne zorientowała się, że zrobiła coś naprawdę niedobrego, pozwalając Glassowi wziąć Betsy na spacer.

- Step, przepraszam, myślałam, że to przyjaciel, tyle razy widziałam, jak cię przywozi z pracy...

Nie został, by wysłuchać reszty przeprosin. Najlepszym z biegaczy nie był, poza tym nie miał formy, lecz gdy dotarł do parkingu, nawet ciężko nie dyszał. Zawołał Betsy po imieniu, potem Glassa.

- Tutaj, Step! - odkrzyknął Glass.

Teraz Step go wypatrzył, chłopak stał za samochodem na odległym końcu parkingu, obok zarośniętego pastwiska.

- Czy jest tam Betsy z tobą?

- Oczywiście - odpowiedział Glass. - Twoja żona pozwoliła mi wziąć ją na spacer.

Step przemierzył już połowę parkingu. Teraz jego bieg pod górkę dawał o sobie znać - dyszał, brakowało mu oddechu.

- Zdaje się, że jest jej mokro - powiedział Gallowglass. - Właśnie sprawdzałem. Nie wiedziałem poza tym, gdzie jest wasze auto.

Nareszcie Step okrążył samochód i zobaczył Betsy, trzymającą Glassa za rękę. Jej pieluszka wciąż była nie naruszona, machała dmuchawcem, próbując strącić ostatnie z nasion. Step zdołał przemówić:

- DeAnne powiedziała, że możesz ją wziąć na spacer, a nie grzebać przy jej pieluszkach, Glass.

- Sądziłem, że nie chciałbyś, żeby dostała wysypki.

Step wziął Betsy w ramiona i stał tak, patrząc Glassowi prosto w oczy.

- Nie wiem, jak to delikatnie powiedzieć, Glass, więc nawet nie spróbuję. Lubię cię jako

programistę, jako przyjaciela. Ale nigdy, przenigdy nie dotykaj żadnego z moich dzieci, dopóki żyjesz. Ponieważ kiedy złapię cię powtórnie z którymkolwiek z nich, będzie to twój koniec.

Glass spoglądał na niego bez zmrużenia powieki i przez chwilę wyglądało na to, że odpowie - ze złością? Żartobliwie? Step nie chciał nawet zgadywać. Ostatecznie zamknął usta i odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę wejścia do parku.

Okej, zrobiłem sobie wroga, myślał Step, niosąc Betsy z powrotem w kierunku DeAnne. Ale ja tego nie wyssałem z palca. Glass miał Betsy nie dłużej niż kilka minut, a już zaprowadził ją za samochód, gdzie nikt nie patrzył. Gdybym nie zjawił się w porę, dołączyłby ją do listy pamiętnych historii z czasów, kiedy pucował pupcie małych dziewczynek. Do tej chwili Step raczej skłaniał się ku opinii, że Glass tak naprawdę nie molestował nigdy dziecka, że wszystkie opowieści, jakimi uraczył go w hotelowym pokoju w San Francisco, są najwyżej jego niesamowitą fantazją, obsesją zrodzoną w wyobraźni. Teraz Step wyrobił sobie opinię. Można nazywać to sprawdzaniem pieluszki lub pomocą przy kąpielu, jest to jednak forma molestowania seksualnego; niemal powiodło mu się z Betsy.

Kiedy dotarł do DeAnne, pani Keene wciąż tam stała, nie ukrywając zaciekawienia.

- O co tu chodzi? - zapytała.

- Po prostu sędzę, że pora wracać do domu - odparł.

- Bez wątpienia wyglądał pan na zaniepokojonego, że ten Bubba McInryre zabrał Betsy na spacer. Mogę pana zapewnić, że to najśłodszy chłopiec, jakiego można sobie wyobrazić, poza tym bardzo dobrze opiekuje się dziećmi.

Step przypomniał sobie Allison Keene i musiał zapytać:

- Czy Bubba kiedykolwiek opiekował się pani córką?

- Kiedyś, gdy Allison była ledwie szkrabem. Zwykł nas odwiedzać i prosić, byśmy mu pozwolili posiedzieć z małą, był taki uprzejmy. Dzięki temu właśnie zaczął programować na naszym poczciwym Commodore Pet - to na nim napisał Scribe'a, no wie pan - dopiero kiedy na serio zaczął pracować dla Raya, ten zakazał mi prosić Bubbę o opiekę nad dzieckiem. Jak to by wyglądało, gdyby najlepszy programista doglądał jego dzieci? - Przy tych słowach zagościła na jej twarzy zagadkowa mina.

- Czy z Betsy wszystko w porządku? - spytała DeAnne.

- Zabierał się prawie do jej pieluszki - powiedział Step. - By sprawdzić, czy nie ma mokro.

- Oczywiście, że nie miała - odparła DeAnne. - Bo właśnie ją zmieniłam. Powiedziałam mu przecież.

- Powiedziałaś mu?

- Zapytał, czy potrzeba będzie zmienić jej pieluszkę, na co ja odparłam, że przed chwilą ją zmieniłam.

Pani Keene nie była idiotką.

- Dobry Boże! Nie podejrzewa pan chyba, że Bubba... Że...

- Nic takiego nie powiedziałem - odpowiedział Step. - Ale ostrzegłem go, że jeśli kiedykolwiek przyłapię go sam na sam z moją dziewczynką, sąd będzie orzekał dla mnie karę dożywotniego więzienia albo śmierci.

Pani Keene zrobiło się niedobrze.

- Ale on przecież pilnował cały czas Allison, kiedy była w wieku waszej małej Betsy.

- Przynajmniej teraz się już nią nie opiekuje - powiedział Step.

- Nie, ponieważ Ray... - Twarz pani Keene pociemniała. - Wiedziałam, że z niego kawał sukinsyna, lecz nawet on nie wynająłby... osoby, o której wie, że... - Potrząsnęła stanowczo głową. - Nie dam wiary złośliwej plotce. - Odwróciła się i majestatycznym krokiem odeszła.

- Och, Step - odezwała się DeAnne, a na jej twarzy malowało się zdumienie. - Dlaczego nic mi nie powiedziałeś o tym chłopaku?

- Zapomniałem - przyznał Step.

- Zapomniałeś?

- To znaczy zapomniałem o tym, gdy przyjechaliśmy na piknik... że i Glass tu będzie. Prosi o opiekę nad naszymi dziećmi od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy. Lecz po San Francisco, gdzie zrozumiałem, w jakim kierunku zdążają jego fantazje, poprzysiągłem sobie, że nigdy nie będzie miał okazji poznać moich dzieci. Dzisiaj też by się nic nie zdarzyło. To z mojej winy doszło do tej sytuacji, nie z twojej, a teraz, proszę, chodźmy już stąd.

DeAnne nie oponowała. Po kilku minutach siedzieli z powrotem w samochodzie. Przez całą drogę Step był bardzo spokojny, nie chciał wypowiadać się na temat tego, co zaszło pomiędzy Betsy i Glassem, gdyż w aucie siedział Stevie i Robbie.

Po przyjeździe do domu DeAnne od razu rozebrała Betsy i wsadziła do wanny. Step stał w drzwiach i myślał o tych wszystkich chwilach, kiedy zmieniał Betsy pieluszki i kąpał ją, ale zawsze miał jedynie ochotę porozmawiać z nią, uśmiechnąć się, przebywać blisko niej, nic poza tym, tak samo było w przypadku chłopców. Lecz teraz obserwowanie DeAnne kąpiącej Betsy napełniało go poczuciem winy, jakby lubieżne spojrzenie Glassa z każdego czyniło zbrodnicę, nawet z ojca.

Wściekłość i wstyd, jakie odczuwał, okazały się dla niego za silne. Uciekł do sypialni i rzucił się na łóżko, zanurzył twarz w poduszce i zaczął krzyczeć, a właściwie wyć, raz za razem.

Po tym ataku, wyczerpany, przewrócił się na plecy.

Stopniowo uświadamiał sobie, że nie jest sam. Odwróciwszy głowę, dostrzegł w drzwiach Steviego.

- Jak się masz, Stevedore? - przywitał go.

- Czy ten mężczyzna skrzywdził Betsy? - spytał Stevie.

- Nie - odparł Step. Oczywiście, pomyślał. Stevie nie jest taki mały jak Robbie. W niektórych sprawach zaczyna się orientować. Dostrzega więcej. Zrozumiał część z tego, co zdarzyło się na pikniku. - Nie, z Betsy wszystko w porządku.

- Dlaczego więc tak wrzeszczałeś? Jakbyś się naprawdę wściekł.

Jak wiele mam powiedzieć? Prawdę, rzecz jasna, lecz tylko tyle, ile może usłyszeć ktoś tak młody i niewinny jak Stevie.

- Byłem wściekły, lecz głównie na siebie, gdyż nie zapewniłem Betsy odpowiedniej opieki. Bałem się też, bo niewiele brakowało, a zdarzyłoby się coś okropnego.

- Co? - chciał wiedzieć Stevie. - Co okropnego?

- Są na świecie ludzie, którzy wyrządzają dzieciom krzywdę - tłumaczył Step. - To typy najgorsze na świecie. Jezus powiedział, iż jeśli jakiś człowiek skrzywdzi dziecko, lepiej by było dla niego, gdyby uwiązał sobie u szyi kamień młyński i rzucił się do morza. Kiedy więc wydaje ci się, że ktoś taki mógłby skrzywdzić twoje dziecko, no cóż, czujesz się wtedy wściekły i przerażony.

Stevie kiwnął głową.

- Tak - powiedział.

- Lecz nic się nie stało, okej? Zmartwiłem się, ponieważ myślałem, że niewiele brakowało, a wydarzyłoby się coś złego, to wszystko.

- Czasami złe rzeczy naprawdę się zdarzają - rzekł Stevie.

- Tak to już jest - powiedział Step. - Ale jeśli tylko będę mógł na to coś poradzić, nic takiego nie spotka żadnego z moich dzieci.

- Wiem - zgodził się Stevie. - Ty i mama jesteście naprawdę dobrzy. - Odwrócił się i pomaszerował do swego pokoju.

Od ich przyjazdu do Steuben wypowiedzi Stewiego na dowolny temat były dość lakoniczne. Z niecierpliwością czekał na DeAnne, by jej zakomunikować, że ich syn wreszcie powiedział dłuższe zdanie. Ale spał już, kiedy DeAnne weszła do sypialni. Dopiero późną nocą zrelacjonował jej wypowiedź Stewiego. Kiedy dotarło do niej, co Stevie powiedział na końcu, przytuliła się do Step.

- Może są z nas całkiem dobrzy rodzice, Gałganiarzu. Przynajmniej nie jesteśmy tacy jak Ray Keene i jego żona.

Na wspomnienie szefa Step zaczął o nim myśleć. Niemal na pewno musiał zdawać sobie sprawę z

upodobań Gallowglassa, a mimo to zatrzymał go w Eight Bits Inc., ba, zapewnił mu nawet towarzystwo ludzi, by z nim pracowali, ludzi, którym Glass z pewnością zaoferuje pomoc przy pilnowaniu dzieci. Ray nie zająknął się nawet na temat, by ludzie uważali na swe pociechy. Z drugiej strony możliwe, że Ray o niczym nie miał pojęcia, że tylko zbiegowi okoliczności trzeba zawdzięczać, iż zakazał żonie wynajmować Glassa do opieki nad Allison. A może Ray wiedział, tylko nie wyjawiał tego nikomu, gdyż zbyt go potrzebował, zbyt potrzebował Scribe'a 64, by ryzykować odejście dziwnego, chorego podrostka, który był jego autorem.

Dr Weeks już nie odprowadzała Steviego do drzwi gabinetu pod koniec wizyty. Chłopiec sam pchał ciężkie drewniane drzwi i wychodził, za każdym razem sprawiał wrażenie coraz mniejszego - lub tak się DeAnne przynajmniej zdawało. Naprawdę kurczy się u niej, myślała. Mimo to Stevie nigdy nie uskarżał się na te wizyty i nigdy nie rozmawiał na ich temat. Zupełnie jakby go to nie dotyczyło albo było tak mało ważne, że nie warto się nad tym rozwodzić.

W poniedziałek, osiemnastego lipca, DeAnne przywiozła dzieciaki z gabinetu psychiatry i pozwoliła Robbiemu i Betsy pobawić się na podwórku za domem, podczas gdy sama wraz ze Steviem przyniosła pocztę.

Szła właśnie w stronę bocznych drzwi, wiodących z garażu do pralni i dalej do kuchni - tych drzwi zawsze używali - kiedy Stevie zawołał:

- Mamo, przed głównym wejściem leży jakaś paczka!

W rzeczywistości nie była to żadna paczka, tylko duża szara koperta. Wysłana pocztą, lecz listonosz zostawił ją pod drzwiami, być może z powodu pieczętki NIE ZGINAĆ, a włożenie tej koperty do skrzynki bez zginania było niemożliwe. Widniał na niej stempel poczty w Steuben, lecz nie dostrzegła adresu zwrotnego. Ich adres schludnie wystukano na maszynie: „Stephen & Diane Fletcher, 4404 Chinqua Penn, Steuben, N.C”.

Nie umieszczono kodu. Poza tym, choć imię Stepa zapisano poprawnie, jej imienia nie. Zazwyczaj ludzie wpisują oba poprawnie albo oba błędnie. Najwyraźniej przesyłka pochodziła od kogoś, kto znał Stepa, a nie znał jej. Albo od kogoś, kto chciał ją zirytować, a Stepa nie! Dlaczego zadbano o pieczętkę NIE ZGINAĆ, a nie pomyślano o adresie zwrotnym?

Stevie wszedł za nią do domu, a otwierając pocztę, usłyszała, jak chłopiec włącza Atari. Martwiło ją, że nie wychodzi często na dwór, chociaż jest lato. W sumie spędzał zbyt dużo czasu przed komputerem. Prawdopodobnie nadeszła pora, by wraz ze Stepem nakreślili dla niego ramy czasowe gry na komputerze, jak to się już stało w przypadku telewizji. Godzina dziennie - to brzmiało rozsądnie. A potem należy znaleźć Steviemu coś innego do roboty. Coś zdrowszego, co by wyciągnęło go na słońce. Jak blado wyglądał w porównaniu z Robbiem i Elizabeth, którzy chlubil się złocistą opalenizną i rozjaśnionymi kosmykami włosów.

Większa część przesyłek nie była interesująca. Odłożyła na bok list od przedsiębiorstwa kredytowego z Indiany - zapewne zawierał jedynie złe wiadomości, a te mogły poczekać. Na końcu

otworzyła anonimową szarą kopertę.

Wewnątrz znalazła płytę analogową, i to wszystko. Nagrał ją zespół, o którym DeAnne słyszała niewiele. Aż tak bardzo nie pociągała jej muzyka rockowa, ze Stepem było inaczej, lecz lubiła od czasu do czasu popatrzeć na nowe teledyski. Mieli tu w Steuben na kablówce MTV, podobnie jak w Vigor, bywało, że pracując zostawiała telewizor włączony na tym kanale. Podobał jej się teledysk Billy Jean - promienisty chodnik działał na jej wyobraźnię. Lecz ten z Michaeliem Jacksonem, przemieniającym się w potwora, przestraszył dzieci, dlatego nie zostawiała już MTV, kiedy dzieci chodziły po domu. Tak czy inaczej muzyka rockowa nie była jej obca, na przykład widziała, jak grają The Police.

Nigdy nie kupowali płyt analogowych, więc DeAnne nie miała pojęcia, gdzie podziwia się jedno z tych małych, plastikowych dziwactw, które umieszcza się pośrodku, żeby usłyszeć nagranie. Musi leżeć gdzieś koło wieży. Z pewnością nie wyrzuciliby tego - wyrzucanie rzeczy nie było w ich stylu.

Ktoś zastukał do tylnych drzwi, prowadzących z pokoju dziennego na podwórko za domem. Robbie.

- Możemy włączyć zraszacz?

- Okej - zgodziła się DeAnne. - Ale najpierw oboje do domu, proszę założyć kostiumy kąpielowe.

Betsy dziarsko wmaszerowała do domu tuż za Robbiem, stawiając kroki olbrzyma.

- Ża-bacz, za-bacz - intonowała.

Dopiero po pewnej chwili DeAnne zrozumiała, że Elizabeth mówi „zraszacz”. Dlaczego nuci to właśnie i czy ma to coś wspólnego z ogromnymi, majestatycznymi podskokami, jakimi pokonywała pokój dzienny? DeAnne nie próbowała nawet odgadnąć. To stanowiło wielką tajemnicę dzieci - o czym myślały, robiąc te wszystkie przedziwne rzeczy.

Oczywiście, była to także wielka tajemnica dorosłych.

Przyniosła płytę z kuchni, ułożyła ją na talerzu gramofonu, włączyła wieżę i nastawiła igłę. Zabrzmiało tak, jakby jacyś kretyni śpiewali pieśni drwali. Podniosła igłę, zmieniła prędkość na czterdzieści pięć obrotów na minutę, po czym opuściła igłę z powrotem. Teraz to był utwór rockowy.

Okazał się dziwną piosenką miłosną. Cokolwiek by ta kobieta zrobiła, on zawsze będzie miał na nią oko. Nie brzmiało to tak, jakby ją kochał albo nawet lubił. Piosenka mówiła o nieszczerych uśmiechach, dziwnych żądaniach, złamanych obietnicach. Zawierała niemiłosiernie wielką ilość rymów.

Nagle przestała się śmiać. Ktoś przysłał im tę płytę anonimowo. Dlaczego? Chciał przekazać wiadomość? Że cokolwiek zrobi, będzie ich obserwował?

Obeszła dom wokoło, sprawdzając zamki we wszystkich drzwiach. W tym czasie nagranie się skończyło. Wróciła do pokoju i puściła je od nowa. Jednak po kilku taktach piosenki podniosła igłę i wyłączyła wieżę. Step będzie tego słuchał dziś wieczór, do oporu.

Elizabeth weszła do pokoju w pieluszcze, dźwigając swój kostium kąpielowy. DeAnne ciężko usiadła na kanapie, by pomóc jej go włożyć.

- Nie mogę go włożyć na ciebie tak łatwo jak kiedyś, Elizabeth - powiedziała DeAnne. - Nie mogę sięgnąć ponad moim brzuszkiem. Musisz wejść w kostium.

Potrzeba było kilku prób, lecz ostatecznie Betsy stała w kostiumie, tak że DeAnne mogła podciągnąć go do góry i zawiązać za szyją.

- Też chcesz wejść pod zraszacz, Stevie? - zapytała głośno.

- Nie. - Stevie nie przerwał gry nawet na moment.

- Kiedyś bardzo to lubiłeś - nalegała.

Robbie wbiegł do pokoju, mając na sobie nie tylko kostium kąpielowy, lecz także czapkę Supermana, uszytą przez DeAnne jakiś czas temu.

- Truttu-tu! - krzyczał. - Truttu-tu-tu!

- Oto nadchodzisz, by uratować dzień - powiedziała DeAnne.

- Włącz zraszacz, mamo! - krzyknął Robbie.

DeAnne odchyliła się w bok i raczej się stoczyła, niż wstała, przytrzymując się oparcia kanapy. Poczła się jak słoń tarzający się w błocie, widziała takiego kiedyś na filmie.

- Stevie, dawniej uwielbiałeś bawić się pod zraszaczem.

- To by nie było fair - odpowiedział.

- Co by nie było fair?

- Bo ja mogę, a oni nie mogą.

Mimo że znała odpowiedź, musiała zapytać:

- Jacy oni?

- Scotty, Jack i ci wszyscy.

Starła się zachowywać i mówić spokojnie:

- Ale w gry komputerowe grać mogą?

- Tak, mogą - odpowiedział.

Otworzyła boczne drzwi i Robbie z siostrą wypadli na dwór. Odwróciła się twarzą w stronę ciemnej



jaskini pokoju dziennego, sylwetka Steviego majaczyła w mroku oświetlona poświatą komputerowego monitora.

- Stevie, nawet jeśli nie mogą bawić się z tobą pod zraszaczem, jeżeli są naprawdę twoimi przyjaciółmi, będą chcieli, byś ty pobawił się na słońcu. Przyjaciele nie zakazywaliby ci bawić się od czasu do czasu z braciszkiem i siostrzyczką. Twoje rodzeństwo także cię potrzebuje.

Sama nie mogła uwierzyć, że mówi o jego wymyślonych przyjaciółach, jakby rzeczywiście istnieli.

Lecz jeśli ci przyjaciele byli dla jej syna tak ważni, że odizolowanie ich oznaczałoby odizolowanie Steviego? Musiała spróbować zbliżyć się do niego, a jeśli to była jedyna droga, to trudno.

Stevie sięgnął za komputer i wyłączył zasilanie.

- Okej - zgodził się - pójdę włożyć kostium. Z ulgą puściła wodę.

Zraszacz rozpoczął swą wędrówkę po trawniku. Elizabeth wbiegała pod strugi, krzycząc. Jednakże Robbie - inicjator całego przedsięwzięcia - trzymał się na uboczu.

- Śmiało! - ponaglała go DeAnne. - Po prostu przebiegnij i daj się zmoczyć. Woda nie boli.

Robbie wciąż się wahał.

Wtedy wyszedł Stevie, podszedł do Robbiego i ująwszy go za rękę, powiedział:

- Okej, zaraz zrzucą na nas bombę, więc biegiem! - Z dzikimi okrzykami obaj pobiegli pod prysznic.

DeAnne wróciła do pokoju dziennego, skąd przyniosła składane krzesło, którego od niepamiętnych czasów używała, kiedy chciała posiedzieć na podwórku za domem i popatrzeć na bawiące się dzieci. Usiadła zatem i zaczęła dumać: ktoś chce, żebym myślała, że i ja jestem obserwowana. Ktoś chce, żebym siedziała na podwórku i się bała.

No i udało mu się.

Step zauważył, że coś ją gnębi, więc gdy obudził się o trzeciej nad ranem i zobaczył, że jest w łóżku sam, nie zdziwił się za bardzo. Wiedział, dlaczego nie może zasnąć. List z przedsiębiorstwa kredytowego brzmiał następująco: „Państwa pojedyncza wpłata jest niewystarczająca, by utrzymać rachunek. Jeśli nie otrzymamy wszystkich zaległych wpłat wraz z odsetkami i z lipcową ratą, na łączną sumę 3398,40 dolarów, do 22 lipca, rozpoczniemy procedurę przejęcia zastawionej własności”. Dopiero teraz Step odkrył, że DeAnne nie uiściła zaległych spłat w czerwcu, kiedy przyszedł pierwszy czek od Agamemnona. Nie wydała pieniędzy na inne rzeczy; wciąż mogli je wpłacić. Mimo to nie było w stylu DeAnne, wyrażając się oględnie, takie zwyczajne niezapłacenie.

Przecież mieli te pieniądze. Powinni czuć się zobligowani, żeby wszystko spłacić. Razem zdecydowali, że spłacą. A jednak pieniądze ciągle spoczywały w banku.

Zeszłego wieczoru DeAnne sprawiała wrażenie, jakby nie chciała na ten temat rozmawiać ze Stepem. Od razu zgodziła się, że następnego dnia wyśle zaległą spłatę, lecz była przy tym jakoś rozkojarzona, jakby nie przywiązywała do tego wagi. Dwa razy zdenerwowana mówiła mu o tym, jak to Stevie bawił się z dziećmiakami pod zraszaczem. A teraz nie mogła spać. No tak, pomyślał Step, ja też nie bardzo mogę. Wstał i poszedł na poszukiwanie żony. Natrafił na nią w pokoju dziennym i zaczął rozmawiać na temat zastawu hipotecznego.

- Nie o dom chodzi, Step - powiedziała. - Lecz tak się tym przejąłeś, że nie miałam sumienia dokładać jeszcze czegoś.

- Chronisz mnie przed czymś? Nie tak to powinno wyglądać.

- Przykro mi - rzekła. - Tyle zależy od twojej zdolności skoncentrowania się na pracy. Ale już sama nie mogę. - Wręczyła mu płytę i kopertę, w której nadeszła. - To leżało pod naszymi drzwiami.

Gdy tylko zabrzmiała muzyka, rozpoznał melodię. Miał zwyczaj, przeciwnie niż DeAnne, słuchać w samochodzie radia, ta piosenka obecnie była hitem. Nawet ją polubił, jej finezję, jej kąśliwość. Ale nie w tym wypadku, jeśli ktoś ją anonimowo przysłał jego rodzinie. Przerwał, nim piosenka się skończyła. Następnie przełamał płytę na pół, a kawałki wyniósł na śmieci. Jak mógł teraz dodać DeAnne otuchy? Zabrał ją do łóżka i tulił, póki nie zasnęła.

Resztę nocy przespał niespokojnie, a cały następny dzień nurtowało go, kto mógł przysłać tę płytę. Kto chciał zniszczyć ich życie, napełnić przerażeniem?

DeAnne wywnioskowała, że kimkolwiek jest ta osoba, zna Stepa lepiej niż ją - ale to w gruncie rzeczy nie upraszczało sprawy, ponieważ wydawało się, iż wszystkich wrogów, jakich mieli, przysporzył im Step. Kto w ogóle chciałby, żeby czuli się obserwowani? Mógł to być oczywiście Lee Weeks, karał ich w ten sposób za incydent podczas chrztu. Albo Gallowglass, po sławetnym pikniku z czwartego lipca - od tamtej pory był w pracy chłodny i trzymał dystans; kto wie, co myślał o oskarżeniu, jakie wystosował wówczas Step pod jego adresem?

Byli też inni mogący żywić wrogie zamiary. Nie można wykluczyć pani Jones, która opuściła ostatni miesiąc nauki i - zgodnie z tym, co powiedziała dr Mariner - nie wróci w przyszłym roku. Czy mogła siedzieć w domu i knuć, może wpadła na pomysł wysłania tej płyty, by Fletcherowie także nieco pocierpieli? A była jeszcze siostra LeSueur, choć to wydawało się najmniej prawdopodobne, jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by słuchała muzyki rockowej, a tym bardziej kupowała płytę, którą uważała za narzędzie szatana.

Dicky? To nie mógł być Dicky. Cechowała go wprawdzie mściwość, Step zdążył się o tym przekonać, prócz tego niejednokrotnie dochodziło między nimi do scysji, jednak z pewnością Dicky przeprowadziłby swą zemstę drogą biurokratycznego wyniszczania w pracy.

Co za straszna lista: Lee, Glass, pani Jones, siostra LeSueur - to są ludzie, którzy niewątpliwie mają

powody, by nienawidzić, obawiać się lub czuć urazę do Stepa Fletchera po niecałych pięciu miesiącach przeżytych przez niego w Steuben w Karolinie Północnej. Tylko pomyśleć, ilu ich jeszcze może przybyć do Nowego Roku! A przecież starał się postępować właściwie. Zjawił się w Eight Bits Inc. z nadzieją na przyjaźń z Dickym Northangerem - w czasie rozmów wstępnych nawet go polubił. To Dicky zdecydował się zostać wrogiem Stepa. To siostra LeSueur wtargnęła w ich życie, nie na odwrót. To pani Jones wyselekcjonowała Steviego, by go prześladować - czy miał pozwolić, żeby taka sytuacja trwała dłużej, starać się być „siewcą pokoju”? Jakim byłby siewcą pokoju, jakie błogosławieństwo by otrzymał, gdyby szerzył pokój kosztem szczęścia własnych dzieci?

Co się zaś tyczy Glassa i Lee, no cóż, standardy biernego zachowania najwidoczniej w ich przypadku się nie sprawdzały. Z pewnością nie chciał zrobić sobie z nich wrogów.

Około godziny dziesiątej doszedł do wniosku, że tego ranka nie zdoła już zrobić nic sensownego. Równie dobrze mógłby powalęsać się po dziupli i sprawdzić, czy może tam udawać pożytecznego pomocnika.

Mijając po drodze zapasowe pomieszczenie, gdzie magazynowano nie używany sprzęt, spostrzegł, że ktoś zapomniał zgasić światło. Uchylił drzwi, wsadził rękę i pstryknął w przełącznik.

Ktoś wewnątrz ryknął.

Step pośpiesznie otworzył drzwi, włączył z powrotem światło, prosząc równocześnie o wybaczenie:

- Przepraszam, po prostu pomyślałem, że niechcący zostawiono włączone światło, nie sądziłem, że ktoś jest w środku.

Zamknął już drzwi, kiedy uświadomił sobie, że to Dicky siedzi w pokoju przy uprzątniętym biurku i używa komputera, który nie przypomina Commodore'a 64, Atari czy jakiegokolwiek innej maszyny, znanej mu. Powtórnie otworzył drzwi.

- Przepraszam, czy to nie Lisa? Nie mamy tu przecież Lisy, no nie?

Dicky tymczasem zdążył przykryć komputer brezentem i znajdował się w połowie drogi do wyjścia. Powtórne otwarcie drzwi przez Stepa rozsierdziło go jeszcze bardziej.

- Niech to szlag trafi, ty podstępny sukinsynu! Nie masz już dość szpiegowania jak na jeden dzień?

- Od kiedy szpiegowaniem nazywa się otwarcie drzwi do pomieszczenia magazynowego? - zapytał Step. - Czy natrafiłem na jakiś ściśle tajny projekt?

- Nie, to zwykły Boy Scout, lubi spać w namiocie - odparł Dicky.

Lecz Step zdołał już spostrzec to, co Dicky nieuważnie zapomniał przykryć - wielkie, puste pudło na podłodze z napisem „Compaq”.

- Przepraszam, Dicky, może klucz w zamku załatwiłby sprawę?

- Właśnie wstawiałem, by zamknąć drzwi, kiedy ty wtargnąłeś do środka po raz trzeci, jeśli dobrze policzyłem.

- Przepraszam - powtórzył Step. - Nigdy już nie wyłączę żadnego światła w Eight Bits Inc., obiecuję.  
- Zatrzasnął za sobą drzwi.

Kiedy szedł korytarzem, usłyszał, jak Dicky powtórnie otwiera i zamyka drzwi. Uff, Dicky, już ci lepiej? Step zbliżył się do dziupli, położył dłoń na klamce, po czym okręcił się na pięcie i wrócił do swego gabinetu. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do DeAnne.

- Czy wysłałaś już czek do tego przedsiębiorstwa kredytowego?

- Jeszcze nie - odparła.

- To nie wysyłaj.

- Czemu nie? Czy coś się stało?

Opowiedział jej, co zobaczył i jak się z tym czaił Dicky. Nie załapała.

- Komputer Compaqa to klon IBM. Dicky pracuje na nim w tajemnicy.

- Ach - powiedziała - umowa...

- Jeśli Eight Bits Inc. wesprze PC w czasie, gdy się będę zwalniał, przez rok nie wolno mi będzie programować na PC. Prócz tego odcięty będę od Commodore'a 64 i Atari. Muszę dziś rzucić pracę, DeAnne. Już może być za późno.

- Jeśli już jest za późno - odpowiedziała - to co nam przyjdzie z twojego odejścia? Dziecko się jeszcze nie urodziło. Ma przyjść na świat dwudziestego ósmego. Lecz może to trwać krócej, może urodzić się wcześniak. Podobnie jak Elizabeth.

- Robbie spóźnił się o tydzień i musieliśmy przyspieszyć poród - powiedział Step. - Czy nie rozumiesz? Jeśli nie odejdę teraz, dzisiaj, nie odejdę w ogóle.

- Ale czy to będzie aż takie złe, Step? Odkąd nie pracujesz do nocy, jest o wiele lepiej.

Miał ochotę krzyknąć na nią. Wcale nie było lepiej, było po prostu krócej. Ale nie krzyknął. Wprost przeciwnie, zniżył głos i mówił szybciej, gdyż czuł głęboką potrzebę przekonania jej.

- Moja sytuacja tutaj pogarsza się z godziny na godzinę. Nic mi tu nie podlega. Krzytykę autorytetu zawdzięczam jedynie snuciu się wśród programistów i pomaganiu im przy tworzeniu gier za plecami Dicky'ego, a nawet to się już tak nie liczy, gdyż większości z tego, co sam wiem, nauczyłem innych. Za miesiąc Dicky tak mnie będzie cisnął, że każda godzina stanie się nie do zniesienia. Odrzuci wszystko, co napiszę, każe przepisywać po sto razy na nowo z najbliższych powodów. Prawdę mówiąc, już się tak zachowuje, tylko że go ignoruję i nie uwzględniam jego poprawek, lecz co się stanie, jeśli nie wolno mi już będzie go ignorować? Nie wiesz, co mówisz, radząc mi, żebym tak po

prostu został.

- Step, proszę cię jedynie, byś został, dopóki nie urodzi się dziecko...

- Wcale nie. Prosisz, bym został na zawsze. Żadnego końca, jak okiem sięgnąć. Tymczasem Dicky wie, że widziałem Compaq'a. Wie, że sekret się wyda, pobiegnie więc w te pędy do Raya i za moment dostaniemy kolejne oświadczenie, bo wiadomość musi pochodzić od nich, nie ode mnie. Rozumiesz? Chodzi o teraz, o minuty. Nawet nie mogę dać wypowiedzenia. Po prostu muszę rzucić tę robotę i wyjść.

- Nie wolno ci, Step. To nie byłoby fair.

- A czy coś było fair od samego początku, odkąd dla nich pracuję? I nagle mam być szlachetny?

- Musisz dać im dwutygodniowe wypowiedzenie, a potem kiedy odmówią ci praw do pisania na PC, możesz powiedzieć, że w momencie wręczania wypowiedzenia Eight Bits Inc. ciągle nie wspierało PC.

- No tak, świetnie. Jestem pewien, że w sądzie nikt tego nie podważy.

- Może nie.

- Posłuchaj, DeAnne. Przedzwoń do wujka Mike'a. To prawnik. Zapytaj, co powinniśmy zrobić. Powiedz o mojej umowie z Eight Bits Inc. - przeczytaj mu umowę - i zobacz, co ci odpowie. A przy okazji zapytaj, co mamy zrobić z domem. Co się z nami stanie, jeśli wykorzystamy pieniądze na przyspieszenie porodu.

- Masz na myśli, żeby przejęli zastaw?

- Dokładnie.

- Och, Step, nie możemy - to nieuczciwe.

- Nie, DeAnne, gdybyśmy podpisali zastaw, nie mając zamiaru go spłacić, wówczas byłoby to nieuczciwe. Lecz cała idea kredytu pod zastaw polega na tym, że w chwili gdy spostrzegą, że nie jesteśmy w stanie spłacać rat, zabierają dom. Cóż, nie możemy płacić, więc biorą nam dom.

- Ale my możemy zapłacić, Step. Mamy przecież pieniądze w banku.

- Te pieniądze nie są na dom, są po prostu pieniędzmi. Naszymi pieniędzmi. Jeśli użyjemy ich na wywołanie porodu i inne koszty związane z dzieckiem, już dziś mogę zrezygnować z pracy, teraz, z miejsca i ciągle będę miał przyszłość w Agamemnonie. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Więc tak bardzo chcesz rzucić pracę, że odejdziesz bez wypowiedzenia, pozwolisz odebrać nam dom, pozwolisz, bym rodziła bez ubezpieczenia?

- Sądziłem, że też chciałaś, bym rzucił tę robotę. Sądziłem, że potrzebujesz mnie w domu. Żebym był

przy Steviem. Byśmy znów stanowili rodzinę.

- Trudno, nie chcę być niegodziwa, Step, jeśli chcesz odejść, odchodź.

- Ach, więc wszystko będzie w porządku, jeśli to ja będę niegodziwy, o to ci chodzi? Tym razem nie podejmujemy decyzji wspólnie, ja muszę podjąć ją sam, kiedy zatem okaże się, że popełniłem błąd, ty na wieki obciążysz mnie winą. Gdybym pragnął tego rodzaju życia, poślubiłbym własną matkę!

- To najgłupsza i najokrutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś.

- Tak uważasz? W takim razie, co powiesz na to. Wyobraź sobie tylko, jak byś się czuła, gdybym przyszedł teraz do ciebie i powiedział: och, czy nie jest to z twojej strony troszkę egoistycznie, że tak nalegasz, byśmy mieli dziecko właśnie teraz? Gdybyś naprawdę kochała rodzinę, ponosiłabyś je jeszcze sześć miesięcy, nie uskarżając się przy tym.

Po tych słowach odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź, gdyż tak w tej chwili nienawidził sam siebie, że nie mógł znieść dźwięku własnego głosu.

Albo do niego oddzwoni, albo nie.

Po dwóch minutach, kiedy jednak nie oddzwoniła, usiadł przy maszynie do pisania i wystukał:

„Drogi Rayu:”

„Niniejszym rezygnuję ze swego stanowiska zajmowanego w Eight Bits Inc., ze skutkiem natychmiastowym. Nie ma potrzeby płacić mi za dzisiejszą pracę. Dziękuję za możliwość pracy z panem przez ostatnie miesiące. Przepraszam za ewentualne kłopoty, jakie może sprawić moje odejście.”

„Szczerze”

Wyciągnął kartkę z maszyny i podpisał ją.

Czuł się taki wolny.

Następnie podarł ją na strzępki i wrzucił do kosza.

Zadzwonił telefon. DeAnne. Szlochała, niezdolna wykrztusić słowa.

- Step, przepraszam, przepraszam, byłam egoistką - powiedziała.

- Nie, to ja byłem egoistą - zaprzeczył. - Nie odejdę. Poczekam, dopóki nie urodzi się dziecko, a jeśli Eight Bits Inc. wspierać będzie wtedy IBM, trudno, widocznie tak miało być. Może już od dawna Pan

to zaplanował.

- Nie - powiedziała - nie, mylisz się. Pan zaplanował dla nas Agamemnona. Sam wiesz, jak gładko szło w San Francisco, naprawdę polubiłeś Arkasiana, który dotrzymuje wszystkich obietnic, pieniądze są przyzwoite, musisz tylko wyciągnąć rękę i brać, musisz. To tylko mój strach, mój głupi strach kazał mi to wszystko powiedzieć, prosić cię, byś został w Eight Bits Inc., myliłam się. Czy ja nie mogę się mylić? Zrób to, co uważasz za słuszne.

Ta sama kłótnia, tylko stanowiska się zmieniły. Kiedy oboje zauważyli, że teraz DeAnne z kolei nalega, by odszedł natychmiast, wybuchnęli śmiechem.

- Może wróćmy do planu A, DeAnne. Zadzwoń do wujka Mike'a. Będę tu cały czas, zaczekam, aż oddzwonisz.

- Oddzwonię natychmiast. Kocham cię, Gałganiarzu.

- I ja cię kocham, Rybia Damo.

Usiadł przy maszynie i napisał kolejny list. Przypominał ten pierwszy z tym małym wyjątkiem, że wspominał o dwutygodniowym wypowiedzeniu. Rezygnacja dojdzie do skutku drugiego sierpnia. A jeśli dziecko nie urodzi się dwudziestego ósmego, jak przewidywali, to zdecydują się na przyspieszenie porodu, co pokryje polisa ubezpieczeniowa Eight Bits Inc. Najlepszy kompromis, jaki Step mógł wymyślić.

Położył list na biurku, ale tym razem go nie podpisał. Po prostu siedział z zamkniętymi oczami, czekając na telefon od DeAnne. Modlił się po cichu: niech wujek Mike będzie w domu. Niech udzieli nam dobrej rady. Wstrzymaj jeszcze przez jakiś czas rękę Raya Keene'a przed napisaniem ogłoszenia o wspieraniu PC. Niech to się wszystko jakoś ułoży.

Zadzwoił telefon. DeAnne.

- Powiedział, żeby machnąć ręką na dom - powiedziała.

- Na dom? - zapytał. Czy wszystko kręci się wokół domu? No tak, dla DeAnne na pewno, bo dla niej sprawą honorową jest spłacenie wszelkich długów. Jeśli wujek radzi pozbyć się go, to w dużej mierze uspokoi jej sumienie, o co przecież chodziło.

- Powiedział, że mamy recesję, a Indiana jest nią szczególnie dotknięta. Jest szansa, że tamtejsze banki nie przesadzają z raportami na temat przejętych zastawów. Ta sprawa może nigdy nie ujrzeć światła dziennego. A jeśli już, to nas przecież nie zabije. Dlatego możemy oddać dom.

- W porządku - powiedział Step. - Zatem możemy korzystać z pieniędzy w banku. Co z umową o zatrudnieniu?

- Powiedział, że może być różnie. Jeśli zrezygnujesz w przeświadczeniu, że polityka firmy jest taka, a nie inna, a przed formalnym odejściem zarząd firmy ją zmieni, najprawdopodobniej nic nie stanie na przeszkodzie, byś robił gry na PC, zgodnie z treścią umowy.

- Lecz jestem raczej pewny, że zabierają się do zmiany kursu - odparł Step. - Dlatego właśnie rezygnuję, a Dicky nie przegapi faktu, że zrezygnowałem w niecałą godzinę po tym, jak przyłapałem go przy pracy na Compaqu.
- No właśnie - powiedziała - dlatego twierdził, że może pójść różnie.
- No i masz ci los - rzekł Step.
- Radził, byś odszedł od razu. Po prostu wyszedł. Nie będzie wtedy niejasności.
- Tyle że od tej chwili Eight Bits Inc. może rozgłosić, że odchodząc nagle, opuściłem ich w potrzebie. I będzie to prawda.
- A nasze przedsiębiorstwo kredytowe może rozesłać wiadomość, że opuściliśmy dom i to też będzie prawda. Zupełnie tak, jak powiedział wujek Mike, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.
- Tak, ale to prawnik, nie odróżnia dobra od zła.
- Step, to mój wujek, on...
- To taki kawał, DeAnne. Wręczę moją rezygnację od razu.
- Wróc do domu jako wolny człowiek, Step. Wróc do swej rodziny.
- Tego właśnie chcę.
- Powiedz, że tak będzie.
- Kocham cię.
- Och, Step!
- Powiedz, że mnie kochasz, nim odłożę słuchawkę.
- Kocham cię.

Odłożył słuchawkę.

Dlaczego teraz tak niechętnie myślał o odejściu? Po prostu wyczuwał podskórnie coś niedobrego. Ten drugi list, ten, który napisał, zanim DeAnne zadzwoniła do wujka Mike'a - wiedział, że ten właśnie powinien wręczyć szefowi. Nie wiedział tylko dlaczego. Wydawało się to przecież najgłupszym rozwiązaniem, które pozbawi go pracy, kontraktu z Agamemnonem, zwiąże na rok klauzulą zamieszczoną w umowie z Eight Bits Inc. A mimo to, spoglądając na list, wiedział, że tak właśnie powinien postąpić, że to jedyny sposób, by zachować twarz. Mógł sobie odpuścić zastawiony dom, ponieważ bank położy na nim łapę, a jego wartość jest o wiele większa niż pożyczona kwota pieniędzy. Jednak nie należał do tych ludzi, którzy potrafią wypiąć się na pracodawcę bez uprzedniego wypowiedzenia.



Podpisał więc list, odbił go kilka razy na ksero i zabrał oryginał do Ludy, sekretarki Raya, która go przejrzała, cmoknęła kilka razy, uśmiechnęła się doń smutno i powiedziała:

- Przypuszczam, że jednak nie zgarnę puli.
- Co?
- Sądziłam, że zmajstrujesz ten papierek dopiero po narodzinach dziecka.
- Dziecko urodzi się w ciągu dwóch tygodni.

Przewróciła oczami.

- Jesteś pewny, że nie zamierzasz poczekać z tym, aż polisa ubezpieczeniowa pokryje koszty narodzin?
- Dzisiaj - powiedział, potrząsając głową.
- Nie chcesz czasu na ochłonięcie? Mogę poczekać do jutra rano, a na przykład gdybyś zmienił zdanie, nikt nigdy się nie dowie, że istniał taki list.
- Ludy, jesteś kochana, lecz daj mu list już teraz, proszę.

Uśmiechnęła się.

- Mhm, wy, mężczyźni, jesteście tacy atrakcyjni, myśląc, że wiecie, co robicie. Oczywiście, tak do końca, nigdy nie wiecie.

Step zaczął już odchodzić, ale się powstrzymał.

- Naprawdę były zakłady, kiedy odejdziesz?

Roześmiała się.

- Jasne, że nie. No, może taki malutki. Może założyłam się o lody, że zostaniesz, i o batonik, że odejdziesz.
- Zatem życzę smacznego - rzekł Step.
- Trzymaj się - pożegnała go Ludy.

Step przemierzył labirynt korytarzy w drodze na tyły budynku, gdzie natrafił na uchylone drzwi do biura Dicky'ego. Zapukał.

- Wejść.

Dicky rozmawiał przez telefon, co sprowadzało się przede wszystkim do kiwania głową. Step położył kopię listu na maszynie do pisania Dicky'ego. Dicky spojrział na nią, słuchając

niewidzialnego rozmówcy, skinął głową, rzekł: „W porządku” i odłożył słuchawkę. Popatrzył na Stepę i uśmiechnął się.

- To był Ray. Twoją rezygnację przyjęto.

- Co za szybkość - powiedział Step.

- Ale to pieprzenie się z dwoma tygodniami nie wchodzi w rachubę - zaznaczył Dicky. - Dwa tygodnie, podczas których rozdrażniony pracownik może narobić szkód? Nafaszerować programy błędami? Przekazać nowym szefom raporty na temat tajemnic Eight Bits Inc.?

- Co wy tu, ludzie, konstruujeecie w tajemnicy broń nuklearną dla OWP? Poza tym nie mam nowego szefa. Wracam do pracy dorywczej. Mam kontrakt na Hacker Snacka, jak już wspominałem.

- No tak, oczywiście - powiedział Dicky. - Nic innego, tylko siądziesz na dupie, czekając aż upłynie rok, do czego zmusza cię klauzula o niekonkurencyjności i ustęp o nieujawnianiu żadnych informacji, mam rację? Tylko pamiętaj, bałwanie, będziemy cię pilnować i gdy zauważymy, że pogwałciłeś choć trochę umowę, naślemy na ciebie prawników, tak że ci się wszystkiego odechce.

- Och, co za nieuprzejmość.

- No tak, widzę, że na nonszalancji ci nie zbywa, ale pójdziemy teraz razem do twojego biura, gdzie włożysz wszystkie osobiste rzeczy do pudełka, a ja będę patrzył. Nic, co stanowi własność Eight Bits Inc., nie opuści tego budynku z tobą, a kiedy już odejdziesz, noga twoja już nigdy więcej tu nie postanie, rozumiesz?

- Czyli mam rozumieć, że odrzucacie moją ofertę dwutygodniowego wypowiedzenia, choć nie macie nikogo, by pociągnąć dalej moje prace?

Dicky zaśmiał się szyderczo.

- Step, nawet woźni ruszą z twoją pracą już w ciągu pół godziny. Jesteś najbardziej nieudacznym, bezużytecznym osobnikiem w firmie, do tego w pełni do zastąpienia.

- Ho, ho - rzekł Step. - To po co w ogóle mnie zmieniać?

- Bierzmy się do pakowania, Step. Im prędzej odejdziesz, tym lepiej dla firmy.

Te słowa ukłuły, nawet jeśli wyszły z ust Dicky'ego. I choć natychmiastowe odejście było czymś, czego naprawdę pragnął, mimo że czuł, iż nieuczciwie jest prosić o to wprost, dotknęło go do żywego, że Ray i Dicky tak mało go rozumieli, by posądzać o chęć kradzieży. Z drugiej jednak strony, jako że sami nie grzeszyli uczciwością i prostolinijnością, zakładali, rzecz jasna, że Step zachowa się dokładnie tak, jak oni by się zachowali w podobnej sytuacji.

W pięć minut pozbierał z biurka kilka swoich papierów. Dicky zakazał mu kopiować jakiegokolwiek ogłoszenia zarządu, że to niby były wewnętrzne tajemnice, ale Step o to nie dbał. Jedyne ogłoszenia, których potrzebował, bezpiecznie spoczywały u niego w domu.

Do spięcia doszło jedynie wtedy, gdy Step chciał zabrać kilka dyskietek.

- Nie ma mowy - oświadczył Dicky stanowczo. - Każda linia kodu na każdej dyskietce w tym biurze należy do Eight Bits Inc.

- To tylko osobiste rzeczy - odrzekł Step. - Narzędzia, których używam. Nie należą do Eight Bits Inc. Słuchaj, wrzucę je na komputer i wyświetlę drzewko, sam zobaczysz.

- Mogłeś pozmienić nazwy plików, Step. Daj mi te dyskietki.

Nie warto było kruszyć o nie kopii - narzędzia, których najczęściej używał, i tak miał w domu. Wręczył zatem dyskietki Dicky'emu.

Dicky sięgnął po zszywacz leżący na blacie biurka i przekłuł z tuzin dyskietek, bum, bum, bum, bum. Przekazał pokiereszowane dyskietki Stepowi, który uniósł je i upuścił na ziemię.

- Kiedy przyprowadzisz tu woźnego, by kontynuował moją robotę, każ mu przy okazji posprzątać - powiedział. Następnie chwycił pudełko ze swoimi papierami i cisnął je do kosza na śmieci. Nie potrzebował niczego z Eight Bits Inc., gdyż nigdy nic wartościowego tu nie przyniósł. Ani skrawka siebie nie zainwestował w tych ludzi, cóż więc mógł zostawić? Oprócz, oczywiście, swej aktówki, prezentu od DeAnne, wypełnionej materiałami lekcyjnymi potrzebnymi w niedzielę, także do nauczania w domach; doszło też parę czasopism do czytania podczas lunchu.

- Otwórz aktówkę - zażądał Dicky.

- Chyba że będziesz miał nakaz - odparł Step.

Podszedł do drzwi, pogrzebał w kieszeni, wyciągnął pęk kluczyków, odłączył klucz do tylnego wyjścia z budynku Eight Bits Inc. i rzucił go w kierunku kosza. Ku jego zdumieniu wpadł dokładnie do środka.

- Taki jesteś głupi, Dicky, że nawet nie poprosiłeś mnie o klucz.

Step zatrzasnął drzwi tuż przed nosem Dicky'ego i podążył w dół korytarzem w stronę dziupli. Otworzył drzwi, pomachał ręką i zakomunikował:

- Dałem tym gnidom dwutygodniowe wypowiedzenie, a oni wyrzucają mnie od razu. Taka jest kolej losu, ludzie. Życie jakoś!

Ich aplauz i okrzyki brzmiały mu w uszach, kiedy wychodził tylnym wyjściem, wsiadał do samochodu i odjeżdżał do domu.

## Rozdział jedenasty

### Zap

Oto co się wydarzyło, kiedy przyszedł czas na narodziny dziecka: w czwartek, dwudziestego ósmego lipca, DeAnne odwiedziła gabinet lekarza, by dowiedzieć się, czemu dziecko jak dotąd nie wykazuje najmniejszej ochoty zobaczenia świata. Nadszedł przecież spodziewany dzień, a DeAnne nie uśmiechało się czekać dodatkowego tygodnia, jak w przypadku Robbiego. Kiedy dr Keese przebadał ją, na twarzy malowało mu się zdumienie.

- Nie miała pani żadnych bólów porodowych?

- Nigdy nie miewam silnych bólów porodowych, chyba że przed samym rodzeniem - poinformowała go DeAnne.

- W takim razie niech się pani przygotuje - ostrzegł. - Jest pani przy sześciu centymetrach.

- Och - odparła DeAnne - to znaczy, że chyba nie mam czasu, by przejechać jeszcze czterdzieści mil, nim urodzi się dziecko?

- To znaczy, że na pani miejscu wsiałbym do auta i pojechał prosto do szpitala. Każę Rochelle zadzwonić do pani męża.

- Niezbyt mi to na rękę - powiedziała DeAnne. - Dziś o dziewiątej trzydzieści przylatuje moja matka z Utah. Sądzi pan, że dziecko narodzi się do tego czasu, by Step mógł pojechać po nią na lotnisko?

- Zdaje sobie pani sprawę, że mówi od rzeczy? - zapytał dr Keese. - Podobne sprawy nie powinny pani interesować przez następne kilka dni, a już na pewno nie najbliższe godziny.

Zatrzymała się przy recepcji i poprosiła o telefon.

- Cześć - rzekł Step. - Jakie nowiny?

- Jest sześciocentymetrowe rozwarcie i lekarz mówi, że nie mam już czasu wracać do domu.

- Okej - powiedział Step. - Pojawily się bóle?

- Na razie nie, ale jestem pewna, że za chwilę to się zmieni. Pamiętaj, że matka przylatuje o

dziewiętej trzydzieści.

- Już umówiłem się z Samem Freebodym, że podjedzie po nią, jeśli będziemy wtedy w szpitalu.
- Ach tak, a jak ją rozpozna?
- Będzie rozglądał się za kobietą z krótko ostrzyżonymi włosami w biało-czarną szachownicę, wyglądającą na zagubioną i opuszczoną, poza tym reagującą na imię Vette.
- Z twoich słów można by wywnioskować, że masz na myśli zaginionego psa.
- Oprócz tego mam zamiar zadzwonić do niej, nim wsiądzie do samolotu, by szukała mężczyzny tak wysokiego, że bez pomocy drabinki wykręca żarówki, i tak szerokiego, że nawet dwa grzechotniki nie obejmą go w pasie. Sądzę, że się odnajdą.
- Wiem, że idealnie nadajesz się do załatwiania takich spraw, Step. Ale ja muszę o to zapytać, inaczej zaczynam się martwić.
- Wiem. Przecież się nie skarzę. Pragnę cię tylko uspokoić, żebyś się nie martwiła.
- W takim razie idzie ci doskonale. Zadzwonź do siostry Bigelow albo Mary Anne Lowe, by któraś została z dziećmi.
- Jeśli jedna powie tak, drugiej każę skończyć za mnie koszenie trawnika.
- Bardzo zabawne. Skoro tylko któraś przyjedzie, przynieś koniecznie moją torbę, tę, do której zapakowałam wszystkie rzeczy potrzebne w szpitalu.
- Dobra. Właśnie stoję w naszej sypialni i otwieram torbę.
- Nie otwieraj jej, Step, bo jeszcze coś wypadnie.
- Wkładam do torby twój egzemplarz „Kolacji w nostalgicznej restauracji”; sama mówiłaś, że chcesz ją czytać w szpitalu, lecz przez niedopatrzenie zapomniałaś włożyć do torby.
- Nie cierpię, kiedy mówisz do mnie takim tonem wyższości.
- Teraz będę mówił jak prawdziwy szef.
- No dalej, zniosę wszystko - jestem kobietą.
- Odłóż słuchawkę, zostaw mi wszystko, jedź do szpitala, będę za pół godziny.
- Okej, Gałganiarzu.
- Och, czekaj, jak się nazywał ten szpital?
- Step, nie mogłeś przecież zapomnieć...

Śmiał się długo.

- Jesteś chory - powiedziała. - Mam nadzieję, że dziecko nie będzie cię w niczym przypominało.
- Mam nadzieję, że będzie zupełnie jak ty - odparł Step.
- Kocham cię i jestem przerażona, więc pośpiesz się, proszę.
- Dokładnie to mam w planie. Też cię kocham.

W drodze do szpitala przejechała bez zatrzymywania się tylko jeden nakaz stopu. Kiedy weszła do pokoju, kazali jej usiąść na wózku. Sama tu przyjechałam, pomyślała, przyszedłam z parkingu, i czyżbym teraz miała potrzebować kogoś do opieki?

A dlaczego by nie? Nie musiała się teraz o nic troszczyć, z wyjątkiem dziecka w środku, które ostatecznie zdecydowało się przyjść na świat. Bez polisy ubezpieczeniowej, za to będzie z matką i ojcem, którzy kochają dzieci, a na to ostatnie czekają z niecierpliwością, tak jak czekali na wszystkie poprzednie.

Step najpierw wykonał telefony, choć ociekał potem i łaskotały go żdźbła skoszonej trawy. Sam Freebody bez problemu odbierze matkę DeAnne, na lotnisku będzie trzymał wysoko karton z napisem „Sylvette Brown, znowu Babcia”. Mary Anne Lowe siedziała już w samochodzie, pędząc do domu Fletcherów, aby przypilnować dzieci. Bappy Waters zjawi się, by dokończyć strzyżenia trawnika, schować kosiarkę i zebrać ściętą trawę. Step zadzwonił nawet do Ruby Bigelow, pozornie po to, by poinformować ją, że DeAnne nie będzie mogła udzielić lekcji w tę niedzielę i w następną, w istocie przypuszczając, że przewodnicząca pierwszej gminy lubi być powiadamiana o każdym nowych narodzinach - kiedy inne kobiety będą dzwonić do niej z nowiną, ona będzie mogła odpowiadać: „Tak, już wiem” - udzielił jej tej cennej wiadomości.

Step kazał Steviemu otwierać drzwi tylko wtedy, gdy pojawi się siostra Lowe, po czym udał się do pralni, zrzucił swe pobrudzone trawą ubranie i pokłusował w bieliźnie do łazienki.

- Nie jedziesz chyba do szpitala w bieliźnie, tato, co nie? - krzyknął Robbie.
- Idę wziąć prysznic - wytłumaczył mu Step.
- W bieliźnie? - krzyczał dalej Robbie. Chłopiec uważał to za tak komiczną sytuację, że podążył w ślad za ojcem, powtarzając: - W bieliźnie? W bieliźnie?
- Nie, w czerniźnie - odparł Step. Zamknął drzwi do łazienki, wrzucił bieliznę do kosza na brudy i wziął najszybszy prysznic swego życia.

Wyskoczył, włożył świeże ubranie, chwycił torbę DeAnne, a kiedy wszedł do pokoju dziennego, odkrył obecność siostry Lowe, wyposażonej w torbę pełną kolorowych książeczek, kredek i gier

planszowych dla małych dzieci.

- Proszę pomagać siostrze Lowe we wszystkim - Step przykazał dzieciakom. Do siostry Lowe powiedział: - Dzieci niczego nie lubią, więc proszę się nie kłopotać przygotowaniem obiadu.

- Ta-ato! - rzekł Robbie.

- Robbiemu smakuje wszystko, co jest polane keczupem, włączając w to małe żyjątka - powiedział Step. - Stevie zje tylko makaron z parmezanem, bez masła, bez soli. No a Betsy tak naprawdę nie je, ona po prostu rozsypuje i rozpryskuje wszystko po całej kuchni.

- Niech mu pani nie wierzy! - krzyknął Robbie. - On żartuje!

- Świetnie sobie poradzimy - zapewniła go Mary Anne.

Step spojrzał na Stewiego.

- Pomożesz przy braciszku i siostrzyczce?

- Tak - odparł zwięźle.

Mary Anne zwróciła się teraz do Stewiego.

- Masz nadzieję, że to będzie chłopczyk czy dziewczynka?

- Chłopczyk - powiedział.

- Sprawdzaliśmy USG - wyjaśnił Step.

- Ach, my też ostatnio - rzekła Mary Jane - lecz nie pozwoliliśmy lekarzowi, by nam wcześniej powiedział. Nie chcieliśmy wiedzieć.

- Nadamy mu imię Zap! - wtrącił Robbie.

- Zap? - zdziwiła się Mary Anne.

- Od Zapaty - wytłumaczył Step - wielkiego meksykańskiego rewolucjonisty.

- Co masz jeszcze w zanadrzu? - wyszczerzyła zęby. - Pancho Villę?

- Mało prawdopodobne - powiedział Step. - DeAnne mi oznajmiła, że jeśli chcę nazwać syna imieniem bandyty, który wypędził jej przodków z Meksyku, będę go musiał sam urodzić.

- Dlaczego tu się jeszcze kręcisz? - spytała Mary Anne. - Czy nie powinieneś w tej chwili mówić jej, kiedy oddychać czy coś takiego?

- Nie - zaprzeczył Step. - Wierzymy w użyteczność znieczulenia zewnątrzoponowego. Żadnego bólu. W czasie rodzenia rozwiążemy krzyżówki.

- Proszę, idź już, przez ciebie się denerwuję - nalegała Mary Anne.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Step.

- Bez obaw, jeszcze ci przyjdzie wyrównać rachunki.

Kiedy Step przybył do szpitala, zastał DeAnne na sali porodowej. Jedna z pielęgniarek zabrała torbę, pozostałe dwie zajęły posterunki. Jak na razie wszystko przebiegało normalnie, czyli zaczynały się bóle. Step musiał teraz mówić do niej bez przerwy, milkł tylko wtedy, gdy DeAnne nie chciała już słuchać. Posiadał już niejaką wprawę w zgadywaniu, kiedy ma milczeć, a kiedy paplać. A może to ona nauczyła się lepiej okazywać, że nie może już znieść gadania lub że desperacko pragnie, aby odwrócił jej uwagę od strasznego procesu, którym ewolucja obdarzyła kobiety - rodzenia wielkogłowych niemowląt.

Pielęgniarka wpadała i wypadała; anestezjolog nakłuł kręgosłup i napełnił rurkę, przygotowując się do znieczulenia.

Zaraz potem nadeszły złe wieści.

- Obecna pacjentka doktora Keese'a ma małe problemy - oznajmiła pielęgniarka. - Może zajść konieczność cesarskiego cięcia. Jeśli tak, zjawi się tu zmiennik - dr Vender. Czy może tak być?

- A mamy inne wyjście? - zapytał Step.

- Niech będzie dr Vender - zgodziła się DeAnne. A kiedy już pielęgniarka wyszła, dodała: - Dr Vender to kobieta. Niedawno rozpoczęła tę samą praktykę lekarską co ginekolog Mary Anne. Mary Anne już się zastanawia, czyby się do niej nie zapisać. Podobno zdobyła dobrą reputację.

- Nie znoszę zmieniać koni w trakcie gonitwy - powiedział Step.

- Ani ja. Ale tak to już jest - jeśli twój lekarz jest z inną pacjentką, kiedy przychodzi kolej na ciebie, nie rzuci przecież tamtego dziecka na podłogę i nie pobiegnie do sąsiedniej sali.

- Może się nam poszczęści.

- Może poszczęści się tej drugiej kobiecie.

Nie poszczęściło im się. DeAnne była już gotowa, a dr Keese nadal przebywał z tamtą kobietą. Pojawiła się dr Vender, uzbrojona w fachową minę - spoglądała na Stepa jak jedna z tych kobiet, które zawsze w szkole noszą brązowe, bukatowe spódniczki, a gdy ktoś opowie dowcip, uśmiechają się tylko nieznacznie.

Na sali porodowej nie trwało to aż tak długo. DeAnne rodziła już wystarczająco wiele razy, by móc przyglądać się w lustrze nacięciu, choć Step nie przypuszczał, by nawet po tysięcznym razie przywykł do tego obrazka. Za chwilę wyłoniła się główka, niewielki skręt ramion i proszę: chłopiec numer trzy. Zap.



- Cześć, Zap - powiedział Step.

- Och, niech usłyszy swe prawdziwe imię - powiedziała DeAnne. - Bo jeszcze gotów wrócić, myśląc, że do końca życia zostanie już Zapem.

- Cześć, Jeremy Zapato Fletcherze.

- Czy wszystko z nim w porządku? - spytała DeAnne.

- Wszystkie dwadzieścia palców rozstawionych normalnie - rzekł Step.

Szast-prast, pielęgniarka przejęła dziecko od dr Vender i położyła na wadze.

- Przydaj się na coś, tatusiu - powiedziała pielęgniarka. - Uważaj na dziecko i niech nigdzie nie odchodzi.

- Cały się trzęsie - zauważył Step. - Sądzę, że mu zimno.

Pielęgniarki zajmowały się czymś na boku. Dr Vender zajęła się łożyskiem i zszywaniem nacięcia.

- Czy nie możemy go czymś przykryć? - pytał Step. - On się naprawdę trzęsie.

- No, już dobrze, mamusiu - powiedziała dr Vender. - Wszystko poszło świetnie.

Step miał ochotę warknąć na nią: „Nie mów do nas, jak do dzieci”.

- To by było tyle - odezwała się pielęgniarka. Zapisała wagę dziecka, a później wkropiła mu coś do oczu. - Och, wiem, że tego nie lubisz.

- To z pewnością nie jest normalne - powiedział Step. - Trzęsie się i musicie coś na to poradzić.

- Co się stało, Step? - spytała DeAnne.

- Nic się nie stało - oznajmiła dr Vender. - Tatuś jest tylko nieco zdenerwowany.

- Przestańcie gaworzyć jak dzieci - rzekł Step, niezdolny powstrzymać dłużej złości. - DeAnne jest dorosła i ja też. Chcemy wiedzieć, co z naszym dzieckiem.

- Już posłałyśmy po neonatologa - poinformowała go dr Vender. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z jakimś objawem ataku. Nie ma żadnej bezpośredniej przyczyny. Nie nastąpiła przerwa w oddychaniu, nie stwierdzono żadnych anomalii podczas porodu.

Step domyślił się, że to, co słyszy, to standardowa wymówka, żeby uniknąć oskarżenia o zaniedbanie. Domyślił się też, że to najwyraźniej prawda. Lecz wciąż nie otrzymał prawdziwej odpowiedzi.

- Czy z dzieckiem będzie wszystko w porządku?

- Oznaki życia są prawidłowe - powiedziała dr Vender. - Dreszcze nie są normalne, ale może równie

dobrze się okazać, że nie jest to nic groźnego. Jeśli tylko dowiem się czegoś nowego, dam znać, lecz najwyższa pora, by pańska żona przeszła do sali poporodowej.

Step pochylił się nad DeAnne, pocałował ją i uściskał jej rękę.

- Czy mogę go potrzymać - poprosiła. - Czy mogę go najpierw zobaczyć?

Step wiedział, o czym myślała: coś nie tak z moim dzieckiem. Nie chcę, by umarło, nim je potrzynam na rękach.

- Oczywiście, że możesz - odpowiedział Step.

Spojrzał na dr Vender, uniósł brew. Skinęła na pielęgniarkę trzymającą niemowlaka. Ta przyniosła Zapa DeAnne i ułożyła go w zgięciu jej ramienia. DeAnne odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.

- Jest śliczny - powiedziała.

Nie myliła się. Wszystkie noworodki są bryłowate i czerwone, ale Zap od początku przyciągał uwagę urodą.

- Naprawdę się trzęsie - zauważyła. - Nie bój się, Jeremy. Już cię kochamy. Czeka cię wspaniałe życie.

Pielęgniarka odebrała dziecko. Kolejna pielęgniarka wywiozła DeAnne z sali porodowej, w towarzystwie dr Vender.

- Chciałbym potrzymać dziecko - powiedział Step.

- Neonatolog ma tu być za minutę - oświadczyła pielęgniarka. - A musimy jeszcze je zmierzyć.

- Chyba aż tak nie urośnie przez trzydzieści sekund.

- W gorącej wodzie jest pan kąpany - rzekła. Mógł się założyć, że nie powie: to mi się w mężczyźnie podoba.

- Przykro mi. Lecz ten mały jest dla mnie o wiele ważniejszy niż wszystkie szpitalne procedury razem wzięte, a za drzwiami nie czeka kolejka klientów.

Wręczyła mu noworodka. Zupełnie jak przy trzech poprzednich razach, od razu pomyślał: nigdy bym nie przypuszczał, że dzieci mogą być takie małe. Wszystkie wspomnienia o starszych dzieciach pochodziły z późniejszego okresu ich dzieciństwa. Pierwsze minuty nieodmiennie były czymś nowym.

- Zdaje mi się, że trzęsie się trochę mniej.

Pielęgniarka nic na to nie odpowiedziała.

- Czy to się często zdarza? - spytał. - Taki rodzaj napadu?

- Zdarzają się różne rzeczy - odrzekła pielęgniarka - i nic się nigdy nie powtarza.

Czyli, pomyślał Step, widziała podobne przypadki, które zakończyły się śmiercią.

Wciąż mierzyła chłopca, kiedy wszedł neonatolog, dr Torwaldson.

- Dlaczego się pani tak grzebie? - zapytał na wstępie.

- Nalegałem, by pozwoliła mi potrzymać dziecko przez trzydzieści sekund - wtrącił się Step. - Zagroziłem, że w przypadku odmowy rozbiję jej przednią szybę w samochodzie.

- No to skończyłam - odezwała się pielęgniarka. Nie podejrzewała Stepa nawet o odrobinę grzeczności.

Torwaldson zabrał się za osłuchiwanie małego stetoskopem.

- Pora, żeby pan przeszedł do poczekalni, panie... Fletcher.

- Proszę mi powiedzieć, co to za rodzaj ataku - poprosił Step.

- Powiem panu, co to za rodzaj ataku, kiedy sam będę wiedział - rzekł Torwaldson. - Feno - zwrócił się teraz do pielęgniarki. - Musimy się najpierw tym zająć.

Step wyszedł. Są chwile, kiedy potrzeba stanowczości, ale są też chwile, kiedy należy zejść z drogi.

Nie poszedł do poczekalni. Zamiast tego udał się do sali poporodowej, gdzie pielęgniarki nie protestowały, gdy poprosił o widzenie się z DeAnne. Najwidoczniej sama je wcześniej prosiła.

- Jak się czuje? - zapytała.

- Jeden taki medyk bada go w tej chwili. Nadmienił coś o feno. Coś mi to pachnie barbitalem. Przypuszczam, że ma powstrzymać te dreszcze.

- Czy wyglądał na zafrasowanego? - spytała.

- Wyglądał na kompetentnego i pewnego siebie - odparł Step. - A jak ty się czujesz?

- Boli, ale wszyscy są tu dla mnie bardzo mili i faszują mnie mnóstwem lekarstw. Sądzę, że dadzą mi jakieś pigułki nasenne, bo tak się martwię o dziecko. Odmów ze mną modlitwę, Step. Proszę.

Trzymając ją za rękę, modlił się o to, by lekarze potrafili rozpoznać dolegliwość i zrobić wszystko, na co pozwala współczesna medycyna, by zażegnać niebezpieczeństwo; i niech długo żyją wraz z tym chłopczykiem, tak bardzo go pragnęli, lecz nich się dzieje wola Twoja.

- Myślę, że wydobrzeje - oświadczył Step. - Naprawdę. Nikt tam nie panikował. To nie był nagły wypadek.

Już po chwili zasnęła, Step poszedł do poczekalni, by zacząć dzwonić do różnych ludzi. Lecz wcześniej zauważył w hallu dr Vender. Pomachała mu.

- Przykro mi, jeśli obeszłam się z panem nieco szorstko - powiedziała. - Bałam się, że martwi pan panią Fletcher.

- Gdybym dostrzegł w dziecku jakąś nieprawidłowość i natychmiast jej o tym nie powiedział, już nigdy by mi nie zaufała.

- No cóż, niektórzy potrzebują prawdy, inni zaś wszystkiego, tylko nie jej - stwierdziła dr Vender. - Nie znałam pańskiej żony ani pana, wybrałam więc najbezpieczniejsze rozwiązanie. A przynajmniej próbowałam.

- Mnie też jest przykro. - Ale wcale mu nie było przykro, o czym z pewnością wiedziała.

- Torwaldson jest najlepszy w Steuben - powiedziała. - Właśnie rozmawia przez telefon z neuro w Chapel Hill.

- Neuro? - zdziwił się Step.

- Z neurochirurgiem - wyjaśniła.

- Przecież wiem, kto to jest neuro. Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co to znaczy, że dzwoni do niego.

- Sądzę - odpowiedziała dr Vender - że natknął się na coś, czego przedtem nie widział, albo prosi o opinię innego lekarza.

- Czy grozi dziecku śmierć?

- Z tego, co się orientuję - odparła - to nie.

W tym momencie dr Keese wypadł na korytarz, wołając dr Vender.

- To jest pan Fletcher - przedstawiła Stepą.

Dr Keese wyciągnął rękę, którą Step uścisnęła.

- Miło pana zobaczyć, widziałem pana, kiedy wsadziłem głowę do sali porodowej, pamięta pan?

Step potrząsnął głową.

- To musiało być, zanim tu przyjechałem.

- Nie, był tam pan - upierał się dr Keese. - Ale sądzą, że wzrok przesłaniała panu DeAnne. Przepraszam, nie mogłem być przy porodzie, lecz zapewniam, że dr Vender zachowała się tak, jak ja bym się zachował, a nawet lepiej.

Jakie miłe, pomyślał Step. Lekarze kryją jeden drugiego, by uchronić się przed pozwaniem do sądu.

- Panie Fletcher - rzekł dr Keese. - Dr Torwaldson, ja i dr Vender jesteśmy zgodni, iż należy wyeliminować objawiające się drgawki, w tym celu podajemy dziecku fenobarbital. Jak na swoją wagę, dostało potężną dawkę, ale za wszelką cenę objawy muszą ustać. Kiedy się z tym uporamy, stopniowo zejdziemy z dawką do niezbędnego minimum. Przechodzi teraz na intensywną opiekę, ale szczerze wątpię, by jego życiu zagrażało realne niebezpieczeństwo. Namawiam więc, by wrócił pan do domu. Minęła już północ, a rano zapewne znowu zechce pan nas odwiedzić. Wówczas będziemy wiedzieć więcej i DeAnne zapragnie zobaczyć się z panem. W porządku?

Jaki miał wybór? Upewnił się jeszcze, pod którym numerem leży DeAnne i gdzie może następnego ranka odnaleźć Zapa, po czym poszedł do samochodu. Wsiadał już do datsuna, kiedy uzmysłowił sobie, że nie ma powodu, by zostawiać dobre auto pod szpitalem. Jak na razie DeAnne nigdzie się nie wybierała. Stary, zardzewiały dwudrzwiowiec będzie przez noc trzymał tu wachtę. W drodze do domu nie mógł się opędzić od myśli: moje dziecko urodziło się z atakiem i żaden z doktorów czegoś takiego jeszcze nie widział. Coś jest nie tak z moim najmłodszym synem, a jedyne, co mogę zrobić, to modlić się, nie widzę przy tym żadnego powodu, dla którego Bóg miałby zacząć traktować rodzinę Stephena Fletchera trochę lepiej, dlatego wątpię, czy moje modlitwy zostaną wysłuchane. A przynajmniej nie moje prawdziwe modlitwy. Część „niech się dzieje wola Twoja” z pewnością zostanie wysłuchana, lecz co z częścią „niech to wszystko zniknie, jakby nic się nie stało, tak by jutro lekarze powiedzieli: nie rozumiem, wczoraj miał atak, lecz teraz ani śladu po czymkolwiek, będzie zdrowy, bystry i dożyje stu czterech lat”. Wątpię, czy Bóg zmodyfikuje swój plan dotyczący wszechświata, by wysłuchać jednej szczególnej modlitwy.

Kiedy przyjechał do domu, matka DeAnne, Vette, przywitała go w progu.

- Och - powitał ją - miałem nadzieję, że będziesz już spać.

- A ja, że zadzwonisz ze szpitala - odparowała.

Zapomniał zadzwonić.

- Były problemy. Odesłali mnie do domu. Postanowiłem stąd zadzwonić.

- Problemy? - Wyglądała na zdezorientowaną.

- Z DeAnne wszystko w porządku. Lecz dziecko chyba ma jakąś dolegliwość i nikt nie wie, co to jest. Trzęsło się. Nazwali to atakiem. A tak dokładnie „objawem ataku”. Ale powiedzieli, że nie wygląda to groźnie.

- Ach, nie znoszę tego - zezłościła się Vette. - Nie znoszę nie wiedzieć.

- To tak jak ja - dodał Step. - Chyba powinienem do wszystkich zadzwonić. W Utah jest dopiero jedenasta w nocy, tak?

- Także Mary Anne Lowe kazała ci zadzwonić do niej, nieważne, o jakiej porze.

- Okej - zgodził się Step. - Zadzwońnię najpierw do niej.

Wszedł do kuchni, gdzie otoczyły go nagle małe, kwilące insekty. Machnął ręką wokół głowy, lecz owady nie uciekały.

- Ach, czyż te komary nie są uciążliwe? - spytała Vette. - Natknęłam się na tubkę Raidu i spsikałam je, lecz wciąż napływały nowe roje. Zawsze je macie?

- Nigdy - odparł Step. - Gdzie ten Raid? - Wszystkie komary przejawiały ochotę bzyczenia tuż przy jego uchu. - Tylko tego brakowało.

- Sądzę, że przylatują z pralni - powiedziała Vette. - Jak dotąd nie spotkałam ani jednego w pokoju dzieci.

- Mamy jakieś niesamowite problemy z owadami - przyznał Step. Wszedł do pralni i zaczął się rozglądać, przez jaką szczelinę mogłyby te komary wlatywać. Podczas poszukiwań opowiedział Vette o napaści świerszczy i chrabąszczy.

- Te problemy z owadami nie mają ciągłego charakteru - wyjaśniał. - Plagi po prostu spadają na nas falami. Co jakieś dwa miesiące kolejna owadzia ekipa decyduje, że nasza chata nadaje się na imprezę.

Zauważył, że wąż od suszarki odstaje częściowo od przewodu wentylacyjnego. Spróbował zamocować go na powrót, lecz ciśnienie wypchnęło go i po prostu odpadł. Nieoczekiwanie uniosła się następna chmara komarów. Tyle tylko że nie przedostawały się przez otwór wentylacyjny - wylatywały z węża. Jakby leżały się gdzieś wewnątrz suszarki.

- Daj mi Raid - poprosił.

Vette wręczyła mu aerozol, którym najpierw spryskał krążących wokół głowy napastników. Potem psiknął do węża, przez wentylator, a kiedy uważał już, że dostały wystarczającą dawkę, wsadził wąż do otworu wentylacyjnego, sięgnął do kredensu po śrubokręt, którym przykręcił śruby obejmujące węża, by ten się już nie ześlizgnął.

- Co my robimy w tym domu? - powiedział po powrocie do kuchni.

- Radzicie sobie - odparła. - Robicie to, co nieodzowne dla utrzymania rodziny.

- Nigdy nie powinniśmy wyjeżdżać z Vigor.

- Step, sam wiesz, że ja uważam, iż nigdy nie powinniście byli opuszczać Utah! Ale nie macie problemów z małym Jeremym, dlatego, że przyjechaliście do Karoliny Północnej.

- Skąd wiesz? Może lekarz zaważył sprawę. W Salt Lake rodzi się tysiące dzieci każdego roku, tam widzieli już wszystko. U nas nie ma aż tak wielu dzieci, więc uczą się na Zapie.

Vette skrzywiła się.

- Naprawdę nazywacie go Zap?

- No cóż, pierwsze, co Robbie powiedział, gdy usłyszał imię Jeremy, było „Dżem, Dżem, Dżem”, więc może Zap to mniejsze zło.

- Step, czasem wszystko się wali, choćbyś nie wiem gdzie mieszkał, czasem zaś wszystko idzie jak po maśle i wiesz co? Za większość różnych zdarzeń nikogo nie można winić, zatem nie wmawiaj sobie, że przeprowadzka do Karoliny Północnej przyczyniła się do tego, że noworodek ma atak. Nie zrobiłeś nic, co by się mogło do tego przyczynić. Sam zdajesz sobie sprawę, że każda przypadłość, z jaką się boryka, została mu zasądzona już w momencie poczęcia.

- No tak, to prawda, przy tym też byłem. - Przeraził się nagle, że mówi takie rzeczy. Naprawdę dobrze układało mu się z rodzicami DeAnne, ale mimo wszystko nie rozmawia się o poczęciu własnych dzieci z teściową.

- Lepiej zacznij dzwonić - przypomniawsza mu. - Ja przypilnuję komarów.

Najpierw Step zadzwonił do Mary Anne. Rozmowa trwała dłużej niż zwykle, gdyż wspomniawsza, że dziecko znajduje się na oddziale intensywnej opieki, przez co musiał na jakieś pięćdziesiąt pytań odpowiedzieć: „Jeszcze nie wiemy”. Sytuacja powtarzała się w każdej rozmowie, lecz nie mógł przecież nie poinformować, że z dzieckiem są kłopoty, bo gdyby się o tym później dowiedzieli, bardzo by ich to bolało. Poza tym, jeśli w tej sytuacji modlitwa mogła pomóc, chciał, żeby modlili się wszyscy ludzie, jakich tylko mógł znaleźć.

Gdy skończył rozmawiać, dochodziła trzecia. Wysłał już Sylvette do łóżka, używając argumentów tego typu, że będzie potrzebna rano do opieki nad dziećmi, kiedy on pójdzie do szpitala, potem natomiast zmieni go w szpitalu, a on zajmie się dziećmi. Zatem musi się wyspać.

- A ty nie? - zaprotestowała Vette.

- Tak, ale zdrzemnę się nieco w drodze do szpitala i z powrotem.

Roześmiała się i pozwoliła mu rozłożyć leżankę, którą DeAnne przeznaczyła dla matki. Po tym przeniósł aparat telefoniczny do sypialni. Kiedy przeprowadził ostatnią rozmowę i obszedł dom dookoła, Vette już spała.

Spojrzał na każde z dzieci. Betsy, przytulona do wypchanego Snoopiego, którego - z niezbadanych powodów - nazwała Wilbur. Robbie, ściskający swego królika z prawdziwego futra, od najmłodszych lat nazwanego Mammala. I Stevie, nie tulący się do niczego.

Wszystkie jesteście bezpieczne w moim domu, pomyślał Step, a mimo to w ogóle nie potrafię zapewnić wam bezpieczeństwa, nie jest tak? Choćby ten nowy, nie przeżył jeszcze sześciu godzin, a już jego życie jest w niebezpieczeństwie, a mnie przy nim nie ma, gdyż jestem całkowicie bezużyteczny. I oto jesteście, pogrążeni we śnie, bezpieczni w łóżeczkach, tylko że coś dzieje się w twojej głowie, Stevie, a ja nie mogę sięgnąć i przekonać się co to, by przyjść ci z pomocą. Mogę zatkać jedną dziurę i wymieść świerszcze, lecz za chwilę chrabąszcze zjawiają się nie wiadomo

skąd, a zaraz po nich komary. Nawet gdy masz idealne dziecko, nic idealne nie pozostaje. Z wszystkim jest zawsze związane ryzyko.

W sypialni, rozebrany i gotowy do spania, zrobił to, co zaniedbywał od lat, chociaż DeAnne robiła to każdego wieczora. Ukląkł obok łóżka, podobnie jak w czasie misji, podobnie jak w dzieciństwie. Wyzalił się, prosząc o litość dla nowego dziecka. By żyło. By miało dobre życie. Jeśli moc mego kapłaństwa pozwala go uleczyć, to pozwól mi go uleczyć, gdy jutro będę go błogosławił. Nie chcę go stracić. Pragnę wszystkich moich dzieci, tego na równi z resztą, oraz wszystkich dzieci jeszcze nie narodzonych, które być może chowasz dla nas w zanadrzu. Nie zabieraj nam go. Damy mu wszystko, czego będzie potrzebował, jeśli tylko będziemy to mieć.

Później, gdy leżał już pod kołdrą, przyszło mu na myśl, że być może modlił się o to, by Bóg obdarzył go i DeAnne sześćdziesięcioma latami opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem. Gdyby przypadłość, jaka dotknęła Zapa, okazała się poważna, to proszenie Boga, by go nie zabierał, mogło być zbyt okrutne. Zatem powrócił do modlitwy, którą wcześniej zakończył, dodając zwrot, uprzednio rozmyślnie pominięty: „Niech będzie wola Twoja”.

DeAnne wydobrzała na tyle, że mogła już wracać do domu, ale nie chciała.

- Nigdy nie opuszczę szpitala bez dziecka - oznajmiła.

- Będzie pani mogła spotykać się z nim codziennie - rzekł dr Keese. - Mąż też. Także pani matka. Lecz o ile wiem, nie jest pani ubezpieczona, a ten przedłużony pobyt pochłonie wasze oszczędności. A będziecie potrzebować wszystkich pieniędzy, jakie macie, by zaopiekować się Jeremym.

Nic na to nie odpowiedziała.

- Dobrze - kontynuował. - W południe będzie pani gotowa do wyjścia.

Aby zapełnić czymś pozostający czas, zagłębiła się w książce. Zapomniała ją spakować, a jak się okazało, tylko ona mogła odwrócić jej uwagę od Jeremy'ego. Mogła powiedzieć: mamy problemy, ale bohaterowie powieści mają bez porównania większe.

Lecz dochodził jeszcze jeden element. Książka ciągle do niej przemawiała, bohaterowie powtarzali myśli, które odbijały się echem w jej sercu. Na przykład, kiedy ten sympatyczny syn z opowieści powiedział, że życie jest jak erodujący klif, który trzeba nieustannie podpierać. Tak wyglądał koszmar jej życia, czający się zawsze głęboko w umyśle, a on go nazwał. Tak naprawdę to nie on, oczywiście. To autorka. Tyler te słowa napisała dla mnie, pomyślała, bym wiedziała, że nie jestem osamotniona, podczas tych wszystkich strasznych dni.

Tego ostatniego poranka w szpitalu doszła do akapitu, w którym książkowa matka mówi o swych „trzech cudnych ciążyach” i jak odliczała miesiące, czekając, aż wydarzy się coś perfekcyjnego. „Zdawało mi się, że wypełnia mnie światło - powiedziała matka. - To właśnie światło i plany stanowiły treść mego życia”. DeAnne pozwoliła książce opaść na koc, wtuliła twarz w poduszkę i



załkała.

Musiała zasnąć przy tym płaczu, bo gdy otworzyła oczy, Step siedział przy niej, pochylając się na stojącym przy łóżku krześle, podpierał podbródek na dłoniach, a łokcie na kolanach. Patrzył w próżnię, na ścianę.

- Cześć - odezwała się DeAnne.

- Jak się masz, Rybia Damo - odparł Step. Od razu opuściła go posępność, a gdyby go nie zaskoczyła, nigdy by nie zgadła, że odczuwał coś innego niż ufność i wesołość. - Rozumiem, że lekarz chce cię stąd przepędzić i wysłać do domu. A muszę ci powiedzieć, że sam pragnę, byś wróciła.

- Wrócę - powiedziała - ale proszę, jeszcze nie teraz.

- DeAnne, co najmniej dwa razy dziennie będziesz się tu pokazywać, żeby go karmić. Będę cię tu przywoził, a jeżeli nie ja, to twoja matka. Lecz w tym czasie powinnaś być w domu.

Sięgnęła po jego dłoń.

- Step, nie chcę stąd odchodzić bez dziecka.

- Z każdą chwilą czuje się lepiej. A w domu nie moglibyśmy mu robić tych wszystkich testów.

- Nie podoba mi się, co tu z nim robią. Nie podoba mi się to, że cały czas podają mu jakieś lekarstwa.

- I mnie się to nie podoba - rzekł Step. - Ale nie jesteśmy lekarzami.

- Oni też nie są wszechwiedzący.

- Lecz mimo to coś jednak wiedzą. A spanie w szpitalnym łóżku na pewno nie oświeci mnie ani ciebie, jak powinniśmy postąpić. Proszę - już zbyt wiele czasu spędziłaś tu w samotności.

- Niewiele mam chwil dla siebie - stwierdziła DeAnne. - Sądzę, że każda siostra z pierwszej gminy Steuben wpadła tu ze dwa razy.

- Dziś rano w kościele biskup wszystkich prosił, by modlili się i pościli za Zapa w następną niedzielę. Cała gmina.

Słyszac to, DeAnne rozrzewniła się nieco. Naprawdę nie byli sami. Ale może gdy wszyscy zaczną pościć i modlić się, Bóg wysłucha?

A może nie. Może stanie się tak jak w książce. Może wszystkie rzeczy zawsze będą pozostawać trochę poza kontrolą, poza zasięgiem.

Step pochylił się do podłogi.

- Upuściłaś książkę - powiedział.
- Nie chcę już jej więcej czytać.
- Ach tak? Myślałem, że ci się podoba. Wczoraj nawet przeczytałaś mi urywek.
- Ona za dużo mówi - wyznała DeAnne. - To zbyt bolesne.
- Zgoda, odłożę ją tu na półkę...
- Nie - zaprotestowała - oddaj mi ją.
- A więc jednak zamierzasz ją dalej czytać.
- Nie - odparła - po prostu chcę ją mieć przy sobie. Czy jest w tym coś złego?

Patrzył na nią dziwnie.

- Nie odbija mi, Step. To tylko... To tylko kotwica. Ta kobieta pisze, że zna się na rzeczach, które nie układają się po czyjejś myśli, a ja po prostu chciałabym potrzymać tę książkę, okej? To znaczy, przynajmniej nie jest to lalka Barbie czy coś w tym stylu.
- Jak chcesz - odparł Step. - Zastanawiałem się tylko, czy ta książka nie stanie się dla ciebie jak ikona. Jak Pismo Święte. Jak piąta ewangelia?
- Nie nabijaj się - upomniała go. - Wiesz przecież, jak mi ciężko. Zawsze byłam dumna, iż rodzę doskonałe dzieci. A teraz doskonale robię już tylko kruche ciasteczka.
- Wcale się nie nabijałem. - Objął ją niezdarnie. - A poza tym on jest doskonały, DeAnne.
- Nie możesz temu tak po prostu zaprzeczyć, żebyś zapomniała.
- Ma idealne ciało do takiego życia, jakie dla niego zaplanował Bóg. Do życia, jakie dla nas zaplanował.

Plan Boży. Nic na to nie możemy poradzić. Możemy równie dobrze przestać się modlić, próbować czegokolwiek.

Nie, on nie wierzy w to naprawdę, zdała sobie sprawę. Bo gdy rozmawialiśmy wcześniej o tego rodzaju sprawach, to właśnie ja przekonywałam, że Bóg musi planować nasze życie, gdyż w przeciwnym razie to nie byłoby sprawiedliwe, a on odparł: „Bóg nie ma planu co do naszego życia, po prostu wrzucił nas do świata, w którym bez względu na to, jakie jest nasze życie, wciąż możemy odkryć, jacy dobrzy i silni jesteśmy albo jacy słabi, albo też jacy źli i tchórzliwi”. Opowiada o tym bożym planie, żebyś poczuła się lepiej.

- Tak myślę i myślę - powiedziała - że nie powinniśmy byli kochać się tak szybko po tym, jak użyłam środka plemnikobójczego ostatnim razem.

Potrząsnął głową.

- To wcale nie było tak szybko, DeAnne.

- Powinieneś poczekać dłużej. Tydzień.

- DeAnne, lekarze nie wiedzą nawet, na czym polega problem, a cóż tu dopiero mówić o przyczynach.

- A bendectin? Wszystkie te opowieści o bendectinie i defektach u dzieci...

- W „National Enquirer”, DeAnne, a nie w „Scientific American” lub „Journal AMA”.

- Step, ja nie chcę wracać do domu bez mojego dziecka.

- Ale wrócisz bez niego, DeAnne, bo wiesz, że to dla niego najlepsze i najlepsze dla ciebie. A przecież ty zawsze robisz to, co uważasz za słuszne. Taka już jesteś.

Przez chwilę się zastanawiała.

- Okej - powiedziała wreszcie. - Zawołaj pielęgniarkę.

Później, po południu, Step wstąpił do apteki, by wykupić środki przeciwbólowe dla DeAnne. Czekając na aptekarza, podszedł do stojaka z czasopismami. Stała tam kobieta, a kątem oka zauważył, że zerknąwszy na niego, wycofała się. Przeglądał okładki dzienników, a potem, z czystej nudy, czasopisma dla kibiców zapasów amerykańskich.

- Pan nigdy nie popuści, prawda? - powiedziała kobieta.

Step spojrział, próbując rozpoznać, z kim ona rozmawia. Patrzyła prosto na niego.

Czy ją skądś zna? Wyglądała znajomo, lecz nie potrafił jej zidentyfikować.

- U Krogera, w supermarkecie, gdzie tylko się obróczę, tam jest i pan. Czy nie może mi pan dać wreszcie świętego spokoju?

Step stał zmieszany.

- Przepraszam, ale chyba bierze mnie pani za kogoś innego.

- Nie wystarczy, że rzuciłam przez pana pracę? Chce mnie pan zaszczuć, bym popełniła samobójstwo? - Jej głos drżał; zaiste, wyglądała na zdesperowaną. Cokolwiek wyobrażała sobie na jego temat, w jej oczach było to wystarczająco realne, choć nie miał pojęcia, dlaczego uczepliła się właśnie jego.

- Proszę pani, nikt nie chce, by poppełniła pani samobójstwo.

- Więc proszę przestać - syknęła.

Nagle przyszło olśnienie. Nie wybrała go z czystego szaleństwa; ona naprawdę porzuciła pracę z jego powodu.

- Ach, pani Jones - rozpoznał ją.

- Jest pan skończonym łajdakiem - mówiła. - Cokolwiek bym zrobiła, nie zasłużyłam, żeby się pan za mną skradał.

- To nieprawda, przysięgam. Dopiero teraz po raz pierwszy zwróciłem na panią uwagę, odkąd...

- Tylko proszę nie kłamać - przerwała wzgardliwie. - Za każdym razem gapi się pan na mnie. W supermarkecie śmiał się pan ze mnie na całe gardło.

- Pani Jones, skąd miałbym wiedzieć, że odwiedzi pani tę aptekę? Ja tu przyszedłem, by zrealizować receptę dla mojej żony.

- Już nie mogę dłużej znieść widma tej kasety, krążącego nad moją głową. Po prostu nie mogę. To gorsze niż szantaż. To tortura.

Mierziło go, że ona, ciemńczycielka Steviego, narzeka na tortury. Lecz nie chciał się z nią sprzeczać. Stanowiła zamknięty rozdział.

- Proszę posłuchać, pani Jones. Właśnie przywiozłem żonę ze szpitala, a nasze nowo narodzone dziecko wciąż tam przebywa, gdyż nikt nie wie, dlaczego ma drgawki, lecz znajduje się na oddziale intensywnej opieki za sto dolarów na godzinę, a ja nie mam ubezpieczenia, bank przejmuje nasz dom w Indianie i wie pani co? Nie obchodzi mnie pani. Nie śledzę pani. Żyję własnym życiem, a pani niech żyje własnym i zapomni o mnie, ja do tej chwili nie pamiętałem o pani i szkoda, że ten stan nie trwa dalej.

Odwrócił się, by podejść do okienka. Złapała go za rękaw.

- Niech mi pan odda taśmę - zażądała.

- Nawet nie pamiętam, gdzie ją wrzuciłem - odrzekł Step. - Proszę spojrzeć, pani Jones, oboje mieszkamy w tym samym mieście. Jesteśmy skazani na spotkanie się od czasu do czasu w tym samym sklepie, w tej samej knajpie czy na tym samym filmie w kinie, to jeszcze niczego nie oznacza.

- Czy tak właśnie zamierza się pan bronić, kiedy złożę na pana skargę? - zapytała. - Tak sugeruje mój prawnik.

- Akurat widzę, że moja recepta jest gotowa, muszę pędzić. Niech pani prawnik napisze do mnie list.

- Jeśli w ogóle był jakiś prawnik.

Odebrał zapisane leki, kazał sprzedawcy dopisać należność do jego rachunku w sklepie, po czym wyszedł. Bał się trochę, że pani Jones podąży za nim, będzie go ścigać aż do domu, uderzy w jego drzwi, nalegając, by przestał za nią chodzić. Lecz kiedy wrócił z lekarstwami, jedynymi osobami, jakie zapukały do drzwi, były kolejne siostry ze Stowarzyszenia Pomocy, przybyły, by podnieść DeAnne na duchu. Cokolwiek się stanie, będzie to częścią planu Ojca Niebieskiego, mówiły. Kiedy się już wyniosły, DeAnne nie mogła powstrzymać się od dania upustu swemu rozdrażnieniu.

- Oczywiście, będę częścią boskiego planu, lecz Bóg nie jest zbyt szeroko znany z planowania dla swych dzieci przyjemnych rzeczy - powiedziała mężowi i matce.

Chociaż wyglądała na podenerwowaną, Step zauważył, że ich wizyta dobrze na nią podziałała. W znajomym gronie może szybciej dojdzie do siebie. Bardziej była teraz przewodniczką po życiu duchowym w gminie niż bezbronną matką osaczoną w szpitalu, otoczoną lekarzami, nie wiedzącymi, co się dzieje z dzieckiem i nie chcącymi się do tego przyznać.

DeAnne tak zaaranżowała poniedziałkowy ranek, że Mary Anne Lowe przyjechała zaopiekować się Robbiem i Betsy, Step zabrał Steviego do psychiatrii, a Vette DeAnne do szpitala, by nakarmiła Zapa.

- Od dwóch miesięcy zabieramy go do dr Weeks - uskarżał się Step - i żadnej poprawy.

- Wiem - odpowiedziała DeAnne - ale na to trzeba czasu.

- Po dwóch miesiącach należy nam się chyba raport o wynikach - rzekł Step. - A przynajmniej powinniśmy otrzymać diagnozę. Coś. Zobacz, to samo dotyczy Zapa, lekarze poszukują przyczyny, lecz oni przynajmniej donoszą nam o wynikach. Tłumaczą się z tego, co robią. Każdego dnia dowiadują się czegoś nowego o dziecku.

- Psychiatria nie jest precyzyjna - powiedziała DeAnne.

- Sądzę dokładnie tak samo. Rachunek w szpitalu dochodzi już do około sześciu tysięcy dolarów za samego Zapa, a kto wie, jak długo tam jeszcze zostanie? Łapiduchowi oddajemy tygodniowo dziewięćdziesiąt dolarów - prawie czterysta na miesiąc, prawie tyle samo, ile płacimy za dzierżawę domu - i nie wiemy, co za to mamy.

- Zatem nie zamierzasz go zabrać? Chcesz się poddać? Utknąć w martwym punkcie?

- Chcę go dzisiaj zostawić w domu. Chcę sam tam pójść, porozmawiać z nią, dowiedzieć się czegoś na jego temat.

DeAnne obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Zdaje mi się, że chcesz wydać jej wojnę. Pozbyć się jej w podobny sposób jak pani Jones.

- Jeśli chcesz, zabiorę z sobą dyktafon, byś usłyszała wszystko, o czym będziemy mówić.

- Nie. Poradzisz sobie świetnie bez tego.
  - Obiecuję, że nie uczynię niczego, co by mogło ją urazić - przyrzekł Step. - Nie chciałbym, by Lee miał przez to w Kościele jeszcze ciężej.
  - Albo żeby Stevie nie mógł się już z nią później spotykać - dodała DeAnne.
  - O ile te spotkania leżą w jego dobrze pojętym interesie.
- DeAnne stała w milczeniu, patrząc mu w oczy.
- Cieszę się, że zdecydowałaś się tego nie powiedzieć.
  - Powiedzieć czego - spytała DeAnne.
  - Że nie sądzisz, bym był zdolny ocenić, czy Stevie powinien spotykać się z nią dalej, czy też nie.
  - Wcale nie to chciałam powiedzieć.
  - Ale tak właśnie myślałaś.
  - No chyba nie będziesz się na mnie wściekał za to, co pomyślałam, a czego nie powiedziałam!
  - Nie wściekam się na ciebie. Po prostu przypominam ci, że przez te wszystkie lata naszego małżeństwa ani razu nie zrobiłem w tajemnicy czegoś dotyczącego rodziny, czemu byś była przeciwna. Nie mam racji?
  - Masz - odparła.
  - Więc może zasłużyłem na trochę zaufania. Nie tylko ty kochasz Steviego.
  - Och, to takie niesprawiedliwe. Nigdy tego nie powiedziałam, nigdy nie pomyślałam, nigdy bym...
  - Tak właściwie to całkiem nieźle radzę sobie z codziennym życiem, DeAnne. Sam się już ubieram, przeprowadzam rozmowy z obcymi i prawie nigdy nie muszę dzwonić do domu po pomoc. Nawet użyłem raz karty kredytowej bez robienia zamieszania, a w sklepie za rogiem pozwalają mi spieniężyć czek, jeśli mam zgodę od mamy.
  - Próbujesz doprowadzić mnie do płaczu? - spytała DeAnne. - Chcesz mi zaszczepić poczucie winy, bo to twój pierwszy raz, kiedy zabierasz Steviego do dr Weeks, a ja się martwię, że powiesz coś albo zrobisz...
  - Widzisz? - przerwał jej Step. - Naprawdę mi nie ufasz. Od pięciu miesięcy dbasz o wszystko w domu, a gdy nareszcie wróciłem do tego domu, zdaje ci się, że jeśli nie zaprogramujesz każdego mojego czynu, jeśli ja nie będę się trzymał tego programu w każdej chwili, bez odchyłeń, bez myślenia za siebie, to wszystko runie.

- Nie kłóćmy się, dobrze? Proszę.

- Nie kłócimy się - sprostował Step. - Po prostu wyrażam oburzenie, że nie ufasz mojemu osądowi. Nie pamiętasz już, że razem zdecydowaliśmy się wysłać Steviego do dr Weeks? A może nadal sądzisz, że wrobiłaś mnie w to, i nie śmiesz zaniechać swoich manipulacji?

- Nie rób mi tego! - powiedziała. - Muszę jechać do szpitala i trzymać dziecko, które jest tak nafaszerowane lekami, że wisi w moich ramionach niczym szmaciana lalka. Musimy odciągać mleko z moich piersi i karmić go nim, kiedy śpi! Muszę użerać się z tymi wszystkimi lekarzami, którym wydaje się, że nawet nie rozumiem po angielsku, i zmuszać ich, by wyjaśnili mi, jaka jest sytuacja, bym miała choć mgliste pojęcie, co się dzieje z moim dzieckiem, a teraz ty mnie jeszcze atakujesz...

- No, skoro już jesteś taka nieustępliwa i zajadła w dowiadywaniu się, co lekarze robią z Zapem - powiedział Step - to dlaczego do diabła od dwóch miesięcy wysyłamy Steviego do dr Weeks, a ty nawet nie wiesz, jak przebiegają te spotkania? A kiedy mówię, że mam zamiar przejść się do dr Weeks i zrobić z nią dokładnie to samo, co ty robisz z lekarzami Zapa, uważasz, że jestem za głupi, za nerwowy lub zbyt narwany, by się tego podjąć. No a ja ufam ci, składając w twoje ręce życie Zapa. Czy nie uważasz, że zasługuję na ten sam szacunek, kiedy chcę porozmawiać z dr Weeks? A może w tym małżeństwie jestem wiceprezydentem? Czy mam się tylko pokazywać na pogrzebach?

DeAnne sapnęła.

- Nie mów w ten sposób! - krzyknęła. - Och, Step, naprawdę myślisz, że on umrze! - Wybuchła płaczem.

Step był przerażony.

- To tylko taka figura retoryczna. Miałem na myśli, że Reagan posyła Busha na pogrzeby, nic innego. Na przykład, kiedy zamordowano Sadata. Nie miałem wcale na myśli Zapa. Naprawdę.

Objął ją. Odwróciła się do niego i przez krótką chwilę płakała na jego piersi. Podniosła głowę.

- Nie dopuszczę do tego - powiedziała. - Nie będę płakać. Nie mam zamiaru się rozkleić. Czy mnie rozumiesz?

- Tak.

- Jeśli się rozkleję, nie pomogę już Zapowi. Ani Steviemu, ani nikomu. Po prostu stąkam po krawędzi, Step. Tuż nad przepaścią. Nie wolno ci mnie popychać. Po prostu nie wolno. Jesteś jedyną osobą, w której mam oparcie.

- Więc wesprzyj się na mnie. I też mnie nie odpychaj. Zaufaj mi. Zaufaj mi w ten sam sposób, w jaki ja ufam tobie.

- Cała ta sprzeczka wynika tylko z tego, że jesteśmy przygnębieni, to wszystko. Przygnębieni i zmartwieni Zapem.

- I Steviem - przypomniał Step.

- Tak - przyznała. - I Steviem. Muszę już iść.

- DeAnne - powiedział. - Muszę wiedzieć. Czy jesteś ze mną?

- Jak to z tobą? - zapytała.

- Czy popierasz mój pomysł wypytania dr Weeks, co dolega Steviemu?

- Tak - odparła. - Zrób, co uważasz za słuszne.

- Nie zrobię głupstwa - zapewnił. - Po prostu wybadam, jak sprawy stoją. W stylu, jakim posługujesz się z lekarzami Zapa. Zgoda?

Patrzyła na niego badawczo.

- Jeśli się przekonasz, że dr Weeks wcale nie jest pomocna, możesz przerwać sesję. Bez pytania mnie o pozwolenie.

- O, nie - zaprzeczył. - Nie dojdzie do tego bez rozmowy z tobą.

Po tej rozmowie Step pojechał samotnie do gabinetu dr Weeks, podążając za wskazówkami udzielonymi przez DeAnne. Kiedy wszedł do środka, dr Weeks wstała i przywitała go gorąco.

- Panie Fletcher - powiedziała.

- Proszę mówić mi Step.

- W takim razie - Step. Tak sobie myślałam, że chyba najwyższa pora, abym odbyła sesję z tobą i twoją żoną.

- Jest w szpitalu. Nasze nowe dziecko znajduje się na oddziale intensywnej opieki.

- Och, tak mi przykro. A o co chodzi?

Step wyjaśnił pokrótce, mówiąc na końcu:

- Oto dlaczego tu dziś jestem. Płyniemy bez ubezpieczenia. Rachunki za te sesje są nieco wygórowane, pomyśleliśmy zatem, że czas ocenić, na czym stoimy - czego właściwie dowiedziała się pani o problemach Stewego i czego można się spodziewać... No wie pani, w końcowym rozrachunku.

- No cóż, zrobiliśmy znaczny postęp, Stevie i ja. Na spotkaniach mówi teraz całkiem dużo. Sądzę, że się do mnie przyzwyczajają.

Step miał ochotę wtrącić: mówi całkiem dużo? To znaczy, że opłacaliśmy sesje, na których nie mówił



w ogóle? Po dwóch miesiącach dopiero teraz się do pani przyzwyczajają? Ale przypomniał sobie troskę DeAnne i powściągnął język.

- Ale pomijając to - ciągnęła - ciągle jeszcze waham się co do diagnozy. Jego powściągliwość w wypowiedaniu się jest oczywiście normalnym objawem przypadłości, ale to raczej nie przyspiesza procesu stawiania diagnozy. Sądzę, że za miesiąc bądź dwa będę już gotowa, by coś prognozować. Tymczasem... - Przewróciła kilka kartek papieru leżących na biurku.

Próbując utrzymać język na wodzy, Step przerwał:

- Dziś interesuje mnie, dr Weeks, nie końcowe oświadczenie, ale sprawozdanie z tego, czego się pani dowiedziała do tej pory albo co pani podejrzewa. DeAnne i ja musimy zdecydować teraz, nie za dwa miesiące, czy kontynuować kurację.

- Z chęcią dogadam się z tobą na temat sposobu zapłaty - powiedziała dr Weeks. - Ale ciężko mi jest dyskutować o trwającym leczeniu, szczególnie że nie jesteś pacjentem.

- Pacjent ma osiem lat - zauważył Step. - A gdybym był kolegą po fachu, nie sprawiłoby pani żadnego kłopotu rozmawianie ze mną na temat przypuszczalnej diagnozy.

- Ale ty nie jesteś psychiatrą, Step.

- Mam doktorat, dr Weeks. Z historii, która co prawda nie całkiem jest związana z psychiatrią, wiem, ale to oznacza, że jestem wykształconą istotą ludzką i sądzę, że jeśli spróbuje pani wytłumaczyć mi, co dolega Steviemu, zrozumiem. - Mając na uwadze to, co się działo w szpitalu z Zapem, dodał: - Na przykład, musi mieć pani jakieś pojęcie, w jakim stanie on się nie znajduje.

- Wiele pomogłoby w całej tej procedurze, Step, gdybyście razem z żoną sami przyszli na kilka sesji. Co prawda podejrzewam, że twoje naleganie na szybsze postawienie diagnozy może sugerować możliwe źródło anormalnych reakcji Steviego na stres.

Powinienem się tego spodziewać, pomyślał Step. Sam fakt, że żądam od niej sprawozdania, jest wykładnikiem mojego zaburzenia. Ha, nie pozwoli dr Weeks ustanowić z nim relacji doktor-pacjent.

- W porządku - powiedział. - Jeśli wyjaśni nam pani, na czym mógłby polegać problem i w czym nasze przybycie na sesję byłoby pomocne, wówczas możliwe, że zgodzimy się na włączenie nas w proces terapii, ale musimy uznać to za właściwy kierunek działań.

- Step - odparta - zdajesz się emanować jakąś wrogością w stosunku do psychoterapeutów, a także wyraźną fascynacją, która pozwoliła ci zaznajomić się z niektórymi aspektami psychologicznego żargonu. Nie zdziwiłabym się, gdybyś bezwiednie przekazywał tę wrogość Steviemu.

- Dr Weeks, moje wysiłki mające na celu wyjaśnienie, co zachodzi między panią a Steviem, nie spowodowały jego problemów.

- Nie sugerowałam nic tego rodzaju - zaprzeczyła dr Weeks. - Jak sądzisz, dlaczego poczułeś potrzebę obrony właśnie teraz?

- Dr Weeks, myślę, że źle pani interpretuje nasz wzajemny stosunek. Jestem tu jako ojciec Steviego. Gdybym go przyprowadził do pediatry z okropnym kaszlem, miałbym prawo spodziewać się po pediatrze, że mi powie, co w jego opinii mogło spowodować ten kaszel i jak ma zamiar temu zaradzić, a on nie opowiadałby mi bajek, jak to najprawdopodobniej nie zrozumie funkcjonowania płuc i - przy okazji - czy ostatnio nie czułem duszności. Stevie uczęszcza do pani od dwóch miesięcy, a na pierwszy rzut oka wszystko, co pani zaobserwowała, to jego przygnębienie i wyimaginowani przyjaciele. To wiedzieliśmy, zanim go do pani przyprowadziliśmy. Mam nadzieję, że zrozumie pani, że nie staram się mieszać do jego terapii. Ja po prostu muszę wiedzieć, z czego się ta terapia składa i jaki jest jej cel.

- A więc wyjaśnię, dlaczego wzbraniam się przed rozmawianiem na ten temat z panem, panie Fletcher. Biorąc pod uwagę znaczenie, jakie rodzice odgrywają w życiu dziecka, nieunikniony jest fakt, że częściowo jesteście odpowiedzialni za jego problemy. To założenie, rzecz jasna, jest dla was groźne i obawiam się, że zechcecie przerwać kurację Steviego, by ochronić własne ego. To może wyrządzić chłopcu wielką krzywdę.

Step domyślił się, że urabia go tak, by się wycofał - każdą obiekcję, jaką wystosowałby pod adresem jej diagnozy, odrzucono by jako próbę chronienia własnego ego. Powstrzymał jednak temperament i nie wygłosił żadnej uszczypliwej uwagi, jaka mu się nasunęła.

- Dr Weeks. DeAnne i ja od samego początku wiedzieliśmy, że rozwiązanie problemów Steviego pociągnie za sobą pewną zmianę naszego trybu życia. Pragniemy uczynić wszystko, by pomóc synowi, i nie boję się odkryć moich błędów rodzicielskich. Lecz oznajmiam, że jeśli nie powie mi pani nic na temat jego stanu, wtedy z pewnością przerwiemy kurację Steviego.

Mierzyła go przez chwilę zimnym, beznamiętnym wzrokiem. Musiała spędzać godziny przed lustrem, gdy chodziła do szkoły, pomyślał Step, ćwicząc spojrzenie mówiące: jestem ponad emocjonalnymi powiązaniem ze zwykłymi szarakami i ich błahymi problemami.

- W porządku, panie Fletcher. Powiem panu, jakie możliwości biorę obecnie pod uwagę przy diagnozie stanu pańskiego syna. Po pierwsze, możemy mieć do czynienia z prostym, udawanym zaburzeniem. Po drugie, możemy...

- Udawanym zaburzeniem? - przerwał Step.

- Udawanym znaczy coś przeciwnego do tego, na jakie wygląda, panie Fletcher...

- Słowo „udawanym” nie jest mi obce - odparł Step. - Chodzi mi o znaczenie zwrotu „udawane zaburzenie”, które chciałbym, żeby mi pani wyjaśniła.

- To znaczy, że Stevie mógłby kłamać na temat tych wyimaginowanych przyjaciół, gdyż wie, że to was dręczy, a jest przy tym spragniony waszej uwagi.

Step zdusił w sobie ochotę wykrzyczenia, że Stevie nie kłamie, nigdy nie skłamał, mówi prawdę nawet wtedy, kiedy jest żenująca, nawet kiedy jest pewny, że spotka go za to kara. Jeśli Stevie twierdzi, że bawi się z wyimaginowanymi przyjaciółmi, to zapewne naprawdę sądzi, że towarzyszą

mu w zabawach, i nie jest to jakieś przekłete, błazeńskie, udawane zaburzenie. Zamiast tego ograniczył się do słów:

- A pani druga hipoteza?

- Możliwe także, że to zwykłe zaburzenie przystosowawcze, połączone z depresją i biernością.

- A to co by znaczyło? - zapytał Step.

- Że poważnie zaszkodziły mu wasze przenosiny do Karoliny Północnej. Że poczuł się odizolowany od swych przyjaciół, rodziny i bezpiecznego ładu, zamiast tego znalazł się wbrew własnej woli w przerażającym środowisku, gdzie nie potrafi zrozumieć, co się dzieje, czuje się przy tym bezbronny wobec poczynań innych. W takim wypadku wszyscy ci wyimaginowani przyjaciele stanowiliby jedynie halucynacyjny wysiłek jego podświadomości, mający na celu odtworzenie bezpiecznego środowiska z przeszłości, a depresja wynikałaby z faktu, że halucynacji nie udaje się zamaskować nieszczęścia. Nie dowierza bezkrytycznie szczęśliwej, ale fałszywej rzeczywistości, jaką stworzyła dla niego podświadomość.

Step powstrzymał się od stwierdzenia, że to dokładnie to samo, co wraz z DeAnne podejrzewali przed przyprowadzeniem syna do psychiatry.

- Co można z tym zrobić? - zapytał.

- To tylko jedna z hipotez. Nie diagnoza, więc na razie nie zrobimy nic.

- Ale gdyby to była prawdziwa diagnoza, jak wyglądałby właściwy tryb postępowania?

- Wkraczamy tu na niebezpieczny grunt - powiedziała dr Weeks. - Reszta to czyste spekulacje.

- Zdaję sobie z tego sprawę i nie każę pani zachowywać się niestosownie. Chciałbym po prostu mieć jakieś pojęcie, z czego składać się będzie kuracja, jeśli ta ostatnia hipoteza okaże się diagnozą.

- No cóż - powiedziała. - Może zaczęlibyśmy od tego, że skontaktowalibyście się z rodzicami jego poprzednich przyjaciół w Indianie, by namówili ich do napisania listu lub zadzwonienia do Steviego. Jednakże może okazać się to mało efektywne, ponieważ w jego wieku dzieci niezbyt chętnie nawiązują znaczącą emocjonalną więź za pomocą kontaktu pośredniego, jak telefon czy listy.

- I?

Chciał, żeby wyliczyła mu dalsze możliwe kierunki terapii, gdyby stanem Steviego naprawdę było zaburzenie przystosowawcze z depresją i biernością. Ale ona odebrała to jako prośbę o trzecią hipotezę.

- Trzecią możliwą diagnozę uważam za najbardziej prawdopodobną, ale pan uzna ją za najtrudniejszą do zaakceptowania, dlatego proszę, by był pan teraz bezstronny i otwarty na wszystko, co powiem, chociaż będzie to trudne.

Step skinął głową, choć jasne było, że dr Weeks odrzuca taką możliwość.

- Sądzę, że najlepiej wytłumaczymy zachowanie Steviego, jeśli spojrzymy na nie nie pod kątem stanu spowodowanego przyjazdem do Karoliny Północnej, ale pogorszenia jakiegoś uprzednio istniejącego ciężkiego stanu, który pozostawał nie dostrzegany, gdyż trwał tak długo, że uważaliście go za integralną część charakteru Steviego.

- Dlaczego więc dostrzeżliśmy go, gdy tylko...

- Proszę - przypomniała mu dr Weeks. - Musi pan być otwarty. Stres tej przeprowadzki zniekształcił pewien wzorzec, wie pan, i to właśnie tę zmianę zaobserwowaliście, nie zaś jakiś gwałtowny atak.

- A stan ten to...

- Atypiczna dysocjacja - powiedziała. - Udokumentowano ją po raz pierwszy u ludzi, których poddano intensywnemu praniu mózgu, lecz zgodnie z moim przekonaniem zaburzenie to zdarza się o wiele częściej i rzadko bywa zauważane.

Step czuł się zmieszany. Jakie doświadczenie mogło u Steviego wywołać efekt podobny do prania mózgu?

- Obecnie większość dzieci w Ameryce od najmłodszych lat poddawana jest przeróżnym formom indoktrynacji, na przykład wpajania im wiary w potężną osobę, która naprawdę nie istnieje. Mimo to podsuwa się im świadectwa popierające tę wiarę, łącznie z opowieściami, by dziecko uwierzyło, że cały świat wierzy w tę szczególną mityczną osobę.

- Uważa pani, że kłopoty Steviego wynikają z faktu, że kazaliśmy mu wierzyć w Świętego Mikołaja?  
- spytał Step, powątpiewając.

- Wprost przeciwnie. Sądzę, że Święty Mikołaj jest, ogólnie biorąc, całkiem dobroczynny, bo kiedy dziecko ostatecznie zorientuje się, że Święty Mikołaj nie istnieje, wówczas przeprowadzi konieczny intelektualny proces rekonstruowania rzeczywistości w świetle nowych dowodów, włączając w to dodatkowo powtórne komponowanie nowych opowieści, tłumaczących minione wydarzenia. To przygotowuje dziecko na wiele następnych rozczarowań i obdarza je niezbędnym doświadczeniem w rozróżnianiu rzeczywistości, niezależnie od opowiadanych w danym czasie historii.

- Zatem Święty Mikołaj jest dobry - rzekł Step.

- Święty Mikołaj wpływa zazwyczaj korzystnie - odparła dr Weeks. - Wątpię, czy wielu rodziców ma na myśli ten pozytywny efekt, opowiadając dzieciom absurdalne historie przy kominku.

- Zgadzam się w tym z panią - powiedział Step.

- Święty Mikołaj z pewnością nie leży u podstaw problemu Steviego. Chłopak już teraz przejawia względem tej historii zdrowy sceptycyzm.

Płaciliśmy dziewięćdziesiąt dolców za godzinę, by sprawdzić, czy Stevie wierzy w Świętego

Mikołaja?

- Steviemu przekazano inny niespójny system wierzeń, którego implikacje są daleko bardziej dalekosiężne niż jego interpretacja tego, co się wokół dzieje. Odczuwa silną presję, by zademonstrować lojalność względem tego systemu, z tej przyczyny od długiego czasu zmuszony jest wynajdywać wspierające go osobiste doznania, o których opowiada panu i pańskiej żonie. Jednakże oprócz tego Steviemu wpojono absolutne oddanie prawdzie, skutkiem czego nie może on zwyczajnie, jak inni chłopcy, kłamać, przyznając się do doznań, których nie miał. Nie mógł też, będąc raczej dzieckiem o łagodnym temperamencie, osiągnąć tego emocjonalnego stanu, gdzie pojawia się histeria, powszechny sposób rozładowania napięcia.

- Mówi pani o religii, nieprawdaż? - zapytał Step.

- A w szczególności o religii mormonów, gdyż należy pan, jak rozumiem, do charyzmatycznej sekty. Jak się dowiedziałam od Lee, przy okazji waszych comiesięcznych zbiorowych spowiedzi dochodzi do znacznego emocjonalnego wywnętrzenia się, kiedy ludzie wstają i podczas mówienia płaczą. To czysto historyczne zjawisko, wcale nie niezdrowe - wiele Kościołów na południu od dawna pielęgnuje podobną tradycję, dobrze im służy jako emocjonalne odreagowanie. Jednak Stevie należy do tych nieszczęśników, którzy nie potrafią się doprowadzić do stanu hysterii, prócz tego jest niechętny bądź niezdolny do kłamania lub udawania. A to wszystko prowadzi do halucynacji.

- Dr Weeks, jedyne halucynacje, jakich Stevie doznaje, ci wyimaginowani przyjaciele, rozpoczęły się tuż po naszym przyjeździe do Steuben.

- Wprost przeciwnie - odparła dr Weeks. - Stevie opowiedział mi, że we wczesnym dzieciństwie miał kilka doświadczeń, podczas których wyczuwał bardzo złą obecność, grożącą mu zniszczeniem. Z miejsca rozpoznałam w tym ojca-stracha, zwykłego u chłopców w tym wieku, z czego zazwyczaj wyrastają. Jednak twierdzi, że mówił wam o tych „strachach” i „złych uczuciach”, jak je nazwał, a oboje poinformowaliście go, że te uczucia pochodzą od diabła.

- Powiedzieliśmy, że prawdopodobnie - powiedział Step. Starał się zachować spokój ducha, lecz czuł się atakowany, kiedy jej sceptyczne oko przyglądało się tym tkliwym chwilom z dzieciństwa Stewiego, kiedy wraz z DeAnne próbowali ostrożnie nie narzucać własnej interpretacji snów Stewiego.

- Dla dziecka w tamtym wieku oczywiście nie mogło być żadnej wyraźnej różnicy pomiędzy „być może” a „jest”. Ale skąd mógł pan o tym wiedzieć, złapany w sieci tego samego systemu wierzeń. W każdym razie Stevie zaczął kojarzyć wszelkie duchowe zjawiska, o których wiele słyszał, ale których nie doświadczył, ze swą edypową bojaźnią z wczesnego dzieciństwa...

- Kiedy bał się w nocy - przerwał jej Step - zwykłem leżeć przy jego łóżeczku godzinę albo dwie, dopóki nie zasnął, śpiewając lub nucąc. Nie mnie się więc bał.

- Oczywiście, nie wiedział, że to pana się boi. Odsunął strach na bok, na jego miejsce wprowadzając bezimienny, wyobrażony byt, który pan wygodnie nazwał za niego. Zatem od tego czasu jego odpowiedź na presję pańskiej kultury stanowiła halucynacja, a za każdym razem szufladkował pan tę

halucynację jako doznanie duchowe. W ten sposób Stevie mógł stać się częścią kultury. Wyprano mu mózg.

- Zdumiony jestem w takim razie, że pozwoliła pani wstąpić Lee do naszego Kościoła, jeśli mamy do czynienia z tym, co pani myśli - rzekł Step.

- Jestem naukowcem, panie Fletcher. Nie zamierzam nikogo obrażać. Czuję po prostu, że zrobilibyśmy Steviemu niedźwiedzią przysługę, gdybyśmy po rozpoznaniu, że od dawna doznaje halucynacji, nie związanych z przeprowadzką do Karoliny Północnej, leczyli tylko te symptomy, które objawiły się po waszym przyjeździe, zostawiając podstawowy problem, będący przyczyną wszystkiego, bez rozwiązania.

- Jeśli okaże się, że to prawidłowa diagnoza - zauważył Step.

- Jak już powiedziałam, tylko przychyliam się do tej interpretacji. Ale musi pan zrozumieć, że kiedy opowiadał mi o chrzcie oraz jak podczas tego doświadczenia ujrzał w wodzie jaskrawe światło, które weszło w niego, wypędzając całą ciemność, zrozumiałam, że jego halucynacje wykraczają daleko poza wymyślonych przyjaciół.

Stevie nie opowiadał nikomu o swym doświadczeniu, nikomu z wyjątkiem dr Weeks, która uważała to za szaleństwo.

- Jest pani przekonana, że to szaleństwo? - zapytał.

- Sam pan tam był, panie Fletcher - powiedziała dr Weeks. - Czy widział pan światło?

- Nie - odparł Step.

- Kiedy jedna osoba stojąca pośrodku wielu świadków widzi to, czego nikt inny nie widzi, na ogół mamy słuszność, identyfikując takie doznanie jako halucynację.

- A może on ma czystsze spojrzenie niż inni? - spytał Step.

- Ach tak? Naprawdę sądzi pan, że istniało jakieś podwodne źródło światła, którego nikt postronny nie potrafił dostrzec?

- Sądzę - odpowiedział Step - iż jest możliwe, by coś było równocześnie subiektywne i realne. Jeśli tylko jedna osoba coś widzi, nie oznacza to wcale, że tego tam nie ma.

- Ale zgodnie z tym założeniem, panie Fletcher, nie sposób zrozumieć, dlaczego w ogóle przyprawialiście do mnie Steviego. Przecież jeśli dobrze pamiętam, to pana i pańską żonę martwił fakt, że Stevie widzi wymyślonych przyjaciół, których prócz niego nikt nie dostrzega.

Step nigdy dotąd nie myślał w ten sposób o wymyślonych przyjaciółkach. Rozzłościło go to jej łączenie doznań duchowych ze złudzeniami Steviego. Ale ona je połączyła, a jeśli miała rację, jeśli były podobne, wówczas cała ta jego niespotykana wrażliwość na innych ludzi, zdolność do rozróżniania dobra i zła, świadomość duchowej strony życia - wszystko to było ułudą, mirażem.

Z drugiej jednak strony, wniosek mógł też być przeciwny. No bo skoro wrażliwość Steviego na sprawy ducha była rzeczywista, więc też zdolność postrzegania wymaginowanych przyjaciół nie była fałszem. A w takim razie dr Weeks ma rację, a oni popełnili kolosalny błąd, przyprawiając go do niej. Zupełnie w ten sam sposób, w jaki opowiedział im pozornie nonsensowną historię o znęcaniu się nad nim pani Jones, przekazywał im prawdę o wymaginowanych przyjaciółkach.

Znaczyło to, że naprawdę istnieli wymaginowani chłopcy, bawiący się z nim na podwórku za domem, gdy tylko wychodził na powietrze.

Nie, pomyślał Step. Nie. Powodem, dla którego to nie może być prawdą, jest fakt, że dr Weeks myli się już u samych podstaw. Jego wymaginowani przyjaciele to nie to samo co duchowa wrażliwość. Ta druga możliwość, którą wymieniła - zaburzenie przystosowawcze wraz z depresją i biernością - tłumaczyła wszelkie symptomy, a przynajmniej te, które nimi były w mniemaniu Stepa i DeAnne. Dr Weeks po prostu nienawidziła religii, usiłowała doszukać się zaburzeń psychicznych w kosmologii mormonizmu.

Tylko, skoro nie cierpiała religii, z jakiego powodu w każdą niedzielę odwoziła Lee do kościoła?

- Czy istnieje jeszcze jakaś możliwa diagnoza? - zapytał Step.

Wypowiedziała się pokrótce na temat zaburzenia schizofrenicznego o charakterze rezydentnym, ale było jasne, że nie przychyliła się ku tej teorii.

- Widzę jednak, że przedłożyłby pan prawie każdą diagnozę nad tę, która rzuca cień wątpliwości na pański ukochany system wierzeń.

- Wiem, co jest najlepsze dla Steviego - odparł Step. - Doskonale się orientuję, jak nasze dogmaty religijne odbierają ci, którzy w nie nie wierzą.

- Zamierza pan pozwolić Steviemu kontynuować kurację?

- Nie podejmuję takich decyzji sam - odrzekł. - Muszę przedyskutować tę sprawę z moją żoną.

- Proszę ją przyprowadzić - zaproponowała dr Weeks. - Sądzę, że naprawdę nadeszła pora, byście oboje włączyli się w proces terapii. Mniemam, że jeśli nieustanna presja, by Stevie demonstrował lojalność wobec waszego systemu wierzeń, zostanie nieco złagodzona - proszę zauważyć, że nie mówię, iż ma ustać zupełnie - być może chłopiec rozluźni się na tyle, by obrać normalniejszą strategię radzenia sobie z rodzinnymi i środowiskowymi wymaganiami. Za rok lub dwa możemy całkowicie wytłumić te halucynacje, przy założeniu, że cała rodzina będzie współpracować.

- Dziękuję, że mnie pani poinformowała o tym wszystkim, dr Weeks - powiedział Step. - Widzę, że bardzo się pani starała zrozumieć sytuację naszego syna.

- A zatem istnieje nadzieja, że będę mogła kontynuować pracę z tym słodziutkim chłopczykiem?

- Nie wiem, jak będzie - odparł Step. - Powiedziałem już na początku, że pieniądze stanowią dla nas obecnie poważny problem. Ale jeśli przerwiemy terapię Steviego, nie stanie się to z powodu naszego

przeświadczenia, że jako lekarz nie włożyła pani w swą pracę ze Steviem maksymalnego wysiłku.

Dr Weeks skinęła łaskawie. Zbyt wielką profesjonalistką była, by pozwolić sobie na uśmiech - Step odniósł wrażenie, że zostawia ją w przychylnym nastawieniu do niego i do Stewiego i w nie najgorszym do Kościoła, tak że chyba nie zaprzestanie podwozić Lee w niedziele. Dlaczego przywoziła Lee do kościoła, zważywszy na jej stosunek do religii, stanowiło dla Stepa zagadkę. Jednak postępowała tak, a nie inaczej i wolałby, żeby z jego winy nie zmieniała przyzwyczajień.

W recepcji nawet potwierdził wizytę Stewiego w następnym tygodniu. Potem wyszedł z przychodni, wyłączył dyktafon i pojechał do domu.



DeAnne wieczorem przesłucha całe nagranie i powątpiewał, czy Stevie kiedykolwiek wróci do gabinetu dr Weeks.

DeAnne przeżyła męczący ranek z Zapem. Nie można go było na tyle rozbudzić, by wypić choć kroplę mleka. Pielęgniarka wzięła od niej ściągnięte mleko i umieściła je w lodówce, by później nakarmić Jeremy'ego. To jednak w najmniejszym stopniu nie stłumiło jej niepokoju.

Kiedy zwierzyła się neonatologowi z obaw dotyczących nadmiernej senności dziecka, ten cierpliwie pokiwał głową i powiedział:

- Wie pani oczywiście, że trudno spodziewać się po dziecku zażywającym środki przeciwko drgawkom, że będzie takie komunikatywne, jak pani poprzednie dzieci. Ale dopóki nie dowiemy się, co jest przyczyną tej aktywności, wstrzymanie podawania leków byłoby z naszej strony brakiem odpowiedzialności. Drgawki mogą doprowadzić do poważnego uszkodzenia mózgu, a nawet śmierci.

- A czy za dużo fenobarbitalu nie spowoduje też jakichś problemów?

- Mogłoby, gdyby dostał za dużą dawkę - odrzekł dr Torwaldson. - Ale nie dostaje. - I na tym się skończyło.

Lecz DeAnne nie mogła jakoś przegnać wszystkich trosk, które kłębiły jej się w głowie, tak więc kiedy dr Greenwald, pediatra, wpadł do niej, wyjaśniła całą sprawę od początku.

- Traci wagę, nieprawdaż? Szybciej niż normalnie. Czy to nie jedna z rzeczy, które nas niepokoją? A jeśli feno czyni go takim śpiącym, że nie chce jeść...

- Powiem pani coś - rzekł dr Greenwald. - Może byśmy tak zerknęli na oddział intensywnej opieki, gdzie mógłbym sprawdzić dawkowanie. Nigdy nie szkodzi sprawdzić dwa razy.

DeAnne i Vette podążyły za nim na oddział, gdzie przystawał i spoglądał na kilkoro dzieci, nim ostatecznie nadszedł czas na Jeremy'ego.

- Cześć, Zap - powiedział. Włożył dłoń we wbudowaną w boczną ściankę inkubatora rękawiczkę i zaczął pobieżnie badać dzidziusia, dotykając go tu i ówdzie, rozciągając ręce i nogi, podnosząc powieki.

- Niektóre dzieci umieszczone tutaj po prostu łamią mi serce - odezwała się Vette. - Są takie maleńkie albo takie... okaleczone.

- Ha - rzekł dr Greenwald. - Ale nie łamią mojego serca, gdyż akurat dzisiaj wszystkie moje dzieciaki tutaj czują się całkiem dobrze. Sądzę, że wszystkie przetrzymają. Szczególnie ten tu Zap. Wygląda bombowo.

DeAnne spostrzegła z rezygnacją, że każdy podchwytuje imię Zap, na przekór jej stanowczemu

obstawaniu przy Jeremym. Ale dopóki dr Greenwald mówił jej, że dziecko czuje się dobrze, DeAnne tak naprawdę nie troszczyła się, jak je nazywa.

- Jest raczej mało komunikatywny, no nie? - stwierdził lekarz.

- Jak szmaciana lalka - przyznała DeAnne.

Dr Greenwald spoglądał na wykres.

- Hmm. - Pokiwał głową. - Całkiem mocna dawka tego feno.

- Czy za duża, jak pan myśli?

- Nie - odparł. - To normalna doza.

- Och - rzekła DeAnne. - Po prostu myślałam... To chyba nie w porządku, że jest do tego stopnia śpiący, iż nie można go karmić.

- Nie, to nie jest w porządku. Prawdę mówiąc, ma w organizmie o wiele za dużo feno.

- Więc to nie jest normalna dawka?

- Fenobarbital to bardzo śmieszne lekarstwo. Każdy organizm zużywa go w inny sposób. Rzekłbym, że wygląda na to, iż organizm pani małego synka nie wypłukuje lekarstwa, jak to się dzieje u większości ludzi, tylko magazynuje. Dostaje normalną dawkę, która jednak odkłada się w środku.

- Czy można temu zaradzić?

- No cóż, nie jest to aż takie trudne. Po prostu ograniczymy dawkowanie, dopóki poziom lekarstwa we krwi nie będzie się mieścił w rozsądnych granicach. Ale to oznacza jeszcze kilka testów krwi.

- Czy muszą mu pobierać krew z głowy w ten sposób? - zapytała.

- Ach, nie podoba się pani jego uczesanie? Trochę punkowe, rzekłbym. Widzi pani, to noworodek. Jego żyły nie są szczególnie duże bądź łatwe do odnalezienia. Do diaska, mamy tu igły o większej średnicy niż jego palec.

- W porządku, wiem, że tak musi być, tylko to tak okropnie wygląda. Doktorze Greenwald, czy nie mógłby mnie pan poinformować, jaka jest jego aktualna dawka?

- A czy liczby coś pani powiedzą? - spytał dr Greenwald.

- Nie. Ale jeśli liczby do jutra się nie obniżą, to będzie to już dla mnie coś znacząco.

Wyszczrzył zęby.

- Jest pani uparta, co?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- To moje dziecko.

- Doktorze Greenwald - wtrąciła Vette. Znajdowała się przy jednym ze stojących obok inkubatorów. - Czy ta ciecz ma wykapywać z tej igły?

Greenwald natychmiast podszedł do inkubatora, który wskazywała Vette.

- Nie jest to żadne z moich dzieci, lecz twierdziłbym, że to nie wygląda jak należy. Niedawno się zaczęło, na pościeli nie ma jeszcze nawet śladu. Dana! - zawołał.

Jedna z pielęgniarek momentalnie podeszła.

- Zerknij na to, a ja tymczasem zadzwonię do dr Vont.

Pielęgniarka o imieniu Dana zrobiła dwa kroki i natychmiast potrząsnęła głową.

- Znowu byłaś niegrzeczną dziewczynką, Marisha? Wyciągasz igły? Będziemy musieli przypiąć następną. - Spojrzała na Vette. - Dziękuję, że zwróciła pani na to uwagę. Sprawdzamy każde dziecko co pięć minut, oprócz czuwania non stop przy monitorach, lecz liczy się każda sekunda. Ta tutaj jest taka mała, że bardzo ciężko nam odnaleźć żyłę, prawda, Marisha? A kiedy wykonuje jakiś gwałtowny ruch, igła wypada.

- Jest taka mikroskopijna - powiedziała Vette.

- Tak - odparła Dana. - Najprawdopodobniej ją stracimy. Jej stan się nie poprawia, a czasem nawet nieznacznie pogarsza.

- Biedni ci jej rodzice - powiedziała DeAnne, myśląc o bólu, jaki poczułaby, gdyby ktoś właśnie powiedział to samo o Jeremym.

- No nie wiem - rzekła Dana. - Jeśli Marisha przeżyje, jej mózg będzie poważnie uszkodzony. Cóż z takiego życia? Czasem Bóg jest miłosierny i pozwala im wrócić do domu, nie posyłając na ten padół łez.

Dokładnie w tym momencie Step wszedł na oddział.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Sądziłem, że cię tu jeszcze zastanę.

- Czy Mary Anne ciągle jest z dziećmi? - zapytała DeAnne.

- Kiedy przyjechałem do domu, spotkałem jej męża, który zaofiarował się przyjść i wesprzeć Zapa błogosławieństwem.

Spostrzegła teraz, że Harv Lowe przechodzi z bo jaźnią między inkubatorami.

- To muszą być jakieś twarde dzieciaki - powiedział Harv - jeśli trzeba wpychać im te wszystkie igły, by je uspokoić.

Dana roześmiała się.

- Och, to są te najtwardsze.

Step zwrócił się do pielęgniarki:

- Czy trzeba używać tych rękawiczek w przypadku Zapa? Nie jest przecież chory zakaźnie czy coś takiego, ma też właściwą wagę. Nie żądamy stanowczo, by pozwolono nam go dotykać gołymi rękoma, ale tak byłoby lepiej.

- Jeżeli chce pan otworzyć to pudło, musi pan wpięrcw uzgodnić to z doktorem Torwaldsonem - poinformowała go Dana.

W tej chwili powrócił dr Greenwald z dr Vont, która natychmiast przystąpiła do wydawania poleceń i zajmowania się Marisha. Okazało się, że prócz luźnej igły więcej rzeczy należy poprawić, dlatego cały personel medyczny pochłonięty był swoją pracą. DeAnne nie narzekała na czekanie. Jeśli chodzi o Jeremy'ego, nikt się nie śpieszył, co dobrze wróżyło.

W kilka chwil potem zjawił się dr Torwaldson, wtedy dr Greenwald wycofał się i podszedł do Fletcherów.

- Nie moje dziecko - powiedział - a ja nie jestem neonatologiem, więc stanowią o jedną parę rąk za dużo, odkąd Tor się pojawił.

- Czy wyjdzie z tego? - zapytała Vette. - Ta malutka?

- Nie wygląda mi na to - odparł dr Greenwald. - Lecz czasem cię zaskakują. Czasem naprawdę chcą żyć.

- Sądzi pan, że one naprawdę mają pragnienia? Takie maluchy?

- To zależy - rzekł dr Greenwald. - Od tego, czy się wierzy, że mają duszę, czy nie. Ja przypadkiem wierzę, że mają, że dusza może mieć pragnienia, choć ciało nie dorosło jeszcze, by zamieniać je w słowa. Widziałem dzieci trzymające się życia z całych sił, gdy inne po prostu poddawały się i odchodziły. Nie rozmawiają o tym, lecz ja to tak odczuwam.

- Czy to właśnie robi Jeremy? Odchodzi?

- Może poczekajmy z odpowiedzią - zaproponował dr Greenwald - dopóki nie zobaczymy, jak się będzie czuł po odzyskaniu przytomności?

- Doktorze Greenwald - rzekł Step. - Sądzę, że pan zrozumie - chcemy pobłogosławić naszego syna,

dlatego musimy położyć na nim nasze ręce. Także chcemy namaścić go pojedynczą kroplą czystej oliwy, na czole lub ciemieniu. Czy jest to dozwolone?

Dr Greenwald popatrzył na Torwaldsona.

- Och, nie widzę przeciwwskazań. Zap to naprawdę morowy chłopczyk. W porównaniu z innymi tutaj to wykapany Larry Holmes.

Dr Greenwald otworzył inkubator i Harv wyciągnął olejek, kroplą namaścił czoło dziecka, odmawiając towarzyszącą temu obrzędowi krótką modlitwę. DeAnne zauważyła, że dr Greenwald przypatruje się temu, z szacunkiem chyląc głowę. Wówczas obaj ze Stepem dotknęli delikatnie ciała dziecka i Step dopełnił namaszczenia dłuższą modlitwą, dostosowaną zawsze do potrzeb osoby przyjmującej namaszczenie i zgodną z tym, co Step w danym momencie czuł.

Dopiero dwa miesiące temu, pomyślała DeAnne, Step konfirmował Steviego, a teraz swemu najmłodszemu dziecku daje całkowicie odmienne błogosławieństwo. Dobrze się czuła wiedząc, że mąż jest do tego zdolny, jest zdolny wezwać potęgi niebieskie, by przysły na pomoc dziecku. Mogę mu dać mleko z mego ciała, żywiłam go wewnątrz siebie przez dziewięć miesięcy, a Step nie mógł mieć w tym swego udziału. Lecz on może naszemu dziecku dać to.

Błogosławieństwo zdawało się DeAnne potężne, kiedy je wymawiał; kiedy jednak było już po wszystkim, uświadomiła sobie, że Step nie wspomniał nic o leczeniu. Błogosławił jedynie Jeremy'ego, by lekarze zdali sobie sprawę z własnych ograniczeń i nie mylili się co do niego, i żeby wkrótce był w domu z matką, ojcem, siostrą i braćmi.

Dr Greenwald potrząsnął dłonią Stepa, kiedy ten zatrzasnął inkubator.

- Jest pan pastorem? - zapytał.

- Nie - odparł Step. - Jestem programistą komputerowym. Harv zaś jest księgowym.

- No cóż - rzekł dr Greenwald. - Miło było popatrzeć na ojca, jak to robi własnemu synowi. Pierwszy raz widzę coś takiego.

Od pobliskiego inkubatora, gdzie zebrali się pozostali lekarze, dobiegł głos, cichy, lecz wyraźny.

- Odeszła.

Po chwili lekarze zaczęli się rozchodzić. DeAnne usłyszała, jak dr Vont mruczy:

- Zadzwoń do jej rodziców.

DeAnne objęła matkę, która zdawała się wstrząśnięta tym faktem. Zauważyła prócz tego, że dr Greenwald wyciągnął chusteczkę i przeczyścił okulary, po czym dodatkowo przetarł oczy.

- Nigdy do tego nie przywyknę - powiedział. - Nawet jeśli nie należą do mnie. Nie lubię, gdy je tracimy. - Nagle zebrał się w sobie. - Może byśmy tak wyszli z oddziału? Nie musimy uczestniczyć w

tym, co teraz nastąpi.

Wyprowadzając ich na korytarz, dr Greenwald pocieszał:

- Wasz chłopczyk nie sprawia wrażenia, jakby groziło mu obecnie jakieś niebezpieczeństwo, a co do letargu, no cóż, porozmawiam po południu z Torem. Dostrzeżecie poprawę, obiecuję, gdy tylko dobierzemy odpowiednie dla jego organizmu dawkowanie. Miło było pana spotkać, panie Fletcher, pani...

- Brown - powiedziała Vette.

- Miło było pana spotkać - rzekł Harv, ściskając jego dłoń. Greenwald odszedł.

- Czuję się lżej, gdy Zap znajduje się pod jego opieką - oświadczył Step. - To pomaga, że on naprawdę kocha te dzieci. I że on... No wiecie. Traktuje nas poważnie.

- Dzięki za pomoc - DeAnne zwróciła się do Harva.

- Mam pewien pomysł - odezwała się Vette. Ton jej głosu poweselał nagle, oddalając przygnębienie, jakie opanowało ją na oddziale intensywnej opieki. Taki już miała dar, wyczuwała właściwy moment, by odmienić nastrój ludzi, by postawić ich znowu na nogi.

- Poproszę Harva, by odwiózł mnie do domu, a wy dwoje wróćcie drugim samochodem.

- Nie ma sprawy - rzekł Harv.

- Dzięki - powiedział Step. - Muszę porozmawiać z DeAnne.

- Jeden warunek - zaznaczyła Vette. - Mnie przypadnie renault. Klimatyzacja, wiecie.

- Pootwieramy w datsunie okna - oznajmił Step. - Będzie nam tak samo gorąco, ale nasz pot pomoże w podlewaniu trawników po obu stronach drogi.

Kiedy tylko znaleźli się sami w datsunie, DeAnne zapytała o błogosławieństwo.

- Nie mogłeś pobłogosławić go, żeby został uleczony?

- Myślisz, że nie chciałem? - odparł Step. - Myślisz, że nie zamierzałem tego zrobić?

- Tamtego dnia byłeś tak fatalistycznie nastawiony - powiedziała DeAnne. - To znaczy wczoraj. Czy tylko wczoraj? Sądziłam, że może już go skreśliłeś.

- Usiłowałem powiedzieć coś o Zapie, który by wyzdrowiał i cieszył się idealnie zdrowym ciałem, ale nie mogłem. Może z mojej strony to brak wiary, a może powiedziano mi, bym nie błogosławił go w taki sposób. Tak czy inaczej, co mogłem zrobić? Powiedziałem, co byłem w stanie powiedzieć.

- No dobrze - rzekła DeAnne - jak poszło z panią Weeks?

- Najpierw powiedz mi, jak się czujesz. Ból ciągle dokucza?

- Do tego trochę krwawiłam. Muszę więcej leżeć.

- A ja cię wiozę tym rzęchem, trzęsącym się jak galareta.

- Chodzi o to jeżdżenie do szpitala tam i z powrotem.

- Zatem mówisz, że powinnaś była zostać?

- Ja nie umieram, Step. Po prostu boli mnie i trochę krwawię. Opowiedz mi o dr Weeks. Czy pokłóciliście się?

- Tylko przesłuchaj taśmę. - Wyciągnął z kieszeni dyktafon, włożył go do magnetofonu i wcisnął „play”.

Przez pierwszą chwilę, słuchając rozmowy w biurze dr Weeks, DeAnne chciała krzyknąć, żeby przestał, że robi wszystko na opak, rozmyślnie prowokując lekarkę. Wówczas jednak zdała sobie sprawę, że jest całkiem opanowany. A dr Weeks naprawdę nie chce udzielić mu jakichkolwiek informacji. Dlatego fakt, że zdołał wydusić z niej prawdopodobną diagnozę, jest być może sporym osiągnięciem, jak też to, że słuchał cierpliwie, co pozwoliło dr Weeks ostatecznie wyjaśnić, na czym polega zaburzenie przystosowawcze. Dokładnie pasowało to do stanu, w jakim obecnie znajdował się Stevie.

- Mogę to zrobić - powiedziała DeAnne. - Napisać do przyjaciół w Indianie. Szkoła może udostępnić mi adresy rodziców albo przekazać im moje listy.

Step wcisnął „stop”.

- Ona nie wierzy w tę diagnozę - powiedział. - I nie takimi środkami pragnie leczyć chłopca. - Po tym stwierdzeniu wcisnął na powrót „play”.

Resztę taśmy przesłuchała bez komentarza.

- Cóż, Step - powiedziała na koniec. - Nie mogę uwierzyć, że wychodząc, nie powiedziałaś jej niczego uszczypliwego.

- Nie miałem zamiaru palić za sobą mostów, na wypadek gdybyś chciała kontynuować terapię.

DeAnne była poruszona.

- Sądzisz, że powinniśmy?

- Nie wiedziałem, co ty pomyślisz - rzekł Step.

- Ależ wiedziałaś - zaprzeczyła DeAnne. - Wiedziałaś bardzo dobrze, co powiem na ten temat. Ona twierdzi, że niepoczytalny jest każdy, kto wyznaje religię - czyli większość ludzi na przestrzeni

wieków.

- Tak - przyznał Step. - Lecz może prawdziwa poczytalność nie istniała, dopóki nie pojawili się ludzie podobni do niej.
- Znamy wielu mormonów, Step. Lecz niewielu z nich histeryzuje, a jeszcze mniej jest szalonych.
- Jest przecież siostra LeSueur.
- Ona tylko knuje, nie jest szalona - odparła. - Jedynym prawdziwie szalonym mormonem, jakiego ostatnio poznałam, jest syn dr Weeks, ale winą za to ona nie może obarczać nas.
- Daj jej trochę czasu - zaproponował Step.
- Ponoszą mnie nerwy, kiedy odrzuca nasze wierzenia, jakby nawet nie zasługiwały na przemyślenie.
- Ona jest wierna rywalizującej religii - powiedział Step. - Jeśli nasza jest prawdziwa, wówczas jej jest trochę wypaczona.
- No dobrze, nasza jest prawdziwa - powiedziała.
- A jej trochę wypaczona.
- Jak mówiłeś już wcześniej.

Step wzruszył ramionami.

- Nie chodzi tu o to, co ci powiedziałem. Chodzi o Steviego. Możemy spróbować później z innym psychiatrą. Ale wątpię, czy ciągle powinien chodzić do psychiatry, który jest stanowczo przekonany, że jedyna droga do wyleczenia Steviego prowadzi poprzez wyleczenie nas z naszych iluzji. Nawet gdyby odniosła sukces, nie pomogłoby to Steviemu, gdyż to nie jest jego problem.
- Zgadzam się - powiedziała DeAnne.
- A więc skreślamy dr Weeks, okej?
- Okej.
- Tylko z uwagi na Lee powiemy jej, że zamierzamy odłożyć kurację na kilka miesięcy i że w tym czasie będziemy obserwować, czy nie następuje poprawa.
- Wspaniale - ucieszyła się DeAnne.

Radio nie było włączone bardzo głośno, lecz przypadkowo puszczali właśnie „Every Breath You Take”, co oboje zauważyli.

- Grają naszą piosenkę - powiedziała DeAnne.



- Dziwne rzeczy przydarzają nam się ostatnio - rzekł Step. - Czuję się przez to jakoś szczególnie.

- Problemy Jeremy'ego z pewnością spychają te sprawy na dalszy plan, no nie? - spytała DeAnne. - To znaczy trudno się ekscytować głupotą siostry LeSueur, kiedy widziało się własne dziecko pod szklanym kloszem. A ta anonimowa płyta...

- Wciąż mnie trapi - wtrącił Step.

- Mnie też - przyznała DeAnne. Położyła dłoń na nodze Stepa, czując, jak jego mięśnie prężą się i przesuwiają, gdy przenosi nogę z hamulca na gaz. - Step, dzięki, że złożyłeś wizytę dr Weeks. Nie wiem, czy zdołałabym przekonać ją do wyjawienia mi tych wszystkich hipotez. To oczywiste, że starała się nie dopuścić nas do informacji, co właściwie robi ze Steviem. Gdybyś nie naciskał, wciąż trwalibyśmy w ignorancji.

- Zrobiłem to tylko z jednego powodu: wiedziałem, że jesteś ze mną.

- Kocham cię, Step. - Ścisnęła go za nogę.

- Ja cię też kocham. Kochałbym cię jeszcze bardziej, gdybyś pamiętała, że mam łaskotki w nodze, a gdy przyciskasz ją tuż nad kolanem, mogę się poderwać i stracić panowanie nad samochodem.

Nacisnęła jego nogę jeszcze kilka razy z rzędu, lecz chociaż miał tam łaskotki, nauczył się już rozluźniać mięśnie brzucha i walczyć ze śmiechem - technika ta pozwoliła mu przetrwać dzieciństwo ze starszym bratem, który uwielbiał go łaskotać.

- Nie jest ci do śmiechu - zauważyła.

- Spróbuj ponownie, kiedy będziesz w stanie polechtać mnie na poważnie.

- Mam nadzieję, że już wkrótce - odpowiedziała.

- I ja mam taką nadzieję.

Kiedy przybyli do domu, znaleźli Steviego siedzącego na kanapie w pokoju dziennym, z miejsca oznajmili mu nowinę: nie wróci już do dr Weeks.

- Och, w porządku - odpowiedział. - I tak była trochę stuknięta.

- Jak to? - spytała DeAnne.

- Powiedziała, że Jezus przypomina Świętego Mikołaja - rzekł Stevie. - Tylko że każdy wie, że Święty Mikołaj to jedynie bajka.

- No wiesz - powiedział Step. - Ona wierzy, że Jezus to też tylko bajka.

- To dlatego, że nie słucha, kiedy do niej mówi - odparł Stevie.

- Myślę, że to prawda - rzekł Step. Zerknął na DeAnne, podchwycił jej spojrzenie. - Wyraźna dysocjacja - dodał z uśmiechem.

Potrząsnęła głową. Nie powinien żartować w ten sposób w obecności Stewiego - mógł łatwo wychwycić sens słów Step.

- Czy to znaczy, że wciąż mogę bawić się z moimi przyjaciółmi? - zapytał chłopiec.

DeAnne westchnęła. Jedną rzeczą było przeświadczenie, że dr Weeks po prostu daje upust swym poglądom, a drugą przypuszczenie, że skoro dr Weeks nie może pomóc, to Stevie już nie potrzebuje pomocy.

- Wolalabym, żebyś bawił się z bratem i siostrą - oznajmiła DeAnne.

- Ale kiedy nie będę z nimi się bawił, mogę pobawić się ze Scottym, Jackiem i resztą chłopaków? Bo doszedł nowy dzieciak.

DeAnne bez słowa wstała i wyszła z pokoju. Stevie obserwował w milczeniu, jak wychodzi.

- Rób, jak uważasz - powiedział Step. - Rób, co uważasz za stosowne. - Powiedziawszy to, podążył w ślad za DeAnne do sypialni, gdzie na dłuższą chwilę przytuliła się doń w milczeniu.

Po dwóch tygodniach na oddziale intensywnej opieki przywieźli Zapa do domu, z rachunkiem na ponad osiemnaście tysięcy dolarów i bez diagnozy. Nadszedł bowiem dzień, w którym Step i DeAnne stanęli przed doktorem przybyłym z Chapel Hill. Zalecał kilka sposobów postępowania i przepisywał medykamenty, których mogliby użyć w wypadku, gdyby stan Zapa spowodowany był przez to i tamto, aż Step mu przerwał:

- Nie sądzę, żebym chciał, aby mój syn był leczony na nie rozpoznaną chorobę.

Specjalista z Chapel Hill spojrzał nań zaskoczony; jego zachowanie uległo diametralnej zmianie; mówił teraz z szacunkiem, niemal przeproszał za uprzedni ton:

- Och, nie przypuszczałem, że jest pan lekarzem - powiedział. W jego głosie nie było ani śladu ironii i Step domyślił się, że specjalista tak naprawdę proponował środki, z którymi może by się wstrzymał, wiedząc, że Step i DeAnne są o wszystkim poinformowani. To im wystarczyło.

Szpital był bardzo wyrozumiały. Przyjęli dwa tysiące dolarów i obietnicę spłacenia przynajmniej połowy pozostałej sumy, gdy tylko Step otrzyma pieniądze od Agamemnona z tytułu zamieszczonej w kontrakcie klauzuli albo resztę należności za wersję Hacker Snacka do sześćdziesiątkiczwórki.

Wówczas przywieźli Zapa do domu, po czym rozpoczął się powolny proces odkrywania, co naprawdę dolega Zapowi i jak niewiele można na to poradzić.

Jedyną korzyścią, jaka wynikła z przedłużonego pobytu dziecka w szpitalu, była świadomość, jak

bardzo mogli polegać na ludziach z pierwszej gminy, którzy, uprzednio uważani za zwyczajnych znajomych, okazali się prawdziwymi przyjaciółmi. Wspomniała też o tym Vette. „Mieszkacie w dobrej gminie - powiedziała. - Naprawdę tu o was dbają”.

Gdyby tylko stan Stewiego mógł być przyczyną podobnego społecznego odzewu, pomyślała DeAnne. Gdyby mogli skupić się wokół Stewiego, pościć i modlić się za niego. Może powinni opowiedzieć ludziom, przez co przechodzi Stevie, w ten sposób mogliby pomóc chłopcu. Lecz nie. Istniało zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że w przypadku choroby umysłowej ludzie się złęką, zaczną unikać Stewiego, izolując go jeszcze bardziej, przez co staczałby się w szaleństwo coraz szybciej.

Czy moglibyśmy ich za to winić? - pomyślała DeAnne. Gdybym sama była matką normalnego chłopca i usłyszała, że mały chłopczyk z sąsiedztwa ma halucynacje dotyczące wymaganych przyjaciół, czy wtedy pozwoliłabym się im razem bawić? Czy miałabym tyle współczucia dla obcego dziecka, by ryzykować, że moje dziecko ucierpi w jakiś sposób przy wybuchu szaleństwa tamtego chłopca? Nie, rany umysłu były zbyt dziwne, zbyt niewidoczne, zbyt magiczne, aby mieć nadzieję na tolerancję i pomoc udzieloną nawet przez najlepszych ludzi.

To mnie przeraża, pomyślała DeAnne. Dlaczego miałabym oczekiwać od innych, by byli lepsi ode mnie?

Tak więc problem Stewiego pozostał sprawą ich rodziny. Dopóki artykuł w gazecie nie zwrócił ich spojrzenia na inne tory.

## **Rozdział dwunasty**

### **Przyjaciele**

Oto nagłówek z pierwszej strony wydawanego w Steuben „Times Journal”, jaki ukazał się w niedzielnym wydaniu, 21 sierpnia 1983 roku: SERYJNY MORDERCA W STEUBEN? Ów nagłówek strachem napełnił serca wszystkich rodziców w mieście, gdyż gazeta nie była brukowcem, a artykuł nieodpowiedzialną, wyssaną z palca historią. Szef policji sformował oddział specjalny, w którego skład wchodziło biuro szeryfa okręgowego, współpracujące ze Stanowym Biurem Śledczym w

Karolinie Północnej. Korzystano też z pomocy ekspertów od seryjnych morderców, szczególnie z tych wyspecjalizowanych w porwaniach i zabójstwach małych chłopców.

Od kilku miesięcy policja zajmowała się niewyjaśnionymi zniknięciami małych chłopców na obszarze Steuben, przypadkami, kiedy nigdy nie znajdowano ciał i nie narzucał się żaden motyw, dla którego dziecko mogłoby uciec, nawet po najbardziej bezlitosnym ataku oszalałych rodziców. Na dodatek we wszystkich tych zniknięciach dało się dostrzec pewien schemat. Żaden precyzyjny wzorzec, na przykład znikanie pewnego dnia każdego miesiąca czy coś równie wyraźnego. Po prostu odstęp dwóch miesięcy albo trzech między zniknięciami.

Po raz pierwszy nazwiska wszystkich chłopców, będących przypuszczalnymi ofiarami seryjnego mordercy, wyszczególniono w spisie. Ich zdjęcia widniały nad zakładką na pierwszej stronie. Było ich siedmiu; zaczęli znikać w maju 1982 roku; zniknięcia stopniowo stawały się częstsze.

Był to główny artykuł. Właściwie na pierwszej stronie nie było żadnych innych artykułów, z wyjątkiem notki dotyczącej prowadzącego śledztwo detektywa Douga Douglasa, będącego dość barwną postacią w latach sześćdziesiątych, kiedy podczas zamieszek na tle praw obywatelskich ślubował, że każdy, kto naruszy miejskie rozporządzenie, zostanie aresztowany i umieszczony w więzieniu w Steuben. A nikt, kto znajdzie się w więzieniu, nie opuści go w takim samym stanie, w jakim był w czasie aresztowania. Niektórzy w tamtych dniach pomrukiwali, że to pozwoli czarnuchom myśleć, iż mogą w Steuben robić, co im się żywnie podoba, lecz w rezultacie zamieszki rasowe ustały bardzo szybko, zastąpiono je natomiast dialogiem i kompromisem. Douglas był wówczas szefem policji, najmłodszym w historii Steuben. Wiele lat później burmistrz, którego wybrano w czasie czystki, jaka nastąpiła po wyborze Reagana na prezydenta w 1980 roku, zdegradował Douglasa do funkcji szefa detektywów, a niektórzy mówili, że to długo oczekiwana zapłata za jego bezstronność w latach sześćdziesiątych. Lecz zamiast podawać się do dymisji albo nawet wnosić skargi, Douglas po prostu odwał swoją robotę. Artykuł miał na celu zapewnić miasto, że jeden z najwybitniejszych w Steuben ludzi zajął się tą sprawą. Drugim celem było zapewnienie czarnej społeczności, że chociaż wszystkie ofiary są białymi chłopcami, w śledztwie nie pojawiają się rasistowskie podteksty, a czarnych nie będzie się dręczyć.

Lecz Fletcherowie nie zobaczyli w niedzielny poranek tego artykułu, gdyż nie mieli czasu nawet zerknąć na gazetę, ponieważ w pośpiechu szykowali się do kościoła. Ta niedziela była ostatnia przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Zeszłego dnia tak byli zajęci kupnem nowych ubrań szkolnych dla Steviego i Robbiego, który w tym roku szedł do przedszkola, że zapomnieli zrobić pranie i cały ranek spędzili na wyciąganiu z koszów na brudy ciuchów zdalnych jeszcze do noszenia i prasowaniu ich, by wyglądały schludnie w kościele.

Chłopcy byli ubrani; DeAnne rozczesywała włosy Betsy; Stepowi przydzielono zmienienie Zapowi pieluszki i wyszykowanie go do kościoła.

Zap sprawiał kłopoty jedynie wtedy, gdy zmieniało mu się pieluszkę. Zwykle spał, ale nawet rozbudzony raczej nie narzekał na karmienie czy ubieranie. Step niemal pragnął, żeby było inaczej, co by świadczyło o pewnym wigorze, pewnej świadomości świata, ale ten nawet płakał rzadko. A kiedy ojciec ruszał jego ciałem, nie wyczuwał żadnego zaczątku mięśni, żadnej sztywności. Od czasu do czasu podrygiwał zabawnie, lecz przeważnie jego ręce i nogi były luźne i sprężyste. Jakby nie dbał

bardzo, co robią jego kończyny. W rzeczywistości nogi Zapa przejawiały ochotę do przybierania żabiej pozycji, kolana daleko od siebie, stopy podkurczone aż po same pośladki. Oznaczało to, że z chwilą zmiany pieluszki jego pięty zahaczały o zawartość w pieluszcze. To z przewijania czyniło prawdziwe wyzwanie. Step zwykł rozciągać nogi Zapa daleko i prosto, masując uda i łydki, mówiąc: „Oto mój chłopiec, widzisz, jaki jesteś wysoki, kiedy cię rozciągnąć? Rozciągnij no te nogi, dryblasku”. Niewiele to jednak pomagało. Kiedy pieluszkę ściągnięto, pięty powracały na powrót do ulubionej pozycji, przez co miało się wrażenie, że do przewinięcia Zapa potrzebne są trzy ręce. Trzy ręce albo dodatkowe ścierki, by przetrzeć jego stopki.

W każdym razie Step nabierał pewnej zręczności w przewijaniu dziecka, które uważało się za żabę; już po chwili wynurzył się z sypialni z Zapem leżącym twarzą w dół na jego przedramieniu, z głową wciśniętą w dłoń, dyndającymi nogami - jak u żaby - obejmującymi bicepsy Step. Lubiał w ten sposób nosić dzieci, kiedy te były jeszcze bardzo małe. DeAnne początkowo napawała to przerażeniem, gdyż Step przypominał jej wtedy futbolistę biegnącego z piłką, lecz szybko oboje zauważyli, że gdy nosi rozplakane dziecko w tej pozycji, płacz szybko milknie, przynajmniej na chwilę.

Step wnioskował z pisku w kuchni, że Betsy wciąż jest czesana. Stał w milczeniu w drzwiach do pokoju dziennego, obserwując, jak Robbie roztrzaskuje kilka samochodzików, a Stevie gra na komputerze.

A wcale nie wyglądało na to, żeby Stevie grał w jakąś grę. Z miejsca, w którym się znajdował, Step nie mógł dojrzeć ekranu, lecz widział dłonie Steviego, spoczywające na joysticku, którego prawie nie używał. No, może sporadycznie odchyłał się to w lewo, to w prawo, lecz większość czasu po prostu wpatrywał się w ekran, a jego twarz była niczym z marmuru.

- Zrób to, Sandy - szeptał. - No dalej, teraz, teraz. No właśnie! - A po chwili: - Nie, Van, nie tak, bo cię dorwie, chcesz, żeby cię dorwał? Będziesz dla niego za szybki, jeśli pobiegiesz.

Jak zwykle Stevie nazywał bohaterów swych komputerowych gier tak samo jak wymagowanych przyjaciół. Ale co to była za gra, gdzie najwidoczniej coś zajmującego działo się na ekranie, a gracz nie miał co robić? Nie mogła być zbyt zabawna przy tak niewielkiej kontroli ze strony gracza, kiedy potrzebny był ledwie jeden ruch joystickiem na minutę. Mimo to Stevie zdawał się kompletnie pochłonięty. Step musiał zobaczyć ekran.

Wszedł do pokoju, zaszedł Steviego od tyłu i popatrzył na monitor. Znowu ta gra ze statkiem piratów, pomyślał. Nigdy nie trafiłem na tę dyskietkę.

- Cześć, tato, patrz, jak rozwalam tych facetów! - odezwał się Robbie.

Step zerknął w dół na Robbiego i obserwował, jak zderzają się dwa samochody, jako że Robbie dawał efektowny pokaz, w którym auta, przeleciawszy w powietrzu, rozbijały się o półki z książkami i odbijały później od wszystkiego w pobliżu.

- Wystarczy, wystarczy - rzekł Step. - Przez ciebie nie zechcę już wsiąść do samochodu! - Robbie śmiał się wniebogłose.

Step popatrzył z powrotem na ekran komputera, lecz ten był pusty. Stevie wyłączył komputer i wstawał z krzesła.

- Dlaczego wyłączyłeś? - zapytał Step.

- Pora do kościoła, no nie?

- Najwyższa! - krzyknęła DeAnne z sąsiedniego pokoju. - Miło by było, gdybyśmy choć raz się nie spóźnili i nie musieli paradować między rzędami ławek, niczym laureaci konkursu piękności podczas hymnu otwarcia.

Step pomógł dzieciakom zapakować się do samochodu i zapiął Zapa na przednim siedzeniu, podczas gdy DeAnne uporała się z przypięciem Robbiego i Betsy jednym pasem pośrodku tylnego siedzenia, tak by wraz ze Steviem mogła wepchnąć się obok i użyć pasów bocznych.

- To nie ulega wątpliwości - powiedziała DeAnne. - Powinniśmy zacząć zabierać dwa samochody do kościoła.

- Przecież jakoś sobie radzimy - rzekł Step.

- Szkoda, że nie siedzisz z tyłu - odparła DeAnne.

Step natychmiast wysiadł z samochodu i okrążywszy go, otworzył drzwi DeAnne.

- Och, Step, nie rób sceny tylko dlatego, że...

- Nie robię żadnej sceny - ty ją robisz, kochanie. Proszę, pozwól mi tu usiąść z dzieciarnią, a sama poprowadź. Może dzięki temu przychylę się do pomysłu, by brać do kościoła dwa samochody.

- Step, naprawdę nie czuję się jeszcze tak dobrze, by prowadzić. Nie upłynął nawet miesiąc.

- Sądziłem, że czujesz się już lepiej.

- Zazwyczaj. Prowadź. Nie powinnam była narzekać, teraz się przez to spóźnimy.

- Przykro mi - odparł Step. - Chciałem być tylko uprzejmy.

Mimo to nie spóźnili się i mieli dobrą ławkę z boku. Step śpiewał solo w chórze, a Robbie wygłaszał mowę w szkółce, dlatego była to dla nich pracowita niedziela. Kiedy wrócili do domu, dzieciaki domagały się jedzenia i Step przyrządzał obiad, podczas gdy DeAnne karmiła niemowlaka, co stanowiło dla niej potworne przeżycie, jako że Zap miał zwyczaj od czasu do czasu zwierać szczęki, odgryzając niemal sutek, a przynajmniej mówiła, że tak się wtedy czuje.

- Sądzę, że powinnaś przejść na mieszankę - zasugerował Step. - Następny dzieciak może cię odtrącić, jeśli Zapowi uda się odpiłować końcówkę węża strażackiego.

- Czasami daję mu mieszankę, ale to jest na pewno dla niego lepsze i bardziej mu smakuje - rzekła

DeAnne. - Zahartuję się.

- Mmm - mruknął Step. - Stwardnienia i obrzęki - bardzo sexy.

- Jeśli nie oduczy się tego, kiedy wyjdą mu ząbki, Step, odstawię go od piersi - kategorycznie, mówię ci.

Jeśli nie oduczy się tego. Jeśli się nauczy. Jeśli się zmieni. Jeśli zacznie sypiać zgodnie z jakimś rozsądnym harmonogramem, zamiast spać osiemnaście godzin, by później nie zamykać oczu przez dwadzieścia cztery. Jeśli ktoś wykombinuje, co znaczą te wszystkie sondy, próbki i pomiary, jakie wykonano w szpitalu. Jeśli ktoś nazwie to, co dolega Zapowi, byśmy mogli zacząć go leczyć - albo zaprzestać wszelkich starań. Cokolwiek okaże się właściwe.

Dzieci wpadły i pochłonęły paszteciki z tuńczyka, które Step przygotował - przepis z ery kryzysu, na którym wychowała go matka. Dzieciaki chyba je lubiły, Robbie wtedy, gdy zezwolono mu je przykryć sześciuncjową warstwą keczupu.

Po posiłku dzieciaki ostatecznie udały się na drzemkę - albo by leżeć na łóżku, czytając, albo by wpatrywać się w sufit, jak w przypadku Steviego - a DeAnne wyszła przed dom, skąd powróciła z gazetą. Tymczasem Step usiadł i zaczął przebierać między dyskami porzucanymi wokół Atari, starając się znaleźć coś, co mogło przypominać grę o piratach. Jednak jego uwagę zaprzętnęła dyskietka z Lode Runnerem, którą natychmiast włożył do stacji i zaczął grać. Była to zgrabna gierka w trybie znakowym, w której ośmiopikselowa figurka gracza musiała biegać w kółko, zbierając wszystkie skarby na ekranie i uciekając jednocześnie przed czarnymi połykaczami. Sposób, w jaki skarby rozmieszczono w zmieniającym się krajobrazie, czynił z każdego poziomu nową układankę, przez co Step zapomniał o bożym świecie. To wspaniała gra, choć jest tak zwodniczo prosta. Żadnych dodatkowych gadżetów, których ja używam w Hacker Snacku. Po prostu ze wszystkich stron rzetelna koncepcja, pozwalająca rozwijać się wciąż na nowo. Muszę brać z tego przykład.

Uświadomił sobie, że DeAnne stoi za jego plecami.

- Step - powiedziała. - Musisz przyjść i przeczytać ten artykuł w gazecie.

- Za moment - odparł.

- Nie możesz zatrzymać gry? - zapytała.

- No, skoro się pali - poddał się. Sięgnął, by nacisnąć spację i przerwać grę, ale był zbyt wolny i jego bohater zginął.

- Och, przepraszam - powiedziała DeAnne. - Czy przeze mnie przegrałeś?

- Jeszcze mam osiem żyć - odparł Step. - Prawdziwie chrześcijańska gra. Mnóstwo szans na zmartwychwstanie. Lecz pędzę niczym lokomotywa, bo na końcu czeka mnie wniebowzięcie.

Nie uśmiechnęła się, nawet tym swoim ugrzecznionym uśmiechem, mówiącym: „Nie rozumiem, co w tym takiego śmiesznego, ale i tak cię kocham”. Udał się za nią do kuchni i usiadł przy stole. Od razu

jego uwagę przykuł nagłówek, przeczytał więc całą historię - szybko, nie pomijając jednak niczego. Nie przebrnąłby przez sto tysięcy hiszpańskojęzycznych gazet w czasie zbierania materiałów do swej dysertacji, bez umiejętności błyskawicznego oddestylowania esencji z artykułu w prasie.

- To wstrząsająca rzecz - ocenił. - Wiem, że już uważasz na dzieci, zupełnie jak ja, lecz sądzę, że nie będziemy pozwalać im biegać choćby po podwórku za domem bez opieki.

- Absolutna racja - przytaknęła DeAnne. - Ale, Step, niczego nie zauważyłeś?

- Niby czego - zdziwił się.

- Pomyślisz, że zwariowałam.

- Być może - nie zaprzeczył. Lecz jego rubaszny ton był teraz nie na miejscu; rozpoznał po minie DeAnne, że jest naprawdę przestraszona. Bez wątpienia sądziła, że to, co obwieści teraz Stepowi, każe mu uznać ją za szaloną. - Wal śmiało.

- Miałam nadzieję, że sam się połapiesz. Spójrz na zdjęcia zaginionych chłopców, Step. A potem na nazwiska.

Spojrzał.

- Czy znamy ich rodziny albo coś w tym stylu? - Brzmiało to absurdalnie: gdyby ktoś z kręgu ich znajomych stracił dziecko, wiedzieliby o tym znacznie wcześniej.

DeAnne wyłożyła na blat stołu listę imion. Napisaną odręcznie. Step porównał ją z nazwiskami opisującymi zdjęcia, gdyż zdawało się, że tego właśnie oczekuje. Większość imion z gazety widniała na liście w identycznej bądź podobnej formie. Scott Wilson pasował do „Scotty’ego” z listy. „David” pasował do Davida Purdoma. „Roddy” musiał być Roddym Markerem. „Jack” mógł być zdrobnieniem od Jonathan Lee.

- Czy w artykule piszą, że ten Jonathan Lee przezywany jest Jack? - spytał Step.

- Nie - odparła DeAnne. - Mam nadzieję, że nie.

- W takim razie dlaczego napisałaś tę listę?

- Step, ja nie napisałam tej listy dzisiaj. Napisałam ją w czerwcu.

Step odczekał chwilę, aż to do niego dotrze. Wreszcie się połapał.

- To jest lista wymyślonych przyjaciół Steviego. Przypominam sobie Jacka i Scotty’ego.

- Jest już tego więcej - powiedziała. - Od tamtego czasu słyszałam inne imiona. Na pewno słyszałam, jak rozmawiał z Vanem i Peterem, i oto masz, spójrz!

Step spojrzał i okazało się, że zamieszczono w gazecie zdjęcia Vana Rosewooda i Petera Kemeny.



- Wielkie nieba - mruknął. - To naprawdę niesamowite.

- Nic więcej nie powiesz? - zapytała. - Po prostu niesamowite?

- Boję się jak cholera - odparł Step. - Lecz zazwyczaj wolisz, żebym się tak nie wyrażał. Co by ten seryjny morderca mógł mieć wspólnego z naszym synem?

- Nie wiem. Nic. Nie mógł.

- Może Stevie czyta gazetę i z niej podchwytuje nazwiska czy coś takiego?

- Lecz trzech chłopców znikło jeszcze przed naszym przyjazdem do Steuben. Nie mogliśmy dotąd nigdzie o tym czytać. Ten artykuł pierwszy zamieszcza kompletną listę zaginionych. Pomyśl o tym, Step. Stevie wpadł niemal na tę samą listę, którą opracowali detektywi, a nie widzę sposobu, jak by miał tego dokonać. Żadnego sensownego sposobu.

Dłonie Stepa drżały, jakby zmarznięte. Było mu zimno.

- To prawie taka sama lista - powiedział. - Jeśli Jonathan naprawdę jest Jackiem, w takim razie ten ostatni, Alexander Booth...

- Nigdy nie wspominał o Alu bądź Aleksie - przerwała DeAnne.

- Ale rano, gdy obserwowałem go grającego na komputerze, usłyszałem coś jakby „No dalej, Sandy?”. Sandy to także zdrobnienie od Alexandra.

DeAnne ukryła twarz w dłoniach.

- Już sam artykuł mnie przeraził, Step. A tu jeszcze na dodatek to. Co mamy z tym robić?

- Nie wiem - odrzekł Step. - Nawet nie wiem, co to znaczy.

- Pamiętasz tę płytę, która przyszła pocztą? Tę anonimową? - zapytała DeAnne. - Piosenkę o tym, że cały czas ktoś będzie cię obserwował?

Już dawno o tym zapomniał. Wciąż puszczano ją w radiu, lecz wszystko, co zdarzyło się później, zepchnęło tamtą sprawę w cień. Teraz jednakże nabrała prawdziwie złowieszczonego posmaku.

- Naprawdę sądzisz...

- A jeśli ten... seryjny morderca...

- Ma na nas oko? - dokończył Step.

Przez moment wydawało się, że DeAnne straci kontrolę nad sobą, wydawała jakieś piskliwe okrzyki i kryła twarz w dłoniach. Nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z zaistniałą sytuacją; położył jej rękę na plecach, jakby chciał ją podtrzymać, jakby się przewracała, a on nie dawał jej upaść.

- Och, Step - wyszeptała. - Och, Step, jestem taka przerażona. Kim on może być? A jeśli seryjny morderca... rozmawiał ze Steviem?
- To niemożliwe - zaprzeczył Step. - Sama czytałaś artykuł. Piszą, że ten seryjny morderca dlatego jest tak niebezpieczny, że nigdy nie pozostawia śladów. Nawet nie są pewni, czy istnieje jakiś seryjny morderca. Ponieważ nie odnaleziono ani jednego ciała. Tak właśnie ci chłopcy trafiają na listę - nie znaleziono ich ciał.
- Lecz może on... Nie, Stevie by nam powiedział.
- Możemy go zapytać. Czy ktoś już z nim rozmawiał?
- Nie. Jutro idzie do szkoły. Wszędzie będzie się mówić o seryjnym zabójcy. Będą ostrzegać wszystkie dzieci przed rozmawianiem z nieznajomymi. Połączmy to z nami, jeśli go wypytamy, czy ktoś z nim rozmawiał. Ma już dość kłopotów, po co jego rodzice mają go jeszcze mieszać w tę sprawę?
- Ale on już jest wmieszany - rzekł Step.
- Może być wmieszany. To wygląda na zbieg okoliczności.
- Van i Sandy nie są aż tak popularnymi imionami - zauważył Step.
- No dobrze, ale Sandy to nie Alexander, a Jack to nie Jonathan.
- Zatem cóż mamy robić? Zadzwoń na policję? O, tak, oficerze, mamy dla was ślad w sprawie seryjnego mordercy. Nasz syn, no wie pan, on miewa halucynacje na temat wymyślonych przyjaciół, a tak się składa, że mają te same imiona co zaginieni chłopcy. Co? Ach, nie ma pan czasu, by o tym mówić?
- Masz rację - zgodziła się DeAnne. - Pomyślą, że nam odbiło. - Zaczęła miętoszyć listę, jej zwykły nawyk, kiedy była zdenerwowana: zwijiała wówczas i darła papier, dopóki nie przypominał konfetti. Step przytrzymał jej dłoń.
- Nie rwij tej listy - napomniął. - Napisałaś ją, zanim ukazał się artykuł.
- Tak, ale nie mam na to żadnych świadków.
- Wysłałaś przecież kopię dr Weeks?
- Tak - przyznała. - Tak, to by udowodniło, że mieliśmy przynajmniej kilka imion wcześniej. Poza tym przysłano nam tę płytę.
- Sądzę, że sugerujesz, byśmy zadzwonili na policję.
- Do kogoś musimy zadzwonić. Musimy coś zrobić. Nie można odkryć istnienia jakiegoś ogniwa łączącego własnego syna z seryjnym mordercą i założyć ręce na plecach, mówiąc: ach, jakie to interesujące.

Step zerknął powtórnie do gazety.

- A więc jak myślisz, łatwo się skontaktować z tym Dougiem Douglasem?

Wkrótce się dowiedzieli. DeAnne odszukała numer telefonu komisariatu policji i Step zadzwonił. Poprosił na centrali, by połączono go z detektywem Douglasem.

- Jest nieobecny w niedziele, ale spróbuję go złapać.

Po krótkim oczekiwaniu mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Czy pan Douglas? - zapytał Step.

- Nie - odrzekł mężczyzna.

- Czy zastałem go w domu? Mogę z nim porozmawiać?

- A o co chodzi?

Step przykrył słuchawkę i szepnął do DeAnne:

- Zdaje się, że jest - następnie dodał do słuchawki: - Prawdopodobnie to nic ważnego. To coś, czego sami nie możemy pojąć. Lecz może on się w tym połapie.

- Czy może wyrażać się pan jaśniej? - poprosił mężczyzna.

- Chodzi o historię w porannej gazecie.

- Artykuł o seryjnym mordercy?

- Właśnie.

- Wyznaczono mnie, bym zbierał wszelkie raporty i informacje, zatem trafiliście na właściwego człowieka.

- Lecz my nie mamy zamiaru składać żadnego raportu. A to, co mamy, może nie okazać się informacją. Poza tym - pan wybaczy - nie mógłbym porozmawiać osobiście z panem Douglasem? To zajmie nie więcej niż dwie minuty, potem zostawię go w spokoju.

- Musi pan zrozumieć, tylko dzisiaj otrzymaliśmy ponad dwieście telefonów na ten temat i gdyby pan Douglas miał je wszystkie odbierać osobiście...

- W takim razie w porządku - przerwał Step. - Nie mamy zamiaru sprawiać kłopotu. Proszę mi tylko pozwolić zostawić moje nazwisko i numer telefonu, zadzwoni do mnie, kiedy znajdzie na to czas.

- Czy nie byłoby łatwiej zostawić u mnie informację?

Tak, byłoby, pomyślał Step. Lecz jesteś tam po to, żeby odnotowywać wszystkie dziwaczne telefony

oraz szczerze, lecz nie związane z tematem rozmowy i odsiewać je, przy czym z pewnością nasz telefon zakwalifikujesz do jednej z powyższych kategorii, tak więc nie potraktujesz nas poważnie. Nigdy nawet się nie dowiemy, czy imiona naprawdę pasują albo - co ważniejsze - czy myliliśmy się i możemy odetchnąć z ulgą.

- Nie - rzekł Step. - Oto mój numer. Niech pan go zapisze, jeśli pan zechce.

Mężczyzna zapisał go i odczytał na głos. Step pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- Ślepy zaułek, nie? - odezwała się DeAnne.

- Sam nie wiem - odparł Step. - Facet chciał, żebym powiedział jemu, ale nie miałem ochoty dołączyć do jego listy zbikowanych rozmówców. Mogę się założyć, że fakt, iż nie chciałem rozmawiać z nikim prócz Douglasa, albo umieszcza mnie na ich liście poważnych rozmówców, albo Douglas zadzwoni do mnie osobiście. W obu przypadkach ktoś z nami porozmawia.

Zadzwonił telefon.

DeAnne zaśmiała się nerwowo.

Step podniósł słuchawkę.

- Czy to Stephen Fletcher? - zapytał męski głos o miękkim akcencie.

- Tak - odparł Step.

- Tu Doug Douglas, departament policji w Steuben. Co pan chciał mi powiedzieć?

Step mruknął do DeAnne, że to on. Potem powiedział do Douglasa:

- Panie Douglas, to raczej zakrawa na wariactwo i możliwe, że skończymy na pańskiej liście niedorzecznych telefonów, lecz mamy tu coś, co musimy panu powiedzieć, bo spędzałoby nam to sen z powiek. Jeśli da mi pan dwie minuty, spróbuję wyjaśnić, o co mi chodzi, a potem może mnie pan nazwać świrem, a ja spokojnie odłożę słuchawkę.

- Masz dwie minuty, synu - rzekł Douglas - Do dzieła.

- Mamy tu listę, na której znajdują się cztery imiona. Jack, Scotty, David i Roddy.

- Mhm.

- Tę listę napisano na początku czerwca. Od tamtego czasu, jeszcze zanim ujrzeliśmy ten artykuł w gazecie, dodaliśmy do niej jeszcze trzy. Peter, Van i Sandy.

- Zatem twierdzi pan, że jest jasnowidzem? - zapytał Douglas. Zmęczenie w jego głosie powiedziało Stepowi, co detektyw myśli na temat parapsychologii.

- Nie - zaprzeczył Step. - Nic z tych rzeczy. Mamy te imiona od kogoś innego, zapisane w całkowicie odmiennym celu. Moją wypowiedź może potwierdzić osoba postronna. Ta sama lista jest w posiadaniu jednego z lekarzy w mieście, który otrzymał ją także z całkowicie niezwiązanego ze sprawą powodu.

- Mhm.

- Także w czerwcu przysłano nam pocztą płytę analogową, anonimowo, lecz z pieczęcią poczty w Steuben. Utwór, który gra grupa rockowa The Police, nosi tytuł „Every Breath You Take”. Zawiera kawałek o tym, że wykonawca piosenki wciąż kogoś obserwuje. Wywnioskowaliśmy, że ktoś chce nas nastraszyć lub za coś ukarać, nie sądziliśmy przy tym, by policja tym się zajęła, a gdyby już, to co by mogła poradzić? Więc nie donieśliśmy o tym. Lecz teraz, gdy ukazał się ten artykuł, uważamy, że może fakt, iż zanotowaliśmy te imiona, wiąże się jakoś z osobą, która wysłała nam płytę. A może ta osoba powiązana jest z seryjnym mordercą. Może więc...

- Jest pan trochę za sprytny w rozmowie ze mną, panie Fletcher. Ciągłe unika pan wyjaśnienia, dlaczego sporządzono tę listę.

- Nie próbuję niczego zatajać, chcę po prostu najpierw poinformować o rzeczach poważnych, zanim przejdę do części nieprawdopodobnej, nawet dla nas. To znaczy chcę, żeby potraktował pan to serio.

- Jak dotąd słucham uważnie, oczekuję też, że pan zacznie mówić poważnie.

- Tak. Czy może pan - może pan na początku powiedzieć, czy nasza lista się zgadza? To znaczy, czy Jonathan Lee przezywany był kiedykolwiek „Jack”? Czy Alexander Booth to inaczej „Sandy”?

- Panie Fletcher, jeszcze nie odłożyłem słuchawki. Czy to nie jest odpowiedź na pana pytanie?

- Tak, to prawda - Step wziął głęboki oddech. - Panie Douglas, tę listę napisała moja żona.

- Jest jasnowidzem?

- Nie, jest matką. Ja jestem ojcem. Drugą osobą, która otrzymała tę listę, jest psychiatra. Były psychiatra naszego syna. To nasz syn jest autorem tej listy.

Douglas wypuścił strumień powietrza prosto do słuchawki. Przyszło na myśl Stepowi, że najprawdopodobniej pali.

- No, no, to ciekawe. - Po tych słowach nastąpiła pauza, jakby Douglas namyślał się. Nareszcie przemówił. - Czy wasz syn z wami mieszka?

- Oczywiście - odpowiedział Step.

- Czy ma pracę? To znaczy, czy pracuje teraz, czy też wyszedł do pracy?

- Panie Douglas, nasz syn nigdzie nie pracuje i mieszka z nami. Na miłość boską.

- Panie Fletcher, ile lat ma pański syn?

- W czerwcu skończył osiem.

Po drugiej stronie łączy rozległ się głośny, skrzypiący dźwięk. Step pomyślał: wyprostował się na krześle, które skrzypi.

- Osiem lat?

- Tak, proszę pana.

- Jezu Chryste - powiedział Douglas.

- No właśnie.

- To znaczy, wspomniał pan o psychiatrze leczącym pańskiego syna i że syn sporządził tę listę - sądziłem, że w pańskiej opinii syn mógłby być seryjnym mordercą. Kurczę, kazałem już moim chłopcom sprawdzić pana adres i posłałem trzy wozy w stronę pana domu, a pan mi mówi, że to ośmioletni chłopiec?

- Tak! - powiedział Step. Skoczył na równe nogi, w czasie rozmowy zaczął spacerować nerwowo.

- Sam mam dopiero trzydzieści dwa lata, do kroćset! Niech pan tu nie wysyła gromady radiowozów, nigdzie nie wyjeżdżamy! Myślałem o swoim synu jako o prawdopodobnej ofierze, że może ten facet nas śledzi, naszego syna, próbuje nas zastraszyć albo nawet wrobić, a pan wysyła samochody policyjne, by go zaaresztować?

- Och, Step! - krzyknęła DeAnne. - To szaleństwo! Czy oni naprawdę...

Douglas znów zaczął mówić; Step podniósł rękę, uciszając DeAnne, by mógł słyszeć detektywa.

- ... Już je zawróciłem, bez obaw - Douglas zachichotał. - Widzi pan, łatwo się tu podniecamy. SBI chce nas odsunąć od śledztwa i czujemy coś, jakby oddech tygrysa na plecach. Ale nie martwcie się, już odwołałem ludzi. Mimo to chciałbym wpaść do was i pogadać. Czy to możliwe?

- Będziemy w domu całe popołudnie - rzekł Step.

- Dajcie mi więc jakieś trzydzieści minut.

DeAnne natychmiast zaczęła się martwić, co będzie, kiedy dzieciaki po przebudzeniu zobaczą policjanta w domu.

- To detektyw - powiedział Step. - Będzie w garniturze.

- A one będą w pokoju dziennym i nie ma sposobu, by zamknąć te drzwi, żeby nie słyszały.

- Zatem weźmiemy go do sypialni i zamkniemy drzwi.

- Z tym całym bałaganem, jaki tam panuje?

- Zarzuć więc na łóżko jakiś koc - zaproponował Step.

- Ciebie to rzeczywiście nie obchodzi, no nie?

- Naprawdę nie wierzę, by wygląd naszego pokoju liczył się choć tyle, co pierdnięcie wróbla w czasie huraganu, w porównaniu z tym, o czym się tu będzie dyskutować.

- To twoja filozofia. Moja brzmi tak, że nie chcę, by pomyślał, iż natknął się na kolejną upadłą rodzinę, która nie dba o to, w jakich warunkach żyje.

- Ale my naprawdę nie dbamy, bo w przeciwnym razie nasza sypialnia byłaby już posprzątana - rzekł Step żałośnie. Lecz podążył za nią do sypialni i przyłączył się do pośpiesznego porządkowania. Udało im się nawet rozłożyć dwa składane krzesła, kiedy rozległ się dzwonek. Upłynęło dopiero piętnaście minut.

- Może to nie on - powiedziała DeAnne.

Był to jednak Douglas, stał na werandzie i zapalał papierosa. Po wymianie zwyczajowych grzeczności, ale przed zaproszeniem go do środka, Step przełknął ślinę i powiedział:

- Proszę nam wybaczyć, ale w środku nie palimy.

Upłynęło kilka chwil, nim Douglas uzmysłowił sobie, że to naprawdę znaczy, iż ma na to jakoś zareagować.

- Twierdzicie zatem, że nie miewacie żadnych gości, którzy palą?

- Nawet nie mamy popielniczki - stwierdził Step. - Poza tym dopiero co urodziło nam się dziecko, a to oznacza, że po prostu nie możemy mieć dymu w mieszkaniu.

- A niech mnie! Przeciwnicy palenia w tytoniowym mieście. Mój ojciec całe życie pracował w fabryce papierosów. Do czego zmierza Karolina Północna?

- Gdy tylko ten się dopali - powiedział Step - będziemy zaszczyceni mogąc powitać pana u siebie.

Douglas zagwizdał, rzucił papierosa i rozdeptał go obcasem.

- Bez obrazy - rzekł.

- Nic się nie stało - odparł Step. - I vice versa, mam nadzieję.

Niezbyt szczęśliwy początek rozmowy, pomyślał Step. A skoro dzieci wciąż spały, a przynajmniej zachowywały się cicho, DeAnne usiadła naprzeciwko Douglasa w pokoju dziennym, podczas gdy Step poszedł zamknąć drzwi do sypialni dzieci. Kiedy wrócił, rozmowa toczyła się już najwyraźniej na właściwy temat, bo DeAnne pokazywała mu listę.

- No tak, ale wiecie, to mogło zostać napisane w każdej chwili - powiedział Douglas.
- Tak czy inaczej to żaden dowód - przyznał Step. - No bo z jakiej racji? Ale jeśli żąda pan potwierdzenia, swego czasu psychiatra Steviego, dr Alice Weeks, otrzymała kopię tej listy, którą DeAnne wręczyła jej w czerwcu. Poza tym ma własną listę pozostałych imion.
- Rozmyślnie wstrzymaliśmy się z wydrukowaniem zdrobnień - rzekł Douglas. - Postępujemy tak między innymi, by móc odróżniać błagę od autentycznej informacji. Na przykład ktoś „pamięta”, że widział ciągniętego gdzieś małego chłopca i słyszał głos go ponaglający „No dalej, Alex”, tyle tylko że my wiemy, iż gdyby zapytać małego Alexandra Bootha o imię, odpowiedziałby „Sandy”. Tak więc to blaga.
- Dlatego potraktował nas pan serio - powiedział Step.
- Jack rozstrzygnął - mówił Douglas. - Pańska żona opowiedziała mi, kiedy pana nie było, że to są imiona, którymi wasz syn ochrzcił swych wyimaginowanych przyjaciół.
- To prawda.
- Dość zadziwiające - pokiwał głową Douglas. - A na dodatek ta czterdziestkapiątka, ta płyta. Przesłana pocztą. „Every Breath You Take”.
- Niewiele myśleliśmy o tym później. Aż do tego artykułu.
- Nic dziwnego.
- Ale uważamy, że ta anonimowa przesyłka miała na celu wystraszenie nas.
- Och, co do tego nie ma dwóch zdań - rzekł Douglas. - Kłopot jedynie w tym, że to nam niewiele pomaga.
- Nie?
- Niemal na pewno nie dostaliście tej płyty od seryjnego mordercy.
- Och - odparł Step. - Chyba powinno nam ulżyć.
- Ale skąd ta pewność - zapytała DeAnne - skoro pan nie wie, kto jest tym zabójcą?
- Mamy profile psychologiczne. Niektórzy faceci próbują przekomarzać się z gliniarzami. Syn Sama, na przykład. Wyzywają nas. Chcą, by ich złapano. Lecz są też typy pokroju Teda Bundy’ego. Sprytni, wyrachowani. Wszystko, czego pragną, to nie dać się złapać. Bundy nigdy nie wysyłał listów do prasy. Nigdy nie ujawniał, jakie ma karty w talii. Na przykład sypiał z dziewczyną w tamtych czasach, kiedy mordował te kobiety, a ona nigdy się nie domyśliła. Wiedziała, że obrobił parę sklepów i podobne sprawy, lecz o zabójstwach nie miała pojęcia. Ten seryjny morderca - jeśli istnieje takowy, bo przecież nie możemy tego jeszcze dowieść - przypomina Bundy’ego. Jest sprytny i nie chce, by go złapano. Obawia się, by go nie przyskrzyniono, a uczucie strachu jest mu niemiłe. Nie



chodzi mu o dreszczyk emocji. Chodzi mu o... coś innego.

- O co? - zapytał Step.

- Nie jestem tu po to, by rozwodzić się na temat seryjnych morderców - odrzekł Douglas. - To by zrujnowało wasz sen na jakiś czas. Tak jak mój, do cholery. Przepraszam za słownictwo, droga pani.

- Zastanawia mnie tylko, skąd pan to wszystko o nim wie - powiedział Step.

- Stąd to wiemy, gdyż nie odnaleziono ciała. Ani śladu, ani motywu. Jeśli by należał do tych gadatliwych, po siedmiu zniknięciach już by się odezwał. Szczególnie po ukazaniu się tego artykułu. Dlatego właśnie postanowiliśmy poinformować o tym prasę - sądziliśmy, że to go wywabi z kryjówki. Lecz to ten drugi typ. Jeśli w ogóle istnieje. To typ nie znoszący, gdy uwaga społeczeństwa koncentruje się na nim. Zatem teraz, po wydrukowaniu tego artykułu, spodziewam się, że przywaruje na pewien czas. Uderzał co dwa miesiące, lecz zdaje mi się, że w tym roku już się nie odważy. To zależy...

- Od czego? - wpadł mu w słowo Step.

- Od tego, jak jest silne to coś, co każe mu zabijać.

- Nie cierpię tego - odezwała się DeAnne - ponieważ ma to coś wspólnego z moim synem.

- To nic pewnego - rzekł Douglas. - Chciałbym poznać waszego chłopaka, jeśli wolno.

- Nie chcę, żeby go przesłuchiowano - oświadczył Step od razu.

- O, nie. To nie w moim stylu. To chłopiec. Na dodatek prześladowają go kłopoty. Sam mam dzieci. Po prostu muszę... wychwycić jakiś sens w tym jego wymyślaniu imion, sami rozumiecie. A kiedy go poznam, poznam jego osobowość, szybciej będę wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

- Naprawdę, raczej nie - zaproponowała DeAnne. - Musielibyśmy powiedzieć mu, że jest pan policjantem, a wtedy on...

- Więc nie wzięlibyście pod uwagę pomysłu, by powiedzieć mu, że jestem wujkiem spoza miasta?

- On zna wszystkich swoich wujków - rzekł Step. - Poza tym nie jest głupi.

- Dlaczego mi nie zaufacie? - zapytał Douglas.

- Dlaczego nie może pan po prostu... zapoznać się z kopertą, w której przyszła płyta? Nadal ją mamy, prócz tego okładkę płyty. Można by zdjęć odciski palców czy coś takiego.

- Wiecie co? - spytał Douglas. - Jak wam się zdaje, kto mógł ją przysłać?

DeAnne i Step zawahali się.

- No cóż - rzekł Step. - To tylko spekulacje. Nie chcemy narobić kłopotów jakiejś niewinnej osobie.

- Widzicie? Już teraz chodzą wam po głowie pewni ludzie, którzy mogliby wysłać tę płytę. Macie dość osób na myśli, by sądzić, że większość z nich jest niewinna, lecz jedna prawdopodobnie wysłała płytę. Zgadza się?

- Lecz ten, kto to zrobił... - zaczął Step.

- Ten, kto to zrobił, nie jest seryjnym mordercą. To się samo rzuca w oczy. Jeżeli jest coś, czego się nauczyłem o seryjnych mordercach, to to, że nie zmieniają swego wzorca. Kiedy już go określą, nie zmieniają go. A nawet ci, którym się wydaje, że zmieniają go za każdym razem, zmieniają zaledwie głupie, nic nie znaczące detale. Wzorzec podstawowy pozostaje absolutnie taki sam, gdyż stanowi część rytuału, rozumiecie? Jeśli nie zrobiliby tego w ten sam sposób, nie dałoby im to... tego, co im daje. Ale sporządźcie listę znajomych, którzy mogliby wysłać wam wiadomość z pogrozkami. Nie będę ich wypytywał. Po prostu wykorzystam tę listę jako materiał porównawczy. Jeżeli wymienione osoby pojawią się na innych listach, które mamy, wtedy podejmiemy odpowiednie kroki, tak by sądziły, że przesłuchujemy jeż powodu umieszczenia na innej liście, nie na waszej. A jeśli ich nazwiska nie widnieją na żadnym innym wykazie, zostawimy je w spokoju. Czy uczciwie stawiam sprawę?

- Bez zarzutu - odparła DeAnne.

- A co do waszego nadawcy płyt, cóż, może pewnego dnia zostanie mordercą, lecz jeśli ciągle jest na etapie anonimowych gróźb, to daleka przed nim droga. Zło wciąż pełźnie w kierunku jego serca. Nie ogarnęło go jeszcze. Innymi słowy to wciąż cywilizowany człowiek. Może to zło trzymać w ryzach. Może kontrolować je aż do dnia śmierci. Nikt się nigdy nie dowie. Jego jedynym uczynkiem, najgorszym, jakiego się dopuścił, będzie wysłanie pocztą płyty analogowej z nagraniem The Police. Miejmy nadzieję, że tak to się właśnie potoczy. Tak zwykle się dzieje.

- Zwykle? To jest więcej płyt analogowych, które rozsyła się po domach?

- Mnóstwo anonimowych wiadomości. Więcej, niż można sobie wyobrazić. Powiedziałbym, że większość ludzi otrzymuje kilka w ciągu życia, a może też większość wysyła co nieco. Wypełnia cię taka wściekłość, chcesz skrzywdzić kogoś, tylko brakuje ci trochę nienawiści, by otruć lub podpalić dom. Wysyłasz zatem list. Wysypujesz śmieci na trawnik. Dzwonisz przez telefon, a kiedy go odbierają, odwieszasz słuchawkę - raz, drugi, trzeci, aż zaczynasz się obawiać, że być może telefon jest na podsłuchu i przestajesz. Czy już wcześniej otrzymaliście podobny dziwny telefon?

- Raz - odpowiedziała DeAnne.

- I ja też - dodał Step.

- Tak się dzieje zawsze. Nie ma na świecie dość policjantów, by zbadać każdą sprawę. A przeważnie chodzi o to, że ktoś jest na was zły. Może nawet najlepszy przyjaciel, tylko brak mu śmiałości na otwartą konfrontację, więc posyła wam płytę i ból mija, jak ręką odjął, i na tym sprawa się kończy.

- Co za ulga - zauważyła DeAnne.

- Bez przesady, powinniście odczuwać ulgę. Lecz prócz tego zawsze się upewnijcie, kto stoi za drzwiami, nim je uchylicie, i kto jest adresatem przesyłki, nim ją otworzycie. Ponieważ raz na dziesięć tysięcy razy facet nie żartuje.

- Jedną ręką pociechę daje - rzekł Step - a drugą ją zabiera.

- Cóż mogę powiedzieć? - zakończył wywód Douglas. - Umieram z braku papierosa, a tylko dlatego tu przyjechałem, by dowiedzieć się, skąd macie te imiona, a nie pozwalacie mi spotkać się z waszym synem.

- Sądziłem, że to pan nam powie, skąd chłopiec wytrzasnął imiona tych zaginionych - powiedział Step.

- Trudno, nie będę go wzywał oficjalnie. Ale to wam powiem, ludzie, że każdy chłopiec w mieście jest teraz w niebezpieczeństwie. Ten zabójca może przycząć się na jakiś czas, lecz wkrótce wróci i cokolwiek zrobi, piekielnie ciężko będzie go pochwycić. Ilu jeszcze zamorduje, nim powinie mu się noga? Mam nadzieję, że nie waszego, lecz na pewno czyjegoś zabije.

- Lecz Stevie nie może przecież wiedzieć... - zaczął Step.

- Co ma pan nadzieję wyciągnąć z niego? - spytała DeAnne.

- Na pewno nie nazwisko mordercy, spokojna głowa - odpowiedział Douglas. - W ogóle nic konkretnego. Po prostu chcę wyczuć, jaki on naprawdę jest. Jaką osobowość sobą przedstawia.

- To dobre dziecko - powiedział Step.

- Nie wątpię - odparł Douglas.

Step roześmiał się.

- Założę się, że wciąż słyszy pan to samo od rodziców dealerów narkotyków, gwałcicieli i przengewierców.

- To albo: „Zawsze mu mówiłam, że skończy w więzieniu”.

Step spojrział na DeAnne, ona - na niego.

- Skoro już tak daleko zaszliśmy - powiedziała.

- Pozwoliliśmy mu rozmawiać z żalonym łapiduchem - rzekł Step. - Przez dwa miesiące. Cóż pan Douglas może zrobić gorszego niż dr Weeks?

- Pójdę po niego - zaofiarowała się DeAnne.

Kiedy znikła, Step musiał zadać pytanie:

- Co tak na serio oni z tego mają? Faceci jak... ten, którego szukacie?

- Chorobliwa ciekawość? - Douglas podniósł brew.

- Tak - zgodził się Step. - Lecz ja jestem także historykiem. Studiuję ludzką naturę, a ten facet w jakiś sposób też jest ludzki, prawda?

- Nie - powiedział Douglas. - Faceci jego pokroju rodzą się ludzcy, lecz w ich wnętrzu znajduje się pusta przestrzeń, głodna przestrzeń, zaczynająca wysysać z nich człowieczeństwo, przyzwoitość, miłość i dobroć. A kiedy już znajdą się na tym samym poziomie, co poszukiwany przez nas zabójca, nic w nich nie pozostaje, prócz tej dziury. Dlatego facet spędza każdą godzinę, usiłując wypełnić tę dziurę, odnaleźć coś, co by zaspokoiło to pragnienie, ten głód, na próżno. Po prostu próbuje raz za razem, lecz zawsze czuje niedosyt. Jeśli facetowi zostało nieco przyzwoitości, rąbek człowieczeństwa ukryty gdzieś w cieniu, zostawi za sobą trop, postąpi jak Syn Sama i będzie drażnił się z policją, krzyczał o pomoc. Uwolnijcie mnie od tego głodu, co zżera mnie żywcem. Ale w najgorszym wypadku nie pozostaje nic. Jak u nas - nic.

- No tak, ale jeśli nie ma niczego, człowieczeństwa, w takim razie, czy ludzie z jego otoczenia niczego nie zauważą?

- Mogą zauważyć. Może być doskonałym sukinsynem, szczującym psy na każdego zbliżającego się do jego posiadłości. Lecz może być też najmiłszym, najnormalniej w świecie wyglądającym facetem. Tego się nigdy nie wie. To może być twój dentysta. Chłopiec pakujący zakupy w sklepie. Pastor. On każdego zwiedzie.

- Jak to? - zapytał Step. - Czy ludzie nie przejrzą jego kłamstw?

- Tylko że on nie kłamie - tłumaczył dalej Douglas. - Tu znów kłania się przykład Bundy'ego. On naprawdę wierzy w swoją niewinność. Ponieważ to nie on jest sprawcą, tylko zło w nim zakorzenione. Wie, że ono tam jest, lecz to nie on, dlatego nie ma nawet wyrzutów sumienia, gdyż zdaje sobie sprawę, że sam nigdy nie byłby autorem tych okropnych uczynków.

- Zatem to może być każdy i nawet sam o tym nie wie?

- No nie, sam to on wie. Mimo że wmawia sobie, że sam by tego nigdy nie zrobił, w gruncie rzeczy stara się ze wszystkich sił chronić w sobie tę drugą część. By nikt go nie mógł złapać. Nie, on wie. Gdyby nie wiedział, co robi, gdyby naprawdę był szalony, znaleźlibyśmy ciała.

Usłyszeli słowa DeAnne, kiedy zbliżała się do pokoju.

- To nic specjalnie ważnego - mówiła. - On po prostu chce z tobą porozmawiać.

Stevie wszedł do pokoju, wyglądał na zaspanego. Zatem ostatecznie uciął sobie drzemkę, pomyślał Step. Douglas, nie wstając, wyciągnął dłoń. Ponieważ siedział, jego twarz znajdowała się mniej więcej na tej samej wysokości co twarz Steviego.

- Jestem Doug Douglas, synku - powiedział. - Nie uściśniesz mi ręki?

Stevie zbliżył się, chwycił wielkie łapsko Douglasa i potrząsnął nim uroczyście.

- Nie wiem, co ci mama o mnie powiedziała, ale jestem policjantem.

Stevie zerknął na jego garnitur.

- To prawda, nie noszę munduru. Jestem detektywem, zatem jeśli twój tato przekroczy kiedykolwiek dozwoloną prędkość, nie mrugnę nawet okiem, ponieważ jeźdnia to nie moja działka.

Douglas przerwał, najwidoczniej oczekując od Stewiego pytania, jaka jest jego działka. Oczywiście Stevie nie otworzył ust.

- Chodzi o to - podjął Douglas - że ostatnio pojawiła się w Steuben zła osoba, porywająca dzieci. Czy wiesz, co to znaczy porwanie?

Stevie przytaknął skinieniem.

- Tak czy siak jutro wiele usłyszysz w szkole o tym facecie. W której jesteś klasie?

- Trzeciej.

- Tak, usłyszysz mnóstwo. Wasi nauczyciele wam powiedzą, gliniarze podobni do mnie przyjdą do szkoły i też wam powiedzą - trzymajcie się z dala od nieznajomych. Jeśli ktoś was schwyta, drzyjcie się na całe gardło.

- Już go tego nauczyliśmy - wtrąciła DeAnne. - On przestrzega tych reguł.

- Cóż, miło mi to słyszeć - powiedział Douglas. - Czy zawsze przestrzegasz tych reguł?

Stevie skinął głową.

- A gdyby tak ktoś chciał, żebyś poszedł z nim gdzieś, a na twoje „nie” tak by powiedział: „W porządku, ale nigdy nie mów nikomu, że cię prosiłem”. Co byś wtedy zrobił?

- Powiedziałbym mamie i tacie.

- A gdyby ci groził, że jeśli się wygadasz, skrzywdzi cię?

- I tak bym powiedział.

- Ten chłopiec jest nieźle wyszkolony - pochwalił Douglas. - Stevie, słyszałem, że masz kilku fajnych przyjaciół.

DeAnne stężała, a Step powiedział:

- Panie Douglas!

- No dobrze, dobrze, Stevie nie ma nic przeciwko rozmawianiu o swych przyjaciółach. A może się mylę, Stevie?

Stevie wzruszył ramionami. A właściwie jednym ramieniem.

- Przecież nie zamierzam pytać o nic trudnego. Chcę, żebyś powiedział mi tylko jedną rzecz. Który z nich powiedział ci ich imiona?

- Jack - odparł Stevie.

- Jack - powtórzył Douglas. - No dobrze, czy to jeden z twoich przyjaciół, czy masz na myśli jakiegoś innego Jacka?

- Jest jednym z nich.

- Tak więc powiedział ci, jak ma na imię.

Stevie kiwnął głową.

- I imiona pozostałych?

Stevie powtórnie kiwnął głową.

- Z wyjątkiem Sandy'ego.

- A kto ci wyjawił imię Sandy'ego?

- Sandy - odpowiedział chłopiec.

- Stevie, założę się, że kochasz mamusię i tatusia?

Stevie potrząsnął głową natychmiast, energicznie.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że przez jakąś chwilę rozmawiałem z nimi i oni cię też naprawdę kochają. Więcej, niż się domyślasz, a założę się, że już myślisz, że kochają cię bardzo mocno.

Stevie znów kiwnął głową.

- Tak bardzo cię kochają, że chcą, żebyś był zawsze bezpieczny. Czy możesz tyle dla nich zrobić? Czy możesz unikać zagrożeń? Przestrzegać reguł?

Stevie przytaknął.

- No, to by było tyle - rzekł Douglas. - Cieszę się, że cię poznałem, Stevie. A gdyby ktoś cię kiedyś niepokoił, powiedz mu po prostu, że Doug Douglas jest twoim przyjacielem i żeby lepiej był dla ciebie miły, zgoda?

Stevie przytaknął ponownie i na koniec powiedział:

- Dzięki.

- Czy możesz wrócić teraz do swego pokoju, Stevie? - poprosił go Step. - Chcemy tu jeszcze troszeczkę porozmawiać z panem Douglasem, okej?

Stevie wyszedł na korytarz. DeAnne wstała i podążyła za nim; kiedy po chwili wróciła, powiedziała:

- Musiałam się tylko upewnić, że wrócił do pokoju.

- No cóż - odezwał się Step. - Nie wiem, czego się pan mógł z tej rozmowy dowiedzieć.

- Ach, dowiedziałem się tego, czego chciałem się dowiedzieć.

- Czyli?

- Że wasz syn jest uczciwy - odpowiedział. - Jest słodki. Przesiąknięty słodyczą. Gdyby Bóg mógł go skosztować, tak by powiedział: ten chłopiec jest słodki na wskroś.

Step nie miał zamiaru polemizować z tą opinią, ale nie bardzo wiedział, jak Douglas mógł się tego dowiedzieć z banalnej pogadanki, jaką odbył ze Steviem.

- Przypomina mi zmarłą żonę - rzekł Douglas. - Miewała czasami koszmary, straszne koszmary. Budziła się pośrodku nocy i kazała mi siebie przytulić, a wtedy opowiadała sen. Potem wstawałem rano i udawałem się do pracy, czasami zaś dostawałem telefon jeszcze tej samej nocy: zawsze wtedy wychodziła na jaw jakaś zbrodnia, powiązana nieodmiennie z tym snem. - Douglas odchylił się do tyłu, wspominając. - Pewnego razu śniła o niebieskiej sukience, o tym, jak chciała ją włożyć, tylko że ta ciągle się zsuwała. Nie potrafiła jej włożyć na siebie, co ją przerażało; wiecie, jak to jest, kiedy śnicie - straszą was byle błahostki, na przykład niemożność włożenia sukienki. Przychodzę potem do pracy i zastaję kobietę, spisując właśnie jej zeznanie. Zgwałcono ją tej nocy, facet ścigał ją, trzykrotnie wyslizgiwała się z uścisku z powodu sukienki, którą miała na sobie, niebieskiej sukienki.

- Och - westchnęła DeAnne.

Step od początku wiedział, jak ta historia się skończy. Wszystkie kończyły się w ten sposób.

- I to właśnie przyśniło się pańskiej żonie? Czy usłyszał pan tę historię od kolegi kolegi?

Douglas zaśmiał się cicho.

- To pan zadzwonił do mnie, bo miał pan tę listę, a pyta mnie pan, czy to jakaś bajka na dobranoc? Tak, zawsze wykazujemy sceptycyzm, gdy trzeba uwierzyć w czyjąś opowieść. Ale ja tak naprawdę nie dbam, czy mi wierzycie, bo nie to chcę wam powiedzieć. Chodzi mi o to, że istnieją ludzie czyniący rzeczy tak podłe, że pruje się materia świata, z drugiej strony istnieją ludzie tak dobrzy i uprzejmi, że czują, kiedy ta materia się drze. Widzą wszystko, tylko że są tacy dobrzy i czysti, że nie zdają sobie sprawy, co właściwie widzą. Sądzę, że to właśnie ma miejsce w przypadku waszego

chłopca. To, co się dzieje w Steuben, jest takie złe, a on jest tak dobry i czysty, że po prostu, chcąc nie chcąc, musi to czuć. Już w chwili przybycia do Steuben musiał to wyczuć, co nappełniło go smutkiem. Moja żona była podobna - zawsze smutna. Co się tyczy reszty ludzi, zło i dobro jest w nas wymieszane, przy czym nasza niedoskonałość czyni tyle hałasu, że nie słyszymy ryku złego potwora. Ale wasz Stevie może go usłyszeć. Może usłyszeć imiona chłopców. Tyle tylko że podobnie jak moja żona robiła z tego sen, w którym próbowała włożyć na siebie sukienkę, wasz syn zaprzyjaźnia się z tymi, którzy te imiona noszą. Dla niego ci przyjaciele są realni, ponieważ zło, które wepchnęło w jego umysł te imiona, też jest realne.

- Więc nie uważa pan, by Stevie zwariował? - spytał Step.

- Do licha, wiecie, że nie zwariował. Macie przecież listę, czyż nie tak?

- Czy jest coś, co powinniśmy zrobić? - zapytała DeAnne.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, po prostu uważajcie na dzieci, uważajcie na nie o każdej porze, niech będą całkowicie bezpieczne.

- Tak, proszę pana - odrzekł Step.

Douglas powstał.

- Potrzebuję teraz mojego papierosa, zatem będę się już zbierał.

- Przykro mi, że zawracałem panu głowę czymś, co, jak się okazało, nie było wcale pomocne - powiedział Step.

- Och, pomogło mi to bardzo.

- Naprawdę?

- No jasne. - Douglas stał w otwartych drzwiach. Step i DeAnne wyszli z nim na werandę. - Zanim pan zadzwonił - kontynuował, zapalając papierosa - nie mieliśmy nawet stuprocentowej pewności, że jest jakiś seryjny morderca. Lecz obecnie... obecnie już wiem. Ponieważ w przeciwnym razie wasz chłopiec nie znałby tych wszystkich imion, no nie? Nie byłyby wszystkie na jednej liście, gdyby coś ich nie łączyło, coś różniącego je od innych. Każdego roku znika kilka dzieciaków, nie ma w tym nic specjalnie szatańskiego, tak się po prostu dzieje. Taka jest kolej rzeczy. Tamtych wasz syn nigdy nie dostrzegął. Dostrzegł te. A zatem już wiem.

- Nie może pan tego wykorzystać, nie przekona pan nikogo - powiedział Step.

- Bo i nie potrzebuję. Ja wiem. Nie spocznę teraz, póki nie odnajdę łotra i nie powstrzymam go.

- A wtedy Stevie przestanie spotykać tych... wymaglinowanych przyjaciół?



- Jeżeli zniknie źródło jego przypadłości, wówczas nie będzie już się z tym musiał borykać. Moja żona nigdy nie śniła o tym samym dwukrotnie.

Ruszył w kierunku swego samochodu, kiedy DeAnne zawołała za nim:

- Czy wciąż pan chce, byśmy sporządzili listę osób, które w naszym mniemaniu mogły wysłać tę płytę?

- Czemu nie? - zgodził się. - Może się jeszcze przydać.

- Zadzwonimy do pana po południu, okej?

- Niech będzie - odparł. - Jeśli mnie nie zastaniecie, zostawcie wiadomość temu, kto odbierze słuchawkę. Osoba ta będzie uprzedzona.

Wsiadł do auta i odjechał. DeAnne i Step wrócili do mieszkania, usiedli przy kuchennym stole i spisali listę nazwisk. Ludzi, którzy mieli powód - albo sądzili, że mają powód - by nienawidzić Fletcherów. Pani Jones, Dicky Northanger, Lee Weeks, Roland McIntyre. Debatowali żywo, czy włączyć nazwisko siostry Dolores LeSueur, na co w końcu przystali. Myśl o Dolores LeSueur jako seryjnej morderczynie wydawała się zabawna - już sam pomysł, by kobieta była seryjnym zabójcą, zdawał się absurdalny - ale lista musiała być kompletna, inaczej po co ją w ogóle sporządzać?

Przekazali ją telefonicznie. Jak zapewniał Douglas, człowiek przy telefonie został uprzedzony, był sumienny i rzeczowy. Po chwili było po wszystkim.

Step i DeAnne patrzyli na siebie poprzez szerokość stołu.

- Co za niedziela - powiedział Step.

- Wiem, że to zabrzmia okropnie - odparła - ponieważ tam gdzieś czai się seryjny morderca, ale... czuję się znacznie lepiej.

- I ja - stwierdził Step i roześmiał się odprężony. - Stevie nie zwariował. Całe to gówno dr Weeks - wybaczone, ale taka jest prawda - może sobie wsadzić z powrotem. Cokolwiek dzieje się z życiem Stewiego, nie jest to zmyślona historia, my też tego nie spowodowaliśmy, poza tym chłopiec nie zwariował. Chodzi o rzeczywisty świat, w którym żyje, tylko tak jak przypuszczaliśmy, postrzega go głębiej i prawdziwiej niż my. Kiedy o tym pomyśleć, wydaje to się takie słodkie, nieprawdaż? Chcę przez to powiedzieć, że cokolwiek by się przydarzyło tym zaginionym chłopcom, wciąż żyją w umyśle Stewiego. Wyobraża ich sobie i przyjaźni się z nimi. I już się ich nie boję.

- A ja tak - powiedziała DeAnne. - Nic na to nie poradzę.

- Cóż, i ja się boję - mordercy.

- Szkoda, że nie mieszkamy gdzie indziej. - Chciałaby zabrać Stewiego daleko od tego miejsca.

- Też żałuję - przytaknął Step. - Lecz mieszkamy w miejscu, gdzie lekarze wiedzą o Zapie. W gminie,

gdzie poszczono i modlono się o niego. Reszta z nas może mieszkać gdziekolwiek, lecz Zap jest już częścią tutejszego życia. Ci wszyscy ludzie mieszkający w naszej gminie... sądzisz, że będą patrzeć, jak dorasta Zap, mówiąc: „Jaki dziwny dzieciak, dlaczego nie trzyma wysoko głowy?” Nie. Powiedzą raczej: „Znamy tego chłopca, to jeden z nas”. DeAnne, w żadnym innym miejscu tak nie powiedzą.

- Wiem - przyznała. - Wiem. - Nie wydawała się jednak przekonana.

- Niebezpieczeństwo wciąż tu czyha - rzekł Step, wskazując znowu na artykuł w gazecie - lecz nie jest skierowane na nas. To znaczy, jest tak, jak piszą, dziecku w Steuben i tak prędzej grozi wpadnięcie pod samochód czy przypadkowy postrzał niż padnięcie ofiarą tego zabójcy. Rodzice muszą na razie mniej ufać obcym, to wszystko. A my już mieliśmy na tym punkcie obsesję, więc nie musimy się nawet specjalnie przedstawiać.

Skinęła głową.

- Poza tym nie stać nas na przeprowadzkę, DeAnne. Chyba że uważasz, iż warto jest porzucić wszystko i czmychnąć do domu, do sutereny twoich rodziców.

- Przyłapuję się na rozmyślaniu, że nie chcę już być dorosła. Chciałabym wrócić do domu, gdzie mama i tata mogliby się mną opiekować. - Roześmiała się. - Ciężko być mamą i tatą, no nie? Ponieważ wszystko, co postanowisz, może okazać się błędne.

- Do pioruna! Wszystko, co postanowimy, okaże się błędne - powiedział Step - bo cokolwiek zrobimy, i tak później coś złego się stanie. Dlatego nie żałuję niczego. Nie żałuję zatrudnienia się w Eight Bits Inc. i nie żałuję, że odszedłem. Nie żałuję tych wszystkich kosztownych testów, jakie przeprowadzili Zapowi, bo musieliśmy wiedzieć. A szczególnie nie żałuję tego dnia, kiedy ujrzałem cię rozmawiającą przez telefon i pomyślałem, że nie dane mi było dotąd ujrzeć niczego tak pięknego jak moja żona, kiedy czule rozmawia z kimś potrzebującym pomocy.

Pochyliła się i objęła go, na chwilę położyła głowę na jego piersi.

- Dzięki tobie czuję się tak dobrze.

- Pomyśl jeszcze o jednym - powiedział Step. - Nie tylko upewniliśmy się co do tego, że nikt w naszym domu nie oszalał, ale po raz pierwszy od przeprowadzki do Steuben posprzątaaliśmy w naszej sypialni.

Udała, że kąsa go poprzez koszulę, po czym się wyprostowała.

- Nieważne, co czuję, czas nakarmić Zapa, jeśli będę potrafiła go zbudzić. Zaczynam myśleć, że gdybym nie budziła go do karmienia, przespałby resztę życia.

- Znam to uczucie - odparł Step. Przewornie powstrzymał się od zwrócenia jej uwagi, że właśnie nazwała dziecko Zapem. Inaczej postąpiła pierwszy raz, gdy nazwała Elizabeth Betsy, a później postanowiła nigdy więcej tak jej nie nazywać, tak że biedne dziecko dorastało w przeświadczeniu, że

jest jedną osobą dla mężczyzn, a inną dla kobiet. Co w sumie mogło nie rozmijać się aż tak bardzo z rzeczywistością, oczywiście zważywszy na sposób, w jaki oddziałuje otoczenie. Wkrótce zapewne podda się i zaprzestanie wołać na Betsy Betsy, tak by miała to samo imię dla wszystkich. Lecz sądził, że Zap to wspaniałe imię, przynajmniej dopóki nie dorośnie, by się na nie uskarżać, jeśli więc pozwoli DeAnne przyzwyczaić się do niego, będzie miło.

Step został w kuchni i przez chwilę spoglądał bezmyślnie w gazetę. Zauważył wówczas, że mieli na stole obie listy - listę przyjaciół Steviego i listę ludzi, którzy mogliby nienawidzić go na tyle, by przysłać anonimową pogrózkę. Wstał i schował je wysoko w kredensie. Nieważne, co Douglas mówił, Stepa nie uszczęśliwiał żaden z tych spisów. Wolałby raczej, by bohaterowie obu tych list zostawili jego rodzinę w spokoju.

Późno tej samej niedzielnej nocy zadzwonił telefon. DeAnne obudziła się i zaspana podniosła słuchawkę. Słuchała.

- Jest już późno - powiedziała. - Sądzę, że śpi. O, nie, nie. Jest tu obok. - Przekazała telefon Stepowi.  
- Do ciebie - powiedziała. Pogrążyła się we śnie, zanim jeszcze odebrał słuchawkę.

- Tu Step Fletcher - powiedział. - Kto mówi?

- Cześć, tu Glass, Step, pamiętasz mnie? Z Eight Bits Inc.?

- Jasne, że pamiętam - odparł Step. - Ale czy nie jest trochę późno na dzwonienie? Już prawie północ.

- No tak, ale wiesz, to nie jest całkowicie towarzyski telefon. Pozwolili mi zatelefonować tylko jeden raz, namyślałem się około minuty, no i ty byłeś najlepszym rozwiązaniem. A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Ale rozwiązaniem czego?

- Jestem na posterunku policji. Ktoś mnie musi podwieźć do domu. Czy mogę wyjaśnić to później? Nie jestem aresztowany ani nic w tym stylu, ale nie chcę wracać do domu wozem policyjnym. To wygląda podejrzanie, ludzie zadają pytania.

- Jeśli cię nie aresztowali, to z jakiej paki możesz tylko raz telefonować?

- O rany, to teatr, mówię ci, wiesz? Wygląda to bardziej dramatycznie, niż jest w istocie. To naprawdę nic. Tylko potrzebuję akurat teraz przyjaciela, no wiesz. By po mnie podjechał i nie powiedział nikomu, gdzie po mnie podjechał.

- Nie będę dla ciebie kłamał - zastrzegł się Step.

- No tak, wiedziałem - rzekł Glass. - Ale sam widzisz, nie pracujesz już dla Eight Bits Inc., nie utrzymujesz też z nimi specjalnego kontaktu, więc tak sobie myślę, kto cię będzie pytał? A przecież

nie masz zamiaru wydzwaniania do ludzi i mówić im o tym, no nie?

- Nie wiem, gdzie znajduje się posterunek policji.

- Jest w samym centrum. Róg Center i Church. Wielki gmach ratusza, nie można go nie zauważyć. Spotkam się z tobą przed wejściem, żebyś nie musiał parkować i wchodzić do środka.

Kiedy Step odłożył słuchawkę, DeAnne rozbudziła się na tyle, by mruknąć:

- Kto to był?

- Glass. Roland McIntyre. Zgarnęła go policja na przesłuchanie i teraz chce, by go ktoś odwiózł do domu.

Oczy DeAnne rozwarły się szeroko.

- Mamy go na liście.

- Hm, no tak, chyba był też na innej liście, co?

Step w ciągu dziesięciu minut zdążył podjechać pod ratusz i Glass stał przed frontonem budynku. Wyglądał żałośnie w swej koszuli w kratę z krótkimi rękawami i w grubych okularach.

- Fajny samochód - powiedział Glass, wślizgując się do środka.

- Niemało wysiłku kosztuje uporanie się z tymi plamami rdzy - rzekł Step. - Ale ten przynajmniej jeździ, gdy tymczasem tamten non stop stoi w warsztacie. Dokąd?

- Do domu - odpowiedział Glass. A po chwili dodał: - A, no tak, mieszkam w Oriole Apartments, jedź na zachód w stronę Shaker Parkway. W kierunku lotniska.

Step ruszył.

- To miło z twojej strony, że mnie odebrałeś - powiedział Gallowglass. - Nie wiedziałem, do kogo mógłbym zadzwonić.

- Nie ma problemu - odparł Step. Lecz kiedy to mówił, czuł inaczej.

- Człowieku, tęsknimy za tobą w Eight Bits Inc. - odezwał się Gallowglass.

- Cieszę się, że mnie ktoś pamięta.

- Dicky wtyka teraz nos we wszystko. Przychodzi, zabiera nasze dyskiety, na których pracujemy, babrze się w naszym kodzie, przez co kiedy przychodzimy rano do pracy program, który poprzedniego wieczoru działał doskonale, teraz się zawiesza, a gdy pytamy go, co zrobił, odpowiada: „To był najbardziej nieefektywny program, jaki widziałem, więc zacząłem go poprawiać”. A kiedy odpowiadasz: „Ale przedtem się nie zawieszał, a teraz tak”, on patrzy na ciebie

i mówi: „Czy wszystko muszę tu robić sam?”

Step zaśmiał się ponuro. Dicky. Nie lubił wspominać Dicky'ego, nawet gdy dawano mu do zrozumienia, że jest powszechnie znieawidzony. Dicky figurował na jego liście. A zatem Step zmienił temat.

- O co poszło?

Przez chwilę Glass zachowywał milczenie, wyglądając przez szybę. Ostatecznie rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Nie wydaje mi się, żebyś nie wiedział.

- Gdybym wiedział, tobym nie pytał - odparł Step, co nie było prawdą, ale za bardzo o to nie dbał. W jakiś sposób uczciwość w stosunku do Gallowglassa nie wydawała mu się aż tak nieodzowna, jak na przykład uczciwość względem dzieci, DeAnne czy Douglasa.

- Przecież mnie znasz - Glass westchnął. - Tak naprawdę nigdy nic nie zrobiłem. I nie chcę, serio. Lecz jedni tacy rodzice wnieśli skargę, bo jeden z ich starszych dzieciaków opowiedział im jakąś idiotyczną historyjkę, przez co zaciągnęli mnie do sądu w wieku szesnastu lat, a ten pieprzony prawnik, którego mama mi znalazła, powiedział, że lepiej by było, gdybym przyznał się do winy w zamian za zawieszenie, zamiast odsiadywać w poprawczaku - ponieważ tego właśnie cały czas domagał się prokurator; mój nowy adwokat powiedział mi, że prawdopodobnie i tak nie poszedłbym siedzieć, jedynym świadkiem był tylko jakiś dzieciak i mógłby rozedrzeć go na sztuki w sądzie, a tak jestem teraz na ich liście przestępców seksualnych. - Step wyczuwał na sobie przenikliwe spojrzenie Glassa. - Jestem na liście zboczeńców. Gdy tylko ktoś w pobliżu Steuben spojrzy na małą dziewczynkę spod oka, już do mnie dzwonią, pytając, gdzie wtedy byłem. No cóż, zwykle jestem w Eight Bits Inc. wraz z mnóstwem świadków, więc rzadko mnie zabierają na posterunek.

- Dlaczego więc tym razem? - spytał Step, czując lekkie mdłości; nie był pewny, czy podoba mu się, że Glass opowiada mu o takich rzeczach, szczególnie że wiedział, iż Glass prawdopodobnie wciąż kłamie i w rzeczywistości istniał wówczas więcej niż jeden świadek, i naprawdę molestował małe dziewczynki o wiele częściej niż raz czy dwa razy. Ale pozwolił dokończyć Glassowi opowieść bez sprzeczki, żeby go nie złościć.

- Chodzi o tego seryjnego mordercę, nie do wiary. SBI zgarnia każdego przestępcę seksualnego notowanego w sześciu hrabstwach, stąd moje imię znalazło się w ich wykazie. Co za kompletny idiotyzm, kompletna bzdura, by mnie tu sprowadzać. - Jego głos obecnie rozbrzmiał autentyczną wściekłością. - Ten seryjny morderca zajmuje się małymi chłopcami, na litość boską! Co oni sobie myślą, że jestem pedziem?

Step nic nie powiedział, po prostu prowadził samochód, zaciskając ręce na kierownicy.

Po jakiejś minucie ciszy Glass powrócił do opowiadania plotek z Eight Bits Inc., aż wreszcie dotarli do kompleksu kamienic i Glass wskazał mu budynek, w którym mieszka. Step wypuścił go i odprowadził wzrokiem aż do drzwi budynku. Obserwując go, przypominał sobie, jak wiele razy

odprowadzał opiekunów dzieci pod drzwi ich mieszkań; pomyślał o Gallowglassie opiekującym się dziećmi i zadrżał. Ale i ja byłem opiekunem dzieci, przypomniał sobie. Mając dwanaście lat. Skąd ci ludzie mogli wiedzieć, że nie jestem podobny do Glassa? Musieli mi zaufać. Trzeba ufać ludziom, choć czasem nadużywają tego zaufania, bo w przeciwnym razie, jak wyglądałoby to życie?

Wówczas nasunęła mu się kolejna myśl. Glass miał matkę i ojca. Ojca, który nim gardził - czy to zaczęło się przed, czy po tym, jak zaczął się dobierać do małych dziewczynek? Ale matka, ona wciąż go kocha. Nosiła go zupełnie tak, jak DeAnne nosiła Steviego, Robbiego, Betsy i Zapa, karmiła go piersią lub z butelki, wstawiała wraz z nim w środku nocy, śniła, kim zostanie, gdy dorośnie. A musiał to być naprawdę bystry dzieciak. Musiała być z niego dumna w szkole, to było dla niej pocieszeniem, gdy inne dzieci nabijały się z chłopaka. I wtedy to się przydarzyło - jej chłopiec zaczął nagle okazywać pociąg do dziewczynek. Coś tak ciemnego i obrzydliwego, że nawet najgorsi kryminaliści w więzieniu uważają obecność napastującego dzieci za zbyt ohydną do wytrzymania. A ona musi teraz z tym żyć - ze świadomością, jaki stał się jej syn.

Wówczas Step pomyślał o małym Zapie i zdał sobie sprawę, że są na świecie gorsze rzeczy niż posiadanie dziecka, którego organizm nie funkcjonuje w prawidłowy sposób. Można mieć dziecko, którego dusza jest nic niewarta. I Step wrócił pamięcią do tego seryjnego mordercy, grasującego po Steuben. Gdyby ktoś zmuszał Stepa, by zamienił się miejscami, bądź to z ojcem jednego z tych zagubionych chłopców - wiedzącego, że ktoś zabrał, wykorzystał i zabił jego dziecko - bądź to z ojcem tego potwora, który je zabrał, wykorzystał i zabił, wybór nie byłby trudny. Rodzice tych zaginionych chłopców muszą odczuwać największą możliwą wściekłość, nienawiść i smutek, i rozpaczliwe uczucie porażki w czuwaniu nad bezpieczeństwem synów. Lecz rodzice seryjnych morderców czują wszystko powyższe plus jeszcze coś: wstyd za wydanie na świat potwora.

Cokolwiek by się jednak stało, pomyślał Step, moje dzieci są dobre. Nawet gdyby coś im się przydarzyło, gdyby któreś potrafił samochód, jak Roba Roblesa z czwartej klasy, lub dostało białaczki, jak chłopczyk doktora Duhmera w Vigor, Step miałby przynajmniej satysfakcję, że każdy rok ich życia był darem dla otaczających je ludzi, pamięć o nich pełna byłaby miłości i radości, nie zaś wstydu i rozpacz.

Nie sądzę, żebyś to był ty, Glass, pomyślał Step. Nie sądzę, żeby potwór w tobie dorósł do takiego czynu. Lecz okłamywałeś mnie, chciałeś ukryć przede mną potwora, myśl o skrusze nawet raz nie powstała ci w głowie. Oznacza to, że potwór siedzi w tobie i rośnie, potężnieje. Knujesz i szukasz okazji, by pościć bezbronne dzieci, może oddałbym wszystkim przysługę, gdybym kupił sobie jutro pistolet, przyszedł do Eight Bits Inc. i zastrzelił cię na miejscu, na oczach świadków. Czy Bóg mógłby to nazwać morderstwem, gdybym obronił wszystkie dzieci, które na pewno byś skrzywdził?

Tak, to by było morderstwo. Bo nie jest powiedziane, że ten potwór urośnie. Może jakoś przejmiesz nad sobą kontrolę? A gdyby cię ktoś przed tym zabił, straciłbyś szansę na pokutę i uzyskanie przebaczenia. Jeśli jest taka rzecz jak przebaczenie za twoje uczynki albo zamiary. Bóg pozwala winowajcom żyć pomiędzy dobrymi, by ich nękali o każdej porze; pozwala wycepić się w kukurydzy. A wszystko, co przyzwoici ludzie mogą zrobić, to uczyć dzieci i starać się być dla siebie dobrymi.

Gdy Step powrócił do domu, ruszył z miejsca do łóżka, lecz zajrzał po drodze do dzieci i popatrzył,

jak leżą uśpione. Pocałował każde z nich. Robbie, Stevie, Betsy, tacy znajomi, tak często widział ich pogrążonych we śnie, znał słodkie piękno ich twarzy, gdy spały. Był jeszcze mały Zap, bezbronny, biedny przybysz, z nogami zgiętymi w żabiej pozycji, otwartymi ustami i zawsze mokrymi policzkami. Wszystkie. Wszystkie was kocham, jestem z was wszystkich zadowolony. Tyle z wami wiąże nadziei. Nawet z tobą, Zap, choć masz tak odporne ciało. Nawet z tobą, Stevie, choć zło cię odszukało. Świat jest lepszy, odkąd w nim jesteście, a chociaż pragnę zatrzymać was na zawsze, wiem, że gdy nawet was stracę, moje życie zawsze będzie radosne, bo byliście zawsze, zawsze moje.

## **Rozdział trzynasty**

### **Bóg**

Oto jak ostatecznie znaleźli nazwę dla stanu Zapa: przez całą jesień, co miesiąc składała im wizytę Jerusha Gilbert, pielęgniarka z okręgowej kliniki wysokiego ryzyka. Już podczas pierwszej wizyty zauważyła, że wszystko, co normalnie sprawdza, DeAnne i Step zdążyli już sprawdzić wcześniej. Pomimo to zostawała pełną godzinę i - jak wyjawiała DeAnne - większość dzieciaków, które odwiedza, dotknięta jest płodowym syndromem alkoholowym lub problemami opieki prenatalnej, zatem nietrudno wyobrazić sobie, że domy, które Jerusha odwiedza, zwykle nie należą do najprzyjemniejszych miejsc. A ponieważ nie musiała wykonywać normalnej, leczniczej pracy, zaczęła zastanawiać się nad bardziej zaawansowanymi terapiami, które mogłyby pomóc DeAnne i Stepowi w leczeniu Zapa.

To właśnie Jerusha pierwsza wymówiła słowo porażenie mózgowe.

- To nie jest, oczywiście, żadna diagnoza - powiedziała - ponieważ nie jest nią nigdy. Porażenie mózgowe to termin medyczny, to taki kosz, do którego wrzucamy wszystkie stany, zdające się wypływać z pewnych dysfunkcji mózgu. Sztywne dzieci, elastyczne dzieci, niektóre niedorozwinięte umysłowo, niektóre nad wyraz bystre. Niektóre chodzą, inne zaś jeżdżą na wózkach inwalidzkich. Niektóre, leżąc w łóżku, wydają skowyt o wysokiej tonacji, przez cały czas, kiedy są przytomne, jeśli można to nazwać przytomnością. W pewnym momencie każdy się zgadza, że ten szczególny stan

mieści się w granicach pojęcia PM, wówczas zaczyna działać pewien system. Zaczniście nazywać stan Zapa PM, a nikt się z wami na ten temat nie będzie spierał.

- A jeśli to coś innego? - zapytał Step.

- To zawsze jest coś innego - odparła Jerusha. - Etykieta PM oznacza po prostu, że nikt z nas nie wie, co to właściwie jest, lecz dzieciak potrzebuje pomocy grupy kompetentnych ludzi. Poza tym będziecie mieć dużo szczęścia, jeśli zdecydujecie się, że to PM, gdyż Steuben ma jeden z czterech czy pięciu najlepszych w Stanach Zjednoczonych zespołów do opieki nad osobami dotkniętymi porażeniem mózgowym.

- Naprawdę? - zdziwiła się DeAnne.

- We wschodniej części miasta. Centrum Edukacyjne Otwartych Drzwi. Doprawdy, przemiły pawilon. Zarządza nim obecnie miasto, lecz wzniesiono go ze składek obywateli. Rodzice dzieciaków z PM kwestowali, dopóki nie ubierali wystarczająco dużo. I to się tam czuje. Pełny zestaw wszystkiego - cokolwiek okaże się potrzebne Zapowi, będą tam to mieć. A dla przedszkolaków jest Centrum Daggetta. Trzeba tam płacić, gdyż działają z własnych funduszy, a nie dotacji rządowych, lecz koszt nie jest tak duży. Lecz płacić będziecie od chwili, gdy Zap skończy dwa lata. To znaczy, jeśli musicie mieć dziecko z problemami układu nerwowego, to jest to jedno z najlepszych miast w Stanach, gdzie może dorastać.

Porażenie mózgowie. Przynajmniej już o tym słyszeli wcześniej. Kiedy tylko dla problemów Zapa znalazła się jakaś nazwa, porozmawiali o tym z dziećmi na wieczornym zebraniu rodziny. Step opowiedział im o dziecku z porażeniem mózgowym, które wcześniej znał.

- Miał szesnaście lat, kiedy mieszkałem w Mesa - mówił Step. - Ja miałem jakieś trzynaście. Mieszkał w tej samej gminie co ja. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że jest umysłowo chory, bo śmiesznie chodził, kołyszając głową do przodu i do tyłu, a gdy mówił, trudno go było zrozumieć. Ale pamiętam, pewnego razu stałem w holu - czytałem wtedy „Doktryny i przymierza”, o ile pamiętam - a on wyszedł z jednej z klas i stanął przy mnie, był chyba tak wściekły, że chciał się gdzieś wyładować, zaczął do mnie coś mówić. Przestraszyłem się, bo był dziwny, lecz stałem i słuchałem; nagle zdałem sobie sprawę, że mogę go zrozumieć, jeśli się tylko trochę wysiłę. Wyrażał się pełnymi zdaniami. Skarżył się, jak to aktyw gminy nie chciał mu nic zlecić, przez co ogarnia go gniew. Pamiętam, jak powiedział: „Myślą, że jestem umysłowo chory, ale nie jestem, dostaję najlepsze stopnie, jestem od nich sprytniejszy, ale oni nie pozwalają mi błogosławić sakramentu! Nie pozwolili mi się ochrzcić, dopóki nie skończyłem dwunastu lat, gdyż nie wierzyli, iż jestem na tyle rozgarnięty, żeby zdawać sobie sprawę z własnych czynów”. Oczywiście, mówił to wszystko naprawdę wolno, ciężko mu było kleić zdania, pamiętam, że to było dla mnie niczym rewelacja. Facet nie był kretynem. Miał osobowość. Miał zranione uczucia, a ja byłem jednym z tych, którzy je też czasem ranili, ponieważ Bóg wie, że się go bałem, uważałem go za obłąkanego. A kiedy zakończył przemawiać, jak to nikt nie daje mu szansy, powiedziałem: „Sądzę, że powinieneś pobłogosławić sakrament”. Sądzę, że to właśnie chciał usłyszeć, by ktoś się z nim zgodził, nawet trzynastoletni szczeniak z książką w dłoni, bo odpowiedział: „Pewnego dnia tak zrobię”.

- I zrobił? - zaciekał się Robbie.



- Nim wyjechałem stamtąd, zobaczyłem, jak słaniając się, wchodził po schodach do sakramentalnego stołu. Modlitwę musiał wymawiać chyba pięć razy dłużej, niż to się zwykle czyni, lecz powiedział każde słowo, a kiedy wręczał tacki diakonom, trzęsły się i czasem wylało się nieco wody. Z początku ludzie byli zażenowani, lecz później słyszałem, jak mówią: „Odważny ten dzieciak” i podobne rzeczy. Byli z niego dumni.

Wówczas DeAnne powiedziała:

- Będziecie teraz, dzieci, specjalnie odpowiedzialne za Zapa. Musicie traktować go tak naturalnie, jakby to był normalny chłopiec. Nie będziecie się go wstydzić. Ponieważ kiedy wy zaczniecie się zachowywać, jakby było w nim coś okropnego i wstydliwego, wtedy za waszym przykładem pójda inni.

- To mój młodszy braciszek! - powiedział Robbie.

- To prawda - rzekła DeAnne.

- Nie zawsze będzie to łatwe - kontynuował Step. - Moja ciotka Ella jest chora umysłowo, to wprowadzie nie to samo, lecz roztaczała wokół siebie taką atmosferę, która czyniła ją śmieszną i dziwaczną, a dorastała w latach dwudziestych, ludzie nie byli wtedy mile nastawieni do takich osób, a szczególnie dzieciaki. A moja mama była jej młodszą siostrą.

- To babcia Sal! - wykrzyknął Robbie.

- Bacia! - rozdarła się Betsy.

- Właśnie ta, wasza babcia Sal. Kiedy miała siedem albo osiem lat, odprowadzała w jeden dzień ciocię Ellę do szkoły. Moja mama opowiadała, jak bardzo się wstydziła, była naprawdę okropna w stosunku do cioci Elli, kazała jej iść daleko za sobą lub po drugiej stronie ulicy, by nikt nie spostrzegł, że są razem. Ale z drugiej strony moja mama była wtedy małą dziewczynką i nikt jej nie mówił, że nie powinna się wstydzić. Pewnego razu natknęły się na bandę dzieciaków, które zaczęły rzucać w nie śmieciami i szydzić w okropny sposób, tylko dlatego że Ella była umysłowo chora, a moja mama, wówczas dziewczynka, usiadła na krawężniku i płakała, i płakała, a dzieciaki wciąż biegały wokoło, wyjąc. Ciocia Ella wtedy usiadła przy niej, objęła ramieniem i powiedziała: „Nie płacz, Sally. Oni nie wiedzą. Nie płacz, Sally. Są po prostu źli”.

DeAnne spojrzała na Stepa trochę dziwnie.

- Dlaczego opowiadasz tę historię, Step?

Przyszło mu na myśl, że dzieci mogą zrozumieć, że skoro Zap jest ich bratem, będą im dokuczać w różny sposób, ale z pewnością nie dlatego zaczął opowiadać tę historię. Przez chwilę Step stał zmieszany, nie wiedząc, co odpowiedzieć, aż w końcu zrobił to, co każdy zmieszany rodzic na jego miejscu: udał, że rozmyślnie wybrał tę przypowieść w celach naukowych.

- A jak ty sądzisz, dlaczego opowiedziałem tę historię, Robbie?

- Bo nie dbamy o to, czy są źli dla Zapa, bo i tak idziemy razem z nim do szkoły! I będziemy iść tuż przy nim i nie przechodzić bez niego na drugą stronę, bo wtedy będzie się bał!

Robbie wysupłał z przypowieści prawdziwy morał, chociaż sam Step zapomniał, o co mu chodziło.

Wtedy Stevie, choć nikt go nie prosił o zdanie, odezwał się:

- Myślę, że ciocia Ella była najsprytniejsza, nawet jeśli była umyślowo chora.

- Dlaczego? - spytał Step, zadowolony, że syn postanowił zabrać głos nie pytany.

- Bo obchodziło ją jedynie to, że babcia Sal płacze - rzekł Stevie. - Nie wściekła się na złe dzieci, chciała po prostu, by babcia Sal poczuła się lepiej.

- Okej, myślę, że wszyscy wyciągnęliśmy z lekcji słuszne wnioski, prawda? - powiedział Step.

- Musimy powiedzieć Zapowi, że nie wolno mu płakać! - odezwał się Robbie.

- Zap może płakać, jeśli zechce - odpowiedział mu Step. - Wiecie, że to w naszej rodzinie reguła, możemy płakać, kiedy tylko mamy na to ochotę. Stevie, jaki główny wniosek wypływa z tej lekcji?

- Musimy pomóc Zapowi stać się częścią wszystkiego i nie uciekać od niego, a szczególnie uważać, by ludzie nie uważali go za umyślowo chorego.

- Bardzo dobrze, Stevie - pochwalił go Step. - No dobrze. Może okazać się z upływem lat, że spostrzeżemy, iż Zap naprawdę jest umyślowo ograniczony, że naprawdę jest umyślowo chory, ale i tak będzie okej, bo moja ciocia Ella jest umyślowo chora całe życie i mimo to jest dobrym człowiekiem, wielu ludziom przyniosła szczęście. Ale istnieje też szansa, że Zap nie będzie umyślowo chory. Bez względu na to, co się stanie, będziemy traktować go właściwie, nigdy się go nie powstydzimy.

- Jesteśmy z niego dumni - powiedział Robbie. - Jest moim pierwszym młodszym bratem, więc ja jestem teraz starszym bratem!

- Jak ja - dodał Stevie.

Step zwrócił się do DeAnne.

- Sądzę, że załatwiliśmy tę sprawę.

Tymi słowami zakończyła się lekcja. Robbie machał dokoła ręką, odmierzając rytm wieńczącej lekcję pieśni, a DeAnne pomogła Betsy odmówić kończącą lekcję modlitwę, później zjedli lody, podczas gdy DeAnne karmiła Zapa, zasłaniając się skromnie pieluszką przewieszoną przez ramię.

- Zap też dostaje deser! - krzyknął Robbie.

- Założę się, że smakuje zupełnie jak jego obiad - odparł Step. - I jego sałatka, i jego podwieczorek.

- I płatki owsiane! - wrzasnął Robbie. - I tuńczyk!

- Czy muszę karmić dziecko w innym pomieszczeniu? - zapytała DeAnne. Lecz tak naprawdę nie przeszkadzało jej to. Żaden z problemów i kłopotów nie zniknął, lecz to był udany wieczór. Byli szczęśliwą rodziną, przynajmniej podczas tej godziny. Wystarczyło, jak na jeden dzień.

Tak oto przebiegała cała jesień, zaledwie z kilkoma wyjątkami. Każdego ranka DeAnne odwoziła Steviego i Robbiego do innych szkół, Step zostawał wtedy z Betsy i Zapem. Dzięki temu tylko zabierała dwójkę dzieci do szkoły, ale nie musiała ubierać i karmić Betsy.

Bynajmniej nie mogła przez to pospać dłużej. Musiała rano opuszczać dom piętnaście minut wcześniej niż zeszłego roku, bo tylu rodziców odwoziło dzieci do szkoły i zabierało je po skończonych zajęciach, że natężenie ruchu przy szkole było koszmarne. Strach przed seryjnym mordercą odmienił życie wielu ludzi w Steuben. Rodzice, jeśli nie mogli wyjechać po pociechy do szkoły, czekali na nie na przystankach autobusowych. Pracujący rodzice łączyli się w grupy, wiele lokalnych instytucji pozwalało pracownikom na godzinny lunch w czasie, gdy kończyły się lekcje, dzięki czemu coraz mniej dzieci wracało po szkole do pustego domu.

Bycie matką było teraz dla DeAnne pracą w pełnym wymiarze godzin, tak że zaczęła od czasu do czasu zaniedbywać swe zajęcia w kościele, udzieliła kilku lekcji, które nie były tak do końca przygotowane, choć nikt zdawał się nie zauważać różnicy. Obecnie centrum jej życia stanowił Zap - w rzeczywistości nie miała wyjścia. Czy to były pozostałości po fenobarbitalu, czy wrodzony wzorec snu Zapa, chłopiec miał tendencję do przesypiania osiemnastu lub dwudziestu godzin bez przerwy, potem budził się zgłodniały jak wilk. Fakt ten stanowił oczywiście dla DeAnne wielkie utrapienie - albo musiała budzić go i zmuszać do posiłku co osiem godzin, albo ściągać mleko i wkładać je do lodówki. Kiedy spał, miała za dużo pokarmu - brakowało jej na pierwszy posiłek, kiedy się budził.

Prócz tego, ponieważ spędzał tak mało czasu na jawie, nie mogła znieść myśli, że tyle go marnuje, leżąc beczynnym w łóżku. Nie używał przez to rąk ani nóg, jak czyniły normalne dzieci, nie eksperymentował z grzechotkami, a nawet z własnym ciałem, jak większość dzieci ma w zwyczaju. Zatem każdą chwilę, jaką spędzał po przebudzeniu, cechowała kompletna pustka; DeAnne bała się, że znudził się i stracił wszelką chęć do życia, że zamierzał po prostu spać aż do śmierci. Nie miała zamiaru na to pozwolić. Jeśli będzie mogła temu zaradzić, puste godziny odejdą w zapomnienie. Kiedy obudzi się o północy, ona będzie przy nim, żeby gawędzić i bawić się, ruszać za niego rękami i nogami i śpiewać mu do ucha. Ucinała sobie drzemki w czasie dnia, kiedy i on zasypiał, od czasu do czasu udawało się też przespać całą noc. Ale takie życie bardzo ją męczyło, przez co nie miała dość energii, by należycie zajmować się pozostałymi dziećmi. Nie miała innego wyjścia - one mogły już na tyle zadbać o siebie, iż nie potrzebowały jej tak bardzo jak Zap. Nadal pomagała w gospodarstwie domowym i zadaniach w gminie, podobnie jak Step, lecz Robbie i Betsy zaczęli spędzać z sobą ogromną ilość czasu, stając się całkiem dobrymi przyjaciółmi, kiedy Betsy zaczęła się już przystosowywać do niektórych zasad regulujących cywilizowane zachowanie. Stevie spędzał mnóstwo czasu samotnie.

Step dlatego starał się wypełnić powstałą lukę, że DeAnne poświęcała tyle czasu Zapowi, bawił się z dziećmi, często jednak przyrządzał też posiłki lub prał, kiedy żona drzemała, przez co tak

naprawdę nie wiedział, co porabiają dzieciaki. A kiedy tylko miał sposobność, odgradzał się w swoim gabinecie, zmagając się z językiem maszynowym IBM PC, aż ostatecznie zdał sobie sprawę, że podobne rezultaty może uzyskać, wykorzystując nowy język Turbo C, co wiązało się z odrzuceniem wszystkiego, czego się do tej pory nauczył, i rozpoczęciem od nowa. To była szalenie ciężka praca, częściowo dlatego, że komputer ten został tak irytująco skonstruowany, iż musiał używać wielu sztuczek, by grafika wyglądała choć trochę przyzwoicie i by wbudowany głośniczek emitował dźwięki, które nie budziłyby chęci poszatkania całego urządzenia. Kiedy Step wyszukiwał błędy lub dumał nad rozwiązaniem konkretnego problemu, tak głęboko się koncentrował, że gdy odrywał w pewnym momencie wzrok od komputera z myślą, że trzeba może przygotować lunch, na dworze było już szaro, a DeAnne zmywała już w kuchni naczynia po obiedzie. Jeszcze w Indianie dogadali się, że ich życie potoczy się spokojniej, jeśli nie będzie uparcie wołać Stepa na obiad. Jeśli był tak skoncentrowany, że nie zwracał uwagi, iż DeAnne woła dzieci, to oznacza, że nie chce, by mu przerywała.

Tak więc oboje tej jesieni niezbyt dbali o trójkę starszych dzieci, a kiedy spostrzegli, że Stevie ciągle otacza się swymi wymyślnymi przyjaciółmi i nie dopuszcza do siebie prawie nikogo, zmartwiło ich to, ale pocieszali się, że nie oznacza to wcale, iż traci zmysły lub że ktoś na niego czyha. Uważali to za próbę, którą przechodzi, a która w ostatecznym rozrachunku może go nawet zahartować. Przecież istnieli Zap i Hacker Snack, bezlitośni pożeracze czasu.

Pierwszego września CNN pękało w szwach od wiadomości o samolocie Koreańskich Linii Lotniczych, który naruszył radziecką przestrzeń powietrzną i prawdopodobnie został przez Rosjan zestrzelony. Step i DeAnne byli uzależnieni od wiadomości telewizyjnych jak palacze od papierosów - jedli obiad, podczas gdy telewizor dudnił w pokoju dziennym, tak że mogli go słyszeć w kuchni.

Zadzwonił telefon. DeAnne właśnie chciała wyciągnąć coś z lodówki, ale złapała za słuchawkę, wymieniła kilka słów i wręczyła ją Stepowi, mówiąc, że to od Lee.

- Cześć, Lee - powitał go Step. - Zdziwiasz mnie, dzwoniąc już pierwszego dnia nowego miesiąca. Jeszcze zrobisz ze mnie czołowego domowego nauczyciela.

- Nie marnuj mojego czasu - powiedział Lee.

- Przepraszam? - odparł Step. Co mu odbiło? - Dlaczego dzwonisz?

- Wiem wszystko - rzekł Lee. - Wiem, co zrobiłeś. Jesteś tym, który sam musi każdego włożyć pod wodę, no nie?

- Co takiego? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie udawaj niewiniątka - ciągnął Lee. - W tle słyszę twój telewizor. Nastawiłeś na CNN, zupełnie jak mamuśka. To ty ich wrzuciłeś do wody, wszystkich potopiłeś.

- Lee, naprawdę myślisz, że miałem coś wspólnego z samolotem Koreańskich Linii Lotniczych?

- Chcę się jedynie dowiedzieć od ciebie, czy jesteś przygotowany na konsekwencje wojny nuklearnej? Bo komuniści nie pozwolą, byś ich chrzciał. Nie są chrześcijanami, nie zgodzą się na to. Wyślą rakiety. Studiowałem skutki wojny nuklearnej. Wiem, co to zima jądrowa. Wiem, co się stanie ze zwykłymi ludźmi. Ale ty jesteś za sprytny, żeby dać się złapać. Nikt nie może cię złapać.

Lee przez ostatnie miesiące stapał nad przepaścią, ale teraz już w nią po prostu spadał.

- Lee, nie będzie żadnej wojny nuklearnej.

Lee roześmiał się.

- Czy sądzisz, że można mi tak po prostu nakłamać, a ja sobie pójdę? Nie, nie zapomnę o tobie. Przywarłem do ciebie, jak klej. Kiedy wsiądziesz na tę łódź podwodną, będę przy tobie.

- Lee, czy jesteś teraz w domu?

- Bóg jest teraz we mnie, Step. Nawet nie używam telefonu, co ty na to?

- No cóż, ja go używam - odparł Step.

- Nie potrzeba mi telefonu, kiedy Bóg jest we mnie. Mogę cię teraz zobaczyć. Mogę zobaczyć całą twoją rodzinę.

- Gdzie jesteś?

- Jestem wszędzie. Jestem wszystkim. Jestem miłością, Step. Jestem, który jestem - zachichotał. - Mojżesz nigdy nie zrozumiał, co miałem wówczas na myśli.

- Lee, nie daj się ponieść.

- Wszyscy ci ludzie pod wodą, niczym armia faraona w Morzu Czerwonym. Chcesz być Mojżeszem? Rozdzielać morze, zatapiając ludzi? Cóż, możesz być moim prorokiem, jeśli chcesz. Lecz lepiej pomódl się wprzód. Lepiej złóż najpierw ofiarę.

Słowa Lee dawno przestały być dziwaczne, teraz były niepokojące.

- Gdzie jesteś, Lee?

- Nie możesz mnie znaleźć - rzekł Lee. - Nikt nie może, gdyż jestem niewidzialny.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

- Ponieważ jesteś jedynym, który ma siłę powiedzieć mi „nie”.

- A twoja matka?

- Csst! - nagle przeszedł do szeptu. - Nic jej nie mów. Obiecuj.

- Nie mogę tego obiecać, Lee. Potrzebujesz pomocy.

- Nie, to ty potrzebujesz pomocy! - Lee zdawał się być na serio rozgniewany, choć wciąż mówił dość niskim tonem. - Potrzeba ci wiele pomocy, ponieważ mam zamiar cię powstrzymać, nim wrzucisz kogoś pod wodę. Nie pozwolę ci powtórnie zniszczyć świat.

- Lee, jestem tylko facetem, z którym uczysz po domach.

- Wiem o tym - odpowiedział Lee szyderczo. - Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Chyba oszalałeś, myśląc, że możesz się przede mną schować.

- Odkładam słuchawkę, Lee.

- Nie odpływaj beze mnie. - W głosie Lee zabrzmiała nagle rozpacz i strach. - Znajdź mi miejsce na łodzi podwodnej! Nie będę jadł dużo.

- Do zobaczenia, Lee.

- Naprawdę musisz już kończyć?

- Tak.

- Okej - znowu zabrzmiało to radośnie. - Fajnie się z tobą gadało, na razie.

Step zawiesił słuchawkę.

- DeAnne, potrzebuję numer telefonu do dr Weeks.

Nim jeszcze dopowiedział zdanie do końca, wręczyła mu wizytówkę z numerem telefonu.

- Numer domowy? - spytał.

- Wyszukałam go - odpowiedziała. - Miałam przecucie, że ci będzie potrzebny.

Kiedy się z nią połączył, dr Weeks nie wydawała się wcale zaskoczona faktem, że Lee dzwonił do niego.

- Mówił, że jest niewidzialny - Step tłumaczył. - Mówił, że rozmawia ze mną bez użycia aparatu.

- No tak, ale przecież używał aparatu - powiedziała dr Weeks.

- Wiem o tym - przykrył słuchawkę i szeptem zwrócił się do DeAnne: - Ona sądzi, że to ja jestem wariatem. - Do dr Weeks zaś tak powiedział: - Niech pani posłucha, coś dolega Lee i chciałem tylko panią o tym poinformować, nic ponadto. Naprawdę coś go gnębi, twierdzi, że jest Bogiem, i myśli, że to ja zestrzeliłem ten koreański samolot.

- Bezsprzecznie stał się pan dla niego potężną figurą - odrzekła dr Weeks. - Te napady nigdy się długo

nie ciągną, a syn nie zamierza nikomu wyrządzić krzywdy.

- Zatem panuje pani nad sytuacją?

- Szachruje coś z pigułkami, wie pan - odparła dr Weeks. - Ale w końcu musi pójść spać.

- Leczy się?

- Nie omawiam podobnych zagadnień z nieprofesjonalistami.

- W porządku - rzekł Step. - Proszę więc po prostu powstrzymać syna od wydzwaniania do nieprofesjonalistów, a nie zajdzie potrzeba dyskusowania z nimi.

- Dziękuję za troskę - powiedziała dr Weeks. - Poradzę sobie. Do zobaczenia.

Na tym się skończyło.

- Co mówiła? - zapytała DeAnne.

- Sądzę, że sobie z tym radzi. - Ale pomyślał o złudzeniach rodzących się w umyśle Lee, dotyczących jego i rodziny, zastanawiając się, czy dr Weeks rzeczywiście panuje nad czymkolwiek.

Step był w sklepie, kiedy natarczywy głos zaczął go przywoływać:

- Bracie Fletcher! Bracie Fletcher! - Dziwnie się poczuł, słysząc zwrot „bracie” poza kościołem. Zazwyczaj mormoni podchodzą do tego z nieco większą dyskrecją. Wówczas zauważył, że to siostra LeSueur i zrozumiał.

- Jak się ma ta wasza śliczna rodzinka, bracie Fletcher? - spytała.

- Jakoś tam leci - odparł.

- Każdego dnia modlę się o waszą rodzinę - oświadczyła. - Zeszłego tygodnia dedykowałam mój czwartkowy post waszemu małemu dziecku. Wiesz, poszczę w każdy czwartek.

- Dzięki, że myślisz o nas - rzekł Step, niecierpliwie wyglądając okazji, by się od niej uwolnić. Mówiła tak głośno. Musi coś chcieć od niego, ale nie potrafił zgadnąć co.

- Odwiedził mnie świadek, którego zdaniem w oczach Pana jesteś naprawdę wyróżniony - powiedziała.

- To uprzejmie z jego strony, że cię o tym powiadomił - odrzekł Step. Omiótł wzrokiem rząd regałów, by sprawdzić, czy kogoś nie przyciągnął ten hałas. Nikogo nie było. Za nim też. Sekcję zup w puszkach mieli tylko dla siebie.

- Ale trzeba najpierw przeprowadzić test - ciągnęła siostra LeSueur. - O to właśnie chodzi twojemu maleństwu.

Step poczuł, jak rośnie w nim fala gniewu. Jak śmie komenderować subtelnym życiem Zapa.

- Sądzę, że Zapowi chodzi o siebie - odpowiedział Step. - Zupełnie jak każdemu dziecku.

Sięgnęła ręką i dotknęła jego ramienia, promieniejąc.

- Tyle w tobie racji, bracie Fletcher. Jakże cudownie być obdarzonym przez Ducha tak przenikliwym wewnętrznym spojrzeniem.

- Naprawdę, muszę pośpieszyć się z zakupami i wrócić do domu, żeby...

Przy końcu regału stała kobieta, obserwując ich uważnie. Step znał ją, tylko nie wiedział, skąd. Czy pracowała w Eight Bits Inc.?

- Nie uważasz, że nadszedł czas, by pobłogosławić dziecko - zapytała siostra LeSueur.

- Nie uważasz, że to ja z DeAnne powinienem o tym zdecydować? - Nie, ta kobieta nie pracowała w Eight Bits Inc. Była to pani Jones. Ostatnio też nie rozpoznał jej od razu, kiedy spotkali się w drogerii, a Zap leżał jeszcze w szpitalu. Nie wyróżniała się niczym szczególnym.

- Pan oczekuje od nas odważnych i ufnych działań, bracie Fletcher - mówiła siostra LeSueur. - To właśnie usłyszałam we śnie. Błogosławieństwo należy ci się zgodnie z prawem, jeśli znajdziesz w sobie dość siły, by o nie poprosić. Jak wtedy, gdy pilnie potrzebowano mojej miłosiernej posługi. Tamtej nocy zdarzyła się burza śnieżna, nie miałam czasu, by oczyścić samochód ze śniegu. Powiedziałam więc Panu, że jeśli chce, bym w jego imieniu spełniła tę posługę, musi oczyścić moją przednią szybę, bym mogła prowadzić. A kiedy wyszłam z domu, tylko mojego samochodu nie pokrywały dwa cale śniegu.

Spojrzenie pani Jones było nieugięte. Sądzi, że się za nią skradam, pomyślał Step. Z koszykiem pełnym zakupów i listą w dłoni, sądzi, że jestem tu tylko po to, by ją napastować.

- Duch przemówił do mnie: nadeszła pora, by brat Fletcher upomniał się o uzdrawiające błogosławieństwo od Pana.

- Prosimy o błogosławieństwa - rzekł Step - a nie upominamy się o nie.

- Ja, Pan, dotrzymuję słowa, gdy spełniacie moje przykazania - zacytowała. - Spraw, niech Pan dotrzyma słowa, bracie Fletcher, spraw i uzdrów swe dziecko. Duszyckę jego słodką jako jeńca trzymasz, jeńca swej dumy, rzekł Pan.

Rzekła Dolores LeSueur, sprostował Step po cichu.

- Musisz nagiąć się do woli Pana i przestać odrzucać jego słowa. Czy wiernie oddajesz dziesięcinę?



Pani Jones ciągle tam stała. Gdybym tylko miał przy sobie taśmę. Mógłbym rzucić ją w jej kierunku, by przestała uważać na każdy mój ruch. Uśmiechnął się do siostry LeSueur, myśląc: udaję uśmiech. Pani Jones obserwuje mnie, jak w tej piosence The Police.

- Pójdź do swego dziecka, połóż dłonie na jego głowie i każ mu powstać i iść!

- To byłby cud - odparł. - Ma zaledwie dwa miesiące.

Jakby ktoś chlusnął w nią zimną wodą.

- Wiem przecież - powiedziała. - Byłam pewna, że rozpoznasz przenośnię.

Jestem pewny, że rozpoznasz przenośnię, kiedy każę ci usiąść na kiju od miotły i odfrunąć.

- Siostro LeSueur, doceniam twoją radę. A teraz muszę kończyć zakupy. - Wykręcił swój wózek, by odjechać w stronę drugiego końca regału, jak najdalej od pani Jones. Ale siostra LeSueur złapała go za rękaw.

- Bracie Fletcher, nie można w nieskończoność opierać się Panu.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nigdy w życiu nie opierałem się Panu, siostro LeSueur, i nigdy nie będę. Ale nie jestem aż tak żądny dialogu z Nim, by oprócz swojej wygłaszać też Jego kwestię.

Jej głos nabrał metalicznego brzmienia.

- Strzeż się, by Pan cię nie wychłostał za twą pychę.

Idealny moment, by pani Jones wyciągnęła z torebki rewolwer i położyła mnie jednym strzałem. Siostra LeSueur mogłaby żyć tym jednym wydarzeniem do śmierci. Ale pani Jones już tam nie było. Wycofała się, kiedy odwrócił się do niej plecami.

- A grzechy ojców spadną na ich dzieci - powiedziała siostra LeSueur.

Odszedł od niej, pchając wózek. W jednej chwili odegrał w myśli całą scenkę swej śmierci z ręki pani Jones. Tak była realna, że poszczególne momenty pamiętał wyraźnie, jakby je naprawdę widział. Oto pistolet wyłania się z torebki, lufa mierzy prosto w jego pierś - mógłby sięgnąć i dotknąć chłodnego metalu. Czy podobnie Stevie dostrzegał swych wyimaginowanych przyjaciół? A w jaki sposób swe wizje odbierała siostra LeSueur? Nigdy nie odbywały się na jawie, a jednak kiedy się je wspominało, zdawały się tak rzeczywiste.

- Na trzecie i czwarte pokolenie po tych, co mnie nienawidzą - kontynuowała przestrozę Dolores LeSueur.

Skręcił za róg regału, zostawiając za sobą przepowiednie siostry LeSueur. Pędem popychał wózek, lawirując między ludźmi, jakby był na autostradzie. Dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że

nie ucieka już od siostry LeSueur, tylko szuka pani Jones. Ponieważ obserwowowała go. Ponieważ kazała mu myśleć o piosence. Musiał się przekonać.

Nie dostrzegł jej nigdzie między regałami. Nie było jej też przy kasach. Porzucił swój koszyk, wypadł ze sklepu i zaczął lustrować parking. Przemierzał żwawo rzędy aut. Pośpieszył za nią.

Być może powinien za nią krzyknąć, lecz obawiał się, że zacznie uciekać, skoro już i tak sądziła, że ją śledzi. No właśnie, kiedy ją dogonił - wkładała akurat kluczyk do zamka drzwi swego pinto - wydała lekki okrzyk.

Step upewnił się, że nie stoi za blisko, a dłonie jego są widoczne.

- Pani Jones, nie skradałem się za panią. Po prostu robiłem zakupy w sklepie.

Nic na to nie odpowiedziała.

- Ale to pani skrada się za mną.

Jej wargi wydeły się pogardliwie.

- To pani przysłała mi tę płytę, proszę się przyznać.

Jej cera powlekła się bielą.

- Jaką płytę?

- Płytę The Police. Piosenkę o obserwowaniu. Ktoś ją przesłał pocztą na nasz adres.

- Nawet nie wiem, gdzie pan mieszka.

- Jesteśmy w książce telefonicznej - powiedział Step - więc proszę nie pleść głupstw. Po prostu proszę mi powiedzieć, że to pani ją wysłała.

Uśmiechnęła się.

- Ach, tak - powiedziała. - Nie jest zbyt przyjemnie, gdy ktoś pana obserwuje, o to chodzi?

- Nigdy nie zachowywałem się wobec pani anonimowo, pani Jones.

- Nic panu nie wysłałam pocztą, panie Fletcher - odparła. - Zatem musi to być przesyłka od jakichś innych ludzi, których pan szantażuje.

- Nikt więcej nie prześladował moich dzieci.

- Więc sądzi pan, że to ja. O kolejny problem w pańskiej rodzinie oskarża pan kobietę, która już nawet nie uczy pańskiego syna.

Bawi ją ta sytuacja, pomyślał Step. Cieszy się na myśl, że ta płyta naprawdę mnie pogiębiła. Zupełnie jak w przypadku Steviego, uwielbia pastwić się nad innymi.

- Pani adwokat nie dzwonił do mnie w sprawie złożonej na mnie skargi.

Wzruszyła ramionami.

- Lecz kapitan Douglas z policji w Steuben uważa, że odciski palców widniejące na okładce płyty wystarczą, by zidentyfikować sprawcę, co w sądzie będzie niezbitym dowodem.

- To idiotyczny pomysł.

- Wszystko w rękawiczkach, co? - zapytał. - Ale nie miała pani włożonych rękawiczek przy lizaniu znaczka i nalepianiu go na kopertę.

Wyraz przerażenia na jej twarzy był wystarczającą odpowiedzią. Szybkie zrelaksowanie się w sekundę potem tylko ją potwierdzało.

- Widzę, że poczuła pani ulgę - rzekł Step.

- Co pan przez to rozumie? - zapytała.

- Przypominając sobie, że chłopiec na poczcie sam wbijał pieczętkę.

Jej oblicze obrazowało wewnętrzną walkę. Czy naprawdę miał teraz pewność, że to ona je wysłała, czy też blefował?

- Nigdy nie sądziła pani, że się za nią skradam - powiedział Step. - Od początku to pani mnie

śledziła. Więc teraz pani mówię, proszę z tym skończyć. Już zdążyłem przekazać policji pani nazwisko, jako prawdopodobnego nadawcy przesyłki. Mają na panią oko. Najwyższa pora, by zostawiła pani mnie i moją rodzinę w spokoju.

- Zostawiła pana w spokoju! - Starala się, by zabrzmiało to wyzywająco, lecz wzmianka o policji nie dawała jej spokoju.

- Nie wyrządziliśmy pani żadnej krzywdy. Mogłbym złożyć doniesienie na pani temat w radzie pedagogicznej, pozwać szkołę do sądu i panią osobiście za to, czego się pani dopuściła. Pani nazwisko mogłoby się znaleźć we wszystkich kartotekach. Zamiast tego chciałem wykazać się przyzwoitością i załatwić tę sprawę prywatnie. Niech pani będzie wdzięczna za to i przestanie szukać okazji do wyrównania rachunków.

- Wdzięczna? - parsknęła. - Panu? Jest pan taki sprytny, panie Fletcher. Pan i pański bystry chłopczyk. Potrafi pan rujnować kariery ludzi. Tak, by musieli pracować dorywczo, żyjąc w hańbie i strachu do końca swoich dni.

- Zupełnie to samo czuł Stevie - rzekł Step.

Obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem, otworzyła drzwi samochodu i odwróciwszy się doń plecami, wślizgnęła się do środka.

- Niemal czuję dla pani litość - powiedział Step. - A pani raz za razem udowadnia mi, że ciągle czerpie rozkosz z krzywdzenia innych ludzi. Tak właśnie wygląda zło, pani Jones. Tym właśnie pani jest.

Zawahała się przed zatrzaśnięciem drzwi auta, jakby w poszukiwaniu jakiejś finałowej, rozstrzygającej riposty. Huknęła jednak tylko drzwiami i uruchomiła silnik. Step obserwował, jak z piskiem opon wypadła z parkingu na drogę.

Przynajmniej wiem już teraz, kto wysłał tę płytę, pomyślał Step. Nie była to zatem sprawka mordercy, jak słusznie odgadł Douglas, tylko dręczyciela. Nic poważnego.

Kiedy wrócił do sklepu, ktoś zabrał jego wózek. Bez wątpienia pracownik sklepu pieczołowicie układał wszystko z powrotem na półkach. Westchnął, wyciągnął z kieszeni listę i zaczął od nowa.

Pewnego wieczoru pod koniec września Step miał zostać sam z dziećmi, gdy w tym czasie DeAnne miała zorganizować pokaz korzystania z rozkładu zajęć domowych na spotkaniu gospodyń. Wiedział, że powinien zająć czymś dzieci, by nie naprzykrzały się matce, gdy się przygotowowała. Lecz brnął akurat przez zawiślany algorytm, który nie chciał się jakoś ułożyć po jego myśli. Wciąż powtarzał w myśli: za minutę się ruszę.

Robbie spacerował tam i z powrotem korytarzem, odbijając piłeczką mocno, jak tylko potrafił; rozlegało się bezlitosne bam, bam, bam, które przyprawiało Stepa o szaleństwo. Ostatecznie nie mógł

już tego znieść. Wstał i wyszedł na korytarz, by położyć kres temu waleniu. W tym samym momencie DeAnne wynurzyła się w halce z sypialni, przyświecał jej podobny cel. Biedny Robbie stał między nimi, patrząc w przerażeniu na oboje rodziców.

- Przepraszam - rzekł zdławionym głosem.

Oboje wybuchli śmiechem.

- Po prostu przestań odbijać piłeczkę w mieszkaniu, Chrabąszczu - powiedział Step.

- Okej - zgodził się Robbie. - I tak na dywanie nie odbija się dobrze.

Pół godziny po tym, jak DeAnne pojechała do kościoła, rozdzwonił się telefon. Dzwoniła DeAnne.

- Wiem, że to może zabrzmieć głupio, Gałganiarzu, ale zapytaj Robbiego, skąd ma tę piłeczkę?

- Ma ją od lat - odparł Step.

- Ale wpadła do jednej z tych ohydnych jam przed domem w pierwszym tygodniu naszego pobytu w Steuben - powiedziała. - Chcę wiedzieć, jak ją stamtąd wydostał. No bo ty jej nie wyciągnąłeś, prawda?

- Nawet nie wiedziałem, że zaginęła. Może odłożymy to na później?

- Step, proszę cię, dowiedz się albo postradam zmysły.

Zgodził się, odwiesił słuchawkę i wyszedł na poszukiwanie Robbiego.

- Ten niewidzialny facet wydobyl ją dla mnie - wyjaśnił chłopiec. - Powiedział, że nie leżała głęboko w kanale, a kiedy zawołał, sama przyszła.

Step chciał go zrugać za zmyślenie takiej bezsensownej historii, lecz wzmianka o niewidzialnym facecie kazała mu ugryźć się w język.

- Gdzie spotkałeś tego niewidzialnego faceta, Robbie?

- Dziś na podwórku - powiedział Robbie. - Był nagi, bo gdyby założył ubranie, ludzie by go zobaczyli.

- Ale ty go zobaczyłeś - rzekł Step.

- Jestem twoim synem - odpowiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

Lee Weeks, pomyślał Step.

- Kiedy to było? - zapytał. - Przed czy po tym, jak Stevie wrócił ze szkoły?

- Przedtem - odparł Robbie. - Już go nie ma. Musiał pofrunąć do Raleigh.

Step obszedł dom dokoła, po dwa razy sprawdzając zamknięcia. Potem kazał Robbiemu i Steviemu pójść do pokoju Betsy i Zapa, a sam wyszedł na zewnątrz.

Zapadł już niemal zmrok, światło księżycy było słabe, lecz Step prawie od razu zauważył bladą, zwiewną postać, stojącą przy wysokim żywopłocie sąsiadów na podwórku przed domem. Step zarygłował za sobą frontowe drzwi i ruszył w jej kierunku.

- Jak tu się dostałeś zupełnie bez ubrania, Lee? - zapytał.

Lee roześmiał się, uszczęśliwiony.

- Wiedziałem, że będziesz w stanie mnie dostrzec, jak twój syn.

- Masz szczęście, że nie zobaczył cię gliniarz, Lee. Twój czyn nazywa się „obrazą moralności”, trafia się za to do więzienia. - Prawdę mówiąc, nagie ciało Lee było bardziej przygnębiające niż cokolwiek innego, takie blade, włosy rzucały nikłe cienie. - Nie podoba mi się, że w tym stanie rozmawiasz z moim synem.

- Nic na to nie poradzę, że posiadał twoją zdolność, by widzieć rzeczy niewidzialne - powiedział Lee.

- Znowu wyrzuciłeś lekarstwa, jak przypuszczam.

- Matka patrzy mi na ręce - rzekł Lee. - Patrzy mi w usta. I obserwuje mnie, żebym nic nie wypluł.

- Tak ich nienawidzisz?

- Przez nie czuję się, jakbym poruszał się w świecie zasnutym mgłą - odparł Lee. - Kiedy ich nie biorę, wszystko nabiera takich wyraźnych, ostrych konturów. Dostrzegam nieskończoność. A moje myśli - myślę myślami Boga. Nie muszę spać. Nie spałem od pięciu dni.

- Może i tak - powiedział Step, ale jeśli Lee jest Bogiem, to Bóg żuje gumę. - Dlaczego tu jesteś?

- Jeśli naprawdę chcesz być moim rzecznikiem, musisz się poddać testowi.

- Ja nie chcę być twoim rzecznikiem, Lee. Gdzie twoje ubranie?

- To są szaty mojej niewoli - odparł. - Nigdy nie miałem ubrań.

- No dobra, nie pasują przecież na twoją matkę?

- Moja matka cię lubi - powiedział Lee. - Sądzi, że jesteś naprawdę bystry.

- Miło mi.

- Lecz twierdzi, że nie lubisz kobiet psychiatrów.

- Jest w błędzie - rzekł Step.

- Och, nie musisz udawać. Ja ich też nie lubię. Są takie napuszone. I nie wiedzą, jak to jest. Mają te swoje leki, by zmienić cię w robota, kiedy jesteś tak blisko, by objąć wszystko wzrokiem. By ogarnąć wszystko.

Wszystko, czego akurat teraz potrzebuję, pomyślał Step, to sposobu na bezpieczne dostarczenie cię pod opiekę matki, bez powiadamiania policji, jeśli to możliwe, i bez pozostawiania dzieci bez opieki.

- W tym życiu nigdy nie ogarniamy wszystkiego, Lee.

- Ja tak - rzekł Lee. - Widzę, że planujesz zadzwonić do mojej matki.

- Oczywiście - powiedział Step. - Potrzebujesz lekarstwa.

- Już nigdy więcej. Mam zamiar nie kłaść się spać przez siedem dni, a siódmego dnia osiągnę pełnię mocy. Sam wiesz, sen poskramia nasze umysły. Raz już mi się niemal udało. Prowadziłem wtedy moją czarną jak smoła gablotę; wiedziałem, że wystarczy, bym oparł głowę odpowiednio na fotelu, a wtedy wszędzie pofrunę. Był we mnie Bóg. Szkoda, że tego nie zrobiłem, Step. Lecz policja nie chciała mnie słuchać. Facet z tego parkingu musiał do nich zadzwonić. Nie chciał zrozumieć, że to już jest mój samochód. Jechałem dokładnie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę, więc policjanci nie mogli mnie zatrzymać. Lecz nie mieli szacunku dla prawa. Wiedzieli, że muszą mnie zatrzymać, nim zacznę się unosić. Odcięli mi drogę, jakieś pięć czy sześć policyjnych wozów, i wysiadłem z auta, kiedy mi polecili, ale oni jeszcze kazali mi się położyć i żwir pokaleczył mi twarz, to naprawdę bolało. - Jego głos pod koniec wibrował płacząco. Coś jak skowyt, dziecięce łkanie. Step przypomniał sobie piskliwy, dziecięcy głosik Howiego Mendela. Zabawne było, kiedy go wydawał.

- To zdarzyło się w szpitalu. Powiedziałem im, że nie cierpię być skrępowany. Lecz tak czy inaczej zdarli ze mnie odzież, włożyli mi coś podobnego do kaftana bezpieczeństwa, jaki musisz mieć, gdy kładą cię na stole. Możesz, na przykład, unieść jedną rękę, lecz jeśli to zrobisz, zaciskają się wszystkie pozostałe opaski, razem z tą opasującą gardło. A więc jeżeli podniesiesz naraz obie ręce, możesz się udusić. Tak sobie wtedy myślałem, a gdyby tak spaść ze stołu? Uduszę się tu, a oni nie zrobią nic, bo są o mnie zazdrośni i chcą, żebym umarł, nim wzrośnie moja potęga.

- Lee, sądzę, że oni chcieli ci pomóc.

- To mnie zabijało. Zacząłem więc krzyczeć: „Nie znoszę tego, nie znoszę tego!” Powtarzałem to w kółko, ale kiedy w końcu zjawił się ten facet, zacisnął pasy jeszcze mocniej, że nie mogłem ruszyć nawet jedną ręką, i powiedział: „Nie popuścimy, dopóki nie pokażesz nam, że panujesz nad sobą”. Ja im na to: „Jak mogę panować nad sobą, skoro jestem związany? Musicie pozwolić mi wstać, nigdzie nie odejdę, obiecuję”. Lecz on odparł: „Akurat!” Wówczas przyjechała moja mama z lekarstwem, ale kiedy chciała mi je zaaplikować, wyplułem je prosto na nią. - Zaniósł się szaleńczym śmiechem. Potem przestał. - Nie pozwala mi już prowadzić. Musiałem tu przyjść na piechotę. Patrz. Moje stopy krwawią.

Powiedział prawdę. Kiedy usiadł na trawie i pokazał stopy, Step dojrzał w słabym świetle

dobiegającym z werandy, że są poważnie pokaleczone i pobrudzone kawałkami żużlu i ziemią.

- To musi boleć - rzekł Step.

- Mnie ból nie dotyczy - odpowiedział Lee. - Wiem, że stoję na krawędzi potęgi. Ból nic dla mnie nie znaczy. Mógłbym cię przełamać na pół, a ty byś mnie nie skrzywdził. Mógłbym rozerwać cię na kawałki.

Step wyobraził sobie Lee rozmawiającego w tym stanie z Robbiem i wstrząsnął nim dreszcz.

- Nadszedł czas na twój test - powiedział Lee. - By się przekonać, czy jesteś godzien zostać moim sługą i towarzyszyć mi w nieśmiertelności.

Step wyobrażał sobie kilka sposobów osiągnięcia nieśmiertelności i nie życzył sobie, żeby któryś z nich znalazł teraz swoje zastosowanie, a szczególnie ten uwzględniający Lee Weeksa.

- Nie mam zamiaru poddawać się żadnym testom.

- W porządku. Ale założę się, że nie zgadniesz, jak nabrałem mamę z tym lekarstwem.

Step powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Schowałeś tabletkę w gumie do żucia.

Lee zarechotał z uciechy.

- To właśnie był test! Zdałeś go!

- Tylko jedno pytanie? I to ma być cały test?

- Dokładnie. Teraz mam zamiar wziąć cię z sobą. - Lee podpełzł na czworakach do żywopłotu, gdzie zaczął czegoś szukać. Pistoletu? Step nie miał ochoty czekać biernie na odpowiedź.

- Zaczekaj no chwilę. A co z moim testem dla ciebie?

- Mnie nie poddaje się testom - wycedził Lee. - Jestem Bogiem, idioto.

- Ty tak mówisz. Każdy może tak powiedzieć.

- Ale jestem niewidzialny.

- Nie dla mnie.

- Jaki w takim razie jest ten twój test? - spytał w końcu Lee.

- Wejdę tylko po coś i to wezmę.

- Co weźmiesz?



- To test. Będzie to przedmiot, a ty będziesz mi musiał powiedzieć, skąd go wzięłem. Jeśli jesteś Bogiem, zgadniesz.

- Już wiem, co to jest. Bóg już przejrzał twój test na wylot. Kiedy cię pytałem, to był żart.

- Okej - rzekł Step. - Zaczekaj tutaj.

Otworzył drzwi frontowe, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Zmierzając do telefonu, zawołał Steviego. Telefon u dr Weeks już dzwonił, kiedy Stevie wszedł do kuchni.

- Przynies mi natychmiast piłeczkę Robbiego. Powiedz mu, że jest mi teraz bardzo potrzebna.

Wtedy odezwała się dr Weeks.

- Czy szuka pani Lee?

- Jest u pana?

- Goły rozpowiada, że zapewni mi nieśmiertelność. Być może ma przy sobie pistolet.

- Lee nie nadużywa przemocy - odpowiedziała.

- Jego stopy są mocno poranione. Sądzę, że potrzebna będzie karetka.

- Zaraz tam będziemy. Niech mu pan nie pozwoli odejść. - Odłożyła słuchawkę.

Zbliżył się Stevie z piłeczką. Robbie szedł za nim.

- Idźcie z powrotem do pokoju Betsy, chłopcy - nakazał im Step. - Zostańcie tam i nigdzie nie wychodźcie.

Kiedy wyszedł znowu na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi i wyciągnął piłeczkę.

- Poznajesz? - zapytał.

- Przyzwałem ją i przybyła do mnie - powiedział Lee. - Przyzwałem ją powtórnie i oto mi ją przynosisz.

- Skąd mam tę piłeczkę, Lee? Jeśli jesteś Bogiem, będziesz to wiedział.

- Dostałeś ją od Robbiego, oczywiście.

- Nie, Robbie dostał ją ode mnie. Jako prezent. Pytam więc powtórnie, skąd mam tę piłeczkę?

Lee próbował kilku odpowiedzi, ale po każdej natychmiast zastrzegał się, by Step mu nie wyjawiał, czy ma rację.

- To bardzo trudne. Masz wielką moc, bracie Fletcher. Zdolny jesteś ukryć tę wiedzę przede mną.

Gra w zgadywanke trwała, dopóki dziesięć minut później nie pojawił się ambulans wraz z dr Weeks na pokładzie.

- Wyrolowałeś mnie, sukinsynu - powiedział Lee.

- Istotą testu było - rzekł Step - poznanie, że to wcale nie był test.

Furia Lee przeszła w rozczarowanie.

- W takim razie nie zdałem.

- Nie jesteś Bogiem, Lee. Jesteś po prostu miłym chłopcem z poważnym problemem.

Lee stał bez ruchu, gdy mężczyźni z karetki chwyтали go za ramiona. Dr Weeks podeszła do niego, ze strzykawką w dłoni.

- Proszę, nie, mam - powiedział Lee. - Wszystko zburzysz, wszystko pójdzie na marne.

- Musisz się przespać - rzekła dr Weeks.

- Muszę się przespać z tobą - powiedział Lee ze śmiechem. - Czy nie tak właśnie twierdził twój drogocenny Freud? Muszę zabić tatę i przespać się z tobą.

- Jak tym razem pozbyłeś się tabletki?

- Step wie.

- Schował ją w gumie do żucia - poinformował Step.

Lee wyglądał na przybitego.

- Powiedziałeś.

Dr Weeks nacisnęła tłoczek strzykawki i Lee patrzył zafascynowany, jak ciecz wpływa mu do ręki.

- Czy to szybko działa?

- Tak - odpowiedziała dr Weeks.

Rzeczywiście tak było. Kiedy wnosili go do karetki, Lee nie miał siły utrzymać się na nogach. Wewnątrz umocowali go pasami.

- Zabierzcie go od razu do ośrodka - przykazała im dr Weeks. - Już go oczekują. Wkrótce się tam zjawię.

Odjechali. Dr Weeks stała na trawniku, mierzając Stepa wzrokiem.

- Dziękuję - powiedziała.

- Musi być pani ciężko - rzekł Step. - Być psychiatrą i równocześnie mieć dziecko dotknięte depresją maniackalną.

- To z przyczyny Lee zostałam psychiatrą. Żebym mogła go zrozumieć.

- A rozumie pani?

- Nie - przyznała się. - Nie, gdy znajduje się w takim stanie. A nawet wtedy, gdy nie znajduje się w takim stanie. Myślę, że podoba mu się własne szaleństwo. Myślę, że nie chce być zdrowy. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Pan mnie nie lubi, panie Fletcher.

- Wydaje mi się, że powinna nas pani ostrzec, kiedy Lee przyłączył się do Kościoła.

- Kiedy ktoś jest samotny i zmysły odmawiają mu posłuszeństwa - powiedziała cicho - chwyta się nawet strzępka nadziei.

- Spodziewała się pani, że może nam uda się go wyleczyć? - spytał Step, myśląc o siostrze LeSueur i zastanawiając się, czy podjęłaby się tego zadania.

- Nie. Ale pomyślałam, że skoro wierzycie... że Bóg przemawia do ludzi... Pomyślałam, że możecie go zaakceptować.

- Tak też postąpiliśmy - odparł. - W znacznej mierze.

- I ja tak postąpiłam - powiedziała dr Weeks. - W znacznej mierze.

Kiedy już odeszła, przetrząsnął żywopłot, szukając tego, co zostawił Lee. Okazało się w końcu, że to nie broń. Znalazł „Księgę Mormona”, którą Lee dostał od misjonarzy.

Trwała jesień, rozkład dnia nie zmienił się w zasadniczy sposób. Jerusha przyprowadziła z sobą w czasie październikowej wizyty fizykoterapeutę, który wyjaśnił Stepowi, że to, co robi - chodziło o napinanie mięśni Zapa i poruszanie kończynami w największym możliwym zakresie - jest nie tylko dobre, ale i nieodzowne.

- Jego mózg może nie być normalnie połączony z mięśniami. Kiedy wydaje rozkaz, dawka jest zbyt silna, dlatego tak mocno kopie, lecz nagle impuls zanika, tak po prostu, skutkiem czego żaden ruch nie jest dłużej podtrzymywany. Sam z siebie nie potrafi utrzymać w kończynach giętkości, że tak powiem. Więc powinniście pilnować, by jego ścięgna nie zeszywniały. Tak samo ćwiczy się pacjentów pogrążonych w śpiączce.

- Jak długo będziemy musieli to robić? - zapytał Step.

- Dopóki nie znajdzie jakiejś innej ścieżki nerwowej, wtedy sam o to zadba. Tak się stanie, zobaczycie. Dajcie mu tylko trochę czasu.

Brzmiało to budująco, od tego czasu DeAnne i Step zmieniali się dwa razy dziennie, gięli i rozciągali wszystkie stawy Zapa. Nawet Robbie i Stevie brali udział w tej pracy - Stevie wykonywał ją cicho, bez słowa, powtarzając dokładnie to, co zauważył u Stepa i DeAnne; Robbie był zbyt brutalny i nigdy zbyt nie przestrzegał prawidłowej metody, dlatego rodzice nalegali, by skupił się jedynie na „zginaniu Zapa”.

Najcięższą pracą DeAnne związaną z Zapem była kąpiel. Zap wiele nie płakał - tylko wtedy, gdy go bardzo bolało, co zdarzało się najczęściej, gdy karmiła go mieszanką, a jemu rzadko przy tym się odbijało. Jednakże kąpiel była dla niego męczarnią. Z jakiegoś powodu wpadał w popłoch na widok wody. Być może, Step spekulował, dlatego że siła grawitacji jest jedyną rzeczą, nad którą panuje w życiu, a w wodzie grawitacja nie działa już w ten sam sposób. DeAnne odpowiedziała tylko: „Może, ale kto to wie na pewno?” Ważne, że kąpiel była jedyną chwilą, kiedy Zap naprawdę się złościł, miotał się, jego desperackie okrzyki ćwiartowały po prostu serce DeAnne, ponieważ nie mogła mu ulżyć, nie przerywając przy tym kąpieli. Ostatecznie wynalazła piosenkę zatytułowaną „Na wanienkę czas”. Była kompletnie absurdalna i kiedy pierwszy raz zdała sobie sprawę, że Step jej słucha, zaczerwieniła się i przerwała, ale nalegał, by nauczyła go słów; potem śpiewał razem z nią, tak więc od tej pory już się nie wstydziła.

Na wanienkę czas już na wsi,

Na wanienkę czas też w mieście.

Do wanienki, do wanienki

Jeremy’ego dzisiaj nieście!

Więc szuru-buru, rach ciach ciach,

Pod pościel już wskoczyć musisz.

Do wanienki biegnie cały świat,

Więc proszę cię, nie krzyw buzi.

Jak wyjaśniła Stepowi, piosenka w ogóle nie pomaga Zapowi. Ale pomaga jej. Uspokaja ją w takim stopniu, że może znieść desperackie szlochanie, nie przerywając kąpieli i zachowując przy tym serce w jednym kawałku.

Gdzieś w połowie października Step i DeAnne uświadomili sobie, że zachowanie Stewiego zmienia się nieznacznie. Nie był już taki posłuszny jak uprzednio, czasami zdawał się nawet buntować. Panowała teraz zasada, zgodnie z którą żadne z dzieci nie mogło wyjść na zewnątrz bez towarzystwa przynajmniej jednego z rodziców, z czego Stevie zdawał sobie sprawę - Step kilka razy przyłapał Betsy wychodzącą samą na podwórko i przyprowadzał ją do domu. Ale pewnego dnia DeAnne,

wchodząc do pokoju dziennego od tyłu, spostrzegła, że Stevie wraca z podwórka.

- Stevie, co robiłeś na zewnątrz?

- Rozglądałem się - odpowiedział Stevie.

- Wielkie nieba, młody człowieku, ależ ty jesteś upaprany! Gdzie ty się podziewałeś?

- Byłem pod domem - powiedział.

Przypomniała sobie obramowanie z płytek wokół podstawy budynku i momentalnie powrócił wymaginowany obraz tego, co się mogło pod spodem znajdować, wszystkie te robaki, pajęczyny, błoto i brud. Spotkanie ze świerszczami wyskakującymi z dziury w szafce ściiennej zeszej zimy na pewno nie pomogło jej zmienić tej wizji.

- To po prostu nie do wiary! - powiedziała. - Znasz zasady dotyczące wychodzenia na zewnątrz i pomyśleć, że wydlubałeś płytkę i wczłogałeś się pod dom, tego po prostu nie da się opisać! Mam zamiar poprosić Bappy'ego, by załatał wszelkie dziury. A teraz idź do pralni, zrzuć z siebie te łachy, a ja przygotuję ci kąpiel.

Tego samego wieczoru DeAnne omówiła to zdarzenie ze Stepem i oboje doszli do wniosku, że przez to ciężkie przystosowywanie się Stewiego i ich troskę o jego niewidzialnych przyjaciół nadmiernie mu pobłażali. Mogą nie wykształcić w nim odpowiedniej dyscypliny.

- Ale pomyśl, nie musieliśmy wpajać mu tej dyscypliny - rzekł Step. - No wiesz, do teraz nie popełnił żadnego wykroczenia.

- No tak, ale to było do dzisiaj, a teraz nie wiem, co zrobić. Nie mogę zacząć zamykać tylnych drzwi na trzy spusty i chować kluczy, bo co będzie, jeśli na przykład wybuchnie pożar? Już widzę nagłówek w gazecie: RODZINA MIAŁA MNÓSTWO CZASU NA UCIECZKĘ, LECZ WSZYSTKIE DRZWI BYŁY ZAMKNIĘTE, A KLUCZY NIE UDAŁO SIĘ SZYBKO ODNALEŹĆ.

- Nie pisze się takich długich nagłówek - zauważył Step.

- No tak, w porządku, więc wszyscy zginiemy i nikt nigdy nie dowie się dlaczego?

- Mniej wstydu przynajmniej.

- Sądzę, że musimy go przekonać, że to poważna sprawa. To znaczy, jest gdzieś w Steuben morderca, a Stevie wymyka się z domu bez powiadomienia nas. Nie wspominając o czołganiu się pod domem, co dla mnie jest ohydne.

- Nie tak do końca - rzekł Step. - Nie, zważywszy na to, że moje młodsze rodzeństwo zwykło jadać ziemię.

- Do kroćset! - wykrzyknęła DeAnne. - Czy musiałeś mi o tym mówić?

- Wracali do domu z twarzą ubabraną błotem i próbowali odgrywać niewiniątka, kiedy mama pytała: „Znowu jedliście ziemię?” Otwierali buzie, by powiedzieć: „Nie, mamó”, a w ustach było czarno od szlamu.

- Zaraz zwymiotuję, Step. Mówię poważnie.

- Chcę tylko powiedzieć, że dzieciaki lubią bawić się z ziemią. Zawsze lubiłem kopać, ryć, a może Stevie ma podobne upodobania, tylko nie za bardzo ma gdzie to robić.

- Ten dom wynajmujemy. Nie możemy tak po prostu wyrwać skrawka trawnika.

- Och - powiedział Step. - To właśnie miałem zasugerować.

- Mamy październik, na zewnątrz nie będzie już cieplej. A co najważniejsze, to nie ma związku z wychodzeniem z domu bez pozwolenia. Musi wiedzieć, że nie żartujemy.

- Okej, więc uwięzimy go w domu.

- Step, więzienie w domu nie jest normalne. Poza tym chcę, żeby wychodził.

- A zatem zakażemy mu używać komputera. Jutro zero Atari.

- Och, to naprawdę zaboli. Zawsze gra w Lode Runnera.

- Naprawdę? Nigdy nie widziałem, żeby w niego grał. Sądzę, że ja jestem jedyną osobą, która w to grała - myślę, że gra okazała się całkiem chybionym prezentem na urodziny.

- Nie, gra w nią cały czas. Nawet kilka razy sądziłam, że fajnie by było, gdybyś mnie nauczył, jak się w nią gra.

- To nic trudnego. Upewniasz się tylko, że nie ma w komputerze żadnych cartridge'ów, wkładasz dyskietkę, zamykasz drzwiczki i uruchamiasz maszynę.

- No tak, dla ciebie i Stewiego to łatwe.

- Zróbmy to więc teraz.

Przeszli do pokoju dziennego, gdzie Step pokazał jej, co należy zrobić, potem włączył komputer i uruchomiła się gra, a wówczas Step powiedział:

- Oto ją masz. Prowadzisz po prostu ludzika za pomocą joysticka i starasz się zebrać wszystkie skarby, uważając jednocześnie na tych zbirów.

- To nie jest Lode Runner - stwierdziła DeAnne.

- Jak to nie jest? Jest.

- Nie, to tylko ta gra z ludzikiem. Widziałam, jak ty w nią grasz.

- To prawda, a gra z ludzikiem nosi nazwę Lode Runner.

- Nie - sprzeciwiła się.

Step wyłuskał ze stacji dyskietkę i pokazał jej etykietkę.

- Zobacz! To ci dopiero cud! Na dyskietce napisano Lode Runner, a jednak na ekran wyskakuje niewielki ludzik!

- Nie, to znaczy, oczywiście, masz rację, po prostu myślałam, że Lode Runner to inna gra.

- Tak, która?

- Ta, w którą Stevie zawsze gra. Gra ze statkiem piratów. Czasami naprawdę wygląda pięknie, kiedy tak sobie żeglują, żagle łopoczą na wietrze. Na wanty wspinają się marynarze - nigdy nie widziałam podobnej gry. Bez obrazu, ale ciągle myślałam: „Żeby Step mógł zrobić podobną grę”.

- Oczywiście, nie czuję się urażony - odparł Step. Był lekko poirytowany, ale liczyło się to, że ona także widziała tę grę z piratami, widywała ją dostatecznie często, by dostrzec jej cechy charakterystyczne. - Musi wyłączać ją, kiedy tylko jestem w pobliżu. Widziałem ją tylko przelotnie.

- Wcale nie, gra w nią godzinami - rzekła DeAnne.

- Przy tobie?

- No jasne.

- Przez cały czas rozmawiając ze swymi przyjaciółmi?

- Hm, no tak - odpowiedziała. - To wtedy podchwytyję ich imiona. Gdy słucham, co do nich mówi.

- Zauważyłaś może, co robi z joystickiem, kiedy gra?

- Och, sądzę, że porusza nim raz na jakiś czas, ale to inny typ gry.

- No, nie powiedziałbym - rzekł Step. - A czy wstukuje coś? Używa klawiatury? Albo wiosłek?

- Jakoś nie pamiętam - odparła DeAnne. - A o co chodzi?

- No bo jeżeli nie posługuje się joystickiem ani klawiaturą, ani czymkolwiek, więc co to za gra? Co on naprawdę robi?

- Czy musi robić cokolwiek?

- DeAnne, jeśli ma wpływ na to, co dzieje się na ekranie, to wtedy to jest gra, w przeciwnym razie to film.

- No dobrze, ale ludzie chodzą na mecze futbolu i oglądają je, a choć nigdy nie kopią piłki, to w dalszym ciągu jest to gra.

- Bo na boisku grają istoty ludzkie. Lecz jaki człowiek steruje tym statkiem korsarzy? Przecież nie Stevie.

DeAnne zmarszczyła czoło.

- Wiesz, że nie znam się na komputerach, naprawdę, z wyjątkiem uruchomienia twojego Altosa i dostania się do Wordstara, w którym mogę pisać materiały dla Kościoła.

- Uwierz mi na słowo. Przyczyną, dla której nie stworzyłem nigdy gry z tak cudowną animacją, jest to, że tego się nie da zrobić.

- A właśnie, że się da - uparła się DeAnne. - Sama widziałam.

- Na tej maszynie jest tylko 48 kilobajtów RAM-u, a dysk nie pomieści nawet stu kilobajtów. Trzysekundowy rejs tego statku wraz z marynarzami pnącymi się na maszty pochłonąłby ostatni skrawek tej pamięci. A mimo to statek porusza się cały czas po ekranie, tak?

- Dwa statki, czasami trzy - powiedziała DeAnne.

- Czasem też są mniejsze lub większe?

- Stają się większe, kiedy podpływają bliżej, tak sędzę.

- Tego się nie da zrobić. Z pewnością tego się nie da zrobić tak, by animacja była płynna.

- Dobrze, ale ja to widziałam, Step, więc nie mów mi, że tego nie można zrobić, skoro nie wiesz jak!

Step powstrzymał się od dalszej polemiki.

- Cała ta dyskusja ma tylko wyjaśnić, jak dać Steviemu do zrozumienia, że poważnie traktujemy sprawę wychodzenia na dwór, pamiętasz?

- No tak.

- Więc powiemy mu, że jutro nie może włączać komputera, okej?

- Okej.

Nie było to wcale takie proste. Kiedy oznajmili to Steviemu następnego ranka przy śniadaniu, nim poszedł do szkoły, wyglądał na naprawdę wstrząśniętego.

- Nie możecie - powiedział.

- Zdaje mi się - rzekł Step - że możemy.



- Proszę - błagał Stevie. - Będę już grzeczny.

- Wiemy, że jesteś grzecznym chłopcem - powiedziała DeAnne. - Ale musimy pomóc ci zrozumieć, jak ważne jest, żebyś nie wychodził z domu bez pozwolenia.

- Proszę, nie zakazujcie mi używać komputera. - Zaczął płakać. Upłynęły całe miesiące, odkąd Stevie płakał po raz ostatni.

- Przecież nie zabieramy ci go na zawsze - powiedział Step.

- Tylko na jeden dzień - dodała DeAnne.

- Nie możecie - opierał się dalej Stevie.

- Czemu nie? - zapytał Step.

Stevie odsunął miskę z płatkami, położył głowę na stole i szlochał.

Step spojrział na DeAnne skonsternowany.

- Stevie - powiedziała DeAnne. - Twoja reakcja martwi mnie niemal w tym samym stopniu, co złamanie reguły niewychodzenia z domu. Nie miałam pojęcia, że tak uzależniłeś się od komputera. Sądzę, że to niezdrowe. Może potrzebujesz spędzić z dala od komputera o wiele dłuższy czas niż jeden krótki dzień.

Przy tych słowach Stevie odsunął krzesło i chwiejnie podszedł do kąta przy oknie. Wyglądał dziko, był zdesperowany.

- Nie możecie! To jedyna rzecz, dla której jeszcze zostają! Jeśli nie będę mógł grać, odejdą!

DeAnne i Step spojrzeli po sobie, równocześnie dochodząc do tej samej konkluzji. Czy pozbycie się jego wyimaginowanych przyjaciół było aż takie łatwe? Należało po prostu wyłączyć komputer?

- Nie macie prawa! - Stevie wrzeszczał na nich. - Tak się starałem!

Słowa Stewiego były tak dziwne, że Step przypomniał sobie rozmowy z Lee w czasie jego napadów szaleństwa. Nie, pomyślał Step, odrzucając porównanie. Po prostu nie rozumiem kontekstu wypowiedzi Stewiego. Jeśli zrozumie kontekst, wszystko nabierze sensu.

- Uspokój się, Kluczniku - rzekł Step. - Uspokój się, zrelaksuj. Twoja mama nie powiedziała wcale, że definitywnie odbieramy ci komputer. Ale spójrz na siebie. Wymykasz się spod kontroli. To jest groźne, każe nam przypuszczać, że poświęcasz o wiele za dużo czasu komputerowi.

- Nie tyle, ile ty spędzasz przy swoim - odparował Stevie.

- Przypadkiem to moja praca. Przypadkiem z tej pracy pokrywamy opłaty za dom, jedzenie i szpitalne rachunki Zapa.

- Czy tylko ty jeden w rodzinie masz pracę do wykonania? - zapytał Stevie.

To pytanie zadziwiło Stepa.

- A co, może ty masz pracę do wykonania? - zapytał chłopca.

- Proszę, nie zabraniajcie mi grać na komputerze. Nigdy już nie będę niegrzeczny, proszę, proszę, proszę.

- Stevie, ty nie byłeś niegrzeczny, tylko po prostu...

- W takim razie nigdy już nie będę taki, jaki byłem, tylko nie każcie mi przestać z nimi grać, odejdą i już ich nie odnajdę. Tak ciężko było ich wszystkich razem zebrać, tak ciężko.

Nagle w wyobraźni Stepa ukazał się obraz. Ta gra ze statkami piratów stała się w umyśle Stewiego całym światem wymaginyowanych przyjaciół. Bawił się z nimi na podwórku za domem, ale teraz wszystko przeniosło się do mieszkania, więc mógł ich znaleźć jedynie wtedy, gdy grał. Oznaczało to, że może Stevie już nie ma halucynacji. Może widzi ich tylko wtedy, gdy stanowią piksele poruszające się na ekranie; ogarnia go lęk na myśl, że jeśli wyniosą się w inne miejsce, już ich nie odnajdzie.

No tak, czy nie tego właśnie chcieli? Sądzieli, że Stevie nie czyni żadnych postępów, lecz bez ich wiedzy chłopiec przestał mieć halucynacje. Zatem postęp dokonywał się stopniowo i powoli, dzięki czemu nie musieli wywierać na niego presji. Wymyślił tych chłopców, by pasowali do imion, które mu narzucono, by obdarzyć ich materia, potem zaś dobudował im cały świat. Trzeba pozwolić, żeby z nich wyrósł, żeby proces, który się rozpoczął, trwał. Żeby powrócił do rzeczywistości,

- Co powiesz na to? - spytał Step. - Zamiast odcinać cię od komputera, wyznaczmy limit czasowy. Jeśli odrobisz zadanie domowe, zjesz obiad, wykąpiesz się, a to wszystko przed siódmą trzydzieści, możesz grać do ósmej trzydzieści, a później, choćby waliły się góry, komputer zostaje wyłączony, a ty jesteś w łóżku.

- Codziennie? - zapytała DeAnne. - To mi nie wygląda na wielkie ograniczenie.

- Może porozmawiamy o tym później? - zwrócił się do żony. - Zaczniemy od godziny dziennie, a potem zobaczymy. W porządku, Stevie?

- Nawet dzisiaj? - zapytał chłopiec.

- Dziś wciąż obowiązuje zakaz - powiedziała DeAnne.

- A może by inaczej - zasugerował Step. - Zaraz po szkole nie ma mowy o komputerze, a później ja z mamą porozmawiamy i postanowimy o wieczorze.

DeAnne popatrzyła na niego, w jej oczach dało się wyczytać irytację, lecz wyraz twarzy Stepa

pozostał nieprzenikniony, kazał jej dostosować się do umowy mówiącej, że nigdy nie będą odgrywać dobrego i złego rodzica na oczach dzieci - choć w rzeczywistości sam naruszył tę umowę.

Tak naprawdę umowa uwzględniała niewypowiedziane uzgodnienie, że jeśli jeden rodzic jest o czymś głęboko przekonany, drugi rodzic, mniej przekonany, nie będzie się przeciwstawiał. I chociaż DeAnne wyraźnie czuła, że powinna mieć pierwszeństwo, sam fakt, że Step mimo to nalegał, powiedział jej, że powinna się wycofać.

Tak więc zrobiła.

Stevie uspokoił się już znacznie, choć oczy wciąż miał podkrążone, a twarz bladą.

- Sądziś, że możesz pójść dziś do szkoły? - spytał Step.

Przytaknęła.

- Stevie, czy zaprzyjaźniłeś się z kimś w tym roku w szkole?

Wzruszył ramionami.

- Stevie, czy dzieci rozmawiają z tobą?

Wzruszył ramionami, potem skinął głową.

- Stevie, czy bywa, że dobrze się bawisz?

Stevie patrzył przez chwilę na niego.

- Jasne - rzekł w końcu.

- No tak, ale oprócz komputera?

Kiedy Stevie nie odpowiadał, wtrąciła się DeAnne:

- Jeśli któryś z was, chłopców, chce zdążyć dziś do szkoły, musimy już wyjeżdżać. A potem wasz ojciec i ja mamy zamiar odbyć długą rozmowę.

Odbyli rozmowę, która jednak nie była burzliwa. Step wyjaśnił swój punkt widzenia, DeAnne zgodziła się z nim, oboje zdecydowali, że ograniczanie do jednej godziny czasu przy komputerze pozwoli Steviemu wyzwolić się, bez stresu związanego z przerwaniem grania i nagłą utratą przyjaciół.

- Najśmieszniej było - powiedziała DeAnne - no wiesz, wtedy, gdy powiedział: „Czy tylko ty jeden w rodzinie masz pracę do wykonania?”

- Tak, nie wiedziałem, czy zachwycić się, że okazuje tyle emocji, czy też przerazić się faktem, że po raz pierwszy w życiu krzyczał na swego ojca.

- Wiesz, o czym pomyślałam, kiedy to mówił? Pomyślałam: „Czy nie wiecie, że muszę się troszczyć o sprawy mego ojca?”

Step spoglądał na nią i po chwili powiedział:

- A czy ty wiesz co mi to przypomina?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Lee Weeksa - rzekł Step. - Najpierw myśli, że jest Bogiem, a potem ty myślisz, że jesteś Dziewicą Maryją.

- Ja nie żartowałam.

- Miałem nadzieję, że żartujesz - powiedział Step.

- Może on zajmuje się czymś naprawdę poważnym, Step. Może ma bardziej wyrazistą wizję świata niż my. To znaczy, wiemy już, że w niektórych aspektach on rozumie więcej od nas, zawsze tak było.

- Nie przeczę - powiedział Step. - Ale mówimy tu o grach komputerowych.

- Mówimy o Steviem, który ma świadomość zła nawiedzającego ziemię. Czyżbyś już zapomniał, że znał imiona?

- Seryjny morderca nie dał znaku życia, odkąd ukazał się ten artykuł.

- Ale chłopcy, których zabił, są wciąż martwi - powiedziała DeAnne. - A Stevie ciągle bawi się z wyimaginowanymi przyjaciółmi, którzy noszą ich imiona. Skąd my możemy wiedzieć, co jest, a co nie jest ważne? Kiedy Jezus, będąc chłopcem, stał w świątyni, rozmawiając z uczonymi w piśmie, większą wagę to miało niż ciesielska praca Józefa i troska matki.

- Może masz rację. Lecz mimo że Maryja martwiła się o niego, Józef nadal strugał w drewnie, ponieważ to była jego praca. A kiedy przyszli, by zabrać Jezusa ze świątyni, udał się wraz z nimi. Nie stał, płacząc i krzycząc na nich. Wiem, DeAnne, ale bez przesady.

- Masz rację. Po prostu opowiedziałam ci, o czym wtedy myślałam.

Ostatni raz Lee Weeks zadzwonił dwudziestego szóstego października, w środową noc. Był to drugi dzień inwazji na Grenadę i Step przerwał pracę, cały dzień śledził wiadomości. O pierwszej w nocy Step nadal siedział przed odbiornikiem, w pokoju dziennym przełączał programy z wiadomości na głupie, stare filmy. Kiedy zadzwieczał telefon, pomyślał, że albo ktoś umarł, albo dzwoni z Utah ktoś, kto zapomniał o różnicy czasu.

- Rozpętała się wojna - powiedział Lee.

- Cześć, Lee - powiedział Step.

- Oszczędziłem ćwierć dolara, które mi posłałeś. Podniosłem je z chodnika, gdzie je zostawiłeś.

Proszę, pomyślał Step, proszę nie dzwoń już do mnie więcej.

- Widzieli, jak podnoszę coś z chodnika i przeszukali mnie, lecz ja je połknąłem.

- Połknąłeś ćwierć dolara?

- Wiedziałem, że dostanę monetę z powrotem, a kiedy się to stanie, zadzwonię. Znalazłem ją tego dnia, kiedy wysadzili piechotę morską. Poznałem, że Bóg ma dosyć świata, a później ty posłałeś mi ćwierć dolara i pomyślałem, że jestem gotowy. A teraz, gdy wojna rozgorzała na planecie, dostałem z powrotem moją ćwierćdolarówkę.

- Skąd dzwonisz? - zapytał Step.

- Z aparatu w poczekalni. Nie mogę długo mówić, bo salowi zauważą, że nie wracam do łóżka. Dlatego musisz działać szybko. Czy łódź podwodna jest gotowa?

- Lee, ja nie mam żadnej łodzi podwodnej.

- Nie! - krzyknął. - Nie! Nie!

Step chciał kazać mu zniżyć głos, lecz zdał sobie sprawę, że jeśli Lee znajduje się w jakiejś instytucji i ukrywa się, pozwalając mu krzyczeć do słuchawki, spowoduje, że szybciej go odnajdą.

Jednak po chwili Lee przestał krzyczeć.

- Ona mnie tu wsadziła - powiedział. - Lecz Bóg traci już cierpliwość. Męczą go te moje powroty do spania, ale nic na to nie poradzę. Nic na to nie poradzę. - Zaczął płakać.

- Lee, wszystko będzie dobrze, naprawdę.

- Step, jesteś moim jedynym przyjacielem. Jedynym, który kiedykolwiek zrozumiał świetlistą istotę w moim podłym ciele.

- Masz rację, Lee. Ugrzązłeś w ciele, które nie funkcjonuje prawidłowo. Które przekazuje ci wypaczoną wersję rzeczywistości.

- Staralem się dociec prawdy - rzekł Lee. - Lecz nie dostrzegłem wszystkiego, no nie? Nie sprawdziłem się. Więc zamierzasz odpłynąć beze mnie, a ja tu będę tego następnego, fatalnego dnia. Lecz nie lękam się. Raczej umrę, niż będę żyć, wiedząc, że nie mam tego, czego potrzeba, by się uratować.

- Lee, wcale nie zaważyłeś testu. Po prostu musisz zażyć lekarstwo, które ci dają.

- Tak właśnie się mówi tym, którzy przegrywają. Ja to rozumiem, Step. Powinieneś być mnie spalić, widząc, jak jestem słaby. Ale nie jestem tak słaby, jak przypuszczają. Odpłaciłem im. To takie cudowne, spodoba ci się! Chcesz wiedzieć, co zrobiłem?

- No jasne - rzekł Step.

- Nie umyłem monety - Lee parsknął śmiechem, długim i głośnym. - Nie... umyłem... monety!

Step usłyszał nagle wiele głosów. Lee przestał się śmiać i powiedział całkiem radośnie:

- No to na razie!

Wszystko ucichło.

## **Rozdział czternasty**

### **Boże Narodzenie**

Oto jakie Stevie kupił prezenty pod choinkę: dla Robbiego Go-Bota, ponieważ Robbiego nazywano czasem Robotem i chłopiec lubił wszelkie pojazdy, a Go-Bot zmieniał się z jednego w drugie, kiedy tylko się chciało. Dla Betsy dwie spinki z niebieskimi kokardami, gdyż była bardzo dumna ze swych długich włosów, lecz zawsze wpadały jej do oczu. Dla Zapa nabył kasetę z piosenkami dla mormońskich dzieci, sprzedaną przez córkę Dolores LeSueur, Janet - dystrybutorkę Jasnej Muzyki na obszarze Steuben - w dniu, kiedy wpadła do nich, łącząc zamówienie handlowe z domowym nauczaniem w ramach programu Stowarzyszenia Pomocy.

Dla Jacka samochód wyścigowy Hot Wheels, gdyż chłopak był bardzo szybki. Dla Scotty'ego talię kart, gdyż chełpił się, jaki to z niego wytrawny pokerzysta. Dla Davida kupił pieska ze sztucznej porcelany, gdyż ten uwielbiał psy. Dla Roddy'ego harmonijkę ustną, gdyż lubił piosenki. Dla Petera kłębek sznurka, gdyż ten lubił puszczać latawce. Dla Vana miecz Vadera, gdyż „Gwiezdne wojny” były jego ulubionym filmem. Dla Sandy'ego pistolet na wodę, gdyż chłopiec świetnie celował.

Stevie zachował swoje kieszonkowe i dodał je do dwudziestu dolarów świątecznych pieniędzy - jakie Step i DeAnne wręczyli każdemu dziecku - tak więc starczyło mu, prawie. DeAnne zabrała ze sobą Steviego i Zapa w wózku, a Step Robbiego i Betsy, tak więc dwie pary dzieciaków mogły kupić dla siebie prezenty i dla tego z rodziców, którego z nimi nie było; później spotykali się w części spożywczej supermarketu, jedli słodkie bułeczki i rozdzielali dzieci, by mogli dokończyć zakupy. DeAnne pierwsza zorientowała się, dla kogo kupuje prezenty Stevie. Bezowocnie starała się go odwieść od tego pomysłu.

- Stevie - powiedziała - nie pozwala się dzieciom kupować prezentów dla przyjaciół, tylko dla rodziny.

Stevie spojrział na nią i powiedział:

- Poza mną nikt im nie kupi prezentów.

Wobec takiego obrotu sprawy nie miała serca mu zakazywać, choć sama sobie złorzeczyła. No cóż, pomyślała, przynajmniej nigdy nie wymagał od nas, byśmy zostawiali miejsce przy stole dla wymyślanego przyjaciela, jak czynią niektóre dzieci. Każdego wieczoru musielibyśmy wynajmować salę bankietową.

Kiedy zakupy dobiegły końca i wszyscy w chłodny, wietrzny wieczór maszerowali do samochodu, Stevie powiedział:

- Mamo i tato.

- Tak, Stevie?

- Nie kupiłem wam prezentów, lecz to w porządku, bo robię coś innego.

- Nie ma sprawy, Stevie. Tak naprawdę niczego nam nie potrzeba, może oprócz jedności w rodzinie, szczęścia i uprzejmości - powiedziała DeAnne.

Stevie nic więcej na ten temat nie powiedział.

Lecz jeszcze tego wieczoru, gdy byli sami w pokoju, DeAnne i Step dyskutowali o problemie jego prezentów dla wymyślanych przyjaciół.

- Co mamy z nimi zrobić? - spytał Step. - To samo co z listami do Świętego Mikołaja? Zostawi je pod choinką, a następnego ranka podłożymy prezenciki niby to od jego przyjaciół?

- Nie możemy tego zrobić - powiedziała DeAnne. - Nie możemy zachęcać go, by wierzył w to jeszcze bardziej.

- Sam już nie wiem - rzekł Step. - Może zaplanował jakiś specjalny sposób wręczenia im prezentów czy coś w tym stylu?

- Wszystko, co możemy zrobić, to improwizować na bieżąco.

Tego roku Boże Narodzenie przypadało w niedzielę, co zawsze było bolesne, gdyż oznaczało konflikt między amerykańskim zwyczajem otwierania prezentów w Boże Narodzenie rano a mormońskim wymogiem udania się na sakramentalne spotkanie. Z ulgą dowiedzieli się, że w gminach Steuben kultywuje się tradycję ograniczania się do pojedynczego, połączonego spotkania sakramentalnego o godzinie dziesiątej, odwołując szkółkę niedzielną i pozostałe spotkania, by każdy wrócił do domu jeszcze przed południem. W ten sposób, jeśli nawet otwieranie prezentów miało zostać rozdzielone na dwie części, dzieciaki otrzymają wszystkie prezenty w podkolanówkach nim pójdą do kościoła - tylko te od Mikołaja będą leżały pod choinką. Zatem ich zniecierpliwienie zostanie rozładowane.

Ale specjalne bożonarodzeniowe sakramentalne spotkanie oznaczało poważne zaangażowanie chóru. Dyrygentka chóru z drugiej gminy uważała się najwidoczniej za najwybitniejszą solistkę zachodniej półkuli i Mary Anne Lowe szybko została zepchnięta na dalszy plan: chór uformował się wyłącznie pod wskazówkami dyrygentki drugiej gminy. DeAnne rozważała pomysł zbojkotowania chóru z czystej lojalności wobec Mary Anne, lecz Mary Anne tylko się roześmiała.

- Są święta - powiedziała. - Dlaczego mam się martwić, kto jest szefem? Chcę jedynie śpiewać i postarać się, byśmy wspaniale wypadli, aby reszta gminy poczuła, że naprawdę jest Boże Narodzenie.

Ostatnie tygodnie grudnia cechowała wzmożona aktywność w gminie, okręgu, w Kole Pomocy i w zgromadzeniu, mnożyły się bożonarodzeniowe przyjęcia, spotkania, programy, próby chóru odbywały się przy każdej nadarzającej się okazji. Step uczęszczał na tyle prób, na ile mógł sobie pozwolić, zamieniając się z DeAnne, tak że nie musieli wyprowadzać dzieci z domu zbyt często. Pogoda zmieniała się na gorsze, powietrze stawało się mroźne i chodziła plotka, że w Wigilię nadejdzie tak zimny front, że mieszkańcy Steuben będą myśleć, iż w ciągu jednej nocy ich miasto przeniosło się za koło polarne.

W tym czasie Step pracował w zwariowanym tempie nad uruchamianiem Hacker Snacka na PC, który naprawdę nabierał kształtu fantastycznego programu. Musiał się z nim uporać przed Nowym Rokiem, by otrzymali resztę honorarium na czas, należało bowiem wyrównać świąteczne rachunki na kartach kredytowych, nie wspominając o ostatniej racie za szpitalny rachunek Zapa i ostatniej z zaległych opłat należnych IRS. Urzędnik zaklinał się na wszystkie świętości, że tego roku IRS nie wyczyści całkowicie ich kont, by nie zostali z zaległościami za świąteczne zakupy, jak to się zdarzyło w Indianie. Lecz Step i DeAnne w czasie świąt trzymali w banku jak najmniej pieniędzy, płacąc za wszystko gotówką bądź kartami kredytowymi; IRS nie dotrzymał jeszcze żadnej obietnicy w swej żalostnej historii załatwiania problemów ich zaległych opłat, tego roku też nie spodziewali się, by miało być inaczej.

Niedziela poprzedzająca Boże Narodzenie była klęską w kościele, gdyż Dolores LeSueur odkryła, że dwa biskupstwa postanowiły dodać coś nowego do bożonarodzeniowego programu w tym roku. W zeszłych latach mąż Dolores, Jacob (nie Jake, nie Cubby), czytywał cały tekst zatytułowany „Ten drugi mądry człowiek”, o którym poinformowano Dolores we śnie, że wcale nie jest fikcją; miał zawierać się początkowo w Ewangelii św. Jana, ale został wymazany przez nikczemnych skrybów, pracujących dla czczącego słońce cesarza Konstantyna w czwartym wieku naszej ery. Tego roku gminy zdecydowały, że krótką mowę wygłosi Emil Houdon, który latem odwiedził Ziemię Świętą, na przekór upalnej pogodzie i walkom w Libanie. Emil zgodził się opowiedzieć dwie inspirujące



anegdoty i po dziesięciu minutach było już po wszystkim. Każdy, kto znał plany na ten rok, sądził, że będzie to najlepsza bożonarodzeniowa niedziela w ostatnich czasach. Jednakże siostra LeSueur wiedziała, że to znak, że obie gminy znajdują się na prostej drodze do apostazji i podniosła takie larum, że w niedzielne południe, osiemnastego grudnia, obowiązywała decyzja, iż cały program, wraz z występami chórów, zostanie zamieniony na czytanie „Tego drugiego mądrego człowieka”.

Zaraz potem dyrygentka chóru z drugiej gminy dowiedziała się, że ją wymanewrowano i teraz ona z kolei wywołała taką wrzawę, że o czwartej po południu, kiedy dobiegły końca spotkania drugiej gminy, program chórów był przywrócony, a specjalne sakramentalne spotkanie miało się przez to wydłużyć do około dwóch godzin, jeśli wszystko pójdzie gładko. Członkowie biskupstwa wracali do domu ze świadomością kompletnej porażki, lecz przynajmniej wdzięczni, że ta cała chryja zakończyła się bez telefonowania siostry Dolores do władz w Salt Lake City.

Wszystkie te wydarzenia Step i DeAnne obserwowali z mieszaniną wstrętu i rozpacz.

- I pomyśleć tylko, że gdy byłam dzieckiem, zastanawiałam się, w jaki sposób prawdziwy Kościół Chrystusowy może kiedykolwiek zostać zmieciony z ziemi - powiedziała DeAnne.

- Och, to małe piwo - odparł Step. - Zabijano już ludzi podczas kłótni o to, którego dnia powinno się obchodzić Wielkanoc.

- No tak, ale my powinniśmy wiedzieć lepiej.

- Wiemy. Lata upływają, a nikt jak dotąd nie zorganizował publicznego kamienowania Dolores LeSueur. Gminy Steuben zamieszkują sami święci.

Tego wieczoru DeAnne pojechała na próbę chóru, gdzie wraz z Dolores LeSueur dzieliły się wspólnym śpiewnikiem. Dobrze im się razem śpiewało, lecz pod koniec próby, po finałowej pieśni, gdy ludzie zakładali już swe płaszcze i zabierali torebki, i - w niektórych przypadkach - dzieci, Dolores położyła rękę na ramieniu DeAnne i powiedziała:

- Siostró Fletcher, modlę się i modlę o waszego chłopca i chcę, byście wiedzieli, że Bóg go naprawdę kocha.

- Jestem tego pewna - odrzekła DeAnne.

- Nie mogę podzielić się z tobą wszystkimi świętymi znakami, jakie ujrzałam w wizji dotyczącej waszego chłopczyka, ale mogę wyjawić, że błogosławieństwem dla was będzie wiedzieć, iż jego duch jest tak prawy i nieskażony, że zostanie zabrany do niebieskiego królestwa, nie smakując uprzednio grzechu ni pokusy.

DeAnne domyśliła się, że siostra LeSueur zakłada, iż Zap jest umyślowo chory i zostanie potraktowany jak dzieci zmarłe przed chrztem, które nie osiągnęły wieku poczytalności. Czyli że dostanie się prosto do nieba. Denerwowało ją wielce, że zakłada coś, czego nawet lekarze nie ośmielają się twierdzić - że Zap będzie umyślowo upośledzony. A we wściekłość już wprowadzał ją słodki, anielski uśmiech na obliczu Dolores - DeAnne zdawała sobie doskonale sprawę, że ta kobieta

rano straszyla i zlorzeczyła, przez co ona i jej rodzina będą musieli przesiedzieć całe dwie godziny sakramentalnego spotkania w najchłodniejszy bożonarodzeniowy poranek w historii Steuben.

Położyła swą dłoń pewnie na dłoni Dolores, przytrzymując ją jak w imadle, po czym przybliżyła swą twarz bardzo blisko do jej twarzy. Wtedy spokojnym, lecz maksymalnie napiętym głosem wycedziła:

- Mój syn, Jeremy, jest dzieckiem Boga, jak każde inne dziecko, będzie musiał przejść przez te same próby i decyzje w życiu, co pozostałe dzieci. Jeśli dostanie się do królestwa niebieskiego, to dlatego tylko, że wybrał prawość. A ponadto, siostrze LeSueur, jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz opowiadać mnie, bądź komukolwiek na tej planecie, o wizjach dotyczących mojej rodziny, jakie w swoim mniemaniu otrzymałaś, obiecuję, że kiedy obie będziemy martwe, a ty staniesz przed bożym trybunałem, skoczę na równe nogi i opowiem Panu o twoim horrendalnym, samolubnym zachowaniu tego ranka, kiedy zastraszyłaś biskupów, by pozwolili twemu mężowi czytać tę samą marną historię piętnasty raz z rzędu. Zapewniam cię, że jeśli Bóg jest sprawiedliwy, odeśle cię prosto do piekła.

Mniej więcej od połowy tej przemowy siostra LeSueur próbowała zdjąć swą dłoń z ramienia DeAnne, ale skoro DeAnne przygwoździła ją tam, siostra LeSueur mogła jedynie odwrócić głowę, niczym dziecko odmawiające wysłuchiwanie surowego napomnienia rodziców. Kiedy DeAnne ostatecznie ją uwolniła, siostra LeSueur, chwiejąc się, zrobiła kilka kroków do tyłu, odwróciła się i syknęła:

- Wybaczam ci, siostrze Fletcher! I będę się za ciebie modlić!

Same słowa były, zwyczajowo, błogosławieństwem; lecz wypowiedziano je z taką nienawiścią, głośno, złośliwie, że każdy, kto jeszcze guzdrał się w kaplicy, odwrócił głowę w jej stronę. DeAnne nie potrafiłaby ułożyć tej sceny lepiej, gdyby wcześniej chciała się zabawić w choreografa: sama spokojnie stała i spoglądała niemal ze zdziwieniem; Dolores LeSueur, nachylona ku niej, twarzą niczym maska Gorgony, usta otwarte z wargą pogardliwie wygiętą, oczy płonące, oblicze tak czerwone, że poprzez makijaż zdawało się różowe.

Trwało to jedynie moment. Wtedy DeAnne powiedziała:

- Dziękuję, siostrze LeSueur.

Dolores, odzyskawszy panowanie nad sobą, odwróciła się, by czmychnąć z budynku, lecz sposób, w jaki ludzie odwracali od niej wzrok, wskazywał, że jeśli ktoś w tej grupie jeszcze wierzył w szczerą siostrę LeSueur i jej zrównoważony temperament, złudzenia te właśnie legły w gruzach.

- Będę to uważała za swój podarunek pod choinkę dla gminy - powiedziała później DeAnne Stepowi.

W środowy wieczór Step zmagił się z podprogramem obsługującym listę najlepszych wyników Hacker Snacka, przez co gra zawieszala się w jednym przypadku na cztery bez żadnej dostrzegalnej przyczyny. Miał przy tym świadomość, że DeAnne właśnie kładzie dzieci do łóżek i ma przy tym trochę kłopotu, częściowo dlatego, że następnego dnia nie ma zajęć w szkołach i Stevie z Robbiem

zachowują się tak, jakby w ogóle nie musieli kłaść się spać.

Na koniec Step usłyszał, jak DeAnne mówi do Steviego:

- Trzy razy prosiłam, żebyś wyłączył ten komputer i położył się spać, Stevie, a ty ciągle powtarzasz „tak”, a kiedy przychodzę po półgodzinie, siedzisz, jak siedziałeś. To, że jutro nie ma szkoły, nie znaczy wcale, że wygasła reguła dotycząca spędzania tylko jednej godziny przy komputerze.

Ton jej głosu był naprawdę podniesiony, a Step tak był przybity tym, że nie mógł nigdzie w programie znaleźć błędu, iż wreszcie wstał od biurka i wypadł na korytarz, by użyć pełnej mocy zagniewanego męskiego głosu w celu wyegzekwowania posłuszeństwa. Dawno już spostrzegli wraz z DeAnne, że na jej głos dzieci łatwo obojętnieją, gdy tymczasem Step osiąga te same rezultaty, co ryk trąb jerychońskich. Wszedł do pokoju dziennego i stanąwszy za krzesłem Steviego, powiedział:

- Twoja matka nie powinna cię prosić aż trzy razy, byś coś zrobił, Stevie.

Ale mówiąc to, dostrzegł, że na ekranie zagościła nowa gra; nie pamiętał, by ją kiedyś widział. Po torze mknął pociąg, sceneria zmieniała się bardzo szybko. Animacja była tak samo szybka, grafika tak samo realistyczna, jak w tej niemożliwej grze o piratach i - zupełnie jak w tamtej grze - w pociągu rojno było od postaci. Wtem przypomniał sobie, iż w przerwach między napomnieniami DeAnne Stevie wymawiał imiona swych przyjaciół i pokrzykiwał coś takiego: „Uda ci się. Musi ci się udać!” Lecz sama gra nie mogła sprawiać aż takiej frajdy - dzieciaki biegały tylko po dachach, przeskakując z wagonu na wagon, bez wrogów, bez przeszkód, bez niczego. Byli sami. Cudowna grafika, brak sensu.

Stevie sięgał ręką za komputer, żeby go wyłączyć.

- Stój! - krzyknął Step. - Nie ruszaj ręką. Nie wyłączaj komputera. Po prostu wstań, natychmiast, i idź do swego pokoju. Ja wszystko powylączę.

Stevie wahał się przez chwilę. Step zauważył, że chłopak decyduje: posłuchać czy nie. Step mógłby sięgnąć i zmusić go, lecz tego nie zrobił. To musiał być wybór Steviego; po chwilowym wahaniu Stevie wyszedł z pokoju, pozostawiając włączony komputer.

- Szkoda, że nie mogę pożyczyć twego głosu, gdy przychodzi pora kłaść dzieci - powiedziała DeAnne. - Wrzeszczę na nie i ryczę, aż zaczynam się czuć, jakbym sprzedawała ryby na bazarze, a ty wchodzisz, wymawiasz trzy zdania i one posłusznie idą.

Step nie zwracał większej uwagi na jej słowa, wślizgnął się na krzesło Steviego i usiłował podjąć wątek gry. Ale w jakiś sposób wszystkie sylwetki znikły z ekranu. Został tylko pędzący pociąg. Gdy Step poruszył joystickiem, by sprawdzić, co się stanie, tło zatrzymało się również, pozostał jedynie ten pociąg i nic poza nim. A potem znikły tory, koła przestały się toczyć.

A potem ekran stał się niebieski. Pusty.

- Step, dlaczego kazałeś mu ją zostawić, skoro już ją sam wyłączyłeś?

Step przysunął klawiaturę, wpisał komendę LIST. Wcisnął „Enter”, w nadziei, że jakaś część niezwykłego kodu tego programu pozostała w pamięci, by mógł ją zbadać. Lecz nic się nie stało. Nawet nie wyświetlił się napis ERROR. Cursor przeszedł po prostu do początku następnej linii. Step wpisywał różne komendy, wciskał klawisz „Enter” wielokrotnie. Tło zaczęło się przesuwać, nic poza tym.

- Nie ma tu żadnego programu - powiedział.

- Co znaczy, nie ma?

- Atari jest w trybie oczekiwania.

- No tak, ale przecież piszesz.

- Tylko tyle mogę zrobić. Ale nie można uruchomić programu.

- Czy możesz go zresetować?

Step otworzył stację dysków. Żadnej dyskietki. Sprawdził cartridge. Nie było żadnego cartridge'a.

- Nigdy tu nie było programu.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się DeAnne. - Tyle tu leży dyskietek.

- Czy już widziałaś wcześniej tę grę z pociągami?

- Nie - odparła DeAnne.

- Od urodzin Steviego nie kupowałem żadnych gier. A już na pewno nie widziałem tej gry w Eight Bits Inc., zanim odszedłem. Przeglądałem wszystkie dyskietki, szukając tamtej gry o piratach, i z pewnością nie napotkałem żadnej o pociągach.

- Stevie ma osiem lat, Step. Sam jej nie napisał.

- DeAnne, nikt jej nie napisał. Nie rozumiesz tego? Nie było żadnego programu na tej maszynie.

DeAnne stała nieruchomo, wpatrując się w błękitny ekran.

- Szkoda, że go wyłączyłeś - powiedziała. - Szkoda, że nie przypatrzyłam im się lepiej.

- Komu?

- Chłopcom. Zaginionym chłopcom. Jego przyjaciołom.

Oboje przez chwilę spoglądali na ekran, po czym Step westchnął i powstał.

- Nie wiem - powiedział.

- Czego nie wiesz? - zapytała.

- Co robić. Co myśleć. Nic.

W czwartek Zap się rozchorował. Była to jego pierwsza choroba, oprócz rozstroju nerwowego, i DeAnne ze Stepem nie bardzo wiedzieli, jak sobie z nią poradzić. Z jednej strony, mając już prawie pięć miesięcy, Zap nadal nie potrafił samodzielnie poruszyć głową. Gdyby leżał na plecach i wymiotował, zachodziło ryzyko, że nie odwróciłby głowy, by opróżnić usta. Udławiłby się wymiocinami, udusił się. Lecz gdyby leżał na brzuchu, jego twarz też by się w nich taplała, dostałyby się do nosa i oczu, mógłby zacząć je wdychać. Mimo to nie płakał i nie miał zbyt wysokiej gorączki. W każdym razie DeAnne zadzwoniła do lekarza, który przykazał jej robić dokładnie to, co i tak cały czas robiła. Zatem trzymała go nieustannie i kołysała, czekając, aż znowu zwymiotuje albo nie zwymiotuje przez tak długi okres, iż będzie mogła położyć go z powrotem do łóżeczka, nie czując niepokoju.

- Żadnej mieszanki jak na razie - poinformowała Stepa. - Może zatrzyma moje mleko?

Zaczął się to wkrótce po lunchu i trwało przez resztę popołudnia. Step oczywiście przestał pracować, bawił się z Robbiem i Betsy w chwilach między pomaganiem DeAnne, przyrządzaniem obiadu, odbieraniem telefonów i innymi sprawami, które ciągle trzeba było załatwiać. Step nie potrafił zrozumieć, jak DeAnne może tak żyć, nie mogąc skoncentrować się na niczym, przeskakując z jednej pracy do drugiej.

Stevie, oczywiście, nie brał udziału w dziecięcych zabawach, lecz to już przestało kogokolwiek dziwić. Niespodzianką natomiast było, że kiedy Step przechodził przez pokój dzienny, by odpowiedzieć na dzwonek u drzwi, zauważył, że Stevie nie gra na komputerze. Musi nadal być w swym pokoju i pakować prezenty, pomyślał. Wcześniej pożyczył taśmę i nożyczki.

Przy drzwiach stał Bappy. Na jego ustach błąkał się trochę nieśmiały uśmiezek.

- Nie chcę przeszkadzać - powiedział - ale jestem starym, sentymentalnym głupcem, przejeżdżałem tędy dwie noce temu i widziałem, że nie świecą się wam żadne świąteczne lampki.

- Nie mieliśmy czasu - rzekł Step.

- Ach, tego ostatnio mi nie brakuje i gdzieś mam jeszcze te lampki, które zakładaliśmy tu rok temu i jeszcze wcześniej. Założę się, że wszystkie stare gwoździe i te sprawy są na swoim miejscu. Nie macie nic przeciwko, jeśli przyciągnę tu drabinę i położę wam trochę po dachu? Nie nabije wam dużo na liczniku, tym bardziej że do Bożego Narodzenia już tylko parę dni.

- Nie, wszystko w porządku - powiedział Step. - Będzie miło. Gdzie mam je podłączyć?

- Z tyłu jest gniazdko, przy drzwiach do pralni. Przeprowadzę tylko przedłużacz z dachu. Ten sam co rok temu, więc wiem, że działa.

- To wspaniale. Dzięki - powiedział Step.

Bappy skinął głową i pomachał, choć stał przecież w drzwiach, potem poszedł w kierunku swego pikapa i Step zamknął drzwi.

Dokładnie wtedy, gdy zmierzał do kuchni, by zbadać, jak mają się klopsy, które przygotował, Zap zaczął znowu wymiotować, udowadniając tym samym, że mleko DeAnne nie utrzymuje się w nim wcale dłużej niż mieszanka. Teraz, zamiast być zadowolony po zwymiotowaniu, Zap stroił fochy. Plastikową opaską na czoło DeAnne ponownie zmierzyła mu temperaturę, miał prawie trzydzieści osiem stopni.

- Muszę go zabrać do lekarza - powiedziała. - Gdyby był normalnym dzieckiem, poczekałabym jeszcze, ale on jest taki słaby.

Zatem gdy powtórnie wymyli Zapa, Step odszukał numer telefonu i zadzwonił do gabinetu doktora Greenwalda; pani, która odebrała, obiecała przekazać wiadomość i dwie minuty później lekarz oddzwonił. DeAnne po rozmowie z nim powiedziała:

- Ma zamiar wrócić do gabinetu tylko po to, żeby zbadać Zapa. Czyż to nie miłe z jego strony?

- A jeśli zwymiotuje, gdy będziesz prowadzić samochód? - spytał Step.

- O tym nie pomyślałam - przyznała DeAnne.

- Sądzisz, że Mary Anne zgodzi się wpaść do nas i popilnować dzieci, kiedy ja was odwiozę?

- Zgodzi się, jeśli będzie mogła.

Mogła, a ponieważ nie mieszkała daleko, miała zjawić się za kilka minut.

Step wspomniał o klopsie.

- Nie mogę uwierzyć, że zegar jeszcze nie zabrzączał - rzekł.

- Może ma to coś wspólnego z faktem, że go nigdy nie nastawiono?

- O, nie, muszą już być spalone na popiół.

- Nie sądzę. - DeAnne uśmiechnęła się. - Kuchenka nie jest włączona.

- Nie włączyłem kuchenki?

Jasne jak słońce, klopsy były surowe.

- No cóż, nie możemy tego włożyć do ust - zauważyła DeAnne.

- Możemy je teraz ugotować, no nie? Mary Anne poda jej dzieciom, kiedy będą gotowe.

- Nie, Step. Nie można podawać klopsa, który tak długo przeleżał w temperaturze pokojowej.

- Tylko mi nie mów, że mięso może się zepsuć tak szybko.

- Nie chodzi o mięso - rzekła DeAnne. - Chodzi o jajka.

- Zapomniałem o jajkach.

- Gdyby mnie tu nie było, dzieci by co chwilę miały salmonellę.

- Możliwe. W takim razie, co będzie z kolacją?

- Rzuć na stół kilka misek i zimne płatki, potem wołaj dzieci, by jadły - poradziła mu DeAnne. - To ostatnia deska ratunku dla śpieszącej się matki, ale zaraz, zaraz - przecież to ja nią jestem.

Robbie i Betsy zjawili się od razu.

- Stevie! - Step krzyknął powtórnie. - Chodź na kolację, w tej chwili!

Wiedząc, że syn go posłucha, Step wyszedł na zewnątrz, by otworzyć DeAnne drzwi samochodu. Akurat gdy DeAnne sadowiła się w środku z Zapem na rękach, Mary Annę zatrzymała się na podjeździe tuż za renaultem. Step odpowiedział na jej machnięcie, a ona przyłożyła dłonie do policzków, by okazać zmartwienie. Wrzuciła wsteczny bieg i zaparkowała na ulicy, przed pikapem Bappy'ego. Robiło się ciemno i przyszło Stepowi na myśl, że skoro Bappy nie zdążył się jeszcze uporać ze światełkami, powinien raczej zrobić przerwę. Niebezpiecznie jest chodzić po dachu w ciemności.

Mary Anne przybiegła i zapytała:

- Jak się ma mały Zap?

- Prawdopodobnie nie jest aż taki chory - powiedziała DeAnne. - Ale musimy się upewnić.

- Jeśli zadzwoni lekarz, pytając, gdzie jesteśmy, powiedz mu, że w drodze - poinstruował ją Step. - Dzieciaki zajmują się właśnie pokrywaniem wnętrza kuchni warstwą płatków kukurydzianych, więc wchodzisz na własne ryzyko. - Gdy Mary Anne pokonała już dwa schodki i wbiegała do środka, Step zawołał jeszcze:

- I zasuń blokadę na drzwiach!

- Zawsze tak robię! - odkrzyknęła.

Dr Greenwald chyba się nie gniewał, że tak długo zwlekali z przyjazdem do gabinetu, a po opukaniu, osłuchaniu i kilku testach pocieszył, że nie ma się czego obawiać. Przeprosili go za marnowanie czasu, lecz zapewnił, że mieli prawo się martwić.

- U tak delikatnego dziecka - powiedział - wszystko może być poważne.

Kiedy wrócili do domu, budynek był oświetlony naokoło białymi światłami.

- Sprawia wrażenie świni ze świecznikiem - powiedziała DeAnne.

- Jak na nadzwyczaj paskudny dom, pali się całkiem fajnie - odparł Step.

Gdy jednak weszli do środka, ogarnął ich chaos. Betsy i Robbie stali na krzesłach w kuchni, a kiedy tylko Step i DeAnne zjawili się w progu, zaczęli krzyczeć:

- Pająki! Długonogi!

Step nie dostrzegał w kuchni żadnych pajaków. Potrzymał dziecko, gdy DeAnne zdejmowała płaszcz.

- A gdzie Mary Anne? - zapytała DeAnne.

- Czy to wy, tam w drzwiach? - krzyknęła Mary Anne gdzieś z głębi domu.

- Tak, to my! - odpowiedziała DeAnne. - Gdzie jesteście?

- W krainie pajaków potworów! - wrzasnęła Mary Jane. - Potrzebna mi pomoc i dodatkowa rolka papierowych ręczników!

- Zajmij się Zapem i dziećmi - zwrócił się Step do DeAnne - a ja sprawdzę, co się dzieje w łazience. - Podskoczył do pralni, by wziąć rolkę papierowych ręczników.

- Nie przypuszczasz chyba, że mamy kolejny najazd owadów, no nie? - spytała go DeAnne.

- Nie - odparł. - Pająki to nie owady.

W łazience wyglądało na to, że ktoś chciał wyłożyć całe pomieszczenie papierowymi ręcznikami, a po przemyśleniu sprawy opryskał je atramentem. Lecz plamy atramentu okazały się martwymi długonogimi pajakami, a ręczniki stanowiły część strategii Mary Anne, polegającej na unieruchamianiu jak największej ilości intruzów i równoczesnym deptaniu tych, które nie ugrzęzły pod mokrym papierem.

Najwidoczniej, jako jedyna dorosła osoba w domu, Mary Anne panowała nad sobą. Lecz gdy tylko Step znalazł się w łazience i przystąpiła do wyjaśnień, co się wydarzyło, zaczęła trząść się i dygotać, potem pisnęła, gdy stworzenie wpadło jej na kostkę. Tupiała i tupiała, aż odpadło. Step złapał ją za ramiona i wyprowadził na korytarz.

- Stój tu i pilnuj, by żaden się nie wydostał. Nie zapominaj o patrzeniu w górę i sprawdzaniu sufitu.

Po wyjściu z łazienki uspokoiła się stopniowo, gdy tymczasem Step metodycznie unicestwiał pająki.

- Wychodziły z odpływu w wannie - odezwała się Mary Anne. Step zajrzał do wanny, była zatkana mokrymi ręcznikami. - Betsy siedziała akurat na swym nocniku, gdy zaczęła wrzeszczeć, a dopiero po chwili zorientowałam się, że krzyczy „Pająk, pająk!”



- Świetnie się spisałaś - pochwalił ją Step. - Nad wszystkim zapanowałaś. Nie uwierzysz, ale tak dzieje się mniej więcej raz na kwartał. Najpierw świerszcze, potem chrabąszcze i komary, w tę noc, gdy urodził się Zap. Sądzę, że nęka nas dziesięć plag egipskich.
- Pająki to najokropniejsze ze stworzeń. Nie mogę znieść sposobu, w jaki ich małe nóżki wznoszą się i opadają, robią to tak delikatnie, niczym monstrialne baletnice.
- Mów, mów. Nie mogę się doczekać, co pojawi się dziś w moich snach.
- Ty na nie patrzysz, moje słowa nie pogorszą już sprawy.
- Tak, ale właśnie nie patrzę na pająki, patrzę na monstrialne baletnice. Disney w swej „Fantazji” przegapił świetny pomysł.

Ostatecznie pająki uprzątnięto i wszystkie papierowe ręczniki zapełniły worek na śmieci. Gdy Step wrócił do kuchni, jak już wyniósł worek, Mary Anne stała przy stole, rozmawiając z DeAnne.

- No cóż, jesteś bohaterką, Mary Anne.
- Do usług. Tylko następnym razem pomińmy tę scenkę z pajakami. - Idąc już do pralni, zatrzymała się. - Ach, twoja mama dzwoniła, DeAnne. Wszystko gra, bez obaw, chciała tylko przepis na ciasto do szarlotki.
- Moja matka chce piec szarlotkę?
- A nigdy tego nie robi?
- Mój ojciec jest rodzinnym cukiernikiem - wyjaśniła DeAnne. - Lecz cuda się zdarzają, no nie? - Step wykręcił dla niej numer telefonu, potem wręczył jej słuchawkę, by nie musiała odrywać się od karmienia Zapa.

Pożegnali się z Mary Anne. Następnie nie obyło się bez odrobiny zamieszania, kiedy układali do snu Robbiego i Betsy. Stevie położył się już wcześniej i Step kazał Robbiemu przykryć się po cichu, żeby nie zbudził brata.

Dopiero gdy Step leżał w łóżku przy DeAnne, przypomniał sobie, że świąteczne lampki wciąż płoną na zewnątrz.

- A niech się palą - powiedziała DeAnne.
- Ty nie pozwoliłaś, by twoja rodzina zjadła tamto mięso, a ja nie pozwolę rodzinie spać w domu, na którego dachu podłączono jakąś dziwną instalację elektryczną.

Zarzucił na siebie szlafrok i wtedy przypomniał sobie, jak na zewnątrz jest zimno, zdjął z wieszaka płaszcz. Odnalazł za domem wtyczkę i wyciągnął ją, potem okrążył dom, by przekonać się, że wszystkie lampki zgasły. Zmarzył już porządnie, więc pognął do mieszkania, zaryglował drzwi, ściągnął płaszcz, na końcu obszedł ponownie budynek, sprawdził zamki w drzwiach i zerknął do

pokojów dzieci, by sprawdzić, czy są przykryte.

Owa rutyna nie ulegała od tak dawna zmianie, że dopiero gdy wchodził do swej i DeAnne sypialni, uzmysłowił sobie, że Steviego nie było w łóżku. Robbie spał jakby nigdy nic, lecz pościel Steviego była ściągnięta, a łóżko puste. Może poszedł na górę do łazienki? Nie było go w łazience dziecięcej ani nigdzie indziej, czyżby poszedł do łazienki rodziców?

Step obszedł łóżko dokoła i sprawdził łazienki. Ani śladu Steviego. Nieprawdopodobne. Jeśli Stevie nie bawił się w ciuciubabkę, chowając się w jakimś zakamarku, to nigdzie go nie było. Step udał się jeszcze raz do pokoju dzieci, by sprawdzić szafę w ścianie, nim wciśnie guzik alarmu, ale nagle skamieniał w progu. Zobaczył Steviego. Leżał na górnym łóżku. Pościel leżała w nieładzie, tak jak Step pamiętał, lecz Stevie tam był. Zwinął się w kłębuszek, wyglądał na pogrążonego we śnie.

Jestem przepracowany, pomyślał Step. Kiedy spojrzałem do pokoju, nie zauważyłem niczego niezwykłego, tak czy nie? Dopiero później pomyślałem, że go tam nie ma, ale oczywiście cały czas tam był.

Step powrócił do łóżka, gdzie DeAnne pochrapywała, wkrótce także zasnął. Jeśli śniły mu się pająki, nie pamiętał ich już rankiem.

Następne dwa dni cechowały się wzmożoną krzątaniną, ale należało się tego spodziewać. Każdy wstawał o innej porze i wyglądało, jakby połowa gminy wpadała do nich lub dzwoniła, nalegając, by Step i DeAnne zrobili to bądź tamto, jako część przygotowań do Bożego Narodzenia. Po południu w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy DeAnne pomagała Elizabeth zapakować prezent w pokoju dziennym, przypomniła coś sobie i zawołała Stepa, który w kuchni wyjmował zakupy.

- Przyszło mi właśnie na myśl, że nie pamiętam, by Stevie jadł cokolwiek ostatnimi dniami.

- Ja nie zauważyłem, żeby ktokolwiek jadł ostatnimi dniami! - Step krzyknął w odpowiedzi. - Nie sądzę, by ktoś jadł w obecności kogoś drugiego, odkąd zaczęły się ferie w szkole.

- Ja mówię poważnie - rzekła DeAnne. - Nie grał też na komputerze, przebywa głównie w swoim pokoju. Nie uważasz, że może być chory?

- Zobaczę się z nim, kiedy tylko uporam się z zakupami - zapewnił ją Step.

Zabrało mu to ledwie kilka minut, po czym poszedł do pokoju chłopców. Robbie siedział na podłodze, zawijając prezent.

- Wyjdź, wyjdź! - krzyknął na Stepa.

- Przepraszam - powiedział Step. Odwrócił się natychmiast i wyszedł na korytarz, zostawiając w drzwiach niewielką szczelinę.

- Zniszczyłeś niespodziankę! - krzyczał Robbie.

- Wcale nie - odpowiedział Step. - Niczego nie widziałem. Chciałem tylko sprawdzić, jak czuje się

Stevie.

- Nic mi nie jest - powiedział Stevie.

- Nic mu nie jest! - krzyknął Robbie.

- Słyszę go dość wyraźnie bez twojego pośrednictwa, ale mimo to dzięki, Robbie. Stevie, twoja matka martwi się, że nic ostatnio nie jesz.

- Nie jestem głodny.

- Musisz przecież coś jeść.

- Tak - odrzekł Stevie.

- Czy przyjdiesz dziś na kolację?

Stevie przez dłuższą chwilę milczał.

- Chyba tak - odparł na koniec.

- Stevie, czy wszystko w porządku?

- Tak. - Odpowiedź nadeszła po kolejnej pauzie.

Step wrócił do pokoju dziennego, gdzie DeAnne ciągle pakowała prezenty z Elizabeth, która raz na jakiś czas tak się przykladała do tego zajęcia, że po chwili miała z tuzin skrawków taśmy klejącej na twarzy, które sterczały niczym spalona na słońcu skóra.

- Och, Betsy, jak ty ładnie wyglądasz.

- Słyszałam, jak wołałeś Stewiego - powiedziała DeAnne.

- Robbie nie chciał mnie wpuścić do pokoju. Zawijał prezenty.

- Twoje już zawinął.

- Pakuje dla Zapa. Lecz nie chciał zepsuć niespodzianki.

- Czy nie kupił prezentu, kiedy był z tobą?

- Znasz Robbiego. - Jeśli zepsujesz jedną z jego niespodzianek, możesz równie dobrze odciąć sobie głowę, co ci zaoszczędzi cierpień.

Ostatecznie około godziny czwartej Step znalazł chwilę wolnego czasu, wślizgnął się wtedy do swego gabinetu, by posiedzieć parę minut nad programem. Był o włos od ukończenia pracy, a gdyby mu się udało, spędzałby święta o wiele bardziej zrelaksowany. Chodziło teraz już tylko o kosmetykę, co jednak oznaczało zmianę jednej, dwóch linii, skompilowanie wszystkiego, uruchomienie i

obserwowanie, jak się to prezentuje; potem następowo dalsze podrasowanie i ponowna kompilacja, i tak w kółko... Zegar pędził nieubłaganie, a postęp był niezauważalny.

- Step, czy nawet w Wigilię nie zejdiesz na kolację?

Step odwrócił się i zauważył DeAnne stojącą w drzwiach gabinetu.

- Poza tym Stevie też nie chce przyjść. Nie przygotowałam bankietu, ale nawet ludzie nie podlegający w pracy szefom pozwalają sobie na wolną Wigilię.

- Jestem już tak blisko, DeAnne.

- W porządku, jak chcesz - odrzekła, zamykając drzwi.

Step z westchnieniem wstał z krzesła. Kiedy wyszedł na korytarz, usłyszał, jak DeAnne mówi do Steviego:

- Nie będę cię prosić tysiąc razy! Najwidoczniej mężczyźni w tej rodzinie przestali już jeść.

- DeAnne - wtrącił się Step. - Już nie jest dobrze, kiedy mówisz jak twoja matka, lecz teraz mówisz jak moja.

Przez chwilę wyglądała na zaciętrzewioną, ale zdecydowała odebrać to jako żart.

- To mnie nawet cieszy - powiedziała. - Lubię twoją matkę. A ona lubi mnie. Prawdę mówiąc, lubi mnie bardziej niż ciebie.

- Bardziej niż ja cię lubię? Czy bardziej lubi ciebie niż mnie?

- I jedno, i drugie - odparła.

- To niemożliwe. - Dotarł już do końca korytarza, przytulił ją i szepnął do ucha: - Zapomnijmy o tych dzieciach, chodźmy zrobić sobie inne.

- Za wcześnie na to - powiedziała. - Jeszcze nie zapomniałam, jak to boli.

Oboje pamiętali o kłopotach z Zapem i słowa te nabrały nagle innego znaczenia; kiedy ją pocałował, zrobiło się romantycznie, czule i kojąco.

Potem otworzył drzwi do pokoju chłopców. Stevie leżał na łóżku, gapiąc się na sufit.

- Chodź na kolację, Stevie.

- Nie jestem głodny, tato.

- Nie pytałem wcale, czy chcesz jeść - powiedział Step. - Jest Wigilia i powinniśmy być razem.

- Myślę, że jest chory - powiedział DeAnne. - Może ma to samo co Zap dwa dni temu. -

Przecisnąwszy się obok Stepa, weszła do pokoju i skierowała się w stronę Steviego. A wtedy, ku zdumieniu Stepa - i DeAnne, oczywiście - Stevie wyprostował się, jakby go piorun poraził, i odsunął się od skraju łóżka.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął. Wyglądał na przestraszonego.
- No cóż, muszę cię dotknąć - powiedziała DeAnne. - Muszę sprawdzić, czy nie masz gorączki.
- Po prostu chcę jeszcze przez chwilę побыć tu sam.
- Stevie - nie ustępowała DeAnne. - Pozwól mi tylko sprawdzić, czy twoje czoło jest gorące.
- Nic mi nie jest - odparł chłopiec.
- DeAnne - powiedział Step. - Proszę, nie kłóćmy się z tego powodu w Wigilię Bożego Narodzenia.
- Ale jeśli on się źle czuje, nie mogę go tak zostawić...
- Wygląda w porządku - rzekł Step, wyprowadzając ją z pokoju.
- Nagle zmieniłeś się w cudownego lekarza, potrafiącego wydać diagnozę na odległość?

Gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Step zatrzasnął je i powiedział:

- DeAnne, czyżbyś nie dostrzegła jego spojrzenia? On był panicznie przerażony.
- Wiem, Step. Tym bardziej należy przypuszczać, że ma gorączkę. Nie zachowywał się rozsądnie.
- Jego twarz nie była ani blada, ani zaczerwieniona, jak to się zdarza podczas choroby. Jest naprawdę zmartwiony, lecz posłuchaj, co powiedział. Chce zostać sam.
- W Wigilię, to smutne. - Nagle zrozumiała, o co chodzi Stepowi. - To znaczy, bez swych wyimaginowanych przyjaciół.
- Czy widziałaś, żeby grywał na Atari przez ostatnie dwa dni? Choć raz?
- Chcesz powiedzieć, że pewne oznaki u niego się cofają?
- Nie wiem, lecz pewne jest to, że obecnie jest naprawdę spięty, więc zjedźmy coś sami, a potem wrócę i porozmawiam z nim, albo ty, jeśli chcesz; zobaczymy, czy da się uspokoić. Przecież nie ma zamiaru opuścić ceremonii, prawda? To on najlepiej o wszystkim pamięta, zawsze lubi opowiadać historie. Pojawi się, jeśli nie zrobimy z tego wielkiego halo.

DeAnne westchnęła.

- Gdy tylko stajesz się tak wyrozumiały i cierpliwy, jeśli chodzi o dzieci, czuję się, jakbym była sekutnicą.

- Jak się zatem czujesz, gdy na nie krzyczę? - zapytał Step.

- Usprawiedliwiona.

Po kolacji Step wyszorował zęby i poszedł do pokoju Stewiego, by namówić go na jakąś przekąskę. Stewiego nie było w łóżku; DeAnne musiała zaprowadzić go do kuchni.

Step zamierzał dołączyć do reszty rodziny, lecz zatrzymał się przy drzwiach do gabinetu i pomyślał: jeśli Stevie je, zabierze to trochę czasu, co zostawia mi kilka minut. Może uda mi się wreszcie to skończyć. Podjął pracę w przerwany miejscu.

Nie wiedział, jak długo już pracuje, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Okręcił się na krześle. DeAnne stała w progu, uwieszona do gałki. Wyglądała na trochę roztrzęsioną, jakby potrzebowała usiąść.

- O co chodzi? - zapytał zaciekawiony.

- Step, Stevie przyprowadził pod drzwi swych przyjaciół. Chce zaprosić ich na Wigilię.

Step poczuł skurcz w żołądku. Stan Stewiego wcale się nie poprawiał. Starał się, ale nie udało mu się opuścić tej krainy fantazji. Może dlatego, że zło nie opuściło jeszcze Steuben? Może nic się nie zmieni, dopóki nie złapią seryjnego mordercy? Albo dopóki się nie wyprowadzą.

- Może po skończeniu tego programu powinniśmy się wyprowadzić? - powiedział. - Zabrać stąd Stewiego na dobre?

- Nie, Step - odpowiedziała DeAnne. - Mam na myśli, że jego przyjaciele stoją przy drzwiach.

Nagle zmartwiało. Dlaczego wyglądała na tak słabą?

Czyżby moc wyobraźni Stewiego ostatecznie ogarnęła DeAnne? Nie, to nie mogło się zdarzyć, była o wiele za silna.

Wstał, chcąc ją objąć, wesprzeć. Ale gdy tylko zauważyła, że wstaje, odsunęła się od drzwi, a kiedy szła, zauważył, że stąpa pewniej, niżby przypuszczał.

Podążył za nią. Najwidoczniej nie chodziło o drzwi frontowe, bo nie kierowała się do pokoju gościnnego, tylko do pokoju dziennego. Tylne drzwi zostały uchylone, choć powietrze było przenikliwie zimne i w pomieszczeniu szybko spadała temperatura. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości od tych drzwi, zerkając na drugą stronę. Step podszedł bez wahania prosto do wyjścia i uchylił drzwi szerzej.

Na podwórku stał Stevie. Siedmiu chłopców skupiło się za nim, wiek ich mieścił się w płynnych granicach od pięciu do dziesięciu lat. Dwójka odziana była w ubrania zimowe, lecz pozostali mieli na sobie podkoszulki i krótkie spodenki, jeden kamizelkę.

- Tato - poprosił Stevie. - Czy mogą wejść? Powiedziałem im, że pozwolisz im dołączyć do nas na Wigilię. Za tym tęsknię najbardziej.

Step poczuł, jak DeAnne chwytła go za dłoń.

- Oczywiście, że mogą wejść - powiedział Step. - Czekaliśmy, by ich poznać.

Powiedzieć to jedno, drugie to oglądać, jak wchodzą po schodkach jeden za drugim i znikają w mieszkaniu. DeAnne, mająca lepszą pamięć do imion i twarzy, rozpoznawała ich na podstawie fotografii w gazetach.

- Van - powiedziała.

Jeden z chłopców uśmiechnął się do niej.

- Roddy. Peter? David. Jack. Scotty.

Jeden po drugim uśmiechali się do niej, a potem spoglądali po sobie, jakby mówiąc: hej, ona nas zna, zna nas.

- Sandy - powiedziała.

Step zamknął drzwi.

- Szkoda - rzekł Step. - Szkoda, że was wcześniej nie widziałem.

- Próbowaliśmy, tato - powiedział Stevie. - Wiedziałem, że im się uda, wiedziałem, że muszą pokazać się ludziom, bo nikt mi nie uwierzy, ale oni po prostu nie mogli wpaść na to jak. Musiałem im pokazać.

- Wierzyliśmy ci, synku - odparł Step. - Zawsze wiedzieliśmy, że nas nie okłamujesz.

- Ale myśleliście, że udaję. A ja nie udawałem.

Nastąpiła wtedy chwila ciszy, po której jeden z chłopców cichym, słabym głosem, powiedział:

- Wesołych świąt.

- Tak. - Step skinął głową. - Tak, wesołych świąt. Proszę, wejdźcie do pokoju gościnnego. Tam stoi choinka. Mieliśmy właśnie wykładać nasze prezenty i odbyć ceremonię, chcielibyśmy bardzo, byście byli z nami.

Chłopcy uśmiechali się. I Stevie - ach, Stevie też się uśmiechnął! Step niemal zapomniał, jaki ma uroczy uśmiech. Tyle upłynęło czasu.

Stevie ruszył do pokoju na czele oddziału drepczącego w milczeniu w ślad za nim.

DeAnne wciąż trzymała się jego ręki. Usłyszał, jak mruczy:

- Pokazał im, jak?

Lecz nie mógł teraz o tym myśleć. Była przecież Wigilia i Stevie ostatecznie przyprowadził swoich przyjaciół do domu.

Podążyli za chłopcami do pokoju, a wtedy powiedziała:

- Muszę przyprowadzić Robbiego, Betsy i Zapa. - Zostawiła go samego.

- Siadajcie - zaczął. - Gdziekolwiek, tylko zostawcie ten miękki fotel na biegunach dla mamy Stewiego, musi tam siedzieć i trzymać dziecko. - Po tych słowach Step rozejrzał się po pomieszczeniu, widząc je teraz jakby ich oczami. Choinka, pokryta różnorodnymi dekoracjami, w większości wykonanymi ręcznie, malusieńkie wyszywane poduszeczki, które DeAnne wykonała na pierwsze Boże Narodzenie, kiedy nosiła w łonie Stewiego. Małe zwierzątka - razem sklejali je na pierwszą choinkę, którą widział Stevie, choć oczywiście był wtedy bardzo mały i nie wiedział, co ogląda. Ozdoby starsze od Stewiego, pomyślał Step. Nigdy nie miał choinki bez nich.

I nie tylko choinki. Cały pokój był udekorowany czerwonymi i zielonymi tasiemkami i małymi wioseczkami z drewna; znalazł się też wypchany Święty Mikołaj obok sań z plecionki, ogromny dziadek do orzechów w formie kominiarczyka, prócz tego wiele innych rzeczy, które Step i DeAnne kupili lub zrobili przez te wszystkie lata.

DeAnne wprowadziła do pokoju Betsy i Robbiego. Betsy wstydziła się obcych, trzymała się trochę na uboczu, lecz Robbie chwycił bez pardonowo jej rękę i zaprowadził, by usiadła przed kanapą, obok nóg Step. DeAnne zasiadła w fotelu bujanym i tak ułożyła śpiącego Zapa, by mógł wszystko obserwować, chociaż nie było oznak, by czy jego zdolne były skupić się na jednym przedmiocie dłużej niż sekundę.

Rozpoczęli, śpiewając „A tam przy żłobie”, a kiedy Step śpiewał, utrzymując tempo, wspominał wszystkie te noce, miesiące i lata, kiedy leżąc obok łóżeczka Stewiego, nucił tę piosenkę, by małego opuścił strach i mógł zasnąć.

Wówczas nadszedł czas na historie. Step na wstępie poprosił Robbiego, by opowiedział im o aniele przybywającym do Maryi. Potem poprosił Stewiego, by opowiedział, co zrobił Józef, gdy dowiedział się, że Maryja jest w ciąży, i tak dalej: Robbie, po nim Stevie, potem DeAnne lub Step opowiadali fragmenty dotyczące Bożych Narodzin. Pasterze, mędrcy, następnie „Księga Mormona” i opowieść o dniu, nocy i dniu bez ciemności, gdy Chrystus się narodził po drugiej stronie świata. Potem Step tłumaczył, dlaczego żył Jezus. Mówił o wybaczeniu złych uczynków, jakich dopuszczają się zli ludzie.

Chłopcy słuchali, oczarowani tym przeżyciem, obecnością na Wigilii Bożego Narodzenia, ich oczy błyszczały w świetle rzucanym przez lampki na choince. Na koniec jeden z nich przemówił:

- Wszystkich?

Zanim Step upewnił się, o co pyta, Stevie odpowiedział ostro, z przekonaniem.

- Nie. Zabijania nie.



DeAnne wstrzymała oddech, zakrywając usta, mrugając oczami, by nie popłynęły łzy.

- Stevie ma rację - powiedział Step. - Nasza wiara mówi, że Bóg nie wybacza ludziom, którzy zabijają celowo. w Nowym Testamencie Jezus powiedział, że jeśli ktoś skrzywdzi dziecko, to lepiej dla niego, by uwiązał sobie u szyi kamień, wskoczył do morza i utopił się.

- Oni zostali skrzywdzeni, tato - powiedział Stevie. - Oni mi tego nie powiedzieli.

- To była tajemnica - rzekł jeden z chłopców. - Obiecałem, że nigdy nie powiem, bo wtedy... - Głos chłopca odpłynął, ścichł.

- Nie odchodźcie! - powiedział Stevie. - Mówiliście, że dopiero po Wigilii.

- To trudne - powiedział drugi chłopiec.

Stevie odwrócił się do Stepa.

- Tato, musisz zadzwonić do pana Douglasa. Jeśli zobaczy ich razem, musi uwierzyć, no nie?

- Tak - zgodził się Step.

- Wiedziałem, że nie uwierzy mi, jeśli mu o tym powiem, bo skoro ty mi nie uwierzyłeś, dlaczego on by miał mi uwierzyć?

- Wierzyliśmy ci, Stevie - zapewniła go DeAnne, z trudem walcząc z napływającymi łzami. - Naprawdę.

- Ale nie uwierzyliście w nich - odparł. - Myślałem, że możecie ich widzieć jak ja, ale nie mogliście, nawet Robbie widział ich tylko raz przez sekundę.

Step pomyślał: Robbie mógł, lecz ja nie mogłem i DeAnne nie mogła.

- Staralem się wymyślić, jak ich pokazać. Powiedzieli, że pogrzebano ich pod domem, więc...

Kolejne westchnienie wydała DeAnne, Step poczuł, jak coś skręca mu kiszki. To wcale nie żadne rozdarcie w materii wszechświata Stevie odczuwał, wcale nie jakieś bezimienne zło przyczajone gdzieś w mieście. To było tutaj. Pod domem. Miejsce, które w popłochu opuściły świerszcze i pająki. Miejsce, gdzie ukryto ciała siedmiu chłopców, gdzie nikt ich nie mógł odnaleźć, choćby nie wiem jak szukał.

Lecz ktoś był pod domem, odkąd się tu wprowadzili, tak, więcej niż raz, więcej niż raz. Bappy był pod domem. I Bappy mieszkał tu przed nami, zanim syn kazał mu się wyprowadzić, by móc wynająć nam ten dom. Bappy mieszkał tu, kiedy uprowadzono pierwszego z chłopców, później też tu często bywał, cały czas.

Stevie ciągnął dalej:

- Dlatego wczółgałem się tam i kopałem, ale to nic nie dało, nic nie pomogło, a potem zdenerwowaliście się na mnie za to, że się wybrudziłem i wyszedłem z domu, więc drugi raz już nie próbowałem.

Mój syn był tam, pod spodem, pomyślał Step. Chciał krzyczeć, tak jak krzyczał po pikniku czwartego lipca. Ale zdusił to w sobie.

- Nie wiedziałem już, co mam robić - mówił Stevie - dlatego się poddałem, pomyślałem, że nikt ich już nie zobaczy. Ale nie mogłem tak po prostu pozwolić, żeby dalej to robił, prawda, tato? Tak nie byłoby dobrze. Nie podobało im się to, wiedziałem, nawet jeśli nie powiedzieli mi, jak bardzo to boli.

Popatrzył na pozostałych chłopców, niektórzy odwrócili wzrok, prawdopodobnie zawstydzeni.

- Więc przypomniałem sobie, co mi mówiłeś, jak źli ludzie nienawidzą prawdy, boją się jej, więc złamałem regułę i wyszedłem na zewnątrz, kiedy pracowałem przy światłach i powiedziałem: „Wiem, co pan robi”, a on powiedział: „Nie wiem, o czym mówisz”, a ja na to: „Opowiedzieli mi o panu”, on wtedy: „Kto ci powiedział?”, a ja powiedziałem: „Oni mi powiedzieli o Chłopcu”, i dodałem: „Pan Douglas jest moim przyjacielem, spotkałem go i sam tak powiedział. Musi pan przestać”, a on: „Już przestałem”. Powiedział: „Chłopiec już tego nie robi”. Ale wiedziałem, że kłamie, bo Chłopiec jest inny, niż mi o nim mówili, Chłopiec nie jest kimś innym, on jest Chłopcem, Chłopiec był nim samym, a potem pobiegłem, by schować się w domu, ale byłem za wolny.

DeAnne płakała, twarz kryjąc w dłoniach, Step czuł łzy na własnych policzkach, bo teraz wiedział, ponad wszelką wątpliwość, że ośmiu zaginionych chłopców, nie siedmiu, spędzało u nich tę Wigilię. Ośmiu chłopców, nie siedmiu, zagrzebanych w strasznym miejscu.

- I pomyślałem, że wszystko zniszczyłem - kontynuował Stevie. - Ale potem zrozumiałem, że wcale nie. Bo wiedziałem, co zrobić, żebyście mnie zobaczyli. Pierwszej nocy było naprawdę ciężko i myślę, że kilka razy nie widziałeś mnie, kiedy powinieneś, ale nabierałem wprawy, a później naprawdę mogłem pokazać im, bo byłem jak oni. No i teraz, tato, stoimy tu przed tobą, musisz zadzwonić do pana Douglasa, bo Chłopiec wciąż tam jest, trzeba go powstrzymać.

- Tak - odrzekł Step. - Zostaniecie, chłopcy? Dopóki nie przyjedzie pan Douglas?

Nie odpowiedzieli; niektórzy spoglądali po sobie, a inni patrzyli w ziemię.

- Boją się znowu go zobaczyć - rzekł Stevie. - Starca.

- Chłopca - szepnął jeden z przyjaciół Stewiego.

- Chłopca - jak echo powtórzyło kilku innych.

- Wiem, co powinniśmy zrobić - powiedziała DeAnne. Starła się, żeby zabrzmiało to radośnie, na przekór łzom. - Siedzieliście tu wszyscy i patrzyliście, co nasza rodzina robi w Wigilię. Teraz niech każdy z was opowie reszcie, co wasze rodziny wtedy robią. Nie musicie, jeśli nie chcecie, ale

naprawdę chciałabym wiedzieć, bo nie sądzę, by na całym świecie istniały dwie rodziny, które spędzają święta dokładnie tak samo. Co nam powiesz, Jack?

DeAnne przewodziła im w tej wymianie opowieści o minionych świętach Bożego Narodzenia, Step natomiast przeszedł do kuchni i zadzwonił na posterunek policji.

- Połączcie się z panem Douglasem i powiedzcie, że Step Fletcher pragnie się z nim zobaczyć dziś wieczór. Wiem, że to Wigilia, ale proszę mu powiedzieć, że mam tu wszystkie odpowiedzi, ale musi przyjechać od razu, by ujrzeć je na własne oczy.

Step bał się przez moment, że policjant może mieć jakieś opory przed urażeniem kogoś, przed utratą pracy albo awansu, na skutek wydzwaniania do swego zwierzchnika w czasie Wigilii.

- Obiecuję ci, przyjacielu - rzekł Step - że jeśli wykonasz ten telefon, wręczysz tym samym Dougowi Douglasowi najlepszy prezent świąteczny, jaki w życiu otrzymał.

- Łatwo panu mówić - odpowiedział mężczyzna. - Ale podejmę ryzyko i zobaczę, czy zechce z panem rozmawiać.

Choć nie upłynęła minuta, czas ten dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie telefon zadzwonił. Step chwycił słuchawkę, nim dzwonek telefonu zdążył rozbrzmieć na dobre.

- Co tam ma pan ciekawego w Wigilię Bożego Narodzenia?

- Zrobiłem tę listę wtedy, panie Douglas, i nie była zmyślona, prawda? Nic nie zmyślałem, prawda?

- Prawda.

- Proszę przyjeżdżać, i to szybko. Mam tu wszystkie odpowiedzi. Lecz żadnych świateł, żadnych syren. Bo może ich pan nastraszyć, a wtedy odejdą.

- Kto? Kto odejdzie?

- Chłopcy, panie Douglas. - Step odwiesił słuchawkę, ufając, że Douglas uwierzy mu na tyle, by przyjechać.

Przybył, zanim chłopcy skończyli opowiadać swoje historie. Przyjechał po cichu, a kiedy ujrział ich wszystkich zebranych, Step dostrzegł nadzieję w jego oczach, wielkie zadziwienie, że okazało się w końcu, iż żyją. Ale potem spojrzał na twarz Stepa, a Step wiedział, że nie stanowiło tajemnicy to, że jest pogrążony w rozpacz, i Douglas zaczął rozumieć.

- Pana chłopak naprawdę ich widział - powiedział.

- Cały czas - stwierdził Step.

- Ale dlaczego my ich teraz widzimy?

- Bo Stevie pokazał im, jak mają to zrobić. I zebrał ich tutaj, by mógł się pan im przyjrzeć.

Douglas wkroczył powoli, uważnie na środek pokoju.

- Ach, chłopcy, gdybym go tylko znalazł wcześniej. Gdybym go powstrzymał, zanim... Ale mogę to zrobić teraz. Tylko powiedzcie, kto to taki.

W tym miejscu Stevie opowiedział wszystko od początku, tym razem dodając więcej szczegółów. Głębokie miejsce pod domem. Jak nie mógł zrozumieć, co przytrafiło się jego przyjacielom, dopóki nie ujrzał tego miejsca, a później kazał im powiedzieć. I kazał im też powiedzieć, kim jest on.

- To Bappy - zakończył.

- Chłopiec - rzekli niektórzy.

- Baptize Waters - powiedział Step. - Ojciec właściciela naszego domu. Kiedyś tu mieszkał. Zapisalem dla pana jego adres i numer telefonu, kiedy był pan w drodze.

- Chłopcy - zwrócił się do gromadki Douglas. - Coś wam powiem. Nie sądzę, byście jeszcze kiedyś oglądali tego człowieka. Nie sądzę, żeby jakiegokolwiek dzieci musiały go kiedyś oglądać.

Kiwali głowami.

- Zatem obiecuję wam, że jeśli zostaniecie dokładnie tu, w tym pokoju, jeszcze przez chwilę, nigdy już go nie zobaczycie. A jeśli zaczekacie, zadzwonię do waszych rodziców. Chciałbym, żeby mieli okazję was zobaczyć.

- Będą się złościć - powiedział jeden z chłopców. - Nie zostałem tam, gdzie mi kazali.

- Nie - odparł Douglas. - Rozmawiałem z nimi wszystkimi i mogę wam obiecać, że ani jedno z nich nie będzie się złościło. Ani jedno. Czy możecie zostać chociaż trochę dłużej?

- To trudne - rzekł jeden z chłopców.

- Wobec tego będę się śpieszył.

Douglas wyszedł z pokoju, poszedł w stronę kuchni. Step słyszał, jak dzwoni, mówi spokojnie. Później dowiedział się, jak wyglądały te rozmowy. „Odkryliśmy, gdzie schowano ciała, a wasz syn jest jednym z nich. Lecz jest coś jeszcze, szansa na coś jeszcze, by pożegnać się z waszym synem, jeśli się pośpieszycie. Nikomu nic nie mówcie. Przyjeżdżajcie bez zwłoki”. Nie rozumieli, oczywiście, ale przyjeżdżali. Wkrótce rozeszli się po domu, rodzice w żałobie, chłopcy, nieśmiali z początku, cicho mówiący, gdyż żaden z nich nie był tak silny jak Stevie.

A kiedy wewnątrz toczyły się rozmowy, policjanci pracowali na zewnątrz i pod spodem, ciała wydobywano jedno po drugim i na noszach układano na trawniku w blasku świateł. Bappy'ego sprowadzono do domu przy Chinqua Penn, a wraz z nim syna i obrońcę syna, wściekłych z początku, że przywleczono ich tutaj w Wigilię Bożego Narodzenia. Ale potem ujrzeli zwłoki na trawniku, syn

zwrócił się w stronę ojca i wrzasnął:

- Twierdziłeś, że z tym koniec. Powiedziałeś, że jesteś za stary, by tego jeszcze pragnąć. Lecz ty nie przestałeś, ty stary sukinsynu, dalej to robiłeś, tylko że teraz zabijałeś! - Łkając ze wstydu, wściekłości i okropnych wspomnień, syn pchnął ojca na ziemię i zaczął go kopać, aż policjanci złapali go i przytrzymali, a on stał i płakał. - Twierdził, że przestał. Powiedziałbym wam o nim, gdybym wiedział, że wciąż to robi, gdybym wiedział, że to robi, powiedziałbym.

- Zatem dlaczego nam nie powiedziałeś? - spytał Douglas.

Przez moment nie mógł wymyślić, co ma na to powiedzieć. A po chwili już mógł.

- To mój ojciec.

- To nie ja - powiedział Bappy.

- A właśnie, że ty - rzekł Douglas.

- To Chłopiec - stwierdził Bappy. - Ja nigdy nie chciałem. Myślicie, że kim jestem? Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. To zawsze ten Chłopiec.

Wszystko to utrwalono na taśmie wideo. Syna. Ojca. Prawnika o ponurym wejrzeniu, przekonującego obu, by zamilkli, by nic już nie mówili; o wiele za późno. Wszystko znalazło się na taśmie, więc nie było powodu, by ludzie na zewnątrz musieli widzieć, a nawet wiedzieć, co dzieje się w środku.

Kiedy odprowadzano Bappy'ego, kiedy z ukrytych grobów wydobywano ciała, oświetlane przez policjantów tego mroźnego, wigilijnego wieczoru, jeden po drugim chłopcy w domu tracili siłę lub chęć dłuższego opierania się, żegnali się i znikali. W jednej chwili tam, w drugiej chwili już gdzie indziej. Potem odjeżdżali ich rodzice, łkając, tuląc się do siebie, żegnani kilkoma słowami Douglasa, wypowiadany szeptem.

- Nikomu nie mówcie - przestrzegał. - Nie chcecie chyba, żeby imiona waszych dzieci pojawiły się w prasie. Wracajcie po prostu do domu i dziękujcie Bogu, że dał wam szansę się pożegnać. Jedno małe miłosierdzie w całej tej okrutnej sprawie.

Rodzice kiwali głowami, zgadzając się: wracali do domu w najsamotniejsze Boże Narodzenie ich życia, Boże Narodzenie, podczas którego wszystkie pytania nareszcie znalazły odpowiedzi, podczas którego pamiętano o miłości i ją oplakiwano, Bogu składano dzięki, obwiniając go zarazem, że nie zrobił więcej.

W mieszkaniu Stevie opierał się najdłużej; od początku był najsilniejszy. Robbie i Betsy oboje spali, Zap także drzemał w ramionach DeAnne. Na koniec Stevie został sam z rodzicami, tak jak był sam z nimi, gdy ich rodzina dopiero się rozrastała.

- Ach, Stevie - mówił Step. - Dlaczego poszedłeś tam sam, w pojedynkę? Dlaczego nie sprawiłeś, byśmy ci uwierzyli? Dlaczego nie wyjaśniłeś?

- Byłem tym, do którego przyszli - wyjaśnił Stevie. - Takie było moje zadanie. Czy nie dlatego tu się wprowadziliśmy?

- Nie po to, żeby cię stracić - oświadczyła DeAnne.

- Postąpiłem tylko tak, jak mnie nauczyliście - mówił Stevie. - Nie chciałem umierać. Lecz nie wiedziałem, jak to zrobić, aż do wtedy. Czy źle postąpiłem?

- Och, Stevie - powiedziała DeAnne. - To, co zrobiłeś, było szlachetne, dobre i odważne. Wiedzieliśmy, że takim właśnie człowiekiem będziesz, wiedzieliśmy od początku.

- Tylko sądziliśmy, że będziemy mieli sposobność znać cię dłużej - rzekł Step. - Sądziliśmy, że umrzemy długo przed tobą. Bo tak powinien wyglądać świat.

- Nic nie poszło tak, jak powinno - stwierdził Stevie. - Nic nie było w porządku, ale teraz jest lepiej, no nie? Ja zrobiłem to lepiej, prawda?

- Ze względu na matki i ojców, którzy nie będą musieli rozpaczać - powiedział Step - gdyż powstrzymałeś tego człowieka, nim odnalazł ich synów, tak, teraz jest lepiej.

- I nie złościcie się na mnie, że zламаłem regułę? - spytał Stevie.

- Nie, nie złościmy się - odparł Step. - Ale jest nam smutno.

- Stevie, czy nam wybaczysz? - wtrąciła DeAnne. - Że nie zrozumieliśmy? Że nie wiedzieliśmy, iż to, co nam mówisz, to prawda?

- Jasne - odpowiedział. - Mogłem ich widzieć, a wy nie. Byłem na was tylko zły, dopóki nie domyśliłem się tego. - Westchnął. - To takie trudne, zostawać tu dłużej.

- Nie chcę, żebyś odchodził - prosiła DeAnne.

- To takie trudne - powtórzył.

- Kocham cię, Stephenie Bolivarze Fletcherze - powiedział Step. - Kocham cię nad życie. Będę za tobą tęsknił.

- Ja też będę za tobą tęsknił, tato. I za tobą, mamó. Pożegnajcie ode mnie Robbiego i Betsy. I powiedzcie o mnie Zapowi, kiedy będzie większy, bo ciągle jestem największym bratem.

- Kocham cię - powiedziała DeAnne. Chciała mu powiedzieć, co te słowa znaczą. Co on dla niej znaczył, jak czuła się, nosząc go przez te wszystkie okropne miesiące dolegliwości, i jak to się wszystko opłacało, kiedy już trzymała go w ramionach; opłacało się z dużą nawiązką, gdy patrzyła, jak dorasta, jakim jest ładnym, dobrym chłopcem. Chciała mu powiedzieć o wszystkich marzeniach z nim związanych, o wszystkich dzieciach, które chciała, by miał, dzieciach szczęśliwych, że mają takiego ojca. Chciała mu opowiedzieć, jak to raz przyśniło się jej, że leży na łożu śmierci i wie, że lekko jest umierać, gdyż Stevie siedzi obok, trzymając ją za dłoń. Jak śniło jej się, że powiedział:

„Żegnaj, matko”. A potem: „Czekaj tam na mnie, kiedy przyjdę”.

- Żegnaj, matko - powiedział Stevie. - Żegnaj, ojciec.

- Żegnaj, Kluczniku - odparł Step.

DeAnne powiedziała:

- Czekaj tam na nas, kiedy przyjdziemy.

## Rozdział piętnasty

### Nowy Rok

Oto jak Fletcherowie dotrwali do Nowego Roku: zadzwonili do państwa Lowe, którym wystarczyły jedynie dwa zdania, by pędem przybyli do domu przy Chinqua Penn. Mary Anne pomogła im spakować to, czego będą potrzebowali na następne kilka dni, podczas gdy Harv zatelefonował do biskupa i siostry Bigelow, która także przyszła. Choć Fletcherowie przenieśli się już do domu państwa Lowe, gdzie zamierzali spędzić resztę tej długiej, wigilijnej nocy, biskup i siostra Bigelow pozostali, zbierając wszystkie prezenty, które Step im wskazał, pakując te wciąż nie zapakowane, napełniając skarpety łakociami i podarkami, które Step przygotował wraz z DeAnne, a potem przenieśli to wszystko do domostwa państwa Lowe, zanim przebudziło się którekolwiek z dzieci. Step i DeAnne obserwowali spokojnie, jak Harv i Mary Anne czynią z Bożego Narodzenia dzień radosny i szczęśliwy dla dzieci.

W czasie gdy oni zostali w domu - nie poszli do kościoła - zebrały się dwie gminy ze Steuben, a tak głęboko przemyślany program bożonarodzeniowy został z miejsca zmieniony. Zamiast niego biskup, zawsze trzymający rękę na pulsie, opowiedział historię niewiniątek z Betlejem, a potem historię Almy i Amuleka, którzy też obserwowali śmierć innych niewiniątek. I tak powiedział:

- Takie boże dzieci wkrótce zapominają, co to ból i śmierć, jako że witane są z radością. Za to te, które zostają, potrzebują naszej pomocy i pocieszenia.

Pomoc i pociecha przybrały wiele form podczas następnych kilku dni. Znalazło się nowe i puste mieszkanie, którego właściciel, słysząc co nieco o ich historii, pozwolił Fletcherom mieszkać w nim nieodpłatnie w pierwszym miesiącu. Choć taśma policyjna wciąż odgradzała ich dom przy Chinqua Penn, starszyzna ze zgromadzenia omijała ją, przenosząc wszystkie doczesne dobra Fletcherów na

furgonetkę, która kursowała tam i z powrotem, dopóki wszystko nie znalazło się w nowym mieszkaniu Fletcherów. Nigdy nie będą już musieli postawić nogi w domu, gdzie umarł Stevie.

Siostra Bigelow pozostała, kiedy już wszyscy pomagający przy przeprowadzce odeszli.

- Znalazłam coś - powiedziała. - Pomyślałam, że powinniście być sami, kiedy to dostaniecie.

Położyła na stole paczuszkę owiniętą brązowym papierem.

- Znalazłam ją w szafce na zapleczu. - Uściskała DeAnne i wyszła.

Otworzyli paczkę. Wewnątrz były dwa dziwnie wyglądające prezenty gwiazdkowe, zawinięte. Prezent DeAnne był ciężki. Odwinęła go, by znaleźć dwa kamienie, tak sklezione razem i pomalowane, by przedstawiać królika. Jeden kamyk stanowił ciało, drugi, mały - głowę. Poza tym dolepiono uszy z papieru kolorowego. Na karteczce Stevie napisał: „Królik z podwórka”. Prezent Stepa był o wiele lżejszy i trudniejszy do sprecyzowania. Stevie wziął opakowanie po Cool Whipie, do pokrywki dolepił dozownik taśmy klejącej, całość pomalował jaskrawą czerwienią. Na załączonej kartce widniał staranny szkic, pokazujący zegarek dyndający na jednym ramieniu dozownika, kilka piór wystających z otworu w dozowniku i trochę drobnych w pojemniku po Cool Whipie. W pojemniku znajdowało się piętnaście centów, by ułatwić mu początek. Był to pojemniczek z przegródkami na drobiazgi, które Step trzymał po kieszeniach.

Przez długą chwilę przyglądali się prezentom, pogrążeni w myślach.

Żadne z rodziców nie puściło pary z ust na temat zdarzeń tej Wigilii, a Doug Douglas zadbał o to, by dziennikarze usłyszeli jedynie historię o Bappy' em i jego synu, i o mrocznej tajemnicy starego zbrodniarza. Tak więc jedynie zdjęcia Bappy' ego i jego syna ukazały się w wieczornych wiadomościach i na czołówkach gazet. Doug Douglas miał jeszcze przez wiele lat utrzymywać kontakt z tymi rodzinami, nawet po odejściu na emeryturę, ale nigdy nie podejmował tematu tamtej nocy i poprzedzających ją wydarzeń; wszyscy poznali naturę nici, jakie związały ich razem. Dzielili z nim przyjaźń ludzi, którzy odbyli z sobą daleką podróż, podróż, której wspomnienie nie opuści ich nawet na chwilę.

Tylko raz Doug Douglas zadzwonił do Fletcherów. Przeglądając akta tej sprawy, po prostu dla zwykłego spokoju, natknął się na związek, jaki zachodził między przypadkami dziwnych inwazji owadów lub pajaków na ich dom a nocami, kiedy umierali chłopcy. Mógł dzięki temu upewnić się co do tych dat. Nie tylko Stevie wyczuwał, jak świat drze się na strzępy.

Step i DeAnne pochowali swego najstarszego syna na cmentarzu pięknie położonym na zachodnim skraju Steuben, otoczonym gęstymi lasami pełnymi ptactwa i zwierząt; wokół tego miejsca kwitło życie. Oboje wiedzieli, stojąc przy grobie, że dni wędrówek mają już za sobą. Zakotwiczyli w Steuben, ciągnęli ich tu zarówno żywi, jak i umarli. Mały Jeremy wstąpi do Otwartych Drzwi, gdy czas jego nadejdzie; kwiatki obrosną ten grób.

W tych kilku dniach, dzielących Wigilię od Nowego Roku, odbyło się w Steuben jeszcze siedem pogrzebów. Ciało tych siedmiu chłopców zdążyło do grobów w towarzystwie skromnych podarków,



jakie przy nich znaleziono: samochodu wyścigowego, pieska ze sztucznej porcelany, harmonijki, kłęбка sznurka, plastikowego miecza, pistoletu na wodę, talii kart.

Ponieważ życie toczy się dalej, a rachunki trzeba spłacać, Step ukończył program, nad którym tak długo pracował, po czym przesłał go do Agamemnona. Miał otrzymać pieniądze i zacząć następny projekt, gdyż rodzina potrzebowała jego pracy. Podobnie potrzebowała DeAnne, która opiekowała się Jeremym, Elizabeth i Robbiem, trójką, która pozostała. To ich potrzeby liczyły się teraz, a ona je zaspokajała z całych swoich sił, podobnie jak Step.

W dzień Nowego Roku ich rodziny, które przyleciały z Utah, by być z nimi w tych trudnych dniach, porozjeżdżały się do swych domów. Członkowie gminy powrócili do swych normalnych powinności, które porzucili, by pomagać Fletcherom. Stopniowo życie całej gminy unormowało się i uspokoiło.

Nawet życie Fletcherów. Nie wróciło do normy, gdyż taki powrót był już niemożliwy, ale przestawiło się na nowe tory. Zawsze odtąd Step czuł podświadomie, że ktoś go obserwuje, jakby w każdej chwili triumfu mógł się odwrócić, mówiąc: „Widziałeś? Całkiem niezłe, co?” Ten zaś, który obserwował, rzekłby: „Nawet, nawet, tato”.

DeAnne widziała go w wyobraźni jako światło na horyzoncie, jako morską latarnię. Jeżeli patrzeć będą nieustannie w kierunku tego światła, myślała, jeśli zawsze będę ku niemu iść, to pewnego dnia, chociaż może być on bardzo odległy, osiągnę swój cel.

Każdego roku wspominali Steviego w dniu jego urodzin, opowiadali o nim historie, aż Robbie i Elizabeth potrafili wyrecytować je z pamięci. Co jakiś czas Robbie powracał w rozmowie do owego świątecznego dnia, kiedy zjawili się przyjaciele Steviego, choć w rodzinie rzadko o tym dniu mówiono.

Jeszcze jedno przestało istnieć tamtej Wigilii. Step już nie nazywał Robbiego „Robot” ani „Chrabąszcz”; Betsy przechrzcila się na Elizabeth; Jeremy był Jeremym. Gdy Step przestał używać zdrobnień, wkrótce odeszły w niepamięć, czasem tylko Robbie przedrzeźniał Elizabeth, mówiąc: „Wiesz, kiedyś wołaliśmy na ciebie Betsy Wetsy”. Kiedy dzieci dorosły, fakt, że ich rodzice zwracali się do siebie niegdyś Gałganiarz i Rybia Dama, zatarł się w ich pamięci. Nie uwierzyliby, gdyby ktoś im powiedział. Nikt nie powiedział.

Step i DeAnne zdecydowali, że porzucą przerwiska. Po prostu stanowiły integralną część większej całości i wydawało się niewłaściwe używanie tylko niektórych z nich, a innych nie. Lecz pewnego dnia znów ich będą używać, byli o tym przekonani. Pewnego dnia powrócą do swych starych przerwisk, gdy Klucznik spotka ich po drugiej stronie.

KONIEC

